

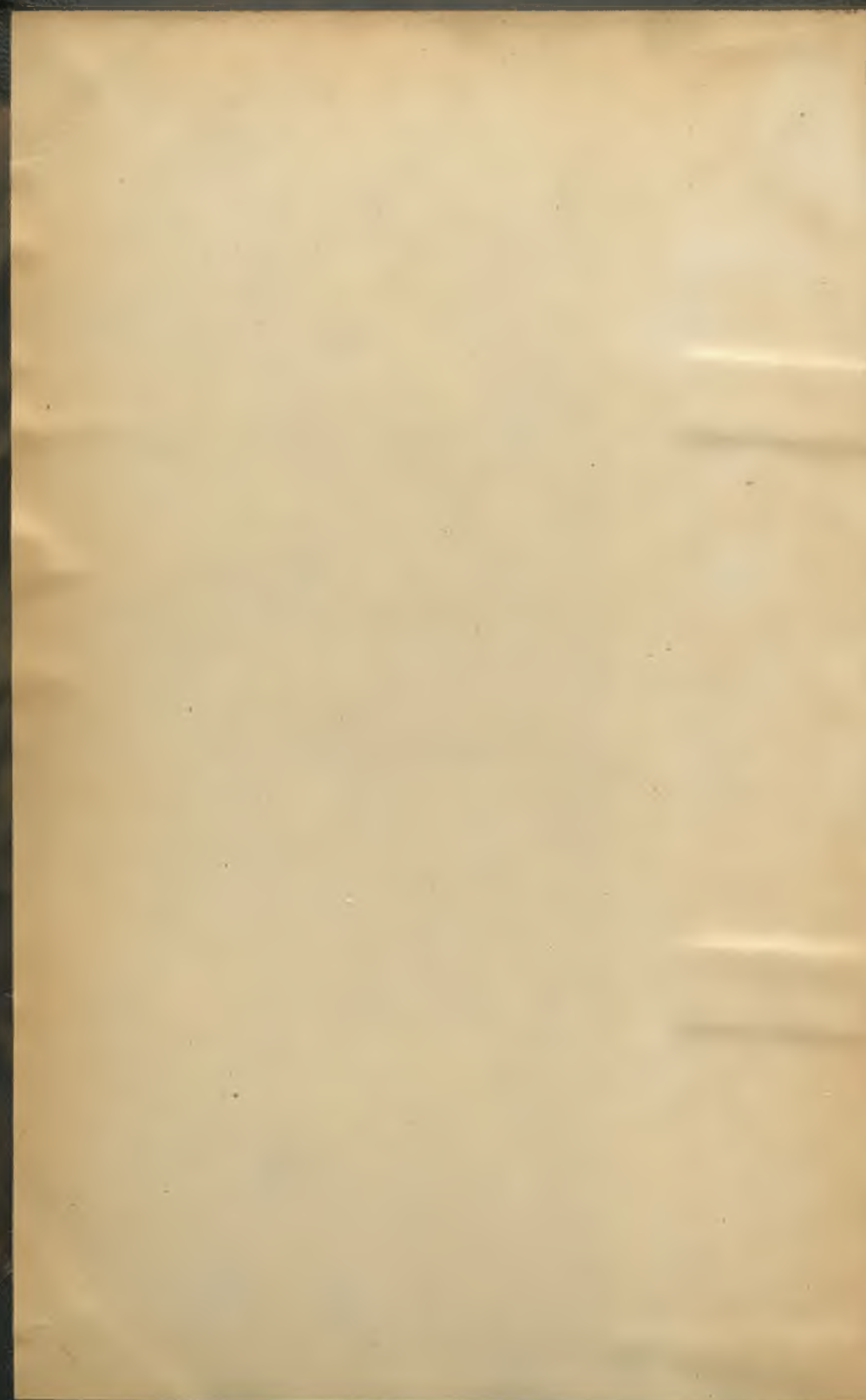
Śląska Biblioteka Publiczna

4501

II

(1817)

S.





PRZEGLĄD POLSKI.

ROK XI.

Kwartał III.

(Styczeń, Luty, Marzec).

Ogólnego zbioru tom 43.



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni »CZASU»
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1877.

4501. 1877. 11.3-4

x-11140
4501/ 11

Ku. 3-4

/R. 11/1877



30.000,-

X - 11140

4501

II

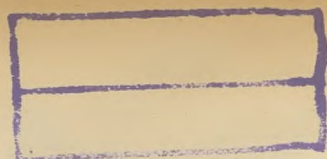
1877. M. 3-4

SPIS RZECZY



zawartych w tomie III. rocz. XI.

	str.
Pierwsza próba, powieść przez Z. D.	3
Połońskiego „Kwestya rosyjska na Wschodzie“ przez Ludwika Kozłowskiego	42
Z Listów Zygmunta Krasińskiego, przez Stanisława Tarnowskiego	75
Do „Reformy Stosunków Wiejskich,“ II. O Gminie, przez Henryka Linka; III. O Ankiecie ekonomicznej przez Tadeusza Pilata: IV. O Lichwie, przez Andrzeja Rydzowskiego; V. O Budowlach Publicznych, przez Jana Stadnickiego 118, 264, 283, 421	
Część świata nowo odkryta (Halb Asien) przez Stanisława Tomkowicza	179
Z drugiej pieśni Don Żuana, przekład Wiktora z Baworowa	199
Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem o koronę czeską, przez Juliana Sutowicza 225, 334	
Trzecia żona Zygmunta Augusta, prelekcya publiczna przez Józefa Szujskiego	323
Z Literackiej spuścizny Aleksandra Fredry; I. Mój pa- cierz; H. Do Jędrzeja	390, 395
Psychologia Samobójstwa, przez Stanisława Załęskiego	398
Listy z ziem polskich, I. z Poznania, przez **	286
Przegląd literacki, przez Dr. P., Sokołowskiego Au- gusta, i L.	440
1) Pamiętniki J. U. Niemcewicza.	
2) Adolf Ebert. Allgemeine Geschichte der Literatur etc.	
3) Ks. Ign. Polkowski. Oblężenie Pskowa.	
4) Falkowski. Obrazy z życia kilku pokoleń polskich it. d.	
Przemowa nad zwłokami K. Fr. Skobła, przez Józefa Majera	148
Wspomnienia pośmiertne przez Józefa Szujskiego	141
Przegląd polityczny przez A. Szukiewicza, E. Ra- czyńskiego i A. Zaleskiego	163, 307, 451
Teatr	316
Kronika bibliograficzna	318 i 468



UNITED STATES DEPARTMENT OF THE INTERIOR

BUREAU OF LAND MANAGEMENT

TO THE SECRETARY OF THE INTERIOR
FROM THE DIRECTOR OF THE BUREAU OF LAND MANAGEMENT
SUBJECT: [Illegible]
[The following text is extremely faint and largely illegible due to the quality of the scan. It appears to be a memorandum or report detailing land management activities, possibly related to the 'UNITED STATES DEPARTMENT OF THE INTERIOR' and 'BUREAU OF LAND MANAGEMENT' stamps.]

PIERWSZA PRÓBA.

P O W I E Ś Ć.

(Dokończenie).

VII.

Janusz tak opisał Helence pierwsze wrażenie, wywołane wielkiem miastem: Więcej tu dachów nad głową niż nieba, a przecież jak tu pięknie! zdaje mi się, że dopiero żyć zacząłem! Młody uczony odurzony był gwarem, hałasem, tym prądem życia wielkomiejskiego, które zdaje się przenikać każdego, zaczawszy od poważnego męża stanu, który z teką spieszy na sesyą, potrąca przechodniów, nikogo nie widzi, gdyż tu idzie o losy państwa — a skończywszy na uliczniku, który z rozwianym włosiem goni za pierwszą lepszą kareta. I Janusz wkrótce uchwycił takt tego przyspieszonego życia, przestał więc patrzeć na okna sklepowe, oglądać się za każdym, szedł prędko i z głową pochyloną; ale za to serce jego dalekie było od moralnego spokoju prawdziwego mieszczucha. Czuł, że mu w żyłach nowa krew zaczyna krążyć, że sił mu przybywa za dziesięciu, że gdyby się spotkał oko w oko z jakim nieznanym nieprzyjacielem, pokonałby go natychmiast samą siłą tej pięknej młodości. Tymczasowym nieprzyjacielem młodzieńca była nauka; cały dzień pracował bez wytchnienia, wieczorem tylko

wróciwszy z wykładów, pozwalał sobie kilka chwil wypoczynku. Okno jego pokoju otwierało się na podwórze, z widokiem na boczne skrzydło pałacyku mającego się restaurować i otoczonego rusztowaniem.

Janusz przez kilka tygodni nie widział prócz rozwalonych cegieł, słuchał stuku młotków ciesielskich i mularskich, łykał kurze; wreszcie powoli pałacyk wychylać się zaczął z po za rusztowań i odsłonił mały boczny balkonik, prawdziwe arcydzieło. Dwa różowe kasztany rosły w tem miejscu podwórza, dosięgając prawie balustrady ganku. Janusz nie umiał ocenić architektonicznej piękności pałacyku, bo znał dotąd tylko naturę, nie rodzoną jej siostrę — sztukę, zatem serce pociągnęło go od razu do owych kasztanów; kazał je starannie otoczyć koszem, polecił robotnikom, by ich nie niszczyli i zdawało mu się, że te kasztany gdy rozkwitną na wiosnę, będą najpiękniejszą pałacyku ozdobą. Nie mylił się może; wszakże sztuka wyrosła z zapatrzenia się na naturę, drzewo dało pierwszą myśl form architektonicznych. Ten balkonik i rosnące pod nim drzewa uzupełniały się nawzajem, szerokie liście kasztana sięgały słupków kamiennych, z rzeźbionym kwiatem i liściem, i mimowoli przyciągały wzrok Janusza; stały się ulubionym jego widokiem. Patrząc na ten ganek taki lekki, taki ozdobny i tajemniczy, marzył o czemś, czego nie rozumiał. Janusz nigdy nie próbował pisać wierszy, nie czytał Szekspira, przecież źródło poezyi biło w jego młodej piersi i wyobraźnia kazała mu od razu na ten balkon postawić — kobietę. Był to jeden szczegół, o którym w listach nie wspominał Helence.

Pierwszą kobietą, która się zjawiła na tajemniczym balkoniku, była panna Róża, zaufana panna młodej hrabiny. — Zaczęła od tego, że rozwiesiła na balustradzie kilkanaście sukien i oberwała gałązkę kasztanów, która jej zawadzała. Janusz instynktem przeczuł, że to nie była „ona”; oburzyło go nawet, że takie stworzenie śmiało wkroczyć w królestwo jego marzeń, bez szacunku chodzić po jego balkonie, zrywać liście z jego kasztanów. Panna Róża mówiła głośno, śmiała się jeszcze głośniejsze i z miną ministra rozgospodarowała się w pałacyku; oznajmiła ludziom, że przyjazd hrabiny niebawem nastąpi. Janusz przez cały czas regularnie pisał hrabiemu o po-

stępie robót i kilka tygodni przedtem doniósł był, że już zewnętrzne roboty koło pałacyku skończone i architekta ustąpił miejsca stolarzom i tapicerom. Panna Róża miała tedy według danych instrukcyj zarządzić ostatecznem urządzeniem; przywiozła z sobą niezliczoną ilość pakunków i przez kilka dni bezprzestannie wypakowywano porcelany, marmury, obrazy, pod jej zarządem i starego kamerdynera. Wszczął się wielki ruch koło całego domu, służba biegła po podworcu, rzemieślnicy kręcili się; otwierano drzwi i okna, rozwieszano dywany, a Janusz z gorączkową ciekawością przypatrywał się wszystkiemu. Usłużna panna Róża z uśmiechem zaprosiła młodzieńca do pokoiów, aby się przyjrzał, jak wszystko w porządku i tylko czeka na Jaśnie panią. Janusz z pewnym strachem wszedł do pałacyku i tu już zdziwienie jego nie miało granic; wszystko było dla niego prawdziwą zagadką, wywraçało pojęcia jego prostego umysłu. Wprawdzie od niejakiego czasu zaczynał przeczuwać, że człowiek może mieć jakieś pragnienie wyższe i większe potrzeby, których on, biedny sierota, wychowany pod ubogą strzechą, nie rozumiał; zaczynał przeczuwać całą wielkość sztuki i rozumieć tęsknotę do piękna i harmonii, która człowieka uczy odtwarzać drugą naturę i otaczać się pięknem; ale nie rozumiał jeszcze ostatecznego wyrazu potrzeb ludzkich — zbytku, komfortu. Nie mógł oprzeć się urokowi pierwszego wrażenia, odurzony chodził po pokojach, echo jego kroków przejmowały i głużyły miękkie dywany, różowy atłas firanek nie wpuszczał słońca, tylko przez błądy pryzmat, w wielkich wazonach zmęczone palmy zdawały się tęsknić do tych zazdrosnych promieni, a niskie, miękkie fotele, kanapy, do snu zapraszające, przypominały te delikatne koszyki, atłasem wybite, watą wyścielone, w których kotki faworytki drzemają rozkosznie wyciągnięte. Janusz mimowoli pomyślał, jak może wyglądać kobieta, która tu mieszkać będzie — i czemu ją tak oddzielano od słońca, powietrza, tak zamykano wewnątrz w atłasy i koronki, jak w zaczarowanym zamku zaklętą królownę. Znajomy głos wyrwał go z zadumy:

— Jak się masz filozofie? rzekł Ludwik, uderzając Janusza po ramieniu; szukałem cię u ciebie i powiedziano mi, że tu jesteś. Przyglądasz się, czy godne królestwo królowej? dodał, rzucając wokoło spojrzenie ironiczne i roztargnione.

Janusz serdecznie przywitał przyjaciela: „Dawnośmy się nie widzieli mój stary, rzekł Ludwik rzucając się na szeląg; przyszedłem do ciebie, jakżeż powiedzieć? może to śmiesznie, przyszedłem po radę; nie wiem co robić; sam sobie jakoś nigdy radzić nie umiem, siadajże. Janusz siadł na brzegu długiego krzesła, które się lekko kołysać zaczęło. — „Słuchajże mój drogi, jechać nie jechać? oto list od wuja.“

Janusz czytał podaną sobie kartę. — „Kochany Ludwiku,“ pisał hrabia, mam nadzieję że wszystko między nami zapomniane, wszak jesteś przybranym synem moim, dasz mi dowód prawdziwej przyjaźni, jeśli nas unikać nie będziesz, jeżeli za naszym przyjazdem znajdziemy się w Warszawie. Irena przesyła ci ukłony od..... Widocznie ręka Hrabiego zawahała się przy kreśleniu ostatniego słowa, widocznie młoda kobieta czytała przez ramię list męża, wyrwała mu pióro i dopisała lekkim charakterem: od wujenki.“ Nie można było uprzejmiej, a boleśniej podać rękę do zgody. Ludwik roześmiał się szydercze, i ruszył ramionami. „No cóż? rzekł, zostać? i dodał lekko: przypominam ci, że byłem narzeczonym wujenki.“

Janusz sięgnął aż w głąb sumienia po radę: „Jabym radził jechać“ rzekł stanowczo.

Ludwik ze śmiechem przeszedł się kilka razy po pokoju. Nie, rzekł, zostanę, cóż mam robić? na wieczorach u pani hrabiny będę podpierał piec i figurował korzystnie w głębi pejzażu; będę pieścił pieska faworytka i umizgał się do panny Róży, otóż to; o czem myślisz Seneko?

Seneka trzymał jeszcze list w ręku; od jednego słowa dopisanego ręką hrabiny, cała kartka zapachniała jakby dotknięta ręką wieszczki. Wejście tapicera przerwało młodzieńcom dalszą rozmowę. Biorąc Ludwika za pana domu skwapliwie podbiegł ku niemu, i ofiarował pokazać mu dalsze pokoje. „Myślę, że pan hrabia raczy być zadowolony z tych apartamentów, mówił zacierając ręce, podczas gdy Ludwik siedł za nim roztargniony i nie patrząc na nic — sam wybierałem patron materyi, model wzięty z starych wzorów, alkowa ta zasłonięta materyą w palmy, wielki styl; kominek, a na nim stojące porcelany i zegar....

Od chwili Ludwik zatrzymał się niecierpliwie dając znak wymownemu mowcy by siedł dalej i dał mu pokój; niedaleko

kominka wisiał świeżo zrobiony portret hrabiny. Ludwik rzucił się na krzesło, i osłupiałym wzrokiem mierzył obraz; zdawało mu się, że pierwszy raz widzi tę kobietę, tak dobrze, tak dawno, mn znaną. Dawniej, i póki uważał Irenę za swoją przyszłą żonę, nigdy jej się uważnie nie przyjrzał, lecz dziś, gdy dla niego już była straconą i obojętną, jak jej obraz wiszący na ścianie, dziś olśniony był nieporównanym wdziękiem jej twarzy. — Doznał dziwnego uczucia, z wzrastającym wzruszeniem patrzając, to na portret, to na otaczające go sprzęty, pokój ten był jeszcze nie zamieszkały; a jakby stworzony dla młodości i miłości. Brakowało tu już tylko dwojga mieszkańców w kwiecie młodości, w pierwszym uniesieniu prawdziwych uczuć kochających się namiętnie i w zapomnieniu całego świata.

— I byłóż to tak trndne do osiągnięcia? czyż choć jedna zaporą kilka miesięcy temu była pomiędzy nim, a jego szczęściem? Ludwik wreszcie ruszył niecierpliwie ramionami i odwrócił się do Janusza. „Chodźmy — rzekł — i bądź zdrów, jadę jutro do Paryża; radziłeś mi jechać — pojadę.

Jakto? dlaczego? spytał Janusz, który przed chwilą także patrzył na portret, i jakby ze snu zbudzony, nie mógł zrozumieć nagłej zmiany w projektach Ludwika.

A! dlaczego? dlaczego? — dlatego — odparł Ludwik odwracając się od portretu, wyjął list hrabiego z kieszeni, ze złością prawie poarł go i rzucił w marmurowy kominek, w którym ognia nie było, a który młodzieniec mimowoli do swego serca porównał.

Po wyjeździe Ludwika, Janusz nie zajrzał już do pałacyku, tylko raz, aby w sieni przywitać hrabiego wracającego z żoną po długiej podróży. Janusz schował się w kąt pomiędzy domowników, z pewnem wzruszeniem usłyszał turkot pojazdu na podwórzu i słowa: państwo już przyjechalli Hrabia wszedł prowadząc pod rękę kobietę młodziutką, dziecko prawie, która uprzejmie ukłoniła się wszystkim, z wielką powagą wysłuchiwała przywitania starego marszałka dworu, choć usta jej drgały jakby skore wybuchnąć śmiechem. Irenka bowiem pierwszy raz czuła się na piedestale pani domu. Janusz usłyszał szelest jedwabnej sukni, i nie podniósł oczów aż póki młoda hrabina nie znikła za drzwiami, wrócił do siebie jakiś nie swój i zamyślony, z westchnieniem obejrzał się po pustych ścia-

Janusz serdecznie przywitał przyjaciela: „Dawnośmy się nie widzieli mój stary, rzekł Ludwik rzucając się na szeląg; przyszedłem do ciebie, jakżeż powiedzieć? może to śmiesznie, przyszedłem po radę; nie wiem co robić; sam sobie jakoś nigdy radzić nie umiem, siadajże. Janusz siadł na brzegu długiego krzesła, które się lekko kołysać zaczęło. — „Słuchajże mój drogi, jechać nie jechać? oto list od wuja.“

Janusz czytał podaną sobie kartę. — „Kochany Ludwiku,“ pisał hrabia, mam nadzieję że wszystko między nami zapomniane, wszak jesteś przybranym synem moim, dasz mi dowód prawdziwej przyjaźni, jeśli nas unikać nie będziesz, jeżeli za naszym przyjazdem znajdziemy się w Warszawie. Irena przesyła ci ukłony od..... Widocznie ręka Hrabiego zawahała się przy kreśleniu ostatniego słowa, widocznie młoda kobieta czytała przez ramię list męża, wyrwała mu pióro i dopisała lekkim charakterem: od wujenki.“ Nie można było uprzejmiej, a boleśniej podać rękę do zgody. Ludwik roześmiał się szydercze, i ruszył ramionami. „No cóż? rzekł, zostać? i dodał lekko: przypominam ci, że byłem narzeczonym wujenki.“

Janusz sięgnął aż w głąb sumienia po radę: „Jabym radził jechać“ rzekł stanowczo.

Ludwik ze śmiechem przeszedł się kilka razy po pokoju. Nie, rzekł, zostanę, cóż mam robić? na wieczorach u pani hrabiny będę podpierał piec i figurował korzystnie w głębi pejzażu; będę pieścił pieska faworytka i umizgał się do panny Róży, otóż to; o czem myślisz Seneko?

Seneka trzymał jeszcze list w ręku; od jednego słowa dopisanego ręką hrabiny, cała kartka zapachniała jakby dotkniętą ręką wieszczki. Wejście tapicera przerwało młodzieńcom dalszą rozmowę. Biorąc Ludwika za pana domu skwapliwie podbiegł ku niemu, i ofiarował pokazać mu dalsze pokoje. „Myślę, że pan hrabia raczy być zadowolony z tych apartamentów, mówił zacierając ręce, podczas gdy Ludwik siedł za nim roztargniony i nie patrząc na nic — sam wybierałem patron materyi, model wzięty z starych wzorów, alkowa ta zasłonięta materyą w palmy, wielki styl; kominek, a na nim stojące porcelany i zegar....

Od chwili Ludwik zatrzymał się niecierpliwie dając znak wymownemu mowcy by siedł dalej i dał mu pokój; niedaleko

kominka wisiał świeżo zrobiony portret hrabiny. Ludwik rzucił się na krzesło, i osłupiałym wzrokiem mierzył obraz; zdawało mu się, że pierwszy raz widzi tę kobietę, tak dobrze, tak dawno, mn znaną. Dawniej, i póki uważał Irenę za swoją przyszłą żonę, nigdy jej się uważnie nie przyjrzał, lecz dziś, gdy dla niego już była straconą i obojętną, jak jej obraz wiszący na ścianie, dziś olśniony był nieporównanym wdziękiem jej twarzy. — Doznał dziwnego uczucia, z wzrastającym wzruszeniem patrzył, to na portret, to na otaczające go sprzęty, pokój ten był jeszcze nie zamieszkały; a jakby stworzony dla młodości i miłości. Brakowało tu już tylko dwojga mieszkańców w kwiecie młodości, w pierwszym uniesieniu prawdziwych uczuć kochających się namiętnie i w zapomnieniu całego świata.

— I byłoż to tak trndne do osiągnięcia? czyż choć jedna zaporą kilka miesięcy temu była pomiędzy nim, a jego szczęściem? Ludwik wreszcie ruszył niecierpliwie ramionami i odwrócił się do Janusza. „Chodźmy — rzekł — i bądź zdrów, jadę jutro do Paryża; radziłeś mi jechać — pojedę.

Jakto? dlaczego? spytał Janusz, który przed chwilą także patrzył na portret, i jakby ze snu zbudzony, nie mógł zrozumieć naglej zmiany w projektach Ludwika.

A! dlaczego? dlaczego? — dlatego — odparł Ludwik odwracając się od portretu, wyjął list hrabiego z kieszeni, ze złością prawie pocałował go i rzucił w marmurowy kominek, w którym ognia nie było, a który młodzieniec mimowoli do swego serca porównał.

Po wyjeździe Ludwika, Janusz nie zająrzał już do pałacyku, tylko raz, aby w sieni przywitać hrabiego wracającego z żoną po długiej podróży. Janusz schował się w kąt pomiędzy domowników, z pewnem wzruszeniem usłyszał turkot pojazdu na podwórzu i słowa: państwo już przyjechali. Hrabia wszedł prowadząc pod rękę kobietę młodziutką, dziecko prawie, która uprzejmie ukłoniła się wszystkim, z wielką powagą wysłuchiwała przywitania starego marszałka dworu, choć usta jej drgały jakby skore wybuchnąć śmiechem. Irenka bowiem pierwszy raz czuła się na piedestale pani domu. Janusz usłyszał szelest jedwabnej sukni, i nie podniósł oczów aż póki młoda hrabina nie znikła za drzwiami, wrócił do siebie jakiś nie swój i zamyślony, z westchnieniem obejrzał się po pustych ścia-

nach i wziął się do pracy. Ale po pół godzinnym mozole, łacińskie dykcjonarze leżały na ziemi, i biedny uczony błędził gdzieś po nocy wśród ludnych ulic miasta.

Nazajutrz Janusz przestawił stolik, tak aby się nie móc patrzeć na balkonik, i na okna pałacyku, tłómacząc sobie, że tam było złe światło do pisania. Życie w pałacyku stało się dla niego zupełnie obcem; gdy miał interes jaki, szedł rano, tak aby w kancelaryi nie było nikogo prócz pana Leonarda. Hrabia wrócił bardzo zmieniony; uderzyło Janusza to, że mu włosy posiwiały, a na twarzy rozlany był wyraz troski i smutku, którego tam dawniej nie było. Pan Leonard po ślubie nie stracił dawnych przyzwyczajęń, wstawał rano, zaglądał do stajen; pokój jego odbijał od reszty apartamentów. skromnością urządzienia, całą ozdobą było ogromne biuro zarzucone papierami, nad którymi zwykle Janusz zastawał hrabiego. Pan Leonard mimo że był bardzo zajęty, przyjmował zawsze Janusza łaskawie, porzucał pracę, rachunki, aby pomówić chwilę z młodzieńcem, którego lubił. Nie zapominał o nim; dostarczał mu książek, troskliwie wypytywał o rozpoczęte prace, a gdy w jednym z przeglądów zjawił się pierwszy artykuł młodego historyka, serdecznie się ucieszył. „Przepowiadam ci, Panie Januszu, rzekł — że tę książkę zdobędziesz sobie pierwsze wawrzyny, które będą stałe — kupiłem to dla siebie i dla żony — ja przeczytałem od deski do deski, nie wiem czy i ona, kobiety takich rzeczy nie czytają. —

Te słowa hrabiego wzruszyły Janusza do głębi serca; pierwsze wawrzyny, które rzeczywiście zdobył swą książką, od razu zwiedły mu na skroni, bo nie cenił ani pochwał uczonych, ani serdecznych powinszowań kolegów, przez pół roku nosząc się z myślą napisania czegoś, co kobiety czytają! W tym czasie Janusz bardzo się zmienił — nie wracał do siebie aż późno w nocy, do domu rzadko pisywał i nigdy już do Helenki, tylko do ojca Piotra.

— Ojciec Piotr ani przeczuwał, że tam coś musiało się zepsuć na gładkiej dotąd drodze w życiu sieroty. — Boję się, rzekł raz do Helenki — czy nasz Janusz nie jest trochę niewdzięczny dla swych dobroczyńców — o panu hrabi czasem jeszcze nam doniesie, o pani hrabinie ani słowa, to źle, toć i my bylibyśmy ciekawi dowiedzieć się o zdrowiu tej szanownej pani,

a co do niego, to oboje państwo powinni mu stać dzień i noc na myśli; ale zwykle młody, to i niewdzięczny.

Niewdzięczny Janusz nie mógł przecież zupełnie nie znać Hrabiny. Młoda a piękna kobieta, to jakby słońce, które wszędzie, nawet w najciemniejszy kącik przedrze się wesołym promieniem. Irenki było wszędzie pełno, koło okna Janusza nieraz mignęło strusie piórko jej kapelusza za szkłem karety, nieraz wśród drzew widział kawałek białej sukni, lub za oknem pałacyku głowę o jasnych włosach. Irenka często godzinami stała w oknie, chuchała na szybę, i ręką kresliła jakieś litery, a rączka to była maleńka, pokryta pierścionkami, i biała jak mleko.

Niewdzięczny Janusz zaczął tracić sen, przypisując niepokój wewnętrzny wiosnie, w której to porze roku cała ziemia, cała natura zdaje się oddychać niezwykłą gorączką. Zima już dawno minęła, ustępując tej niebezpiecznej wiosnie. Trawy zielone, drzewa posypane kwieciem, i zabłąkany gdzieś słowik, wszystko to dziwnie działało na młodzieńca. Wreszcie, gdy mu się zdawało, że się już nieco uspokoił, zawołano go dnia jednego do hrabiego. Pan Leonard, jak zwykle, przywitał go serdecznie, pytając czy nie ma jakiej przesyłki, lub listów w rodzinne strony, i z pewnem wzruszeniem rzekł do niego: Odjeżdżam na dość długi czas, nie wiem jeszcze na jak długo, proszę cię, panie Januszu, pilnujcie mi domu.

Jacenty jedzie ze mną, nie mam prócz niego nikogo tak zaufanego w domu, a mogą być wypadki, niech Bóg broni pożaru, choroby, szczególnie choroby; proszę was, panie Januszu, od razu dajcie mi znać, w was największe mam zaufanie, i będę spokojniejszy, gdy kogoś przywiązanego zostawię na straży domu.

Janusz dosłownie zrozumiał polecenie hrabiego. Po jego wyjeździe co wieczór obchodził podwórze, stajnie, w nocy zaglądał przez okno, czy wszystkie światła zgaszone i czy wszystko śpi spokojnie. Rano spotykając pannę Różę przy bramce, nieśmiało pytał się o zdrowie pani hrabiny.

— Ja panu powiem — rzekła panna Róża z lekkim grymasem — tylko panu pomiem, bo mam dla pana szacunek, moja pani zdrowa, ale smutna teraz, aż pożał się Boże, jaka smutna.

Dawniej bywało, częściej panią hrabinę, a ma śliczne włosy, częściej panią hrabinę, to się uśmiechnie i zagada: Róziu, czy mi ładnie w tej wstążce, Rózia mnie dzisiaj inaczej uczesze; czy widziała Rózi jak śmiesznie ubrana była wczoraj Celina? (Celina, z przeproszeniem pana, to pani baronowa, wielka przyjaciółka mojej pani), a pan Alfons jaki zabawny; pan Alfons, proszę pana, trochę się kręci koło pani hrabiny, ot jak oni wszyscy.

I zawsze się dawniej pani hrabina uśmiechnęła i zagadała, a teraz, choćbyś co chciał gadał, nic nie uważa, zawsze jedno, nic nie mówi, podniesie oczy z książki i westchnie. Ja panu powiem, pani hrabina się nudzi.

Janusz na te ostatnie słowa pomyślał: Nudzi się, to przecież żadna choroba; ale nie mniej zafrasowany słuchał codziennych relacyj gadatliwej panny Róży. Na mocy poleceń hrabiego i głuszac myślą obowiązku trwożliwe sumienie, zaczął skrycie śledzić młodej kobiety. Hrabina na rogu ulicy, pod drzewem gdzieś w kącie za bramą, nieraz widziała w przejeździe twarz nieznanego, a tymczasem biedny Janusz wikłał się coraz bardziej we własne siecie. Nie było już samotności dla niego, nie było zapomnienia, prześladował go szelest jej sukni, jej głos, jej uśmiech. Nie wiedząc, że tak się zaczyna pierwsza miłość, Janusz ulegał potęgze uroku.

Pokusy świętego pustelnika były zapewne wynikiem wyobraźni samotnością rozbujanej; takimi były także pokusy młodego anachorety, ale tu wyobraźnia żadnych strasznych nie wywoływała obrazów. Było to jakby żywe źródło, gorący promień, jedna urocza, płomienna pokusa, pokusa życia, młodości.

VIII.

Małżeństwo hrabiego z Irenką wywołało w świecie złośliwe zdumienie i otwierało szerokie pole rozmaitym kombinacyom. Młodzież, unikająca przedtem starannie Ireny, otoczyła ją, ucieszona zmianą dekoracyi, która śliczną, bezposadną dziewczynę przemieniała w młodą mężatkę, żonę starca i dziwaka. Pałacyk na Wiejskiej ulicy stał się wkrótce punktem zbornym

całego pięknego świata. Pan Leonard nigdy nie był tak nieszczęśliwym. Sam otwierał drzwi szeroko przed światem, chociaż to życie hałaśliwe i rozrywane wręcz przeciwne były jego usposobieniu; ale czuł, że wielka młodość Irenki miała swoje prawa. Krótki czas wystarczył mu, aby się przekonał, jak dalece była niewinną, jak cień złego nie przeszedł przez jej serce, a żądza zabaw zdradzała tylko żywość i swobodę młodości. Hrabia zazdrosnym być nie mógł. Moralne męczarnie, jakie przechodził, inne miały źródło: żeniąc się z Irenką, uczynił to w pierwszej chwili oburzenia, wywołanego postępkami siostrzeńca; nie rozważał ani zastanawiał się nad możliwymi następstwami prędkiego kroku; chciał zostać opiekunem, drugim ojcem opuszczonej dziewczyny, dać jej piękne nazwisko, otoczyć ją dostatkami, a myślał, że może kiedyś w sercu Irenki wdzięczność i przywiązanie przemienią się w cień miłości — do tego czasu mógł czekać cierpliwie. Hrabia uszanował młodość i zupełne niedoświadczenie dziecka, którego opieki się podjął, ale rachował bez nieproszonego gościa: złą wieszczką, która bez zaproszenia przybyła na ucztę, była tym razem miłość.

Tylko nieszczęśliwi tak kochać mogą namiętnie, jak hrabia kochał młodszą żonę. Miłość jego wzmagała się długą samotnością całego życia, doznaniem zawodami, tęsknotą za szczęściem, którego nigdy nie znał, a teraz miał je pod ręką i nie śmiał dotknąć. Nieraz, gdy samotny wśród tłumu słuchał śmiechu Irenki, śledził wdzięcznych jej ruchów, szalone myśli przychodziły mu do głowy, aby ją uwieść daleko od świata, stworzyć jej życie miłości, mieć ją dla siebie, tylko dla siebie. Wszak on tę kobietę posiadał, według praw ludzkich i boskich była jego wyłącznie własnością — „Co ci jest? przerywała nagle Irenka jego zamyślenie — zbladłeś, możesz zmęczony? — wyjdziemy z balu, chesz? zaraz wyjdziemy.“ A tymczasem wesół takt kadryla odzywał się, widocznie nęcąc ją do tańca.

Hrabia stłumiał westchnienie. — „Nic mi nie jest, idź tańczyć moje dziecko.“ I Irenka lekka jak ptaszek i szczęśliwa wracała do zabawy, złożywszy na czole męża lekki, chłodny pocałunek, który tam długo miał pozostać.

Miłość nieszczęśliwego nie była powszednią. Starożytna a piękna przypowieść chce w miłości widzieć dziecko boga

obfitości i dziewicy ubóstwa, jakoby uczucie to, łącząc przeciwnie natury swych rodziców, było zarazem rozrzutne i chciwe. Tak też jest, kochać jest to być od razu bogatym i nędznym, brać i dawać, wszystko poświęcać i wszystkiego wymagać. Ale miłość hrabiego, miłość dziwaka umiała być tylko rozrzutną; jeden uśmiech Irenki, jedno niewinne jej spojrzenie wystarczało, by stłumiał wybuchy uczucia w głębi piersi; pobłażał jej dziecinnyim żądaniom, chciwej żądz zabaw i nowości, i gorzko powtarzał sobie, że jeżeli się z nią ożenił, przykuł ją do siebie, to nie na to, aby być szczęśliwym, ale aby jej szczęście zapewnić, tak jak ona je rozumiała. Wewnętrzne jego cierpienia tłómaczyły się tylko coraz większymi przyjemnościami, któremi żonę otaczał.

Gdyby Irenkę co zepsuć mogło, byłby ją hrabia zepsuł zbyt niemiłym ustępowaniem i miłością; ale Irenka już miała tę szczęśliwą, słoneczną naturę dzieci zepsutych, których się złe nie trzyma. Całą jej wadą było chyba, że dotąd jeszcze dwie myśli poważne nie powstały w jej głowie. Na żonę hrabiego, na panią tak wielkiego i znacznego domu była może za młoda, bo w kilka miesięcy przed ślubem jeszcze bawiła się pokryjomu lalką, i oderwano ją od gramatyki, aby jej powiedzieć, że pójdzie za męża. Pierwszy jej narzeczony Ludwik bardzo jej się podobał; serce jej wtedy biło, gdy przyjaciółki mówiły, że pan Ludwik ładny chłopiec, i zdziwiła się mocno, gdy jej matka powiedziała, że nie za młodego, ale za starego hrabiego pójdzie za męża. Ta zmiana trochę ją zastanowiła, była już ważniejsza od częstych zmian guwernantek. Ale pani Teresa wszystko jej wytłómaczyła: „Ludwik opuścił cię, jesteś skompromitowana, biedne dziecko, a stary hrabia ma pozycyą w świecie.“

Irenka tak jeszcze była młoda, że nie zrozumiała znaczenia tych słów „o pozycji w świecie hrabiego“ i o jej skompromitowaniu, które ją zmuszały oddać rękę człowiekowi, wyglądającemu raczej na jej ojca niż na kochanka. Nie wiedziała, że świat ma długi katalog takich wyrazów, dłuższy od spisu don Żuana, któremi się rządzi, a które umysł świeży i prawy nie od razu rozumie — wyrazy małe i na pozór nic nie znaczące, a despotyczne i jarzmiące ludzi z większą siłą, niż słowa katechizmu lub boskich przykazań. Irenka od dzieciństwa była

ofiara ludzkiego dekalogu i gramatykalnych błędów świata; matka jej jakkolwiek uboga i w długach, rządziła się dewizą, że „trzeba żyć z ludźmi,“ „utrzymać pozycją w świecie“ i dla córki w kołysce szukała już w myśli „stosownej partii.“ Zaczność i szlachetność pani Teresy powoli zacierała się, dzięki fałszywej pozycji w świecie; ale Irenka miała szczęśliwą naturę, że wychowana w powietrzu niezdrowem, zachowała serce zdrowe i dorosła lat szesnastu szczerą i niewinna, jak dwuletnie dziecko, wprowadzie bez innych marzeń jak to, że się będzie kiedyś ubierała jak „mama.“ Jeśli zaś dotąd była tylko jednym wiotkim kwiatem więcej w tej rodzinie kwiatów bez korzeni, unoszonych lekko wiatru poddmuchem, to nie była jej wina; była już tak wychowaną. Dowiedziawszy się ze smutkiem, że ma iść za starego hrabiego, pocieszyła się wkrótce przymierzaniem sukien wyprawnych i prosiła tylko, aby ogony były dłuższe, jeszcze dłuższe aż do drzwi...

— Trzeba ci już chyba pazia waryatko! zauważyła pani Teresa; nie ma sensu, musisz się ubierać stosownie.

Tę jedyną naukę moralną odebrała Irenka przed ślubem, i tak przygotowaną do życia oddała ją matka mężowi. Po ślubie nie poznała, że miała pana nad sobą. Hrabia nie miał serca czegokolwiek jej odmówić: podróży, klejnotu, balu, przejażdżki, nie dając znać po sobie, wiele go to kosztowało spokoju i czasu; a za tyle poświęceń odpłacała mu Irenka szcunkiem bez granic, który pan Leonard po części winien był swej pocziwości, po części wielkim brwiom i wąsom, których się żona jego zawsze bała trochę, w skrytości serca. Ale raj, który hrabia stwarzał koło żony, nie powstawał za poruszeniem czarodziejskiej laski; po niejakiem czasie poznał wreszcie pan Leonard, że nawet dochody ogromnego majątku nie mogą wystarczyć na taki tryb życia. Kilka miesięcy przeszło mu na rachunkach, na naradach z plenipotentem i administratorem, wreszcie udał się hrabia do matki żony po ostateczną radę.

Na pierwsze słowa pana Leonarda, aby Irenkę wywieść na wieś, pani Teresa odskrzyknęła z oburzeniem: „Teraz na wieś? przed wyścigami? a ktoś to słyszał? pani Celina nie wyjedzie aż za miesiąc; mamy kilka zaproszeń, a przeto i nam wypada jeszcze dać parę wieczorów.“

— Przedstawiłem cały stan interesów, odparł hrabia, teraz nie ma wprawdzie nagłej potrzeby wyjazdu Irenki, ale ja natychmiast muszę jechać do siebie zażegnać burzę; może interesa dłuższy czas zatrzymają mnie na wsi, nie chcę jej samej zostawiać.

— Pod moją opieką? z przyciskiem spytała pani Teresa, a! to trochę niewdzięcznie...

— Wreszcie... zawahał się hrabia.

— Wreszcie, drogi panie Leonardzie, najlepiej poradziemy się samej Irenki, a bać się nie ma czego; odwożę ci ją zdrową i całą po wyścigach do domu; trudno robić wbrew zwyczajom, nie wypada.

Hrabia już nie nalegał, tem bardziej gdy Irenka poparła zdanie matki; nie pokazał, jak mu ciężko było z nią się rozstawać; prosił tylko pani Teresy, aby się przeprowadziła do pałacyku, a choć się domyślał, że to rozstanie będzie dość długie, odjeżdżając rano, nawet nie pożegnał Irenki, aby jej nie przebudzić, bo spała zmęczona wczorajszą zabawą.

Irenka pierwszy raz w życiu skłamała, nie przyznając się mężowi, że miała ochotę z nim jechać; bale zaczynały ją trochę nudzić, a z opisu hrabiego podobał się jej stary zamek za miasteczkiem, otoczony głębokim rowem i stuletniami drzewami; ale pani Teresa zawyrokowała, że nie można jechać, że nie wypada, Irenka posłusznie poszła za jej rozkazem. Po wyjeździe hrabiego płynęło dalej życie pełne zabaw i rozmai-tości, tytuł słomianej wdówki zwabiał do pałacyku liczne przyjaciółki i przyjaciół pod pozorem, że trzeba biedną hrabinę rozerwać. Coś bowiem w powierzchowności Irenki naprowadzało koniecznie na myśl, że trzeba ją rozrywać. Panna Róża miała słuszość, hrabina się nudziła.

— Nudzi się! to przecież żadna choroba, pomyślał nie-doświadczony Janusz, a jednak jest, jest taka choroba, która się zwie znudzeniem. Małeńka choroba rodzi się wśród zdrowia i mocą ziewnięcia spędza uśmiech z ust najświeższych, obejmuje nas wśród czterech ścian, gnieździ się wszędzie, w deseni ubicia, w fałdach firanek, na każdym kwiatku dywana. Siadamy na kanapie, już jest nieprzyjaciół przy nas; spędza nas z siedzenia, każe podchodzić do okna i patrzeć na chmury, gonić błękitny obłok. A wśród chmur znowu sie-

dzi potwór, każe nam z obłoków napowrót tęsknić do ziemi, bo aniołowie w niebie nudzić się muszą, śpiewając wieczne „Hosanna.“

Irenka i dawniej nieraz się nudziła; mówiliśmy już, że była w stanie godzinami patrzeć przez okno i bić palcami po szybie; ale to znudzenie przychodziło tylko, gdy deszcz padał, i znikało za pierwszym słońca promieniem.

Nasz poczciwy król Sobieski tak pisał do swej Marysienki: „Mojej Dobrodziejce potrzeba pogody, jak na siano.“ Dawniej pogoda także wystarczała Irenie, ale już nie teraz; słońce nie miało już żadnego wpływu na jej humor, znudzenie coraz bardziej przybierało charakter tęsknoty. Hrabina stała się nerwowa, wszystko ją drażnić zaczęło, skarżyła się na bicie serca, na ból głowy, była jak piękny kwiat w cieniu postawiony a chciwy słońca. Irenka chciała się koniecznie rozerwać, z spaceru na wizyty, z wizyt do teatru, z teatru na wieczór; zaledwie miała czas przebrać się, a wtedy zawsze znalazło się dość czasu, aby westchnąć przed lustrem.

Może natura nie znosi próżni i owa gorączkowa żądza zabaw i rozrywki jest tylko nieświadomą potrzebą zapełnienia czemkolwiek pustego serca. Jak kim życie pokieruje, złotem czy śmieciem, trzeba to serce, zawsze chciwe wrażeń, zapełnić. Irenka sama nie rozumiała przyczyny wewnętrznego rozstroju; lepiej na tych rzeczach rozumiała się jej przyjaciółka, pani Celina, przyjaciółka o tyle, że była o wiele starsza, daleko mniej ładna, a przeto zazdrościła jej z całego serca. Uśmiechała się lekko na wszystkie skargi Irenki.

— Zła godzina i na ciebie przyjdzie, moja duszko, i tak świat się dość długo dziwi twej nieczułości; przebędziesz odrę, przebędziesz — wszystkiesmy ją przebyły.

Gorący rumieniec oblewał twarz hrabiny; nie pytała ale słuchała dalej, słabo próbując zaprzeczyć.

— ...Ta ...ta, przerywała jej w pół słowa przyjaciółka uderzając po ramieniu; nie mów mi nic o mężu; między nami, ma lat sześćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt, Celinko.

— No! to prawie to samo; musisz się zakochać, a jak się zakochasz, powiesz mi, jak to smakuje, bo ja już zapomniałam.

Matka Irenki ruszała ramionami na to wszystko.

— Nie wiem, co ci się stało, rzekła raz do córki z niechęcią: Dziwaczniejsze; wczoraj rozplakałaś się nad książką, dziś spotykamy na ulicy dziecko na ręku piastunki — i znów łzy, ah! waryatko! Co ci jest? gdybym wiedziała przynajmniej, może doktora przywołać? Jadę do pani Olimpi, może pojedziesz ze mną? rezerwiesz się.

— Nic mi nie jest, odparła hrabina, jestem zmęczona, nerwowa — nic mi nie jest...

Pani Teresa zawiązała starannie wstążki od kapelusza, pożegnała córkę i Irenka została sama, z chmurnymi myślami za całe towarzystwo, z książką otwartą na stoliku. Był to jakiś dawny romans, który przypadkiem wpadł jej w ręce, romans nie modny już; wiele tam mowy o miłości: dom chróściany służy kochankom za schronienie, a szczęśliwa bohaterka śmiało stawia czoło burzy, czując się w objęciu i pod opieką kochanka.

Hrabina szukała na dnie serca jakiejś niewyraźnej myśli, i nie wiedzieć, czemu przypomniały jej się czarne oczy nieznanego młodzieńca, który od niejakiego czasu śledził ją pokryjomu; zrobiła niechętny ruch ręką, przez chwilę patrzyła na porcelany rozstawione na kominku, na skazówki zegara i przeciągając się na kanapce, zawołała z pewną rozpaczliwą intonacją: „Mój Boże! mój Boże! jakże ja się nudzę!”

Jakby na odpowiedź na to wezwanie, zadzwieczał za bramą dzwonek i po chwili wszedł służący, oznajmując imię dawno niewidzianego gościa. W złej chwili może, bo niezwykle rumieniec oblał twarz Irenki; rzuciła przelotne spojrzenie w zwierciadło. Nic jej nie brakowało, gdyby była blada lub źle ubrana! ale różowy czepeczek, upięty z fantazją w jasnych włosach, przeważał szalę losu. „Prosić,” rzekła, wsuwając się jak kotka wgłąb kanapki.

IX.

Za bramką pałacową, czekając niecierpliwie na odpowiedź, stał nie kto inny jak Ludwik, który nocnym pociągiem prosto z Paryża przyjechał, miał zamiar 24 godzin zabawić w Warszawie, a potem pojechać do Strzelna. Chociaż wrażenie, które

nad nim przed rokiem zrobił portret hrabiny, dawno było zartarte; nie pilno mu było spotkać się z oryginałem; całe rano wahał się, czy pójść, czy nie pójść przywitać się z wujenką, wreszcie względy konwenansów przemogły. Pierwsza jednak wizyta jego była do Janusza; znalazł, że uczony zanadto pracuje bo zmizerniał, a po pierwszych przywitaniach spytał, o której godzinie hrabina zwykle wyjeżdża z domu? Janusz mógł Ludwika objaśnić, bo wiedział i dobrze wiedział, o której godzinie kare konie i karetka przejeżdżały przed jego oknami, ale wypadek chciał, że właśnie tego dnia Irena została w domu, i Ludwik z pewną złością usłyszał odpowiedź służącego: „Pani hrabina prosi.“

Od pierwszej chwili Ludwik był oczarowany; pierwszy raz przyjrzał się był uważnie Irenie na jej portrecie, a teraz patrzył na nią sam. To nie było już dziecko, z którym się niegdyś bawił, ani panienka, która go nudziła, z którą jako z narzeczoną tańczył na balach; to nie była już zabawka na jego wyłączne przeznaczone użycie. Dziś była mu zupełnie obcą, inny człowiek ją posiadał: był to piękny, bo zakazany owoc. Ludwik nie wiedział co mówić, przez krótką chwilę stracił zupełnie panowanie nad sobą, i po półgodzinnej, nic nie znaczącej rozmowie, tylko to wiedział, że hrabina ma najpiękniejsze oczy, usta i ręce na świecie i że niegdyś miała być jego żoną. Z swojej strony Irenka widząc wrażenie, jakie wywarła na dawnym narzeczonym, nie mogła się obronić uczuciu radości; w oczach miała najlepsze narzędzie zemsty i miałaż go na krótką chwilę nie użyć? Ale mimowoli po tym pierwszym wybuchu próżności serce jej się ścisnęło; nie mogła nie pomyśleć, co by to było, gdyby on, ten pierwszy bohater jej lat szesnastu, był postąpił inaczej? gdyby dziś zamiast hrabiego.... Biedna Irenka potarła ręką po czole. Nastała chwila milczenia jakby za danem hasłem; oboje z przerażeniem spojrzeli sobie w oczy. Ludwik pożegnał się prędko i uciekł. Szedł przez podwórze z głową spuszczoną i mszcząc się laską na niskim szpalerze, który gazon otaczał, był wzburzony i rozdrażniony; dochodząc do bramy jeszcze miał dobre zamiary, ale głos sumienia, którego nie uczył się słuchać, nikł w miarę, jak przechodził przez ludne ulice. Zanim doszedł do hotelu, przypomniał sobie, że ma pilne interesa w mieście; kazał rozpakować rzeczy z za-

miarem, że jutro lub pojutrze pojedzie—może za tydzień lub dwa.

Irenka po wyjściu Ludwika roześmiała się sama z siebie; nieprzyjaciel uciekł z pola, a zatem i jej wzruszenie pierchnęło, ale przyznać musiała, że tym razem się nie znudziła. Była jeszcze tak dziecinna, że uwierzyła w interesa Ludwika, które go z dnia na dzień zatrzymywały w Warszawie; bezmyślność wzięła górę nad wszelkimi innemi względami, nawet nad ważnym względem: „co świat powie?”

Miedzy Ludwikiem a Irenką był jakiś dziesiąty stopień pokrewieństwa, ścięśniony nowym węzłem powinowactwa, co dużo rzeczy pokrywa i upoważnia. Hrabina nie rozumiała pół-uśmiechów i złośliwych przymówek Celiny; kuzynek ją bawił, to było najważniejsze; on miał jej wreszcie pomóc w rozwiązaniu problemu: czemu się nudziła?

Ludwik od razu trafił w nutę płaczu rozpieszczonego dziecka, podjął się ją rozerwać. Poradził Irenie, aby czas jakiś zdała się na łaskę, niełaskę na niego, a on już spędzi chmury z jej czoła. Poradził między innemi wycieczki za miasto. Celina uprzejmie zgodziła się posłużyć za parawan, a pierwsze miejsce w powozie zajęła pani Teresa, dodając przez to powagi całej zabawie. Ludwik sam powoził wesołe towarzystwo gdzieś daleko za miasto, wybierając codziennie inne miejsca, jakąś oddaloną wioskę, las samotny lub zieloną łąkę. Pastuch zapędzając do domu bydło, stawał zdziwiony patrząc na wystrojone panie; pies owczarski zjadł go za powozem, krowy spokojnie pasące się na łące, zaledwie raczyły podnieść poważnie głowę na odgłos śmiechów, i to wszystko bawiło Irenkę. Fantazja była jedynem tu prawem; zatrzymano się, jak komu przyszła ochota ze strumienia wody zaczerpnąć, zerwać polnych kwiatów, usiąść i rozejrzeć się po ślicznej okolicy, oddychając nieznanym w mieście balsamem powietrza, a gdy głód dawał się uczuć, zatrzymywano się przed pierwszą lepszą chatą, zapijano kwaśne mleko z jednej szklanki, dzieląc się czarnym chlebem. Cel był osiągnięty, gdyż hrabina bawiła się jak dziecko. Ludwik patrząc na nią, zapominał o wszystkim; tyle niewinności rozbierało nawet jego namiętność.

Irenka do czasu swobodnie bawiła się z ogniem. Wśród innych fantazji zapragnęła raz hamaku, aby w dni zbyt skwarne odpoczywać w ogrodzie. Ludwik podjął się sprowa-

dzenia hamaka, i pół dnia szukano stosownego miejsca, gdzie go powiesić. Przypadkiem wybór padł na dwa kasztany, rosnące pod balkonem, naprzeciw okien Janusza, a który niegdyś młody uczony od zniszczenia uchronił. Janusz wieczorem patrząc przez okno, spostrzegł, że w jego ulubione drzewa ogrodnik wbijał dwa haki i rozwieszał na niej sieć, której użytku zgadnąć nie mógł. Serce go zabiło na takie nieuszanowanie drzew, i nazajutrz, wracając w południe do domu, porzedł przyjrzeć się, czy żelazo nie zbyt głęboko zraniło korę.

Doszedłszy kasztanów, stanął jak wryty: w sieć zawinięta, w jasnym ubraniu leżała hrabina; lekki, leniwy ruch hamaka musiał ją uspić, bo miała oczy zamknięte i wachlarz z książką leżał na ziemi. Irena budząc się, nie mogła wstrzymać okrzyku podziwu; zbudziło ją spojrzenie dwóch ognistych oczu, zwróconych na nią z wyrazem tego zachwytu, jaki może derwisz zapatrzonej w słońce, do którego poranne obraca modły; żadnym ruchem nie dała poznać, że się obudziła, tylko patrzała w te oczy jakby przykuta magnetyczną ich siłą. Janusz pierwszy spostrzegł, że tu grał rolę szaleńca i szukał coby powiedzieć.

— Chciałem podnieść pani wachlarz, rzekł pomieszany, czując całą niezręczność tego wybiegu i odszedł szybko z głową spuszczoną, nie podnosząc go z ziemi i nie oglądając się za sobą. Hrabina zostawszy sama, znowu zamknęła oczy i długą chwilę nie myślała o niczem, jak o tem, że jeżeli jest na świecie miłość, to ją wyrażały jego oczy.

Cały dzień Irenka była zamyślona i milcząca; na spacerze siedząc przy matce, nie śmiała się jak zwykle, patrzała to na wachlarz, to na błękitne chmury, które gorące czerwcowe rozjaśniało słońce. Ludwik nie mógł zrozumieć zmiany, która zaszła w całym jej obojętności; krótka bowiem chwila w czasie pierwszej jego wizyty, w której mu się zdawało wyczytać w oczach Irenki dziwne pomieszanie, odtąd się nie powtórzyła, a dziś dopiero unikała jego wzroku, nie mówiła do niego, a gdy trzeba mu było odpowiedzieć, słowa jej były urywane, usta drżały mimowolnie; wreszcie zaczynała rozumieć interesa, które Ludwika zatrzymywały w mieście, z poczuć siły przychodziła jej trwoga przed własną słabością.

Biedna hrabina wróciwszy do domu długo nie spała, długo przy otwartem oknie patrzała na cienie drzew, wśród których wiatr szemrał tajemniczo, i nic nie wiedziała o łzach, które jej z oczów płynęły; wreszcie zrozumiała słowo dziwnej zagadki; to pierwsze przejrzenie w świat namiętności, ten pierwszy brzask nowego życia witała na wpół z rozpaczą, na wpół z zachwytem.

Nazajutrz Ludwik idąc o zwykłej godzinie do Irenki, zastał ją w ogrodzie w rozmowie z panią Celiną, która skinęła na niego parasolką.

— Bardzo dziś pana potrzebujemy, rzekła, robiąc mu miejsce pomiędzy sobą a przyjaciółką. Ludwik skłonił się nie patrząc na Irenkę, która miała oczy spuszczone nad robotą; zdawało się, że urok, który dotąd stanowił między nimi obojga jakąś nieprzepartą zagrodę, uleciał od razu. Celina patrzała z przelotnym uśmiechem to na jedno, to na drugie. — A naprzód, mówiła obojętnie, musimy pocieszać naszą piękną wdowę; przyjeżdżam dziś i całą we łzach zastaję, dlaczego? dlatego, że mąż jeszcze nie przyjedzie. Wiesz duszko, nie wiedziałam, żeś taka zakochana, po dwóch latach małżeństwa, to już przechodzi granice dobrego wychowania. A ten niegodziwy, niewdzięczny hrabia napisał, wyobraź sobie pan, że żadną miarą wrócić nie może, tak jak zamierzał, i nie na tem koniec; napisał jeszcze, aby hrabina do niego nie jechała, gdyż sam nie wie, gdzie wkrótce wypadnie mu pojechać; zwykła piosnka mężów, interesa, majątek, kupna, sprzedaże, to u nich na pierwszym planie, dość że hrabia swój powrót znowu odkłada na kilka tygodni — to niegodnie.

Ludwik z trudnością ukrył wrażenie przyjemne na tę wiadomość i zaczął z wielką uwagą przypatrywać się lasce. Hrabina uparcie trzymała oczy spuszczone nad robotą, pani Celina szczebiotała dalej:

— A drugi interes do pana. Irenko, tu już ustępuję ci głosu. Cóż? czyś oniemiała? Więc taka rzecz: zaintrygował nas tu dziś bardzo jakiś nieznajomy młodzieniec, trochę dziki jakby Brazylijczyk albo Indyanin, chociaż biały; stał tu pod kasztanami i patrzył na hamak, który mu przypominał ojczyznę zapewne; musi nam pan koniecznie dowiedzieć się, kto to

jest i przedstawić nam go — o... otóż on, idzie ulicą, spostrzegł nas i zwraca się w drugą stronę.

Janusz! zawołał Ludwik, to niedaleko szukać zagadki, zaraz mogę go paniom przedstawić, dziwię się, że go dotąd hrabina nie zna, to młody wychowaniec wuja, mój wielki przyjaciel, zaraz przyprowadzam zbiega. Janusz nie wiedział, jak się to stało, że go Ludwik wziął pod rękę, kilkoma słowami objaśnił o co idzie i przedstawił dwom młodym kobietom, z których jedna nie spojrzała na niego, druga, pani Celina, obejmowała bardzo badawczo, trochę jak dzikie zwierzę w klatce, rosnąca bowiem sława młodego uczonego doszła była aż do niej. Janusz nie wiedział, co się z nim dzieje; było mu zimno i gorąco; doznawał uczucia podobnego do dreszczu, który przemawiał wybranych, gdy podnosili zasłonę tajemniczej Izys. A jednak Izys nic strasznego nie miała w sobie, bardzo uprzejmie podała Januszowi rękę, tę rączkę, którą on tak dobrze pamiętał. Janusz dowiedział się, że hrabinie jest miło go poznać, że słyszała już o nim od męża, że ma nadzieję widzieć go u siebie wieczorem. „I to dziś zaraz,“ podszepnęła pani Celina.

Te wszystkie drobne, zdawkowe monety grzeczności, które panie zwykły rzucać pomiędzy tłumy, Janusz brał wyłącznie do siebie, zachował w pamięci jak kosztowne złoto. Hrabina tak była uprzejma i tak obojętna, że się Janusz powoli uspokoił, że go albo nie poznała, albo jęj wczorajsza scena wyszła z pamięci.

Wieczorem Ludwik przyszedł do niego, kazał mu się ubierać i pójść z nim do pałacyku. Biedny uczony z wielką trudnością dokończył ubrania, nie prawie nie widział w lusterku powieszonem na oknie, ręce mu drżały ze wzruszenia, w milczeniu przeszedł podwórze, okna były oświecone, służący w przedpokoju czekał gości, z drugiego pokoju dochodziły głosy i śmiechy. Ludwik podprowadził przyjaciela do pani domu, i na chwilę zostawił go samego; pierwszą od razu niezręcznością, którą Janusz popełnił w salonie, było to, że oczy jego wyraziły całą prawdę tego, co się działo w jego sercu.

Hrabina cały dzień miała gorączkę, pierwszy raz nie wiedziała co powiedzieć nieznanemu, z którym zdawało się, że się już dawno znali. Skinęła na niego, aby siadł przy niej,

i chwyciła pierwszą lepszą myśl w powietrzu: „Pan dużo bywa w świecie?” rzekła, nie pamiętając, że go nigdzie w świecie nie spotykała. Janusz inaczej pojął znaczenie słów hrabiny, nie znał technicznych słów salonowego języka.

— W świecie, odparł z pewną serdecznością, jakby ogrzany ciepłem, którem promieniały oczy Irenki, oddawna pani świat jest moim domem, gdy mogę, uciekam z miasta pomiędzy cztery ściany nieba, tam mi dobrze.

Janusz wyrażał się z zupełną prostotą. Irenka zdziwiona słuchała tego języka, w którym słów było mało, lecz każde słowo wyrażało myśl i prawdę. Janusz ośmielił się podnieść oczy od ostatniej falbanki błękitnej sukni do twarzy hrabiny.

— Pan jest poetą? nieśmiało pytała Irenka, straciwszy całą pewność kobiety światowej wobec niego, który nic o świecie nie wiedział.

— Nie mam czasu, jednego poetę na świecie kocham — Homera, pani go nie czytała?

Irenka nigdy o Homerze nie mówiła z żadnym z tych młodych ludzi, którzy się przechadzali po jej salonie; uśmiechnęła się na ten nagły zwrot rozmowy, ale westchnienie wnet spędziło uśmiech.

— Bardzo mało w życiu czytałam, rzekła podnosząc oczy na uczonego. Janusz nie wiedział co na to odpowiedzieć.

Rozmowa dwojga ludzi młodych, z których przynajmniej jedno jest zakochane, podobna jest często do pierwszych jakanych rozmów dziecinnych. Dziecko szuka stósownego wyrażenia dla myśli, która już jest w jego główce, ale nie śmie głośno się wyjawić, nikt go nie rozumie, prócz tej, która się nauczyła czytać w jego oczach, stąd mówią, że dzieci mają swój dyalekt, rozmawiają jeszcze z aniołami. Taki jest także dyalekt zakochanych.

— Jak się to stało, nie wiemy, dość, że Homer zbliżył od razu Janusza do hrabiny, poprosiła go, aby czasem przechodził czytać jej głośno, uczyć ją, a Janusz uczuł się śmielszym, stanąwszy na neutralnym gruncie poezji. Nie przeczuwał dotąd, ile piękności mieściły niektóre strofy nieśmiertelnej pieśni. Nie zawsze czytał, czasem hrabina pytała się o wytłumaczenie niektórych wierszy, szczerze przyznając się do tego, czego nie rozumiała; to znowu Janusz dawał się unosić

poza granice przedmiotu, a Irenka słuchała chciwie z bijącym sercem, tłómacząc sobie, że to w niej tylko chciwość wiedzy, a Janusz niczem innem nie był, tylko nauczycielem. Dopiero teraz przyszło jej na myśl, że przecież poza czterema ścianami jej buduaru inny świat istnieje, świat szeroki i wielki—świat myśli, ideału, piękności, a ona o nim nie wiedziała, nie знаła nawet pierwszej zwrotki tej pięknej, wzniosłej pieśni życia. Poezya Homera jest wiernym obrazem wielkości i piękna; sam rytm tej prostej strofy, szeroki a pełny, jednostajny jak fala morska przybijająca i odbijająca od brzegu, daje pojęcie, przeczucie nieśmiertelnej piękności prawdy. Irenka ulegała urokowi, nieraz przestawała słuchać znaczenia słów, i dawała się unosić dźwiękowi głosu Janusza, wygłaszającego harmonijne strofy; musiała wtedy ręką zasłaniać oczy, prosząc Janusza, aby czytał dalej; głos czytającego drzeć zaczynał, ale udawał że nic nie widzi.

Celina przychodząc do przyjaciółki często przerywała czytanie, ze śmiechem rzucała Homera na drugi stół, bo dla niej książki były tylko dobre jako lekarstwo do zaśnięcia, wołała rozmawiać z Januszem, który jęj się podobał; wdziękiem jego było, że nikogo nie przypominał, do nikogo nie był podobny.

Celina najczęściej brała na siebie głośno wypowiedzieć najtajniejsze myśli biednej Irenki. Nie przeczę, mówiła, że czasem jest trochę rażący, ale jemu wolno być samym sobą, jest z materyału, z którego się robią oryginały, nie kopie. Nie jest z naszego świata, i to dobre, u nas największa sztuka nie razić niczem, być pierwszym lub ostatnim, lecz zawsze z tuzina, a on jest jedyny. Czuć go lasem sosnowym, jest do zakochania, i gdyby nie to, gdyby nie owo... o czymże myślisz duszko?

„O niczem“ odparła hrabina obojętnie, słuchając całą duszą adwokata, który tak bronił wygranej sprawy.

— Ty bo moja droga, mówiła dalej ta serdeczna przyjaciółka, wolisz blondynów, ale daruj, on nawet jako piękność wyżej stoi od Twego Lu... chcę mówić od twego męża. Ale... cóż to jest, że dziś nie zastałam pana Ludwika?

— Irenka nic nie odpowiedziała na dwuznaczny uśmiech Celiny, lecz po jej odejściu zakryła twarz w poduszki kanapy,

namiętnym ruchem załamując ręce nad głową. Podnoszenie się jej piersi pod lekkim białym stanikiem zdradzało, że płakała, że była bliską rozpacz, po cierpieniu poznawała, że i dla niej zaczęło się życie. Przymówki Celiny poruszyły całą burzę uczuć w jej sercu; wszyscy więc już wiedzieć musieli o tem, czego jeszcze nie było?

Od kilku tygodni hrabina dziwną przechodziła walkę. Ludwik i Janusz naprzemian jak dwa uroczne obrazy napełniały jej serce. Bywa to przecież, że w latach ośmnastu trudno rozróżnić głos uczucia, chwiejąca to waga, której szale to w tę, to w tamtą stronę się unoszą? rano się kocha tego, wieczorem tamten się podoba, ale te dziewczęce fantazyje nie trują spokoju, przyjdzie trzeci i obydwóch zwycięży. O! czemuż uczucie kobiety nie jest już tą bańką mydlaną, które zdmuchnie lada wietrzyk nie znaczący? Dlaczegoż Janusz rozbudził jej myśl uśpioną na to tylko, aby mogła zmierzyć całą wielkość szczęścia, które utraciła? czemuż nie była wolną, albo nie została bezmyślną?

Irenka nawet nie mogła wiedzieć, kogo kochała. Ludwik dni całe przepędzał u niej, korzystając z każdej chwili słabości, z każdej łzy czy uśmiechu biednej kobiety. Bronie ich były nierówne. Irenka nie wiedziała gdzie dąży, gdzie ją ta niebezpieczna fala unosi. Ludwik wiedział czego chciał. Czasem, patrząc na niego, pytała się sama siebie, czy nie jego kochała? Jeżeli zwać można miłością tę gorączkę, która sen odejmuje, przyspiesza bicie serca, napełnia to serce trwogą i zgryzotą. U Ludwika jeszcze uczucie honoru wzdrygało się na pierwszą myśl zdrady, i nieraz z goryczą przyznawał, że to, co robił, graniczyło z podłością. Ale w życiu jego nie było dotąd cienia walki, zwycięstwa nad sobą samym; usługne ręce postarały się o to, aby mu wszystko podsunąć czego zapragnął, nie dopuszczać zwycięstwa, nie dając nawet dojść do walki. W tych piersiach, w których od dzieciństwa każdą potrzebę zaspakajano zbytkiem, każde pragnienie zabijano przesytem, pierwszy raz żądza odzywała się z całą siłą, i młodziwiec nie myślał się jej opierać, zdziwiony tem, że mógł jeszcze czegoś w życiu zapragnąć.

Uchwycił pierwszą sposobność wyjawienia swych uczuć. Dnia jednego przypadkiem znaleźli się sami na zwykłym spa-

cerze; pani Teresa została w powozie, Celina oddaliła się, aby szukać jagód w lesie. „Czemu mój mąż nie wraca?“ wyrwało się mimowoli z ust Irenki, gdy Ludwik podał jej rękę po śliskiej drodze leśnej. „Czy pani zimno?“ spytał cicho, widząc, że hrabina otulała się płaszczem, jakby ją dreszcz przejmował. „Miałam dziś list od niego, może wkrótce powróci, mówiła dalej,“ siadając na starym jakimś pniu i zakrywając twarz w dłonie.

To ośmieliło Ludwika, że jedną z tych rąk uchwycił, do ust przycisnął wołając: Gdyby nie moje własne szaleństwo, byłabyś dziś moją, nazywałbym cię po imieniu, ale nie kochał bym cię więcej, jak cię dziś kocham!

To wyznanie miłości odtąd nie dało spokoju Irenie; poznawała po coraz śmielszem spojrzeniu Ludwika, po coraz swobodniejszych wyrażeniach, że już między nimi nie było moralnej przegrody. Ludwik wchodził do niej o każdej porze dnia, bez anonsowania, w rannym stroju, tak jak zsiadł z konia; małego pieska Irenki częstował szpicrutą, zrywał kwiaty, nie taił się z źle ukrywaną niecierpliwością. Hrabina zaczynała tracić głowę, czuła niewyraźnie, że codziennie grzęzła głębiej, niżej i stopniowo coraz niżej, w upadku czepiając się słabych gałęzi, które łamały się w jej rękę, wołając o pomoc, której nie wiedziała gdzie szukać, tracąc przytomność i władzę nad sobą; jedna myśl górowała tylko w jej rozdartem sercu: ona nie jego kochała!

Dziwny i niemiły to widok, gdy się zbiera na burzę; w powietrzu czuć jakiś nieokreślony niepokój; niespokojne ja-skółki szybując nad ziemią coraz to zniżają lotu, gałęzie poruszają się drżąc pod wiatru poddmuchem, który tem cichszy i bardziej tajemniczy; im głośniejszy ma wybuchnąć, na niebie chmury w coraz groźniejsze zebrane kłęby zapowiadają kłótnię niesfornych żywiołów. A w sercu czuć także prędkie zbliżanie się moralnej burzy. Wtedy rozprzegają się władze umysłowe, piersiom brak powietrza, serce mdleje, a w drżących ustach, w zamglonych oczach, czuć strach, pragnienie i trwogę. Twarz Irenki wyrażała wszystkie wzruszenia, oczy jej nabierały dziwnego połysku, a w niezgodzie z tym wzrokiem, w którym się żarzył płomień stłumiony, była powolność ruchów, i obojętność w całym obejściu.

Przejażdżki z Celiną i z Ludwikiem przestały ją bawić, zawinięta w turecki burnus słuchała rozmowy nie biorąc w niej udziału. Celina mogła dowolnie nizać cały różaniec plotek światowych, ona jej nie słuchała; raz tylko, gdy jej się Celina spytała co myśli o miłości pani X. z kuzynkiem, o której całe miasto mówiło, młoda kobieta wychyliła się z powozu, jakby jej powietrza zabrakło. Ludwik niepostrzeżony ścisnął namiętnie jej rękę, która nawet przez rękawiczkę gorąca była jak rozpalone żelazo.

Ludwik przed jednym Januszem nie mógł zupełnie zataić uczuć rosnącego tryumfu: zadziwiał przyjaciela nadzwyczajną wesołością; mówił zbyt dużo, nie mógł znosić zamkniętych okien, ani spokojnie usiedzieć na miejscu. Choć imię hrabiny nigdy przez niego wymówione nie było, Janusz musiał się wreszcie czegoś domysleć. Kilka dni nosił się z smutną prawdą na ustach, i raz wieczorem, gdy obydwaj wyszli na chwilę z salonu hrabiny, aby się odświeżyć, gdyż dnia tego tańczono, Janusz z wielkiem wzruszeniem rzekł do przyjaciela: Ludwiku jedź, proszę cię, może nie mam prawa, ale od dzieciństwa się znamy, jedź dziś jeszcze, jutro, ale nie wracaj tam. I ręką wskazał na pałacyk.

Ludwik po chwili milczenia roześmiał się na całe gardło. Prawda, zawołał w uniesieniu, jaka ona piękna? bądźź zdrów, przypuśćmy, żem mówił o tej gwiazdzie.

Biedny Janusz został sam, wobec tej gwiazdy na niebie, która miała przedstawiać miłość Ludwika, zakrył twarz w dłonie, nie śmiał wejrzeć w własne serce; i uciekając przed myślami wrócił do salonu. Jakimś dziwnym wypadkiem ktoś za niego podjął się zrobić rachunek sumienia; z wszystkich co znali Irenkę, jedna tylko Celina przeniknęła prawdziwą grę uczuć w jej sercu. Dziwną wiedzioną rachubą, skinęła tego wieczora na Janusza: „Nigdzie indziej pana nie widzujemy, tylko tu“ rzekła z pewnym przyciskiem.

Od owego pierwszego wieczoru w pałacyku Janusz, wielkie zrobił postępy: „Świat mnie nie wszędzie bawi“ odparł Celinie.

— A ja bo się bawię, doskonale bawię, ciągnęła dalej, tysiące widzę w salonie ukrytych komedj, dramatów, a od kilku tygodni bawię się jak królowa, patrz pan!

Janusz idąc za kierunkiem wachlarza Celiny, spostrzegł hrabinę rozmawiającą z Ludwikiem, i zadrżał do głębi serca. Pani Celina uśmiechała się wesoło. „Szczerość jest moją wielką wadą, polubiłam pana serdecznie, mówiła, żal mi tej biednej Irenki... i... pana. Kto się przez świat chce przebić, nie tak zaczyna, masz pan wielkie szanse przed sobą, powtarzam *wielkie*, ale trzeba z nich korzystać, nie siedzieć przy kominku, czas ze mną tracić, (tu mimowoli westchnęła), podczas gdy inni rybki w siecie łowią.“

Ktoś wziął Celinę do tańca, Janusz został jak przykuty do krzesła; wszystkie światła zakreśliły mu się w oczach w jeden słup ognisty, bo słowa pani Celiny wyrażały jasno: „Ona cię kocha, bądź szczęśliwy.“ Obce usta głośno wypowiedziały przed nim tę myśl szaloną, z której byłby się przed chwilą gorzko roześmiał, gdyby była w jego powstała głowie. To jedno maleńkie słowo miłość, niszczyło od razu wszelkie zapory, zapewniało przepaść dzielącą go od Ireny; pierwszy raz w myśli nazwał ją po imieniu. Instynktem przeczuwał, że tak być może, w braku doświadczenia, któreby go było także nauczyło, że takie cuda miłości trafiają się na świecie. Nie powiemy, co przewalczył przez krótką chwilę, aby nie podnieść oczów na hrabinę, właśnie wtedy, gdy ją mógł pierwszy raz swem spojrzeniem obrazić. I on przecież był z krwi i ciała; i on gwiazdę z nieba ściągnął na ziemię, miał ją w ręku, pożądał, kochał tak jak inni, po ludzku, namiętnie. Nadeszła chwila ta pełna niebezpieczeństw, o której ksiądz Piotr niegdyś mówił Helence, w której Janusz jak młodzieniec z biblii żywy stanął wśród gorących płomieni.

— Gdy Celina wróciła, Janusz jeszcze był na tem samem miejscu, tylko czoło miał oparte na dłoni, która oczy jego zasłaniała, i był bardzo blady. „Pan już idzie? uśmiechnęła się do niego Celina, gdy wstał po chwili, do widzenia panu.“ „Do widzenia“ odparł, zwracając na nią oczy, których wyraz przykre nawet na nią zrobił wrażenie, do widzenia może, ale nie tu.“ W sercu Janusza walka już była przebyta i skończona; wśród zamętu pierwszych uczuć szczęścia opamiętał się nagle, i zerwał się jak ze snu zbudzony; żadne ustępstwo, żadne wybiegi nie przyszły mu na myśl; mógł ją kochać, póki bezwiednie, i bez nadziei, ale nie teraz. Jasne pojęcie złego i

dobrego stawiało pomiędzy nimi granicę niczem nieprzebytą. Wyszedł z salonu z tem przeświadczeniem, że przestępował te progi po raz ostatni, że wszystko skończone, że trzeba zapomnieć i zerwać na zawsze z tem, z czem się serce poczynąło zrastać — i głodnemu wstać od wspólnej uczty życia.

X.

Hrabia wracając do domu nikomu nie doniósł o dniu powrotu, chcąc żonie i sobie zrobić niespodziankę.

Po kilkomiesięcznej niebytności wracał z dziwnem uczuciem tęsknoty i szczęścia, zamierzał tylko kilka dni zabawić w mieście, i zabrać Irenkę na wieś, postarawszy się o to, aby stary pałac wygodną i przyjemną był dla niej siedzibą. Nic nie mogło według wszelkich wyrachowań sprzeciwić się jego projektom, i pierwszy raz od dawna pan Leonard czuł się swobodnym na umyśle. Pobyt na wsi, usilna praca i samotność odświeżyły jego umysł i dodały hartu; zdawało mu się że Irenka powinna wkrótce przywiązać się do wsi, i że tak dalece pozna prawdziwą wartość domowego życia, że już pragnąć nie będzie ciągłych zmian i nowości.

Nieraz przez tych kilka miesięcy myśląc o swoim pożytku z żoną, wymawiał sobie zbytnią słabość i niestósowne postępowanie. Irenka przestawała być dzieckiem, poznawał to z jej listów, i trzeba z nią teraz było postępować jak z myślącą kobietą, nie jak z dzieckiem. Hrabia wracał do żony z sercem przepełnionem nadzieją, że się ich stosunek odmieni, że ona zrozumieć go musi, i za tyle miłości odpłacić choć słabem uczuciem przywiązania; malował sobie szczęście przyszłości nie w tak żywych kolorach, jakby to był uczynił młodszy od niego, ale niemniej przeto prawdziwie i silnie.

Przez całą drogę nie mógł oderwać myśli od obrazu Irenki, cieszył się na pierwsze jej spojrzenie i uśmiech, a szczęście jego powiększała myśl, że burzę, która chwilowo zagrażała ich majątkowi potrafił zażegnać, że przeto odwrócił pierwszy cień kłopotu od ukochanej głowy. Pograżony w myślach siedział hrabia w kącie wagonu, nie mieszając się do rozmowy podróżnych towarzyszy i od czasu do czasu wycią-

gając zegarek, niecierpliwy postępu godziny. Wsiadanie i wysiadanie pasażerów nie zwracało jego uwagi; nad wieczorem hrabia korzystając z chwili ciszy, zdrzemnął się dla skrócenia czasu. Zbudziło go trzaśnięcie drzwiczek i wejście dwóch młodych ludzi, którzy spojrzawszy na śpiącego dalej prowadzili zaczęłą rozmowę. Hrabia zrazu nie słuchał, ale nagle zdało mu się, że się znane imiona o jego uszy obily. Młodzieńcy widocznie świeżo zeszli z bruku miejskiego, mówili o mniejszych i większych skandalikach, którymi się chwilowo świat zajmował.

Pałacyk na Wiejskiej ulicy główne miejsce zajmował w długiej litanii; o hrabinie mówiono po imieniu, z lekkim odcieniem szacunku i litości, o Ludwiku z oburzeniem i zazdrością. „Szczęśliwy człowiek — westchnął jeden z podróżnych — nie każdemu tak się uda, próbowali przed nim inni, próbował pan Alfons, i ty mój drogi nie byłbyś był od tego.“ „Przepraszam — żywo zaprotestował — miałem dla niej tylko przyjaźń prawdziwą, i żał mi jej. W jej wieku być żoną starca! prawda że zbytciem szalonym ją otoczył. Ciekawy jestem, na czem się to wszystko skończy; najgorzej jak się miłość wmiejsza do gry, u kobiet wszystko możliwe. Irenka djabie zdaje mi się zakochana. Cicho, zdaje mi się, że się nasz sąsiad budzi, nie, ani drgnął stary.“

Hrabia zupełnie spokojnie i nie otwierając oczu, wysłuchiwał resztę rozmowy, przeczekał aż podróżni wysiedli na następnej stacyi, i resztę drogi przejechał nie zmieniając położenia, nie podnosząc głowy i tylko niewyraźny jęk wyrrywający się mimowoli z jego piersi zdradzał, że nie spi. Przyjechawszy do miasta nie mógł wymóc na sobie, aby od razu zajechać do domu, kazał się zawieść do hotelu i noc całą spędził bezsennie, chcąc się uspokoić i zebrać myśli. Groźba nowych cierpień spadła na niego zupełnie niespodzianie w chwili gdy był nieprzygotowany, gdy myśląc, że się los wreszcie zmęczył długiem prześladowaniem, serce jego otwierało się nadziei. Jedno po drugim rozbierał wszystkie słowa usłyszane przed chwilą, napróżno w zamęcie myśli szukając jakiegoś związku; sam już nie umiał rozróżnić głosu swych uczuć, zemsty od litości, boleści wspomnień od strachu przyszłości, miłości od pogardy, dziwactw szалу od prawdy cierpienia.

Jedna myśl najjaśniej utkwiała w jego umyśle. Irenka kochała Ludwika, może teraz, może dawniej jeszcze. Może w krótkich jedynych chwilach, w których mu się zdawało, że serce młodej kobiety skłaniało się ku niemu, to serce już innym było zajęte. W pierwszej chwili oburzenia chciał biec do Ludwika, w oczy zarzucić jemu i żonie kłamstwo, fałsz i najszkaradniejszą niewdzięczność, ale serce jego nawet w tej chwili wzięło górę nad wszelkiem innym uczuciem. Jeżeli go ona pokochała — myślał spuszczać głowę — i cóż w tem dziwnego? mógłżeś wymagać miłości? mógłżeś myśleć, że zimne przywiązanie wystarczy budzącemu się do życia sercu. A jeżeliś go chciał pojąć, czemużeś od niej odjechał, dając wszelkie pozory opuszczenia? sądziłeś, że się domyśli, że odgadnie, żeś na to rozłączenie przystał tylko dla jej dobra, i że oceni uczucie w oje, nie zdradzające się słowami, tylko czynem? O! stary, stary szaleńcze, żeś mógł przypuścić, że niedoświadczona młodość wyżej postawi istotę rzeczy nad pozór, ciche uczucie nad blask namiętności, że jeden uśmiech kochanka nie zmaże od razu wspomnienia długich poświęceń!

Hrabia jeszcze żadnego zamiaru powziąć nie mógł, ale nieco spokojniejszy udał się rano do domu, łudząc się może w głębi serca, że to wszystko jest jeszcze plotką, fałszem, przesadą.

Irenka siedziała na ganku z matką, patrząc w książkę, której nie czytała; na odgłos kroków męża żywo odwróciła głowę i w pierwszej chwili wzruszenie niespodziane musiało być za silne. Hrabia przyszedł w sam czas, aby młodą kobietę zemdloną ująć w ramiona i zanieść do pokoju, a pani Teresa z okrzykami niepokoju pospieszyła za nimi. Powoli Irenka wróciła do siebie, otworzyła oczy i lekki rumieniec pokrył jej twarz. Tak długo? — były jej słowa — już mi nic nie jest, już mi dobrze, ale już nigdy, nigdy nie odjedziesz? prawda? — zawołała, chwytając jego rękę z wyrazem przestraszonego dziecka.

Hrabia w jednej chwili o wszystkim zapomniał, widział tylko zmianę na twarzy Irenki i chorobliwą bladłość jej cery, z wyrzutem odwrócił się do pani Teresy: Cóżecie z nią zrobili? ona jest bardzo chora; Irenko, co ci jest?

Pani Teresa tylko ruszyła niechętnie ramionami. Panes

ją przestraszył — rzekła — przyjdzie wnet do siebie, jest tylko dziwnie rozdrażniona, nerwowa.

Hrabia nie dał się przekonać; tego dnia jeszcze trzech pierwszych doktorów miasta zostało powołanych do pałacyku, ale od Irenki dowiedzieli się tylko, że jej nic nie jest. Hrabia zaniepokojony poważną miną doktora, pociągnął go do drugiego pokoju, a doktor błagany o prawdę, wreszcie rzekł.

— Stan pacjentki dziś obojętny, ale może być groźny, może się z tego wywiązać gorączka trwająca, my na to lekarstw nie mamy, chyba...

— Na miłość Boską — zawołał hrabia — radź pan.

— Jest to rzecz delikatna — mówił dalej doktor, patrząc z współczuciem na prawdziwą rozpacz, którą wyrażały rysy Hrabiego — podług mnie ciało tu zdrowe, tylko jest obawa, aby nie uległo chorobie duszy. Pacjentka jest córką pana?

Hrabia tylko skinął głową niezważając, później dopiero przypomniał sobie słowa doktora.

— Panie hrabio — mówił serdecznie doktor — córka pana młoda kobieta, musi tam coś na sercu leżeć, może miłość, na którą familia nie zezwala, wierz pan staremu doświadczonemu człowiekowi, nie trzeba młodemu sercu się sprzeciwiać, ja — dodał ciszej — sam przeszedłem ciężkie doświadczenie, i ja miałem córkę zdrowiem kwitnącą, a którą nieszczęśliwe uczucie tam zaprowadziło. A ztamtąd już ukochane dziecko nie wróci, panie hrabio. To moja cała rada.

Doktor spiesźnie się pożegnał, a hrabia znów został sam, tym razem już z pewnym wyrokiem swego nieszczęścia.

Trudno określić, przez jakie stopnie moralnej męczarni przechodził przez kilka następnych tygodni. Sam Ludwika zapraszał, siłąc się na zupełną obojętność, śledził każdego ruchu młodych ludzi; żaden rumieniec, żadne wzruszenie Irenki nie uszło jego baczного oka; na ciągłe prośby Irenki, aby wracać na wieś, zbywał ją niczem: Zobaczymy, później trochę. — A tymczasem coraz się bardziej utwierdzał w raz powziętem mniemaniu.

Irenka prawie z każdym dniem była bledsza, a na troskliwe pytania męża i matki odpowiadała z cierpliwym uśmiechem: Nic mi nie jest.

Hrabia nie od razu powziął prawdziwie bohaterski zamiar; jeszcze się wahał, jeszcze się łudził, odkładał i walczył sam z sobą, wreszcie i on poznał, że tak dłużej rzeczy trwać nie mogą i postanowił od razu zerwać z całą przeszłością, choćby kosztem moralnego samobójstwa. Dochodził bowiem do tego usposobienia chorobliwego serc szlachetnych a złamanych, w których poświęcenie staje się potrzebą, a cierpienie jedynem możliwym uczuciem.

Hrabia skorzystał z wieczoru, który dała pani Teresa, chcąc na swój sposób rozerwać córkę; cały dzień nie był widzialny, przy obiedzie zjawił się tylko na chwilę skarżąc się na ból głowy, i oświadczył Irence, że go pilny list powołuje na czas krótki na wieś, tego samego wieczora jechać musi.

— I znowu nie zabierzesz mnie z sobą? — pytała Irenka i usta jej zadrżały.

— Teraz nie mogę — odparł Hrabia, nie patrząc na żonę — wróć niezadługo, najgorzej składa się z wieczorem, musisz jechać sama, pojedź wcześniej, będziesz zresztą en famille, będzie Ludwik.

Hrabina nie podniosła oczu, przesuwając zamyślona bransoletkę na rękę.

— A tak, będzie Ludwik — powtórzyła machinalnie, i czuła, że wkrótce do dalszej walki już jej sił nie stanie.

Gdyby Irenka była w tej chwili podniosła oczy, byłaby się przeraziła śmiertelną bladością twarzy męża, namiętnym wyrazem jego oczu. Hrabia po chwili wstał, pocałował ją w czoło, pożegnał czule, kazał pożegnać panią Teresę, mówiąc, że za kilka godzin jechać musi, i poszedłszy do siebie zamknął się na klucz. Usiadł przy biurku i pisał list do żony. Zaczął od słów: „Drogie dziecko! Są na świecie wielkie poświęcenia, którym pozorna małość dodaje tylko ceny.“ Bóg wie ile te słowa: „Drogie dziecko“ kosztowały nieszczęśliwego.

W liście na wpół ojcowskim wyrażał hrabia kilkoma słowami, jak pragnął od pierwszego dnia zapewnić szczęście Irence. W miarę jak pisał, musiał od czasu do czasu przestać, gdyż oczy mu mgłą zachodziły, ręka drżała.

„Zawiodła mnie nadzieja — pisał — którą długi czas żywiłem, że się przywiążesz do mnie i będziesz szczęśliwą.

Zbłądziłem, wybacz mi. Zechciej tylko, a będziesz wolną. Kościół nam jeszcze może udzielić rozwodu z łatwością, a świat, ludzie za złe ci nie wezmą, wiedząc że pierwszy krok odemnie poszedł i że jestem dziwakiem. Może się mylę w przypuszczeniach moich, wahałem się długo, już nie chcę odnawiać walki i próby. Bóg widzi, jak cię kocham. — Ale te słowa przemazał, nie chcąc aby w liście mogło cokolwiek rozrzewnić Irenkę, i wpłynąć na jej postanowienie. — Jutro wyjeżdżam i widzieć się z tobą już nie chcę, o majątkowych interesach objaśni cię ktoś zaufany. Rano, jutro przechodzić będę koło twych okien; pamiętaj dobrze, że jeżeli zastanę odsłoniętą od twego pokoju markizę, to będzie znakiem, żem się omylił, że nie pragniesz rozwodu: jeżeli zasłonisz okno, przyjmij tu odemnie pożegnanie ostatnie. Chcę mieć jakiś znak widomy twych uczuć; a nie chcę mówić z tobą, boję się chwili słabości. Nie chciej widzieć się ze mną, nie pisz do mnie, chcę odsunąć wszelkie wspomnienie nawet, któreby mnie osłabić mogło. Bądź szczęśliwe, dziecko drogie.“

Hrabia do wieczora zabawił się pisanie listu, który jeszcze kilka razy odmienił; poczem dowiedziawszy się od ludzi, że pani Teresa już zabrała Irenkę na wieczór, poszedł z listem do pokoju żony i położył go na stoliku przy jej łóżku, polecając pannie Róży, aby oznajmiła swej pani, że na nią list czeka. Został sam w pokoju żony, usiadł w głębokim fotelu naprzeciwko portretu i ostatni sen, ostatnie marzenie szczęścia rozwinęło się w jego zmęczonem sercu. W pokoju wszystko zdradzało prędkie ubranie młodej kobiety, czuć było jeszcze jej obecność. Hrabia wolno dotykał drobnostek należących do niej, robotę zaczęta, w której igła niedbale była zatknięta, otwartą książkę, całował kwiat leżący na ziemi, o której był tego dnia w jej włosach. Już było po walce, i hrabia spełnił ofiarę, która, wiedział, że tylko uśmiech szyderstwa wywoła u wielu; wolno mu było teraz ją kochać, po raz ostatni łaknąć szczęścia i tęsknić za życiem.

Tymczasem bal u pani Teresy rozpoczynał się świetnie. Irena nigdy tak czarującą nie była: najpiękniejsze kobiety mogą jeszcze mieć dni piękne. Przyjechała do matki chwilę przed zebraniem gości, jeszcze salon był pusty, i najwcześniejszy gość, Ludwik, mógł zbliżyć się do niej i spytać półgłosem czy prawda,

że hrabia na wieś wyjechał? Przy pierwszym takcie walca usłyszała Irena jego słowa: Na miłość Boga, skończmy, odprowadzę cię dziś do domu.

Nic nie odpowiedziała, skinęła tylko głową, bo nie mogła inaczej, czy nie miała już siły. Chciała się bawić tego wieczora i znalazła wielu chętnych, którzy jej w szale zabawy pomogli. Gdy było najpełniej w salonie, skorzystała z jakiejś chwili zamieszania, aby nieciec od tańców. Trochę było już później, niż godzina ucieczki przebranej królowej w bajce, zamiast północy, uderzyła już trzecia. Irena nie wiedziała dobrze co robi, nie myślała, przedewszystkiem chciała być sama, przeszła się kilka razy po sieni wykładanej marmurem, chłodząc rozpalone czoło o zimno mury. Nie była samą, w oknie stał Janusz, przyglądając jej się dziwnym wzrokiem. Dawno już nie widział hrabiny, od owej pamiętnej nocy przestał bywać w pałacyku; a jedno, jedyne ustępstwo, jakie zrobił tej miłości, która tak owaładnęła jego sercem, było to, że raz jeszcze Irenkę zobaczy zdaleka. Miało to być raz ostatni, nazajutrz Janusz wyjeżdżał; już go nic do miasta nie wiązało, a w smutnem usposobieniu, w jakim się znajdował, jedyną deską ratunku, cieniem pociechy była myśl, że znowu sam na sam przebywać będzie z naturą, wśród ludzi, którym się nie śniło o żadnej sercowej burzy.

Irenka spostrzegłszy Janusza, przywitała go jak ratunek. Szalona myśl przeszła jej przez głowę, chciała uciec przed Ludwikiem, przed samą sobą. — Panie Januszu — zawołała drżącym głosem — każ pan zajechać karecie, wrócę do domu, słabo mi. — Z bijącym sercem oczekiwała jego powrotu, ale wypadek — takich zawsze pełno w podobnej chwili — chciał, że ani furmana, ani karety Janusz odnaleźć nie mógł; odjechał do domu, mając naznaczoną godzinę powrotu. Irena drżała jak liść, bojąc się, aby jej Ludwik nie znalazł. — Muszę natychmiast wracać — rzekła — uciekajmy! — a słowa jej pomieszane zdradzały, że nie była zupełnie przytomną. Janusz tylko widział, że blask gorączki dodał jej oczom więcej uroku: a nie był mniej od niej wzruszony. Odnalazł jej płaszcz, otulił ją; w milczeniu wyszli, milcząc szli przez puste ulice, i ani słowa nie znaleźli sobie do powiedzenia.

Hrabina czuła się szczęśliwą i lekką opierając się na jego ramieniu. Poranek już szarzał, światła gasły i gwiazdy nikły na bladym niebie. Janusz popchnął gwałtownie bramkę od ogrodu pałacowego i odgłos kroków obojga na bruku podwórza dziwnie się odbił o jego uszy. Irena na progu sieni spojrzała jeszcze na niego; drzwi były otwarte; dała mu znak, aby szedł za nią.

Krótką to była chwila jak mgnienie oka. Młoda kobieta zrzucając okrycia prawie omdlała na jego rękę, był i tak blisko niej, że czuł jak jej serce biło gwałtownie. Słowo miłości zamarło jej na ustach, jednak je Janusz usłyszał, przeczuł je, i był pewien, że ona go kocha. Zdobył się wtedy na bohater-skie wysilenie, które wyczerpywało ostatnie jego siły, wziął ją na ręce, jak piórko unióś i położył na najbliższy fotel. — Minęło? — rzekł głosem, który zdradzał całą siłę jego namiętności, schylił się, pocałował maleńką rączkę zwiśłą bezładnie na biały atłas sukni. Po chwili już go nie było w pokoju.

Gdy wracał, zdawało mu się, że spotkał twarz znajomą, ale Janusz i Ludwik byli tak zmieszani, że się nie poznali; podwórze było puste, i Ludwik w sieni pałacyku nie zastał nikogo; dalsze drzwi były zamknięte.

Hrabia całą noc spędził na przygotowaniach podróży; skończył pisać jeszcze niektóre rozporządzenia dotyczące się majątku; nad ranem wstał, zarzucił torbę podróżną i wyszedł do ogrodu czekać umówionego znaku, który mógł utwierdzić go tylko w pewności nieszczęścia. Już blask zorzy zapowiadał wschód słońca i wczesny poranek; cały dom zdawał się we śnie pogrążony, tylko przez szczeliny jednej spuszczonej markizy przebijało światło. To było okno od pokoju Irenki. Hrabia z założonemi na piersi rękoma stał ze wzrokiem wlepionym w to światelko. Już było dość jasno, by mógł rozróżnić skazówki na zegarze pałacowym, a taka panowała cisza, że słyszał wyraźnie każde uderzenie swego serca.

Markiza wciąż była spuszczonej; znak to miał być, że się nie omylił w swych przypuszczeniach. Dreszcz przejął patrzącego. Było to pierwsze zimno poranku; w drzewach już się ptaki poczynają budzić, w oddaleniu słyszać było pierwsze odgłosy powszedniego życia, kroki ludzkie na bruku, turkot pojazdów. Wreszcie słońce zabłysło na pogodnym niebie, wal-

cząc z owem światelkiem, na które hrabia nieruchomie miał oczy zwrócone. Z uderzeniem piątej markiza powoli zaczęła się podnosić. Hrabia, który spokojnie czekał wyroku nieszczęścia, tego widoku znieść nie mógł, krzyk wyrwał się z jego piersi i upadł zemdlony.

XII.

Tego samego dnia Ludwik i Janusz wyjeżdżali z miasta. Przez całą drogę milczeli, nie mając żadnej ochoty do rozmowy. Ludwik patrzył bezmyślnie na ściany wagonu, dopiero nad wieczorem, gdy już mury miasteczka i starego zamku zaczęły się rysować na widnokręgu, wyrwał przez okno, zdawał się być wzruszony.

— Wiesz co — rzekł odwracając się do Janusza, nie mam tak bardzo po co jechać do Strzelna, mam ochotę wysiąść z tobą, prosić ojca Piotra o gościnność i przypomnieć dawne czasy; zabawię z wami kilka dni, może mnie wasze powietrze uleczy.

Była już noc zupełna, gdy obaj podróżni z dworca kolei udali się drogą wiodącą do plebanii. W mieszkaniu ojca Piotra okna od jadalnej izdebki były oświecone i koło stołu siedziała Helenka i codzienni goście plebanii. Ojciec Piotr od jakiegoś czasu był słaby, nie wychodził z pokoju, nie mógł odwiedzać kościoła ani ubogich parafian; odpoczywał na fotelu, który Helenka troskliwie obłożyła poduszkami, a stary pan archiwista chcąc go rozerwać czytał głośno z starej jakiejś gazety opis obchodu jubileuszowego w Rzymie. Ojciec Piotr zdrzemnął się przy trzeciej linii, a pan archiwista czytał dla siebie, bo i Helenki myśli nie trzymały się Watykanu. Myśli dziewczęcia zatrzymały się na jednem wspomnieniu i na jednej nadziei. Od kilku lat codziennie wstawała z myślą: „Może on dziś powrócić“ i kładła się z nadzieją: „Może go jutro zobaczę.“ Każdy list Janusza stanowił epokę w jej życiu, a pierwsze książki, które przysłał ojcu Piotrowi, schowała gdzieś na dnie kuferka pomiędzy książką od nabożeństwa i świętym zasuszonym wiankiem.

Archiwista doszedł był w czytaniu do najciekawszego ustępu i przecierając okulary chrząkał, aby nadać głosowi stosowną modulacyą, zgodną z patosem przedmiotu, gdy jednocześnie ksiądz Piotr się obudził i Helenka zerwała się z krzesła.

— Helenko, moje dziecko — rzekł ksiądz — Bryś ujada na łańcuchu, ktoś do drzwi puka, idź otworzyć!

Helenka otwierając drzwi, zaledwie zdołała stłumić szalone bicie serca, bo przez okno dojrzała cienie dwóch podróżnych.

— To on, to on! — zawołała z krzykiem radości. Przy powitaniu więcej było śmiechu niż łez, chociaż łzy gwałtem cisnęły się do oczu Helenki. Ojciec Piotr kazał Januszowi zbliżyć się do fotelu, prosił Helenkę, aby zdjęła klosz z lampy i z uwagą wpartywał się w piękne rysy młodzieńca. Bogu dzięki — rzekł — nic złego tam nie ma, wróciłeś nam takim jakim byłeś, tylkoś mi chłopcze schudł i zmizerniał; odżywimy go, prawda Helenko?

Helenka nie śmiała podnieść oczu.

— A teraz — mówił dalej ojciec Piotr — nasyciwszy wzrok widokiem młodzieńca, podziękujmy Bogu za wasz powrót szczęśliwy; a chociaż nie samym chlebem żyje człowiek, pomyśl Helenko o wieczery.

Od pierwszego dnia Janusz zajął swoje dawne miejsce w rodzinie przybranej, tak jakby nic się nie stało: w miasteczku tylko ustępowano przed nim kroku, w kościele zostawiono mu honorowe miejsce, bo początkująca sława młodego uczonego doszła i rodzinnych jego kątów. Każdy z pocziwych mieszczan sobie przyznawał pewien współudział w powodzeniu Janusza; piekarz, który niegdyś sierocie dawał na drogę do szkoły pół bułeczki, krawiec, który mu płócienny mundurek raz na rok uszył, profesor, co mu książek pożyczał, wszyscy patrząc na dorodną postać młodzieńca z dumą powtarzali sobie: „To nasze dzieło.“ Tylko ksiądz Piotr Bogu oddawał, co się Bogu należało, i zapominając o własnej zasłudze powtarzał: Bogu dziękować za to, że mu dopomógł.

Janusz miał wrócić do miasta, gdzie go czynne powoływało życie i dalsze nauki i staranie o długo marzoną posadę profesorską, ale ojciec Piotr nie chciał słyszeć o jego natychmiastowym wyjeździe. „Należy ci się rok wypoczynku

mój chłopcze, mówił — zostań przy mnie, mnie nie długo już być między wami.

Janusz prawie nie opuszczał fotelu chorego; wraz z Helenką otaczali ojca Piotra najczulszą troskliwością, chętnie z nim długie spędzając godziny. Choroba jego sprowadzała do plebanii licznych parafian, którzy chcieli, czem kto mógł, rozerwać chorego; przyjeżdżał tam nieraz i Ludwik, który dni całe spędzał w lesie w jedynym celu ubicia kilku ptaszków, choremu na posiłek. Pocziwy starzec już się z fotelu nie mógł ruszać, ale był wesół, i swobodnego umysłu: wielki spokój malował się na jego świątobliwej twarzy, i powolne jego gaśnienie nie miało w sobie nic przykrego. — Czuł dobrze zbliżający się koniec. „Jeszcze nie tak prędko — mówił — nie tak prędko — moje dzieci — Bóg mnie nie zabierze z tego świata, aż się jeszcze jednej doczekam pociechy.“

Biedna Helenka kryła się gdzieś po kątach ze łzami, których czasem tylko Janusz dopatrzył. Żyzy sieroty spadały mu na serce — a to ciągłe przebywanie z chorym zostającym pod uroczystą groźbą śmierci dziwnie wpływało na jego umysł. — Nic mu tutaj nie przypominało niedawnych wspomnień; a wszystko przywodziło na pamięć dziecinne lata — Janusz mimo-woli ulegał urokowi. — Ludwik, który często do plebanii za-jeżdżał, lubił z nim mówić o dawno ubiegłej przeszłości, a imię Hrabiny nigdy między nimi wymówionem nie zostało. — Raz tylko, mimochodem udzielił Januszowi wiadomości, że hrabina z mężem wyjechała do Włoch, poczem rozmowę do najbliższych przedmiotów obrócił. W ogródku stała Helenka podlewając róże. Ludwik zauważył, że ma ładne oczy i westchał. „Wiesz, co bym zrobił na twem miejscu rozglądając się po cichym ogródku ojca Piotra — przyswoiłbym sobie te ładne oczy, wybudowałbym domek, sadziłbym róże — i byłbym szczęśliwy!

Tygodnie i miesiące upływały nie przynosząc żadnej wyraźnej zmiany w stanie chorego. Na wiosnę ojciec Piotr nieco się ożywił, uczuł się nawet tak silnym, że się kazał wyprowadzić na próg domu, do ogrodu. Oparty na ramieniu Janusza i Helenki wyszedł świeżem odetchnąć powietrzem. Słońce grzało ciepło jeszcze, choć już było późna godzina i przedzwoniono na wieczorne modlitwy.

Ojciec Piotr spojrział na Helenkę, w której jasnych włosach słońce zdawało się odbijać, i jakaś ostatnia myśl światowa rozweseliła pogodny jego umysł. I cóż Januszu? zwrócił się do niego z uśmiechem, czy dużo macie tam ładniejszych kwiatów od mego fiołka?

Helence trudno było odmówić tego wdzięku, który świeże kwiaty wiosenne mają dla oka i serca. Janusz wiedział to lepiej od ojca Piotra. Poczciwy starzec udał, że nie widzi jego pomięszania, kazał sobie przysunąć fotel pod drzewo. A teraz, rzekł zamykając oczy jakby już był zmęczony, podaj jej rękę Januszu, i po chwili milczenia mówił dalej: Chciałbym, moje dzieci, aby tak na zawsze zostało, abyście życie całe przeszli tak ręka w rękę; gdy mnie zabraknie, chcesz być jej opiekunem Januszu? Helenka z głośnym płaczem przypadła do nóg starcowi — a Janusz pełnym wzruszenia głosem grzysiał, że jej nigdy nie opuści. „Idźcie moje dzieci — łagodnie rzekł ojciec Piotr, zostawcie mnie samego, a gdy młodzieńcy oddalili się, podniósł oczy ku niebu i z wielkiem rozrzewnieniem modlił się: „A teraz Panie, wypuść sługę twego w pokój, już moje tu na ziemi zadanie skończone.“

Zdawało się, że pod wrażeniem szczęścia ojciec Piotr odżył; uczuł się nieco zdrowszym i silniejszym, zaczęły się przeto dla Janusza i Helenki dni pełne szczęścia i spokoju. Nie wiedzieć, co w ich rozmowach było wspomnieniem a co nadzieją, co do przeszłości, co do przyszłości należało. „Miałam trzy lata, a już byłam jakby twoją“ żoną naiwnie mówiła Helenka do Janusza w chwilach wylania. —

Raz tylko chmura przeszła przez pogodne niebo zakochanych. Było to w dzień, gdy się po miasteczku rozeszła wiadomość, że hrabia z żoną po śmierci jej matki wraca do zamku i wreszcie na dobre się w nim osiedli.

Janusz siedział z Helenką na ławeczce, czuwając nad poobiednią drzemką ojca Piotra — był jakoś nie swój i zchmurzony.

Helenko! rzekł nagle — mam ci coś powiedzieć.

— Co? spytało dziewczę, z pewną trwogą patrząc na zmienioną twarz jego.

— Przed rokiem — jeszcze cię nie znałem, to jest znałem cię, ale nie tak jak teraz.

— No i cóż — mów — przed rokiem ?

Zdaje mi się, cicho dokończył, żem kochał inną kobietę — Helenka mimowoli wyrwała rękę z dłoni Janusza. —

— Patrz — to jest ona, mówił bardzo zmieszany, wyjmując fotografię hrabiny.

— I raz — ciągnął dalej Janusz — ale nie mógł mówić dalej.

„I co raz ?“ z drżeniem powtórzyła Helenka.

I raz zdawało mi się, że oprócz niej już żadnej innej kobiety kochać nie potrafię.

— Helenka nigdy jeszcze nie czuła się tak nieszczęśliwą.

Po tej rozmowie całą noc przemodliła się, przepłakała przed obrazkiem Matki Boskiej — a serce jej jednak nie od razu potrafiło — przebaczyć.

Ojciec Piotr naglił, aby przyspieszono dzień ślubu — z Ludwikiem uradzono wreszcie ostateczny termin i cały program wesela. Kilka dni przedtem, Helenka dowiedziawszy się o powrocie hrabiny, postanowiła ją przynajmniej z daleka zobaczyć, przekonać się na własne oczy o jej piękności. Nic nie mówiąc Januszowi, nad wieczorem pobiegła znaną dróżką wiodącą do ogrodu pałacowego. Podczas długiej nieobecności państwa zaniedbano nieco otoczenia zamku; głęboki rów wysechł, i dzieci dawno wydeptały ścieżkę przez krzaki.

Z bijącym sercem przedarła się Helenka przez ciernie, i stanęła z tej strony parku, rozglądając się wszędzie, czy nie zobaczy pomiędzy drzewami hrabiny. Nie długo szukała; Irenka oszczędziła jej mokołu, bo korzystając z pięknego dnia letniego wyszła do ogrodu i siedziała pod drzewami.

Na pierwszy rzut oka serce Helenki zabiło radością; Hrabina wyglądała starzej od niej, a przecież nie — nie, mimo bladości była prześliczna. Przy niej stał wózek dziecinny, zasłonięty muslinem — Hrabina schyliła się nad nim i wyjęła ostrożnie uśpione dziecko, przyciskając je lekko do piersi, aby go nie obudzić. Helenka dojrzeć nie mogła małej twarzyczki ale możemy zaręczyć, że była piękna: dziecko ukradło matce najpiękniejszy promień jej piękności. Im dłużej patrzała Helenka na hrabinę, tem bardziej serce jej miękło. Matka z dziwną miłością wpatrywała się w drobne rysy dziecka — uśmiechała się do niego, wreszcie oczy jej zamglily się,

i łąza padła na białą sukienkę, i ta łąza zwyciężyła: Helenka od razu przebaczyła Januszowi.

W dzień ślubu już złowrogi cień hrabiny nie stanął pomiędzy Helenką a jej szczęściem, i żadna gorycz nie przymieszła się do łez, które wylała u stóp ołtarza, wymawiając uroczystą przysięgę.

Ślub odbył się uroczystie, przy wszystkich światłach na wielkim ołtarzu, całe miasteczko, które uważało sieroty za swe dzieci przybrane, zbiegło się do kościoła, a po ślubie na wesele, bo wielkie przyjęcie przygotowane było dla licznych gości w ogrodzie zamkowym. Hrabia życzył sobie, aby wszystko pod jego odbyło się okiem i serdecznie cieszył się szczęściem Janusza.

Ludwik družbował pannie młodej, z gośćmi przeszedł jeszcze do parku, ale gdy się ściemniło, odszedł niepostrzeżony i zgubił się pomiędzy staremi drzewami ogrodu. Leżąc pod świerkiem patrzył, jak zapalono światła, słyszał rosnący gwar, po którym wkrótce nastąpiła zupełna cisza, widział jak przy blasku pogodnej nocy letniej szczęśliwi nowożeńcy szli wolno do przygotowanego dla nich mieszkania.

W kilka dni później wyjeżdżał Ludwik do Paryża do matki, która tam już od dawna stale zamieszkała, i wkrótce odebrał list od Janusza donoszący o śmierci ojca Piotra, który bez pozornego pogorszenia nikt powoli, umarł spokojnie, jak święty, szczęśliwy, że ostatniem jego dziełem było jeszcze dzieło miłości. — Po jego śmierci wyjechał Janusz z młodą żoną do Warszawy i wynalazł mieszkanie na odludnej uliczce, gdzie żaden gwar nie dochodził, słońce jasno świeciło a cisza przypominała sierotom dawne życie w plebanii.

Hrabia większą część roku w zamku przepędza — od kilku lat odmłodził, pracuje i jest szczęśliwy. Hrabina już się nie nudzi i w jasnych oczach córeczki wyczytała rozwiązanie trudnej zagadki życia.

KWESTYA ROSYJSKA NA WSCHODZIE.

SPRAWOZDANIE Z ROZPRAWY

Leonida Połońskiego,

profesora uniwersytetu petersburskiego,

umieszczonej w Czasopiśmie „*Wiestnik Europy*.”

W liście jednego z petersburskich korespondentów *Czasu* pod dniem 12 listopada wyczytaliśmy następujące słowa: „Ważny fakt ze źródeł urzędowych doszedł do wiadomości mojej. W ostatnich czasach rząd rosyjski począł wywierać silną presję na nieliczne organa niezależne, niewiele okazujące zapachu dla wojny i dla „świętej sprawy braci Słowian.“ *Wiestnik Europy* zajmuje pierwsze i najznakomitsze stanowisko w prasie tego rodzaju. Przed kilką dniami p. Petrów, prezes komitetu cenzury, przychodził do redakcyi tego poważnego czasopisma „z radą przyjacielską, aby zaniechano opozycyi przeciw usprawiedliwionym aspiracyom wojowniczym narodu.“ Zwróćcie uwagę na znakomity artykuł profesora Połońskiego w zeszytcie październikowym *Wiestnika*, bo on to właśnie spowodował „przyjacielską radę“ reprezentanta cenzury.“

Powyższe słowa wzbudziły naszą ciekawość i stały się nam wskazówką. Nie w październikowym, (jak mylnie wspomina korespondent „*Czasu*“), lecz w listopadowym zeszytcie *Wiestnika Europy*, który nas właśnie w tej chwili doszedł

znaleźliśmy ów inkryminowany przez wojowniczą cenzurę artykuł profesora Połońskiego, noszący napis, „Kwestya rosyjska na Wschodzie.“ Jakoż oczekiwania nas nie zawiodły. Autor artykułu rozwija w nim swe poglądy ua obecne stanowisko Rosyi w stosunku do kwestyi wschodniej i na możebność, tudzież pożyteczność ziszczenia się panslawistycznych zachcianek rosyjskich, zupełnie niezależnie i bezstronnie. Sąd jego w tej mierze oryginalny, trzeźwy, wsparty na zrozumieniu przeszłości, wolny od uprzedzeń i fałszów umysłnych, a niezależpiony namiętnością zaborów, rażący przedstawia kontrast z zazwyczajnym tonem innych publicystów moskiewskich, których zapał, z jakim pędzą na oślep ku Wschodowi, jeśli nie jest sztuczny i inspirowany, to da się porównać chyba do tańca derwiszów, porywającego, lecz też pozbawiającego wszelkich władz rozsądku i rozumowania. Pan Połoński w rozprawie swej z odwagą, godną podziwu wobec prądów opinii swojego kraju i zamiarów rządu, rozwija, przeprowadza loicznie i udowadnia myśl, że jeżeli Rosya miała kiedykolwiek prawa i misyą skupienia w około siebie plemion słowiańskich, zaludniających Bałkan, strącenia półksiężyca z kopuły Zofijskiej i umieszczenia na jej szczycie krzyża, to je utraciła bodaj na zawsze, a utraciła przez to, co autor chce nazywać „błędem dziejowym,“ a co świat nazwał oddawna „dziejową zbrodnią,“ to jest, przez rozbiór Polski, w skutek którego, raz związawszy się węzłem współnictwa z Prusami i Austryą, pchniętą została na niewłaściwe sobie tory, będąc zmuszoną przez ciąg całego stulecia czuwać nad swą granicą zachodnią i służyć widokom swych współników, miasto powolnego lecz wytrwałego torowania sobie drogi na Wschód i stopniowego asymilowania żywiołów bratnich na południu i wschodzie.

Chociażby tedy dlatego tylko, że myśl powyższa jest myślą przewodnią w całej rozprawie p. Połońskiego, choćby jedynie dla tej tendencji wyraźnej, a jak na publicystę moskiewskiego dziwnie śmiałej i bezstronnej, że za „błąd“ polityczny, dopełniony na Polsce, Rosya dziś odnosi karę w zupełnem niepodobieństwie rozszerzenia granic wschodnio-południowych,— uważamy za ciekawe i pouczające poniekąd ze wspomnioną rozprawą sumiennego publicysty rosyjskiego poznać czytelnika.

ników naszych, przytoczeniem jej treści szczegółowej i niektórych wydatniejszych wyjątków dosłownych.

Otwiera autor naprzód historią, i opowiada, że już przed dwustu pięćdziesięciu laty Rosya miała przed sobą do rozwiązania dylemmat: czy zerwać z Turkami czy nie? Wystąpić z obroną jednoplemieńców przeciw Sułtanowi, który zaprzysiągł im zgubę i zagładę, czy zostawić ich własnemu losowi? A działo się to, według opowieści autora, w następujący mniej więcej sposób: Rząd moskiewski w epoce panowania cara Michała Fieodorowicza, w skutek dyplomatycznych swych stosunków z Portą, obowiązany był użyć całego swojego wpływu na Kozaków Dońskich dla powstrzymania ich od napadów na brzegi Azji Mniejszej i na Azów i rzeczywiście czynił co mógł w tym względzie. Lecz wiele uczynić nie mógł, a może i nie chciał. Moskwa usprawiedliwiała się ciągle, że Kozacy są ludzie „samowolni,“ z którymi nic poradzić nie można, pomimo to atoli płaciła im znaczną pensyą; kiedy zaś Kozacy opanowali Azów, Moskwa, chociaż przyzwolenia swego im nie udzieliła, z faktu jednak zadowoloną była jak się zdaje. Lecz oto, upadając w nierównej i długiej walce z Turkami, usiłującymi odzyskać Azów, Kozacy zaczęli prosić Moskwę o pomoc. Pisali do Cara: „Nadzy jesteśmy, bosi i głodni, żywności, prochu i ołowiu nie mamy: toć też wielu między nami rannych i bezsilnych, a wielu i zdrajców. Ratuj!“ Car Michał im odpowiedział: „Za waszą służbę, meztwo i silne obstawanie my was najmiliwiej pochwalamy,“ i postawszy im 5000 rubli, zachęcał, by liczyli na jego carskie zmiłowanie. Ale to niewystarczało: rzeczy zaszły tak daleko, że pośrednictwo dyplomatyczne było już środkiem za słabym i bezskutecznym. Trzeba było albo wojować z Turkami za Azów, albo pozwolić na wydarcie go z rąk Kozaków.

Owóż naonczas, a mianowicie w Styczniu 1642 roku, „Car Michał zwołał radę walną (sobor) z ludzi najlepszych (bojarów), średnich (szlachty, dworzan) i niskich (kupców i stanu prostego), a wszystko dobrych i mądrych, z którymi „o tej sprawie radzić i istotną prawdę wyłożyć im chciał.“

Wyjaśniwszy tedy „soborowi“ istotny stan rzeczy „że Kozacy „proszą o przyjęcie Azowa pod opiekę Moskwy, lecz że w takim razie Sułtan wyprawi się na nią z wojskiem tureckiem i krymskiem dla pomsty,“ sformułowano do odpowiedzi pytania: „Czy Car za Azów ma zrywać z Turcyą i Krymem i zdo- „być Kozaków zająć dla siebie, lub nie?“ I dołączono przy- tem zastrzeżenie: „że jeżeli zrywać, to żołdactwa mnogiego „trzeba będzie, i pieniędzy też siła na łafę i na chleb, tudzież „prochowych i wszelkich innych zapasów nie na rok jeden... „A takich wielkich pieniędzy i zapasów srogich zkąd brać?“

„W takiej to postaci,“ przytaczamy tu słowa autora, „po raz pierwszy pojawiła się przed obliczem praojców naszych kwestya wschodnia: pomoc współplemionom, interes państwowy na morzu Azowskiem i trudność finansowa — zkąd wziąć pie- niędzy? Współczucie dla swoich znalazło się i wówczas; po- czucie obowiązku zapanowało i wówczas nad trudnościami ma- teryalnemi; lecz, jak to właśnie obaczymy niżej, niezapom- niano naonczas o sprawach domowych, nie puszczano się na oślep, poruszono owszem wszelkie kwestye wewnętrzne, wyka- zano otwarcie całą ich doniosłość i konieczność rychłego za- łatwienia się z niemi i, chociaż interes polityczny uwzględniano niezamykano jednak oczu na rany i potrzeby wewnętrzne, nie łudzono siebie i innych, niezasłaniano dziur i łat własnych aktor- skim płaszczem wrzekomego zapachu.

Opowiada następnie autor, jaką odpowiedź dali „radni soboru“ na przełożone im pytania. Stolnicy i dworzanie, „dzieci bojarskie“ i sotnicy strzeleccy, goście (kupy) i ludzie handlo- wi, nareszcie sotnicy „czarnych sotni“ i slobod (włości carskich) i ludzie „ciągli“ (kmiecie, gospodarze), wszyscy prawie jedno- głośnie wyrzekli: „że wziąć Azow lub nie wziąć, zerwać „z narodem Turskim lub nie zrywać, wszystko to zależy od „carskiej woli, a ich myślą jest, aby car dopomógł pozostać „w Azowie tymże Dońskim kozakom i posłał im na odsiecz „jak najwięcej ratników i ochoczych ludzi swoich,“ że oni sa- mi „do służby tej na wezwanie carskie są gotowi i życiem i pieniędzmi,“ które wszakże zebrać należy „z wielkich miejsc“ (majątności), z monasterów bogatych, od ludzi „posiadających włości i ziem siła,“ a mianowicie od djaków (czynowników carskich), o których tak mówili: „twoi carscy djakowie i pod-

„djaczowie, będąc ustawicznie przy twoich sprawach i zboga-
 „ciwszy się wielkiem bogactwem! nieprawem przez dochody
 „grzeszne i puszczenie wodzy przekupstwu, pokupowali mno-
 „gie majątności i pobudowali domy mnogie, pałace kamienne
 „takie, że i opowiedzieć trudno;“ dalej radzili wziąć pienią-
 dzy u metropolitów i biskupów, i u gości, i u wszystkich ludzi
 handlowych, i z targów, i z przemysłów i ze wszelakich za-
 kładów, „a znajdzie się skarb u ciebie, ile potrzeba, tylko
 „niech twoi djakowie księgi zaprowadzą, by pieniędzy skarbo-
 „wych nie rozpraszał bez rachunku i potrzeby, gdzie jeno ich
 „wola.“ Nareszcie uskarżali się „radni:“ „że od złych rządów
 „djaków niesumiennych przygnębieni są ludzie spokojni gorzej,
 „niż od Turskich i Krymskich bisurmanów, a sądy niszczą
 „i wycieńczają przez nieprawdę i krzywość swoją;“ że za da-
 wnych lat miasta i wsie rządzone były przez starostów swoich
 ziemskich, miały sądy z pomiędzy siebie, „wojewodów zaś za-
 „dnych, ani djaków, od których wszelki człowiek cierpi, nie-
 „znały zupełnie.“ Oświadczali tedy wkońcu wszyscy: „że kiedy
 „wojna z Turkiem, to wojna, kiedy trzeba pieniędzy, to dadzą
 „i życia nie pożałują; że Azowa Turkom oddawać nie trzeba,
 „bo to go nie załagodzi, a tylko na nogi postawi, — owszem
 „Azów wziąć trzeba, trzymać go i silnie za nim obstawać;“
 ale i o swoich sprawach własnych, o swoich niemocach cięż-
 kich, o nędzy ludzi bezdomnych przepominać nienależy; trzeba
 najpierwej poprawić u siebie wszystko, przerobić i urządzić
 tak, aby ludzie, co życie swe i pieniądze dać chcą na wojnę
 z bisurmanem, wolność i spokój w domu.

Opowiedziawszy w ten sposób ów fakt historyczny, prof.
 Połoński zestawia i porównywa owoczesne usposobienia i opi-
 nie ogółu wobec pierwszych przejawów antagonizmu z muzul-
 manami — z terażniejszą „opinią publiczną, a raczej opinią
 dziennikarską“ w Rosyi, rzucającą się na Wschód ślepo i bez
 rozważań. I oto, co mówi o tem: „Widzimy, jak zapatrywała
 się opinia Rosyi na kwestyą po raz pierwszy postawioną: czy
 ma być wojna z Turcyą dla obrony współplemieńców i dla
 własnych interesów państwowych, lub nie? Oświadczone goto-
 wość do wojny i głosowano za wzięciem Azowa, lecz wskazy-
 wano przytem na wszystkie braki i wady ówczesnego ustroju
 wewnętrznego, tudzież na wszystkie trudności i ciężary wojny,

domagając się usunięcia pierwszych i nie uchylając się od ponoszenia ostatnich. Jakaż to różnica między owym szlachetnym i patryotycznym, lecz zarazem trzeźwym i surowym poglądem na kwestyą wojny, a późniejszymi okrzykami lekkomyślnego samochwalstwa, w rodzaju: „Myśmy potężni! Czapkami zarzucimy wszystkich!“... lub też z teraźniejszymi rozprawami „o odroczeniu na potem wszystkich kwestyj wewnętrznych,“ „o ożywieniu społeczeństwa wzbudzeniem współczucia dla Słowian,“ albo „o tem współczuciu, jako dowodzie dojrzałości!“ Teraźniejsi frazeologowie i krzykacze zazdrościłoby powinni naszym naddziadom zmysłu politycznego i rozwagi! Ale nasi dumni „patryoci i przodownicy opinii“ szydzić jeszcze gotowi, że „radni“ XVII wieku, zamiast szumnych wycieczek polemicznych przeciw ówczesnym Disraelim, tj. chociażby przeciw wezyrom Sułtańskim, wobec kwestyi wschodniej mieli czas zaprzętać głowy sprawami wewnętrznymi, „zbogaconymi przez dochody grzeszne djakami,“ „nieprawdą i krzywością sądów,“ lub tem, „aby ludziom wolno i spokojnie w domu było.“ „A przecież w tem trzeźwym i surowem zapatrywaniu się na sprawy, w tem nawoływaniu do poprawienia wszystkiego, co było złe i wadliwe, zamykał się właśnie patryotyzm szczerzy, gotowy do poświęceń. Nie było tam deklamacyi, nie było ludzi podobnych do dzwonów, głośnych dlatego że puste, lecz były surowe opinie mężów, zrezygnowanych szczerze na ofiary niezbędne.“

Jeszcze dosadniejszą i dotkliwszą jest następująca apostrofa do publicystów teraźniejszych rosyjskich: „Za starych czasów owych wszystko zostawało w stanie pierwotnym: nie było dzienników, ani telegrafów, ani nawet uniwersytetów. Kwestya współczucia dla Kozaków, gotowości do wojny, cała słowem kwestya wschodnia owoczesna nie mogła stać się kwestyą powszednią, codziennie na wszystkie strony nicowaną, nie mogła więc zejść do tak niskiego poziomu, aby aż zanurzyć się w tem błocie, gdzie lubią się pluskać kwestyjki: kto kogo obraził? kto od kogo lepszy? kto więcej kłamie: czy ten czy ów dziennik? kto większy bohater: czy studenci, manifestujący swoje sympatye dla tej lub owej opinii, czy koteria, wyrzekająca się prenumeraty któregoś pisma za jego „niepatryotyczne“ tendencye? lub któremu dziennikowi kwestya wschodnia przysporzyła prenumeratorów, a któremu nie? —

Tego wszystkiego nie było za starych czasów, bo być nie mogło. Były jednak odpowiednie owym czasom ogniska zebrzań publicznych, a więc i pogadanek: były rynki, place, kramy, zajezdne domy, gospody... lecz wątpimy bardzo, czy słyhać tam było pustą gadaninę, samochwalstwo, lub smiesznych przechwałek krzyki, i czy widział kto tam odegrywanie komedyj dla popularności, strojenie się w szyszaki i wywijanie mieczem — dla zyskania grosza, lub pozowanie na obrońców „świętej sprawy,” rwanie się „na ochotnika do walki za nią...” na zimno — i znowu dla pieniędzy!... Nie było tam tego wszystkiego, ręczy nam za to surowa rozwaga i szczerłość głęboka, cechująca odezwy ojców naszych na „soborze.”

Ten to właśnie „sobor“ autor obrał sobie za punkt wyjścia do pomówienia o Rosyi w stósunku do kwestyi wschodniej w czasie obecnym. A uczynił to — jak powiada — dlatego, aby wskazać współczesnym ten fakt niewątpliwy, że teraz, jak za czasów Michała Fieodorowicza, Rosya ma wiele kwestyj wewnętrznych, któremi przedewszystkiem zająć się powinna, usunąć jedne, uporządkować inne, a co najważniejsza — nie odkładać załatwienia ich, nie odwracać się od nich i nie zaslepiac sobie wzroku kwestyą zewnętrzną, tj. „wielką misyą „wschodnią, która czy jest rzeczywiście misyą naszą w tem „znaczeniu, jak ją ogół dzisiejszy rozumie, lub też tylko uto- „pią? — postaramy się rozwiązać to niżej.“ — „Dla nas jest rzeczą niewątpliwą, że i dziś mamy sprawy wewnętrzne, bodaj czy nie ważniejsze i rychlejszego potrzebujące załatwienia, niż te, które zajmowały poważne umysły „radnych soboru.“ Mniejsza o to, jakie sądy dziś zastąpiły te, które ojców naszych „niszczyły przez nieprawdę i krzywość swoją,” dość, że „są prowincye całe, pozbawione sądów z pomiędzy siebie;“ mniejsza o to, kto dziś zastąpił „djaków i poddjacych,” od których „wszelki człowiek cierpi,” dość, że są, którzy „przy „sprawach carskich z bogacają się wielkiem bogactwem,” „kupują mnogie majątności i budują domy takie, że opowiedzieć „trudno;“ dzisiejsi djakowie „księgi wprowadzie prowadzą“ i „pieniędzy skarbowych nie wydają bez rachunku,” lecz mała to pociecha wobec wielu faktów, że wydają je „bez potrzeby „i gdzie jeno ich wola.“ Potrzebujemyż dodawać, że i dziś są u nas „niemoce ciężkie“ i „wielkie nędzy ludzi bezdomnych,”

i że w wielu krajach do nas należących ludność potrzebuje „starostów własnych ziemskich,” ma zaś tylko „wojewodów i djaków, od których wszelki człowiek cierpi” i „wolno a spo- „kojnie w domu żyć nie może?...“

Powyższe kwestye „wewnętrzne” autor uważa wprawdzie za najważniejsze i, jako na takie, zwraca na nie bacność swojego kraju, lecz w rozprawie niniejszej sam nie zajmuje się niemi, chcąc mówić wyłącznie o roli, jaką Rosya może dziś odegrać w kwestyi wschodniej, którą nazywa „zewnątrzną,” wbrew upowszechnionemu i powtarzanemu wszędy i po tysiąc kroć twierdzeniu, że ona jest „wewnętrzną,” które to twierdzenie urosło na zbudowanym przez prasę panslawistyczną paradoksie: „myśmy Słowianie, sprawa tedy słowiańska jest naj- „bliższą sercu naszemu, a więc naszą własną, wewnętrzną.” Paradoks ten stał się dla wielu dogmatem, który jednak autor niniejszej rozprawy bezwarunkowo odrzuca.

Przystępując do głównego przedmiotu swej rozprawy, prof. Połoński zaczyna tak: „O rosyjskiej „misji” historycznej na wschodzie mówić zupełnie nie będę. Czemże bowiem jest misja? Jeśli ona ma oznaczać zadanie, wypływające z warunków geograficznych i etnograficznych, to lepiej wskazać po prostu na wynikłe ztąd potrzeby lub pragnienia. Zewnątrz zaś tych warunków „misja” jest pojęciem dowolnem. Wolimy tedy nie używać tego wyrażenia zupełnie, naprzód dlatego, że jest nieokreślone i zbyt elastyczne, a powtórę, że uznajemy je niewłaściwem, bo nie jesteśmy zbyt skłonni wierzyć, jakoby walka z islamizmem miała być rzeczywiście powołaniem Rosyi. Wszak historyczna misja walki z islamizmem i osłaniania świata przed inwazyą muzułmanów, przypisywaną już była bardzo wielu mocarstwom. Karol Martell, Ferdynand, Jan Sobieski, Don Juan Austriacki, Eugeniusz Sabaudzki, wreszcie Rumiańcow — oto ile reprezentantów jednej i tej samej misji w rozmaitych krajach Europy. Castellar przypisuje ją Hiszpanii, Salvandi buduje na niej całą historią Polski, papież obciążał nią Wenecyą i Austryą... więc i my możemy przypisywać ją sobie. Lecz z takiego postawienia kwestyi nie wy-

padnie nic określonego, a może wynikać właśnie coś takiego, co rzeczywistym potrzebom Rosyi bynajmniej nie odpowiada.

„Aby zrozumieć jasno znaczenie danej kwestyi politycznej dla narodu — mówi dalej autor rozprawy — trzeba przyjrzeć się naprzód, w jaki sposób naród zapatrywał się na tę kwestyą w przeszłości historycznej.“ I oto główne zarysy obrazu, jaki nam autor przedstawia: Równina ogromna, zaludniona rosyjską odroślą Słowian, na Wschodzie i Południu pochyla się ku morzom Kaspijskiemu, Azowskiemu i Czarnemu. Kierunek więc ku Południowi wskazany Rosyanom przez same prawa natury, bo przez bieg Wołgi, Uralu, Donu i Dniepru, które razem z wpadającymi w nie rzekami mniejszemi, przebiegając ziemie, które składały się stopniowo na państwo rosyjskie, wszystkie dążą na południe. Rzeki te wpadają do mórz, z których wyjścia nie ma; wszystko to są morza zamknięte zewsząd, jedyny zaś klucz do nich — jest zarazem kluczem kwestyi wschodniej. Nadto Południe ma własność wabienia ku sobie Północy, a kolebka cywilizacyi starożytnej musi być celem marzeń i dążeń narodów młodszych. Jak Włochy z Rzymem wabiły ku sobie narody teutońskiego i romańskiego szczepu, tak Carogród wabić i przyciągać musi narody słowiańskie. Oprócz tego — zdaniem autora — popęd naturalny Rosyan ku Południowi bardziej jest usprawiedliwionym, niż dążność innych narodów ku Włochom, a to z dwóch powodów: najprzód, że na Południu (Bałkańskim) przemieszkowały zawsze plemiona słowiańskie w warunkach mogących wzbudzić litość, a powtóre, że toż południe było gniazdem hord dzikich, które nieraz docierały aż do Moskwy.

Dowodzi tedy autor, że wszystkie warunki: geograficzne, etnograficzne, ekonomiczne i moralne składały się i składają na to, iż kwestya wschodnia (czyli ściślej mówiąc południowa) jest dla Rosyi kwestyą żywotną najpierwszego znaczenia, bo (tu powtórzmy jego własne słowa) „bieg wód, zamknięcie mórz, dążność myśli narodowych, jęki współplemieńców, interesa handlowe, nareszcie poczucie własnego bezpieczeństwa, słowem cały komplet danych, na których wspiera się życie narodów i polityka mocarstw — popychała Rosyan po wszystkie czasy do rozwiązywania kwestyi wschodniej.“

A jednocześnie z temi potrzebami, które stanowiły fuukcye życia społecznego i państwowego Rosyi w tych granicach, w jakich zamykała się ona różnemi czasy, utworzyły się na zewnątrz tych granic, nad Donem i Dnieprem, społeczeństwa, które wyprzedziły samą Rosyą w dążności czynnej na południu. Były to społeczeństwa kozackie. Wraz z Donem i Dnieprem posuwali się Kozacy ciągle ku Południowi, czyniąc bezwiednie zadość potrzebie narodowej, której Rosya, naonczas jeszcze za słaba, zadośćuczynić nie mogła. Turcya i Krym były tamą dla handlu rosyjskiego na morzu Azowskiem i Czarnem, dla stosunków z resztą Europy, skupiającej swe życie handlowe na morzu Śródziemnem. Morza Azowskie i Czarne zamknięte więc były dla handlu rosyjskiego, lecz nie dla napadów kozackich. Kupcy moskiewscy i kijowscy pozbawieni byli wprawdzie korzyści handlowych z tej strony, lecz kozacy zyskiwać tam zdobycz mogli. I te właśnie uspołecznienia kozackie stały się ogniwem, które powinno było z czasem wciągnąć państwo moskiewskie do polityki, która wyrodziła „kwestyą wschodnią.“ „Ukraina zachodnia wciągała do tejże polityki Polskę, lecz Polska, w skutek odrębności ustroju swojego, a może i w skutek błędów politycznych, nie była w stanie zlać się w jedną całość z Ukrainą, a tem samem wziąć na siebie roli przodowniczej w przyszłem rozstrzygnięciu kwestyi południowo-słowiańskiej. Rola więc taka stała się udziałem Rosyi.“

„Don i Azow, Krym, morze, Ukraina, Noworosya, Prut i Besarabia, Dunaj i Mołdawia, Grecya, a po niej Czarnogóra, Serbia, Bułgarya, Hercegowina i Bośnia — oto są wiechy wytyczne, które oznaczają się głównejsze punkta drogi, prowadzącej do stopniowego rozwoju dla Rosyi kwestyi wschodniej. Za Dunajem przestała ona być kwestyą granic rosyjskich (dlaczego? autor wyklada niżej), pozostając zaś być zawsze kwestyą drogi morskiej, stała się dziś dla nas kwestyą ludzkości i sympatyj plemiennych — dla Europy zaś — kwestyą „równowagi europejskiej,“ czyli inaczej — obawy zbytecznego wzrostu potęgi rosyjskiej.“

Następnie pobieżnymi rzuty skreśla p. Połoński historią stopniowego ciążenia Rosyi ku południowi i zetknięć się jej z „kwestyą wschodnią,“ od czasów cara Michała aż do rozbioru Polski, który, zdaniem autora, rozwój ów zatamował.

Historią owę streszczamy jak następuje. Za cara Michała kwestya pojawiła się po raz pierwszy w postaci potrzeby przyłączenia Azowa do Rosyi; lecz Azow nie został przyłączony i kozacy o mało nie byli przymuszeni opuścić Don. Za Aleksieja — kwestya przybrała postać poddania się Chmielnickiego. Wtedy znów zwołany był sobór (1653), na którym uchwalono: że „kozaków Dnieprzańskich przyjąć należy do poddaństwa Rosyi, a nie puścić pod władzę Turka.“ Przejście Doroszenki z Ukrainą zachodnią a następnie — z obu brzegami Dniepru w poddaństwo Turcyi zmusiło cara Aleksieja do wojny z Portą, na którą nowy sobór (1672) zgodził się, a która się skończyła odstąpieniem na rzecz Turcyi Ukrainy zachodniej na lat 20. Stało się to za cara Fieodora. Za regencji Zofii kwestya wschodnia stanęła przed Rosyą w postaci wyprawy na Krym, która była skutkiem zdobycia od Polski Kijowa i wypowiedzenia przez Turcyą wojny Rosyi. W ten sposób aż do Piotra I, chociaż wszystkie żywioły kwestyi były czynne, na pierwszym planie wszelako stała konieczność obrony współplemieńców kozaków, czyli inaczej — interesa narodowe miały przewagę nad interesami państwowymi. Za Piotra I interes państwowy przeważał. Piotrowi potrzebne były morza, i o morzach południowych pomyślał on pierwiej niż o Bałtyku. Zdobył Azów, lecz wkrótce był zmuszony go zwrócić. Dramat małoruski z marzeniami o nieczależności odegrał się przy nim po raz ostatni. Tu autor przypisuje wielką przenikliwość Piotrowi, utrzymuje bowiem, że w czasie poronionej wyprawy nad Prut, po raz pierwszy próbował zawiązać stosunki z Serbami i Czarnogórcami. Po epoce Piotrowej najważniejszym a ujemnym symptomem kwestyi wschodniej dla Rosyi były najścia Tatarów krymskich, a Rosya była już dość silną, by rozumieć potrzebę podbicia Krymu. To też za Anny Iwanówny widzimy Münicha nad Prutem i zarazem, w czasie rokowań dyplomatycznych, poprzedzających pokój Belgradzki, po raz pierwszy spozstrzegać się dają zarysy terażniejszej postaci kwestyi wschodniej, t. j. obawy państw Zachodnich, że Rosya rozszerza się zbyt znacznie i że sięgnąć może po Konstantynopol, a nawet — niepokój Austrii o Słowian węgierskich. Był to pierwszy przykład dyplomatycznej interwencji Europy w celu powstrzymania Rosyi w jej dążnościach zaborszych na

Południe. Za Katarzyny II pierwsza wojna turecka znów wywołaną została sprawami Ukrainy; ale traktat Kujczuk-kajnardżyjski obejmuje już początki przewagi rosyjskiej w Turcyi: niezawisłość Krymu, jako pierwszy krok do jego podbicia; nabytek Azowa, Kerczy, Jenikale, otwarcie rosyjskiej żegludze drogi z morza Czarnego do Śródziemnego, amnestya dla chrześcian bałkańskich, prawo wstawiania się za Mołdawią — oto co obejmował ów traktat. Następnie podbicie Krymu — według wyrażenia pana Połńskiego „zadośćuczyniło zupełnie najbliższym potrzebom bezpieczeństwa Rosyi, a Oczaków ostatecznie ustalił granice Noworosyjskiego kraju.“

Tymczasem szereg świetnych powodzeń coraz bardziej osmiela Katarzynę. Za jej tedy inicjatywą obmyśla się ambitny sposób doraźnego rozwiązania, czyli właściwiej rozcięcia kwestyi wschodniej, a to w formie słynnego „projektu greckiego.“ Oto główna treść tego projektu, który uzyskał był zupełną aprobatę cesarza austriackiego Józefa II. Niezależne państwo Rumuńskie, niezależne cesarstwo Bizantyńskie z Konstantynem Pawłowiczem na tronie, ustępstwo niektórych prowincyj tureckich na rzecz państw zachodnich i ustępstwo na rzecz Austryi graniczących z nią ziem serbskich.

Tu następują najciekawsze dla nas ustępy rozprawy pana Połńskiego, które też podajemy w obszerniejszych wyjątkach dosłownych:

„Być może, że projekt grecki byłby przyprowadzony do skutku jeszcze za panowania Katarzyny, a w każdym razie za naszych czasów wszedłby już w życie niezawodnie; zbyt teczne zaś byłoby dowodzić, ileby dobrego ztąd wypłynęło dla Rosyi i dla Słowian południowych. Lecz tu właśnie nastąpiły wypadki, które projekt powyższy uniemożliwiły zupełnie: ostateczny rozdział Polski, a następnie wstąpienie Rosyi do systemu reakcyi przeciw rewolucyi francuskiej przecięły radykalnie dalszy postęp zamiarów Rosyi na Wschód. Skutkiem tych wypadków Rosya skazaną została na konieczny związek z Prusami i Austryą, jako z współposiadaczami prowincyj polskich. Na tych dwóch faktach zasadniczych wspierała się polityka rosyjska i w czasie kongresu wiedeńskiego, t. j. przy inauguracyi dzisiejszego systematu europejskiego. Wypadki z lat 1853—1856 dowiodły w sposób niezbity zu-

pelnej niemożności, przyprowadzenia dziś do skutku czegoś, coby miało podobieństwo do „projektu greckiego,” t. j. do zdobywczych zamiarów Rosyi na Wschodzie. Zatrzymując przy sobie ziemie zdobyte na Polsce, t. j. kąt ten, który się w głąb Zachodu Europy wrzyna, Rosya ma wprowadzić głos przeważny we wszystkim, co się tyczy Prus i Austrii; losy Galicyi, Czech, Morawii, Saksonii i Bawaryi nawet w znacznym stopniu zależą dziś od Rosyi, dla tego właśnie, że posiada część Polski. Lecz za to — stało się niepodobieństwem zupełnem, aby nie tylko Europa cała, lecz którekolwiek z państw europejskich pojedynczo zgodziły się na zabranie przez nas Konstantynopola, który, wedle wyrażenia Napoleona I „sam jeden ma wartość cesarstwa całego, bo kto nim włada — będzie władać światem.“

„Nowe zadania Rosyi na granicy zachodniej, wskutek podziału Polski wynikłe, nietylko sprawiły, że „projekt grecki“ stał się utopią i wiecznem *pium desiderium* dla Rosyi, lecz nadto wniosły do polityki rosyjskiej dwoistość, która stała się przyczyną nieporozumień, a często i niemożności korzystania z okoliczności pomyślnych. Od podziału Polski polityka rosyjska zmuszoną była zawsze w sprawach ogólnie-europejskich działać zgodnie z interesami Austrii i Prus, z których pierwsza wystąpiła jako naturalna przeciwniczka Rosyi i rywalka jej na Wschodzie, Prusy zaś, chociaż nie mają na Wschodzie interesu własnego, pomimo to atoli, a raczej dla tego nie mogły, czy nie chciały nigdy dopomóc Rosyi w jej aspiracjach wschodnich. Ta nienaturalna i wręcz przeciwna pierwotnemu powołaniu Rosyi droga, na którą ona pchniętą została rozbiorem Polski i związkiem z Austryą i Prusami, po raz pierwszy jasno i faktycznie wytkniętą przed nami została wówczas, gdy flota Uszakowa stanęła w Bosforze, broniąc Turcyi przeciw Francyi. Rosya przy cesarzu Pawle zawarła sojusz z Turcyą, Anglią i Austryą... to symptomat nowego a mylnego zwrotu polityki rosyjskiej! Za Pawła a potem za Aleksandra, sprawa podtrzymywania Austrii i Prus była ciągle dla Rosyi sprawą najpierwszej doniosłości: Rosya więc stanowczo już wciągniętą została w systemat związku z niemi. Lecz w związku tym ani myśleć nie mogła o sprawie wschodniej, ani też o zawarciu stosunków innych dla jej rozwiązania.

bo nie mogła postępować wbrew woli swoich sprzymierzeńców, bez utracenia granicy zachodniej. Próba sojuszu niezgodnego z interesami sprzymierzeńców był traktat Tylzycki, którym Rosya odstępowała Wisły, a Turcyą (wyjawszy Konstantynopol) dzielić się miała z Francją; to też traktat ten nie mógł przyjść do skutku, upadł — a związek między Rosją, Austryą i Prusami wznowionym został.“

Dalej opowiada autor, że wojna, którą Rosya następnie rozpoczęła była z Turcyą celem przyłączenia do siebie Multan i Wołoszczyzny, a która zakończyła się pokojem Bukaresztskim i przyłączeniem Bessarabii do Rosyi w r. 1812, była wypływem woli Napoleona I, nie zaś aktem niezależnych dążeń Rosyi, lub związku jej z Prusami i Austryą, bo związek ten zawsze był szkodliwym dla interesów Rosyi na Wschodzie, tak dalece, że pod wpływem tego związku Aleksander I nie śmiał obstawać za Grecją. Utworzenie królestwa Greckiego na zawsze pozbawiło Rosją możności wykonania „greckiego projektu“ Katarzyny; to też zdobywcze zamiary Rosyi późniejsze nie wróciły już do pierwotnej formy „projektu greckiego,“ a były tylko nieujętą w żaden program określony dążnością do rozszerzenia granic, i rozbijały się zawsze o tenże sam związek z Prusami i Austryą, którym Rosya skrępowwała siebie przez zabór części ziem polskich.

W tem miejscu znowu przytoczyć musimy własne słowa p. Połńskiego. „Niepodobna wątpić, że gdyby nie tak zwany „związek święty,“ ani Serbowie, ani Grecy nie ponosiliby przez tak długie lata klęsk wojny za niepodległość, bo Rosya uznałaby ich niepodległymi wcześniej, niż mogła, będąc skrępowaną „świętem przymierzem.“ Bitwa pod Nawarynem była jedynie szczęśliwym wypadkiem, który przeraził i torysów i wighów w Anglii. Lecz ani ten wypadek ani konwencya r. 1827, uznająca wassalne prawa Grecyi, nie zawdzięczały nic Austrii i Prusom. Od czasu pokoju Bukaresztskiego w 1812 r., do traktatu Akermńskiego w 1826 r., minęło lat czternaście, w ciągu których krew lała się strumieniem, na-przód w Serbii, potem w Mołdawii i Grecyi, a Rosya nie mogła drogą dyplomatyczną uzyskać żadnych ulg dla chrześcijańskich poddanych Turcyi. Dopiero traktatem Akermńskim udało się Rosyi zabezpieczyć autonomią dla Księstw

słowiańskich. Lecz ta ważna koncesya nie była wcale skutkiem „świętego przymierza;“ była bowiem wydartą Turcyi przez samą Rosyą, bez wojny, a dzięki jedynie rozpacznej pozycji, w której znajdowała się Porta między powstaniem Grecyi a rokoszem janczarów. Zresztą i traktat akermkański nie był dotrzymany przez Portę, aż Rosya zmuszoną była utrwalić byt księstw Naddunajskich przez wojnę, przedsięwziętą na własną rękę, bez udziału „świętego przymierza,“ a raczej wbrew swoim sprzymierzeńcom.

„Chcemy być bezstronnymi, nie przeczymy więc, że w wypadkach 1828 i 1853 r. nie koniecznie były dzwignią same sympatye dla uciemiężonych; grały tam owszem rolę widoki polityczne; lecz już nie w postaci „greckiego projektu“ Katarzyny, tylko w formie nieokreślonej, z której sam rząd rosyjski nie byłby był w stanie zdać sobie sprawy. Bądź co bądź Adrianopol został zdobytym; lecz wojna w najpomyślniejszej fazie zakończoną być musiała wskutek usilnego wstawienia się naszych sprzymierzeńców. Pokojem adryanopolskim autonomia polityczna księstw Naddunajskich była znów uznana z zastrzeżeniem, „że Rosya gwarantuje ich byt i pomyślny rozwój;“ autonomia Serbii na zasadach traktatu akermkańskiego, niezależność zaś Grecyi była także stanowczo tym traktatem uznana na podstawie konwencji r. 1828 i 1829. Nadto traktat adryanopolski otwierał dla żeglugi rosyjskiej handlowej wolne przejście przez Dardanelle i oddawał Rosyi wysepki przy ujściu Dunaju. W tem wszystkiem Austria i Prusy nie grały żadnej roli, gdy tymczasem w sprawach Europy zachodniej Rosya nie odłączała nigdy interesów swych własnych od interesów sprzymierzeńców swoich. Dopiero prawdziwą usługę, jeżeli to jeszcze usługą nazwać się może, okazały Rosyi jej sprzymierzeńcy w czasie powstania polskiego w r. 1831. W ten sposób projekta wschodnie stanowczo ustąpiły miejsca faktom zachodnim.“

Dalej autor powiada, że dwoistość celów w polityce rosyjskiej, wywołanych wspólnością interesów trzech państw sprzymierzonych, była i jest tamą ku spełnieniu tak zwanej „misy“ rosyjskiej na Wschodzie. Kiedy przy spotkaniu w Erfurcie w r. 1808 cesarz Aleksander i Rumiańcow rozmawiali z Napoleonem I i Taillierandem o konieczności przyłączenia do Ro-

syi Konstantynopola, Napoleon nie wyznał otwarcie swego zdania, że oddając Rosyi Stambuł, oddałby w jej ręce przyszłość całego świata, lecz tłumaczył się niepodobieństwem uzyskania na to zgody Austrii za jaką bądź cenę i nieuniknioną ewentualnością wypowiedzenia w takim razie wojny przez Austrią. Naturalnie więc, że czego Rosya nie mogła uzyskać u Napoleona przeciw Austrii, tego też nie mogła, i to bezwarunkowo, wymagać od samej Austrii bez zerwania z nią przymierza spowodowanego rozbiorem Polski.

Rewolucya lipcowa i powstanie polskie 1830 r. przypa-
dły jakby umyślnie, aby wyjaśnić prawdę powyższą i na czas
długi odwrócić uwagę Rosyi od samej myśli wszelkich zdo-
byczy na południu, zajmując ją wyłącznie i skupiając jej po-
litykę jedynie na fakcie zachodnim, którym jest utrzymanie
granic zachodnich (Polski) i związek z Austrią i Prusami.
Ztąd wynikł nawet fakt szczególny, że kwestya wschodnia po-
ruszoną następnie została bez udziału Rosyi, która naturalnie
żadnych przy tem korzyści odnieść nie mogła. Basza Egipski
waśni się z Portą i dobija niepodległości, licząc na pomoc
Francyi; we Francyi zaś sprawa ta przyjętą została tak go-
rąco, że, jak się potem okazało, gotowa ona była do wojny
za nią przeciw pięciu mocarstwom. Przypomina też autor, jakie
stanowisko zajęła Francya w stosunku do Rosyi w r. 1831,
i powiada dalej: „Rosya nie marzy nawet o sojuszu z Fran-
cyą dla zdobycia Konstantynopola; przeciwnie — zawiera traktat
odporny z Turcyą w r. 1833 w Unkjar-Iskielessy. Wprawdzie
i w zawarciu tego traktatu mogło być *arrière-pensée*, bo on
otwierał Bosfor dla floty rosyjskiej, zamykając go przed in-
nemi mocarstwami. Ale sprzymierzeńcy postarali się usunąć
to niebezpieczeństwo: skoro bowiem we Francyi nastąpiła
zmiana ministerstwa, dowodząca poważnych zapatrywań się
rządu na sprawę egipską, Palmerston natychmiast zarządził
konwencyą pięciu mocarstw przeciw Francyi, w której to kon-
wencyi przyjęły naturalnie udział Austria i Prusy i obrona
Turcyi oddaną była w ręce Anglii. Traktat więc Unkjar-Iskie-
lesski upadł, jako nie mający już żadnej wartości dla Porty.“

Cóż nastąpiło dalej z polityki dwoistej, która ciągle
Rosyą krępowała? W r. 1848 wojska rosyjskie, bez żadnej
zupełnie potrzeby, wkraczają do księstw Naddunajskich, pod

pozorem jedynie uśmierzenia rewolucyi przeciw rządowi tureckiemu. Od tego też czasu Rosya utraciła zupełnie zachowanie i mir u Rumunów, pomimo usług wielu, okazywanych im dawniej. Idźmy dalej: w tymże r. 1848 Austria, która była i jest zawsze najgłówniejszą przeszkodą w rozstrzygnięciu kwestyi wschodniej, nie tylko szkodliwą dla rozszerzenia granic rosyjskich kosztem Turcyi, lecz i dla jakiego bądź polepszenia losu Słowian bałkańskich, taż sama Austria ginie prawie, podminowana rewolucją. Słowianie austriacy nie opuszczają rządu swojego tylko dla tego, że pragną wyswobodzenia swych współplemieńców z jarzma zbuntowanych Madjarów. Interesa południowe Rosyi przemawiają raczej za upadkiem Cesarstwa Habsburgów; lecz interesa zachodnie, to jest obawa rozszerzenia się powstania w Polsce, mówią za podtrzymaniem Austrii: Rosya więc ją zbawia, nie przemówiwszy ani słowa za Słowianami i utraciła w ten sposób znowu u nich sympatią.

Tym ratunkiem Austrii Rosya nie zmieniła nic w dawnych swych stosunkach, w dawnej swej zależności od niej. Nie zyskała nawet w niej sprzymierzeńca szczerego. Bo oto, kiedy nastąpiła tak zwana „wojna wschodnia,“ Austria staje nie po stronie Rosyi. „Tego spodziewać się należało i obrażać się nawet nie było za co: wszakżeśmy sami pracowali na to, aby pozostawić Austrią w jej dawnych granicach, ze wszystkimi jej tradycjami i interesami dawnymi. Wojna wschodnia była ostatnim faktem, w którym przebiegała myśl rozszerzenia granic Rosyi na południu, słowem myśl zdobywcza. Rosya wystąpiła sama jedna: Zbawiona przez nią Austria zmusza ją cofnąć się z nad Dunaju a odepchnięta Francya staje się w rękach Anglii narzędziem, za pomocą którego wszelka myśl o zdobyczach na Wschodzie bodaj na zawsze dla Rosyi upada.“

„Wprawdzie w czasie wojny prusko-francuskiej w r. 1870, Rosya, korzystając ze zwycięstw pruskich, zerwała przeciwnie całej treści historii swojej punkta traktatu paryskiego 1856 r.: morze Czarne otwarte zostało znowu dla floty rosyjskiej, lecz warunki przyrodzone nie zmieniły się przez to bynajmniej — i wyjścia z mórz Czarnego i Azowskiego dla Rosyi niema, klucz do tych wrót pozostaje w dawnych rękach zawsze.“

Z powyższych faktów historycznych autor stara się następnie wysnuć kanwę, która jest tłem wypadków bieżących na Wschodzie. Mówi tedy, że napróżno i bezzasadnie zarzucają Rosyi, iż gdyby nie jej ochotnicy, gdyby nie Czernajew, to powstanie w Bośni i Hercegowinie nie wyszłoby za ich granice i nie przybrało rozmiarów tak groźnych. „Powstanie w Hercegowinie — to tylko jeden epizod tego wielkiego dramatu, którego prolog był odegrany wówczas, gdy na pal wbitą została głowa ostatniego Konstantyna, a którego sceny wiążą się w jedną całość i następują po sobie z loiką nieubłaganą. Stefan Batory, zajmujący się urządzeniem wojennem kozackim nad Dnieprem; sobór rosyjski za cara Michała, oświadczający się za obroną kozaków Dońskich i Azowa; Piotr I, zdobywający Azow z pomocą tychże kozaków i zamyślający o otwarciu drogi przez morze Czarne do Śródziemnego — wszystko to są oddzielne sceny wspomnianego dramatu, którego ciąg dalszy odgrywa się w naszych oczach.“

Lecz historia — zdaniem autora — usprawiedliwiająca fakta bieżące, jako loiczne następstwo przeszłości, wskazuje zarazem, jakie prawa Rosya posiada obecnie w wielkim procesie wschodnim, czego może życzyć i co otrzymać? Jeden z najbardziej utalentowanych mówców współczesnych, Emil Castellar, wzywa narody Europy zachodniej do związku dla wspólnej obrony przeciw zaborczym dążnościom Rosyi. Słowa te przytacza autor, jako zdaniem jego streszczające w sobie w sposób dosadny a krótki opinie, wspólne całemu Zachodowi Europy: „Kiedy Rosya ujrzy, że od brzegów Elby do Cieśniny Gibraltarskiej stoi przed nią jeden ścisły i braterski związek narodów, niepragnących dla siebie żadnych zaborów, lecz też wzbraniających i Rosyi prawa do nich, mających na celu jedynie godziwe zdobycze rozumu, cywilizacji i przemysłu, a każdemu nowemu Dariuszowi lub Xserxesowi przeciwnych drogę nowemi Termopilami, naówczas plemiona słowiańskie, których Rosya przedstawicielką się głosi, wyrzekną się apokaliptycznych snów zaboru i zniszczenia i utworzą między sobą federacyą sławiańską, wolną i niepodległą, lecz też życzącą wolności i niepodległości innym.“ Tu autor czyni uwagę, że jakkolwiek w myśli zasadniczej powyższego ustępu Castellar jest tłumaczem przekonań Europy, niepodlega jednak

wątpliwości, że „federacya“ bliższą jest usposobienia Słowian, niż „związek bratni“ — usposobienia Europy.

Autor następnie wyraża zupełną zgodę z przekonaniem wielu ze swoich ziomków, że Turcyja długo istnieć nie może w każdym razie, a jeśli nie da się nakłonić do ustępstw na korzyść Słowian, to upadnie przed wpływem roku jeszcze. Jeżeli zaś na zachodzie Europy, a szczególnie w Anglii, istnieją przekonania inne, to autor je nazywa bezzasadnymi i tłómaczy słowami Palmerstona wyrzeczonymi jeszcze w 1838, a które dotąd służą za podstawę opinii społeczeństwa angielskiego. Palmerston miał wówczas powiedzieć: „Utrzymują że Cesarstwo Tureckie jest w procesie nieuniknionego i progresywnie postępującego upadku, że słowem wkrótce rozpadnie się na części. Naprzód żadne państwo nie rozpada się na części, jeżeli nie ma dobrych sąsiadów, którzy na te części czyhają. Powtórę pozwalam sobie powątpiewać o prawdziwości upadku Turcyi i myślę, że ci, którzy twierdzą, iż z Turcyją jest coraz gorzej, powinni by przekonać się raczej, że inne kraje Europejskie coraz lepiej poznają Turcyją i przypatrują się jej, z kądem wypływa, że dostrzegają coraz więcej wad i stron ujemnych w jej organizacyi wewnętrznej. Co do mnie, niemam, że w latach ostatnich położono nawet pewne podwaliny ulepszeń, niewątpliwie tedy, że jeśli tylko da się zachować pokój, to w przeciągu lat niewielu, to światło, które dziś odkrywa niedostatki w Turcyi, oświeci ulepszenia, które ona wprowadzić usiłuje.“ Zdanie to stało się też zasadą polityki angielskiej w czasie wojny Krymskiej. Gladston, który był ministrem w czasie, gdy Anglia zdecydowała się była na wojnę, w mowach dzisiejszych usiłuje pogodzić ówczesną swoją politykę z poglądami teraźniejszymi; mówi tedy, że wojna Krymska nie tylko była wyprawą, zabezpieczającą całość Turcyi, lecz miała być zarazem rękojmnią reform wewnętrznych w tem państwie; lecz gdy okazało się dziś w praktyce, że reformy są niepodobieństwem, polityka zachowania całości Turcyi sama z siebie upadła i na zawsze porzuconą być powinna.

Przedstawiwszy w ten sposób zapatrywania się Palmerstona na sprawę turecką przed czterdziestą blisko laty, autor zestawia z niemi znane sprawozdanie Beringa o dzisiejszym stanie rzeczy w Turcyi, jako kontrast, dowodzący dobitnie, że

nawet sami Anglicy utracili wiarę w możność pozostawienia *in statu quo* cesarstwa Ottomańskiego. „Wprawdzie“ mówi on dalej „spotykają nas zarzuty innego rodzaju. Są, którzy mówią, że chrześcijanie Bałkańscy dopuszczali się także okrucieństw i pierwsi je zaczęli; że wedle bezwzględego, abstrakcyjnego uczucia ludzkości, niepodobna rozstrzygać *a priori* kwestyi, gdzie rzecz chodzi o losy ziem z ludnością mieszaną, gdzie w każdym razie strona posiadająca władzę będzie gnębić stronę przeciwną a słabszą. Lecz zarzuty te nie są dostatecznie uzasadnione. Winy, za które Turcyja dziś ma pokutować, nie są podobne do przewinień Słowian, którzy zabili jakąś ilość Turków; gdyby winę Słowian pomnożyć na sto lub tysiąc, i doprowadzić w ten sposób do tego, że ofiary tureckie zrównają się liczebnie z ofiarami słowiańskimi, to i w takim razie okazałoby się, że sama Turcyja winna wszystkiemu. Wszystkie okrucieństwa, grabieże, same nawet rokosze słowiańskie są przewinieniami Turcyi, to jest jej systematu rządowego i administracyjnego, jej wrodzonych instynktów i jej polityki. Zresztą mniejsza o to i próżne to spory, kto dał początek dzisiejszemu stanowi rzeczy: rozsądek bowiem, ludzkość i honor całej Europy wymaga nie prowadzenia śledztwa, lecz wynalezienia sposobu, mogącego zapobiec nadużyciom i raz na zawsze zmienić obecny stan rzeczy“.

„Nastąpić zaś to może nie inaczej, jak przez usamowolnienie Słowian od bezpośredniej przynajmniej władzy tureckiej i przez wzięcie ich pod opiekę Europy. Opieka ta byłaby jeszcze najmniejszym złem, jakie może spotkać Turcyą. Jeżeli nie nastąpi opieka, to nastąpi konkurs i zupełna likwidacya spraw tureckich, przyczem wystąpić muszą, jako pierwsi kredytorowie — Słowianie, a jako władza wykonawcza — Rosya. Takie jest prawo konieczności, którego nikt i nic zmienić nie zdoła.“

„Spotka nas jeszcze zarzut inny“ — mówi autor dalej, „a tym będą cyfry statystyczne, dowodzące, że ludność prowincyj tureckich, które my zwiemy słowiańskimi, jest mieszaną. Odpowiemy na to naprzód, że zupełnej doskonałości w rozwiązaniu kwestyj politycznych być nie może; a powtóre, że jedynem *criterium* w sprawach podobnego rodzaju jest większość ludności. W wypadku obecnym większością są chrze-

ścijszanie, którzy zarazem bez wątpienia więcej przedstawiają rękojmi tolerancyi i porządku, niż muzułmańska mniejszość. Wszak w niezależnej Serbii znajduje się około pięciu tysięcy mahometan, których przecież nie mordują i nie gnębią, i nie ma wątpliwości, że mają oni więcej warunków bezpieczeństwa niż chrześcijanie w Bośni lub Bułgarii.“

„Mówią jeszcze, że Serbia rozpoczęła wojnę bez uzasadnionych powodów, w celach ambicji jedynie. Toż samo mówiono niegdyś o Piemontcie, walczącym z Austryą, która skazywała na śmierć tysiące Włochów. Ale z drugiej strony, kiedy Prusy „wybawiały“ mieszkańców Szlezwigu od nauki języka duńskiego, a Alzatzczyków od zapomnienia przeszłości historycznej, mówiono, że Prusy mają słuszość, czyniąc zadość historycznemu powołaniu swemu. Czemuż tej samej słuszości nie przyznaje świat Serbom, którzy walczą za pomordowanych swych braci?“

Ciekawszy jest jeszcze ustęp następujący: „Materiałne i moralne interesa, wynikające z warunków naturalnych i historycznych, pociągały Rosyą ku południowi: ku morzom tamtejszym, ku drodze, która się ztamtąd otwiera, ku ratunkowi pogńębionych współplemieńców, czekających pomocy z naszej strony. Niepodobna zaprzeczyć, że dążność nasza ku południowi wyrażała się dotąd w najprostszej politycznej formie — zdobyczy wojennych. Dla tego też nie można się dziwić, że kiedy teraz mówimy, iż niepragniemy dziś żadnych zdobyczy, świat nam nie wierzy. Powiemy jeszcze otwarciej, wyznając, że większość Rosyan i dziś nie miałaby nic przeciw zdobyciu orężnemu całej Turcyi europejskiej z Konstantynopolem, Rumunią, Serbią i Czarnogorą. I czemużby tego nie pragnąć? Nikt nie jest wrogiem dla siebie samego. Ale pragnąć tego mogą tylko ci, którzy nie rozumieją zgoła dzisiejszego stanu kwestyi. Takimi są panslawiści, bo też ich nauka i ich aspiracye „nie są z tego świata.“ Dysputować z nimi o tym przedmiocie — niepodobna, bo zamiast oponować — oni się... żegnają i modlą. To są albo ludzie powierzchowni, niezdolni do analizy żadnej, albo gawędziarze nieszczerzy, robiący paradę z pożyczonych urywków cudzych zdań i opinij, którym nie wierzą sami. Wykrzykują: „wojna!“, niezdając sobie zgoła rachunku, na jaką wojnę, przy teraźniejszym położeniu spraw europejskich i swoich własnych wewnętrznych, Rosya zdecydować się

może, a na jaką nie może. Krzycząc „wojna“, wykrzykują zarazem: „my nie chcemy żadnych zdobyczy“ — i zadowoleni są zupełnie, niezadając ani sobie ani innym sprawy, czemuż to Rosya nie pragnie dziś zdobyczy i jaka jest rękojmia po temu, oprócz ich pustych krzyków.“

Następnie mówi autor, że peryod, w którym Rosya mogła aspirować do zdobyczy terytoryalnych na południowym Wschodzie, już się zakończył, a zamknęły go własne czyny Rosyi. Dowodzi zaś tej swojej tezy w sposób następny: „Powiedzieliśmy wprawdzie wyżej, że nikt nie jest wrogiem dla siebie; teraz zaś powiemy, że ten właśnie jest wrogiem sobie samemu, kto pragnie zdobyczy szkodliwych. Dawno już minęły te czasy, kiedy Rosya mogła zdobywać dla siebie kraje Bałkańskie z korzyścią i bez jawnej szkody dla swoich własnych interesów. Zapragnąwszy rozszerzenia swych granic zachodnich, przyłożywszy rękę do rozbioru Polski, Rosya przez to samo wyrzekła się głównych korzyści z rozszerzenia granic południowych. Widzieliśmy już wyżej, jak w sojuszu z Austryą i Prusami ciąglem, lub po krótkich przerwach wznawianym, bo nieuniknionym, Rosya nie mogła dążyć do zdobyczy na półwyspie Bałkańskim. Wojna r. 1853 była błędem i niepowinniśmy dopuścić, by się on powtórzył. W takiej wojnie wrogowie nasi staną przeciw nam, a nasi przyjaciele — nie z nami. I to rzecz bardzo naturalna. Miał słuszość ten, kto powiedział, że nasza droga do Turcyi — przez Wiedeń. Cała Europa zachodnia musi się sprzeciwić temu, abyśmy rozszerzywszy się kosztem Polski, mieli wzrastać jeszcze kosztem Bałkanu, nasi zaś współnicy odwieczni, Austrya i Prusy, mniej na to się zgodzą, niż inni. Przyłączenie do nas Serbów, Bułgarów i Rumunów Bałkańskich, dla Austryi byłoby prologiem do wydarcia jej Serbów, Kroatów i innych Słowian węgierskich, a nawet Galicyi. Cały Dunaj niższy w ręku Rosyi byłby wyrokiem śmierci dla handlu austriackiego, a ciosem bardzo dotkliwym dla handlu niemieckiego, ponieważ Dunaj wyższy jest rzeką bawarską i wirtemberską. Dla Prus — taki olbrzymi krok Rosyi na drodze zjednoczenia plemion słowiańskich groziłby niezmiernymi szkodami w przyszłości. Posiadając część Polski i terazniejsze granice zachodnie, Rosya we względzie strategicznym jest panią Prus wschodnich z jednej strony, a Szlązka

z drugiej, bo klinem wrzyna się między nie; Prusy dobrze o tem wiedzą, gdy budują niezmiernie silne fortyfikacye na wschodzie tego klina. Nie dość na tem: jednoczenie zbrojną ręką plemion słowiańskich czy nie oznacza też czasem aspiracyi do Poznania, Pomorza, Czech i Morawii? A skoroby Czechy i Morawy dostały się w ręce Rosyi, wszystkie widoki Prus na spadek niemiecki po Austrii znikną. Oddzielone od Prus Czechami i Morawami, niemieckie prowincye Austrii powinnyby były w takim razie albo pozostać niezawisłemi, albo odpaść do Bawaryi, ale w żadnym razie nie do Prus. Zapewne, że to są widoki dalekie, ale wszakże rzecz idzie o zdobycie półwyspu Bałkańskiego, to jest o tak wielką wojnę europejską, skutkiem której kraje przechodziłyby z rąk do rąk tak prędko i łatwo, jak to miało miejsce za czasów Napoleona I. Jeżeli już mówi się o zmianach, mogących wyniknąć w podziale politycznym krajów europejskich, to trzeba dochodzić do wszystkich skutków logicznych, jakie zmiany te wywołać mogą.

„Tak więc“ — mówi autor dalej — „nasi wspólnicy bardziej niż kto inny, bardziej nawet niż sama Anglia, nie mogą i niezechcą dopuścić, ze względów bezpieczeństwa własnego, aby Rosya posiadała jednocześnie Królestwo Polskie i półwysep Bałkański. I rzeczywiście — historia dowodzi, że od czasów naszego związania się z Austryą i Prusami, nieśmy zyskać nie mogli na Bałkanie, oprócz Besarabii, lecz i ta dostała się nam bez pomocy naszych wspólników (którzy byli wówczas pod żelazną ręką Napoleona) lecz z pomocą Anglii; w związku zaś z Austryą i Prusami straciliśmy tylko część tejże Besarabii. Dwoistość naszej polityki — powtarzamy to raz jeszcze — uczyniła dla nas niedostępnem na wieki to, o czem marzą pansławiści, a mianowicie: żebyśmy kiedyś w kościele św. Zofii odśpiewali uroczyste *te Deum*, z paradą wojskową na placu kościelnym.“

„A jednakże związek z Prusami i Austryą był i jest dla nas koniecznym, bo bez niego niemoglibyśmy zachować granic naszych zachodnich, wypuścilibyśmy z rąk prowincye Polskie. Czy mogła Rosya obejść się bez zagarnięcia tych prowincyj? Czy to zagarnięcie było z jej strony błędem politycznym, lub nie? Nie mówimy o tem, bo mówić byłoby zapóźno. Moglibyśmy dowieść, że Rosya zyskałaby dużo na

tem, gdyby nie należała była do rozbioru Polski, lecz inni zaczęliby nam dowodzić nawzajem, że dużoby na tem straciła. Spory więc takie są niepotrzebne, bo my mówimy o faktach spełnionych, a faktem jest, że Rosya włada punktem strategicznym na Zachodzie, że sojusz jej z Prusami i Austryą jest nieuniknionym, i że przy tym sojuszu ani marzyć nie możemy o żadnych zaborach w Turcyi europejskiej.“

Następnie autor powiada, że z tego koła twardych i niezwalczonych konieczności możnaby znaleźć jedno wyjście logiczne, t. j. że Rosya mogłaby — zdaniem wielu — odstąpić Królestwo Polskie Prusom. Przypuszczając choć na chwilę, że Prusy zechcą kiedykolwiek sprzyjać zdobywczym zamiarom Rosyi na Bałkanie, pomimo interesów niemieckich na Dunaju, trzeba (mowi autor) przyjąć za pewnik bezwarunkowy, że Prusy za swe usługi będą wymagać oddania im Królestwa Polskiego, a może jeszcze i sprzyjania nowym zaborom we Francyi. Nad każdym z tych przypuszczeń autor zastanawia się jak następuje:

„Królestwo Polskie równa się przestrzenią trzem prowincjom pruskim: Prusom właściwym, Szląskowi i Westfalii. W tych trzech prowincjach liczy się ludności $8\frac{1}{2}$ milionów, wówczas, gdy w Królestwie Polskiem jest jej tylko $5\frac{3}{4}$ milionów, a więc w Królestwie Polskiem znalazłoby się miejsca dla $2\frac{3}{4}$ milionów Niemców, którzy inaczej wyemigrują wszyscy do Ameryki. Naturalnie, że nabycie takiej prowincyi dla kolonizacyi Niemców wielce uśmiecha się Prusom. A jeszcze bardziej uśmiecha się im posiadanie tego klina strategicznego, którym posiadłości dzisiejsze rosyjskie wrzynają się w posiadłości pruskie. Odstąpienie Prusom Królestwa Polskiego nie po Wisłę nastąpićby musiało, bo i wówczas jeszcze Rosya klinem wrzynałaby się w Prusy. Rosya musiałaby ustąpić Polskę po Wisłę, Narew, Bóbr i Niemen, czyli w całości po Bug. Lecz w obu tych razach kwestya przyłączenia do Prus Libawy i Rygi byłaby tylko kwestyą czasu, bo z niemi dopiero posiadanie Królestwa miałoby dla Prus wielkie znaczenie handlowe. W ten sposób ludność Niemiec zwiększyłaby się o 10 milionów to jest o całą ćwierć teraźniejszej cyfry ludności. Co się tyczy handlu na granicy zachodniej i w portach morza Bałtyckiego, — my i dziś już wielce zależyśmy od Prus, a w wy-

padku powyższym, jużbyśmy zupełnie od nich zależeli. Przeciw tym niekorzyściom postawmy korzyści następne, któreby wynikły z powyższej kombinacji: zamiast ustąpionych 5—7 milionów ludności zyskalibyśmy 15 milionów, dla handlu naszego otwarłaby się wielka droga południowa, a dla produkcji — „kraj najpiękniejszy i najurodzajniejszy w świecie.“

„Lecz teraz wynika pytanie, jakiego rodzaju pomoc mogłyby nam okazać Niemcy w zamian za odstąpienie im Polski? i ileby nam pozwoliły osiąść z terytorium tureckiego? Jeżeli tą pomocą ma być tylko neutralność, chociażby nawet „najprzyjaźniejsza,“ to usługa taka naturalnie nie warta byłaby tej ceny, którąbyśmy ją opłacili. Gdyby pomoc Prus miała się wyrazić powstrzymaniem Austrii, byłaby tylko złudzeniem, ponieważ wkrótce musiałaby się zmienić albo w wojnę przeciw Austrii razem z nami, albo w wojnę przeciw nam z Austrią, albo nareszcie znowu w neutralność. Jest bowiem niezaprzeczoną rzeczą, że powstrzymywać Austrią sam ks. Bismark może tylko do pewnego stopnia i nie powstrzyma jej z pewnością, gdyby nam się zamarzyło zagarnąć dla siebie część Turcyi europejskiej. Najmniejsze zdobycze nasze w Turcyi, a nawet podział ich z Austrią (gdyby wojska austriackie razem z naszymi wstąpiły do Turcyi) w żaden sposób nie obejdą się bez wojny Austrii z Rosyą. Powstrzymywanie więc Austrii byłoby dla Prus tem samem, co zdecydowanie się na zbrojną pomoc w wojnie z cesarstwem Habsburgów, w nadziei otrzymania za to wynagrodzenia nie tylko od Rosyi (Królestwo Polskie) lecz i od Austrii (Czechy i ziemie niemieckie).“

„Wszystko każe się domyślać, że Prusy nie uważają jeszcze za właściwe myśleć dziś o zdobyciu ziem niemieckich, pod berłem Austrii zostających. Austria jest dziś dla nich bardzo wygodnym, bo nie kosztownym, strażnikiem prowincyj niemieckich, tudzież interesów wszechgermańskich na południowym wschodzie. Przy egzystencji Austrii wszystkie jej prowincye słowiańskie i węgierskie stanowią wielce bogatą rolę dla zasiewu „germańskiej kultury,“ dla niemieckiego przemysłu i handlu. Rzekę Dunaj nazywają Niemcy „jedną z głównych żył handlu niemieckiego,“ oddanie zaś Rosyi chociażby tylko samego ujścia Dunaju, Niemcy uważaliby za przecięcie tej żyły.

Oprócz tego, prowadząc wraz z Rosyą wojnę przeciw Austrii, musiałyby Niemcy jednocześnie być w pogotowiu do wojny z Francją. Gdyby rzecz chodziła o wielkie zdobycze za pomocą wojen wielkich, to czy niewygodniej byłoby Prusom wypowiedzieć wojnę Rosyi, stanąwszy na czele koalicji całej Europy, która bynajmniej nie jest niepodobieństwem, gdyby tylko Rosya nie zechciała naprawdę myśleć o zagarnięciu Konstantynopola. Przez taką wojnę Prusy, za zgodą całej Europy, mogłyby odebrać od nas Królestwo Polskie i otrzymać od Austrii Czechy, jako wynagrodzenie za pomoc. Czy taka droga byłaby prostsza i łatwiejsza.“

„Tak więc z którejkolwiek strony zapatrujemy się na sprawę, nie możemy nigdy wyprowadzić wniosku, aby Rosya mogła myśleć o zdobyczach Turcyi, ani za zgodą Niemiec, jeśli zatrzyma granicę swoją zachodnią, ani też z pomocą tychże Niemiec, jeśli tej granicy się pozbędzie i Królestwo Polskie odda Prusom. Za takie ustępstwo Prusy nie mogą nam przyrzec nic, nad neutralność, i to do pewnych granic tylko, to jest: pokąd my nie pokusimy się o wzięcie Konstantynopola, lub nie wstąpimy do Austrii. A tej pomocy dla nas za mało, i nie warta ona ofiary, którejby od nas za nią wymagano. Nareszcie słuszność każe wypowiedzieć choć parę słów o samej naturze podobnej kombinacji. Mieszkańcy Królestwa Polskiego, bądź co bądź, są poddanymi Rosyi i naszymi współobywatelami. Czyż podobna zatem tak bez żadnej ceremonii „wziąć i przemieniać ich,“ jak sprzęt jaki, lub remanent, na coś innego, co nam bardziej w danej chwili dogadza? Nie minęłyż już czasy podobnych zamian, podobnej frymarki, w której narody uważane są za towar martwy, i pozbawiony woli? Powiedzą nam może, że Polacy nie chętnie należą do Rosyi. Odpowiadamy na to: kto wie, czy z większą ochotą należeliby do Niemców. Jest to pytanie zdaniem naszym ważne i wielkie, którego nie godzi się rozwiązywać samowolnie i lekkomyślnie. Jeżeli bowiem rozwiązanie tego pytania ma się zasadzać na uczuciach lub sympatyach ludności krajowej, to jakże można nie zgłębić przedtem tych uczuć i sympatyj, nie dowiedzieć się, czy rzezywiście są one takie, jakimi być się zdają z pozoru. Nareszcie cóżby kombinacja powyższa miała za sens w znaczeniu panslawistycznym? Zaczynać zjednoczenie

Słowian zaprzędaniem Słowian Polaków w ręce niemieckie i ostatecznem wyrzeczeniem się słowiańskiej Galicyi i Czech!

Reasumując wszystko co powiedziano wyżej, autor wyraża się tak: „Zdobycze w Turcyi europejskiej są dziś niepodobieństwem dla Rosyi, czy to w związku z Austryą i Prusami, czy też z samemi Prusami tylko. Oddać Niemcom Polskę i zarazem zgodzić się na dalsze rozszarpywanie przez nich Francyi, a to wszystko dla tego jedynie, aby Niemcy stanęły z nami przeciw koalicyi europejskiej, byłoby to oddać się dobrowolnie w ręce Niemiec, które w razie pomyślnego dla siebie ukończenia wojny nie omieszczałyby skorzystać ze swej potęgi i dać nam uczuć swoją siłę. Przez nowe rozczłonkowanie Francyi Niemcy stałyby się niewątpliwie samowładnymi panami na kontynencie Europy, a to tak dalece, że nawet nasze zdobycze w Turcyi byłyby bardzo nietrwałemi wobec tego faktu. Wszystkie olbrzymie środki zachodu Europy dostałyby się wówczas w ręce Niemiec: oni mieliby za sobą bogactwo, naukę, przemysł i wszystkie wynalazki techniczne; mybyśmy zaś mieli tylko niezmierną przestrzeń ziemi, mało zaludnioną i źle zagospodarowaną. Usuwając nawet na stronę wszelkie ewentualności politycznych kombinacyj, gdy zapytujemy siebie: czy należy Rosyi, przy obecnym stanie jej spraw wewnętrznych, decydować się dziś na wojnę, która w każdym razie musi być olbrzymią, chociażby skutkiem tej wojny miało być zdobycie części półwyspu Bałkańskiego, a nawet Konstantynopola, — to zawsze musimy odpowiedzieć bezwarunkowo: nie! Stan obecny masy naszego narodu, naszych finansów, handlu i rozwoju wewnętrznego, nareszcie rozpoczętych reform naszych, wszystko to wręcz sprzeciwia się temu, abyśmy mogli zamyślać o zdobyczach tak ryzykownych, albo życzyć sobie wojny nawet z Turcyą samą, nie licząc Anglii i Austrii. A jest jeszcze jeszcze jeden powód, skłaniający nas do twierdzenia, że kto z Rosyan zamyśla dziś o zdobyczach terytoryalnych, ten chyba nie życzy dobra swej własnej ojczyźnie. Gdyby Rosya w zeszłym stuleciu przyłączyła była do siebie jeden z narodów zostających pod rządem tureckim, uwalniając go z jarzma muzułmańskiego, naród ten niezawodnie błogosławiłby swe losy i może dotąd zlałby się z nami w jedną polityczną całość. Lecz straciliśmy bezpowrotnie bardzo wiele czasu na przy-

jaznym związku z Austryą i Prusami. I oto już pół wieku z górą upływa, jak Serbowie, Grecy i Rumuni przywykli uważać siebie za narody niezależne. Utworzyły się narodowości polityczne: Grecya, Serbia i Rumunia, ku którym, prawem atrakcyi, ciągną wszyscy, mieszkający na półwyspie Bałkańskim, Grecy, Serbowie, Bułgarzy i Rumunie. W Serbii, względnie do ludności, więcej jest dziś szkół aniżeli w Rosyi. Inteligencyą serbską nawet nasi pansławiści nazywają już „zatrutą wpływem obcym.“ Oto, jak ją charakteryzuje jeden z przewódców pansławistycznych dążności w Rosyi: „utworzona na zasadach obcych inteligencya serbska z zarozumiałością młodzieńczą poczytuje swoje księstwo za mocarstwo europejskie *par excellence*, swój sejm (skupczynę) uważa za parlament, doskonalszy od francuskiego, lub angielskiego, a siebie samych za reformatörów nie tylko Serbii i Słowiańszczyzny, lecz niemal całej Europy.“ Czy się w tem myli cywilizowana Serbia? czy też ma słuszność? to pytanie; lecz że tak myśli, to fakt, który dowodzi, że hipoteza przyłączenia kiedykolwiek Serbii do Rosyi wcale się dziś Serbom nie uśmiecha. Co najwięcej przypuścić możemy, że Serbowie, Czarnogórcy, Bułgarzy i Rumuni możeby się nie wyrzekli hegemonii rosyjskiej, lecz na asymilacyą polityczną niezgodziliby się dobrowolnie nigdy. Samą nawet hegemonią przyjęliby chętnie tylko do czasu, pokąd jakaś część półwyspu Bałkańskiego należałaby jeszcze do Turcyi. Lecz skoro tylko Turcyja znikłaby z mapy europejskiej, przewaga polityczna Rosyi stałaby się dla Słowian Bałkańskich takim prawie ciężarem, jak dziś są rządy tureckie, a co najmniej poczęliby patrzeć na nią nieufnie i nieprzyjaźnie. Wszak badania przeszłości historycznej dostępne są i dla nich; będą więc wiedzieli, a może już i wiedzą, że Rosya, którą niegdyś uważali za swą opiekunkę naturalną, nic dla nich nie zrobiła w ciągu całego stulecia. My wiemy dobrze, że Rosya nic zrobić nie mogła, bo była skrzepowaną przyjaznymi stosunkami z Prusami i Austryą, spowodowanymi rozbiorem Polski. Lecz Słowianie wchodzić w to nie będą; będą bowiem roztrząsać nagie tylko fakta, odrzucając wszelkie komentarze do nich i nie słuchając żadnych tłumaczeń z naszej strony, czyśmy mogli, czy nie mogli przyjść im w pomoc w czasie, gdy ta najbardziej potrzebną im była. Każdy z narodów chrześcijańskich półwyspu

Bałkańskiego, w razie przejścia pod rząd rosyjski, z przyjaznego sąsiada i brata, stałby się wrogiem wewnętrznym. Tych wrogów mielibyśmy 15 milionów; a wszak mamy już ich dosyć, i nawet 15 tysięcy nowych wrogów nam nie potrzeba. Cóżby to był za wzrost naszej potęgi, gdyby zdobyte kraje na półwyspie Bałkańskim przyszło nam trzymać siłą i bronić nie tylko przeciw zewnętrznym lecz i wewnętrznym wrogom, jak dziś siłą trzymamy i bronimy krajów polskich? A przecież panslawiści nasi właśnie tego sobie życzą, maskując chęć zaborów pozorami „hegemonii rosyjskiej.“

„Tak tedy“ — mówi dalej prof. Połonski „widoków zaborczych na półwyspie Bałkańskim Rosya mieć nie może dla tej prostej przyczyny, że niezdola ich spełnić. Przeszkadza temu wszystko: i dalecy przeciwnicy, i blizcy związkowi, i interesa nasze wewnętrzne i nawet ci, których nazywamy „braćmi,“ a którzy niezawodnie zostaliby naszymi wrogami. Ostateczne rozwiązanie kwestyi wschodniej z prawdziwą korzyścią dla Rosyi zawiera się jedynie w usamowolnieniu zupełnem chrześcijan z pod władzy Porty i w zapewnieniu dla nas wolnego wyjścia z morza Czarnego. Obadwa te interesa są w zupełnej zgodzie z interesem ludzkości całej; lecz prowadzą do wykreślenia Turcyi z karty Europy. Naturalnem następstwem tej wielkiej zmiany byłoby utworzenie na Bałkanie federacyi słowiańskiej, bez żadnej hegemonii rosyjskiej, prócz tej, którąby nam zapewniły uczucia wdzięczności, sympatyi plemiennej i obawy pokuszeń na jej niezależność ze strony innych państw sąsiednich. Klucz do morza Czarnego znajdowałby się wprawdzie nie w naszych rękach, lecz w rękach naszych przyjaciół, ale byłoby to dla nas wystarczającym zupełnie: wszakże Anglia zadowolnia się dziś tem, że klucz ten dzierżą Turcy a nie ona.“

Ten sposób rozwiązania kwestyi wschodniej autor uważa za jedynie możebny, naturalny i taki, na drodze do którego nikt Rosyą powstrzymać nie zdoła, jeżeli tylko tą drogą jedynie i do tego jedynie celu Rosya iść będzie szczerze, powolnie i nie zachowując żadnej *arrière pensée*, nie marząc o zaborach, ani panslawistycznych jednościach. Mniema autor nadto, że i do tego celu Rosya dojść nie będzie mogła odrazu bez wielkiej wojny, której atoli przedsięwziąć niepowinna, chyba

w razie ostatecznym. Radzi więc, aby przedewszystkiem w drodze dyplomatycznej starała się Rosya o ulgi stopniowe dla Słowian Bałkańskich, zadawalniając się tymczasem wszystkiem co się da uzyskać. I tak: gdyby udało się skłonić areopag państw europejskich do nadania Bułgaryi, Bośni i Hercegowinie autonomii politycznej pod władzą lenniczą Turcyi, byłoby to na początek aż nadto doryć, byle bez wojny. Gdyby i to było za trudnem, to rozsądek każe zadowolnić się tymczasem autonomią administracyjną dla tychże prowincyj, lecz już z warunkiem koniecznym, aby dla przyprowadzenia do skutku tej kombinacyi wojska rosyjskie, wspólnie z wojskami rumuńskimi, greckimi, lub austriackimi zajęły wspomniane prowincye aż do uskutecznienia reform. Rozwijając zaś obszerniej dwie ewentualności powyższe, autor powiada, że jeżeli mocarstwa działające wspólnie z Rosyą, zdołają nakłonić Portę do nadania autonomii politycznej Bułgaryi, Bośni i Hercegowinie, przy zachowaniu *status-quo* dla Serbii i ustąpieniu dla Czarnogóry portu, to nie będzie powodu ani potrzeby żadnej wprowadzenia wojsk do Turcyi. Utworzenie bowiem nowych państw lenniczych chrześcijańskich: Bośni, Hercegowiny i Bułgaryi, jest pojęciem jasno określonym, dającym spodziewać się z góry wystąpienia z tych prowincyj wojsk i władz tureckich i nowej ich organizacyi wewnętrznej pod opieką Europy. Niema tu miejsca dla wojennej interwencyi państw, wyjąwszy tego nadspodziewanego wypadku, gdyby Porta, nawet opuszczona przez swych opiekunów, chciała usunąć się od spełnienia woli Europy. W takim wypadku chwilowa interwencya zbrojna byłaby nieuniknioną, lecz nie będąc naówczas przeciwną woli Europy, a owszem zgodną z nią, niegroziłaby bynajmniej wojną europejską. Inaczej rzecz by się miała z autonomią administracyjną, która jest pojęciem nieokreślonym i chwiejnym. Dla zapewnienia tym prowincyom słowiańskim prawdziwego a nie wrzekomego samorządu, nieodzowną i nieuniknioną będzie czasowa okupacya wojenna ze strony tych rządów, lub też tego rządu, którym, lub któremu ustępstwa dla Słowian przyrzeczone zostały przez Portę. Inaczej bowiem przyrzeczenie to spełzyłoby na niczem i zajęło miejsce w szafach archiwalnych tureckich, tuż przy hatty-szeryfach, hatty-humajanach i iradach, wydanych na korzyść chrześcijan. Autonomia polityczna — to wyłączenie,

niewymagające innych rękojmi nad wystąpienie wojsk tureckich. Autonomia zaś administracyjna — to umowa, której dotrzymanie byłoby zawsze niepewnem bez poręki materyjalnej. I gdyby nawet państwom europejskim, najbardziej dziś nieprzychylnym mieszanu się Rosyi do spraw wschodnich, przedstawioną była alternatywa dwojaka; to jest autonomia polityczna bez okupacyi i autonomia administracyjna z okupacją, chociażby z udziałem wojsk rosyjskich, to niepodlega wątpliwości, że Europa wybrałaby pierwszą kombinację, a naówczas kwestya byłaby rozstrzygniętą bez wojny.

Lecz autor mniema, że mniej nad jedną z dwóch powyższych alternatyw Rosya przyjąć nie może bez ujmy godności swej i powadze, które zachowywać powinna dla nieprzewidzianych wypadków przyszłości, i dla tego radzi Rosyi, aby była gotową do wojny. Nie spodziewa się atoli zupełnie, aby sprawa wschodnia mogła skończyć się inaczej, jak autonomią prowincyj słowiańskich, przeciw której, zdaniem autora, nie mogą mieć ostatecznie nic ani Anglia, ani Austria, skoro będą pewnemi, że autonomia ta służyć będzie Słowianom a nie Rosyi i że Rosya, żądając jej, niema zaborczych ani samolubnych celów na względzie, lecz jedynie słuszne prawa i dobro Słowian samych.

Kończy zaś prof. Połoński rozprawę swoją tak:

„Artykuł niniejszy dowodzi wprawdzie, że dla Rosyi sprawa wschodnia ma niemałe znaczenie, lecz dowodzi również, iż sprawy nasze wewnętrzne są dla nas o tyle doniosłe, że zaniedbywać ich lub odkładać dla tamtej niegodzi się i niepowinniśmy. Nierozumiemy zgoła tych naszych patriotów, którzy twierdzą, jakoby rozstrzygnięcie kwestyi wschodniej, mniej lub więcej zupełne, a chociażby nawet ostateczne, miało wpłynąć na rozbudzenie życia w naszym społeczeństwie i na jego dojrzałość. Jakim sposobem sprawa zewnętrzna może dać impuls dojrzałości wewnętrznej? Nasze współczucie dla Słowian, ofiary dla ich sprawy, poczucie się do braterstwa z nimi poznania związku ich sprawy z potęgą naszej ojczyzny, wszystko to nie są rzeczy nowe, starsze są owszem od samego cesarstwa rosyjskiego. Wszystko to są przytem rzeczy naturalne i proste, któremi chlubić się i paradę z nich robić zupełnie niewypada. Jeżeli pytanie: „czy przyłączyć Azów do

Rosyi?“ przed paru wiekami poruszało naszych ojców, to nie dziw, że porusza nas i teraz; lecz śmiesznością jest twierdzić, że rozwiązanie tego pytania posunie naprzód rozwój nasz wewnętrzny; owszem mniemamy, że na rozstrzygnięcie tej kwestyi mniej praktycznie i trzeźwo zapatrują się współcześni nasi, niż nasi ojcowie za czasów Michała Fieodorowicza. Zapak, więcej może afektowany niż szczery, za daleko nas unosi i tak zaślepia, że rozprawiamy o odłożeniu na potem spraw naszych wewnętrznych, co jest absurdem zupełnym, gdy tymczasem ojcowie nasi z XVII stulecia, zapatrując się poważnie na kwestyą „zerwania z narodem Turkim“ i czując całą doniosłość tej kwestyi, nieodwracali jednak oczu od spraw bliższych i pilniejszych i niedecydowali się na wojnę inaczej, jak po rozpatrzeniu się szczegółowem w tych sprawach, po naprawieniu wszystkiego, co w nich złem było, lub wadliwym. Kwestya wschodnia nie jest bynajmniej owym *deus ex machina*, który posunie naprzód rozwój nasz wewnętrzny. — Kłopotów naszych własnych nikt i nic z nas nie zdejmie. Z Moskwy, z Petersburga i całej ziemi naszej możemy przynieść Słowianom południowym dar wielki, bo swobodę; lecz z ziem słowiańskich, chociażby usamowolnionych, nieprzyniesiemy do domu nic. W domu nas zawsze czekać będą nasze sprawy domowe; „o skarbie i podatkach,“ o „djakach i poddajacych, od których wszelki człowiek cierpi,“ o „wielkiej „nędzy ludzi bezdomnych“ i o tych ziemiach, „które, pozbawione sądów z pomiędzy siebie,“ mają tylko „wojewodów, „kupujących majątności mnogie, a woli i spokoju w domu „nie mają.“

Tak się kończy rozprawa profesora Połońskiego, rozwijająca wprawdzie miejscami poglądy, na które nie zawsze pisać się można, pełna niedomówień, wynikających z ustaw cenzuralnych w Rosyi, ale też niepozbawiona pewnej bezstronności i słuszności acz względnej, lecz wypowiedzianej ze śmiałością, na którą niezdobył się dotąd żaden ze współczesnych publicystów moskiewskich, żaden z krzykaczy tamtejszych „głośnych jak dzwony, i jak one pustych.“ Jakiego przyjęcia w sferach

rządowych doznała ta rozprawa, już wiemy, bo nie napróżno prezes komitetu cenzury pospieszył do Redakcyi *Wiestnika*, „z radą przyjacielską, aby zaniechała opozycji przeciw dążnościom wojowniczym narodu.“ Jakie zaś skutki wywoła w czynach i w usposobieniu „opinii publicznej rosyjskiej,“ dalsza to chyba przyszłość okaże, bo dotąd w Rosyi wszystko idzie torem dawnym, pędząc na oślep ku wojnie, a głos umiarkowany profesora wszechnicy petersburskiej przebrzmiał bez echa prawie, „jako głos wołającego na puszczy.“

Ludwik Kozłowski.

Z LISTÓW

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

DO ADAMA SOŁTANA.

Wiadomo jest, że Zygmunt Krasiński zostawił po sobie bardzo obszerną korespondencję. Oprócz najbliższych, do których, jak do ojca i żony, miał zwyczaj w oddaleniu pisywać codziennie, lubił pisywać do przyjaciół, i lubił w listach mówić o wszystkim, co go obchodziło. Wypadki historyczne i domowe zdarzenia, książka która go zajęła, myśl która wyrabiała się w jego głowie, wrażenia jakie z wypadku, czytania, lub widzenia ludzi czy rzeczy odbierał, wszystko to opisane obszernie, opatrzone uwagami jakie mu się nasuwały, stawało się treścią długiego listu do tego lub owego z przyjaciół. Ztąd rzadka obfitość jego korespondencji, która zebrana razem wystarczyłaby na wiele tomów, ztąd i wielka jej ważność, konieczność po prostu, do prawdziwego i dokładnego poznania jego natury i wewnętrznych dziejów. Jego wyobrażenia filozoficzne polityczne i religijne, jego smak w rzeczach estetycznych, sąd o ludziach rzeczach i wypadkach, jego uczucia i przejścia, wszystko tam jest, wszystko się odbiło, tak że z pomocą tej korespondencji można z zupełną prawie dokładnością oznaczyć, jakim Krasiński był w każdym roku od początku swego zawodu aż do śmierci, co, jak i pod jakimi wpływami, myślał, czuł lub robił.

Dotąd z tych niewyczerpanych materyałów do jego życia i komentarzy do jego dzieł, skąpe tylko wyjątki ogłoszone były drukiem. Sama trudność zebrania z różnych rąk i uporządkowania tego mnóstwa listów tłómaczy dostatecznie dlaczego one dotąd wydane nie są. Po tej następuje trudność druga, wybrakowania listów zupełnie obojętnych, do druku nie przydatnych: wreszcie nieuniknione przy ogłaszaniu wszelkich papierów poufnej natury względy na osoby o których w nich jest mowa, wszystko to sprawia, że korespondencya ta nie mogła być wydana pospiesznie i bez głębokiego namysłu: i dziś znamy z niej tylko niezręcznie wyjęte urywki ogłoszone w Paryżu wkrótce po śmierci poety, i kilkanaście lub najwięcej kilkadziesiąt listów drukowanych tu i owdzie po różnych piśmach i publicznych, szczęśliwych, ile razy mogły podać czytelnikom swoim rzeczy tak same w sobie głębokie i piękne, a rzucające tyle światła na osobę, sposób myślenia, i historję piszącego.

I naszemu *Przeglądowi* zdarzył się parę lat temu taki traf szczęśliwy, a dziś on się powtarza. Z wielkiej łaski i uprzejmości hr. Michała Sołtana mamy w ręku wszystkie listy Krasińskiego do jego ojca (zmarłego hr. Adama), wraz z pozwoleniem zrobienia z nich użytku, o ile się temu inne względy nie sprzeciwiają. Pospieszamy więc, składając tu najgorętsze dzięki komu należy, podzielić się z czytelnikami naszymi niektórymi chociaż wyjątkami z tej bardzo zajmującej korespondencyi, zanim całość znajdzie się kiedyś w pożądanym zbiorze wszystkich listów poety.

Obejmuje ona dwieście dwadzieścia i dziewięć listów, i długi przeciąg lat, bo od roku 1834 aż do śmierci Krasińskiego, czyli wszystkie lata jego czynnego życia, a charakterem różni się znacznie od listów dotąd nam znanych. W tych przywykliśmy widzieć Krasińskiego rozważającego poważnie w uroczystym a czasem nawet nieco pompatycznym stylu wszystkie fenomeny i zagadnienia życia, wszystkie systemy filozofii, wszystkie wypadki lub doktryny polityczne. Najczęściej traktuje on takie kwestye ogólne, a przynajmniej od szczególnych lub osobistych łatwo i z upodobaniem do takich przechodzi. Można się z nich dowiedzieć, co on myśli o „dniu dzisiejszym“ Europy i co o jej przyszłości, co o kościele i ojczyźnie, o Rewolucyi

i Socyalizmie, co o Homerze albo o Szekspirze, o dziełach de Maistra albo o Messyanizmie, o mistycyzmie albo o magnetyzmie: mało można dowiedzieć się tego, co on myśli o sobie, o swoich różnych stosunkach, o ludziach, z którymi się w życiu spotykał. Korespondencya z Sołtanem jest inna. I tu wprawdzie mówi Krasiński o wszystkim, co ma w sercu i w głowie, przede wszystkim więc o Polsce, o tem co dziś w świecie widzi i czego się nadal spodziewa lub lęka, i tu wspomina o bieżących wypadkach wywodząc z nich wnioski i przewidywania, i tu napomknie coś czasem nawet o swoich dziełach. Ale to wszystko zajmuje mniej nierównie miejsca niż w listach do innych przyjaciół, a za to więcej daleko i obszerniej i swobodniej mówi o tem wszystkim, co dotyczy jego samego. Czy żołnierska natura i postać pułkownika Sołtana usposobiła go do większej otwartości, czy może czuł potrzebę zwierzenia się ze wszystkim przed starszym przyjacielem i krewnym, który był dla niego moralną powagą, i pragnął jego aprobacji dla swoich myśli, zamiarów lub postępków, czy może, rozpisawszy się do woli przed innymi o religii, filozofii, polityce i historii, potrzebował bodaj przed jednym rozwodzić się o sobie samym, dosć, że kwestye ogólne stoją w tej korespondencyi na drugim planie, a na pierwszym Krasiński sam, różne wypadki jego życia, różne jego uczucia, pragnienia, cierpienia i zwierzenia. Cokolwiek mu się zdarzy, od najgwałtowniejszych uniesień czy rozpaczy miłosnych, aż do najdrobniejszych wypadków towarzyskiego życia, wszystko opowiada, ze wszystkiego się spowiada przed Sołtanem. Wynika z tego, że do pragmatycznej historii jego życia korespondencya ta jest źródłem nieocenionem i nieprzebranem, a do historii jego uczuć jest niem także, jeżeli nie cała, to przynajmniej przez jakie lat sześć lub osiem. Przyszły biograf Krasińskiego znajdzie tu nie wiele komentarzy do Irydiona lub Psalmów; dwa listy tylko wyglądają jak pierwsze powstawanie tych myśli które stały się *Przedświtem i Psalmem Miłości*, ale życia poety bez tych listów dokładnie poznać i opisać nie zdoła.

A oprócz tych wielkich i pięknych, już dobrze znanych stron jego geniuszu i charakteru, pozna i inne, których się może nie domyślał. Że się tu przebijają wyraźnie szlachetna dobroć, przyjaźń niezachwiana, wytrwałość niezmordowana gdzie

idzie o dobro drogiego przyjaciela, to nie dziwnego. Piękne i poważne strony w charakterze Krasińskiego mogą nas zachwycać lub budować, ale nie dziwić. Co jest dziwne, to ton potoczny a czasem wprost rubaszny tych listów. On, który przyzwyczaił nas do tego stylem nietylko dzieł swoich, ale nawet swoich listów, że wyobrażamy go sobie zawsze przemawiającym trochę jak z trójnoga, wydaje nam się dziwnie, kiedy mówi jak każdy z nas, i o rzeczach o których każdy z nas mógłby mówić. I więcej nawet: bo uroczysty majestatyczny styl Irydiona, kiedy schodzi z wysokości, nie przestaje na tem że jest potocznym, ale nabiera czasem takiej energii wyrażen że huzar zawahałby się nieraz, zanimby podobnych użył z piórem w rękę. Otwartość i szorstkość słowa nie mogą już iść dalej. Biada ludziom płytkim lub płaskim, którzy mieli nieszczęście do niego się zbliżyć: epitet *batwana*, *blazna*, *durnia*, będzie może najłagodniejszym ze wszystkich, jakie na nich spadną. A kiedy go oburzy człowiek podły albo kobieta nikczemna, to wtedy otwartość jego stylu posuwa się do wyrażen tak mało parlamentarnych, że ich żadną miarą nawet z zastrzeżeniem „uczciwszy uszy“ powtórzyć nie można. To rąbanie prawdy i śmiałe nazywanie rzeczy po ich najmniej wyszukanem, najgrubszym imieniu, zestawione z jego zwykłym sposobem pisania, wygląda zabawnie i dziwnie. Nie mniej dziwnem w porównaniu do jego poważnego, smutnego usposobienia wydaje się to, że on w pewnych chwilach nie gardzi drobiazgami życia, ale o nich rad słucha i pisze. Bawi go jakaś śmieszność, jakieś głupstwo, jakaś niezgrabność towarzyska lub jakaś romansowa intryga; widocznie potrzebuje się czasem roześmiać. Wesołym on nie jest nigdy, ale chwilami się rozpogadza, i albo śmieje się z tego co mu doniesiono, albo sam z humorem, z komiczną weną opowiada. Chwile to rzadkie bardzo, ale że w jego dziełach nie trafiają się wcale, a w znanych nam dotąd listach podobnie, więc z ciekawością wielką i z zajęciem czyta się ustępy, z których można powziąć wyobrażenie, jakim mógł być dobry humor Krasińskiego, kiedy się czasem przypadkiem przelotnie zjawił.

To przecież, to rzeczy drobne, które korespondencyi zdolne są dodać ledwo cokolwiek lekkiego zajęcia. Wartość jej poważna i wielka tkwi w tem, że widzi się tam tę samą zawsze

naną wielką duszę, miotaną i szarpaną różnemi uczuciami i wrażeniami, a zawsze siebie godną: ten sam] umysł potężny zajęty różnemi przedmiotami, potrącany różnemi wpływami, a zawsze sobie równy—że obok znanej wielkości widzi się tyle powszedniejszej na świecie, ale u wielkich ludzi dość rzadkiej, a u nich właśnie tak pięknej dobroci i czułości. W listach Krasińskiego do Sołtana nie znajduje się tyle może co w innych sposobności do podziwiania wielkiego genialnego myśliciela i poety, i do gruntownego poznania jego myśli może one nie są niezbędne, nie wiele pomagają. Ale potrzebne są i bardzo do czego innego, pomagają przywiązać się do człowieka.

I.

Kiedy się korespondencja zaczyna, 24 grudnia 1834 r., poeta jest] we Włoszech w towarzystwie dwóch ukochanych przyjaciół, Danielewicza i Jaroszyńskiego, i jest... zakochany. Oddzielony całą długością Europy od téj którą kochał, pozbawiony wszelkich od niej wiadomości, niespokojny, trapiiony złemi przeczuciami, nie może sobie dać rady. Nie wiedząc już jak ukoić czy oszukać swój niepokój, idzie po wróżby. Do cyganek czy do jasnowidzących? Nie, do zakonnic jakichś w Neapolu, które nazywa *Trenta Tre*. Sam niewierzy w to co robi: „Im bardziej człeka silna wiara odstępuje“ — pisze — „tem bardziej staje się podejrzliwym i zabobonnym. Człowiek „taki potrzebuje coś kochać i w coś wierzyć, i w końcu w sa- „mego diabła uwierzy.“ Przecież idzie, pyta, a kiedy odpowiedź wypadła smutno i kazała obawiać się czegoś złego, „prorokowały mi śmierć pani....“ przez długi czas zostaje pod jej wrażeniem i lęka się tej wieści której całem sercem pragnie. W tem usposobieniu, do tego chory na oczy, czarno widzi wszystko, a zwłaszcza siebie samego, swój talent i swoje życie: „Żebym kiedy pisał Odeę do mojej Młodości, tobym tak „zaczął: „O ty stara babo!...“ „I ja także jestem w pewnem „rozumieniu wygnaniec bez losu i celu. I mnie zawarła się „brama życia przed nosem. Samą nadzieją żyć trudno, żyję „więc nicością najczęściej. Ale nie bez goryczy, nie z przy- „staniem, bo chciałbym być nie zupełnie niczem.“ Ale że nie

jest tak zupełnie zniechęconym, że wie, że nie jest *zupełnie niczem*, dowodzi choćby prośba do Sołtana żeby mu doniósł, co myśli o *Nieboskiej komedyi*. Że zaś w tem powszechnem rozstrojeniu i zwątpieniu o poezyi nie zwątpił i trzeźwo na nią patrzeć umiał, za dowód niech posłużą następujące słowa: „To mnie nieraz dziwiło na świecie“ (z Neapolu w kwietniu 1835 r., List V), „ilu tu waryatów i głupców porobiła poezya. Kiedy człowiek, który się *positif* urodził z łaski Pana Boga, chce się poetycznym wydać, to dziwolągi nadzwyczajne z siebie robi. A..., S..., i inni są tego przykładem. Naprzód, „dobrego instynktu poetycznego nie mają, bo nie jest im dany; „zatem wciąż fałszywie postępują. To osobiwie ich uwadze „wymyka się, że prawda jest podstawą poezyi, że bez prawdy, „ale to najściślej, poezyi nie ma, że gdzie jej nie ma, tam „się nic nie sprowadzi: tylko sama śmieszność przyjdzie i zamiast bohatera będzie buffon, zamiast pięknej wśród pięknych „będzie garderobiana! Tacy ludzie tak robią poezyą, jak kiepski szewc buty; tę jednak nad szewcem wyższość zachowują, „że buty ciasne bolą, a ich śmieszność zdrowia nam przysparza, rozśmieszając nas. Bądźcie więc błogosławieni wszyscy „młodzi bohaterowie, którzy sądzą, że dosyć machać rękami i językiem na to, by poezyą sprowadzić! którzy jeżdżicie „po nocach, szeplenicie po salonach i na góry wśród wichrów „się gramolicie w waszych natchnieniach, samym sobie rozkosze miłości własnej a nam przyjemne sprawiacie godziny. „Ale Cervantes to był wielki człowiek! Jego Donkiszot to „nieśmiertelny utwór żyjący wciąż, dopóki świat żyje. Ale strona „szkaradna tej samej rzeczy to, że jeden wielki geniusz staje „się zaraz warunkiem koniecznym tysiąca małych i poliszynelów! „Tak, iż się wydaje, że natura tylko pod tą kondycyą spłodzić „może coś wielkiego i pięknego, by zaraz potem nastąpiło „głupstwo i słabość, niby spoczynek po wysileniu. Tak naprzykład lord Byron jest ojcem tysiąca głupców, a co ich jeszcze „narodzi, to nie wiem.“

W poezyi nie przepuścił on fałszywych natchnień i aspiracji nawet głębokiej i potężnej postaci hrabiego Henryka; w potocznem życiu i w potocznej prozie nie przepuszcza widać tym, którzy układali już nie dramata ale miny przed zwierciadłem. A czy się domyślał, że ta głęboka prawda, którą

którą wyrzekł, stwierdzi się i na nim także, że i on jak Byron, którego stawia za przykład, będzie „ojcem wielu głupców,“ „początkiem wielu małych i poliszyneli?“ że ten „spoczynek po „wysileniu,“ „słabość po wielkości“ będzie historią i naszej poezji także, i że to prawo w naturze mocą którego jedna po drugiej następuje, wytłómaczy także i jej upadek, i to zaraz po jego śmierci? Domyślał się, czy nie, czy przewidział fakt, czy go nie przewidział, zawsze w tych kilku słowach dał jego wytłómaczenie.

Ale nad wszystkim, nad poezją i własnymi dziełami, nad Włochami i ich pięknnością, góruje miłość. Zrazu niespokojna, trwożna, pełna złych przeczuć; potem płonąca, rozta-piająca się w uniesieniach szczęścia. „Zastałem ją dwa razy „tyle kochającą mnie co dawniej. W życiu mojem zapewne „już takich dni szczęśliwych nie doznam więcej. Może ci miło „będzie wiedzieć, że ten, który cię kocha, dostał się do raju i z raju do ciebie pisze“ (List XIII). Ale niebawem nastają przykrości, ludzie prześladowają, własne sumienie nie daje pokoju, i te „chwile jedyne a minione,“ których pamięci poświęcony był Irydion, minęły prędko. Naprzód list jakiś do Zygmunta od jego ukochanej pisany, dostał się na pocztę do rąk jakiegoś niegodnego awanturnika, który nosił to samo nazwisko i haniebnie tego przypadku nadużył; list otworzył, przeczytał, czytał ludziom, chwalił się nim niby do siebie pisanym. Potem, na komorze austriackiej w Salzburgu, poeta wzięty za kogo innego (i za Krukowieckiego jeszcze), wleczony był do urzędów, jego papiery i listy zabrane. Nieboską Komedją tylko ocalił chowając ją w buty. Wreszcie, co najgorsze, ludzie zaczęli się znęcać nad kobietą którą kochał i szarpać jej sławę. „Zastałem ją w najokropniejszym stanie i raj mój niebieski prysł odrazu — pisze z Tryestu 12go sierpnia 1835 r. „(List XIV) — Polki, pani G..., o której ci wspominałem „i drugie, były w Ischl. Nie ma potwarzy, szyderstwa, złości, „któraby nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G... zlepią „z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłe- „mi wdzięki, wściekła że kto inny piękny i kochany, pod „maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamiąca, roz- „dzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca! Dni tam spędzone były mi piekłem. Dopiero wieczorem odpoczywałem,

„kiedy wszyscy posnęli: w tym salonie na wieki pamiętnym, „wśród krzewów hortensyi, przy pół-świecie lamp, przy blasku „jej łzawych oczów. Tam jej cała dusza tyle szlachetna i dobra „na łzy roztopiała się przedemną; tam ją umęczoną za to że „kocha, pokochałem, jeszcze więcej niż wprzód. Ale czułem „święty obowiązek, srogą konieczność wyjechania, by nie szko- „dzić jej sławie. Ona zaklinała by zostać, bo kochała nade- „wszystko. Ale stało się: wyjechałem przeklinając świat i po- „dłych i nędznych, którzy mszczą się na tych, co czują, za to, „że sami nie czują nic, którzy będą lizać stopy pierwszej me- „tressy pierwszego króla, a rzucają potępienie na duszę naj- „szlachetniejszą! Ale dosyć o nich, dosyć o psach. Wróćmy „do ludzi. Zostawiłem ją w rozpacz, taki koniec raju mego „Adamie! Jestem jak potępiony. Nigdy nie kochał, nie wie- „dział co to kochanie; dziś dopiero, zstąpiwszy do piekieł z nie- „bios, to poznałem. Dziś dopiero, chodzę po spiekłym bruku „tego miasta i chciałbym się położyć i skonać na nim, tak „mi dolega każda chwila bez niej. Jeżeli były jakie błędy, „Bóg je nam przebaczy. Trudno tyle walczyć co ona, a tyle „kochać i szanować i czuć, co ja.“

A im dalej, tem ból większy, tem sroższe zgryzoty. „Twój list“ — pisze z Wenecyi (bez daty List XV) — zastał „mnie w Wenecyi w jednej z tych kryzys, które kończą się „zwykle szaleństwem lub śmiercią. Słaby jestem bardzo, mam „gorączkę okropną, źle mi się dzieje. Świat, który od kolebki „mnie napastował i krzywdził, nie wiem za co, i dzisiaj wlaźł „mi pod moje oktarze i tam mnie przedrzeźnia i psuje mi „szczęście. Ona, jeśli w tych dnia nie straci zmysłów na zawsze „to cud boski. Ach jakże ona nieszczęśliwa! Ale nie przeze- „mnie. Świat! świat, cette idole couverte de clinquant et remplie „de boue, ją rozszarpał i zabił. Jam mu nie hołdował, on się „mści. Ja w Wenecyi, ona w Tryjeście. O to prosiła, by niby „zwieść tych, co ją prześladowają! Ona myśli, że im się opędzi, „tym psom zajadłym! A Bóg świadkiem, że to nie była istota „co zasłużyła na potępienie. Walki jej rozpaczniemi były, nigdy „walczyć nie ustawała, ale świat nie pyta o to....“ „Ten rok „wielką zmianę we mnie sprowadził. Miałem chwile takie nie- „bieskie! i takie piekielne także! Szatan kusił mnie kilka „razy samobójstwem! Terrible tentation: tentation des tenta-

„tions! Powiedz mi, co ta ziemia, co ludzie, co ja im zrobiłem, że od dzieciństwa tylko ich obelgi lub przekleństwa słyszałem? Tyś mnie kochał, kilku mnie kochało, prawda. Ale ci wszyscy, żeby mi tak zabić moją biedną, moją kochaną, w moich objęciach, żeby jej przeciąć na ustach słowo *kocham* słowem hańba! I wszędzie, wszędzie ta hańba! I któż je wymawia? Podli, podłe, łgarze! Kto sam czysty, ten nie potępi bliźniego, ten czeka sądu Boga.“

Ten bezład myśli, te skargi i jęki to najprawdziwszy, najwymowniejszy język rozpacz i język prosty. O prawdzie ówczesnych uczuć Krasińskiego wątpić niepodobna. Tak nie mówi miłość udana, ani miłość wmówiona w siebie, ani umyślnie przesadzona, tak mówi prawda, i to co się udawać nie daje, cierpienie. I to cierpienie nie ustaje, owszem rośnie. W innych listach biedny poeta boi się, że skończy na samobójstwie, to znowu chciałby ją porwać i unieść gdzie daleko, gdyby nie dzieci, których ona ojcu odbierać nie chce; albo unosi się nad jej szlachetnością i godnością tak, że nieraz „nie już z miłości ale z admiracji „chciało mu się upaść jej do nóg.“ Wreszcie przychodzi chwila rozstania. „Ona wyjeżdża za dziesięć dni. Ja zaraz potem. „Ile wycierpiałem, nie masz wyobrażenia. Ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto mieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej niż sił przysparza. Co mi najmilszego z tego wszystkiego zostało, to to wyobrażenie, że szlachetniejszej kobiety nie ma na ziemi, to to przekonanie, że takiego serca daremnobym już szukał w życiu. Ah! co mi życie zatruwa, to, że ona uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie więc, co ją czeka. „Ale za obowiązek uważa odwieźć dzieci mężowi i cierpieć. „W ten rodzaj expiacji widzi. Ale sił nie będzie miała, i umrze, i *Trenta Tre* się sprawdzą. Już teraz po kilka razy na dzień mdleje, bleda jak trup lub rozgorączkowana jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka! Ludzie to zowią błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż jeśli ten błąd już w samym sobie swoje piekło zawiera? Jeśli kwiat przez to samo, że się rozwinął na chwilę, schnąć i umierać musi? Biedny to świat, w którym jedyne szczęście przewali zbrodnią; biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać musi...“ „Addio. Za kilka dni skończy się mło-

„dość moja, wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa „bytu: *Rozum*, jak mówią ludzie, *rozsządek!* co u niektórych znaczy *podłość*, u niektórych *głupstwo*, a u bardzo „mało *cnotę*.“

Drukując te słowa, doznaje się pewnej obawy. Co innego czytać w Niedokończonym Poemacie o tych samych uczuciach i dziejach poetycznie przerobionych, a co innego chwycić je żywcem w Listach poety i tak jak były, tak jak każdej chwili w sercu jego były, wywlekać i pokazywać. Czy się nie robi źle? czy to nie profanacja? nie okrucieństwo, którego wprawdzie nie czuje ten co pisał, ale którego za życia nie byłby darował. On pisał z głębi swojego żalu, każde słowo jest jękiem, każda litera łzą, a my patrzymy na to i wystawiamy na widok publiczny chłodno, dlatego że te listy piękne! Czyż wielcy ludzie dlatego że wielcy, nie mają tego prawa jakie ma każdy, do poszanowania tajemnicy najtajniejszych uczuć? Nietylko pogarda, każde uczucie prawdziwe „ma swe panieństwo“ i przed ludźmi pokazywać się nie lubi, a cóż dopiero miłość. I poeta może tym razem „zamiętniłby się w przekleństwo,“ gdyby wiedział, że jego rozkosze i skargi dostały się do rąk wszystkich, jak rzeczy powszednie, obojętne, jak gazeta!

Nie dla prostej ciekawości też, ani z zamiłowania pogrobowego plotkarstwa o zmarłych wielkich ludziach, szperania w każdym ich uczuciu i wyciągania gwałtem na wierzch wszystkiego, co się kryło w ich sercu lub myśli, ani przez zimną tylko admiracją dla pięknie wyrażającego się cierpienia, przytoczyliśmy te wyjątki. Dla takich względów tylko nie bylibyśmy się poważyli wydobyć ich z milczenia, które byłoby dla nich najlepszym sposobem uczczenia, najwłaściwszą formą współczucia. Ale zdawało nam się, że wyjątki niektóre z tych właśnie listów Krasińskiego ogłosić można, a nawet trzeba, bo one lepiej niż cokolwiek innego odpowiedzieć mogą zwyciężko na pewne o nim mylne i niekorzystne wyobrażenia. Mniemamy zwykle, że w swoich stosunkach miłosnych on miał zawsze siebie na celu, że jego szczęściem było patrzeć z dumą i rozkoszą na uczucie, które wzbudził, czy dla kobiety to uczucie było szczęściem lub nie, że był względem kobiet egoistą. Egoistą? zapewne, jest nim zawsze do pewnego i to wysokiego

stopnia każdy mężczyzna, kiedy kocha kobietę zameżną i chce od niej być kochanym; ale Krasiński w tym stosunku okazuje się mniej samolubnym, szlachetniejszym od wielu, nie budującym zapewne, ale bardzo wzniosłym. Kiedy pyta, jak żeby o tem wątpił, „czy stosunek taki jest błędem,“ on oczywiście myli się i łudzi bardzo. Błąd jest zawsze. Tylko bardzo mało, bardzo rzadko kiedy dwie istoty ludzkie zdołały, błędząc, pozostać tak szlachetnymi i godnymi, rzadko związek taki, którego chwalić ani bronić się nie godzi, zasługiwałyby tak jak ten przez piękność i wzniosłość obustronnych uczuć na współczucie, chciałoby się nieledwie powiedzieć, na uszanowanie. A jeżeli tego związkowi samemu przyznać nie podobna, to znowu niepodobna odmówić go tym dwojgu ludziom cierpiącym i walczącym: kobiecie, która ma odwagę oskarżyć się sama przed mężem, bo w tej szczerości widzi i rodzaj expiacji i godność; mężczyźnie, który ten popęd jej serca rozumie, ocenia, i tej potrzebie jej sumienia szczególnie swoje poświęca. Ona zapewne w tym stosunku wyższa, bo cierpi więcej i zdobywa się na większy heroizm; ale i on wysoki. Że natury najszlachetniejsze mogą zbłądzić, to rzecz wiadoma. Ale kto w błędzie tak czuje i tak postępuje, ten ma prawo, żeby go w samym błędzie szanować. Bo jeżeli cierpienie jest okupieniem grzechu, to cierpienie szlachetne i wielkie ma w sobie tę władzę, że przy niem sam upadek nie jest nigdy zupełnym i niskim.

I ta strona uczuć i związków Krasińskiego pokazuje się tak jawnie zdaniem naszym w tych jego listach, że po niejakiem wahaniu poważyliśmy się dać z nich wyjątki, na dowód wielkiej szlachetności i jego i tej którą kochał, na odpowiedź tym, którzy sądzą że miłości jego były nierzetelne, niezupełne, samolubne.

Przebywa potem Krasiński w Niemczech. W lecie u wód, bądź z ojcem, bądź z Danielewiczem, bądź sam: w zimie w Wiedniu: zajęty różnemi rzeczami i o różnych piszący, ale zawsze jednakowo smutny. Martwi go naprzykład, korci, nudzi, a czasem wstydzi, to co polskiego zagranicą widzi, i to co o Polakach z kraju słyszy. „Co to Polska dzisiaj!“ — pisze z Pragi w Sierpniu 1836 (List XXV). — „Jak wszystko „się płaszczy, jak wszystko przekupne, jak wali się z pieca „na łeb ostatek godności narodowej, jak z nędzy i hańby po-

„wszechnej korzystają Niemcy i żydzi!... Zewsząd Polska się „wali — z Pragi 5 sierpnia 1836 (List XXVI) — zagranicą „głupstwem wielu, gałgaństwem niektórych. W samym kraju „przemocą z góry i podłością samych mieszkańców... Wieża „Babel zdruzgotana gromem, której budownicy rozbiegli się „po świecie i już siebie nie zdołają zrozumieć: każdy co in- „nego plecie: ten o dziegach, tamten o ludzkości, ów o chło- „pach, inny o dyplomacyi, a w rzeczy samej o Polsce nikt „już nie wspomina, nikt nie wie, gdzie ona i czego jej stan wy- „maga. Serce się kraje na taki widok, bo demoralizacya na- „rodowa coraz szybszym postępuje krokiem. Coraz do żydów „podobniejszymi się stajem, coraz bardziej sine plamy śmierci „na naszym trupie rozlegają się i wyciskają. Powtarzam, w ta- „kim stanie rzeczy Stoicy starożytności jedni tylko radę sobie „dać umieli: po odbytej biesiadzie kładli się do łóżka, a na- „zajutrz rano niewolnicy zastawali sztylet po rękoejść wbity „w ich serca. Kto z potokiem walczyć nie może, a nie chce „spodlić się mułem jego brudnych fal, ten powinien scenę po- „rzucić. Żyć, by jeść i pić hańbę, by wypaść się hańbą, stać „się nareszcie karmnym wieprzem na braże spodlenia, nie „warto! Większa część ludzi powie, żem szalony, ale Ty tego „nie powiesz, bo jesteś jeszcze z małej liczby pozostałych „w dzisiejszym świecie ludzi, którzy wierzą w czucia głębokie, „w honor, w pewne myśli święte, więcej warte niż grosz lub „cielesne używanie życia. Ale strach mnie ogarnia, bo takich „ludzi przez Boga! już mało bardzo: coraz mniej ich i mniej. „Każdy dzień nową garstkę podłych i skąpych i chciwych „i w nic nie wierzących przynosi, a zabiera szlachetne istoty, „czy przecinając ich życie, czy też przemieniając ich na podleców „i tchórzów niewymowną siłą okoliczności i zwątpienia. Kiedy „obejrzę się na około, zdaje mi się, żem w pustyni i że coraz „samotnieję bardziej. Zobaczysz, że pod koniec życia oddadzą „nas do szpitala waryatów. Rzuć wzrokiem na nieszczęśliwą „ojczyznę naszą rozsypaną po ziemi od Dżwiny i Dniestru po „brzegi Afryki, kogo spotkasz? Awanturników bez czci i wiary „tam, gdzie gorętsze słońce: spokojnych ludzi bez czci ró- „wnież i wiary tam, gdzie bledsze i chłodniejsze, następnie „masę nieszczęśliwą, nędzną, w mękach oddającą ducha Bogu, „który nas opuścił. Wszędzie parcie okropne przeznaczenia,

„brak powietrza, czarno, duszno, jak żeby dzień ostatni sądu się zbliżał, a na nim ród polski miał być potępionym.“ Jakkolwiek jest się przyzwyczajonym do jego smutku, to tak ponurym widzi się go rzadko: przypominają się groźne przeczucia Nieboskiej lub zwątpienia *Trzech myśli Ligenzy*.

Chwilami rozpogadza się niby na krótko, naprzykład kiedy opisuje swoją kurację w Greffenburgu: („Nie wiem, czy ci „wspominałem w przeszłym liście o miłym położeniu, w którym jesteśmy. Co noc o 11 lub 12 muszę wracać od Danielewicza po drodze, na której mego Jana (służącego) wywrócono, skaleczono w głowę i w rękę, i na której drugim przydarzyło się to samo w tych czasach. Jest to droga w wąwozie, krzaczkami poprzerywana, pełna głazów dużych i kryjówek. Zrazu trzeba iść koło cmentarza, potem wśród pól; na zakręcie drogi są dwie mogiły, jedna po wisielcu, druga po takim co sobie w łeb strzelił. Otóż w miasteczku rozdwojone zdania. Burmistrz, oberżysta, słowem Honoratiores et doctiores, twierdzą że to rozbójniki, łotry, przemycnicy, ludzie jednym słowem, którzy Jana poranili. Furman zaś, pracza, córki krawca, i ogólnie płeć piękna utrzymują, że to ci dwaj samobójcy, przywodząc na dowód tego powieści przeszłoroczne jedne straszniejsze od drugich, a w tem niesmaczne, że wszystkie na kijach albo na ranach się kończą, i to zawsze na tem samem miejscu, na zakręcie drogi. Dopóki trzysta osób jadało w sali Greffenberskiej, dopóki świeciły gwiazdy lata, dopóki chadzaliśmy po tej drodze z piękną Adelaidą Reichenbach i z jej ciotką, nic nie było słyhać o widmach ani o złodziejach. W tem rozjeżdżają się hrabiowie i hrabiny, baronowie i oficerzy, ja i Danielewicz sami jesteśmy, zima góry śniegiem przyprósza, drogi błotem: zimno, głucho, samotnie się robi; cholera coraz bliżej nas ściska... Wtedy jawią się rozboje, powstają widma, strachy, otwierają się groby, tysiące powieści wydobywa się z ukrycia, okolica zamienia się na Pandemonium. Wszyscy coś trupiego mają do opowiadania: pocztylion w rowie spotkał umierającą babę i dalej pod krzyżem dziecko umarłe z cholery; rymarz wracając z pola w nocy obalony został na ziemię, i ktoś mu nożem na czole wyrznął cierniową koronę. Burmistrz na to opowiada, jak przed laty gdzieś w borze spotkał cyganów i wielkie

„męstwo pokazał dobywszy szabli i uciekłszy co żywo przed „nimi. Temu stanął zegarek, choć nie pękła żadna sprężyna. „Piekarzowi nie udały się bułki, u doktorowej drób zdycha, „a mąż choć przyrządza pigułki, nie może pomódz. Taki jest „obraz dni smętnych, które spadły teraz na miasto szląskie „imienia Freywaldau. Co dalej będzie nie wiem: to wiem tylko, „że co noc z pistoletami wracając do domu, upatruję wszędzie „wisielca, i gotówem z niego zastrzelonego zrobić.“

I w innych listach żartuje niby, ale jakież to smutne żarty! „W tych dniach — pisze raz bez daty (List XXXII) — „los mojej duszy się rozstrzygnie. Albo wzbudzę w niej iskrę, „albo zebrawszy wszystkie siły stworzę sobie jakąś postać do „kochania idealnie i ubiorę ją w kształt, albo też przekonam „się, że m głupi na wieki, i każę sobie zrobić maleńki sarkofag „z szylkretu z napisem dnia, w którym pożegnałem ją, a pod „spodem będzie: „*dzień śmierci rozumu mojego*.“ Ale potem „co zrobię? czy świnie paść będę? czy strzydz owce? czy się „wykieruję na dobosza? czy jak mój stryj garków fabrykę za- „łożę? Tyle dróg przedemną, a ja się waham? Nie, nie. Spra- „wię sobie portki á la Général Alexandre, i płaszcz duży, „i będę z niego bułki sypał wiedeńskim łazarzom. Albo, oze- „nię się z brodawką, kołtun spłodzę, i za to zrobią mnie po- „wiatowym marszałkiem. Odbiję S... który się dotąd nie ożenił, „ożenie się z panną... która mnie tak wiernie kocha, osiedzę „w Rzymie, kaczki z Galicyi sprowadzę do Kolizeum, i będę „przepisywał elegie mojej żony nad niemi.“

Ale ten, który sobie pociechy znaleźć nie może, ma zdolność dziwną i błogosławioną do dawania jej drugim. Pułkownika Sołtana dotknęło nowe nieszczęście. Od emigracyi już rozłączony był z dziećmi. Synowie na rozkaz Mikołaja wywiezieni byli do Moskwy i oddani do szkoły kadetów, choć najmłodszy miał podówczas zaledwo trzy lata. Córki chowały się w Kamieńcu w klasztorze Wizytek. Teraz młodsza z nich umarła. Oto co pisze Krasiński do biednego ojca, kiedy się o tej jego stracie dowiedział (z Wiednia 12 listopada 1836. List XXIII). „Bieona twoja maleńka szczęśliwsza od nas wszy- „stkich. Śniło jej się tylko, że była na ziemi, i po nocy jednej „obudziła się napowrót w domu. My zaś nie jedną noc jeszcze „mamy. Nic czystszeo, nic bardziej błogieo jak zgon dzie-

„cięcia. W późniejszych latach, wśród pokus życia i trudów „jego umierać, to inna sprawa, bo już duch nasz przyrósł do „ziemi, przylgnął do ciała, stał się człowiekiem zupełnym. „Wtedy są zapasy ciężkie w godzinie ostatniej, wtedy prawdziwie „wzduchem wędrujemy na łożu śmierci, bośmy prawdziwie „wici byli. Ale ona, ta biedna mała święta twoja, był to „pączek tylko, który śmiercią w różę się rozkwitł, tylko że „niewidzialną dla nas. Pewno konając nie żałowała nieznanego „świata: może jej przyszła myśl o ojcu dalekim jak przez „mgłę ponurą, a w tem pękła mgła i gdzieś ujrzała się w błę- „kitach, i wtedy jasno oczkami anioła ujrzała ojca ziemskiego, „i rączki ścisnąwszy, za nim udała się do niebieskiego. Kiedy „na wiosnę przynosić ci będą kwiaty, pomyśl że taki jeden „świeży i południowy masz w niebie, którego wonią są modły „i pieśni za tobą. Nie płacz nad jej zawczesnym zgonem, ale „mów raczej „manibus date lilia plenis“... „Pytasz się“ — pi- „sze w liście następnym — „czemu jeśli wszystko duch boski „przewidział, posyła dusze na ziemię i po kilku dniach nazad „je bierze? Już dni kilka cielesnego bytu są pokutą dla du- „szy. Im jej natura czystsza była, tem mniej takich dni prze- „pędza na świecie, tem mniejszy ciężar ciała dźwiga. Ztąd „przysłowie Greków: „Tego ukochały Bogi, co umarł za młodu“: „ztąd wiara katolicka, że dziecię kiedy umiera, to być musi „Aniołem. Znać po znikomości kary niewinność ducha: znać „że drobne zmazy starła prędko włosiennica ciała, i że nazad „przejrzysta dusza wraca do źródła swego... Temu zaś długie „dni i bóle się dostały, który dla prześląganego sprawiedli- „wości potrzebuje litość jej obudzić. W tym zawodzie dopiero „duch anielski staje się człowiekiem, staje się mężem. Dziecko „znika jak kwiat i odkwita na nowo nie zostawując śladów „żadnych za ziemi: jego natura więcej oderwaną jest od świata, „więcej boską, mniej ludzką zatem — i zasługi nie ma, (prócz „obleczenia się w materią bolesną), bo ledwo było przestęp- „stwo jakie w niem. Ztąd też godności i wielkości w niem nie „będzie. Dopiero majestat ludzki, bohaterstwo, cnota, wytrwa- „łość, objawia się w tych, którzy od poranku dni swoich do „późnego wieczora krzyż na barkach dźwigali. Oni to w całej „grozie znaczenia wypędzeni z raju, oni wszystkich sił potrze- „bują, by wrócić do niego. Ale im też należy się chwała, cześć,

„szacunek, za trudy i nieskończone bole. Znowu więc kiedy „stoisz nad grobem starca, kiedy ten starzec w ciągu wygnania dotrwał nędzom wygnania i siwe jego włosy były mu „cnoty koroną, o! wierz znowu, że i on jest aniołem. Dziecko „jak woń róży wzniosło się do niebios: starzec jak olbrzym, „ale olbrzym moralny, wdarł się do nich, świadcząc się długą „żałobą i długiem wytrwaniem. Na grobach złych i podłych „tylko płakaćby trzeba. Kto wie, może Bóg w chwilach nieskończonej miłości aniołom swoim każe płakać nad nimi. „Ale na grobie cnotliwych winna być tylko powaga, ogromna, „jak ogromnemi były ich statek i zapasy i radość, nieskończona „jak ich szczęście w niebie! Darmo jednak: to rozum tak „przemawia, ale serce inaczej. Serce nieraz pęka. Im ten, który „odszedł, więcej doznał smutków, więcej mężstwa pokazał, tem „dłużej i smętniej myśli nasze ciągną za nim, pogrzeb jego „nie ustaje w sercu naszym. I błogosławiony ten, który zniknął, i ten który został po nim i płacze, oba kiedyś razem „będą, razem tam, gdzie niesprawiedliwości nie masz.“

W krótkce po dziecku stracił pułkownik Sołtan ojca. Stary Marszałek niegdyś nadworny Wgo Xztwa Litt. nie przeżył porwania wnuków i oddania ich do kadetów. Choroba i śmierć przyszły nagle po tem nieszczęściu. Oto co pisze Krasiński do syna: „Takie życie, mój drogi! na to szanujemy i kochamy „by się rozłączyć: na to postępujem drogą prawą, by nam wszystko odjęte zostało, nawet ostatnie spojrzenie umierających „daleko od nas. Jednak pomyśl, mój drogi, jak gorąco ta dusza „prawa, ta dusza polska błogosławić ci musiała w ostatnich „chwilach, kiedy szukając cię u łoża śmiertelnego swojego nie „znalazła ciebie i pojęła wtedy cały ogrom poświęcenia twojego, cały przedział i gorycz wygnania twojego, a przypomniała sobie, żeś ty nie inaczej tak postąpił, tylko jak syn, „który słuchał uważnie jej słów w dzieciństwie, a w męzkim „wieku te słowa ojcowskie wykonał. Ja wierzę, że każdy umierający ma w chwili przedostatniej rodzaj objawienia, podczas „którego jeszcze czuje zmysłami człowieczemi, a już widzi „świat ducha... Wśród takiej zorzy umierając, twój sędziwy „i tyloma kolejami skołatany ojciec, musiał ujrzeć ciąg lat „swoich i cały szereg nieszczęść kraju, które tak zacie i szlachetnie od kolebki do grobu podzielał, a nie ujrzał chwili,

„w którejby miał sobie co do wyrzucenia, a nie ujrzał chwili, w którejby syn jego danego przezeń przykładu odstąpił. Czyż myślisz, że takie poczucie się do własnej godności nie było mu najwyższem szczęściem, i że śmierć taka nie lepsza od tysiąca życiów innych? O pewny, jestem że umierał spokojny, błogosławiąc Polsce i tobie: a kiedy ujrzał w pełni lice Anioła Pańskiego poszedł za nim bez zwłoki i bez trwogi, żadnej. Bądź dobrej myśli, bo on teraz bliższy ciebie, niż bywał od lat sześciu. Dla niego rozdziału już nie ma z tobą: Ty go nie widzisz, ale wznies myśl ku światu duchów, a uczujesz go. Ty tylko jesteś na cudzej ziemi, wśród obcych, ale on już w domu.“ (List XXXVI z Wiednia, bez oznaczenia dnia, ale pisany z pewnością ostatnich dni grudnia 1836 lub pierwszych stycznia 1837.)

Zima ta z r. 1836 na 1837 przeszła w Wiedniu. Dla czego tam? Nie z upodobania ani dla przyjemności, bo te byłyby poetę zawiodły do Włoch. Może jaka potrzeba, może powolność życzeniom ojca, dość że siedział w Wiedniu, a nudy przykrego pobytu słodził sobie szlachetnem usiłowaniem. O wydostaniu synów Sołtana z korpusu kadetów oczywiście nie można było ani marzyć. Ale jego pozostała córka (dzisiejsza hrabina Alfonsowa Sierakowska) wychowywana w klasztorze w Kamieńcu, czy ta nie mogłaby dostać się do ojca? Otrzymać dla niej pozwolenie wyjazdu z Rosyi, oto co postanowił Zygmunt, i nad czem z wielkim mozołem i z wielką zręcznością pracował. Była w Wiedniu stara księżna Kaźmierzowa Lubomirska (Granowska z domu, primo voto Aleksandrowa Zamoyska, w obu małżeństwach bezdzietna), Sołtanów krewna i gorliwa przyjaciółka. Tę więc staruszkę, dobrą zdaje się bardzo, ale chorą, pogrążoną w melancholii, pozbawioną wszelkiej energii, musiał naprzód nakłonić, żeby podała prośbę do rządu rosyjskiego o wydanie sobie dziewczynki, której była jedyną niby krewną i opiekunką. Potem przez różne wpływy w Petersburgu, trzeba było otrzymać pozwolenie. Nie od razu, owszem po wielu, wielu zwłokach i trudach, po roku przeszło czasu miał wreszcie Krasiński tę pociechę, że przyjacielowi pomógł do odzyskania choć jednego z dzieci, starej sierocie księżnie na ostatnie lata życia dał czułą opiekę i choć jeden błysk młodości i wdzięku, a dziecko chowane przez obcych

pod dozorem rządowym wyrwał z zimnej atmosfery na świat, na słońce, gdzie przy ojcowskiem sercu mogło odżyć i rozwijać się szczęśliwie. Te starania zajmowały go głównie podczas tego pobytu w Wiedniu, który zresztą mało miał dla niego powabów. „Świat tutejszy polski“ — pisze 7 stycznia 1837 (List XXXVIII) — „składa się z wielu członków, ale „nie uwierzysz, co za plotki, przegryzki, śmieszne dumy i drobne podłości. Żle mówię: drobnych podłości nie ma, najdrobniejsza jest morzem hańby. Dla tego też stronię od nich „i nienawidzę ich *głupie wieczory* (sic). Jeden tylko Konstanty „Czartoryski dobry jest i szlachetny, choć ospały nieco, a dom „jego pusty i smutny... Inni emetykiem są dla duszy mojej. „Jeden Jerzy Lubomirski“ — pierwsza to wzmianka o późniejszym przyjacielu — „jest szlachetnym, miłym i pełnym „nadziei chłopcem. Powiedz księżnie Stolnikowej, że ma pocziwego i rozumnego wnuka.“ „Karnawał tu wre i kipi.“ (List „XXXIX.) Towarzystwo polskie wre i kipi także plotkami, przekasami, potwarzami, głupstwem. Moją zaś pociechą jest *Burg-Theater*. Wczoraj dawali *die Jungfrau v. Orleans*. Pani Rettich, „najlepsza w Europie aktorka po śmierci Malibranowej grała „Dziewicę. Sądziłem, że mi uniesienie piersi rozerwie. Boska „gra, boskie i pomysły w tej tragedyi, choć może układ całości mógłby być sztuczniejszym i bardziej dopełnionym. Ale „w czym się nieporównanie udało Schillerowi, to w pogodzeniu skromności, dziewiczości, natchnienia i słodczy zarazem „chrześcijańskiej, z tem pragnieniem bojów, z tym zapalem niewstrzymanym do trąb co wzywają, do rumaków co trątuja, do szabel co błyszczą i mordują, który ciągle wybucha „z tej postaci młodzieńczej, pięknej, niewieściej. To przechrzczenie Bellony starożytnych jest najwyższym dowodem ogromnego „geniuszu. Mierny pisarz byłby pękł, a tylko komiczną postać utworzył: Schiller najidealniejszą, najuprzejmiejszą, i najwybitniejszą zarazem. Czujesz ciągle róż i krwi angielskiej „zapach, słyszysz pienie Anioła niewinności, i chrzest ponury „i boskie szczęki bitew. Nim zasnąłem podziękowałem popiersiowi Schillera, które nad mojem łóżkiem stoi. Tak więc żyję, „o ile mogę w świecie różnym od tego, który mnie otacza... „To mi jeszcze rozbudza serce, to mi młodość moją pokazuje „na oczy. Czuję w takich chwilach, że nie zgniły cały, że

„iskra udzielona przez bogów dotąd w piersiach moich się
 „pali: nie moja wina, jeżeli z niej nigdy płomienia nie będzie.
 „Oh! przeznaczenie ubłogosławiło duszę człowieka pragnieniem
 „niewyczerpanem piękności i siły. Ile razy luka się wytnie
 „wśród karczów życia, i tam gdzieś daleko mignie brzeżek
 „błękitu, on wyciąga ręce i zda mu się na chwilę, że w niebie.
 „Tak mi wczoraj było. Głupcy co krzyczą na poezyą! Niech
 „pójdą ze mną, niech nim wejdą w ten świat wielkości, prze-
 „rzą duszę moją, niech, tam obaczą że ciemno i nicość, a kiedy
 „wystąpi Joanna, kiedy poczną uciekać hufce angielskie, niech
 „spojrzą raz drugi: a jeśli obaczywszy żem szczęśliwy, jeszcze
 „zdołają powtórzyć sądy swoje nędzne, to nic ich nie oduczy.
 „Radzę im, by sobie sklep kupili w Ghetto zamiast pójść do
 „Kapitolu. Wielki Boże! dzięki ci za to, żeś zrównoważył po-
 „dłość na tej ziemi poezyą!“ Rozdrażniony, znudzony Wie-
 „dniem tęskni za Włochami. „Co tam porabia krzyż mój pię-
 „kny w Coliseum“ — pisze 9 marca 1837 (List XLIII) —
 „co róże moje śliczne w Villa Mills? co białe nadgrobniki pod
 „piramidą Sestiusa?... Ja myślę często bywam na Forum,
 „i patrząc na kapitol, i czytając napis S. P. Q. R. myślę, że
 „tak wszystko skończy się na ziemi. Aż mnie zaleci woń fioł-
 „ków i cyprysów i znowu wyda mi się, że wszystko młode
 „nieśmiertelne na ziemi. Tu szare nieba, śniegiem i błotem
 „zaszarzana ziemia, zieloności nic i światła bardzo mało. Za
 „to po ulicach konie angielskie, hayduki, pajuki, huzary, mu-
 „rzyny. I to także zwaliska: z tą różnicą, że gruzy pałacu
 „Cesarów są już w ręku Boga, już w uściskach bluszczów
 „i w trumnach z giętkiego powoju, a tu wiosny boskiej, co
 „wschodzi na gruzach znaku nie masz jeszcze, są tylko po-
 „drygi schorowanych, grypy, ostatnie kaszle, i flegmy kałuże.
 „Na początku XVII wieku Tęczyński straciwszy dwóch synów
 „podpisywał się zawsze *ultimus virorum de Tęczyń*: my wszy-
 „scybyśmy się tak podpisywać powinni. Jeszcze to łaska Boża,
 „kiedy kto ma prawo powiedzieć o sobie *ultimus vir*: ale
 „kiedy *ultimus* poliszynel, to nędza i przekleństwo.“

Stan zdrowia coraz gorszy, a zwłaszcza wzmagająca się
 ciegłe choroba oczów, przyczynia się zapewne wielce do tego
 usposobienia ponurego, które im dalej tem czarniejsze, docho-
 dzi wreszcie do zupełnego prawie zwątpienia i rozpacz.

„Mój stan coraz się pogorsza“ — z Wiednia 3 kwietnia 1837 (List XLVI) — „plamę nieustanną czarną widzę przed oczyma, najkrótsze pismo mnie męczy.... O Boże Boże, jakież „los mój gorzki i bezlitośny! W tych tu miejscach grzęznąć „coraz bardziej niszcę się. Ledwo mogę spojrzeć na promienie „słońca. Pod oknami ludność miasta cała krąży i przechadza się, wzajemnie sobie wiosny winszując, słyszę ich gwary, „a patrzeć na nich nie mogę. Jeżeli skarga ta moja słabością „jest, daruj mi ją Ty, który pełny jesteś statku i cierpienia. Ale „są chwile, w których wszelka nadzieja mnie opuszcza, w których coś niewieściego rodzi się w duszy mojej, i muszę westchnąć ku tym, których kocham. Prócz miłości kilku szczęściom żadnego nie doznał na ziemi“.... „Jestem wciąż chory „na ciele i na duszy. Świat materyalny dwoi się przed moimi „słabymi oczyma, moralny pęka i łamie się w dziesięcioro „w sercu i umyśle moim. Nie ma nic w duszy mojej, na czym „bym spocząć mógł, żadnej gałązki zielonej po potopie, żadnej oasis na puszczy, żadnej nadziei na przyszłość. Pić opium, „i marzyć, to szczęście największe. Prawda, że i tu piekło zjawia się po przejściu snów o niebie. Dziś rano Konstanty „(Danielewicz) coś zagrał z czasów, w których byliśmy w Neapolu, z czasów, które mi się dzisiaj wiosennymi wydają, z czasów, które tuż poprzedziły najszcześniejsze dni życia mojego: „i słysząc tę *Preghiere* Mojżesza uczułem taką żądzę, taką, „że tak powiem, lubieżność skończenia bytu, żem westchnął „z żalu, kiedy minęły akkorda.... Gdyby kto czasem mógł zająć w duszę moją, kiedy sam jestem u siebie, kiedy myślę „i męczę się, toby się wzdrygnął: bo jak fale wiecznie podnoszę się by żądać, i opadam w rozpaczę czując, iż z żądź moich nigdy nic nie będzie. Ztąd też ja z całej natury najbardziej kocham fale morskie, rozbijane na ostrych skałach „Sorrentu lub na mieliznach Lido: zdaje mi się zawsze, że w nich „coś siostrzanego widzę. Każden podobno człowiek jest taką „falą w nieskończoności stworzenia. Im kto silniejszy, tem więcej razy wróci do szturmu, ale wszystkim wcześniej czy później jeden koniec bywa, rozbitcie. Bohatery zakwitną pianą „białą, świecącą, jak wielkie bałwany, i to się zowie chwałą „ich; mierne dusze płyną z boków i z tyłu, płyną i płyną, „łamiąc tylko w drobne zmarszczki powierzchnią głębi; w głębi

„zaś, mówią, że są perły ciche i różane korale i kwiaty. Któż wie co rośnie w grobie? I tam muszą być perły i korale i „kwiaty“.... „Nie znam istoty mniej wartej żyć, mniej użyte-
„cznej na świecie, mniej zdolnej cokolwiek uczynić odemnie.
„Gdyby mnie Bóg zabrał, wymierzyłby wielką sprawiedliwość,
„bom nie zdał się na nic. A mnie samemu ulgę, bo się mę-
„czę porządnie.“

A cóż w tem wszystkim stało się z jego miłością? czy przeszła? Nie. Trwa ona ciągle i odzywa się często, rzewnie, czasem namiętnie, zawsze smutno. Raz jeden znać w jego słowach jakiś rodzaj żalu czy gniewu do oddalonej kochanki, ale z tym jednym wyjątkiem ta sama zawsze miłość, ta sama wierność, ta sama zgryzota i wzgląd na ukochaną większy, niż na samego siebie. Tylko pod wiernością i czułością zdaje się że miłości już cokolwiek mniej. Ojciec chce, by się starał i zenił. On sam przyznaje że panna „piękna jak anioł, ślicznie ułożona, wszystko w niej zapowiada dobrą żonę, i tok umysłu, i przyroda, i wychowanie.“ Przytem „talent do muzyki, jaki się tylko natchnionym trafia artystom. Mówiąc po ludzku „ogromne głupstwo robię, nie tyłem głupi, żebym nie wiedział „żem głupi,“ Przecież: „bądź moim sędzią: wiesz ile kocha-
„łem tamtą i wszystkie koleje z nią przebyte. Ona całą prze-
„szłość moją zagarnęła, ale w niej niema dla mnie żadnej przy-
„szłości. To wiedziałem zawsze, ona to czuła równie jak ja.
„Ale dla niej ja jestem wszystkim, choć oddalony, choć w ni-
„czem codziennem, praktycznem, nie dotykający jej okręgów,
„wszystkiem, bom ją przed ludźmi i przed własnem jej sumie-
„niem pozbawił pokoju, bom wygnał ją moralnie z progów
„domowych, bo mi ona wszystko poświęciła, i dziś jest nie-
„szczęśliwą, bez dawnej posady wśród znajomych, bez dawnego
„przywiązania do życia, któremu była przywykła, bez dawnej
„spokojności serca i rozumu.... Teraz jedyną jej ulgą, pocie-
„chą jest myśl, że ja jej nie uwiodłem, ale że ją kochałem,
„myśl że poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę
„ofiara uczynić. Gdybym z drugą się ożenił, pchnąłbym ją
„w serce na wieki. Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną
„kobietę, a zostać jej przyjacielem, bratem, i kochać ją ser-
„cem, wdzięcznością. Gdybym się ożenił, wydałoby się jej, że
„straciła dobrą sławę i może duszy swej zbawienie dla igra-

„szki przewrotnego człowieka“ — (Wiedeń 6go Maja 1837. List XLIX).

Wyjeżdża więc; wyjeżdża, choć wątpi czy zdarzy mu się drugi raz w życiu sposobność ożenienia się z istotą tak „idealną“ jak ta, którą mu ojciec przeznaczał; wyjeżdża może więcej przez wierność, niż przez miłość, ale zostaje wiernym i udaje się do różnych miejsc kąpielowych dla widzenia się z ojcem, i w nadziei, że uda mu się spotkać pierwszą kochankę. Pod wpływem niepokoju o nią, o ojca chorego, którego woli się oparł, tak pisze z Kissingen 21 Czerwca 1837 (List LVII).:

„Nędza, która mnie przed czasem starym uczyni, coraz „zwiększa się we mnie. Świeżości za grosz nie ma w wyobra-
„źni mojej. Wszystko wewnętrzne moje zdaje mi się jednego
„łosu doznawać z tem, co zewnątrz mnie: gnije wszystko pod
„ręką konieczności. Przyjdzie może po wielu latach dusza na
„świat, która w dzisiejszem położeniu rzeczy się rozpatrzywszy
„przejmie się dni naszych goryczą i tragiczność ogromną z niej
„wydobędzie; słuchając jej słów zapłaczą potomki, dowiedzą
„się jak marnie życie nam upłynęło, jak gorąco wzywaliśmy
„czegoś coby pociechę nam w sercu orzeźwiło, jak stateczną
„myślą w głębi Ducha przeczyliśmy widomej potędze i zdarze-
„niom otaczającym, jak pozbawieni nadziei mieliśmy do wal-
„czenia przeciw pokusom wielu, i radom zdrowego rozsądku,
„i burzom własnej rozpacz, i słabościom znużenia, jak w ka-
„żdym dniu ciaśniej nam było, każdej nocy nieznośniej i sa-
„motniej, jak wreszcie zapadliśmy w wstępną i świat zmierzili,
„czekając jak zbawienia śmierci podłej na łożu lub niepamię-
„tnej wśród nieznanych i obcych. Taka tragiczność będzie sto
„razy straszniejszą i pełniejszą bólów niż dzisiejsze dramata....
„w niej męka ducha wystąpi jak otchłań głęboka, a na ustach
„malować się będą znikome ciężkiego udawania uśmiechy. Po-
„wiadam ci, płakać nad nami będą. To jedyna nieśmiertelność
nasza.“

Wreszcie miał się doczekać spotkania z dawniej uko-
chaną. Ale na myśl o tem spotkaniu przejmuje go jakiś strach: ona w tak dziwnym stanie, ona go męczy ciągłemi przesko-
kami od namiętnych wybuchów do mroźnej obojętności, miłość
nic nie warta, przyjaźń jedna nie podlega zmianom, ta ko-
bieta jest niższą od jego wyobrażenia o niej, niższą nawet od

niego samego;... czytając takie słowa zdaje się że miłość skończona. Ale ona przyjechała, i dawne uczucia obudziły się, za-jaśniały, wybuchły może z dogasającą już ale z wielką siłą:

„Widziałem ją przez trzy dni — (List LXI bez daty) — „co się z tego widzenia w sercu mojem zostało reszty mego „życia będzie towarzyszem, zgryzota, smutek, przywiązanie... „Powiem ci żebyś jej nie poznał: smutek i choroba tak ją „przetworzyły. Tem droższa dla mnie. Oczy jej z błękitnych „w ciemne przygasłe się zmieniły, piękność lica pozostała, ale „martwa, osłupiała, a w duszy nic prócz bólu ciągłego, mąk „ciągłych i miłości dla mnie. Chcę przestać o tem mówić, a „nie mogę.“

Za rok spotyka ją znowu i znowu u wód za granicą. „Nie kochać jej“ — pisze 19 Maja 1833 (List LXII) nie jest „w mojej mocy. Im słabsza, im smutniejsza, im coraz bardziej „tracąca piękność dawną, tem mocniej lgnie moje serce do „niej... dzień cały minął mi z nią jak sen pełen tęsknoty... „czasem kiedy się zamyśli i spojrzy Bóg wie gdzie i marzy „Bóg wie co, rzekłbyś że letarg ciemnego obłąkania się za- „czyna. Wtedy serce mi się kraje, wtedy całuję jej ręce pro- „sząc by przemówiła, a łzy czuję w duszy choć ich nie mam „w oku. A za dwa dni muszę ją zostawić samą, samą na świe- „cie.“ „Jutro wyjeżdżam. Wczoraj zeszło mi z nią, przy niej, „zejdzie mi i dzisiaj podobnie, a gdy pojutrze przyjdzie wszy- „stko już będzie przeszłością, wszystko schroni się do głębi „serca, i tam żyć będzie rozdzierającymi podrzuty. O Adamie! „nieszczęsny ten kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o „szlachetności, targnął się na cudze prawa, żonę od męża oder- „wał, matkę od dzieci..... Ja tom czynił myśląc szalony, że na „tej drodze poezya i wiosna; teraz, teraz głębokom poniżony „sam przed sobą a ona przed światem... Bądź co bądź ty nie „rzucisz ni na nią ni na mnie kamieniem“.

Zbliżał się istotnie koniec tego stosunku, a to spotkanie miało być ostatniem. Krasiński na żądanie ojca udał się do niego do Opinogóry: tu spotkać się miał z prośbą i groźbą, z płaczem i z rozkazem żeby zerwał: odmawiał statecznie. Pobyt ten razem był dla obu męczarnią. „Po trzech tygo- „dniach nic na mnie wymódz nie mogąc, udał się do Niej, i „prosił Ją o to samo. Pojmiesz znowu że tak jak ja nie mo-

„głęboko przystać, tak ona nie mogła nie przystać. Wrócił mój „ojciec przywołując mi kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych, „w których mówi „że musiała zgodzić się na to by ostatni „raz te kilka słów napisać do mnie“..... (List LXVIII bez daty i miejsca).

Odtąd żadnych już między nimi stosunków. Ale pośrednio przez ludzi, długo jeszcze Zygmunt szuka wiadomości o swojej pierwszej kochance, i odbiera je. Miłość skończyła się zapewne, ale pamięć, przywiązanie, współczucie i zgryzota odzywają się długo jeszcze w jego listach. Oto piękne rozrzucające ich dźwięki które jak echo po dawnych uczuciach przechowały się w liście do przyjaciela:

Dla Ciebie wszystko straciłam na ziemi,
Dla Ciebie drobne porzuciłam dzieci,
Choć Bóg przykazał pozostać się z niemi.
Teraz w ich stronę moje serce leci!

Gdzie ich kolebka? gdzie śliczne wejrzenie?
Gdzie jasne pukle moich biednych dzieci?
Choć głos twój dźwięczny i boskie natchnienie,
On tyle szczęścia w sercu mi nie wznieci
Co sen ich niemy lub jedno westchnienie!

Patrz! Ja być mogłam taka czysta, święta,
A teraz będę na wieki przeklęta
I dzieciom moim ojciec nie odpowie
Gdy się spytają: »Jak się matka zowie?“!

Tak gorzko, zimno, tak ciemno mi w duszy
Że czasem myślę iż płacz mój poruszy
Serce Aniołów. Lecz nie: już godzina
Śmierci nadciąga, i wkrótce uderzy:
Już ból konania w tych piersiach się wszczyna,
Już palec Boga na tem czole leży.

Czy i Ty zdradzisz tę którą kochałeś!
Tę której nigdy żoną nie nazwałeś,
A która była ci więcej niż żona,

Siostra, kochanka, niż wszystkie imiona,
Którymi ludzie kochanie przewali:
Bo ludzie nigdy kochania nie znali.

Ja wiem co miłość! co długa tęsknota,
Co bój zacięty z myślą o kochanym,
Co szczęście niebios, co piekiel zgryzota
I brak łzy cichej w oku wypłakanem.

Daj mi Twą rękę! niech czuję żeś blizki.
Tyś wielki, piękny, ty masz wzrok anioła
Gdy plama pychy nie kazi ci czoła
A same prawdy zdobią go połyski!
Daj mi twą rękę! słuchaj: w tych dolinach
Ty mnie pochowasz przy Rzymu ruinach,
A grób mój będzie otoczony wzgórzami
Zakryty zewsząd bluszczem i głógami,
I ty wryjesz na białym kamieniu
Prośbę do Boga: by w Cyprysów cieniu
Ten kamień za mnie modlił się w milczeniu.

(List LXXII 10 Grudnia 1838 z Rzymu).

II.

Znowu więc zima we Włoszech, a czar tych miejsc których nikt nigdy bardziej od niego nie kochał i nie rozumiał, działał szczęśliwie na poetę. Smutny on, jak zawsze przez całe swoje życie, stęskniony za przyjaciółmi z którymi był w Rzymie kiedyś a których dziś nie ma, zbolały jeszcze po swojej miłości i jej smutnym końcu, ale jakoś pogodniejszy trochę, jak żeby podniesiony na duchu. Jak mitologiczny olbrzym tak on kiedy się dotknął ziemi rzymskiej odzyskiwał swoją siłę i swoją ochotę tworzenia. Zaraz pierwszy swój list rozpoczyna wierszem:

„Jak Anioł spadły leżący w piękności“

drukowanym w Warszawskiej Kronice Rodzinnej w r. 1873, a następnie w lwowskim wydaniu Pism z r. 1875, bez tytułu.

„Tak marzyłem jadąc przez Kampanię. Dziwny, niezwykły był pokój w duchu moim.“ Pokój to wprawdzie zamącony bardzo wspomnieniem kochanki i jej cierpień, nie możliwością obronienia jej przed cierpieniem czy przed ludźmi, przecież większy niż bywał. Chwilami nawet wesołość: naprzykład kiedy Sołtan polecił mu z Wiednia żeby jakiejś pani bawiącej w Rzymie w tajemniczy sposób posyłał od niego bukiety ulubionych heliotropów, a biedny poeta opisuje jak ich w całym Rzymie znaleźć nie może, jak wreszcie przekupiwszy ogrodnika wykrada je z Villi Borghese, jak na rogatce zatrzymują go myśląc że przewozi coś zakazanego, jak wreszcie zgrabnie i tajemniczo pięknej damie kwiaty podrzuca. O sobie w tych czasach nie wiele opowiada, za to więcej o rzeczach zewnętrznych. Między innemi o zdarzeniu które lat temu dwadzieścia czytała cała Europa w formie romansu napisanego przez Edmunda Abont, pod tytułem *Tollea Feraldi*. Zdarzenie zaszło podczas ówczesnego pobytu Zygmunta w Rzymie, i oburzyło jego, jak wszystkich.

„Nie dawno umarła tu młoda Salvarelli, z miłości „do księcia Dorii. (List LLXIII z Rzymu 12 Grudnia 1838). „Doria wyjeżdżając na koronację Wiktorii królowej kochał się „w tej pannie i przysiągł się z nią ożenić. Z Londynu napisał list, wymawiając się, że stryj mu nie pozwala. Po przeczytaniu jego upadła na ziemię siedemnastoletnia dziewczyna „i w piętnaście dni później umarła. Cały lud Rzymski szedł „za jej trumną, i przechodząc przez Corso stanął pod Doriów „pałacem, wznosił okrzyk przekleństwa i kamieniami okna po- „wybijał: potem odprowadził umarłą do grobu. Nazajutrz czterech ludzi z Trasteveru przybyło z rana do ojca nieboszczki: „Jesteśmy Trasteverini, każ a Dorię zabijem.“ Lecz stary Salvarelli odesłał ich nie chcąc zemsty takiej. Dotąd wszystko „piękne, charakterystyczne: teraz zaczyna się plugastwo. Ta „biedna ma brata: brat spokojnie siedzi, tylko by wykazać „Doriów w tej sprawie bezecność drukuje listy Dorii i siostry „swojej, nie długo wyjdą! O Boże wielki! czcionkami zecerów „stara szlachta poszukuje krzywd swoich, brat mści się za siostrę zdradzoną! Biada, biada takim braciom i rodom takim. „Z drugiej strony mówią, że choćby go wyzwał nie stanąłby „Doria! Brat jego co się żeni z Shrewsburówną przed kilku

„tygodniami wyzwany od Zichego za obelgę wyrządzoną pani...
 „zaniósł wyzwanie Węgry do kardynała Ministra Stanu. Zichy
 „musiał wyjechać. Piękne plemię! a zowie się Doria, a roz-
 „wiesza herby, a trzyma dżokejów, a jeździ po koronacjach,
 „a brata się z krwią Normandów, a lubi się kochać, a pisuje
 „namiętne listy, a zabija serca kruche dziewcząt, a nie umie
 „szpady dobyć! I takie cienie ludzi chcą rządzić ludźmi! By
 „panować gminowi trzeba zawsze być gotowym na ofiarę życia.
 „Ten kto w myśli swojej w każdej chwili umrzeć gotów, do-
 „piero ten żyje, a kto chce żyć i boi się zgonu ten przez całe
 „życie umarły. Jakże duch Fiesca musi się radować z upodle-
 „nia Doriów! Powiedz tę powieść Fiescowi kiedy go obaczysz
 „w Burgu, kiedy Verrina porywa go w ramiona i spycha, po-
 „wiedz mu to, a lżej mu będzie tonąć wołając: „Genua,
 „Genua“!

Niebawem wyjechał do Neapolu: a tam rozpoczął się nowy akt w dramacie jego życia, nowa miłość.

„Kiedy widzę istotę, której nie potrzeba pociechy, której
 „życie stoi otworem, i którą każdy zrozumie, każdy uśmiechem
 „przywita, pisze 1go Stycznia 1839 (List LXXIV) zdaje mi
 „się że ona mnie nie potrzebuje, że ona tysiąc ludzi zdalniej-
 „szych do podzielenia czy jej dumy czy jej bogactw czy pię-
 „kności czy niczem nie zatrutej duszy znajdzie. Nic mnie nie
 „wabi, nie ciągnie do niej: siedząc na uboczu lubię patrzeć
 „na jej marsz tryumfalny jak na piękne zjawisko, ale się nie
 „zbliżam. Dość mi na tem, że ta sztuka grana jest przed mo-
 „jemi oczyma. Tak samo nie czuję żądzy żadnej do arcydzieła
 „jakiego sztuki; nie ścisnę ręki Wenerze Medycejskiej, dość
 „mi patrzeć na nią: myśl moja, nie serce, wchodzi w stosu-
 „nek z takim ideałem. Zupełnie przeciwnie się dzieje gdy na
 „czyjem czołe ujrzę ślad żałobny wyciśniony kolejami życia.
 „Wtedy marzy mi się że moje słowo lub przyjaźń lub ręki
 „uścisk może w tych piersiach na nowo obudzić życie. Co do
 „kobiet? myślę się zapewne, bo one zmartwychwstawać nie
 „umieją, ale złudzenie jest mocnem, i łudzą się. W tem leży
 „to moje stronienie od panien. Jest to natury mojej po prostu
 „układem, tak mnie stworzono. Przez to com powiedział nie
 „rozumiej proszę cię by cokolwiek innego od litości wiązało
 „mnie do Pani.... Ona mi tylko służy jakoby zwierciadło, w któ-

„rem widzę czasem przechodzące widmo tej którą kochałem. „Zrazu kłóciliśmy się okropnie, bo nie chciałem szyi zgiąć „przed jej zewnętrznym Fashionem: tak się nawet kłóciliśmy „że ona mnie ja jej dziwnie przykre powiedziałem rzeczy. Ale „dopiero kiedy ton swój paryzki odmieniła i szczerze mó- „wić zaczęła i ja ton odmieniłem. I teraz w wieczór, ona smu- „tno, żałośnie, opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham, „i czasem ją cieszę.“

Zwykle tak bywa. Zrazu nic tylko litość, tylko naturalne współczucie dla natu^{ralnej} szlachetnej a udręczonej; przysięgłby każdy że nic więcej nie ma, nie będzie, być nie może. Z czasem do tej litości i sympatii przybywa coś więcej. Niekiedy wdzięczność: „Przez te wszystkie dni — 5go lutego 1839 (list LXXVI) — „leżałem w wścieklej gorączce, . . . cieszyłem się „myślą, że na tamten świat się przerzucę; ale znać jeszcze „tu do parady potrzebny. Nie mogę ci opisać o ile przez ten „czas choroby mojej Pani . . . była dobra, prawdziwie, szczerze „dobra dla mnie. . . . Gdybym miał siostrę, od siostry ni- „czego więcej żądaćbym nie mógł. Z całej duszy jej wdzię- „czny jestem, tem bardziej, iż wiem, że to prosta, dobra przy- „jaźń, a nic innego.“ Im dłużej zaś trwa, tem się naturalnie ta przyjaźń staje czulszą: „Gdybym był ją spotkał wtedy „kiedy błyszczała próżnością, byłbym się odwrócił, nigdy słowa „do niej nie wyrzekł. Ale teraz to jest tak biedna, zewsząd „napadnięta, w każdym punkcie zraniona kobieta, a zarazem „harda w boleści, nie żebrząca nigdy politowania a przyjmująca „je kiedy szczerze danem, że, jakem ci pisał już, gawędzę z nią „przez długie godziny.“ W kilkanaście dni później już zwie- rzenia jego nie mają tego spokoju, w jakim zostaje człowiek zajęty tylko przyjacielskiem uczuciem. „Nie chcę listowi po- „wierzać rzeczy, na której zrozumienie i ocenienie trzeba albo „dziesięć arkuszy napisać, albo być z Tobą razem i tylko ści- „snąć ci rękę“ — (List LXXVII z Rzymu 20 lutego 1839) — „ale to pewna, że w dziwnej jestem kryzys moralnej. Razem „gorący i zimny, młody i stary, obojętny i nie. To jednak do- „skonale czuję, że co lat kilka jak piasek w klepsydrze, tak „życie o kilka stopni opada w piersi naszej. Co niegdyś byłoby „nas przejęło szalem, dziś tylko słodyczą; kto wie co lepsze? „czy szal czy tkliwa słodycz rozlewająca się po duszy jak cie-

płe wonne wiatru powianie.“ Tak pisze człowiek, który się kocha i sam o tem wie doskonale. Wreszcie, wyznaje to już otwarcie:

„Tobie przeszło przez myśl“ — (16 marca 1839 z Rzymu list LXXIX) — „żem ja się w jakiej pannie zakochał? Nie „Adamie, nie. Zresztą niech Bóg mnie sędzi. Zapewne że nie „jestem na najprostszej drodze, ale kto wymiarkuje drogi serca? „kto rzuci kamień na drugiego? Przynajmniej niech mi go nie „rzuca nigdy dłoń przyjaciela. Ledwo pisać mogę. Pomieszały „się wszystkie wyobrażenia i wiary moje, jestem jako ślepy „i obłąkany. . . . Proszę cię nie potępiaj, ale raczej żałuj, bo „ty wiesz, że ja ją szczerze kocham i na zawsze. Błędy moje, „szały moje, niechaj twego serca nie odwracają odemnie, bo ty „na nich nigdy nic z duszy mojej i przywiązania stracić nie „możesz. Ty sam wiesz, że są tak gwałtowne, tak porywające „uczucia, że rozum przeciwko nim jest tylko przedrzeźniającym buffonem, ale nie zaradczym lekarzem. Otóż, jestem w takim położeniu; a jak się ono wyrobiło, ile walk zniósłem, „jak powoli giąłem się pod tą fatalnością, jak darłem się z samym sobą i rozdarłem siebie, to niech mnie i Bogu wiadomem pozostanie.“

Od tej chwili znika prawie zupełnie treść romansowa korespondencji. Jak za pierwszej miłości lubił Krasiński zwierzać się Sołtanowi i opowiadać, tak przy tej drugiej zamyka się w uporczywym milczeniu. Wspomina często i z uwielbieniem o kobiecie którą kocha, ale żadnych uniesień, żadnych skarg, nadewszystko żadnych opowiadań i opisów. Ktoby mniemał, że znajdzie tu jakiś komentarz prozaiczny do niektórych ustępów *Przedświtu*, jakąś historykę jego pobytu „nad jeziora włoskim brzegiem,“ ten zawiódłby się zupełnie. Część filozoficzna i polityczna *Przedświtu* znajdzie się w tych listach: jego części miłosnej nie ma. I w ogóle od tego czasu zaczyna Krasiński pisać w listach (do Sołtana przynajmniej) mniej o swoich uczuciach, może więcej o swoich myślach. Czy że wyszedł z tych lat młodości kiedy człowiek sądzi prawie że nie czuje kiedy o swoich uczuciach nie mówi? czy może te uczucia same uspokoiły się nieco? albo czy może zwrócił się z tym rodzajem zwierzeń do innego jakiego przyjaciela; dość że w listach do Sołtana znajdzie się parę tylko krótkich, milczących, jeżeli się

można tak wyrazić, ustępów o jednym jeszcze przejściu w jego życiu, ale obszerne, długie i częste zwierzenia ustają. Później zaś, po latach, po ożenieniu, uczucia jego już ustalone, nie podlegające zmianom, uspokojone po wszystkich burzach i idące tą samą zawsze drogą, już zwierzać i opowiadać się czy spowiadać nie potrzebowały, nie miały o sobie nic do powiedzenia. W każdym prawie liście mówi o żonie (której najczęściej daje przydomek „Incomparabile Donna“) i o dzieciach, ale te wiadomości domowe nie są ciekawe do czytania, są takie, jakie każdy mąż i ojciec o rodzinie swojej podaje.

Milczenie takie o sobie samym w dojrzałym wieku zupełnie naturalne, dziwnem jest przed ożenieniem, dziwnem zwłaszcza, że zaczyna się wśród burz nowej miłości, i u człowieka, który tak niedawno jeszcze lubił uczucia swoje opowiadać. Ale tak jest. Od połowy roku 1839 mniej więcej mało dowiedzieć się można o wewnętrznych dziejach Krasińskiego z jego korespondencji z Sołtanem, i odtąd poprzestać trzeba na przytaczaniu bądź jego ogólnych uwag, bądź tego, co mówi o faktach i ludziach.

I tak, bawiąc w Monachium od jesieni roku 1841 do wiosny 1842 przy chorym umierającym Danielewiczu, mówi najwięcej o nim, opisuje jego chorobę, opłakuje wreszcie śmierć, w listach bardzo pięknych, pełnych serdecznego żalu, ale między niemi znajduje się jeden, który pokazuje, jak w tej chwili Krasiński pojmował historję i dzisiejszy stan świata, list, który uważać można niejako za zapowiedź *Przedświtu*, który się wkrótce po tem pisać zaczął: „Strach jak czas bieży, jak my „zatopieni w nim“ — (Monachium, d. 17 grudnia 1841. List CXXIX) — „wiedniejem. Podobniśmy do tych nenufarów na „Gangesie zewsząd oblanych i mających korzenie w fali, która „wiecznie przelatuje, w płynności, która ciągle przemija. Twoje „uwagi względem świata umarłych są mojem zdaniem słuszne, „ale tylko z praktycznego stanowiska uważane, z praktycznego „dzisiejszego: to jest, gdyby objawienie takie tylko przyniosło „nam jak anegdotę wiadomość o tym kraju duchów, a zara- „zem nie podniosło wyżej i święciej całej pozostałej sfery ży- „cia, wiedzy, sumienia naszego, co być nie może. A jeśli się „przekonamy, że o tyle tylko świat duchów jest i być może, „o ile był świat ludzi? że w najściślejszej sprzężni pozostaje

„rozwijanie się dalsze ludzkości na planecie tym, z życiem dalszem umarłych? A jeżeli to, co nam dotąd wyglądało na „rozdział, na otchłań, zbliży się do nas, stanie się spółkowaniem życia nie już ze śmiercią, ale z dalszem przeciągnięciem „życiem? jeżeli jedno pokaże się niezbędnym drugiego warunkiem? Jeśli odsłoni się kurtyna nad grobami i zwinawszy „się pokaże, że wszystko *jednym światem* coraz tylko wyżej „się rozwijając, i że cel naszej indywidualnej nieśmiertelności „złany w jedno z celem, który tu ród cały ludzki powinien „osiągnąć i ku któremu zmierza? Gdyby tym celem było na- „przykład zupełne ujarznienie natury alboliteż zupełne po- „jednanie się z nią, podniesienie jej wyżej, i gdyby tylko przez „takie *wyaniotowanie* natury można było świat w niebo zamienić, i do Boga wrócić, i w Bogu być? Gdyby my żyjący „wciąż mimowiedzy nie tylko dla nas samych pracowali ale „jeszcze dla wszystkich umarłych? Gdyby praca taka, historia „cała rodów wszystkich czy człowieczych czy anielskich czy „jak chcesz, po wszystkich planetach, słońcach, mlecznych drogach, była tylko przerabianiem wszechświata na niebo przysła- „szłe dla umarłych? Gdyby tylko przez pracę i trud taki mógł „wszechświat kiedyś znów się uczuć w Bogu! Gdyby to było „ciągłym odkupywaniem materii przez poświęcenie się duchów, „naszych i innych? Czyż myślisz, że wtedy samobójstwo zapukałoby do serca ludzi, których głowa pojęłaby taki cel, taką „konieczność? Owszem, miasto śmierci miałbyś ogromny wybuch życia wszędzie. Życie pojawiający swój olbrzymi cel, w skrzydłaby porosło; wszystkie dotychczasowe nasze przesady, błahe „trwogi, zabobony, niewiary, przepadłyby jak sen: przytomność „Boga w wszechświecie dotkliwszą — (dotykalniejszą?) „by „się nam stała: miłość ku niemu w płomień by się zamieniła. „Śmierć, poznana jako konieczność żywota, przestałaby strasz- „ną być, a jednak ni żal ni boleść ni cała jej tkliwa melancholia by nie znikła. Nie byłoby to Eldorado, wiek złoty, finans jeszcze, ale tylko rozumna wiedza o Eldoradzie, jako „o celu wszystkiego. Śpieszylibyśmy się, ale pracą i rozwijaniem wszystkich potęg naszych do spoczęcia w Panu. Wiedzieli- „byśmy, że spoczynek jest tylko wieńcem ostatecznym ruchu i trudu, wynikiem logicznym pracy i czynów! Ostateczny „stan świata i ostateczne współbytovanie umarłych z żyjącymi,

„przeszłych z teraźniejszymi i z mającymi nadejść kiedyś, tylko
„skutkiem dopełnienia przez ludzkość powołania swego; zatem
„musielibyśmy owszem trzymać się życia bardziej niż kiedy-
„kolwiek! Czy tak czy owak, drogi mój, odgadnąć przed sta-
„niem się czegoś nie sposób: „to tylko dano odgadnąć, że się
„coś zbliża i stanie, bo Ojca naszego niebieskiego ratunek,
„pomoc, słowo do nas, stało się nieodzownym warunkiem
„dalszego bytu naszego. Nasza cywilizacya przepadła, nasza
„epoka skazana, jeżeli to, o czem mówię, się nie objawi!
„A gdy się objawi, pokaże się być prostotą prostoty, aniel-
„sko-prostą i naturalną rzeczą, którą zrozumiemy zaraz, która
„przylgnie do nas jakby rzecz dawno już znana, tylko zapo-
„mniana, która wraca do pamięci. Lecz powtarzam, wszelkie
„ duchowne objawienie dopełnione w Synu Bożym. Teraz tylko
„się dowiemy co śpi, co drzémie, co śni w okręgach natury:
„teraz zostaną nam podane sposoby jak wypełnić i urzeczy-
„wić w pełni rozkazy Zbawiciela. Przez 1842 lat praco-
„waliśmy, by się ich nauczyć na pamięć, teraz trzeba zacząć
„je wcielać widomie w świat.“ A tego bez pomocy natury
„nie zdołamy przewieźć. Lecz gdzie duch, tam i siła śpieszy
„gdzie duch, tam i materya musi się zgromadzać i kształt du-
„cha przybierać. Więc ci z tych wszystkich myśli splotłszy
„wiązaną na rok 1842, przesyłam je jako snopek przecucia
„Nie myśl, by to Towiański lub Mickiewicz na mnie wpły-
„wali. To, to głupstwo wierutne, nie. Historji rozważa, świata
„rzymskiego analogia przed Chrystusem, wreszcie własne czu-
„cie, stan dzisiejszy rzeczy, każą mi wierzyć i spodziewać
„się.“ . . . „Ale że my w tem wszystkiem powołani jesteśmy do
„przywdziania na się ważnej niezmiernie roli, to pewna!
„Zdaje się, że nas ręka Opatrzności przygotowała do tego,
„byśmy skosztowawszy co życie i co grób zarazem, mogli
„właśnie w takiej epoce wystąpić w pełni potęg człowieczych,
„z całym zapalem życia, z całą mądrością grobu. Jesteśmy
„jedynym w historyi rodu człowieczego zjawiskiem: niewi-
„dzialni, niedotkliwi, bez ciała żyjem, a żyjem na ziemi
„wśród ciał, na świecie widowym i dotykalnym. Jest to już
„coś z przyszłych losów świata. Cała przeszłość nasza była
„chaosem przedstworzenia naszego, dla tego też tak mało
„dbaliśmy o nią, tak lekkomyślnie puściliśmy ją na rozpro-

„„szenie i rozwianie. Był w tem jakoby instynkt prawdziwych
„„przyszłych losów naszych. Przez próby grobu przeszliśmy
„„dziwnie nieskazitelni na duchu, co zdawałoby się niepodob-
„„bnem do osiągnięcia oczom rozsądku, to my przewiedliśmy:
„„w trumnie przeżyliśmy śmierć, a po powierzchni ziemi tym-
„„czasem dusza nasza przechadzała się i przytomna była wszyst-
„„kim wielkim sprawom świata? Czyż nie czujesz, że taki los
„„takie przeznaczenie coś ogromnie głębokiego w sobie za-
„„wiera, ale coś takiego, co raczej wygląda na przedsięwzięcie
„„nie czasów, na zaryw z przyszłego jakiegoś stanu świata,
„„dobrze niepojętego dotąd ani przez nas samych ani przez
„„inne narody. Jeżeli bywali ludzie i bywały ludy co palec
„„Boga nosiły na czole, my wszystkie pięć nosim na licu hi-
„„storycznem naszym. I kto się zastanowi, tylko głęboko i ro-
„„zumnie, nad tem, czem jesteśmy, ten musi wyznać, że kto
„„w grobie nie umarł, kto wśród śmierci wyżył, przeznaczon
„„jest i wybran na życie w przyszłości, wybran pośród wszyst-
„„kich co już żyli, co jeszcze żyją, i dla tego właśnie starzy
„„są i bliżcy grobu.““

W liście CXXX, z 26 stycznia 1842 tak ciągnie dalej:
„To, o czem ci wspominałem w listach przeszłych, rozwija się
„ciągle: ta sama wiara, to samo twierdzenie coraz bardziej
„affirmujące. Ja dużo o tem myślałem i myślę. Jużem ci wy-
„znał z głębi serca, że wierzę głęboko w ideę tego . . . i to
„powiem, żem dotąd nie słyszał żadnego zdania ztamtąd wy-
„szłego, któregobym zaraz nie mógł być sobie wywieśdź ści-
„śle, logicznie, dowieśdź sobie najfilozoficzniej i najserdeczniej
„uczuć w sobie zarazem. Taka zgoda rozumu z sercem jest
„wielką cechą prawdy: gdzie albowiem rozum do serca przy-
„pada, gdzie ich kłótnia wieczna w jedną się godzi i zléwa,
„tam obie połowice człowieka łączą się w całość, i to dowo-
„dzi, że na to idą i godzą się, by spotkawszy się na polu
„woli przejść do sfery czynu! Zgoda rozumu i serca w czem-
„siś, zawsze zwiastuje, że ani rozum czysty, ani samo serce
„tu tylko użytymi być mają, ale że trzecia zbliża się sfera,
„jak mówią, *czynu*; — bo czynu sprężyną wola, a wola ni-
„czem innem, tylko zlewem rozumu i serca w jedną całość
„Świat chrześcijański to ma po sobie, że uważa ducha wną-
„trznego za pole takie szerokie i rozmaite, jak zewnętrzna na-

„tura, i po zdarzających się na tem polu zjawiskach tak do-
 „brze sądzi o przyszłości, jakby to uczynił naprzykład astro-
 „log kometę spostrzegający. I w istocie czemże świat wewnę-
 „trzny każdego z nas, jeżeli nie oceanem możliwości wszystkiego,
 „którego szczególne fale nam się odkrywają w czasie, w miarę
 „jak idziemy to jest żyjemy dalej. A żyjemy przez ludzkość,
 „każdy z nas już od 7000 lat. Gdy na wodzie widzisz zmarszczki
 „i przelotne cienie, mówisz: „z kądsi wiatr idzie, burza bę-
 „„dzie.“ Czyż co oko cielesne widzi na zewnętrznych wodach,
 „nie może, okiem umysłowem na wewnętrznym oceanie spo-
 „strzeżone i uchwycone, stać się powodem równego przecucia,
 „równej pewności, równego oznajmienia? Jeżeli duch się mar-
 „szczy przy kończynach granic swych dzisiejszych i pienie się
 „zaczyna, nie mażże prawa on sam, który na siebie samego
 „patrzy, odgadywać siebie? ogłaszać sobie, że zmiana pogody,
 „temperatury, światła, widnokreżnego kolorytu całego nadcho-
 „dzi? Czyż to nie najnaturalniejszą, najprostszą rzeczą? Jako
 „przeszłość cała tak i przyszłość wszystka już zawarta w to-
 „bie, pierwsza już się rozbudziła i wiesz o niej; nie dziwnego,
 „że możesz przeczuwać i przewidywać ją czasem. Logika jest
 „jej koniecznością, idea jej jest niechybną. Tylko sposoby,
 „środki, anegdota rzeczy nieodgadniona: Bo najtajemniejsza
 „rzecz na świecie, to duch; nie idea, ale *czyn*, czyli punkt,
 „w którym duch ścina się z materją, staje się ciałem.“

Jak ten przed *Przedświtem*, tak jest list inny (CXLVII z Warszawy, zaczęty 12go, dokończony 20go Maja 1844) poprzedzający *Psalm*y. Nawet dodaje do niego poeta *Psalm Miłości* (raczej część jego w texcie odmiennym nieco od drukowanego). Jego „*idea*“ i wiara jest zawsze ta sama: to jedynie dziwne, że ustępu „hajdamackie rzućcie noże“ w tym pierwszym rzucie nie ma, a w liście on zdaje się w możliwość i w bliskość spisków i rzezi nie wierzyć: wydaje mu się albo że je Rząd sam urządza, albo że o nich wieści rozgłasza żeby trwożyć. Musiał więc *Psalm* być początkowo pomyślanym i napisanym inaczej, a myśl „nie nęcić polski lud by niósł szlach-
 „cie polskiej mord“ i wszystkie z niej pochodzące, musiał poeta dodać później, kiedy o możliwości rzezi przekonała go wiadoma rozmowa z emissariuszem, który mu naczelnictwo

w spisku ofiarował i konieczności wyróżnienia szlachty dowodził.

„Nieraz rozpacz taka mnie rozdziera że modłę się „o prędkiego konia jako o jedyną ulgę. Mury Tebańskie podłogi, poniżenia i gwałtu i ucisku koło mnie się wznoszą, dzień „w dzień słyszę jęk ofiar i patrzę na naigrawanie się katów! „Lecz to jeszcze nie tyle boli co podłość własnych. Zmaterializował się nad miarę ten kraj, potworzyło się mnóstwo „hypokrytów którzy zwą się ludźmi rozsądku, głoszą w mnogich kazaniach że jedyną dziś sprawą podporą jest to by oni „gęste intraty do własnej kieszeni zbierali, że o niczem innem „myśleć niepodobna, ale że takie sprzysiężenie się na intrat „coraz większych wybieranie, podniesie godność człowieczą, „zniepodlegli ich, i massy na drogę oświecenia i przeświadczenia o sobie wprowadzi: — a ztąd, kiedyś, powrót życia. „Na stu którzy tę Ewangelię głoszą 99 Faryzeuszów, a jeden „tylko prawdziwie dążący do celu za pomocą wzwyż wymienionego środka, to jest gospodarczych postępów. Drugą cechą „tego kraju coraz bardziej ciężącą na nim, to strach. *Divide et impera* w całej szatańskiej roztropności piekła dopełnionem tu zostało. Wciąż tworzą sami i wywołują i wynajdują „jakieś niby jakobińskie spiski między młodzieżą, na to „by właścicieli owych, gospodarzy owych, owych intratą walczących przerażać i odrywać od klas mniej zamożnych, a „cierpiących tak jak się cierpi w piekle. „Was chcą wyróżnić.“ „Oto sposobiczek użyty na kapuściane serca i skórzane wory. „Ztąd niesłychany strach to swoich, to znów rządu, bo lękają się terroryzmu o którym rząd im plecie i terroryzmu istotnego który rząd sam w każdej chwili wywiera. W Rzymie „za Cezarów podobnie się działo. Młodzież w najopłakańszem „położeniu. Uczą jej kłamstw i bluźnierstw historycznych, nekają na wszystkie sposoby, smagają różgami.... słowem ci, „którzy zaczynają życie daleko tu nieszczęśliwsi od tych którzy „je kończą.... Ten obraz, te szczegóły, to mięka nasza, to „próba nasza, ale nie koniec, ale nie ostateczna prawda. Trzeba „i przez te przejść. Czyż Chrystus mimo bóstwa nie doznał „ostatecznego zwątpienia? Czyż nie przeszedł przez gorycz „goryczy wszystkich? I na to by mógł zmartwychwstać trzeba „mu było nie tylko przez śmierć przechodzić, ale w chwili

„śmierci samej najokrutniejszej męki moralnej doznać, zwątpić
„czy zmartwychwstanie, zwątpić czy zbawi ludzkość! Ten krzyk
„jego ostatni do ojca był zarazem najwyższym szczyblem bólu
„i zasługi, a zatem i poświęcenia. Nie byłby inaczej do osta-
„tniej kropli wychylił kielicha: a trzeba ostatnią kroplę wy-
„pić by nic nie zostało. Wtedy dopiero śmierć w życie, ból
„w radość, przegrana w zwycięstwo przemienia się. Otóż i my
„patrzając tylko na fakta zmysłowemi oczyma, moglibyśmy nie-
„raz zwątpić; ależ wiemy że i zwątpienie jest tylko bólem
„najwyższym a nie żadnym dowodem, nie żadną prawdą: ow-
„szem w tak świętych i bożych dziejach jak nasze, znakiem
„że już bliska odrodzeń godzina. Mimo wszystko com napisał
„jednak po całej ziemi tej unosi się Pański Duch! Ta idea
„moją wiarą, moją nadzieją, moją miłością: bez niej zdechłbym,
„z nią żyję. Ani myśl by żywot nasz przeminął a my nie oglą-
„dali bożej sprawiedliwości: choćby jej początek ujrzymy!
„Wszystko nad czem tu płaczą to ostatnie łyzy. Może indywi-
„dualności nasze przecierpiawszy mąk tyle zniszczają, rozłamiają
„się, ale nie rzecz sama, nie opatrzny jej koniec. Indywidual-
„ność czując że sama w proch się rozsypnie nieraz smę-
„tnym wzrokiem pociąga po świecie, i marzy że to nie
„ona ale świat. Jednak idealny duch i w jej piersiach żyje,
„upomina się i mówi „to ty, nie miłość twoja, umierasz.“
„A wtedy dobrze się robi, wtedy nieba przyszłość jej roztwie-
„rają. I ona, ta którąśmy kochali, nieśmiertelna, stoi tam
„z łez i krwi i dusz naszych, świeża, młoda, piękna... prze-
„cież i my nieśmiertelni za grobem? Więc i my spojrzym
„w jej oczy niebieskie kiedy świat w nie patrzeć będzie. Boży
„duch nas nie opuści za grobem, jak nie raz opuszczał tu:
„Porwie nas i postawi przed ukochaną naszą, a ona nam po-
„wie: „dziękuję wam żeście żyli i umierali w miłości mojej.“
„Bez takiej wiary, bez takiej idei, życia nie ma, a z taką i
„śmierć sama nie przestaje być życiem. Więc jakżeż nie wie-
„rzyć? Musim być smętni bośmy ludzie, bo ciało mdłe, ale
„zarazem bądźmy niekiedy uweselonymi bo Duch ochotny choć
„ciało mdłe, a Duch Boży w nas, i w naszych, i w sprawie
„naszej, która nie przypadku trafem zdarzyła się przy końcu
„jednej z epok ludzkości a początku drugiej. Trup nasz to
„most przejścia dla ludzkości: gdy na drugi brzeg się dosta-

„nie wstaniem żywi! a wiecznie wiedzmy i czujmy że gdzie „niesprawiedliwość piekielna tam musi Boża sprawiedliwość „się objawić, gdzie ludzie nie umieli kochać tam Bóg pokocha.“ „„Pamiętasz słowo boże „kto zachowa duszę straci ją, kto ją „straci znajdzie ją. Przyszedł czas już nietylko do indywi- „duów ale do narodów też, i do całej ludzkości stosować słowo „i przepis Chrystusowy: „„Jeden Bóg, i jedno prawo, i prawda „„jedna.““ Dwóch nie ma i być nie może. Przyłączam ci tu „w tej wierze, w tej nadziei, w tej miłości, napisany *Psalm*.“

Wielu jest takich którzy mogliby jak on, za nim powiedzieć: „Tę wiarę żyję, bez niej zdechłbym“! Ale co za szczęśliwy, co za błogosławiony musiał być człowiek który ją w sobie obudził a w drugich utrzymał i utrzymuje? Nieszczęśliwym sądził się on przez całe życie, i prawda że miał do cierpienia więcej niż się zwyczajnie ludziom dostaje. Ale miał za to szczęście, choć go może za życia swego nie czuł i nie wiedział, największe jakie Bóg człowiekowi dać może, to że ukrzepił i dźwignął duszę, wiarę w przyszłość i sprawiedliwość i miłość ojczyzny w swoim narodzie.

O roku 1846 wzmianek mało, choć listów z niego nie mniej niż z poprzednich. Krótkie wykrzykniki rozpacz, skargi na straszny stan zdrowia i straszniejszy stan duszy: „doczekałem się najokropniejszej pory mojego życia:“ zresztą o domowych swoich lub Sołtana sprawach. Również nie wiele z tej zimy z wielu względów pamiętnej którą przeżył w Rzymie z roku 1847 na 1848. Czasem jakie słowo gorące o nowym Papieżu, ale nie o swoich z nim rozmowach: czasem jaki zajmujący szczegół o różnych kształtach polskiego ducha i życia w Rzymie, o Matce Makrynie na przykład albo o Zmartwychwstańcach: kilka wierszy o Mickiewiczu: „Przybył tu Pan Adam: chce oznaj- „mić swoją wiarę przed władzą i słyszeć jej wyrok. W istocie „opanował go Mistrz, jak go sam nazywa. W ciężkiej on u niego „niewoli, a będąc w niewoli staje się dla drugich despotą“. Ale szczegółów żadnych ani o pobycie Mickiewicza w Rzymie, ani nawet o swoich codziennych z nim stosunkach i rozmowach, o tych zleceniach, które mu Mickiewicz dawał do Papieża, o swojej ani o jego audyencji u Piusa IX. Tylko o rewolucyi lutowej w Paryżu, mówiąc, że przeczuwa „potop klęsk, że dwa despo- „tyzmy, dwa gwałty, dwa uciski gonić się i ścigać będą po

„powierzchni ziemi“, dodaje, że „imiennik twój Adam, dawny „kochanek nasz „serce mi rozkładał i nerwy rozstrajał przez „dwa miesiące“ (Heidelberg 28 lipca 1848 r. List CLXXVI). Jednak jego dawne nadzieje odzywają się przez to wszystko, jak dalekie echa *Psalmu dobrej woli* „Pytasz się, co myślę „o tem wszystkim? Myślę, że wkońcu pysznych pysznymi „wytraci Bóg, że Rzplte Czerwone i Moskwa nawzajem się „płodzić i nawzajem wszędzie wytracać będą, że po wszem „świecie nastaną dnie takich klęsk, że aż mocy niebieskie „wstrząśnięte zostaną, czyli że wielu ludzi zwątpi o Bogu, o- „czyźnie, ludzkości, poczciwości i cnocie; jedni w panslawizm „się rzuca, drudzy poddadzą serce knutowi, inni rękę Barbe- „som i spółce. Inni, jak Mickiewicz, rzucają się w dzikie sek- „ciarstwo i będą z nim powtarzać, że „Bóg teraz samych łó- „trów do swej sprawy dobiera...“ wreszcie znękana ziemia „obróci się do Boga i miłości jako do ostatniego ratunku. „Jeśli wśród tych niesłychanych zaburzeń, wojen domowych, „zewnątrznych i socyalnych, bo wszelkiego gatunku się zdarzą, „Polska się zachowa jako zachowawczyni zacności, cnoty, szla- „chetności wyszłej ze świata, to przyjdzie dzień, w którym „świat szukający cnoty padnie jej do stóp. I wtedy chwala „jej nieskończoną będzie. Niech tylko się ani rzuca w objęcia „mongolskie, ani w sprośny uścisk Rzpltej Czerwonej. Ale za- „brało się na długo. My, Adamie, nie ujrzym końca; i kto „wie jeszcze, jak i gdzie i od czyich rąk poginiemy... Polska „będzie ale może po nieskończonych wielu boleściach, a będzie „pod warunkiem wyżej wymienionym. Najszlachetniejszy osta- „tecnie zwycięży. Bo w takich burzach jak te co idą, żaden „sofizm się nie utrzyma, wszystko przejdzie przez próbę, „a z próby tej pokaże się wreszcie, że tylko cnota cnotą i Bo- „giem Bóg. A kto będzie z Bogiem, ten stanie się Panem „duchowym świata znękanego, czy Moskwą czy komunizmem.“ (List CLXXVII bez daty).

Rzecz prosta, że wojna wschodnia podniosła jeszcze raz te nadzieje i bardzo wysoko. Z początku wprawdzie „nie wierzy, żeby przez Stambuł szła droga do Warszawy,“ ale rychło zaczyna i on spodziewać się tego, czego wyglądali wszyscy. „Czy też stanie się zadość odwiecznej tęsknocie?“ — pisze z Heidelbergu 21 lutego 1854 roku List CCII. —

„Pamiętasz, jakem zawsze twierdził, że ex-prezydent nie kre-
„tyn ani wiarołomca żaden? Pamiętasz wieczór u Marcelliny,
„kiedy mnie tak gromiła o to? Wiedziałem ją dobrze od 2go
„grudnia, że inny prąd zaczął płynąć i popychać fale na ocea-
„nie świata. Najstarsza córka Kościoła znów idzie na krucyatę
„i znów razem z Ryszardem Lwiego Serca. Inne kształty, inne
„pozory, a konieczność ta sama, a cel jeden. I znów wszystko
„się rozpoczęło od kwestyi o Grób Chrystusa. Admirabilia! Oto
„dopiero zakryte ścieżki Pańskie i mądrość ludzka, która głup-
„stwem przed Bogiem! Spodziewali się tyle od 48go, nie spo-
„dziewali się niczego od 2go grudnia, jakże wypadki kłam-
„stwo ich rozumom zadają.“

Szczęściem dla siebie nie dożył czasów, kiedy jedno oka-
zało się taką marnością i nieprawdą jak drugie; a że w roku
1854 Francją i cesarstwo widział w blasku wielkich przezna-
czeń, cóż dziwnego.

W miesiąc później, zawsze z Heidelbergu tak pisze:
„*Credo, credo, nie quia absurdum, ale quia divinum est,*
„*quia miraculosum est!* Któż albowiem nie widzi, że palec Boży
„przyciśnięty jest do czoła świata, i że świat pod tem wszech-
„mocnem przyciśnięciem musi się przerabiać. Był dotąd ten
„łeb świata z głazu, teraz z wosku się staje“. I odtąd we
wszystkich listach, bardzo już krótkich zazwyczaj, bo choroba
oczów coraz mniej pisać mu pozwala, pod różnemi figurami
i nazwiskami, bo otwarcie pisać nie może do Sołtana mieszk-
jącego pod rządem pruskim, donosi mu, co się dzieje na Wscho-
dzie, co w Paryżu zwłaszcza w gabinecie cesarskim, a treścią
tego wszystkiego jest, że można się spodziewać rekonstytucyi
Polski. Po skończonej wojnie zaś uwag i skarg żadnych. Dwa
tylko ustępy zdolne obudzić powszechniejsze zajęcie. Jeden
o śmierci Mickiewicza (List CCXII, z Baden Baden 5go gru-
dnia 1855 r.): „Pan Adam już odszedł od nas. Na tę wieść
„pękło mi serce. On był dla ludzi mego pokolenia mlekiem
„i miodem, i zółcią i krwią duchową. My z niego wszyscy.
„On nas był porwał na wzdętej fali natchnienia swego i rzu-
„cił w świat. Był to jeden z filarów podtrzymujących sklepie-
„nie, złożone nie z gładów, ale z serc tylu żywych i krwawych.
„Filar to był olbrzymi, choć rozpękły sam. A teraz dołamał
„się i runął w przepaść, i całe sklepienie owe zadrzeć musi,
„i kroplami krwi tych serc z których złożone, płakać nad

„grobem. Wieszcz nietylko narodu, ale wszystkich plemion „słowiańskich nie żyje! smutno, smutno!“

A drugi ustęp jest o pogrzebie Mickiewicza, o tem, że generał Zamoyski został wtedy publicznie znieważonym, uderzonym przez Polaka i żołnierza. Podajemy list ten prawie w całości. Dobrze jest, by sprawa ta została w ludzkiej pamięci. Na razie zatarto ją jakoś gładko, a kto wie, czy sprawa tego uczynku, dlatego że znieważył człowieka bardzo niepopularnego, nie wydał się niektórym ludziom zasłużonym i odważnym. Niech więc świat polski usłyszy jaki to był uczynek, jakie jego powody i jaki człowiek który go popełnił; niech to usłyszy z ust tak poważnego świadka jak Krasiński. Będzie to jakąś przynajmniej choć spóźnioną satysfakcją dla skrzywdzonego, jest potrzebą sprawiedliwości i prawdy; oby było także i nauką:

„W sam dzień i chwilę pogrzebu Mickiewicza, na scho-
dach Magdaleny, gdy za trumną wstępował ten, co najzna-
komitszy wytrwałością, odwagą, wiarą i duszy wzniosłością
z wszystkich wygnanych naszych, rzucił się nań z tyłu Ja-
źwiński kapitan i dopuścił się świętokradztwa narodowego
na tym obchodzie narodowym, śmiał bezbożną i bezecną ręką
uzbrojoną w pałkę, dwa razy z wszystkiej siły uderzyć go
w plecy. Odwrócił się spokojny, jak zawsze, i tylekroć wśród
bojów najkrwawszych spokojny ów, o którym mówię. Złoczyń-
ca schronił się do hufca towarzyszy czy współników, którzy
go okrzykli i dali mu się wymknąć. Jeden Budzyński był go
za kołnierz porwał i zatrzymał, gdy chciał w pierwszej chwili
jeszcze trzeciem uderzeniem zbezcześcić nie tego, na którego
się zamachiwał, ale ten dzień, tę trumnę, to miejsce i wła-
sny naród. Nikt zresztą nie porwał się do obrony napadnię-
tego, wypuścili Barabasa! Tak zawsze się dzieje. Ten czło-
wiek był niegdyś strażnikiem celnym pod Krzemieńcem,
w powstaniu dorwał się kapitaństwa, później zebrał po wszyst-
kich domach paryskich, należąc do owej szui, co po ulicach
napada. Później z własnej woli zaciągnął się do pułku Soł-
tańskich kozaków, które dziś pod dowództwem tego, którego
uderzył; i zaciągnawszy się w ośm dni zbiegł, pułk porzucił
udał się do Stambułu i tam szynk założył. Później tu wró-
cił i napastował wszędzie najszlachetniejszego z ludzi, do-
wódzcę swego, który mu zawsze odpowiadał groźnie, że ze

„zbiegiem nie ma nic do mówienia. Takie dzieje tego niegodziwca. Ale cóż powiesz, ma obrońców, ma stronników i wielu się cieszy, że się taka obrzydliwość stała! Ah nieszczęśliwym my narodem? W Barabaszech kochać się zaczynamy. Już nas robaki ostatecznie toczyć zaczynają. Od rzezi 1846 roku takiej boleści nie doznałem. W takiej chwili, przy tej trumnie, na schodach przybytku Pańskiego, ten, co nigdy nie zwątpił, ten, który jeden coś był wywiódł na przyszłość ze swoich zabiegów i starań męczeńskich, ten, co wznowił był dopiero co tradycją legionów i chwycił sztandar ich z ziemi i wzniosł go nazad ku niebu, ten o postaci tak rycerskiej i chrześcijańskiej, o tak niespożytym żadnemi boleściami ani przeszkodami duchu, ten wśród tłumu ziomek, z których żaden, żaden na pomoc mu nie przybiegł, ten wart czi i po dziwu za cnotę żelazną, ten najdzielniejszy, ręką podłą uderzon,... to strach! strach nie dla niego, ale dla Polski i Polaków! I wiesz, co wyrzekł zaraz w pierwszej chwili! oto te słowa przedziwnie piękne: „Sądziłem, że początek męczeństwa więcej boli.“ Tylko uważano, że podczas Mszy, co nastąpiła zaraz potem, czasem konwulsyjnie ścisnął poręcz krzesła, na którym klęczał. Nie, w tem wszystkim o niego mi nie idzie. Co może dziki zwierz, podły zwierz przeciw ludzkiej naturze i to jeszcze najwznioślejszej? Ale mnie chodzi o te znaki zgnilizny, rozsiane po społeczeństwie naszym, ten duch stronnicy, duch zawiści, duch kłamstwa wiekuistego, który nas opanował i sprawia, że oburzenia dość nię ma wśród naszych z powodu takiego wydarzenia. Zkąd idzie, że to wydarzenie zaczyna takim sposobem nas wszystkich kłaść a przynajmniej wykazywać, żeśmy bez ducha, *bez przeświadczenia co złe a co dobre, co święte a co bezecne, żeśmy bez żadnej opinii publicznej*, a to są znaki śmierci! I to wszystko staje się w chwili, kiedy tak łatwo będzie pewnym potęgom świata powiedzieć o nas: Patrzcie, czy warci odzycia!“

„Zrazu generał był spokoju pełen. Ale następnych dni duch jego wpadł w ciemną boleść, gdy ujrzał, że ta sprawa przybiera barwę stronnicej walki, że dwa obozy się kształcą, jeden za nim, drugi za Jaźwińskim, że więc listy bezimienne, pełne gróźb i obelg, stronnicy tego ostatniego doń piszą... Jaźwiński także po scenie na schodach Magda-

„leny znów list wyzywający napisał... Okropny to wypadek. „Lecz przekonany jestem, że Jaźwiński był podbechtany i namówiony. Ręka, co tem kierowała, pozostała w ukryciu, „a tylko nią poruszone lalki ukazały się na jaw. Pierwiastku „władzy nienawidzą, a że jenerał zawsze ją wyobrażał, zatem „znianawidzony jest mimo najświętszych zasług. Wszystko to „grobowo smutne.“ (Baden 7go lutego 1856, List CCXIII).

W następnym doniosę liście, że odbył się sąd w tej smutnej sprawie. „Adwokat dobrze zapłacony przez a wyuczony przez L. przez dwie i pół godzin miotał najszkaradniejsze potwarze i grubijaństwa na Jenerała, Przytomny był „Jenerał siedzący na ławie świadków i nie mogący nawet odpowiedzieć bo nie był się ukonstytuował *en partie civile* czy „przez nieświadomość prawa, czy też z niedbania i wzgardy. „Sąd osądził *hrabiego* Jaźwińskiego na cztery miesiące więzienia tylko, a hrabia był już na wolnej stopie, bo był znał takich co kaucyą zań zapłacili. Zatem wypuszczono go „z aresztu i chodził sobie znów po mieście. Kalinkę sekretarza Jenerała, niezmiernie zdolnego młodzieńca, w tych dniach „nowy napastnik w głowę uderzył.“

A jednak choć tak oburzony i zda się zniechęcony dodaje zaraz: „pomimo wszystko najgłębsze mam przekonanie „że chłopiec“ (słowo to jak wiele innych oznacza Polskę) „się „wyleczy, że wróci do zdrowia, i że wszystko co zdaje się pogorszeniem tegoż zdrowia, jest tylko niezbadanością ścieżek „pańskich wiodących ku opatrzmemu celowi jego wyzdrowienia. „Czuję to nie tylko duszą i sercem, ale nawet, że się tak wyrażę, każdym nerwem cielesnej istoty mojej... Proszę cię „raz jeszcze nie myśl o tem ponuro: *Speravit contra spem*, „to wielkie i święte słowo Pisma.“ W innym miejscu znów: „Tonimy, a tonąc wciąż jedni jesteśmy, i dlatego też toniem; „lecz nie bój się nie utoniemy.“ Albo: „Jesteśmy na drodze „życia a nikt nas już nie zdoła zabić, *chyba my sami siebie*.“ I w tym duchu, z tą wiarą, mówi o sprawie zawsze do ostatka.

List ostatni pisany jest z Drezna 9 października 1858 r. Mówi w nim Krasiński, że czuje się bardzo wycieńczonym i chorym, że „źle z nim“ że doktor Walter szczerze mu to powiedział, że go na zimę do Hyères lub do Algieru wypra-

wia. Nie domyśla się przecież, czy nie wierzy, do jakiego stopnia było źle i mówi że „niebezpieczeństa jeszcze nie ma.“

Do listów dodany jest *Psalm Nadziei i Psalm Miłości* oba, a zwłaszcza ostatni w tekście znacznie różnym od ogłoszonego drukiem: krótki wiersz do *Potockiego* (nie wyrażono którego lecz do Aleksandra Potockiego z Tulczyna) przy przesłaniu mu pieczętki, drugi krótki także, do Sołtana samego przy przesłaniu egzemplarza *Nocy Letniej* i wiersz opatrzonej później tytułem *Do Moskali*. Wszystkie drukowane poprzednio w różnych pismach peryodycznych wyszły w wydaniu łwow-skiem dzieł Krasińskiego z roku 1875.

Oto krótka wiadomość o tej bardzo zajmującej i pięknej korespondencji. Do lat młodości Krasińskiego wydaje nam się ona źródłem pierwszego rzędu: w całości zaś jest ciekawa i ważna bo rzuca wiele światła na jego sposób myślenia i charakter, bo poufna bardzo i pełna zwierzeń daje poznać niektóre tajniki jego duszy, które w dziełach i ogłoszonych dotąd w listach nie odsłaniają się wcale lub bardzo mało. Znając poetę i myśliciela szukaliśmy w tych listach nie tyle jego wyobraźni i wyobrażeń, ile prywatnego człowieka i jego uczuć. Zobaczyliśmy duszę w przyjaźni gorącą, stałą, wierną, gotową zawsze do wszystkich usług i poświęceń: w miłości namiętną, ale wzniosłą i pełną zawsze najszlachetniejszej delikatności i czci najbardziej rycerskiej; widzieliśmy duszę dręczoną wielorakiem cierpieniem, a nigdy nie złomną i trzymającą swoją wiarę i swoją miłość wysoko po nad wszystkimi wypadkami i boleściami życia, tak że nic ich dosięgnąć, nic osłabić, nic obniżyć nie mogło. Widzieliśmy wreszcie tę samą zawsze głębokość i potęgę myśli, i tę samą miłość ojczyzny nad wszystkim górującą, prawdziwą treść i istotę jego duszy i życia. To dość żeby listom tym zapewnić wartość ogromną. Wdzięku dodają im piękne ustępy prawdziwie poetyczne, u Krasińskiego nie rzadkie, i te znów bardzo u niego rzadkie chwile swobody wesołości i żartu. Szczęśliwi jesteśmy że mogliśmy podać o tej korespondencji choć pobieżną wiadomość, zanim czytająca publiczność będzie mogła poznać ją i cieszyć się jej niepospolitemi pięknościami.

Do „Reformy Stosunków Wiejskich.“

II.

O GMINIE.

Kiedy mamy mówić o Gminie, a w szczególności o gminie naszej galicyjskiej, doznajemy pewnego uczucia obawy; a to z tej przyczyny, że przedmiotu tak ważnego nie można objąć należycie jednym artykułem publicystycznym — jest on bowiem godnym opracowania naukowego. A jednak postanowiliśmy bądź co bądź przełamać trudności wewnętrzne, uderzyć w trudności zewnętrzne, ufać zasadzie, że tam, gdzie działać każe obowiązek, działać trzeba bez zarożumienia t. j. w tem przekonaniu, że to co się zrobi może być niedoskonałem, ułomnem, za mało umiejętnem, a co ważniejsza za mało praktycznem, lecz jednak przydać się może na coś, choćby o tyle, że będzie myślą rzuconą, że się stanie komuś powodem do zastanowienia się nad sprawą, która nam leży na sercu. Wobec znacznej literatury zajmującej się gminą jako taką a opartej na głębokich studiach historii, umiejętności państwowej i psychologii społecznej i wobec tego, cośmy rzekli na wstępie, nie myślimy oczywiście ani o postawieniu nowego systemu, ani też o polemizowaniu z powagami naukowemi, lecz idzie nam głównie o to, aby w krótkich słowach — o ile starczą ramy tego pisma — przedstawić pojęcie, skład i zadanie gminy tak,

jak je mniej więcej przedstawia dzisiejsza umiejętność, przystosować te zasady do urządzenia gminy naszej, dzisiejszej, a w końcu, mając szczególniejsze stosunki praktyczne naszego kraju na oku, wysnuć wnioski niektóre dla pożądanej reformy.

Długo by się można nad tem rozwódzić, jak niesłuchanie ważną jest kwestya dobrego urządzenia gminy dla społeczeństwa; mówiono już o tem wiele, pisano może jeszcze więcej. My pozwolimy sobie tu przytoczyć związane lecz dobitne słowa jednego ze znakomitych na tem polu badaczy: „Nie ulega „wątpliwości, mówi Dr Wawrzyniec Stein, że gmina jest *głównym organizmem samorządu*. Wszystkie inne formy tegoż „są tej formie podrzędne; w niej rozstrzyga się pytanie, czy „państwo rzeczywiście samorząd posiada lub nie. Uczucie tego „faktu towarzyszy całej historyi życia gminnego i występuje „znowuż nawet w pojedynczych gminach z wielką potęgą na „jaw. Zlewa się ono najżywiej z uczuciem należenia do własnej ojczyzny; jest i pozostanie wielkiem ogniwem między „jednostką a całością; co więcej, jest tak potężnem, że tam, „gdzie całość stanie się obcą jednostce, i tę całość zastąpić „potrafi. Kiedy państwo zaginie, zastępuje ojczyznę to (co „Niemcy nazywają *Heimat*, a na co u nas nie ma wyrazu). „I to uczucie działa wewnątrznie przez całe życie; doprawdy „jakby Opatrzność chciała ten węzeł nierozzerwalny na to utworzyć, aby sobie zapewnić udział jednostki w całości także „w tym razie, gdy brak niewłaściwego głębszego zrozumienia „organicznej wspólności.

„W tem zaiste szukać należy jednego z najsilniejszych „żywiółów tworzenia się państw i czynów starożytnego świata; „gdyż to stanowi istotę Hellady i Rzymu, że tak dla Greków „jak i dla Rzymian gmina była ojczyzną. Lecz to było także „wielkim żywiołem ich wolności; gdyż organizacje Grecyi i „Rzymu były organizacjami gminnymi; nigdy nie wzniósł się „żaden z tych narodów do układu państwowego; nigdy nie „było rzymskiego, tem mniej greckiego państwa, lecz było „tylko panowanie gminy wielkiej nad gminami mniejszemi. „A gdy z nadejściem germańskiej epoki odbywa się w Europie „prawdziwe państw tworzenie i w tejsze epoce wolność państw „upada, chroni się samodzielność obywatelska w gminie. Tutaj „stacza ona wielką walkę z panowaniem możnowładztwa, tu

„powstaje przytułek dla przemysłowego a przeto wolnego ka-
 „pitału; ztąd wychodzi ruch, który przemienia porządek spo-
 „łecznej Europy i daje podwalinę epoce organizacyjnej. Tutaj
 „i w nowszych czasach jest rdzeń prawdziwej wolności; im
 „dalej postępuje rozwój społeczny, tem jaśniejszą staje się za-
 „sada, że wartość i siła żywotna wtedy dopiero jest zabezpie-
 „czoną, gdy na swobodnem życiu gminnem polega. Gdy się
 „więc prawa obywatelskie terażniejszości wyzwalają z kurateli
 „epoki policyjnej, gmina i jej prawo staje się znowu właści-
 „wem polem walki dla tych ostrych przeciwieństw, na których
 „się życie państw zasadza; każdy ruch i każdy rok przynosi
 „znamiona, że w tej dziedzinie, nad którą przyszłość panuje,
 „nie rozstrzygniętem ani zapewnionem być nie może, co pier-
 „wej w prawach i życiu gminy trwałego nie znajdzie uznania.
 „Kwestya gminna stała się przeto kwestyą *praktyczną* dla
 „rozwoju wolności narodów, i jużśmy zaszli tak daleko, że
 „nam organizacye państwowe same nie wystarczają. Tysiąc oznak
 „tego dowodzi; prąd wielkich potrzeb i poruszeń naszych cza-
 „sów zwraca się w tem, co samorządem nazywamy, przede-
 „wszystkiem ku gminie i jej prawu; co więcej, prawie bez na-
 „szej wiedzy odbył się w gminach w latach ostatnich postęp,
 „który nową epokę, w jakiej żyjemy, na jej prawdziwych i trwa-
 „łych utwierdza żywiołach. Jeśli zaś mamy zdanie nasze w krót-
 „kich streścić wyrazach, powiedzmy, że charakter naszych cza-
 „sów na tem polega, że przejście z wolnego lecz abstrakcyjnego
 „ustroju (Verfassung) do wolnej lecz konkretnej administracyi
 „*albo znajdziemy w gminie, albo go nie znajdziemy wcale.*“
 Tak mówi Stein w drugim wydaniu swego dzieła *o władzy
 wykonawczej* wydanem w r. 1869, a więc w siedm lat po poja-
 wieniu się w Austrii państwowej ustawy gminnej, a w trzy
 lata po uchwaleniu ustawy gminnej dla Galicyi. Można się
 z tem zapatrywaniem zgadzać w całości lub w części, można
 w niem widzieć optymistyczne ocenienie rzeczy, lecz nie mo-
 żna mu odmówić stanowiska naukowego i wyższego poglądu
 na stosunki społeczne. Lecz zadajmy sobie pytanie, czy i w na-
 szej galicyjskiej gminie odbył się w ciągu lat dziesięciu po-
 stęp, który nową epokę na prawdziwych i trwałych utwierdza
 żywiołach? Kategorycznie odpowiedzieć nie śmiemy i nie mo-
 żemy — ale zadajemy sobie drugie pytanie: jakie żywioły

mieliśmy w Sejmie, a więc w kraju w roku 1866, a jakich obecnie spodziewać się możemy? Zapewne wielu z posłów przypomina sobie dokładnie owe żwawe rozprawy, owe zacięte kontrowersye w sejmie r. 1866. Kiedy chodziło o uchwalenie istnienia Rad powiatowych, czyli — jak je wówczas włościanie nazywali — gromad powiatowych, dwie najważniejsze w kraju klasy społeczne t. j. szlachta i lud wiejski szczególnie wschodni stały naprzeciw siebie wówczas w tak nieprzyjaznem usposobieniu, jakby przeciąg lat dwudziestu poprzednich był tych żywiołów snem a nie życiem, kłóceniem raczej aniżeli jednaniem. Pamiętne są słowa ś. p. Adama Potockiego wówczas do przeciwników wyrzeczone: „Jeżeli byli tacy co mówili: „mybysmy się nie mogli wrócić do swoich gmin, gdybysmy „nie stawiali oporu przeciwko zaprowadzeniu Rad powiatowych — to ja tym samym stawię zapytanie: jak staniecie „przed własnem sumieniem i przed Bogiem, jeżeliście mogli „sprzeciwić się tam, gdzie chodziło o zgodę i zbliżenie się „wszystkich? — Liczymy się z gromadami, które nas wysłały, „liczymy się z ich życzeniem i chęcią, ale liczymy się także ze „sumieniem i obierajmy te drogi, które wiodą do zgody, do „sprawiedliwości i do połączenia...“ Od tego czasu dziesięć lat upłynęło — *i oto ten sam lud, który wówczas tak był przeciwny połączeniu gmin z dworami, tak się obawiał opieki szlachty w Radach powiatowych — dziś przy wyborach sejmowych daje mandat publiczny swej kontuszowej braci do radzenia o jego losie i przyszłości.* A więc jest postęp i znaczny ku lepszemu — postęp bardzo ważny, bo cóż droższem nam być może, cóż bardziej patryotycznym, jak to zbliżenie się serdeczne do ludu wiejskiego, to obopólne zaufanie. Zaufanie może się stać dzielną podstawą naszych społecznych stosunków i pierwszym warunkiem takiego urządzenia się, jakie dla moralnego i materyalnego dobra narodu jest najodpowiedniejszym. — Przypisywać tę zmianę ogólnemu poczuciu obywatelskich ze strony większych właścicieli, znaczyłoby pochlebiać sobie za wiele. Ale przypisać ją winniśmy zapewne głównie owemu zbliżeniu się do ludu w gminach powiatowych, a przypisać ją także należy w znacznej części załatwieniu spraw serwitutowych. — Lecz nie poprzestać nam na tym kroku, bo każdy spoczynek w sprawach publicznych

jest cofaniem się wstecz. Budując na zaufaniu powinniśmy nieustannie szukać środków i dróg dążących do polepszenia losu tego ludu, który nam swą dolę powierza, i do połączenia z tą dolą jako naturalnym sprzymierzeńcem naszych własnych interesów. Wewnętrzną zgodą i harmonią, popieraniem oświaty, zakładaniem kas pożyczkowych, dbaniem o dobrą komunikację i o dobre gospodarstwo w gminach możemy i w dzisiejszych stosunkach zdziałać wiele, ale nie będzie to jeszcze miarą naszego zadania. Dziś — jak widzimy — stoimy wobec innych stosunków, niż przed laty dziesięcioma, dziś mamy spory zasób doświadczenia z życia autonomicznego. To, co wtedy wydawało się jedynie możebnem w przeprowadzeniu samorządu gminnego, a nawet dobrem i skutecznem, dziś wydaje nam się niepraktycznem, nieogarniającem wszystkich dobrych pierwiastków, z jakich dałoby się uorganizować stan społeczeństwa zdrowy i kwitnący. I nie mogło stać się inaczej. Po uspokojeniu burzliwych żywiołów społecznych, złagodzeniu nienawiści i nieufności, wreszcie po mimowolnem odgraniczeniu spraw politycznych od wewnętrznej organicznej czynności mieliśmy dopiero sposobność objęcia okiem badawczem obszernego pola administracyi krajowej na zasadach wolności opartej. I jak z jednej strony widzimy błogie wolności skutki w reorganizacyi szkół ludowych, w podniesieniu funduszków i zakładów krajowych i t. d., tak z drugiej przyszliśmy do przekonania, że w tym organizmie organ najważniejszy i najistotniejszy funkcjonuje źle i ze szkodą kraju i obywateli. — Głośnem i powszechnem stało w ostatnich czasach w Austryi żądanie reformy władz administracyjnych, polepszenie policyi miejscowej przedewszystkiem mającej na względzie — lecz widać, że ta myśl nie dojrzała jeszcze do tego stopnia, aby mogła być traktowaną w centralnem ciele prawodawczem, skoro się w niem zjawiała tak jak duch w tragedyi i tak jak duch zniknęła. — Przyczyna tego dość prosta. Każda potrzeba wyrasta z właściwego sobie gruntu, a zaspokojenie jej do tego gruntu winno się stosować. Państwo nasze składa się z różnych krajów, z których niemal każdy ma swoje odrębne stosunki, odrębne czynniki moralne i materyalne. Dopóki więc inicjatywa reformy nie wyjdzie od ludów jako takich i ich prawnych reprezentacyj, dopóki sejmy krajowe, których naturalnym obowiązkiem jest znać i dokła-

dnie oceniać potrzeby miejscowe nie przedłożą swych pragnień jasno sformułowanych Koronie, dopóty reforma krążyć będzie w mglistej sferze ogólnych aspiracji i albo nigdy w czyn się nie przemieni, albo też wywoła po wielu debatach ulepszenie częściowe jako *panacaeum* dla wszystkich może w przecięciu przydatne, lecz nikomu w szczególności nie dogadzające. Przedewszystkiem zaś ludzić się nie trzeba, że dojdziemy kiedykolwiek do dobrej administracji, jeżeli starać się nie będziemy o należyte urządzenie praw i obowiązków tych zbiorowych indywiduów, które gminami nazywamy, o utworzenie jednostek administracyjnych silnych i prawidłowo funkcyonujących. Mamy wprawdzie przykłady na kontynencie europejskim społeczeństw pod względem materyalnym kwitnących, mimo że tam gmina ogołocona z praw swych przyrodzonych jest przeważnie organem władzy wykonawczej rządowej, a nie organizmem indywidualnym. Tak było do ostatniej chwili we Francyi i podobno nie wiele się do dziś zmieniło. Lecz na tym właśnie przykładzie najdobitniej widzimy, że gdzie administracja jest służką polityki, gdzie z tej lub innej przyczyny zaginą samodzielne i samowiedne indywidua zbiorowe, gdzie jednym słowem nie ma gminy, tam naród cały mimo dobrobytu, pośród prób ciężkich i rozstrzygających o przyszłości rozbity na atomy — traci samowiedzę. Czemu zaś przeciwnie zagórcy nasi sąsiedzi zawdzięczają elastyczność ducha, jeżeli nie głównie temu, że ustrój tego królestwa polega od wieków na komitacie, który nie jest niczem innem, jak potężną zbiorową gminą? — Gdyby nam ktoś zarzucił, że stanowcze załatwienie kwestyi gminnej nie jest naglącem, odpowiedzielibyśmy, że to jest sprawa u nas najważniejsza, a zatem najpilniejsza. Wiadomo, że Rząd przygotowuje projekta do kommasacyi gruntów; jakiej ta kwestya jest dla nas wagi a na jakie trudności może napotkać w Galicyi, nie potrzeba podobno wiele dowodzić. Otóż zdaje nam się, że ta solidarność klas rolniczych, to zrozumienie wspólnych gospodarczych interesów, które może utorować drogę kommasacyi, da się osiągnąć jedynie przez reorganizacyą gminy. Nie mówiąc o innych względach moralnej i gospodarczej natury, ten jeden powinienby dać dowód kołom kompetentnym do głębokiego zastanowienia się nad gminą i do wytrwałej pracy nad jej udoskonaleniem.

I.

Chcąc skreślić dzisiejsze stanowisko gminy, trzeba przynajmniej w kilku słowach przedstawić jej przeszłość. Kiedy nad wolną wsią średniowieczną urosła władza panów tak, że ujęła w swe ręce nie tylko jurysdykcją sądową i policją, ale także nakładanie ciężarów, kiedy wieś wybierała wprawdzie sołtysa i reprezentantów, lecz ci byli tylko narzędziem wykonania dla urzędnika pańskiego — kiedy później i te prerogatywy po stłumieniu wojen chłopskich ustąpić musiały przed absolutyzmem t. z. stanów, których prawo rządzenia stało się prawem prywatnem, znika niemal z całego kontynentu europejskiego właściwa gmina wiejska, a pozostają tylko posiadłości pańskie. Obok gmin wiejskich istniał wolny kapitał przemysłowy, który utworzył posiadłość osobistą, nieprzywiązaną do gruntu, lecz mogącą przenosić się z miejsca na miejsce. Władza panów przywiązana do posiadłości gruntowej nie mogła osiągnąć ludzi, których majątkiem była praca i osobista zdolność. Więc ci ludzie wyjęci byli niejako z pod ogólnego prawa; stąd oczywiście wypływała dla nich konieczność skupiania się ku wspólnej obronie. Tak powstały miasta, które nieraz zbrojny musiały stawiać opór uroszczeniom pańskim. Lecz duch owych czasów i ogólny porządek stanowy nawiedził z czasem i te swobodne społeczeństwa. Główne rodzaje przemysłu stały się korporacjami stanowymi; cechy utraciły swój charakter wyłącznie przemysłowy i były podstawą do udziału w zarządzie miasta. Powstała wyłączność stanów rządzących i wyróżnienie ich od innych obywateli. W ten sposób nie tylko autonomia włości ale i wewnętrzna wolność miast w ciągu wieków upada. W wieku XVI władza książęca ogarnia stosunki komunalne. Możliwość szlachty i jej wpływ na gminy wiejskie maleje z czasem kosztem tworzenia się państw nowożytnych. Przez pobór podatków na wspólne cele państwa, przez pobór rekruta, przez ustanowienie urzędników państwowych dla wykonywania sprawiedliwości i policji wchodzi ludność wiejska w coraz większy stosunek zawisłości od władzy krajem rządzącej, która to władza ograniczywszy i poddawszy pod ścisły dozór jurysdykcją patrymonialną, wkraczać zaczyna całkiem

stanowczo około XVIII wieku w rozległą przedtem autonomią miast. Wiek ten jest wiekiem absolutyzmu władzy państwowej, ale też zarazem epoką, w której się budzi uczucie wolności ludów. Wielka rewolucya francuzka niszczy absolutną władzę Burbonów, lecz nie przynosi Francyi błogich owoców, przynosi bowiem gminie ostateczną zagładę i przygotowuje cesarstwu bardzo pożądaną materyał. W innych państwach europejskich nastąpiły dla gminy szczęśliwsze okoliczności. Jednolitość administracyi, którą władza państwowa prawie wyłącznie przez swoje wykonywała organa, spowodowała, iż około połowy ośmnastego wieku niektóre państwa niemieckie zaprowadziły u siebie ordynacye gminne. Atoli te ustawy miasto rozwijać indywidualizm gmin, ścieśniają go jeszcze bardziej. Lecz już w początkach XIX wieku widzimy skutki owego ogólnego prądu wyswobodzenia się z pod absolutnej władzy. Jednak — rzecz dziwna — nie ludność lecz państwo samo daje warunki wolności. Pruska ordynacya dla miast z r. 1808 nie jest niczem mniej jak powołaniem gminy do życia. Zjawisko to było w Prusiech chwilowem i dla tego państwa minęło bez znacznych skutków na przyszłość, jednak dla innych państw miało znaczenie dobrego przykładu. Ustrój państw zaczynał się zmieniać przez zwrot w ich ogólnem ustawodawstwie; o przejściu reform do rządu a tem samem do samorządu na razie nie mogło być mowy.

Tutaj bardzo ważny fakt konstatuje nauka. Samorząd gmin średniowiecznych był owocem stosunków czysto towarzyskich i społecznych. Wspólna posiadłość gruntowa stworzyła wspólne gospodarstwo i rząd komunalny w gminach wiejskich. Stosunek wsi do możnego właściciela spowodował upadek autonomii włościańskiej. Ochrona rękodzieł i wszelkiego przemysłu wywołała rozległy samorząd miast, który wedle mniej lub więcej szczęśliwych okoliczności przybierał najrozmaitsze rozmiary i kształty. Rząd patrymonialny na wsi oraz przywileje i wolności miast w przeciągu wieków stały się prawami historycznymi odziedziczonymi, z którymi musiało się liczyć państwo nowożytne. Jakoż z tego, lecz tylko z tego tytułu władza państwowa uznaje i zatwierdza te prawa, później zaś w miarę wzrostu swej siły uszczupla takowe poruczając rządy własnym organom. W XIX wieku rzecz się ma

zupełnie odwrotnie. Ustawy państwa uznają gminę jako organiczną część całości, a jej prawa i obowiązki jako naturalny wynik praw i obowiązków państwowych. Dla tego prawo gminne nie jest już w naszym stuleciu prawem historycznem lecz prawem organicznem, dla prawidłowego ustroju państwa koniecznem.

Urzeczywistnienie tej ogólnej tendencji, która się poczęła w pierwszej połowie naszego wieku, a która do dziś dnia nie we wszystkich państwach europejskich znalazła uznanie, było niezmiernie trudnem z tej prostej przyczyny, że się z tą kwestyą łączyły ściśle prawa prywatne i stosunki własności. Powszechna wolność gruntu i wolność przemysłu była węzłem gordyjskim, który należało rozwiązać. Indemnizacya i wolność przemysłowa były dopiero podstawą dla samorządu zarówno dla gmin wiejskich jak miejskich i uchwalały różnicę między prawami i obowiązkami jednych a drugich. Dla tego też w ślad za przeprowadzeniem jednej i drugiej reformy powstawały ustawy gminne na zasadzie samorządu oparte. Między państwami dawnego związku niemieckiego Austria jedna przeprowadziła obie powyższe zasady w zupełności i dla tego jej organizacya gminna góruje nad innemi wolnością. Wobec faktu, że idea wolności gruntowej powstała w Niemczech z początkiem bieżącego stulecia, a dopiero od r. 1830 trwałego nabierała znaczenia, jakże miło przywołać smutnej przeszłości wspomnienie, jak rozkosznie pomyśleć o konstytucyi 3 maja! Wdzięcznem zaiste byłoby studyum dla historyka i dla statysty skreślenie historii polskiej włości i polskiej gminy — a studyum to zupełnym leży odłogiem. My czerpiąc z gotowych wyników nauki, nie mamy niestety możności wypowiedzenia w tej mierze choćby krótkiego poglądu; a zresztą urządzenie gminy galicyjskiej ma swoją odrębną wyłącznie austriacką tradycyą.

Równocześnie z zaprowadzeniem indemnizacyi powstała w Austrii prowizoryczna ustawa gminna z 17 marca 1849. Na jej czele wypisano zasadę, że „fundamentem wolnego państwa jest wolna gmina.“ I rzeczywiście zawierała ona ważne postanowienia dla samorządu gminnego. Według niej bowiem gmina nie tylko wybierała swą reprezentacyą, lecz także zarządzała samodzielnie swoim majątkiem. Naczelnik gminy wy-

konywał pewne funkcyje w drodze delegacyi od państwa mu poruczone j. t. wybierał podatki, brał udział w rekrutacyi i konskrypcyi, w sprawach podwodowych i kwaterunkowych i t. d. Co ważniejsza, zwierzchność gminna miała prawo karania za przekroczenia rozporządzeń wydanych przez naczelnika gminy w wykonaniu policyi miejscowej. Posiedzenia reprezentacyi gminnej miały prawo jawności. Ordynacya ta jednak nie trwała długo, albowiem „gdzie nie urzeczywistniono *wolnego państwa* — powiada I. C. Bluntschli — tam nie było miejsca i dla *wolnej gminy*.“ Próba jednak była zrobioną, chociaż wykonanie napotkało na trudności.

Charakterystycznym jest okólnik ministra spraw wewnętrznych z 15 sierpnia 1849 określający stanowisko urzędów administracyjnych wobec ludności. Zaleca on tym urzędowi, aby nie ograniczając się na postępowaniu pisemnem wchodziły w styczność bezpośrednią z życiem i z działalnością obywatelską, aby także na drodze konstytucyjnej przewodniczyły obywatelstwu, a przede wszystkim, aby przygotowały swobodny ruch gmin. Najwyższe pismo gabinetowe z dnia 31 grudnia 1851 wprowadziło ogólną reorganizacyą państwa. Zniesienie t. z. „Reichstagu“, który na mocy manifestu cesarskiego z 4 marca 1849 r. łącznie z cesarzem wykonywał władzę ustawodawczą, i zaprowadzenie „Reichsratu“ z r. 1851, który był tylko ciałem doradczem w sprawach ustawodawczych, spowodować musiało naturalnym rzeczy porządkiem także ściśnienie autonomii gminnej. Postanowiono, że zwierzchności gminne podlegają potwierdzeniu i nominacyi rządu, ograniczono zakres działania gminy, poddano uchwały reprezentacyi gminnych nawet w sprawach własnego zarządu zatwierdzeniu władz rządowych i zniesiono jawność posiedzeń.

Z tem wszystkiem były to tylko zasady ogólnie nakreślone, według których miano wypracować dla poszczególnych krajów koronnych w miarę odrębnych stosunków, odpowiednie ustawy gminne dla miast i gmin wiejskich. Po dziesięcioletniem prowizoryum przyszła do skutku ustawa gminna z dnia 24 kwietnia 1859. Największa jednak część postanowień tej ustawy nie miała bezpośredniej mocy obowiązującej, lecz zawierała tylko zasady dla przyszłych ustaw gminnych prowincjonalnych, które nie zostały wcale zaprowadzone. Co do obszarów dwor-

skich, to już pismo gabinetowe z 31 grudnia 1851 postanawia, że przy oznaczeniu gmin wiejskich może być większa dawniej dominikalna posiadłość wydzieloną ze związku gminnego, a to pod pewnemi warunkami, które w każdym kraju bliżej oznaczyć należy. Ustawa z r. 1859 zawierała również przepisy dotyczące się samoistnego obszaru dworskiego, lecz przepisy miały wejść w życie dopiero po ukonstytuowaniu się obszarów i zamianowaniu oraz zatwierdzeniu przez rząd ich przełożonych.

W tem stadyum tworzenia się prawa administracyjnego w ogóle a prawa gminnego w szczególności, wyrobił się w Galicyi stan faktyczny na tymczasowych rozporządzeniach oparty, którego dla kraju szczęśliwym nazwać nie możemy. Powstał rzeczywisty rozdział gmin wiejskich i obszarów dworskich. Pomijając względy społeczne i gospodarcze, przypuszczamy, że te odrębne ciała administracyjne mogły jako tako spełnić swe funkcye, będąc w ścisłej zawisłości od urzędów powiatowych, lecz widzimy także zbyt jasno, ile odrębnością swoją przyniosły szkody nowemu ustawodawstwu gminnemu a przez to i społeczeństwu. Bliżej wypadnie nam później o tem pomówić. Lata 1860 i 1861 stanowią bardzo ważną epokę w historii prawa publicznego w Austrii, wtedy bowiem dokonały się przeobrażenia, które to państwo na zupełnie odmiennych konstytucyjnych oparły podstawach. Dyplom październikowy zaprowadza autonomią krajów — sejmy krajowe i radę państwa jako ciała ustawodawcze. W ślad za tem idzie prawo gminne, którego zasady zawarte są już w projekcie z r. 1861. Są zaś następujące: Każdy obywatel państwa jest członkiem pewnej gminy; a więc i właściciel dóbr. Dla przeprowadzenia tej zasady w praktyce, mają powstać gminy wyższej kategorii, któreby — po trzecie — wykonywały rodzaj dozoru nad gminą miejscową. Czwarte — każdy kraj ma mieć osobną ustawę gminną. Na podstawie tego projektu wyszła ustawa państwowa z 5 marca 1862, która zawierała w sobie zasadnicze postanowienia dla uregulowania spraw gminnych.

Jako główną wadę tej ustawy podnosi W. Stein tę okoliczność, że gmina administracyjna jest w niej albo nie jasno, albo zgoła błędnie określona. Lecz nad ten poziom nie wzniosły się także ustawy pojedynczych krajów koronnych na ustawie państwowej osnute.

Tak skreśliwszy pobieżnie przeszłość naszej gminy przechodzimy do wniosku, że trzeba było długoletniej walki tak na polu prawa publicznego jako też na polu ekonomicznem, aby zasada „wolnej gminy w wolnem państwie“ stała się prawdą i rzeczywistością — trzeba było zwycięstwa systemu autonomicznego nad systemem policyjno-biurokratycznym, zwycięstwa wolnego gruntu i wolnego przemysłu nad stosunkiem patrymonialnym. To drugie daje pierwszemu realną podstawę. Rok 1848 przynosi indemnizacyą, rok 1859 wolność przemysłową, a wynikiem jednej i drugiej jest równość obywatelska, układająca się w organizmy jednemu prawu ulegające.

II.

Powiedzieliśmy wyżej, że naród rozdrobniony na jednostki w ścisłem tego słowa znaczeniu, a utrzymywany w karbach ładu władzą centralną i jej organami natrafia na przeszkody w mierze rozumnego stanowienia o swoim losie choćby miał u szczytu reprezentantów uchwalających ogólne ustawy. Zdanie to wydaje nam się słusznem już ze względu na pojęcie organizmu przyrodzonego. Jak organizm jednego człowieka nie da się nagiąć absolutnie do pewnych maksym zdrowia, tysiączne bowiem szczegółowe okoliczności i wpływy sprzeciwiałyby się tym maksymom, tak tem bardziej organizm wielki, cały naród obejmujący, nie może postawić takich zasad powszechnie obowiązujących, któreby uwzględniały sprawiedliwie wszystkie szczegółowe okoliczności i położenia, w jakich się znajdować mogą wszystkie najdrobniejsze jego członki t. j. obywatele kraju. Jedna wielka reprezentacya parlamentarna traci z oczu szczegóły dla odległości punktu widzenia, centralna władza wykonawcza z natury swojej nie jest obowiązana takowych uwzględniać. Jedna powszechna wola i jeden powszechny czyn winny mieć przeto swoje granice, jeżeli państwo i naród nie ma być mechanizmem sztucznym godności ludzkiej nieodpowiadającym, a ma mieć granice zarówno czy organa powszechnej woli i czynu pochodzą z samego narodu czyli też są po prostu narzucone. Jakże zaś znaleźć te granice? Znajdziemy je, jeżeli rozróżnimy potrzeby człowieka ze względu na ogólny

rozwój jego osobistości i środki, jakie ku temu służą. Człowiek ma potrzeby moralne i materyalne, potrzeby wyższego i niższego rzędu. Czy wszystkie zaspokoić zdoła własnymi środkami?... Są potrzeby, których jednostka nawet nie zna i nie pojmuje, są inne, które zna, lecz którym podołać nie potrafi. Gdzie osoba jednego człowieka sobie nie wystarcza, wkracza osoba wyższego rzędu, a tą osobą jest wedle zasady powszechnie w świecie uznanej państwo. Ta osoba ma równie jak jednostka swój rozum, wolę i czyn, ta osoba wyższego rzędu ma nadto czynnik jednostce nieznany a uznany w sferze moralnej i praktycznej, czynnik łączący całość w samowiedny organizm i odpowiadający za całość. Czynnikiem tym czyli koroną organizmu państwowego jest monarcha. W jakich warunkach monarcha może być także szczytem kilku organizmów najwyższych i jakie tych organizmów można rozróżniać rodzaje, o tem mówić nie jest naszym zadaniem. Lecz zstąpmy znowu do głębi życia ludzkiego i jego potrzeb. Niezliczona różnorodność indywiduów tworzy niezliczoną różnorodność interesów i zdań, między temi zaś są interesa wspólne, których załatwienie bierze na siebie ogół społeczeństwa. Ztąd im lepiej urządzony kraj, tem szczęśliwszą czuje się jednostka, a że jednostka zdolną jest rozwoju, więc im lepiej urządzony kraj (lub państwo), tem potrzeby jednostki większych nabierają rozmiarów, a ztąd znowu ta nieubłagana konsekwencya, że człowiek w rozwoju swej osobistości staje się zawisłym od organizmu wyższego, żyje z jego soków i krwi. Lecz jeżeli ważnem jest zadanie państwa czy kraju jako organizmu wyższego, to jednak wypełnienie jego nie będzie zupełnem, nie dosięgnie wszystkich pragnień indywidualnych leżących w granicach możebności, jeżeli nie przypuścimy istnienia organizmów pośrednich, które obejmują w swój zakres interesa i potrzeby nie tak ogólnej natury, lecz nie mniej konieczne. Interesa te nazywamy pospolicie interesami miejscowemi, gdyż są zawisłe od okoliczności miejscowych, a organizm, w którego zakres wchodzi, nazywamy gminą. Gmina więc jest ogniwem łączącym kraj z jednostką, uzupełniającem działanie kraju pod względem rozwoju jednostki i jej uszczęśliwienia. Jeżeli zaś gmina ma te warunki posiadać, winna mieć również charakter osobistości t. j. mieć jedność, wolę i władzę. Nie dość na tem.

Mając do czynienia z interesami miejscowemi, gmina winna mieć swój naturalny grunt czyli terytoryum, a będąc wyrazem sumy potrzeb indywidualnych, winna się składać z takich żywiołów, któreby nietylko znalazły w jej obrębie harmonijne swych potrzeb zaspokojenie, lecz także były w stanie złożyć na wspólnym ołtarzu tyle zasobów, ile potrzeba do istnienia i żywotności organizmu gminnego. W tym ostatnim względzie jest trudność z natury gminy jako takiej wypływająca. Są inne osoby moralne, które powstają w pewnym oznaczonym celu dla dokonania pewnego szczegółowego zdania. Gdy celu dopną lub gdy dopięcie celu stanie się niemożliwem, przestają istnieć. Takim jest charakter stowarzyszeń. Dla tego w stowarzyszeniu wspólny cel nakłada na stowarzyszonych pewne nieodzowne warunki: kto tych warunków nie posiada jest wykluczonym. Inaczej w gminie. Gmina jest instytucją dla celów najrozmaitszych, rozwój człowieka w ogóle mających na względzie. Z gminy żaden obywatel państwa nie może być wykluczonym, ona jak pojedynczy człowiek wiecie żywot naturalny — a mówiąc po ludzku — nieśmiertelny. Jeśli więc chcemy mówić o składzie gminy, nie możemy uwzględniać lub nieuwzględniać pewnych kwalifikacyj członków gminy, lecz liczyć się musimy ze stosunkami istniejącemi a tylko od szczęśliwej kombinacji tych stosunków i szczęśliwe rozwiązanie kwestyi zależy.

Zanim wrócimy do tej kwestyi, wypada nam rozwinąć trzy wyżej wymienione pojęcia, na których polega istota instytucji gminnej. Gmina jest — jak się wyżej rzekło — organizmem łączącym pojedynczych obywateli z państwem i krajem; za jej więc pośrednictwem działają ustawy państwa i kraju, do niej należy ustawy te w swoim obrębie wykonać i na onychże podstawie wydawać rozporządzenia uzupełniające, zastosowane do potrzeb wyłącznie miejscowych. Jak w domu gospodarza nic się nie dzieje bez jego wiedzy i zezwolenia, tak w gminie nic się nie dzieje bez wiedzy i zezwolenia jej reprezentantów. I nie ma w tem żadnej sprzeczności ani kolizyi: bo choć jej zezwolenie tam, gdzie norma prawna z góry jest określoną w praktyce, może się wydawać zbytecznem, to jednak w zasadzie jest ważnem dla tego, że zarządzenia lokalne są jej prawem niezaprzeczonem. Sprzeciwianie się zaś gminy ustawom ogólnym jest niemożliwem, gdyż musiałoby

narazić jej egzystencją wobec państwa. Prócz wykonania ustaw państwa i kraju gmina stanowi w sprawach miejscowych obywateli, daje im obronę i opiekę w swoim zakresie jak również inne korzyści z miejscowych instytucyj wynikające. Przyjąwszy te zasady ogólne w teorii prawa gminnego uznane, przychodzimy do wniosku, że obywatel państwa w tym razie jedynie z praw swoich obywatelskich w zupełności korzystać może, jeżeli do pewnej gminy należy. Ztąd wypływa zasada, że każdy obywatel państwa winien być członkiem gminy, a że z sobą łączy się ściśle i mienie jako środek do dopięcia ludzkich celów, więc i majątek nieruchomy winien leżeć w obrębie gminy. Jedno i drugie uznała państwowa ustawa gminna z r. 1862, atoli ustawa gminna galicyjska korzystając z możności odłączenia obszaru dworskiego od gminy i polegając na faktycznym stanie rzeczy stworzyła jednostkę nieorganiczną i anormalną, która ma pełnić funkcje gminy nie posiadając jej charakteru. Obszar dworski jest osobą moralną o tyle, o ile nią może być fundacya, masa spadkowa i t. p. lecz nie jest osobą wyższego rzędu w znaczeniu prawa administracyjnego, nie daje bowiem jednostce innych warunków rozwoju, aniżeli te, któremi ona sama rozporządza; nie jest także ogniwem łączącym jednostkę z organizmem wyższym t. j. państwem lub krajem, ale przeciwnie stawia jednostkę w odosobnieniu wobec władz wyższych i wyklucza ją tak od wpływu rozporządzeń lokalnych jako też od możności wpływania na pomyślność instytucyj gminnych.

Wprawdzie mógłby ktoś powołać się na radę powiatową twierdząc, że to jest organiczne ciało, w którym żyje i porusza się obszar dworski. Dobrze, ale proszę mi wskazać owe zdarzenia lub okoliczności, w których Rada lub Wydział powiatowy opiekę swą nad obszarem dworskim rozciąga. Rada powiatowa strzeże gminę od roztrwonienia majątku jej członków, od przeciążenia dodatkami do podatków, zezwala na zmianę granic, na łączenie się gmin; Wydział załatwia rekursu przeciw orzeczeniom gminy w sprawach własnego zakresu; tu jest możność realnego korzystania z instytucyi Rady powiatowej. A na obszarze dworskim? Czuwanie nad majątkiem tu nie potrzebne, bo majątek jest prywatny; a rekursu — kto będzie rekurował, czy sługa od orzeczenia swego służbodawcy? Zresztą gdzież pole do orzeczeń? Władza karania obszarowi

dworskiemu nie przysłuży, a rozporządzenia w sprawach policyi miejscowej, toć to proste dyspozycye gospodarskie, których dobry kmięć nie zaniedba, aby ochronić swoje obejście od wody, ognia lub złego człowieka. Jedyńy związek obszaru dworskiego z radą powiatową jest tam, gdzie jest mowa o jego obowiązkach co do wykonania ustaw i rozporządzeń, tudzież o ciężarach, które winien ponosić. Wreszcie Rada powiatowa wkracza i w tym razie, gdy chodzi o połączenie się obszaru dworskiego z gminą.

Jeżeli więc w rzeczy obszar dworski jest to po prostu właściciel większej posiadłości stojący po za gminą (niby przynależny do gminy, choć nie jest jej członkiem) zasiadający zazwyczaj w radzie powiatowej, ale bez własnej korzyści, nie będący w naturalnym związku interesów ani z swoim sąsiadem właścicielem większym ani z posiadaczami gruntów włościańskich — do jakiej kategorii mamy go zaliczyć w systemie administracyjnym? Jest to stanowisko wyjątkowe, którego można było bronić wówczas, kiedy prawa prywatne stanowiły rozdział między dworem a gminą t. j. przed załatwieniem indemnizacyi i spraw serwitutowych, ale którego podobno dziś nikt ani ze względów administracyjnych, ani też ekonomicznych usprawiedliwić nie zdoła. Jest to zabytek z odległych wieków, kiedy obok włości na zasadach towarzyskich opartej istniała też pańska niezależna posiadłość, tylko w zupełnie innych warunkach, bo gdy w średnich wiekach pan wpływem i przewagą majątkową zyskiwał jurysdykcyą nad włością i absolutną władzę, dzisiaj właściciel większy tego uczynić nie może. Nie wchodzimy bliżej w rozpoznanie kwestyi ekonomicznej stosunku, o którym mówimy, bo to wymagałoby głębszego i obszerniejszego studyum, ale zdaje nam się, że zbliżenie się kapitału większego do kapitałów mniejszych, wzajemne oddziaływanie zaufania, inteligencji i pracy przyczyniłoby się niepospolicie do podniesienia stosunków gospodarczych w naszym kraju, skonsolidowałoby żywioły rolnicze ku ustaleniu kredytu, ku obronie od lichwy i niecej spekulacyi żydowskiej, która właśnie głównie na solidarności stoi. Cóż dopiero mówić o względach wyższych patryotycznych! I dzisiaj idzie szlachcic na posiedzenie rady powiatowej dla tego, bo go wołają obowiązki obywatelskie i sumienie, i dzisiaj działa tam nie bez korzyści dla

ogółu; ileż goręcej i chętniej działałby wtedy w sferze życia publicznego, kiedyby widział, że tam buduje pomyślność nie tylko dla współobywateli, ale i dla swych własnych dzieci. W harmonii klas społecznych możebyśmy w odmiennych warunkach pochwycili tradycją owego pięknego patryarchalnego stosunku, jaki istniał niegdyś w Polsce między szlachtą a ludem, a jaki do dziś dnia podobno istnieje na Litwie, i możeby się sprawdziły słowa wyrzeczone przy tegorocznych wyborach sejmowych przez pewnego włościanina okręgu Jasielskiego do nowoobranego posła obywatela: „*Co was to i nas boli, bo pracujem na jednej roli.*“

Nasza ustawa gminna przypuszcza w § 2 zlanie się kilku gmin w jedną gminę, lecz nie przypuszcza zlania się obszaru dworskiego z gminą. Dobrowolne łączenie, o którym mówi § 95, ma tylko na celu wspólne zawiadywanie niektórymi lub wszystkimi sprawami, tak własnego jak poruczonego zakresu działania, i w takim to razie gmina i obszar dworski byłyby uważane w myśl § 97 jako strony interesowane. Łączenie gmin w tym sensie może być dobrowolnem lub przymusowem. Dlaczego przymusowe łączenie odnosi się tylko do obowiązków gminy, wypływających z poruczonego zakresu działania, nad tem prof. Stein słusznie się zastanawia, boć przecie i własny zakres działania jest tyle ważnym, że kraj z tytułu swego zwierzchniczego dozoru, dla dobra obywateli powinien i w tym razie złemu zaradzić, łącząc gminy słabe w całości silniejsze.

Łączenie się gmin i obszarów dworskich w organizmy silniejsze uważamy tylko wtedy za możebne, jeżeli przyjmimy za podstawę *gminę administracyjną*. W gminie administracyjnej nie giną jednostki gromad i ginąć nie mogą, gdyż mają swe historyczne prawo istnienia. Ile razy więc rozchodzi się o zlanie kilku gromad w jedną gromadę, administracja napotyka na trudności i opór ze strony żywiołów gminnych, nie tylko bowiem granice terytoryalne nadal istnieją, tem bardziej, że są one podstawą podziału katastralnego, ale też pewien szczupły zakres stosunków miejscowych na dawnej tradycji opartych opiera się takiemu połączeniu. Również niemożebnem i jeszcze trudniejszym byłoby zlanie się posiadłości większej z gminą, gdyż różnica majątku inteligencji i potrzeb między właścicielem większym a włościaninem jest zbyt wielka, iżby

ich interesa w małym terytoryum gminnem zgodne mogły znaleźć załatwienie. Lecz uważając gromady jako indywidua zbiorowe, mające w systemie samorządu pewien własny zakres działania, który stosunkom gminy miejscowej odpowiada, uważając dalej właściciela większego jako drugi ważny czynnik w utworzeniu ciała administracyjnego, możemy dojść do ukonstytuowania organizmów, które ze względu na swój charakter partykularny warunkom gminy odpowiadać będą i zleją na jednostki te dobrodziejstwa samorządu, których od niego wymagać mamy prawo.

Chcąc ocenić, o ile zaprowadzenie gminy administracyjnej u nas jest możebnem i koniecznem, musimy podać w krótkości zarys administracyi gminnej w ogólności, to jest oznaczyć organa tej administracyi i jej zakres działania. Zasada autonomii wymaga, aby gmina stanowiła o pomyślności swych członków tam, gdzie ustawy państwa i kraju bliższych nie dają postanowień i gdzie się rozchodzi o lokalne tych ustaw zastosowanie. To prawo autonomiczne wchodzi w życie przez proces następujący: Według zasady ogólnej każdy obywatel państwa winien należeć do pewnej gminy. To należenie nadaje mu prawo do korzystania z wszelkich instytucyj i całej działalności administracyjnej w gminie, a zarazem nakłada na niego obowiązek ponoszenia ciężarów gminnych. Obywatel, płacący podatki w państwie i kraju, używa ogólnego prawa do tworzenia samorządu, a ponieważ gmina jest pośrednim organem samorządu, nabywa tem samem prawa tworzenia samorządu gminnego, które oczywiście wtedy tylko jest wykonalnem, kiedy istnieją warunki pełnoletności, możności zawiadywania własnym majątkiem itd. Samorząd gminny tworzy się przez wolny wybór reprezentacyi. Reprezentacya dzieli się na trzy organa administracyjne: są zaś niemi rada gminna jako organ uchwalający, wydział gminny (ławnicy) jako organ wykonawczy i naczelnik czyli głowa gminy.

Wszelka akcyja gminy jako całości przychodzi do skutku przez działanie tych trzech organów, z których każdy ma swój własny zakres. Jak w organizmie państwa znajdujemy ciało prawodawcze czyli radę państwa lub sejm, organ wykonawczy czyli ministerya i naczelnika państwa — monarchę, tak też i w tym pierwszym i najniższym organizmie autonomicznym.

Wola państwa objawia się w ustawie, wykonanie objawia się w rozporządzeniu; gmina wyraża swą wolę w uchwale rady gminnej, a wydział gminny tę wolę wykonuje przez szczegółowe rozporządzenia — a jak przez sankcyą monarszą ustawy państwa zyskują moc obowiązującą, tak wszelka uchwała rady gminnej i rozporządzenie wydziału, staje się przez to ważnym aktem gminy, że powstaje w imieniu i za przyzwoleniem naczelnika.

Z tego pojęcia organów samorządu gminnego wypływa ich zakres działania.

Rada gminna jest ciałem ustawodawczem dla gminy; nie ma ona prawa uchwalania ustaw—gdyż ustawa posiada charakter ogólny, odnoszący się do stosunków i potrzeb całego narodu—lecz ma prawo stanowienia uchwał, które w obrębie gminy mają moc ustawy. Jako ciało uchwalające, rada musi być niezawisłą od władzy wykonawczej, tj. od naczelnika gminy i wydziału gminnego i w tej też myśli winna się ukonstytuować: dlatego przewodniczącym w radzie gminnej nie powinien być naczelnik gminy, gdyż on jako wykonawca woli gminy, jest radzie za swe czynności odpowiedzialny i winien jej z takowych składać liczbę. Również nie mogą zasiadać w radzie gminnej członkowie wydziału, a to z tego samego powodu.

Biorąc rzecz ściśle teoretycznie — cały zakres działania gminy jest także zakresem działania rady, ale tylko w pierwszym stadyum swego istnienia, tj. w dziedzinie uchwały — wykonanie jest rzeczą odpowiedzialnego wydziału. Co należy do zakresu działania gminy, o tem niepodobna orzec stanowczo, gdyż gmina obejmuje te same żywioły, które obejmuje państwo; w niej koncentrują się, obok interesów lokalnych, także interesa ogólnej natury. Nasza ustawa gminna rozróżnia własny i przekazany zakres działania gminy. Różnica ta polega na tem, że są czynności, w których gminie przysługują prawo powzięcia własnej uchwały; są inne, które wypływają z ustaw państwa. W pierwszym wypadku gmina jest instytucją prawo tworzącą, w drugim zaś jest tylko organem wykonawczym państwa. Ten drugi zakres niewłaściwie nazwano przekazanym, gdyż nie jest gminie nadany chwilowo, lecz stanowi stałą a więc własną jej czynność. Właściwy czyli wewnętrzny zakres działania gminy, który ustawa własnym nazy-

wa, obejmuje oprócz prawa przyjmowania do związku gminnego i nadawania obywatelstwa gminnego trojaką czynność, tj. 1. czynność gospodarczą, 2. jurysdykcją, 3. administracją wewnętrzną, do której liczymy także policją miejscową.

1. Czynnością gospodarczą nazywamy: *a)* wszelkie uchwały i rozporządzenia gminy, odnoszące się do zarządu majątkiem gminnym i zakładami gminnymi, oraz wszelkie operacje ekonomiczne, w zakres tego zarządu wchodzące, a następnie *b)* postanowienia gminy, mające na celu przysporzenie środków materyalnych, potrzebnych dla wewnętrznej administracji.

Prawo zarządu majątkiem nie jest prawem autonomicznem, gdyż prawo to leży w istocie osoby moralnej i jest prawem czysto prywatnem. Natomiast samorząd gminny wyraża się najwybitniej w prawie nakładania ciężarów z tego tytułu, że gmina dla urzeczywistnienia swych zadań administracyjnych potrzebuje środków materyalnych. W dziedzinie zarządu majątkiem i nakładania ciężarów gminnych, zakres działania gminy jest całkiem samodzielnym. Rada gminna sama jest powołaną stanowić w tej mierze, ona uchwała budżet, mający w obrębie gminy znaczenie i moc ustawy. W odróżnieniu od władzy uchwalającej, wydział gminny z naczelnikiem na czele obowiązany jest w rozporządzeniach administracyjnych stosować się do oznaczonych pozycji budżetowych. Odpowiedzialność wydziału i naczelnika przed radą jest tutaj jasna, ztąd dalszy jego obowiązek składania rachunków z użytych pieniędzy. Ponieważ zaś wydział jako organ wykonawczy gminy, potrzeby gminy znać winien, gdyż z niemi w codziennej jest styczności, więc do niego należy przedkładanie radzie propozycji budżetowych czyli preliminarza rocznego.

2. Jurysdykcya w właściwym tego słowa znaczeniu, tak cywilna jako też karna, jest rzeczą państwa. Jednak i niezaprzeczone zasady prawa doznają pewnych modyfikacyj ze względu na stosunki miejscowe. Dzieje się to mianowicie także w zakresie posiadłości gruntowej; o ile więc stosunki miejscowe tworzą prawo, które gmina rozporządzeniami własnymi regulować może, o tyle organizm są-

dowy z łona gminy powstały o tem prawie orzeka. Nieznaczne spory prawne, dotyczące się odgraniczenia własności, polnych dróg, ścieków itp., niemniej uporządkowanie stosunków familijnych, umowy, współdziałanie przy opiekach itp., załatwiane być mogą najłatwiej przez sąd rozjemczy, złożony z mężów zaufania, z tem oczywiście zastrzeżeniem, że do poddania się takim wyrokom nikt nie może być zmuszonym i że od tych wyroków odwołać się może do sądów zwyczajnych. Sąd rozjemczy gminny winien mieć także zadanie jednania członków gminy we wszystkich sporach prawnych. § 27 i 40 naszej ustawy gminnej wspomina o takich mężach zaufania do jednania stron, a § 40 przyznaje słusznie radzie gminnej prawo ich wyboru.

3. Zakres działania gminy pod względem administracyi wewnętrznej i policyi miejscowej oznacza § 27 ustawy gminnej najprzód ogólnie, stanowiąc, że ten zakres „obejmuje w ogóle wszystko, co bezpośrednio dotyczy interesu gminy i w jej granicach własnymi jej siłami załatwionem i przeprowadzonem być może“ — potem zaś wylicza szczegółowo gałęzie administracyi tutaj należące.

Przedewszystkiem zauważa się, że wewnętrzna administracya dostarczyć winna członkom gminy tych warunków osobistego rozwoju, których sobie jednostka własnymi siłami dostarczyć nie zdoła. Jest to zadaniem zarówno gminy jak państwa — tylko gminy w znacznie mniejszym zakresie. Jeżelibyśmy przeto wyliczyć chcieli wszystkie okoliczności, w których gmina na korzyść swych członków, a więc w własnym interesie działać jest obowiązana i za pomocą własnych środków działać może, nie doszlibyśmy podobno do końca. Dlatego owo wyliczenie w § 27 ma raczej znaczenie przykładu i zawiera najmniejszą miarę tych licznych stosunków, które gmina działaniem swem obejmować powinna. A więc o ograniczeniu działalności gminy pod względem przedmiotu nie może być mowy. Lecz są inne granice, których gmina przekroczyć nie może.

Z rozwojem społeczeństwa w organizmie państwowym tworzą się pewne ogólne warunki indywidualnego roz-

woju człowieka, warunki jednostajne dla wszystkich. W tej sferze działa państwo, gminy zaś zadaniem jest ustawy państwa wydane w tej mierze wykonać w obrębie swego terytorium. Wykonanie odbywa się w ten sposób, iż gmina przez uchwałę rady i rozporządzenie organów wykonawczych stosuje ogólne ustawy do swoich stosunków miejscowych i odpowiednio do tych stosunków wprowadza je w życie. Wykonanie to jednak tylko w takim razie wchodzi w właściwy zakres działania gminy, jeżeli w ogóle różnorodność zastosowania ustawy w miarę różnych potrzeb i okoliczności miejscowych jest dopuszczalną; takie bowiem ustawy i rozporządzenia państwa, które wszędzie jednostajnie i bez zmiany w zastosowaniu przeprowadzone być muszą i nie pozostawiają możliwości postanowień specjalnych, wykonane być winne przez organa rządowe i nie należą do wewnętrznego zakresu działania organów gminnych, a jeżeli mimo to te organa powołane są do ich wykonania, natenczas gmina nie działa już jako ciało autonomiczne lecz jako urząd, a jej działanie należy do zakresu urzędowego, zewnętrznego, czyli, jak się ustawa gminna wyraża, przekazanego. Są wreszcie stosunki nieuregulowane ustawami państwowymi ani krajowymi. Nad temi stosunkami panuje wyłącznie uchwała i rozporządzenie gminy i tu jest najwłaściwsze pole dla autonomii gminnej.

III.

Zauważano ze stanowisko teorii, że z tych państw europejskich, które w dziewiętnastym wieku zasady wolności poczęły stosować do wewnętrznego rządu, żadne nie nadało gminie tak obszernej autonomii, jak Austria. Nasza ustawa państwowa z r. 1862 może służyć za wzór ustawom innych państw pod względem wolności gminy, a ustawy pojedynczych krajów, które z niej wypływały, są jej rozwinięciem w szczegółach, rozwinięciem mniej więcej we wszystkich krajach podobnem i jednostajnem. Czy przy uchwaleniu ustaw krajowych nie można było uzyskać większej różnorodności, zastosowanej do po-

ziomu oświaty, stosunków społecznych i materyalnych, tego nie możemy rozstrzygać; faktem jest, że sejm nasz uchwalił ustawę gminną bardzo podobną do ustawy niższo-austriackiej i innych, a dodał do niej ustawę o obszarach dworskich, nie mając na razie środka połączenia gminy i dworu. O ile nam się odrębność dworu dziś po dziesięciu latach wydaje nieodpowiednią, o tem mieliśmy sposobność wyżej pomówić; jaką nam się ustawa gminna dziś w praktyce przedstawia, nad tem chcielibyśmy się teraz zastanowić.

Wprawdzie projekt do austriackiej ustawy gminnej z roku 1861 wypowiedział zasadę, że mają być zaprowadzone gminy „wyższego rzędu,“ jednak zasada ta nie weszła w życie. Jak gdzieindziej, tak i u nas powstała jedynie *gmina miejscowa*, której — jakeśmy rzekli — powierzono obszerny zakres samorządu. Zaczęła więc u nas gmina miejscowa oprócz zarządu majątkiem, administrować dochody i wydatki i uchwalać na pokrycie potrzeb dodatki gminne, wreszcie wykonywać czynności administracyi wewnętrznej wraz z policją miejscową.

§ 30 ustawy gminnej przyznaje radzie gminnej prawo stanowienia o zakładowym majątku, o sposobie jego użytkowania i zarządu, tudzież prawo uchwalania budżetu, starania się o pokrycie niedoboru, sprawdzania rachunków rocznych i inne prawa dotyczące się gospodarstwa gminnego. § 77 upoważnia radę do nakładania dodatków do podatków, opłat i prestatyj na cele gminne. Wprawdzie §§ 80, 85 i 89 ograniczają kompetencją rady gminnej w tej mierze w pewnych nadzwyczajnych wypadkach o tyle, iż wymagają zatwierdzenia rady powiatowej, jednak pozostaje jeszcze gminie tak rozległy zakres działania, że rozleglejszego trudno sobie wyobrazić. Naczelnik, któremu § 55 przyznaje całkiem właściwie prawo zawieszania uchwał i czyni go przez to, jako zwierzchnika i właściwego reprezentanta gminy wobec państwa, przed państwem odpowiedzialnym, dzierży w sprawach gospodarczych następujące funkcy: 1) zarząd i nadzór majątku i zakładów gminnych (§ 56), 2) układanie budżetu i składanie rachunków (§ 70), 3) wykonywanie uchwał rady, w granicach budżetu z prawem pokrywania nadzwyczajnych wydatków pod restrykcyą zatwierdzenia rady (§ 71). Nie posiadamy dat statystycznych, na których podstawie moglibyśmy wykazać, ile majątku gminnego

uroniono u nas w kraju w czasie autonomicznego gospodarstwa, lecz to jest rzeczą w kraju powszechnie wiadomą, że w gminach wiejskich po największej części nie ma mowy o kasie gminnej, a tem mniej o układaniu budżetu lub o sprawdzaniu rachunków z grosza, obróconego na wydatki gminy. Majątek gminy składa się zwykle z pastwiska gminnego, kawałka lasu i kilku obligacyj. A gdzież są zakłady? W wieluż gminach np. znajdziemy szpital dla ubogich i chorych? Bywa zwykle szpichlerz gromadzki, zabytek dawnych czasów i areszt gminny, jako zakład policyi miejscowej, urządzony za wpływem władz rządowych — i to wszystko. Z majątku nieruchomości korzysta kto chce i komu się podoba. Majątek w papierach wartościowych i w karach policyjnych deponowany jest zazwyczaj w wydziale rady powiatowej. Zakłady gminne nie wymagają wiele zarządu, to też mało kto o nie się troszczy. Dokąd nie sięga nadzór rady powiatowej — a wszędzie sięgać nie może — gospodarstwo gminne bywa na łasce i niełasce wójta i pisarza gminnego. Gdy wójt przewrotny i niesumienny, gmina narzeka, czasem skarży się u władz wyższych, a czasem dla świętego spokoju nic nie mówi, ale o odpowiedzialność jego przed radą gminną nikt się nie pyta. Gdy pisarz przewrotny, złoży winę na wójta, a wójt będzie milczał i cierpiał do czasu, bo bez pisarza obejść się nie może. W tym stanie rzeczy samorząd jest rzeczą prawie niewykonalną i istnieje z imienia, ale nie w rzeczywistości. Czy po miasteczkach o wiele inaczej się dzieje? — wszak i tu znane są przykłady uronienia grosza publicznego, wszak i tu ludność przeważnie rolnicza, nieoświecona i nieporadna. Jakże już inaczej ma się rzecz ze szkołami wskutek dobrej onychże organizacji. Zakres szkolny obejmuje zazwyczaj kilka gmin, stąd i w radzie szkolnej miejscowej zasiadają ludzie wykształceni i sumienni (pleban, nauczyciel, obywatel) i zarząd majątkiem prawidłowo się odbywa: jest budżet, są rachunki i kontrola.

Miejscowa gmina jest organizmem zbyt małym, zbyt ograniczonym w zasobach tak intelektualnych jak i moralnych, aby się w niej mogło rozwinąć życie ekonomiczne; potrzeba przeto koniecznie skupienia więcej sił żywotnych, więcej kapitału i inteligencji, a to da się osiągnąć jedynie przez utworzenie gminy wyższego rzędu, tj. gminy administracyjnej.

Drugiem głównem zadaniem gminy jest jurysdykcya cywilna, w szczupłym miejscowym zakresie wykonywana przez mężów zaufania. Czy ta instytucja w naszych gminach istnieje? być może, ale o niej w kraju dość głucho. Owszem, są okolice i to zwykle najbiedniejsze, gdzie ludność tak nawykła do procesów, jako to sprowadzania prowizoryów, komisji z powodu kawałka zaoranej miedzy itp., że kosztą zazwyczaj o wiele więcej wynoszą, aniżeli rzecz sama warta. Jakiemże dobrodziejstwem byłoby aktywowanie owych mężów zaufania, o których mówi ustawa gminna? Sądy ani władze rządowe w to wdawać się nie mogą, bo to wkracza w zakres autonomii. A więc znówu jedyne wyjście, aby z silniejszą gminą administracyjną wprowadzić między ludność wiejską dobroczynny wpływ ludzi umysłowo dojrzałych i pozycją imponujących, którzyby mieli bardzo piękne i chrześcijańskie zadanie siania pokoju i zgody.

Trzecią wreszcie najrozleglejszą czynnością gminy jest administracja wewnętrzna i policja miejscowa. *Bluntschli* nazywa tę czynność „*Wohlfahrtspflege, Polizei*“ (Staatswörterbuch IV B.) i wymienia jako jej rodzaje następujące agendy: pieczę nad stosunkami zarobkowemi, staranie o dostarczenie dobrej żywności (urządzenie targów), o zapewnienie najogólniejszych środków kształcenia (szkoła ludowa, szkoła przemysłowa), o karność i obyczajność w publicznem życiu gminnem, o zaopatrzenie ubogich i chorych, o zapobieganie żebractwu, o ochronę miejscowości od szkód elementarnych i uszkodzenia przez ludzi, miejscową pieczę nad zdrowiem, czystością, upiększeniem, naprawą i utrzymaniem w dobrym stanie dróg i chodników, nad porządkiem i łatwością komunikacji na drogach i placach. Zakres tych czynności — powiada tenże autor — uwydatnia się dokładniej w przeciwstawieniu do pokrewnych czynności państwa, jakimi są np. staranie o wyższe zakłady naukowe, ogólne dla całego kraju przeznaczone środki komunikacji, o zapobieganie zaraźliwym chorobom, o stosunki fabryk, handlu na wielką skalę i przemysłu sięgającego po za granicę miejscowości, wkraczanie przy zakłóceniu publicznego spokoju, również o ile ono sięga po za granicę gminy, wreszcie sprawy pasportowe, dozorowanie prasy i politycznych stowarzyszeń. Jako sprawę, w której zarówno gmina jak państwo jest interesowanym, wymienia *Bluntschli* sprawę wychowania

elementarnego, twierdząc słusznie, że państwo nie może być obojętnem na szkoły ludowe, które są przecież podstawą wyższych zakładów naukowych, dlatego winno wykonywać nad nimi nie tylko ogólne prawo nadzoru, ale także prawo dalej sięgające.

Powyższe agendy administracji wewnętrznej objęte są po największej części naszą ustawą gminną. Wymienia je § 27 ogólnie i szczegółowo pod lit. *b—l*. Rada gminna jako organ uchwalający, posiada w tej mierze następujące atrybucye: 1) może wydawać przepisy dotyczące się policyi miejscowej i za przekroczenia tychże zagrażać karą (§ 32); 2) winna obmyślać zaopatrzenie dla ubogich (§ 35); 3) ma prawo ustanawiać komisye dla udzielania zdań i przedstawiania wniosków (§ 38); 4) może mianować delegatów, którzyby naczelnikowi gminnemu w sprawach policyi miejscowej byli pomocnymi (§ 53). Oprócz tego z natury rzeczy ma rada gminna prawo powzięcia uchwały zawsze i wszędzie w interesach gminy, gdzie tego ustawy wyraźnie nie wzbraniają lub innym organom nie poruczają, a od przekroczenia zakresu działania chroni ją nadzór państwa (§ 105).

Naczelnikowi gminy oraz asesorom przysługują w sprawach administracji wewnętrznej i policyi miejscowej władza wykonawcza, (§§ 51, 57); przysługują mu jako wykonawcy prawo zagrażania karami (§ 59) i prawo karania wspólnie z dwoma asesorami (§ 60). Ustawa gminna nie orzeka wprawdzie, że naczelnik gminy winien w każdym razie w sprawach policyi miejscowej zasięgać uchwały rady gminnej, lecz rada gminna może uchwalać ogólne przepisy obowiązujące władzę wykonawczą; czyni ona to przeważnie uchwalając budżet gminny, nie podobna zaś przypuścić, aby w działalności rozdrobnionej na tysiące szczegółów jaką jest policya miejscowa, częstokroć niespodziewanej, zwierzchność gminna była na każdym kroku związaną uchwałą rady, tem bardziej, że postanowienia ustaw w wielu razach mogą być wprost i bez uchwały rady zastosowane. Za wykonanie ustaw tylko zwierzchność gminna może być odpowiedzialną przed państwem, gdyż ona a właściwie sam naczelnik gminy przed państwem reprezentuje. Ztąd wynika prawo władzy rządowej: zawieszenie go w urzędowaniu lub złożenie z urzędu (§ 102). Asesorowie jednak jako wykonawcy

pewnych działów administracji gminnej, powinni być wraz z naczelnikiem odpowiedzialnymi wobec rady gminnej, która uchwała budżet i obowiązujące w obrębie gminy przepisy.

Czy nasze organa gminne wykonywają wszystkie powyższe prawa i obowiązki? — W roku 1866 a więc zaraz z wejściem w życie ustawy gminnej wyszedł we Lwowie „Podręcznik prawny dla urzędów gminnych w sprawach polityki miejscowej“, w którym wyluszczone jasno i przystępnie wszystkie przepisy odnoszące się do tego zakresu działania. Jest to książeczka dość spora. Dla kogoś, kto umie czytać i pisać i kogo czytanie nadzwyczajnie nie męczy, mógłby ten podręcznik bardzo być pożytecznym, wyklada bowiem jasno jak na dłoni, co czynić trzeba, a czego czynić nie wolno. Lecz trzeba jeszcze czegoś więcej. Trzeba u takiego naczelnika gminy lub zastępcy pewnego zainteresowania się sprawą, pewnego pojęcia swego stanowiska, aby odczytywanie przepisów przyszło kiedykolwiek do skutku. Jak dzienniki ustaw państwa i ustaw krajowych leżą bezużytecznie po kancelaryach gminnych, tak i ta książeczka nie przyniosła pożądanych owoców. U nas po wsiach i po małych miasteczkach robiło i robi się wszystko po dawnemu; gdzie nie ma nakazu i przymusu wyższej władzy, tam się nic nie dzieje. Do ustawy zagląda czasem pisarz gminny, kiedy ma komuś napisać rekurs do Starostwa. Wójt najczęściej niestety jeszcze nie piśmienny, a jeżeli czyta, to z trudnością. Nie dziw więc, że we wszystkich sprawach czy własnego czy poruczonego zakresu działania, najczęściej pisze się relacją do Starostwa lub wreszcie do Wydziału powiatowego — i na tem koniec. O ileż to swobodniejszemi byłyby nasze Starostwa, ileż czasu zyskałyby do załatwienia spraw ważniejszych, prawdziwie dla kraju pożytecznych, gdyby nie były zmuszone udzielać ciągłych informacji urzędom gminnym, żądać ustawicznych wyjaśnień i uzupełnień w sprawach, które gminy załatwiają niedołężnie i niedbale. I tak jest od lat dziesięciu, a jeżeli się zmieniło na lepsze, to zaprawdę zbyt mało, aby mogło wchodzić w rachubę. Tylko badania statystyczne, nad którymi pracuje Wydział krajowy, mogłyby jasno wykazać i udowodnić, czy się na te stósunki nie zapatrujemy mylnie i pesymistycznie; lecz aby się nie ograniczyć na kilku ogólnikach, przejdźmy niektóre sprawy

zakresu działania gminnego i zapytajmy się, czy one są wykonywane lub czy w ogóle istnieją w gminach. Na te pytania każdy, komu są znane stósunki krajowe, łatwo sobie może odpowiedzieć.

1. Czuwanie nad bezpieczeństwem osób i ich mienia. Tutaj należą ostrożności co do zaopatrzenia studzien, co do miejsc na kąpiel przeznaczonych, zapobieganie wściekliznie, zakaz strzelania we wsi i t. p.
2. Bezpieczeństwo i łatwość komunikacji po drogach i wodach, a więc porządek przy rogatkach, zakaz szybkiej i bezładnej jazdy zwłaszcza w miejscach zamieszkałych, utrzymywanie czystości dróg, placów oraz jatek, karczem, zajazdów, policya wodna, przepisy o młynach.
3. Policya polowa. Trzeba było długiego działania Starostw, aby przyprowadzić do skutku ustanowienie zaprzysięgłych taksatorów szkód, oraz strażników polowych. Dzisiejsza ustawa polowa bardzo dobitnie i wyraźnie wylicza wypadki przekroczeń polowych, a jednak może powstać wątpliwość, czy zwierzchności gminne będą mogły zastósować te przepisy w praktyce i czy je we wszystkich razach zastósowywać zechcą. Jeżeli w którym to w tym razie gdy idzie o zabezpieczenie własności rolniczej, władza karania winna być wykonywana z energią. Lecz to stać się może wtedy, gdy na czele gmin staną ludzie posiadający jakie takie wykształcenie.
4. Dozór policyjny nad przedmiotami żywności, nad targami, miarą i wagą.
5. Policya zdrowia oraz zapobieganie zarazie na bydło.
6. Dozór nad obyczajnością, opilstwo, żebractwo.
7. Sprawy ubogich, szpitale, przytuliska i t. p.
8. Policya ogniowa, a więc czyszczenie kominów, zachowanie przepisów co do obchodzenia się z ogniem i światłem, przepisy o straży nocnej, przyrządy do gaszenia ognia, policya przy pożarach.

Są to wszystko rzeczy po największej części zwłaszcza po wsiach naszych albo rzadkie albo zgoła nieznane. Dla tego też zapewne liczba pożarów w ostatnich czasach tak zastraszające przybrała rozmiary.

Jeżeli powyższe przepisy są wykonywane, to dzieje się to za wpływem Wydziału powiatowego i Starostwa przez przymus grzywny i t. p., po prostu dzieje się z rozkazu a nie dobrowolnie — a smutno jest doprawdy, jeżeli gminy jako ciała autonomiczne nie rozumieją interesów własnych, najbliższych ich obchodzących interesów policyi miejscowej. Lecz przyznać także trzeba, że należyte wykonywanie administracyi wewnętrznej, ustanawiania w tym celu zakładów i t. p. wymaga znaczniejszych zasobów materyalnych, wymaga także większego skupienia inteligencyi w gminie, wymaga wreszcie dobrego gospodarstwa, które jest podstawą wszelkiej administracyi. A to wszystko osiągnięciem być może tylko w gminie administracyjnej. Ona jedynie może być tym organizmem na prawdę autonomicznym, który dostarczyć może obywatelom w jej obrębie mieszkającym środków osobistego rozwoju i bezpieczeństwa. W niej powstać mogą zakłady ekonomiczne oparte na kredycie publicznym, zakłady zdrowia i policyi, w nich rozwinąć się może rolnictwo i przemysł strzeżone przez policyą, dokładnie wykonywaną. W takiej gminie miło będzie zapewne i właścicielowi dóbr mieszkać a nawet i urzędować z zaszczytem, gdyż taka gmina będzie organizmem zdrowym, podstawą i siłą kraju i państwa.

Jak taka gmina administracyjna ma być urządzoną, to także już dziś nie jest trudnem do zdecydowania, a nie jest także rzeczą nową w Europie, gdyż we Francyi jeszcze za dyrektoryatu wyszła konstytucya (5 fructidora III), która ustanowiła podział administracyjny pod imieniem kantonu. Był to rodzaj gminy administracyjnej. Artykuł 180 tej konstytucyi opiewa: „*La réunion des agents municipaux de chaque commune forme la municipalité du canton*“.

Główne zasady urządzenia gminy administracyjnej podaje „Zarys organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi“, który wyszedł w Krakowie jeszcze w roku 1871. Artykuł pierwszy tego zarysu mówi o ustanowieniu gminy okręgowej czyli gminy administracyjnej. Okrąg gminny ma się składać: a) z gromad wiejskich b) z obszarów dworskich c) z miast i miasteczek do okręgów gminnych wielonych. Granice okręgów gminnych mają obejmować: a) ile można całość parafii b) całość obszarów dworskich c) całość gromad, miast i miasteczek. Drugi i trzeci punkt nie napotkałby w przeprowadzeniu na trudno-

ści. Inaczej rzecz się ma z parafiami, gdyż te najrozmaitszą miewają ludność i najrozmaitsze obejmują przestrzenie. Dla tego wzgląd na parafie wydaje nam się nieco trudnym i może nawet niekoniecznym, wykonywanie bowiem przepisów względem konkurencyi parafialnej nie potrzebuje koniecznie łączyć się z administracją miejscową. Natomiast chętnie zgodzimy się na to, aby obszerność okręgu gminnego wynosiła około 4 mil kwadratowych i obejmowała 6 do 10 tysięcy mieszkańców. Biorąc za podstawę 10000 mieszkańców na jedną gminę okręgową, otrzymujemy w przecięciu w kraju naszym na gminę administracyjną 12 gmin katastralnych dzisiejszych; przy ludności 60000 mieszkańców siedm gmin katastralnych na gminę okręgową. Oczywiście należy przy przeprowadzeniu podziału uwzględniać tę ważną okoliczność, że osady górskie i wsie i miasteczka wschodnie galicyjskie mają zwykle bardzo wielkie obszary a stósunkowo niewielką ludność, gdy przeciwnie wsie zachodnie są gęściej zaludnione i bliżej obok siebie leżące. Z tego powodu możnaby okręgi wschodnie ograniczyć do mniejszej liczby ludności, gdyż n. p. w powiecie Nadwórniańskim wypada 5·9 mil kwadratowych na 10,000 mieszkańców, gdy przeciwnie w powiecie Brzeskim tylko 1·73 mil kwadratowych.

Co do kwestyi kosztów urządzenia gminy administracyjnej wedle powyższego wniosku, to ta nie będzie także czynić trudności. Urządzając gminy administracyjne po 10,000 mieszkańców, uzyskalibyśmy tych gmin około 518. Licząc nawet, żeby naczelnik jednej gminy pobierał 1000 złr. płacy, to wobec faktu, że Galicya opłaca około 9 milionów podatków bezpośrednich, suma wydatku wynosiłaby około 5% tychże podatków, gdyż członkowie wydziału gminnego mają sprawować urząd bezpłatnie. Wydatek powyższy tem mniej wydaje nam się uciążliwym, jeżeli zważymy, wiele gminy będą mogły zaoszczędzić przez dobre gospodarstwo w gminach administracyjnych i o wiele pomyślność ich się podniesie w porównaniu z gminami dzisiejszemi.

Ważnem jest postanowienie punktu 12, że radzie nie przewodniczy naczelnik gminy — a to wobec teoryi wyżej wyłuszczonej. Co do ławników zdaje nam się, że dwóch byłoby ich za mało. Odpowiedniej byłoby dla każdego z trzech wielkich działów czynności gminy ustanowić po jednym ławniku.

Taki ławnik byłby odpowiedzialnym za administracją w swoim dziale, przedkładałby z tego działu propozycje budżetowe i mógłby mieć do pomocy komitet lub delegatów przez radę gminną wybranych.

Zresztą nie považamy się wchodzić w bliższe ocenienie tego zarysu, gdyż naprzód wydaje nam się zupełnie odpowiednim celowi, a powtóre jest pomysłem ludzi, którzy w dziedzinie administracji najkompetentniejsze mogą wyrzec zdanie*).

Henryk Link.

*) Część teoretyczna II rozdziału przeważnie podług *Steina*. (P. A.).

JÓZEFA MAJERA
PRZEMOWA
NAD ZWŁOKAMI
PROF. KAŻ. FR. SKOBLA
dnia 28 listopada 1876 r.

Smutny to w każdym razie obowiązek, zegnać na wieki osobę sercu miłą, a zasłużoną w jakim bądź zawodzie; ale rozdzierając serce musi być uczucie, gdy tą osobą był zaraz osobisty przyjaciel, wypróbowany w dobrych i złych chwilach, z którym koleje życia od ławy szkolnej do deski grobowej, od życia w obozie do katedr w Uniwersytecie i krzesła akademickich, z którym uczucia i pragnienia, nadzieje i zawody były też same i wspólne; gdy po skończonej nauce jedna ręka w tej samej godzinie uwieńczyła nasze trudy biretem doktorskim; ten sam dzień powołał młodzieńców pod sztandar powstającego narodu, a później nie jedna praca nazwiska nasze ze sobą złączyła. Zegnając takiego przyjaciela czujemy aż nadto, że tracimy z nim część własnego jestestwa; więc nie dziw, że myśl zwątpiała pod naciskiem podwójnego bólu, radaby ukryć się w sobie i w cichym rozpamiętywaniu szukać jedynej pociechy.

Ale życie nieboszczyka nie do jednej należało osoby; zawód jego był publiczny, trzeba więc zapomnieć o sobie, stłumić popędy serca i zimnym rozumem przemierzać, jakie i z jakim skutkiem zajmował zdobyte pracą stanowisko.

Stanowisko to nie lśniło się jaskrawo na arenie życia publicznego; dalekiem bowiem było od kół politycznych, do których, a mianowicie do Sejmu krajowego, jedynie urząd

Rektora i to na krótko nieboszczyka wprowadził. Może odjęło to krajowi jedną więcej przydatną mu siłę, jemu samemu może jeden jeszcze listek w wieńcu położonych zasług; ale też oszczędziło mu pocisków, któremi w zamęcie pojęć duch stronnictwa, zawiść lub głupota tak łatwo obrzuca wszystko, co tylko na wydatniejszym polu nie dogadza ich widokom lub zarozumiałości.

Zawód profesora zwyczajnego w głównej Jagiellońskiej szkole, spełniany przez lat 41; — oto publiczna arena działań nieboszczyka! Krótkie to zaprawdę wyrażenie, ale znaczenie jego szerokie, szersze niewątpliwie niż mniej świadomemu zdawaćby się mogło, a obowiązujące każdego, kto w tej świątyni godzien jest nazwiska kapłana.

Szkola wymaga nauczania: spólny to jej charakter, jednakże wszędzie obowiązek pracy. Ale szkoła Jagiellońska wymaga od nas jeszcze czegoś więcej: wymaga ona pamięci czém była w dziejach naszego narodu, czém jest i czém być powinna. Tu obowiązek nauczyciela i miłość nauki wiąże się ściśle z obowiązkiem obywatela i miłością kraju. Zapewne, że przez pierwsze służy się ostatnim; ale ostatnie wskazują pierwszym właściwy kierunek, a ciepłem swoim zagrzewają tam nawet do skutecznej pracy, gdzie wobec trudności, z jakimi w Uniwersytecie mniej zamożnym w środki nieraz spotykać się trzeba, łatwem byłoby zwątpienie i zubożnienie.

Jakim nauczycielem był Fr. Skobel? niech na to odpowiedzą lzy zraszające oczy nie jednego z obecnych tu uczniów, i odgłos głębokiego żalu tych, którym los nie dozwolił uczestniczyć w tym smutnym obrzędzie! Miłość zaskarbił sobie miłością, udowodnioną na każdym kroku, gdzie szło o dobro młodzieży. Miłość była ojcowską; nie szło też za nią pobłażanie lecz wyrozumiałość.

Ale stosunek do uczniów nie wyczerpuje w Uniwersytecie obowiązków naukowych profesora; postęp samej nauki, to dla niego pole, które uprawiając, granice działania swego rozszerza w czasie i przestrzeni. Tutaj to czynność nieboszczyka wystąpiła w dwojakim kierunku, według dwojakiego obowiązku do jakiego się poczuwał. Jako profesor w Wydziale lekarskim, ogłaszał on prace z zakresu Patologii, a nadewszystko Balneologii, w tém przekonaniu, że rozszerzając wiadomość o zdrojach lekarskich krajowych, nietylko służy nauce, lecz bezpośrednio krajowi, wskazując sposoby korzystania ze skarbow danych mu opatrnie. Przewodniczył też czas jakiś Komisji balneologicznej, związanej w byłém Towarzystwie naukowym krakowskiem, dopóki pociągnięty innym kierunkiem pracy, nie złożył przewodnictwa w ręce wysoko na tém polu zasłużonego prof. Dietla.

Tento drugi kierunek w zawodzie nieboszczyka bujniej się rozwinął, bo tętno narodowe, ów w życiu jego najsilniejszy czynnik, bezpośredniej tam jeszcze do działania podniecało. Objawem tego był już po części szereg wiadomości o bliższych czasem lekarzach i profesorach tej szkoły, głównie wszelako sprostowania nad językiem. Bo i cóż jeszcze prócz mowy pozostało krajowi? Tłumi tę resztę narodowej spuścizny cywilizowane barbarzyństwo, lecz stłumić nie może; bo mowa jest technieniem ducha, a ducha można gnębić ale nie uśmiercić, jeśli go przemoc wraz z życiem nie wydrze, lub sam na sobie przez lekkomyślność lub spodlenie, samobójstwa nie popełni.

Bolało nieboszczyka, że ta jedyna spuścizna, którą jeszcze posiadamy, a którą tu przynajmniej, w sądach i urzędach, w kościele i szkole swobodnie pielęgnować możemy, wyradza się i wypacza, skutkiem czy nieuwagi, czy niewiadomości, czy obojga razem. Czucie i zamiar, zamiar i działanie w rychłej tu nastąpiły po sobie kolei, której objawem był szereg pism językowej treści.

Wiązało się to początkowo jedynie z nauką lekarską, i w tym zakresie, po spólnym z nieboszczykiem przejrzeniu całego zasobu należących tu językowych zabytków, spólna na tym polu praca dała ostatecznie początek obecnej terminologii lekarskiej.

Wszakże nieboszczyk, surowy sam dla siebie w przestrzeganiu poprawności języka, boleśnie uczuwał, jego w coraz obszerniejszych zakresach spaczanie i wynaradawianie. Na nieszczęście bowiem nie tylko koszary i izby czeladne, nie tylko salony i teatr, biura i izby sądowe, kazalnice i katedry, ale co gorsza, jak gdyby dla utrwalenia złego, pisma wszelkiego zakroju, przykładów tego dostarczały nad miarę. Nieboszczyk skrzętnie notował usterki, a zebrawszy ten kąkol, dla grozy i poprawy przedstawił go narodowi, podając obok niego czyste ziarno, zebrane nie tyle z gruntu głębszych lingwistycznych badań, ile z sumienną rozwagą i poczuciem dostępnego każdemu, czyje ucho nie otrętwiało wpośród nawalu dysonansów językowych. Może w tej pracy był czasem i cierpki, może w zapędzie gorliwości zapuścił się niekiedy na grunt neutralny; wszystko to jednak, jak nie ubliża całości, tak też miłością i samą tylko miłością kraju i języka łatwo się tłumaczy i usprawiedliwia. Imię Skobla z pismami w tym kierunku wydanymi rozeszło się szeroko w kraju i za krajem, a ziarno tym sposobem rzucone, miejmy nadzieję, nie zmarnieje, lecz wyda plon oczekiwany.

Ten nowy kierunek pracy tak zajmował nieboszczyka, że spełniając zresztą sumiennie obowiązki profesora, idąc ciągle z postępem wykładanego przedmiotu, resztę chwil jemu

wyłącznie poświęcał. Na tej zasadzie Wydział filologiczny Akademii, do której Członków czynnych należał z pierwszego wyboru, wliczył go do swojego grona, oddawszy mu tymczasowo przewodnictwo w Komisji językowej.

Nie ominęło nieboszczyka i zinaąd uznanie, choć za nim nie gonił, ani wiele się troszczył o chwilowy poklask opinii, przekonany, że ładajakiem mamidłem zdobyć go nie trudno, ale daleko trudniej wytrwać w pracy, któraby choć zrazu niepokazna, i małoważona bo niezrozumiana, prędzej lub później stawiała pracownika w trwałej aureoli prawdziwej zasługi.

Uznanie otrzymał Fr. Skobel od wszystkich prawie krajowych i kilku zagranicznych naukowych Towarzystw. Zaufanie i szacunek kolegów w Uniwersytecie wielokrotnie powierzały mu kierunek Wydziału, a w r. 1870 złożyły w jego ręce ster całego Uniwersytetu. Kierunek Komisji językowej w Akademii umiejętnościem dzierżył on bez przerwy, dopóki ciężka a w końcu zabójcza choroba rozstać się z nim nie zmusiła.

Nie było to jednak rozstanie z ulubionym przedmiotem. Jeżeli godzi się użyć porównania, to jak ów Kopernik, zanim śmiertelna bladeść lica jego powlokła, rozpromienił się chwilowo na widok wielkiego swego z druku nadeszłego dzieła; tak i nieboszczyk, w przededniu śmierci ujął jeszcze skwapliwie nadesłaną korektę nowej części językowych spostrzeżeń; ale silnemu duchowi nie sprostała martwiąca ręka, siły omdlały — pióro wypadło — na zawsze! bo rychło i życie ustało.

Opuszczasz więc drogi cieniu wszystko co się z twym życiem tak ściśle wiązało! Opuszczasz Uniwersytet, który jako świątynię narodową tak szczerze kochałeś; — opuszczasz gdyby z przepisu ustawy, która profesorowi po skończeniu lat 70ciu dłużej czynnym tam być nie pozwala. Lecz zimny ten głaz który cię od niego oddzielił, jak nie wyziębił wdzięczności twych uczniów, tak nie wyziębił szacunku kolegów. Dowodów jego nie brakło za życia, a wieniec, który jako godło zasługi teraz na grobie Twym składają, niechaj się stanie widomą oznaką uczucia najbliższych twoich towarzyszy pracy.

Cześć tobie zacna młodzieży! że i ty, umiając poszanować co godne szacunku, pragniesz na grobie swego przewodnika złożyć też wieniec uwite wdzięczną twoją ręką. Spełnijcie zatem piękny obowiązek wysłannicy tak miejscowych kolegów z Wydziałów uniwersyteckich, z bratniego Stowarzyszenia, którego nieboszczyk był pierwszym Kuratorem i Czytelnik, którą chętnie zasilał, jak i od dowodzących równego z wami uczucia, kolegów waszych ze Lwowa i Wiednia.

Stratę którą przez śmierć Twoją drogi towarzyszu! poniósł Uniwersytet, boleśniej jeszcze czuje Akademia, w której

skończony właśnie życia Twego rok 70ty nie zamykał przed Tobą, podwoi, która owszem długo jeszcze na pomoc Twoję liczyła. Rozstaniem Twojem zadajesz cios tém dla niej dotkliwszy, że to już 7my którego w tym roku doznaje. Czyż ten grom raz po raz bez wytechnienia padający ma być zwia-
stunem upadku? Zaprawdę! na widok co tracimy, a w niepewności jak się powetują straty, mogłoby przejąć wątpienie. Silniej wszelako mówi do nas przekonanie, że jako pomsta złych czynów są złe ich następstwa, tak znowu nagrodą dobrych, muszą być dobre z ich posiewu owoce. Za waszym wzorem zmarli towarzysze! idąc młodsze siły, skrzepią tę Instytucję, którą sami wspieraliście rozumem, boście ją miłowali sercem prawych téj ziemi synów i obywateli. Więc nie uśmiechem Judasza, jakim zarozumiałość piętnuje oblicze, witaliście jej zaranie, lecz wspomagali pracą i zagrzewali ciepłem waszego spółczucia. Więc cześć Wam zacni towarzysze! cześć równa pamięci Fr. Skobla, stojącego godnie w szeregu tych, którzy go wyprzedzili w drodze do wieczności.

Kogóż atoli strata nieboszczyka bliżej dotknąć mogła, nad własną rodzinę, która, wiedząc co w nim utracą, stoi niepokieszona, bo czuje aż nadto, że téj straty nie jéj zastąpić nie zdoła. Trudno zaprawdę o słowa pociechy, a trudniej jeszcze z ust tego, który związany z nieboszczykiem od lat 50ciu ścisłym węzłem koleżeństwa i przyjaźni, umiałby raczej spólnie z nią zapłakać, niż znaleźć słowa pociechy. Oby ją znaleźć mogła w tych dowodach szacunku, które nieboszczyk unosi z sobą do grobu!

Co do mnie wreszcie — uściśnienie téj przyjacielskiej dłoni w godzinę przed śmiercią, jedynym było i być mogło tego co czuję tłumaczem. Kiedy żal ciężki piersi boleśnie zaciska, słowa na ustach martwieją; westchnienie jest wten-
czas wymową. Takąto wymową żegnam Cię raz jeszcze — na wieki!

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

MAURYCY MANN,

† 13 listopada 1876 r.

Przerażającym jest prawie pośpiech, z jakim wybitne osobistości naszego społeczeństwa opuszczają szeregi żyjących. Bywało to u nas — po wielkich i smutnych wypadkach — miałyżby te, których oczekujemy, tak być wielkimi i smutnemi razem, że Bóg lepszym i zasłużeńszym pośród nas chce oszczędzić ich widoku — że ich — przed niemi usuwa?!...

O pierwszym z nieboszczyków tego miesiąca nie łatwo zaiste mówić w krótkim wspomnieniu pośmiertnem; pierwsza chwila żalu była wymowną i wyczerpała prawie, co w pierwszej chwili powiedzieć można; obszerniejsze studyum o nim niebawem *Przegląd* umieści. Wszakże zbyt bogata to osobistość, aby i nam nie starczyło słowa, pożytecznego na dzisiaj.

Porozbiorowe nasze życie dzieli rok 1848 na dwie połowy pod względem jawności słowa. Mielśmy i przedtem dziennikarstwo urzędowe, rewolucyjne, emigracyjne; właściwa publicystyka rozpoczęła się wszakże dopiero w tym pamiętnym roku o wielu nadziejach i wielu rozczarowaniach. Wtedy ona puściła korzenie, stała się potrzebą codzienną, warunkiem i czynnikiem życia publicznego. Wśród tej publicystyki powstał *Czas*, organ najpoważniejszy, najtrwalszego i niezaprzeczenie największego znaczenia na ziemi polskiej a z dzienni-

kiem tym powiązało się na zawsze nazwisko Maurycego Manna.

Uznane jako potęga wszędzie, stało się u nas dziennikarstwo potęgą tem większą, im szczuplejszą była i jest arena publicznego i narodowego życia, im większe odwyknienie od prawidłowych jego funkcji, im większy rozbrat między rzeczywistością a aspiracyami naturalnemi społeczeństwa. Pod większą lub mniejszą cenzurą, dziennikarstwo stało się wybitniej lub mniej wybitnie na jednym gruncie tych aspiracji, objęło przemożnie ster umysłów i nie mylimy się, jeżeli powiemy, że największa część t. z. inteligencji naszej mówi i myśli z gazet, które czyta.

Jaka tu odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi! Jakie niebezpieczeństwo, jeżeli to dziennikarstwo jest w rękach, które ani jednej ani drugiej nie czują, którzy zapomnieli słów Chrystusa o gorszeniu bliźnich! A jakie zarazem wyjątkowe, wysoko obywatelskie a potężne zarazem stanowisko człowieka, który słowo każde podane światu snuł z przekonania i sumienia, który wykształceniem i nauką nabył sposobu, aby je wypowiedzieć jak należy.

Kto też pomny dziejów ostatnich lat dwudziestu kilku, kto jakkolwiek głębiej rozpatrzył się w stanie naszego społeczeństwa, przyznać musi, jak wiele zależało na tem, jakich to społeczeństwo preceptorów mieć będzie. Gdybyż, cudownym jakim sposobem, była od 1848 stworzyła się falanga dziennikarzy, posiadających obszerne i gruntowne wykształcenie, nieskazitelną charakteru zacność, niewzruszone zasady i niezależność od chwilowej opinii, politykę zgodną i wdrażającą karność — gdziebyśmy byli o tym czasie!

Ale dziennikarstwo stało się odbiciem nas samych, stało się w przeważnej swej części a w szczególności galicyjskie — wyrazem tego polskiego przysłowia: Święci garnków nie lepią. Kto nie chciał słuchać, poszedł rozkazywać, kto się uczyć nie chciał, poszedł uczyć drugich, kto nie chciał czytać, postanowił pisać, aby czytali drudzy. Kto nie chciał być oskarżonym, oskarżał, kto sądzonym, sądził, kto społeczeństwo nad kraj przepaści przywiódł swoim przewodnictwem, postanowił prowadzić je dalej, aby nie spostrzegło, że winien. Działo się to wszystko i dzieje dotąd bez poczucia winy, bez wyrzutu sumienia, w skutek bezwładności raz w ruch puszczonej maszyny do pisania i maszyny — do czytania.

Na takim tle stał *człowiek* — Maurycy Mann z towarzyszącymi swymi i z temi nielicznymi wyjątkami, które zawód dziennikarski pojmowały jako ważną i odpowiedzialną służbę narodowi. Wiedział, czego chce nauczyć to biedne i skołatane społeczeństwo, wiedział, bo umiał, widział i pracował wiele, bo się dotknął świata i ludzi, bo sięgał wyżej, gdzie stосу-

nek człowieka i narodu do Boga. Chciał, bo czuł, że to włożony nań obowiązek, aby codzienną pracą szerzyć myśli zdrowe, poważne i sumienne pojmowanie stósunków naszych. Organiczną całością były jego zasady, wyrobioną doświadczeniem i znajomością ludzi polityka jego. Można powiedzieć o nim, jak o mężu starożytności, że nie piastując żadnej władzy, nie ozdobiony żadną godnością, był tą dyrektywą rozumną, dojrzałą i sumienną, do której w głębi duszy przynajmniej przyznać się mogli, jako do trafnej i słusznej, wszyscy ludzie, którzy poważniej myśleli o kraju, nawet ci, którzy nie ze wszystkim i nie we wszystkim podzielali jego zasady.

Że tej dyrektywie było daleko od dyrektywy kraju, owej średniej wypadkowej między przewagą krótkowidztwa, sangwinizmu, i znowu lenistwa i nieruchawości, a zdrowszemi kierunkami myśli: tragiczność to stała i niełatwo pokonać się dająca naszych stósunków!! Dwadzieścia kilka lat nauki i ofiary codziennej, dwadzieścia kilka lat skrzętnego śledzenia każdego tętna społeczeństwa zamknięto w smętnej Maurycego Manna trumnie, bez wielkich owoców zaiste nie, ależ to owoce dopiero, z których żniwo już nie my oglądać będziemy. . . . Bez wiary też, że nie ginie zasiew dobry, że się przez kąkole i chwasty przebiję, że zwycięży, co zdrowiem i prawdą — trudnoby obronić się niechrześcijańskiemu uczucię rozpaczy, jeżeli się towarzyszy ostatniej drodze pierwszorzędnego pracownika, który zabrał z sobą niepowrotnie siłę, niełatwo dającą się zastąpić, który czynił tak wiele, a przecież uczynił tak mało — a potem powróciwszy w codzienną żywota kolej spostrzeże, że się ma jedną potężną armaturę mniej, pracy więcej a skutek jako niedościgniony problem przed sobą. . . .

J. Szujski.

BOLESŁAW PODCZASZYŃSKI

† 9 listopada w Warszawie.

Prawdziwy i głęboki teoretyczny i praktyczny znawca sztuki, zwrócony z całem zamiłowaniem ku jej krajowym za-
bytkom, człowiek, gruntownej na tem polu nauki, jeden z tych
ludzi sympatycznych, co kochają swój przedmiot dla niego
samego i tętną też w życiu harmonią wewnętrzną oddania
się mu z całem poświęceniem — takim był zmarły świeżo
w Warszawie autor wielu dzieł i rozpraw z zakresu archeo-

logii i historii sztuki, były prof. szkoły budownictwa w Warszawie, Bolesław Podeczaszyński. Cały zakres historii sztuki i archeologii był nietylko dostępnym, ale w naukowy prawdziwie sposób znanym Podeczaszyńskiemu; sfragistyk i numizmatyk, pozostawił w tym kierunku cenne prace, a między innymi obszerny także zbiór biografii budowniczych i rzeźbiarzy polskich. Przyłączyć się tylko wypada do życzenia objawionego w *Czasie*, aby te cenne prace Akademia wzięła w opiekę i nakład.

J. Szujski.

KAZIMIERZ FRYDERYK SKOBEL

Profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Członek Akademii

† 25 listopada w Krakowie.

Żołnierz 1831 r., następnie od r. 1835 niestrudzony profesor tutejszego Uniwersytetu, autor kilku dzieł naukowych na polu medycyny, należał ś. p. Skobel do grona tych poważnych i znakomitych ludzi, którzy w trudnych warunkach, bez żadnych widoków materyalnych, w szczupłym zakresie Rzeczypospolitej krakowskiej, wierzyli w swoje powołanie i pracowali dla utorowania drogi nauce nowożytnej w języku ojczystym i w istocie — ją utorowali. Koroną prac tych stała się dzisiaj Instytucya Akademii w Krakowie, podwaliną w szczególności ustalenie terminologii naukowej w języku polskim, w której prof. Skobel co do terminologii lekarskiej stanowcze położył zasługi. Trudy te, w tak suchym na pozór przedmiocie, wymagają abnegacyi i wytrwałości — ale abnegacyi nie brakło, bo była miłość kraju, jego czei, czei starego Uniwersytetu. Z prac około terminologii przeszedł Skobel do prac około języka polskiego w ogóle, którego poprawność w piśmie i słowie doprowadzał do drażliwego nerwowo na każdą obcą przymieszkę puryzmu. Puryzm ten właściwym był naturze ś. p. Skobla, niosącego w życie obywatelskie, w pojęcie i wykonywanie powinności najskrupulatniejszą sumienność, czystość i szlachetność intencji, przestrzegającego też jak najsurowiej obowiązków swych religijnych, obywatelskich i profesorskich. Protestant polski, był on typem najzacniejszym, jaki wydało u nas to odosobnione wyznanie. — Umieszczając w całości mowę najbliższego towarzysza ś. p. Skobla, Prezesa Dra Majera, mianą na jego pogrzebie, odsyłały czytelników po dokładniejszy zmarłego obraz do tejże mowy, łaskawie do naszego pisma przeznaczonej.

J. Szujski.

ANTONI WALEWSKI

Profesor Uniwersytetu Jagiela, Członek Akademii.

Szereg nieboszczyków wybitnych stanowiskiem i działaniem naukowym zamknął w ubiegającym roku człowiek, który w ostatnim dopiero roku życia doszedł do niezmiernego rozgłosu książką p. t. *Filozofia dziejów polskich*. Przypomniano sobie wtedy, że podobną, acz mniejszą burzę wywołał w roku 1849: *Poglądem na sprawę polską ze stanowiska monarchii i historii*, że w kilka lat potem jako profesor już na Uniwersytecie krakowskim pisał wielośtomową: *Historję Ligi Augsburskiej i cesarza Leopolda*, której ekscentryczne pojęcia obudziły w kraju i za granicą zdziwienie raczej niż zgorszenie; niechciano sobie przypomnieć, że tenże człowiek przysłużył się historycznej literaturze polskiej obszernem i źródłowym dziełem z Jana Kazimierza czasów i drugim: *O dziejach bezkrólewia po Janie III. Autodykt, pełen zdolności i wytrwałości w pracy, natura excentryczna i despotyczna razem, umysł pełen trafnych i bystrych spostrzeżeń i pełen znowu dziwacznych kombinacyj, szczególnie na polu polityki, goniący za niepopularnością w takiż sam grzeszny sposób, jak inni za popularnością gonią, bo dla dogodzenia swej dumie, człowiek ten umarł opuszczony i odsunięty, padając ofiarą może głównie tej ostatniej swojej winy. Niezwyczajny zaiste, za życia i po śmierci jeszcze.*

Na grobie jego, gdzie stanęła garstka profesorów i członków Akademii przemówił podpisany podwójny jego kolega słów kilka, stwierdzając jego rzeczywiste i niezaprzeczone w obec nauki zasługi, stwierdzając jego obłąd ostatni, wypowiadając psychologiczną przyczynę tego obłądu i wypowiadając zdanie, które się bardzo mocno w pewnych kołach niepodobało, które wywołało odpowiedź z trójnoga w Nr. 284 *Gazety Narodowej*, zdanie, że wobec tej tragicznej śmierci, wobec braku wszelkiego niebezpieczeństwa wpływu Walewskiego obłądów, wybitniej niż kiedykolwiek występuje zgubność wpływu tych, którzy nie jak on, do rozumu a wbrew przyrodzonym uczuciom, ale do tych przyrodzonych uczuć na szkodę rozumu przemawiają.

Podpisany przyznaje, że z tego miejsca był to bardzo twardy cios wymierzony pewnym ludziom, ale wyznaje zarazem, że wymierzył go z całą świadomością, nie dlatego, że był zasłużony, bo mógł go wymierzyć gdzieindziej, przy innej sposobności, ale dlatego, że z tego właśnie miejsca zadać go należało, aby się wywiązać z zadania trudnej mowy po-

grzebowej, t. j. powiedzieć prawdę żywym, wobec majestatu śmierci.

Pycha, mania niepopularności, niezgodna z sędziwym wiekiem brawada, brak względu na pożyteczność i skutek wielu dobrych i prawdziwych rzeczy, które rozsiał po swoich pismach, a jakimi były wierność kościołowi, pojęcia o potrzebie władzy i karności, o zgubności rewolucyi i dróg konspiracyjnych; wykład warunków, wśród których Polska powstała i kształciła się, rzeczy utopionych w masie przesadnych, naciągniętych i doktrynersko wyszrubowanych teoryj i oburzających halucynacyj politycznych, nie mających cienia prawdopodobieństwa — doprowadziły nieboszczyka do tragicznego końca, którego byliśmy świadkami. Ale to wszystko razem, wypowiedziane z narażeniem siebie, swego imienia, swej spokojności, bez innego interesu, prócz dogodzenia panującej namiętności, wypowiedziane w obłędzie, któremu nikt złej wiary dowieść niemógł, obłędzie rozpacz, zwątpienia, bałwochwalstwa siły i jak się tam zowią jeszcze owe furye, które czyhają na myślącego o naszym położeniu człowieka — wobec trumny, co odwozi człowieka na drugi brzeg żywota — wobec etyki społecznej, jeżeli jest jeszcze jaka etyka społeczna — musiały i muszą wydać się — grzesznem ale osobistem tylko samobójstwem w obec tej ustrojonej w najpiękniejsze frazesa patryotyczne, systematycznej, obmyślanej, na głupotę i łatwowierność ludzką wyrachowanej, szczęśliwą sposobność wystąpienia przeciw złej książce chwytającej kampanii pewnej części dziennikarstwa galicyjskiego, która mierząc w Walewskiego potworną książkę, pragnęła do solidarnej za nią odpowiedzialności pociągnąć Akademię, *Czas*, oczywiście *Przegląd polski* i „jaskrawem przez nią oblane światłem stronnictwo krakowskie.“

Jeżeli się w biednym ojczystym domu naszym stanie rzecz, która ubliża jego czci: ograniczenie płamy, odebranie jej znaczenia i doniosłości wydaje się pierwszym warunkiem uchowania tego ostatniego, co nam pozostało jeszcze, czci dobrej. To na zewnątrz. Na wewnątrz — chcąc aby się jad nie rozchodził, nie wskazuje się go palcem, aby ludzie przez ciekawość i zamiłowanie skandalu szli do niego procesyą. Jeżeli się milczeniem usunąć nieda, rozbiera się go spokojnie, przestrzega braci po bratersku i mówi do nich: *Guarda e passa*. Szuka się powagi, aby wskazała jego zgubność. Ale inaczej robią ludzie, którym nie o zgubność wpływu chodzi i nie o cześć narodu. Potknął się i upadł pan Walewski, im trzeba, aby się potknął „pocziwy zresztą i zacny p. Szujski,“ aby przewrócił się zastęp „jaskrawo tym faktem oświeconych“ uczonych krakowskich; aby pod szturmem pięści stworzonej do burzenia i rzucania kamieni, zechciała się za-

chwiać Akademia. Oczywiście honor narodu bardzo na tem zyska, jeżeli się z obłędem pana Walewskiego złączy zastęp dalekich od niego ludzi i jedyną w Polsce naukową instytucję! Oczywiście wpływ książki, którego obawa miała straci, jeżeli się będzie dowodzić, że stoi za nią nie tylko powaga profesorów i członka, ale powaga całej Akademii!! Niech wołają inni, że to obłęd jednostki, my wołajmy, że to obłęd wszystkich, którzy nam brużdżą! Jeżeli Sekretarz Akademii napisze recenzję, umieszczoną dla większego, bo już koniecznego wtedy rozgłosu w *Przeglądzie* i *Czasie*, nazwijmy to „pośrednią obroną“, chociaż pierwszy z dowodami w ręku przeciw fałszom historycznym teorii wystąpił i wypowiedział o politycznych wywodach p. W. zdanie, wyświecające całą ich fantastyczność, zmienność i nicość. Chociaż tegoż Sekretarza, recenzenta p. Walewskiego wybrano przewodniczącym w jednej z komisji akademickich, w miejsce p. Walewskiego, wołajmy że to niedosyć, żądamy rzeczy niemożliwych, jak n. p. wykreślenia W. z listy członków, wszystko, aby instytucję dłużej pod papierowym pręgiem potrzymać, aby ją tam zostawić, skoro nie zrobiła, czego nie mogła. Zawsze dla obudzenia dla niej w społeczeństwie sympatii, zawsze dla odjęcia książce p. Walewskiego wpływu na wewnątrz, doniosłości na zewnątrz!

Czyliż po przywiedzeniu tego monologu wodza czy wodzów kampanii na Walewskiego i Akademię, (żołnierze udział biorący mogli strzelać w najlepszej wierze, nie chcemy im tego odmawiać) potrzeba jeszcze wskazywać, o co tym panom tak długo i tak wytrwale chodziło i chodzi dotąd, skoro niewiodła ich ani obawa o cześć narodu, ani o jego zepsucie, bo przyczyniali się najpotężniej do zniesławiania nie już jednego człowieka, ale wielu ludzi, nadania doniosłości książce która na nią pod żadnym względem nie zasługiwała. Zdaje mi się, że to zbyt liczne. Przecież znamy się oddawna. Przecież naród idealny Gazety narodowej składa się z Gazety narodowej i prenumerującego narodu, przecież Polska Dziennika polskiego składa się z Dziennika polskiego i abonującej Polski. Przecież skandal jest, jak stwierdziło już doświadczenie najlepszym środkiem, niestety! pomnożenia takiego narodu. Skandal, wieczna krynica odrodzenia, odmłodzenia i — ochędóstwa! „To jest czujność i żywsze aspiracye narodowe!“ Niepotrzebujemy się nad tem rozwodzić, to rzecz znana. Stwierdzając tylko nieszczęśliwy stan rzeczy w kraju naszym pod tym względem, stwierdzając nieśmiertelność tych panów bezkarnie z śmiercią moralną igrających — musimy w końcu reklamować to, co się nam należy — niezmiernie trudne położenie tych, co z owego „wysokiego“, przedmiotem takiej

zazdrości będącego, przemawiają stanowiska! Dobry ich wpływ, codzienna ich i mozolna praca torować sobie musi drogę stalowym dłutem wśród granitowego zimna obojętności, uprzątać stajnię Augiasza gromadzonego codziennie fałszu, płytkości, nieufności i głupstwa, aby zyskać ów mały stosunkowo zastęp ludzi z charakterem i myślą głębszą dla jakiej takiej lepszej przyszłości społeczeństwa; a społeczeństwo, niestety, jadłem skandalu trute codziennie, wtedy dopiero chwyta ich słowo i pyta się o nich, jeżeli mu wskażą mniemany lub rzeczywisty skandal ludzi „wyższego stanowiska.“ Wychowane od lat długich, aby nie znosiło żadnej powagi i niwelowało każdą głowę, śmiejącą podnieść się wyżej, chociaż dla tego tylko, aby powiedzieć braterskie słowo upomnienia, rade ono niestety w przeważnej masie swojej — autorowi, profesorowi, człowiekowi politycznemu, członkowi Akademii, ale wtedy, gdy mu poda przyczynę złośliwego uśmiechu, kłamanego politowania, pożądaną nad wszystko — obmowy! Rzeczy też najlepsze stają się jej pożądaną ofiarą, cóż dopiero jawny obłęd, skandal wybitny i wszem dostępny! Spożytkowaniu pierwszych tysiące staje przeszkodą, cóż mówić o szkodliwym wpływie drugiego? Patryotyzmu słowa, wyznawstwa, hałaśliwego popisu nie braknie u nas długie lata, wszakże mamy tylu monopolistów i tylu dystrybutorów, wszakże to najwdzięczniejsze i najłatwiejsze źródło potęgi i wpływu. Ale że niem jest, biada, tym, którzyby pożywniejszą chcieli społeczeństwo karmić strawą, biada tym, którzyby śmieli mu powiedzieć, że służba sprawie publicznej to rzecz trudna, myśli wyłącznej i sumiennego z sobą i światem obrachunku godna, to rzecz, do której przyda się nauka i karność, przedewszystkiem zaś ręce, które nie burzą, ale budują wśród nagromadzonych ruin. Biada tym którzy się pracami tego rodzaju parają! Po co tego wszystkiego! Wszakże, mieliśmy w Krakowie świeżuteńki przykład w drobnem zajściu, którego bohaterowi bynajmniej przez to wspomnienie ubliżyć nie chcemy — jak można zostać głośnym człowiekiem w dwadzieścia cztery godzin, a nazajutrz jako taran uderzać w trzydziestoletnie zasługi!

Więc reklamujemy tylko na mocy dowodów, aby nam wpływu „stanowisk“ niewyrzucali ci, którzy wszystko robią i zapewne robić zechcą, aby je podkopać. Potęgę i skuteczność działania uznaliśmy dostatecznie, wyprosić sobie tylko wypada zdjęcie — maski, rozpaczającej nad upadkiem powag i stanowisk! Bądźby szczerzy, od burzenia jedni, od budowania drudzy, po budowach zostaną ruiny — skoro tyle burzących, ale pozostanie tradycja pracy, która ruiny odbuduje; może też da kiedyś Bóg, że tradycja burzenia zaginie, a rąk więcej do budowania się znajdzie.

Po zmarłym Antonim Walewskim pozostało trzy dzieła dla nauki polskiej: *Historya wyzwolenia Polski* za Jana Kazimierza, *Historya wyzwolonej Rzeczypospolitej* wpadającej pod jarzmo domowe, *Dzieje bezkrólewia* po Janie III. Odsunawszy na bok doktryny po nich rozsiane, każdy, co się odbudową dziejów naszych trudzić będzie, z książkami temi liczyć się musi. Po grzechu jego żywota, niech jako ekspiacja pozostanie — schwytanie na gorącym uczynku tych, co nieprzestają najświętszych uczuć używać jako narzędzi destrukcyi społeczeństwa.

J. Szujski.

Już przy zamknięciu zeszytu przychodzi nam zapisać stratę

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ

zmarłej w Warszawie 25 grudnia,

w piśmiennictwie naszym znanej pod pseudonimem Gabryelli. Strata to prawdziwego i pełnego wdzięku talentu pisarskiego, pełnego werwy i barwności, umiającego szukać motywów głębszych, branych z niepospolicie bystrej i często niezmiernie delikatnej obserwacyi. Przypominamy: *Pogaďankę* przy kominkowym ogniu; *Poganę*, *Białą różę*, *Stary dwór* w *Świerszczowej*. Między pisarskimi zdolnościami kobiet społecznych niezawodnie najpierwsza, niewiemy, czy dosyć ceniona i uznana, jakby to nakazywał smak estetyczny. Najpierwsza co do szerokiej skali myśli i zagadnień doniosłych, które potrafiła w pismach, przypominając żywo zgasłą w przeszłym roku, sławną współczesną autorkę Francyi. Język, styl, poprawność i wykończenie rzeczy, naturalność w podejmowaniu i rozwinięciu traktowanego przedmiotu mogące przyprowadzić do rozpacznej zazdrości — całe zastępy naszych młodych męskich talentów. Natura ekscentryczna i nerwowa, walcząca wewnątrz w bogatej w zasób umysłowy duszy, nie wiemy o ile i czy przyszła w końcu do zgody i harmonii wewnętrznej. Pod pierwszym wrażeniem tej straty poprzestajemy na tym przelotnem obrazie znakomitej autorki, jaki nam pozostał z jej pism krótkiej a pełnej poważnych wspomnień o niezwyklej mierze umysłowej i o najszlachetniejszych porywach tej duszy, znajomości.

J. Szujski.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 grudnia.

Związek z Austryą większej części krajów koronnych polegał na unii osobowej. Źródłem jego był tak w Czechach jak w Węgrzech wybór a następnie prawo spadkowe. Jedna tylko Galicya dostała się domowi Habsbursko Lotaryńskiemu faktem zaboru. Cesarze koronowali się też na królów czeskich i węgierskich, bo obie te korony były właściwem ich dziedzictwem. Rewolucya 1848 była czysto centralizacyjną. Reakcyja przeciw niej różne przechodziła fazy, aż nareszcie skutkiem klęsk politycznych monarchii Węgry odzyskały prawa udzielnego państwa, Czechy jednak nie. Sankcyja pragmatyczna stała się napowrót dla stosunku Węgier z domem panującym podstawą prawa publicznego; gdy jednak reszta ziem korony cesarskiej pozostała w związku bez zmiany, przeto monarchia musiała na dwa rozdzielić się państwa, złączone atoli już nie-tylko unią osobową ale zarazem związane wspólnością naczelnego zarządu spraw zagranicznych, finansów i wojny. Pakt z r. 1847 utworzył także związek celny i handlowy, wspólność banku państwa, podział we wspólnych wydatkach i w długi publiczny w oznaczonej cyfrze. Przez tę ugodę Węgry odniosły wielką korzyść, bo długi zaciągnięte skutkiem rewolucyi węgierskiej spadły jak i inne ciężary blisko w dwóch trzecich częściach na inne kraje monarchii.

Uгода co do kwot, to jest udziałów we wspólnych wydatkach monarchii, co do unii celnej handlowej i bankowej obowiązywała na lat dziesięć; a już od przeszłej jesieni toczą się rokowania o rewizyę tej ugody. Gabinet węgierski z całym naciskiem, jaki mu daje trudne położenie Austrii w ogólne

polityce, cicha protekcya z Berlina w interesie tak zwanego „przeniesienia środka ciężkości Austrii do Pesztu,“ możność targowania się o warunki, ryzykując co najwyżej utrzymanie *status quo*, usiłuje wyzyskać swoje stanowisko i grozi zerwaniem unii realnej a zatrzymaniem unii tylko osobowej, to jest wspólności monarchy — stosunek istniejący już dziś tylko między Szwecyą a Norwegią, Holandją a Luxemburgiem.

Układy obustronnych ministrów austriackich i węgierskich miały dać projekt wznowionej ugody, któraby potwierdziła reprezentacya obu państw. Już w maju zapowiedziano wyrównanie wszelkich różnic zasadniczych, a kiedy w Wiedniu twierdzono, że rozdział banku jest tylko formalnością, bo rząd i kontrola pozostaną wspólnemi, filia zaś peszteńska zaspokoić ma tylko próżność narodową Madiarów, w sejmie peszteńskim zapewniał minister Tisza, że zdobył dawno upragniony klejnot odrębności bankowej, jeden krok dalej na drodze odzyskania unii osobowej. Przemysł austriacki zaczął się znów trwożyć rewizyą taryfy celnej, która mogła go pozbawić targów w Węgrzech a produkcję węgierską otoczyć opieką na szkodę całości monarchii. Zachodziła także obawa bankructwa Węgier, z którego musiałyby je Austria ciężkimi ofiarami wykupić. Oczekiwano przeto zwołania Rady państwa, w przekonaniu, że ministerium złoży prawdziwy obraz tej kwestyi. Wszelkie jednak wyjaśnienia nic nie wyjaśniły, prócz tego, że niema jeszcze między obu gabinetami porozumienia się, gdyż inaczej pojmowali pp. Lasser i Pretis a inaczej p. Tisza warunki ugody. Nietylko 80 milionów długu publicznego, w którym Węgrzy nie chcieli mieć żadnego udziału, stanowiły różnicę zasadniczą ale i w sprawie bankowej rozpoczęto znów układy *ab ovo*. Zanosilo się więc na walkę nietylko gabinetu ale i obu reprezentacyj a nadto usiłowano wmieszać w ten spór osobę Cesarza.

Kryzys ta nie była wpływem, jak zwykle się dzieje, niezgody rządu z reprezentacyą, bo oba gabinety miały w właściwych izbach większość po sobie, a jednak gdy w unii dwie połowy monarchii nie mogą przyjść do zgody, jedna połowa ustąpić musi. Otóż zachodzi tu niebezpieczeństwo, że względy ogólnej polityki, interes państwa, zmusić mogą silniejszego do ofiar. Węgry mogą trzymać się polityki bezwzględnej, wiedząc, że Austria musi dbać o utrzymanie ich w związku z sobą, a lubo wobec grzających na Wschodzie wypadków przychodzi się im oglądać na swoje podstawy bytu, które nie dają dostatecznego żywiołu na utworzenie udzielnego państwa, wiedzą jednak, iż w Wiedniu obawiano by się wywoływać tej chwili tak niebezpieczne przesilenia. Partya liberalna w Austrii czyli niemiecka możeby w unii personalnej Węgier widziała sposób zbliżenia się do wspólnej ojczyzny niemieckiej, ale myśl tę da-

wno już porzuciła: wyleczył ją z gorączki sam ks. Bismark, gdy się przekonała, że w Niemczech nie idzie o jedność niemiecką, ale o poddanie wszystkich interesów polityce pruskiej.

Rada państwa rozeszła się przed świętami bez odroczenia jej, a prezesowie obu izb mają zawiadomić deputowanych o terminie następnego posiedzenia. Głoszą, że naznaczone ono na d. 22 stycznia. Rada państwa jednym ciągiem przechodzi wszystkie lata okresu prawodawczego bez zamykania i otwierania sesyj, co jest przeciwnem w ogóle duchowi instytucji reprezentacyjnej. Rada państwa stała się jakby sejmem nieustającym.

Parlament zawieszony znów, nie mając sposobności traktowania kwestyi ugodowej, która jest znów odroczoną. Ostatnie prace swoje poświęcił on budżetowi, w którym znaczna liczba posłów z Galicyi zabierała głos, słusznie upatrując w obasadach nad budżetem najszersze pole dla obrony interesów kraju swego. Okazali też posłowie nasi wielką czujność, nie dopuściwszy, aby podano w wątpliwość byt uniwersytetu lwowskiego. Radzibyśmy jednak oczekiwać od nich na przyszłość głębszych studyów nad budżetem. W parlamentach mających przed sobą stałe z roku na rok rubryki dochodów i wydatków, jedne i drugie powiększają się lub zmniejszają na podstawie statystycznych cyfr i kombinacyj — tak bywa w parlamencie angielskim; obrady też nad budżetem trwają tam bardzo krótko, chyba gdy rząd staje z wnioskiem reformy jakiego podatku albo зниżenia opłat w miarę wykazanych większych dochodów. W Austrii nie było dotąd ścisłych studyów budżetowych, któreby kontrolę nie tylko poś formalnym ale i merytorycznym względem wykonywały. A jednak system fiskalny tu ogromnem brzemieniem na znacznej liczbie kontrybuentów, na rozlicznych stosunkach obrotu własności, produkcji, handlu i podróży wszelki ruch i rozwój a niekiedy tamuje. Dawny system biurokratyczny i fiskalny przetrwał w Austrii wszystkie reformy i wszystkie organizacye, bo łatwiej było w Austrii o nowy system administracyjny. Pierwszy wymagał niekiedy inicjatywy jednego człowieka, drugi stanowi osobną szkołę, w której ojcowie się wychowali, wychowują się syny i bodaj nie będą się wnuki wychowywać.

Prawie wszystkie parlamenta obradowały niemal do samych świąt Bożego Narodzenia: pora to bowiem zwykła uchwalania budżetu. W jednej tylko Anglii parlament zbierać się zwykł w lutym, gdy koniec polowania się zbliża, bo w Anglii, kraju wolności *par excellence*, przeważnie Izby składają się z zamożnego obywatelstwa, nie znają też deputowani dyet i mogą się bez nich obywać, a jeżeli bywały rzadkie wypadki, że w Izbie gmin zasiadł człowiek niezamożny, to wyborcy jego, którzy go chcieli mieć w Izbie, pomyśleli o tem, aby mu na niczem nie

zbywało. Wiedzą tam bowiem, że pierwszym warunkiem niezawisłości jest niezależność majątkowa. Prawda znów, że ludzi bogatych jest tam sporo, a sam majątek nie daje zaszczytów; trzeba się o nie dobijać pracą i nauką; dla tego między najbogatszymi z ludzi znajdzie tam mężów stanu oraz mężów nauki i pióra. . . . Mimo nalegań ze strony liberalnej królowa nie zwołała wcześniej parlamentu, rząd bowiem nie życzył sobie, aby go co dzień interpelowano, jak stoi kwestya wschodnia, albo żądano od niego przedłożenia korespondencji dyplomatycznej.

Natomiast w innych parlamentach szło w ciągu grudnia bardzo żwawo. Przedewszystkiem parlament niemiecki zajmował się kodyfikacją ustaw sądowych i ordynacją postępowania sądowego na całe Niemcy. Był to krok niezbędny na drodze zjednoczenia Niemiec, ujednostajnienie kodeksów i przepisów procesowych. Ale i w tym przedmiocie jak w wielu innych poświęcano interesom specyficznym pruskim i potrzebom chwilowym rządu cesarskiego względy na słuszność i na niezależność sądów, oraz na nieprzedawnione prawa narodowości. Komisya sejmowa złożona z prawników z obozu większości a zatem z partyi liberalnej, poczyniła w projektach wyszłych z Rady Związku niemieckiego w której przewodniczy pruski minister i której zadaniem jest stosować się do skazówek z Berlina, takie zmiany odpowiednio do pojęć prawnych i praktyki sądowej, że w 18 głównych punktach zachodziły różnice nie dające się pogodzić. I tak komisya wniosła ustanowienie sądów przysięgłych dla spraw drukowych, zniesienie naciąganego dotąd tłumaczenia ustawy, iż można na drodze karnej zmusić redaktora do wydania autora, choćby go odpowiedzialnością swoją zaślaniał, podobnie, że można zmusić lekarza do zeznań sądowych o okolicznościach, które mu są wiadome z jego stosunku poufnego z chorym, a z których mu przysięga lekarska zakazuje czynić użytku itd. Był tam oczywiście i obowiązek używania wyłącznie języka niemieckiego w aktach sądowych i w postępowaniu procesowym, przeciw czemu nadaremnie polscy deputowani protestowali.

Wszystkie poprawki i zmiany komisyi znalazły w Izbie większość. Ale kanclerz niemiecki nie na to ma parlament, aby uchwały jego uwzględniał, lecz aby w danym razie, używał go za narzędzie swoje i nim się zaślaniał. Oktrojować kodeksa — co za zgroza! a bez potrzeby, albowiem można do tego samego dojść celu drogą — kompromisu. Porozumiał się z przywódcami partyi tak zwanej narodowo-liberalnej; przywódcy zwołali partyę, aby im oznajmić wolę kanclerza i w trzecim czytaniu ustaw przyjęto odrzucone w drugim czytaniu zmiany a odrzucono zmiany uchwalone. Gdy parlament zrobił, co mu było nakazane — rozwiązano go a wybory do

nowego parlamentu naznaczone na d. 10 stycznia, niewątpliwie dadzą tej samej partyi przeważną siłę, bo życie koszarowe i mustra, przez którą cała młodzież przechodzi, stworzyły karność. Najznakomitsi prawnicy nie wstydzili się tłumaczyć kompromisu jako aktu wielkiej odwagi publicznej, jako dowodu poświęcenia dla dobra ojczyzny.

Pisać historję współczesną — rzecz trudna, prawie niepodobna, bo wiadome fakta nie zawsze bywają zrozumiane, jeśli się nie zna ich pobudek a ocenionemi być nie mogą, gdy następstwa ich nie zawsze odpowiadają ich mocy. Tem mniej można sobie rościć prawo do ścisłości, gdy fakta są skąpe a nadto nieporęczone, niesprawdzone. Nie historję też obecnego stanu kwestyi wschodniej można w tym przeglądzie politycznym ogłaszać, ale zapisać tylko nieco faktów w ciągu miesiąca grudnia zaszłych. Faktów tych niewiele, bo był to miesiąc przeznaczony na konferencyę a właściwie na przygotowywacze do niej narady pełnomocników sześciu mocarstw. Po za niemi niema nic, krom domysłów i przypuszczeń, jakimi dzienniki karmiły publiczność. Czemże bowiem nazwać można telegramy stambulskie o zupełnej zgodzie pełnomocników, zapewnienie *Timesa*, że Anglia ani jednego żołnierza nie poświęci dla ocalenia Turcyi, albo *Journal de St. Petersbourg*, że Rosya przystanie na każdą formę rozwiązania kwestyi wschodniej, byle ono zapewniało wolność i bezpieczeństwo chrześcijan?

Pierwsza konferencya miała się odbyć dopiero d. 23 grudnia a więc tylko 9 dni pozostawałoby dla zawieszenia broni, które oznaczone do d. 31 grudnia, przedłużeniem zostało do d. 2 stycznia. Wszystkie poprzednie narady pełnomocników, nosiły nazwę konferencyi wstępnej i nie brała w niej udziału Porta. Te wstępne narady poprzedzone jeszcze były rozmowami czyli pogadankami (*pourparlers*), dyplomatów bądź pojedynczo, bądź w grupach. Ponieważ pełnomocnicy przyrzekli sobie zachowanie tajemnicy, przeto z licznych pogłosek o ich oświadczeniach, nie można wnosić, które są prawdziwe. Pełnomocnicy niemiecki i austriacki nie byli opatrzeni w pełnomocnictwa, lecz są raczej pośrednikami między konferencyą a rządami swemi obowiązani zasięgać zdania w każdym wypadku. Lord Salisbury miał rozległe pełnomocnictwo, albowiem po jego wyjeździe raz tylko zebrała się w Londynie rada ministrów, oświadczenia więc jego musiały być albo oparte na wypadkach przewidzianych albo wychodzić od niego samego. Zadaniem jego było, jak się zdaje, unikać wszelkich stanowczych rozstrzygnięć, spór raczej łagodzić niż rozjastrzać, zgadzać się na wszystkie propozycje, tylko pod względem ich wykonania odbierać im natarczywą cechę.

Wprawdzie konferencya miała początkowo sprowadzić pokój między stronami wojującemi, a zatem między Turcyą

a Serbią i Czarnogorą. Zmieniła jednak swój pierwotny charakter, rozciągając swoją jurysdykcję do urzędzenia chrześcijańskich prowincyj Porty. Z tego względu przestała być pośrednikiem a jest stroną naprzeciw Turcyi. Ponieważ zaś składa się z reprezentantów kilku mocarstw, przeto zadaniem narad przedwstępnych było, aby jedne i te same postawić Turcyi żądania, iżby te nie przenosiły *maximum* możliwości. Za takie *maximum* uchodziło obsadzenie tych krajów tureckich obcem wojskiem, u którychby miano zaprowadzić reformy na korzyść chrześcijan, a to pod pozorem, że jedynie okupacya może stać się rękojmią wykonania reform. Któż miał zatem dostarczyć wojska czy to na usługi żandarmskie czy jako egzekucya na Turcyi. Zgromadziła Rosya krocie wojsk na południu, jedynie w celu wkroczenia do Turcyi i doprowadziła układy tak daleko, iż wszyscy członkowie konferencji zgodzili się na okupację, uczyniwszy jedynie to małe zastrzeżenie, że okupacya powierzona będzie jednemu z państw, neutralnych to jest nie zasiadającym na konferencji, czy to Belgii, czy Holandyi albo Szwajcaryi. I zgodzono się na Belgię. Nie zapytano jej jednak wprzód. Belgia oczywiście odmówi, może z kolei wezwaną będzie Holandya i Szwajcarya, może inne jeszcze państwa; ale któreż z nich zechce wziąć na siebie *odium* takiej okupacyi najemnej, któryż rząd może powiedzieć, że bez zezwolenia reprezentacyi jest mocen wysłać wojsko w nieswojej sprawie do dalekiego kraju, z którym niema bliższych związków, ani żadnym interesem publicznym nie jest z nim związany. Historia zna wprawdzie jeden taki precedens i to niedawny, udział wojsk piemonckich w wojnie krymskiej a był to krok przygotowawczy przyszłemu europejskiemu stanowisku Piemontu, ale łatwiej było wysłać kilka tysięcy żołnierza z posiłku Francyi i Anglii wypowiedziawszy wojnę bez żadnej przyczyny Rosyi, aniżeli wysłać wojsko belgijskie do Bułgaryi dla pełnienia obowiązków *kawasów* chrześcijańskich. Mogła Rosya zgodzić się wreszcie na taką okupację, bo jeszcze dawałaby ona takie widoki, iż zająłaby mogły okoliczności, wśród których wojsko rosyjskie byłoby niejako zmuszonem przyjść w pomoc Belgom. Dość na to garstki sfaanatyzowanych Turków. Atoli Porta wogóle odrzuca okupację wszelką, czy ona rosyjska czy nawet tylko belgijska i odmawia mocarstwu prawa nasyłania wojsk do jej posiadłości.

Porta idzie jeszcze dalej, bo w dzień na który zapowiedziane było otwarcie konferencji, która ma się zająć reformami w prowincjach chrześcijańskich, ogłasza konstytucję na cały obszar europejskich posiadłości swoich. Sprawę zatem koncesyj na korzyść pewnych prowincyj i pewnych mieszkańców uchylić chce nadaniem tych koncesyj wszystkim prowincjom i wszystkim mieszkańcom. Konstytucya w Turcyi! Czy można

było o tem kiedy nawet zamarzyć. Gotowibyśmy wreszcie nie zdziwić się, że Rosya nada konstytucyę, w której przyzna wszystkim narodowościom i wszystkim wyznaniom równe prawa. Potrzeba może tylko, aby była do takiego kroku zrozpaczonego przywiedziona przez konferencyę europejską, któraby tak jak stambulska konferencya rozpatrywała skargi i potrzeby Chorwatów. Bułgarów i Bośniaków, zajęła się zbadaniem skarg i potrzeb Polaków i Armeńczyków... Może mocarstwa europejskie czekają, aż Turcy wobec Polaków zajmie rolę Rosyi wobec chrześcijan tureckich....

Ażeby konstytucyę turecką przywieść do skutku, trzeba było usunąć wielkiego wezyra Mehmeda Ruždę, a oddać ten urząd Midatowi paszy, naczelnikowi partyi Turków zeuropejszczonych, twórcy, jak się domyślano, ostatnich rewolucyj pałacowych, które obaliły sułtanów Abdula Azisa i Murada, aby pod obawą takiegoż samego losu, jakiego doznali poprzednicy, uczynić sobie powolnym Abdula Hamida. Uprzątnął także sztylet czerkiesa Hassana-agi tych ministrów, którzy zawadzali dziełu liberalizmu, a dziś Midat z aktem konstytucyi w ręku mniema, że nie tylko zażegnał interwencyą zbrojną, ale nadto położył podwaliny nowego państwa, które nie wypierając się swojej podstawy koranu, może zaspokoić także potrzeby chrześcijan. Midat marzył nawet o państwie bezwyznaniowem, ale nie czuł się dość bezpiecznym, aby z taką doktryną na zachodzie Europy zacerpniętą, wystąpić przeciw wzburzonym muzułmanom. Tymczasem rzucił w konstytucyi myśl podkopującą koran, że islam chociaż jest religią państwa, pozbawionym jest atoli cechy teokratycznej. A kto tej cechy pozbawić zdoła? Nie hat sultański, nie rozkaz ministra. Koran jest zbiorem uniwersalnym ustaw religijnych, moralnych, obyczajowych, prawnych i sądowych, administracyjnych i fiskalnych, socyalnych i politycznych, i bez niego nie można pojąć świata muzułmańskiego. Konstytucya turecka orzeka wolność wszystkich wyznań, równość polityczną i osobistą, równy rozkład podatków, system reprezentacyjny dwu-izbowy i wreszcie wspólną nazwę dla wszystkich poddanych Porty bez względu na narodowość albo religią: wszyscy są odtąd Ottomanami. Duch konstytucyi jest centralistyczny najczystszej wody; wszystkie jej przepisy są wiernie skopiewane ze znanych modeli francuskich. Nie ma też tam mowy o tych lub o owych ludach i ich językach, o ich starych prawach gminnych i krajowych, a tem mniej o ich starej autonomii, niegdyś przez samych Turków szanowanej.

Wprowadzenie w życie tej konstytucyi na niemniejsze napotkałoby trudności, jak wprowadzenie pod egidą obcej interwencji reform, przez konferencyą żądanych. Gdyby Rosya mogła czekać lat parę lub kilka pod bronią, w tem natężeniu

sił moralnych i materyalnych, doczekałaby się tych samych rezultatów konstytucyi w konferencyi, to jest powstania, rzemie, zarówno z tej i owej strony, ze strony Słowian jak i Turków. Żaden bowiem wierny muzułmanin, żaden prawowity Turek nie da sobie wytłumaczyć, iż nie jest panem tej ziemi, którą przodkowie jego zdobyli, gdy natomiast Serb, Chorwat lub Bośniak, jeśli domagać się będzie konsekwentnego zastósowania konstytucyi do wszystkich stosunków życia publicznego, dojdzie do autonomii, której mu konstytucya nie przyznaje i nie zechce poprzestać na zatowizowaniu się indywiduów w państwie, gdy pojęcia jego nie wychodziły nigdy na obszar interesów gminy albo prowincyi.

Przyrównano dawno Turcyą do karczocha, który po listku obierać można, póki się nie dojdzie do rdzenia, a dopiero o ten najsmaczniejszy kąsek ubiegać się kiedyś będą Anglia, Rosya i Grecya. Robota ta wymagałaby wiele czasu; potrzeba bowiem, aby Bułgarya, Hercegowina, Bośnia, Albania utworzyły ksiąstwa lennicze, któreby zwolna przychodziły do wyrobienia w Izbie życia publicznego, gdy Epir, Tesalia i Macedonia złączyłyby się z królestwem dziś Peloponezkiem. Ale takiej formacyi nie sprzyjały ani Austrya ani Rosya, pierwsza ze względu na swoje posiadłości słowiańskie, druga zaś miałaby sobie zamknięty wpływ i przystęp na półwysem Bałkański.

Wywiesiła przeto Rosya chorągiew Wszech-Słowiańszczyzny, ideę potworną, nie mającą ani w historycznych ani w politycznych przyczynach usprawiedliwienia. Nawet tożsamość wyznania nie łączy z Rosyą Kościołów wschodnich, które mają osobną hierarchią, a między niemi Bułgarowie są katolikami. Na wspólności zresztą wyznań tak dobrze jak na pobratymstwie plemiennem mogłyby państwa protestanckie pochodzenia germańskiego, dążyć do utworzenia jednego państwa, któreby ogarniało większą część Niemiec, Holandye, Anglię, Danię Szwecyę i Norwegię oraz część Szwajcaryi, a kraje katolickie romańskiego pochodzenia, jak Francya, Włochy, Belgia Hiszpania i Portugalia znów w jedno złączyć się państwo. Z myślą więc panslawistyczną przystępuje Rosya do rozwiązania kwestyi wschodniej, czując się do tego powołaną z plemiennych i religijnych pobudek. Ale i te pobudki są kłamane. Nigdy o nich nie było mowy w stosunkach międzynarodowych z Prusami i Austryą; nigdy w imię ich nie przemawiała Rosya, nigdy nie opuściła żadnej sposobności, aby narodowość polską w swoim zaborze zgnieść i wytępić i nie zagrzewać sąsiadów swoich do tego samego. Dopiero wobec bałkańskich Słowian stanęła Rosya nagle niby jako misyonarz chrześcijaństwa i obrońca narodowości słowiańskiej a raczej rodowości. Dopiero w interesie swoim na Bałkanie wezwała ujarzmione

przez siebie ludy do udziału w ofiarach z krwi i mienia. Wszystkie mowy i przemowy Cara miały ten charakter, wszystkie rozporządzenia rządowe ten sam interes poruszały i wszystkie adresy różnych stanów i korporacyj w tym samym duchu odzywały się.

Wśród tych adresów znalazł się i adres mieszkańców miasta Warszawy, następującej treści urzędownie ogłoszonej:

Adres najpoddanniejszy mieszkańców miasta Warszawy.

„Najjaśniejszy Panie!

„Wypowiedziane przez Waszą Ces. Mość słowa w Moskwie, znalazły odgłos w sercach naszych, i my Polacy łączymy się szczerze z uczuciami przywiązania do Tronu, jakich wyraz Ciebie, Najdostojniejszy Panie, ze wszystkich stron państwa Twego dochodzi.

„Jeśliby wzniosłe usiłowania Waszej Ces. Mości, dążące do uchronienia ludności od klęsk wojny, zostały daremne, gotowi będziemy do wszelkich ofiar, jakie za stosowne uznasz zażądać od Twych ludów dla polepszenia losu naszych południowych braci.

„Należąc do wielkiej rodziny ludów słowiańskich, na równi z naszymi współplemiennikami otoczmy Ciebie, Najjaśniejszy Panie, oddaniem się Tobie zupełnem dla osiągnięcia wielkich celów, jakie zamierzyłeś.

„Taki szczerzy wyraz uczuć wiernych Waszej Ces. Mości poddanych śmiemy u stóp Tronu Twego złożyć.“

(Tu 821 podpisów).

Oprócz powyższej osnowy adresu obiegało kilka jego prawnych edycji, zanim tekst ogłoszony został, jak również kilka projektów adresów, które, jak się zdaje, chciały stosując się do faktycznego położenia, nacechować stanowisko Polaków pod rządem rosyjskim. Były też i protestacye przesłane do dzienników. Wszelako tak adresa nie podane, jak protestacye bez podpisów, nie mają żadnej wagi. Przytaczać ich ani zbierać nie ma potrzeby. Można by napisać tysiąc gorętszych. I my moglibyśmy tu protestować przeciw adresowi, gdybyśmy w nim widzieli zaparcie się imienia polskiego; wywieszanie zaś chorągwi panslawizmu gdyby nie było komedią, mogłoby wprzód Austryę i Prusy dotknąć, niż Polaków. W kwestyi wschodniej panslawizm odgrywa rolę swoją za kulisami, bo na wielkiej równinie świata Rosya nie pragnie nic innego, jak usamowolnienia chrześcijan z pod jarzma tureckiego.

Zaiste dziwić może, że tylko 821 podpisów znajduje się na adresie, że ich nie było przynajmniej sto tysięcy, dziwić może, że na 821 nazwisk podpisanych wydrukowano tylko 85;

chyba że reszta ich tak jest nieznaczącą, że zaledwieby mogły figurować w ogólnym spisie ludności jako cyfra statystyczna. Komu znane środki, które rząd rosyjski posiada w rękę swoję i których używa w potrzebie, ten może się zdumieć, iż tylko 821 obywateli znalazło się gotowych do niesienia ofiar dla interesów rządu. A wszakże każdy rekrut, którego porywają z domu i wysyłają, aby się bił za sprawę mu obcą albo nienawistną, to jakby podpisał adres do Cara i zaraz krwią swoją podpis ten stwierdził, a każdy unita, którego przemocą zapędzą do cerkwi prawosławnej, zmuszony jest podpisać coś sroższego nad adres do Cara. Są wprawdzie bohaterzy między żołnierzami carskimi i unitami, co poniosą raczej śmierć, niż się poddadzą wstrętnemu sobie rozkazowi, ale bohaterstwo można uwielbiać, męczeństwo można uswięcić, nie ma jednak nikt prawa żądać, aby każdy, którego wezwali do podpisania adresu, wprzód włożył w ogień rękę, jak Mutius Scaevola.

Najmniej zaś my tutaj, używając szerokiej wolności osobistej i politycznej, mamy prawo dyktować braci naszej w Kongresówce, która od pierwszego rozbioru ojczyzny umiała przetrwać z zachowaniem godności imienia polskiego, a oraz z nieśmiertelną roztropnością polityczną różne rządy i różne uciski, jak ma się w danej chwili zachować. Jeżeli zaś adres ten mógłby posłużyć za hamulec dla rządu pruskiego, gotowego do oddania Rosyi usługi przyjacielskiej przez okupację „tymczasową“ całego Królestwa Polskiego, czy też części jego po Wisłę dla zabezpieczenia tego kraju, to adres ten oddałby prawdziwą usługę krajowi. Nie uważamy go mimo tego za akt wielkiej wagi, bo w kwestyach, jak wschodnia, gdzie losy całych państw mogą być postawione na kartę, adres kilkuset obywateli nie zaważy na szali areopagu europejskiego, ani też zdolen jest stanowić balast tamujący wolny polot kwestyi polskiej, gdyby zbiegiem okoliczności, bo nie naszą wolą lub siłą, wzniosła się ona nad poziom rutyny politycznej i dyplomatycznych sztuk łamanych. Jeżeli adres mógł zasłonić chociaż w części Królestwo przed nowemi lub sroższemi prześladowaniami, jeżeli posłuży do ubezwładnienia tych w Rosyi wpływów, które chciałyby wciąż wynajdywać nowe powody do gnębienia i do zemsty, to trudno nam wyrokować o ludziach, którzy go podpisali. Są tam wprawdzie nazwiska osób gotowych zawsze do uczynienia wszystkiego, co dworowi petersburskiemu miłem być może, dlatego tylko że jemu jest miłem, ale są także nazwiska obywateli, którzy zawsze i przez całe życie mieli na uwadze przedewszystkiem dobro kraju i społeczeństwa; o tych z lekceważeniem mówić nie możemy, tych potępiać nie myślimy porywczo. Zdaje nam się przecież, że akt ten, skoro chciano mu nadać ton i znaczenie polityczne, nie koniecznie we właściwej ukazał się chwili, że w innej

mógł być i donioślejszym i skuteczniejszym. Polakom przed innymi niepodobna stawiać szczytne na gruncie słowiańskiej przyszłości, dopóki w tej przyszłości nie nie zapewnia autonomij poszczególnych szczepów i wolności religijnej poszczególnych wyznań. Neutralność, za którą od początku w tej ważnej sprawie przemawiamy do tej chwili, i w tym wypadku wydawała się nam korzystniejszą, aczkolwiek przyznajemy, iż są położenia, w których nie zawsze danem jest trzymać się najkorzystniejszej drogi. — Tyle co do treści. Co się tyczy formy, to zarzucić możemy, iż wogóle wzięto się do rzeczy ze zbyt wielkim a widocznym pośpiechem, jakby na komendę, a ztąd popełniono wielki w naszych oczach błąd, bo oddzielono Warszawę od reszty kraju, bo tem samem postąpiono sobie (oczywiście bez zamiaru) w duchu tych Rosyan, którzy chcieliby ostatecznie rozbić Królestwo na gubernie i ochrzcić je nazwą kraju Nadwiślańskiego, aczkolwiek w urzędowych aktach nie zagięło *Królestwo Polskie*. Jeżeli była konieczność adresu, to była ona nietylko dla Warszawy, ale dla całego *Królestwa*, jeżeli interes polityczny i społeczny nakazywał jego przesłanie, to nakazywał je w równym stopniu dla stolicy jak dla prowincyi. W każdym zaś razie adres powinien być być jeden i ten sam, powinien być być równobrzmiącym od wszystkich.

Gdyby nie wypadki wschodnie, niezawodnie uwaga publiczna w Europie byłaby przedewszystkiem zwróciła się za Atlantyk: gdzie z wyborem prezydenta Stanów Zjednoczonych wiążą się kwestye, które wojna domowa przecięła, lecz rozwikłać ich nie mogła. Chcąc je tylko przypomnieć dla zrozumienia walki wyborczej, w grudniu stoczonej a przeszło od roku trzymającej wszystkie umysły w napięciu, wypadłoby sięgnąć aż do wojny domowej między północnymi a południowymi krajami Unii, wypadłoby może aż przytoczyć straszną scenę w Harpers Ferry, powieszenia abolicjonistów, albo nawet szukać w odleglejszych czasach, jak przez naciąganie i przekręcanie pierwotnej ustawy zasadniczej ulegalizowano niewolnictwo, jak przez uszanowanie demokratycznych zasad i samorządu krajów, przyciągano do Unii najprzeciwiejsze organizmowi całemu społeczności. Ależ zaprowadziłoby to dalej, niż rozmiary przeglądu politycznego z ostatniego miesiąca pozwalają. Zresztą przejście tej demokracji amerykańskiej, jaka się europejskim oczom przedstawiała, do demokracji prawdziwie amerykańskiej, której nawet Tocqueville nie dopatrył, pojmując ją z francuska, byłoby zadaniem osobnego dzieła.

Tego lata obchodzono setną rocznicę istnienia państwa, które pierwotnie było Unią, zachowało wszystkie cechy systemu federacyjnego, ale w miarę stykania się z interesami Europy przez Kanadę i Kubę, w miarę wcielania przez zdobycze i aneksyą posiadłości mexykańskich, Unia zamieniać się za-

częła w państwo z formą republikańską rządu i tam jej charakter dał początek powstania stronnictwa republikańskiego, którego siedzibą kraje handlowe nadmorskie, północne, nie znające niewolnictwa, które stanowiły pierwszy zawiązek federacyi, która z pod panowania Anglii wyzwoliła się.

Na północy kwestyę niewolnictwa pojmowano głównie z humanitarnego stanowiska, pomijano zaś stosunki agraryjne; gdy na południu samorząd krajów uważany był przede wszystkim za sposób utrzymania niewolnictwa w całej jego sromocie. Zwycięstwo Północy nad Południem nie tylko zniosło niewolę, ale oraz wszystkich uczestników powstania pozbawiło praw politycznych. W ten sposób w Izbie reprezentantów i w Senacie przemógł żywioł republikański nad demokratycznym, duch jedności państwa i centralizmu nad samorządem, ośmioletnie rządy prezydenta Granta były wyrazem tej przewagi Północy. Odsunięto od urzędów wszystkich demokratów bez względu, czy byli zwolennikami niewolnictwa albo nie; mianowano na kraje południowe gubernatorów, nasyłano wszelkiego rodzaju ludzi, byle wiernie służyli interesom rządu centralnego, ci zaś nie znajdując poparcia w klasie zamożnej, plantatorów i kupców produktów, otaczali się wyzwolencami i dawnych niewolników podburzali przeciw byłym im panom.

Z tego wynikło, że zausznicy urzędnicy przedajni, że różne wyrzutki społeczeństwa dostawszy się na posady publiczne, dopuszczali się niesłychanych oszustw, a z drugiej strony, że gdy ze stopniowem przywracaniem praw politycznych w krajach południowych, wszystkie posady publiczne, wszystkie niemal urzędy znalazły się w rękach wyzwolenców, tych zaś interes własny powodował do trzymania z partją republikańską. Na południu zatem wybierano republikanów do ciał prawodawczych i republikanów wybierano do kongresu.

Amerykański *humbug* jest połączeniem francuskiej *blagi* z niemieckim *szwindlem*. Rozwiódł się on na krzesłach ministrów, senatorów, gubernatorów, ławników miejskich, sędziów, zarządców kolei żelaznych, a nawet w domu własnym prezydenta Unii, którego brat sprzedawał sinekury, przedsiębiorstwa i dostawy skarbowe. Jenerałowie, posłowie zagraniczni nie byli obcymi tej frymarce, która wreszcie takie wzniciła przerażenie, że aż zawiązało się stowarzyszenie, „ludzi uczciwych“ które starało się połączyć politycznie zasady samorządu z ideą państwa i mniemało się być dość silnem, aby pokierować wyborami.

Atoli za mały okazał się zakres w całym obszarze Stanów Zjednoczonych dla takiej partyi. Przyczynili się jednak do wywołania reakcyi zbawiennej. Na Północy wzmogła się partya demokratyczna, przekonawszy się o szkodliwości systemu centralizacyjnego, który z „białego domu“ nie może

rzządzić całą połowę jednej części świata; na Południu demokraci podnieśli się nieco z upadku, a wybór na prezydenta wahał się między jednym a drugim obozem, między republikaninem Hayesem a demokratą Tildenem i gdyby nie nacisk centralnego rządu, gdyby nie danie republikanom otuchy, że mogą mieć w danym razie po sobie wojsko, wybór Tildena byłby zapewniony. Już nawet wybory połowy członków do kongresu zmieniły znacznie jego skład. Jeszcze demokraci nie mają przewagi liczebnej w obu tych ciałach, ale przybyło im tyle głosów, że za ponowieniem się wyborów mogą się spodziewać większości. Tym czasem liczyć się z nimi już trzeba.

Bez tej reakcyi groziły srogie klęski Ameryce. Lubo Grant stracił był wszelką nadzieję zostania wybranym po raz trzeci, tak dalece otoczenie jego skompromitowało go w oczach ludzi uczciwych, wszelako tylko prezydent z przeciwnego obozu, tylko senat, w którym *humbug* nie rozpościera się bezkarnie, mogły się odważyć na puryfikacyę publiczną; minister Belkrap, generał Schenk wyszli jeszcze cało dzięki spółnikom owym w senacie, ale już następcy ich nie będą mieli odwagi, ani brat przyszłego prezydenta przyjmować łapówek i brać udział w przedsiębiorstwach, jak kolej do jeziora Erie, gdzie milionami obłowili się łotry, ani wreszcie okradać gminę miasta Nowego Jorku, której gospodarstwo podlegało kontroli szajki zwanej „kółkiem.“

Kiedy jeszcze prezydent Grant zamierzył kusić się o trzecie czterolecie rządów, w orędziu do kongresu popularną w Stanach Zjednoczonych podniósł myśl zaboru Kuby „tej perły Antyllów“ jak ją nazywają. Ale Kuba nie była jeszcze jak dziś spustoszoną, lubo już wiele ucierpiała w skutku kilkakrotnego kuszenia się o usamowolnienie od metropoli swej Hiszpanii. Historia uczy, że kraje najbogaciej od natury uposażone, mogą stać się ubogimi i stracić płodność swoją, nie skutkiem elementarnych wypadków, ale po prostu zniszczyć przez ludzi samych. Sycylia, śpichrz niegdyś Rzymu, gdy przeszła przez rząd Arabów, Normanów, Hiszpanów i Francuzów, straciła swoją reputacyę; Kuba niszczeje pod wpływem wojny domowej. Nie w zamiarze opisania wszystkich usiłowań powstańczych Kuby, ale że sprawa jej przyszła w grudniu w senacie hiszpańskim na stół, słów kilka trzeba o niej powiedzieć.

Było to jakby *mot d'ordre* dane cicho, że w kortezach madryckich nikt nie śmiał dotknąć spraw kubańskich, żeby się wobec Ameryki nie zdradzać. Bez dyskusyi uchwalano kredyt na kosztą wypraw do Kuby, wysyłano wojsko, które trzeba było ciągle uzupełniać, a dochody z wyspy coraz bardziej malały. Z czasem, jeśli tak dalej pójdzie „perła Antyllów“ zniknie i tylko koncha po niej pozostanie. Rząd nie zniósł niewolnictwa na tej wyspie, lubo je zniósł na Porto-Rico, obawiając

się, aby wyzwolenicy nie powiększyli szeregów powstania, gdy teraz niewolników podbudza przeciw panom nieposłusznym. Jenerał Concha, który był niegdyś jeneralnym kapitanem tej wyspy przedłożył w Senacie obraz tamecznego położenia bardzo smutny i dodał, że dawni powstańcy w ciągu ośmioletnich zapasów prawie ze szczętem wyginęli — a miejsce ich zastąpili rozbójnicy złożeni z szumowin społeczeństwa, zbiegów i obcych flibustierów — którzy żyli z łupiestwa, a garstka ich stawia opór licznym wojskom. Walka tylko stronnictw w Stanach Zjednoczonych i obawa przed nową kwestyą niewolnictwa wstrzymuje je od zaboru Kuby, a jen. Concha mniema, że Stany Zjednoczone nie myślą wcale narażać się na wojnę z Hiszpanią.

W chwili, w której kończymy ten przegląd, jeszcze nierozstrzygniętem jest formalnie pytanie: wojna czy pokój? Pełnomocnicy państw podpisanych na traktacie paryzkim, wręczyli wprawdzie Porcie warunki, od przyjęcia których zawisła odpowiedź na owo dramatyczne pytanie, lecz warunki te dokładnie nie są dotąd znane a przedewszystkiem nieznane są rozmiary najważniejszego ze wszystkich, owego warunku rękojmi brzemiennej okupacyą pod tą lub ową formą. Nie wiemy zatem o ile możebnem będzie rządowi tureckiemu, przystać na uchwały międzynarodowej konferencyi. Nam się jednak zdaje, że jeżeli owe warunki ułożone zostały głównie za inicjatywą lorda Salisbury, to Anglia stawiając je Turcyi, miała jedynie na celu odjęcie Rosyi wszelkiego powodu do wojny a może nawet wybudowanie mostu do możliwego a bodaj czy nie pożądanego odwrotu. Nie przypuszczamy zaś aby ludzie tacy, jak Midat, Safet i Calil, niezaprzeczenie inteligentni i obeznani wybornie z położeniem politycznem Europy, chcieli ostatecznie iść wbrew woli a nawet wbrew radom Anglii i innych państw, z natury rzeczy, przeciwnych przemianom i wstrząśnieniom na Wschodzie. W każdym razie uważać musimy za czezy wymysł, aby Anglia miała odwołać swoją flotę od brzegów tureckich. Anglia ma jeden, główny, przeważny w sprawie wschodniej interes, zabezpieczenie drogi do Indyi; dziś zabezpieczeniem tem jest obecność floty bretońskiej w Besice lub w pobliżu. Anglia może zająć Stambuł na swój rachunek, lecz floty swej z pewnością nie odwoła przed ukończeniem lub załatwieniem sprawy wschodniej.

Aleksander Szukiewicz.

CZEŚĆ ŚWIATA NOWO ODKRYTA.

Wiadomo, że Niemcy od pewnego czasu na każdym polu przodują światu, zarówno w polityce, w urzędzeniu wewnętrznym, w sztuce wojennej, jak w sztukach pokoju, w umiejętności, w przemyśle. Wyrobiły się ztąd pewne sposoby wyrażenia przedtem nie znane: *deutsche Kunst, deutsche Wissenschaft, deutsche Gründlichkeit, deutsches Bewusstsein, deutsche Tugend* — wszak to o całe niebo więcej znaczy niż sztuka, umiejętność, wytrawność, poczucie swej godności, cnota, tak bez żadnego dodatku. Nawet musi istnieć jakiś osobny rodzaj niemieckiego panieństwa, o którym dotąd nic nie było słychać — i nic dziwnego, dla tego właśnie jest ono lepszem, że Słowianie o niem nie wiedzą.

Was weisst du von deutschem Mädchenhum? powiada Bawarczyk Arnulf do Czeszki Wandy w jednym z najnowszych dramatów Feliksa Dahna pod charakterystycznym także tytułem *Deutsche Treue*; a trochę niżej znajdujemy tamże następujący do tego przedmiotu komentarz:

Wollt Ihr so recht von Herzen loben, Herzog,

Kommt doch von selbst Euch stets das Wörtlein: deutsch.

Lecz nie będziemy bawić się w słownikarza. Słownikarz musiałby tu dla większej dokładności zbadać, przez jakie przemiany znaczenia przechodzi nasz epiteton ornans „niemiecki“ u ościennych narodów, n. p. Francuzów lub Słowian,

praca żmudna i niewdzięczna, gdyż zniewolić może poniekąd do zmodyfikowania z góry przyjętego pojęcia.

My przestaniemy na zatwierdzeniu, iż u Niemców „*deutsch*“ równa się pojęciu: w lepszym gatunku — a dla przyszłych historyków cywilizacji zapiszemy jeszcze mimochodem spostrzeżenie, że w średnich wiekach, w owych czasach ciemnych i barbarzyńskich, gdy daleko mniej niż dziś mówiono o ludzkości, zaś system protekcyjny bardzo był w modzie, przecież nabytki nauk, sztuk i wynalazków uważano za wspólną własność ogółu, z której szczyć się ma prawo każdy człowiek; podczas gdy dziś gotowi ci zaprzeczyć wszelkiej zasługi i wszelkiej wartości, jeżeli twoje sumienie, twoja cnota, twoja nauka i talent nie są niemieckie. A dalibóg przynajmniej w sztuce i wynalazkach mniej teraz wolno Niemcom rościć pretensyi do oryginalności niż w XV lub XVI wieku. Co do sumienia i cnoty, te są bardzo oryginalne, niezaprzeczenie—lecz nie czas o tem mówić.

Owszem pilno nam stwierdzić dalej, że w dziedzinie odkryć i wynalazków Austria wśród Niemiec czesne miejsce zajmuje. Któż nie wie o karabinach Werndla, armatach Uchatiusa, o podróży do Samotraki, lub o wyprawach fregaty Nowarry i kapitana Payera? W geograficzne zdobycze zwłaszcza rok 1875 był żyzny. Na jeden rok czyż to nie dosyć: kraj Franciszka Józefa i... szósta część świata. Ostatniej *wynalazcą* (wyrazu tego nie użyliśmy przez pomyłkę) jest bowiem też austriacki poddany, a za Niemca podaje się usilnie, z naciśkiem, aż zbyt natarczywie na kogoś, co swej rasowości całkiem jest pewnym. Odkrycie jego tem więcej niespodziewane, ile że część ta świata nie jest bynajmniej ziemią daleką, ani morzem od nas oddzieloną; chyba morzem barbarzyństwa, które ją prawie całą zalewa, tak, że dzieło jej zbadania było prawdziwie robotą nurka, który odcina się na czas jakiś od reszty świata i ludzi, naraża się na uduszenie z braku powietrza, na śmierć głodową lub pożarcie przez różne dzikie potwory i na inne podobne nieprzyjemności. Wszystko jedynie z bezinteresownego łakomstwa wiedzy; temu zaś nie winien, jeśli niekiedy napotka wyspy koralowe lub perły.

Zresztą losy nowego Kolumba nie przypominają wcale losów jego szczytnego wzoru. Przygotowania do podróży nie

zabrały lat kilku, wystarczył na to czas potrzebny do zebrania kilkunasu złotych reńskich (z niektórych obserwacji wolno nam wnosić, że pierwszą klasą nie jeździł) i do sprawienia parasola i pleda; zamiast busoli i sekstantu, kursbuch kolejowy, zamiast peckelfleisu i sucharów para kielbasek ciepłych z bułką — oto i wszystko. Podróż trwała dziesięć ty.... nie, dziesięć godzin. Znalazła się też i Beatrice „ein gefallener Bildungs-Engel, eine ausgeglittene Gouvernante“, która przez drogę dawała mu lekcye geografii. Mój Boże, jak też to czasy się zmieniają! dawnym Izraelitom wskazywała drogę w ich wędrówkach gwiazda, chmura, słup ognisty, a teraz!

Zaiste więcej od Arabii Skalistej warta opisu ta ziemia nowo odkryta, ma ona cechę niezwykłej, niesłychanej oryginalności. Jestto pustynia zaludniona, zbiorowisko najróżnorodniejszych żywiołów, ale nie związek chemiczny, tylko mieszanina luźna, mechanicznie w całość spojona. Znajdziesz tam i najgrubszą brutalną ciemnotę obok wykwintnej oświaty; dzieci i młodzież chodzą nago, dorośli wieśniacy prawie nago; za to majętni w sobolach i gronostajach, okryci klejnotami Wschodu. Wszystkie religie świata i wszystkie zabobony mieszczą się tam obok siebie i wszystkie stopnie oświaty: dzicy Słowianie jedzący pierogi i „zrazy z kaszą“ obok wyższym polotem ducha obdarzonych a lubujących się w knedlach Germanów. Tak jest, są tam i Niemcy, nieliczni prawda; dawniej było ich więcej i tym to Niemcom zawdzięcza ów kraj kilka szkół niemieckich, i kilka zbawiennych napisów na tablicach urzędowych, których niestety coraz mniej, i wreszcie kilka egzemplarzy Schillera. Właściwie wszystko co jest lepszego, pochodzi z tych kilku egzemplarzy Schillera. Jest to w swoim rodzaju kurs filozofii, który sam jeden zdolen duszom upadłym przywrócić równowagę wewnętrzną, więcej powiem, jest jakoby pismem świętem, które rabinom zastępuje stary testament i talmud, a zarazem kapłanom katolickim, zakonnikom, zupełnie zbytecznem czyni studyum ewangelii i teologii; jeszcze więcej, daje im szczęście i światło, które tamte odbierają.

Lecz, czyż może kilka egzemplarzy Schillera wystarczyć do wycywilizowania całego sporego kraju? Z wyjątkiem tedy nielicznych, którzy go spotkali, reszta, tysiące, krocie pogrążone w nocy umysłowej i moralnej. Dość powiedzieć, że w tym

kraju najpracowitszymi z autorów są bankruci, co weksle piszą, że mężczyźni są istoty bez serca, a kobiety bez wyjątku źle się prowadzą; księża wszyscy gorszące wiodą życie, zakonnicy po klasztorach w przeważnej części nie umieją wcale czytać, w szkołach uczą profesorowie z całą powagą, iż Moskwa leży w Azji; po miastach ludzie na ulicy w biały dzień pluja w twarz żydom tak sobie dla rozrywki, i nikogo to nie dziwi, nawet policyi nie; po wsiach obywatele mają zwyczaj brać gwałtem młode ładne żydówki do swoich rezydencji i dopiero po kilku dniach rodzicom je odsyłać; nawet kwitnie tam na wielką skalę prowadzony handel kobietami umyślnie z zagranicy zapisywanemi; piękność mierzą, jak u Hotentotów na centnary i stopy kubiczne — tak przynajmniej było przed zaprowadzeniem nowych miar i wag. A co najciekawsze, prawdziwie zazdrość budzące, oto wiadomość, iż w tej nowej części świata żydzi dają się oszukiwać szlachcie i wojskowym.

— Co tego, to zanadto; nigdy nie uwierzę, aby był na świecie kraj tak szczęśliwy. To pewno mrzonka, może fantazya w rodzaju wstępu do bajek Krasickiego.

— Tak powiadasz miły czytelniku, i nie wstydzisz się swej obłudy? Czy może być, żebyś z opisu nie poznał kraju tego; ty, któryś w nim się urodził, w nim mieszkasz, a może sam — jeśliś szlachcie — nieraz żydów oszukiwał. Toż to jest Polska, a specyalnie Galicya; rzecz jasna jak słońce, a jeżelibyś jeszcze chciał przeczyć, mam dowody w ręku. Twierdzi tak i okazuje p. Karol Emil Franzos, słynny autor i podróznik, który niedawno odkrył dzikie okolice między Szlązkiem a Dnieprem i opisał je w książce bardzo sławnej, i nazwał je ziemią na wpół azyatycką ¹⁾.

Czy pojmujesz całą wspaniałością, jaka się maluje w tym postępku? On, który mógł nową część świata ochrzcić swoim imieniem, jak Vespuciusz drugi, który zresztą mógł wybrać jakąbądź z charakterystycznych a hańbiących cech i nazwać nas: pisarzami weksłów, plującymi na żydów, sansculottami pokrewnymi Hotentotom, lub krótko Azyatami, wybiera nazwę najłagodniejszą: Pół-Azya. Pół, a więc na wpół

¹⁾ Aus Halb-Asien. Culturbilder aus Galizien, der Bukowina, Südrussland und Rumänien. Lipsk 1876. Tomy 2.

Europa, trochę cywilizacyi, nieco postępu i światła. I jeszcze żeby nam ten przydomek osłodzić, daje nam towarzyszków niedoli, Rumunów i Moskali, jedynie przez wyrafinowaną dobroć serca. On, który dalej mógł jak inni zdobywcy, zająć dla siebie kraj cały, nałożyć nań haracz, i wyzyskiwać go jako własność nieczyją, nie korzysta z tego prawa, poprzestaje na zdobyciu nas moralnem dla światła, wiedzy i kultury; zamiast brać dobytek, rzuca się tylko na rzecz tak małej u niego wartości, jak imię, honor, i zadawalnia się szlachetnie korzyścią, którą mu przyniesie sensacyjna książka, pełna skandalicznych opowiadań, przesadnych opisów i dowcipów na koszt cudzej sławy.

Słuszna nagroda, że ten zysk okazał się w następstwie większym niżby kto myślał, a raczej takim, na jaki zapewne autor, znakomity znawca zepsutego smaku szerokiej publiczności i namiętności rasowych, z całą pewnością liczył. Szereg felietonów w najbardziej rozpowszechnionym z dzienników austriackich, w *Neue freie Presse*, przedrukowanie ich potem w książkę, która rozeszła się potem w tysiącach egzemplarzy, dzięki bezprzykładnej reklamie, sprzeczką kilku recenzentów dziennikarskich niemieckich o to, co więcej podziwienią godne w p. Franzosie, czy nowellista, czy badacz obyczajów, wreszcie umieszczenie w olimpie literackim, do którego dostać się tylko wybranym jest dano, w drapującej się w togę senatorską *Revue des deux Mondes*,

Liebchen, was willst du noch mehr?

Jużto nasza biedna ojczyzna zasłużyła sobie na wdzięczność innych narodów przynajmniej za to jedno, że na niej jak na wygodnym koniku wjeżdżają do cechu autorskiego uczeni, których jedyną zasługą jest, iż piszą o kraju mało znanym nie tylko przez uich samych ale i przez większość na Zachodzie. A ci, co go sami nie znają, nie są jeszcze opisujących *pessimum genus*. Gorsci ci, którzy znając, umyślnie prawdę fałszują. Nie dawno tą drogą dorobił się wielkiego imienia p. Sacher-Masoch, i też *Revue des deux Mondes* przetłómaczywszy jego Don Juana z Kołomyi, Hasararabę i tym podobne „chefs-d'oeuvres“, w osobnem studyum jemu poświęconem dała mu patent na wielkiego pisarza „który jednym zamachem zrównał się z Turgeniewem, albo go nawet prze-

szedł.“ Rozwodzi się ona nad jego „étude puissante et fine à la fois des caractères, surtout une saveur franche et toute nouvelle, une sincérité d'impressions, qui nous fait croire volontiers ce que l'auteur affirme, que ces contes sont tracés avec le sang même de son coeur,“ rozczula nad jego łzami, „które popłynęły na widok pierwszej wioski galicyjskiej“ i z całą powagą prawi o zasługach wojennych jego wielkich przodków hiszpańskiego pochodzenia, o jego najarystokratyczniejszych koligacjach.

Obecnie znów w zeszycie listopadowym raczy nas to samo pismo nowellą: *Le Juge de Biala*, przetłómaczoną z książki *Halb-Asien*, a zapewne niedługo da na siebie czekać i biografia autora. Pan Franzos przynajmniej sam musi tego się spodziewać, gdyż skrzętnie zbiera i podaje do niej materyały. Wprawdzie nie sięga w swych zapiskach genealogicznych aż do bitwy pod Mühlbergą, lecz są pewne wskazówki, że ród jego jest bardzo starożytny, starszy niż wojny krzyżowe, starszy niż chrześcijaństwo. Udziela nam także materyałów do ocenienia swego charakteru, i z rzadką szczerością nie zataja nawet mniej pięknych stron jego, co u przychylnego, tylko zbyt prostodusznego krytyka, pana v. Leixera wywołało już ostrą naganą.

Jako człowiek przedstawia p. Franzos niejedno z Masochem podobieństwo. Zbliżając się do wsi galicyjskiej zapłakał pan Masoch; i p. Franzos łyzy leje, łyzy rzewne, wielkie jak łyzy krokodyla, łyzy politowania „nad zwierzęcą dzikością, do której nie przedarł się promień oświaty, której nie ogrzało ciepłe tchnienie miłości bliźniego“ ani nawet, o zgrozo! w kształcie dzieła *aus Halb-Asien*, możemy dodać.

Ważniejszem jednak jest inne pokrewieństwo, pokrewieństwo smaku. Pan Masoch bardzo lubi jeść; sam zwolennik jego Th. Bentzon uskarża się w *Revue des deux Mondes* „qu'on mange beaucoup et sans cesse“ w niektórych z jego powieści. Pan Franzos, praktyczniejszy, nie tuczy swych bohaterów, ale siebie. Namiętnie lubi kiełbaski. Co ważniejsza, na nich opiera bardzo doniosłe etnograficzne spostrzeżenie.

Jak najłatwiej i najdokładniej oznaczyć, gdzie kończy się Europa a zaczyna Azja? Radzenie się mapy, badanie natury kraju, obyczajów, typów, to stare i niepewne sposoby. — Wszy-

stko niepotrzebne. Weź bilet na którąkolwiek z kolei prowadzących z Niemiec na Wschód. Siądź w wagonie, zamknij oczy, tylko słuchaj. Póki na stacyach słyszysz: *warne Würstel*, bądź spokojny, jesteś w Europie. Pierwsza stacja, gdzie ci nie podadzą kiełbasek, to Azja. Z tego powodu Dziedzice są ostatnią stacją europejską w drodze z Wiednia do Galicyi. Jestto kryterium tak pewne, że choćby wszystkie inne poszlaki myliły, ty nie wątp, zaufaj kiełbaskom. Jedziesz np. od Dziedzic ku Czerniowcom; wszak oczywiście od Europy się oddalasz. Wtem w głębi Azji nad Prutem dolatuje cię mistyczne hasło: *warne Würstel*. Słuchowi nie wierzysz, przecierasz oczy, pytasz, gdzie jesteś. Człowiecze małego ducha, nie wahaj się, jesteś w Europie, jesteś koło Czerniowiec. „Der deutsche Geist, dieser gütigste und mächtigste Zauberer unter der Sonne, er und er allein hat dies blühende Stücklein Europa hingestellt, mitten in die halbasiatische Wüste. Ihm sei Preis und Dank.“

Co się dzieje na przestrzeni między Dziedzicami a Śniatynem? Aż strach pomyśleć, włosy na głowie stają, pióro wypada z najsilniejszej ręki. Tylko nie z ręki pana Franzosa.

Weźmy pierwsze lepsze opowiadanie. W pięknej okolicy podolskiej jest wieś Wolowce (sic). Mieszkał tam przed laty kilkunastu pan Wincenty Barwulski, rozpustnik, pijak i gracz. Podszargawszy majątek, ożenił się z bogatą osobą. Naturalnie nie z miłości. Skoro tylko teść umarł (a tym był mnich, przeor bliskiego klasztoru), kijem i różnemi okrucieństwami zamęcza on żonę na śmierć i oddaje się rozpuście wszelkiego rodzaju. Nie kontent z łatwych zdobyczy, postanowił odbijać wszystkie wiejskie panny młode z rąk ich narzeczonych. Był we wsi żołnierz na urlopie Fedko Hawliuk, podobają mu się Ksenia sąsiadka i z nią się zaręczył. Jedno powołanie do wojska szczęście jego zniweczyło. Fedko powróciwszy do wsi chciał pana zabić, wybili mu to z głowy troskliwa matka i kolega jeden wojskowy. I szkoda, że zamiaru nie spełnił. W kilka lat potem znów miał się żenić — z kim innym, bo Ksenia z rozpaczki umarła. Hanusia była jeszcze ładniejsza od Kseni. To też i panu Wincentemu spodobała się jeszcze gwałtowniej. Korzystając z upojenia w jakim cała wieś pogrążona po dniu weselnym, każe swym zbirom w nocy związać oblubieńca a pannę młodą przywlec do dworu. Na drugi dzień, gdy wieść się o tem rozeszła,

zrobił się rozruch we wsi. Fedko stanął na czele ochotników, którzy napadli dwór. Ten, będąc zamkiem obronnym, długo opierał się natarczywości źle uzbrojonej armii oblegających, wreszcie po kilku dniach uległ. I już miano wieszać pana Wincentego, gdy Fedko, który był „ein Schwärmer“ — jest to rys charakteru wspólny wszystkim chłopom galicyjskim — dozwolił na przywołanie księdza. Tyle też było tylko potrzeba. Zwłoka na to użyta dała czas p. naczelnikowi powiatu i jego sztabowi zebrać siłę wojskową i uwolnić od niechybnej śmierci pocztowego Barwulskiego, najlepszego swego przyjaciela, któremu ciałem i duszą byli oddani.

O już to ci pp. naczelnicy powiatów, komisarze, sędziowie powiatowi w Galicyi, niegodziwy to ród! Wszyscy są patriotami polskimi; nawet Niemcy i Czechy po kilku latach pobytu koniecznie chcą być Polakami, a bez wyjątku są na dwóch nogach przed szlacheicem, raczej pod komendą jego. On w istocie rządzi i sądzi, nie ustawa. Duch ten dawny szlachecko-polski wszystkim kieruje jak za dobrych polskich czasów. Pod jego to wpływem urzędnicy bez pamięci więżą, batożą, szykanują i tyranizują niższe klasy ludności, słowem stają się prawdziwymi „*Gerichtspaschas*.“ *Ad vocem* tego wyrazu, co do ojcostwa jego zachodzi wielka wątpliwość, prawie spór pomiędzy stronnikami jednego deputowanego do rady państwa, a zwolennikami p. Franzosa — zupełnie jak niegdyś co do pytania, kto wynalazł rachunek różniczkowy, Leibnitz czy Newton. Spór ten zapewne historia podobnie także jak tamten rozstrzygnie, przyznając obu zaszczyt wynalazku. Tylko p. deputowanemu należy oddać sprawiedliwość, iż trafniej użył wyrazu w formie *Landespascha* dla odróżnienia od *Bezirkseffendi*. Książka by nie starczyła, żeby spisać szlachecko-polskie znęcania się tych paszów nad wieśniakami, bezprawia urzędników, które — rzecz dziwna — kwitną wraz z ich arystokratycznymi stosunkami nie tylko w naszych autonomicznych czasach, lecz z równą siłą kwitnęły i w r. 1863, i w r. 1848, 1846 i przedtem. Taka to siła polskiego ducha — jak każdego złego żywiołu na świecie.

Sceny i zdarzenia jak powyżej streszczone nie są wcale odosobnione, wyjątkowe, dzieją się po różnych okolicach i codziennie, tak że wobec tej monotonii prawdy traci moc twór-

czą najbujniejsza fantazyja: musi się powtarzać, kto chce dać wierny obraz obyczajów tego kraju.

Oto druga historia poprzedniej nader pokrewna, niejako wariant staranniej wykończony, historia, którą jako typową i artystycznie najcenniejszą podała właśnie świeżo *Revue des deux Mondes*. — Wasilij zwany „dzikim“ przyjął służbę u hrabiego Ksawerego, właściwie nie była to służba, ile raczej przystąpienie bez kapitału do spółki w bardzo chwalebnym celu. Ze spółników każdy z osobna był chwat, „lecz gdy się zjednoczyli, stali się prawdziwą plagą dla szlachty i mieszczan i żydów i włościan, istną klęską. Żadna piękna twarz nie była wobec nich bezpieczną, a przytem mieli dziwny dar czarowania kobiet; wszędzie im się szczęściło, nie hrabiemu to strzelcowi, nie strzelcowi to hrabiemu.“ I ustępowali też sobie wzajemnie jak przyjaciele — lecz w razie potrzeby dopomagał jeden drugiemu z poświęceniem. Przypuścili zaś do spółki z głosem doradczym kamerdynera Maćka „ein Masure, und noch viel niederträchtiger als die Masuren gewöhnlich sind.“

Przyszedł czas, że stowarzyszenie przecież się rozwiązało. Wasilij zakochał się w Kasi, wieśniaczce, a zakochał miłością prawdziwą tym razem. Maćkowi, którego możnaby nazwać *le Jago de Kotomea* — wszystkich czarnych charakterów literatury dramatycznej całego świata pierwowzory znajdziesz w Galicyi — Maćkowi tedy, mającemu dawną do Wasila urazę przysła teraz myśl: oto doskonała sposobność do wywarcia zemsty; tyle intrygował, aż hrabia uczuł ciekawość poznania tej Kasi. Maciek robi co może, by rzecz ułatwić, lecz gdy Kasia jest temu przeciwna, dowiaduje się tymczasem o wszystkim Wasilij, czyni swemu panu wyrzuty i tyle wymógł, iż Ksawery dał słowo, że zamiaru się zrzeka.

Słowo honoru! naturalnie polskie. Już trzeciego dnia podbechtany przez kamerdynera, wysła on do Tarnopola pod pozorem sprawunków strzelca zupełnie uspokojonego zaręczeniem, i korzysta z chwili, aby przedstawić się Kasi. Wyrazu *przedstawić się*, użyliśmy tu w znaczeniu podobnem, jak rząd austriacki w r. 1854 użył nazwy *pożyczka dobrowolna*. Wasilij wraca, słyszy o falcie z ust Kasi, błednieje jak ściana; lecz zamiast mścić się na razie, obmyśla plan efektowniejszy. Kasia daje drugie *rendez-vous* hrabiemu w polu. Tam za drze-

wem ukryty czekał Wasilij z bratem Wojtechem. W stosownym momencie wyskakuje z kryjówki Wasilij, rani hrabiego śmiertelnie, ale ten upadając miał dość siły, żeby wypalić z pistoletu i ugodzić w serce Wojtecha.

I cóż dalej? Hrabia Agenor, szwagier Ksawerego, człowiek, którego łatwe usposobienie charakteryzuje przysłowie jego poddanych—(w Galicyi niewola trwa do dziś dnia), przysłowie: „lepiej spotkać niedźwiedzia niż naszego pana,“ Agenor więc zawiadomiony o wypadku wpada pomiędzy zgromadzonych około Kasi chłopów, chce ją kazać związać i powiesić, a gdy opór gromady nie zdołał przełamać ani przekleństwa, ani kopnięciami nóg, ani pistoletem — w Galicyi strzela powszechnie szlachta do ludzi jak do psów — puszcza się w pogoń za zbiegłym Wasilim. Nie dognał go; Wasilij uciekł w góry i przystał do hajdamaków. W tym czasie wójtem został Iwon Megega, ten sam, który w obronie Kasi najbardziej się odznaczył. I był przez lat kilka, aż doczekał się r. 1846. Wiadomo każdemu a zresztą stwierdzają to zeznania zgodne p. Masocha zarówno jak p. Franzosa, iż w tym roku chłopci z własnego popędu, bez wiedzy nawet c. k. urzędów postanowili oprzeć się zachciankom „Polaków.“ Tak i nasz Iwon pomimo perswazyi tchórzowatego a w gruncie oddanego szlachcie naczelnika cyrkułu urządził w Białej straż włościańską. Hrabia Agenor oczywiście był w spisku, ciągle przechowywał u siebie jakichś nieznajomych, ba, usiłował namówić do udziału w powstaniu chłopów ze swej wsi Białej. O tem wszystkiem wiedział Iwon, lecz będąc także trochę „*ein Schwärmer*“ nie zdradza zamiarów, których nie pochwalał. Aż jednego poranku pełniąc straż spostrzega przy drodze hrabiego Agenora i dwóch z jego gości zakneblowanych i przywiązanych do drzew. A naprzeciw nich *wielki hajdamaka* Wasilij, który woła Iwoną do pomocy, aby swym ofiarom wymierzyć sprawiedliwość. Ale Iwon, jak spodziewać się należało, mści się szlachetnie, nakazuje opryszkowi pod groźbą zwołania całej gromady puścić wolno jeńców. Uczynił to dla miłości Boga i z uszanowania dla prawa, i tak skwitował hrabiego. Zupełnie jak Szela w jednym z opowiadań Masocha. Boć każdy wie, że hersztowie rzezi r. 1846 były to ideały szlachetności, bezinteresowności, poświęcenia.

A hrabia? wyszedł cało wobec praw i władz, to rzecz oczywista. Nie takie bezprawia wyrabia tam szlachta bezkarne. Napomknęliśmy pobieżnie o niejednym, lecz dzieją się prócz tego bezeceństwa, o których w najostrożniejszy sposób przyzwolicie mówić nie można.

Że zaś przerażające dzieje napiętnowane w szkicach p. Franzosa nie są bynajmniej wyszukane, naciągane lub przyozdobione, że więc i tam, gdzie brak wyraźnej uwagi: „historyczne,” opisuje tylko to, co się w Galicyi zwykle dzieje, co daje wierny obraz ogólnego poziomu, mamy wskazówek wiarogodnych dosyć. W zakończeniu opowiadania *Jüdische Polen* znajdujemy ustęp: „Że tak było, możecie zawierzyć, choć nazwy Bar-nów nie znaleźć na karcie Galicyi. Znajdziecie tam wiele nazw na ów i cze wybierzcie pierwszą lepszą — to com powiedział nada się jako tako do wszystkich.” A w innem miejscu uskarżając się na rozliczne nadużycia urzędników, zapewnia, że „ten co to pisze nie jest człowiekiem, któryby zwykł był puszczać w świat lekkomyślne oskarżenia, nie ma zwyczaju swym przychylnym lub nieprzychylnym, co prawda gwałtownym uczuciom, ustępstwa robić, gdy chodzi o sądenie faktów.”

Zaręczenie zbyteczne; każdy bezstronny a z krajem naszym obeznany przyzna to autorowi otworzywszy byle gdzie książkę jego. Co za uderzająca bowiem znajomość stosunków galicyjskich, co za bystrość obserwacyi na każdej niemal karcie! Kandydat na posła z małego podolskiego miasteczka zje-dnywa sobie głosy żydów tem, że mówi z zapałem w obronie rezolucyi. Rusin zaś, jeden z głównych agitatorów w jego sprawie, krzyczy *brawo*, bo pomieszał wyrazy rezolucya i propinacya, „że zaś tej wstrząsać w podstawach nie wolno, rozumie się — gdyż, gdzieby potem ludzie pragnienie gasili?” — Któż nie wie, jak wysoko pod względem moralnym stoi duchowieństwo unickie w Galicyi? Pan Franzos też, lubo wogóle nie bardzo lubi duchownych, ze zwykłą jednak bezstronnością nie waha się oddać im sprawiedliwość, co zaś do dyzunickich popów na Bukowinie, tych już bezwzględnie uznaje wykształcenszymi i doskonalszymi od księży katolickich. Niektórzy zaślepieni nieprzyjaciele Niemców wmawiają w świat, że jest jakaś niemiecka zarozumiałość, arłogancya, niemiecki szowinizm. Gdzie tam! sumienny badacz wbrew tym uprzedzeniom stwierdza,

że nie ma narodowości bardziej nieśmiałej niż niemiecka, a zwłaszcza w Galicyi. „Niemca rzeczą jest, cały świat uszczęśliwiać i przed całym światem ustępować. Niezmordowanie za siebie i drugich spełniać robotę cywilizacyjną — to się samo przez się rozumie. Lecz żeby przytem miał powiedzieć: jestem Niemcem! broń Boże... najłżejszy objaw narodowej świadomości wydawałby mu się grzechem.“

Jedną z najbardziej oburzających rzeczy w Galicyi jest tolerancya względem katolików i Polaków. Wjeżdża np. podróżny na dworzec kolei we Lwowie, i jakie tam książki mu ofiarują? Albo literaturę skandaliczną, o której istotnie ani w Wiedniu ani w Paryżu nikomu myśl nie przejdzie przez głowę, albo „*Hetschriften gegen die Juden*.“ Przeciw Polakom i katolikom nic. Nie wiemy, czy od czasu wydania książki *Aus Halb-Asien* stan ten smutny się nie polepszył.

Gdyby to na tolerancyi się kończyło! Daj kurze grzędę, powie: wyżej siędę. Osiągnąwszy wolność ruchów, Polacy zwolna coraz więcej zagarniają dla siebie, wypowiadają już wojnę żywiołom państwowym, austriackim. Warto się naocznie przekonać, jako złością pałają „die Herren Polen“ do rządu monarchii; „nigdzie nie wiedzie im się lepiej, niż w obrębie czarno-żółtych słupów, i nigdzie tych barw nie otacza dotkliwsza nienawiść, niż we Lwowie lub Krakowie.“ Miejmy jednak pewną otuchę, że żółta, czarno zadrukowana okładka dzieła p. Franzosa wpłynie niepoślednio na ułagodzenie odrazy.

Trudniej przyjdzie zniweczyć przerażające skutki roz wielmożnienia żywiołu polskiego w Białej, tem dotychczas czysto-niemieckiem mieście u szląskiej granicy, które tylko „wskutek złośliwej igraszki przypadku do Galicyi należy.“ Garstka „dzielnych, nieocenionych, *niemieckich* mężów“ broni jeszcze wytrwale swej narodowości, i jakkolwiek stoją osamotnieni i tak mało robią hałasu, można spuścić się na ich bohaterską wytrwałość. „Lecz czyż godzi się dłużej patrzeć bezczynnie, jak tę wysuniętą czatę niemieckości (Deutschthum) stopniowo podkopuje zuchwalstwo polskie?“

Zuchwalstwo ty polskie, któż cię zgłębić i ocenić potrafi! Jednym z najwstrętniejszych objawów tej choroby jest nieprzyjętność dla oświaty zachodniej, uporczywe trzymanie się starych zwyczajów i języka, rzeczy, które przecież niewątpliwie

są „barbarzyńskie; nie jest to zapatrywanie pesymistyczne,“ zastrzega w swej obronie autor. Proszę np. wziąć język. Czyż da się wymyśleć coś dzikszego jak nazwiska pierwszych, najrdzenniejszych polskich rodzin: „Przedzinczki, Przyczyszczosćcinski!“ Co za błąd takiego języka używać i żądać jeszcze, aby w polskich miastach napisy na tablicach w nim były pisane. Głowa myśląca może pogрузić się w głęboką zadumę na widok dziejów c. k. sprawiedliwości, przemawiających z tablicy umieszczonej na budynku urzędowym. „Da hiess es zuerst: k. k. Bezirksamt; dann gleichfalls deutsch: k. k. Bezirksgericht; und jetzt heisst es ebenso in polnischer Sprache — ich mag die Worte nicht hiehersetzen, um nicht muthwillig bei meinen Lesern eine Zungenverrenkung herbeizuführen.“ My, ponieważ nie jesteśmy tak delikatni i nie mamy prawa od polskich czytelników wymagać tyle domyślności, co p. Franzos od niemieckich, dodajmy śmiało, że tym wyłamującym język wyrazem jest — o zgrozo: Sąd powiatowy.

To lub podobne są męczarnie, przez jakie przechodzić musi cywilizowany człowiek Zachodu, jeśli chce poznać ów kraj zakazany. Prawda, jeszcze jedna, a tą żydzi, najcięższa z plag egipskich... chciałem powiedzieć galicyjskich. Jadącego z Działowa do Śniatyna, na każdym dworcu kolejowym obskakują, oblażą tłumy żydów, lecz co najdziwniejsza, że za przybyciem na odośne stacye naszego wojownika kultury, liczba ich podobno bynajmniej się nie zmniejszała. W tym zaś kraju, gdzie nic dobrem być nie może, nawet żydzi są gorsi niż gdzieindziej. Rzecz łatwa do wytłomaczenia. „Każden kraj ma takich żydów, na jakich zasłużył,“ powiada autor i powtarza ten pewnik kilkakrotnie rozstawionymi głoskami. Znów z naciskiem zbyt czynnym. Wiemy doskonale, że żydzi są nagrodą, przysmakiem, który los daje ludom tej ziemi ku osłodzie żywota. Ale nagrody każdej trzeba się dorabiać. Polska tak mało zasłużyła, że właściwie ani jeden żyd jej się nie należał. Dobra Opatrzność nie chcąc nas tak ciężko karać jakby wypadało, udzieliła nam żydów z miłosierdzia; tylko dla zaspokojenia sprawiedliwości dała ich w gorszym gatunku. Tak jest; „tylko w tym kraju mógł ulądz się taki potwór, takie zwierzę drapieżne, jak słynny Getzel Wilkenfeld. Biada ziemi, która rodzi podobne owoce! Na zdrowym gruncie,

w świetle słonecznym nie rosną jadowite rośliny, jedynie w błocie i w ciemności.“

Bardzo trafna teoria, tylko na jednym punkcie budzi w nas lekką wątpliwość. Każda hipoteza jest o tyle dobrą, o ile tłumaczy wszystkie zjawiska w jej zakres wchodzące. Galicya jest kałużą pogrążoną w odwiecznej nocy. Błoto pomięszane z ciemnością wydaje same chwasty i trucizny. Jakże z tem pogodzić zjawisko, że w owem bagnie zrodziło się takie wdzięczne i gojące ziółko, jakim bez wątpienia jest nasz autor? Wszak pod pseudonimem Barnowa kryje się Czortków, czy któreś inne z miasteczek wschodnio-galicyjskich. Miałżeby to być jeden z tych wyjątków, które potwierdzają regułę?

Przepraszamy czytelnika za zbyt długie zatrzymanie się przy kwestyi żydowskiej: na nasze uniewinnienie a czytelnika pociechę powiedzmy, że jeszcze wiele, wiele możnaby pisać, chcąc uwydatnić wszystkie przyczynki do niej, w tej książce zawarte.

Na tem kończymy spis grzechów i plag galicyjskich. Autor wszystkich doświadczył, kielich goryczy wychylił aż do dna.

Jak Dante, za życia przeszedłem przez piekło, może sobie powiedzieć, tem dumniej, że będąc właściwie z tegoż piekła rodem i zakosztowawszy raju wiedeńskiego, dobrowolnie na tortury znów się wystawił.

A w jakim celu? Jedynie dla przysłużenia się ludzkości, przez życzliwość dla owego kraju i jego mieszkańców. Każden promyk światła prawdy tam rzucony, może wytępić bodaj jedno szkodliwe zielsko; za szczęśliwego poczyta się autor, jeśli „nadmudzkiem męstwem“ zdoła przez ten matecznik przerobić najciaśniejszy przesmyk, otworzyć choćby furtkę „jener lichten, sieghaften Macht, der alle Guten dienen, der Cultur, und jenem Geiste, der zauberkräftig und selbstlos ist, dem Geiste der deutschen Wissenschaft.“

Wszelako niech nikt nie podejrzywa, iżby on chciał Niemcom drogi torować. Kultura, powiada wprawdzie jeszcze raz, znaczy to samo co niemieckość, lecz „*germanisiren, das ist ein undeutsches Wort für ein undeutsches Thun.*“ Zresztą trzeba być naiwnym, aby podobne zamiary podsuwać. „I cóżby Niemcy na zgermanizowaniu Polski zyskały? Może korzyści materyalne,

może polityczne, może chociaż sympatyą? Dziś wiemy, my Niemcy, iż od tych narodów, któreśmy na ludzi wychowali, nie czeka nas inna nagroda, tylko zazdrość i nienawiść; wiemy nareszcie, że na kuli ziemskiej nie ma dla nas przyjaciół prócz nas samych. Cieszymy się, gdy nam to wystarcza.“

Gorzkie przeświadczenie nie zrazi wszakże Niemców od dalszej bezinteresownej pracy cywilizacyjnej — najnowszy dowód w listopadowym wniosku p. Suessa, postawionym w komisji budżetowej Rady państwa, o zniesienie uniwersytetu lwowskiego — nie zdoła nawet odwieść p. Franzosa od wypowiadania szczerzej prawdy, jedynej do szerzenia światła drogi. Chce on być rycerzem kultury i wskazywać, co „jest do wywalczenia,“ lecz wskazywać „jako uczciwy sprawozdawca, który dość ma punktu honoru, aby wygranej *bitki* nie podawał za wygraną *bitwę*, aby otwarcie przyznał się do każdej klęski, bodaj najboleśniejszej, aby nie malował przeciwnika czarniejszym niż jest.“ Tego ostatniego nie możemy poczytać za zasługę, gdyż przeciwnie postąpić byłoby tak trudnem, jak usmolić węgiel; przekonał nas o tem sumaryczny przegląd czarnych plam naszych — lecz bądź co bądź szanujmy sumienność, która nawet noweliście nie dozwoliła gonić za nieprawdziwymi efektami. „Jest to rzecz wdzięczna, lecz malarz obcych obyczajów stoi na innem stanowisku. Dla niego nie piękność ale prawda winna być najwyższem bóstwem. Niekiedy utrzymać się na tem stanowisku przychodzi ciężko, gorzko — darmo, obowiązek trzeba spełnić.“

O, słusznie; prawda nieubłagana to bogini, twarde jej jarzmo. Kto jej służbie się poświęci, musi być gotów na wszystko za cenę wewnętrznego zadowolenia.

Pan Franzos okazał się gotowym. Niczem dla niego trudności, przykrości, ba nawet narażanie się na śmieszności i upokorzenia. Miłość prawdy każe mu pomimo wstrętu do samochwalstwa przyznać się do tego, iż jego felietony zanim w książkę się zrosły, już doznały niesłychanego powodzenia, a znakomitych jego niektórych szkiców przedrukowano aż do 40 wydań. Te same felietony wprawiły oczywiście we wściekłość bez granic narody ich promieniami oświecone; cześć prawdy każe nie zataić i tego, przyznać się do hańbiącej roli męczennika, a nawet i uzupełnić prawdę pisaną objawieniem

niektórych sądów polskich o szkicach. Dla dokładności przytoczymy jeden w oryginale niemieckim i w tłumaczeniu, a raczej w tłumaczeniu autora szkiców i w domyślnym tekście polskim: „Franzos, dies jüdische Hundsblut, hat wieder einige Artikel über unser Land gebellt, natürlich in deutscher Sprache, damit es die anderen deutschen Hunde besser nachbellen können;“ co dosłownie znaczy: „F. ta żydowska p... krew, znów wyszczeakał kilka artykułów o naszym kraju, naturalnie w języku niemieckim, aby inne psy niemieckie łatwiej do wtóru szczeakać mogły.“ Prosimy o pobłażliwość, jeśli tekst polski nie jest dobry, lecz nie mogąc wyszukać oryginału polskiego, musieliśmy poprzestać na naszym tłumaczeniu z tłumaczenia. Uchybienie jednak da się naprawić. My także prawdę lubimy; w tej chwili daliśmy tego dowód, i jesteśmy gotowi naznaczyć największą nagrodę za odnalezienie owego polskiego dziennika, który powyższą recenzją wydrukował, a wtedy przyrzekamy sprostować dodatkowo cytate, gdyby nasza restauracya okazała się niedokładną.

Pan Franzos idzie dalej w swym fanatyzmie prawdy. Nie poprzestaje na jednej prawdzie; mając szczęście spotykania w życiu prawd więcej, nie ma serca którejkolwiek ubliżyć, więc hołduje wszystkim po kolei. Takie bałwochwalstwo, pochodzące z łakomstwa prawdy, zniewala czasem naszego autora do przyjmowania trudnych, akrobatycznych istotnie sytuacji. Tem większa chwała, że i przed niemi się nie cofa. Dziś naprzykład czuje wielki pociąg do jedzenia, a nie ma pod ręką tylko potrawy trefne; taić kolizyą byłoby tchórzostwem; *il faut avoir le courage de son appétit* i wydrwić tych wyznawców Mojżesza, co za nic w świecie nie zjedliby najlepszej potrawy, gdyby nie była koszerne. Wszakże jutro napada go paroksyzm ortodoksji; nie oszczędzając tedy swojej wczorajszej opinii, dalejże piętnować tych, którzy jedzą wieprzowinę, jakby chcieli publicznie wyprzeć się swego żydostwa. Innego dnia budzi się z uczuciem dziwnej sympatii do Lutra. A ponieważ ma właśnie pisać artykuł, byłoby brakiem szczerości nie dać w nim wyrazu uwielbienia dla twórcy protestantyzmu, które napełnia jego duszę: „Tylko dla protestantów płynie z drogocennych słów Marcina źródło ożywczego ducha, katolicy żyją głuchem i niemem życiem rośliny.“ Nazajutrz jednak wymaga dobro

ludzkości, aby moralna nauka feljetonowa była w duchu ateistycznym. Do tej wygodnej doktryny autor wogóle często się przechyla i dlatego bez żadnego względu na konsekwencją, objawia bez ogródki to, co jest na dnie jego serca, rozumie się tego dnia. Parę bluźnierstw i drwin z wiary w istnienie Boga, cóż to komu może szkodzić? Np. umiera ktoś przedwcześnie wskutek tragicznego zbiegu okoliczności. Dlaczegoż Bóg dopuścił niezасłużoną karę? „Ja nie wiem, odpowiada autor; ale zapewne i sam Bóg nie będzie miał na to odpowiedzi.“ Naturalnie, zkażdeby Bóg miał więcej wiedzieć, niż p. Franzos! — Albo jeden z bohaterów jego ma trochę brzydki zwyczaj kłamania. Trzeba to opisać. Mówi się więc w formie retorycznej apostrofy: „Byłeś tęgim człowiekiem Iwonie, wójcie bialski, mniejsza o to, żeś Boga czasem w jego córce ciężko obrażał — jeśli prawda jest córą Boga.“ Albo jeszcze inny przykład: „Poeta Mikołaj Pawłow prócz tego, że złem pogardza, zresztą jest w swych sądach sprawiedliwy, rzekłbym, jest człowiekiem sprawiedliwości Boskiej, gdyby to nie był komplement podejrzanym.“

I my mając zcharakteryzować już nie filozofią p. Franzosa, ale to, co Niemcy nazywają *die Weltanschauung*, użylibyśmy jego własnego określenia jednej z postaci wspomnianych w szkicach, mianowicie służącego Fedka — gdyby to nie było komplementem... niepodejrzanym: „Schopenhauerjaninem (przebaczenia za wyraz) on nie jest, ale z instynktu skłania się do podobnego zapatrywania na świat.“ Brak szczęścia — twierdzi p. Franzos — jest źródłem wszelkiego zła; szczęśliwemu łatwo być dobrym.

Że p. Franzos nie musi być szczęśliwym, czyż trzeba jeszcze dowodów. Tem nieszczęśliwszy, że chwilami ma poznanie powołania prawdziwego poety, „któremu kłamać nie wolno i którego zadaniem jest ludzkość pocieszać, budować. Biada więc nihilistom i literaturze ich. Świetnej zdolności niejednemu trudno odmówić, lecz jak jej użyli! Z ślepą zajadłością grzebią ci fanatycy rozpacz w najobrzydliwszych wrzodach i ranach krwawiących ludzkość, a z zasady odwracają twarz przed odrobiną światła, która przerywa ciemność tego życia. I z jakim odrażającym zadowoleniem, z jakim lubieżnym cynizmem malują te szkarady i brudy! Bo też nauka, którą szerzą ci

straszni kaznodzieje, brzmi: Kiedy wszystko jest podłe, czemuż ty masz być lepszym? Cierpieć niesprawiedliwość jest największą głupotą, największym rozumem niesprawiedliwość czynić, o ile jest pożyteczną.“

— Jakto, pytasz czytelniku, czy ten cudzysłów nie pomyłką, wszak to sąd recenzanta o autorze szkiców z *Pół-Azyi*.

— Nie, nie pomyłka, owszem tak ocenia nihilistów ten, co szkice napisał. Nic dziwnego, przecież ciągle dowodzimy że mu tylko o prawdę idzie. I dlatego najsłuszniej za motto sobie obrał: *vincit veritas*. Jakież szczęście, że nie żyje nasz poeta, który między bajki włożył, że:

Był autor, co się z cudzej sławy rozweselał...

Był nakoniec poeta, co nigdy nie zmyślał.

Przeczytawszy książkę, o której mowa, byłby musiał rozdarłszy szaty, na starsze lata dorabiać inny wstęp do bajek.

Lecz my, co odważamy się nieudolną ręką wielkiego tykać dzieła, zapytajmy siebie samych, czy przez powyższe streszczenie książki przyczyniliśmy się do szerzenia prawdy? Trzeba choć raz być szczerem; z ręką na sumieniu powiedzmy: nie, ach nie! A mimo to zdaje nam się, że poniekąd równie możemy przyjąć godło: *vincit veritas*. Jeśli bowiem dobrze wyrozumieliśmy p. Franzosa myśl przewodnią, słowa te mają znaczyć w jego rozumieniu, że prawda sama zwycięża, nie potrzebuje ludzkiej pomocy. A zatem i nam po co łudzić się, jakobyśmy zdołali jej w czemkolwiek dopomódz; złą wiarę przekonywać, daremnie.

— Lepiej wyznajmy odrazu: celem naszym było rozweselić nieco czytelnika w tych smutnych czasach. Czy się nam powiodło, nie wiemy; tego jednak jesteśmy pewni, że jeśli nie, wina to nasza, nie przedmiotu obranego. Iż p. Franzos obok innych wzniosłych celów miał na oku i ten humanitarny, ku naszej rozrywce zwrócony, wątpić nam nie pozwala analogia wiersza Heinego, Heinego; którego on tak lubi przytaczać:

Zu Aachen langweilen sich auf der Strass'

Die Hunde, sie flehn unterthänig:

Gieb uns einen Fusstritt, o Fremdling, das wird

Vielleicht uns zerstreuen ein wenig.

Proponowany tu sposób zastosowano obecnie do nas i za to nie mało wdzięczni jesteśmy.

Szkoda, iż tak mało nadziei, żeby ten wyraz podzięką przyjął do wiadomości nasz autor, on, który Galicyą bada z natury, nie z pism. Gdybyśmy mogli się spodziewać, że zwrócimy ku nam nie tę stronę swojego ja, w którą za młodu w szkołach galicyjskich biciem starano się wpędzić polskie uczucia (chwałę na wynalazek tego wyrażenia zwracamy w całości panu Franzosowi), a w którą przez pomyłkę wpędzono wido- cznie wszystkie lepsze ludzkie popędy — wtedy odważylibyśmy się może zrobić autorowi kilka nieśmiałych uwag. W niepe- wności puszczamy je w świat na los szczęścia.

Z tych uwag pierwsza, że uzurpuje zaszczyt odkrycia części świata nazwanej przezeń Pół-Azyą. Już dość dawno, bo około r. 1000 znał okolicę jej jedną, zwaną Polską, pewien mało wprawdzie głośny Niemiec, nazwiskiem Otton III, i jako tako mu się tam podobało. Słyszał coś o Krakowie też Ka- rol IV i — dziwak — obrał nawet tę stolicę barbarzyństwa na miejsce zaślubin. Później zwiedzał ten kraj turysta austrya- cki, znany pod imieniem arcyksięcia Maksymiliana, zapragnął pojąć tron królewski, tylko nie wiemy dokładnie, czy w cha- rakterze *kulturträgera* lub też z płochy ciekawości. Wreszcie zaprosił bardzo gorąco Polaków do Wiednia Leopold II, i wcale nie znalazł, żeby byli tak nieokrzesani.

Uwaga druga: Wysilając się na domysły, z jakiego po- wodu p. Franzos gwałtem nas chce odsunąć na granice Azyi, nie mogliśmy trafić na inny, tylko że nie chciało mm się da- lekiej podróży podejmować, a powziął fantastyczną myśl, żeby doświadczyć słuszności francuskiego przysłowia o człowieku, co przychodzi z dalekich krajów. Tylko zdaje się iż na przekór pragnieniu zwykłemu patryotów niemieckich tym razem szcze- rze trzymał z duchem języka francuskiego. Nie wiemy, czy nasz domysł jest trafny czy nie.

Uwaga trzecia: Krapulinski wcale nie był c. k. komisarzem tylko jednym ze znaczniejszych na emigracyi. Znał go Heine i opisał z większą jeszcze miłością niż p. Franzos. Dziwi nas, że ostatni zdaje się nic o tem nie wiedzieć.

Uwaga czwarta, ostatnia i najzuchwalsza, lecz całkiem w dobrej myśli zrobiona. Za miłość p. Franzosa odwzajemnia- jąc się, życzymy mu jak najlepszego powodzenia. Ztąd właśnie nie możemy ukryć żalu, że w swoich szkicach obrał formę

trochę przestarzałą. Znana bowiem była już starożytnym Rzymianom, a że do klasycznych jej nie zaliczali, pamiątka przechowała się w prawach 12 tablic, które za jej użycie naznaczają karę pozbawienia czci, chłosty publicznej, lub nawet śmierci. Była to niesprawiedliwość krzycząca. Z czasem złagodniała ta surowość, była nawet epoka, kiedy w tej formie bardzo się lubowano, lecz temu dosyć już dawno. Wyczerpującą wiadomość wraz z definicyą sposobu pisania znaleźć można w każdym konversationsleksykonie pod literą *P* w artykule, zaczynającym się powszechnie: *Żył około roku 1500 w Rzymie szewc imieniem Pasquino itd. itd.*

Stanisław Tomkowicz.

USTĘP Z DRUGIEJ PIEŚNI DON ŻUANA¹⁾

L. BYRONA

przełożył

Wiktor z Baworowa.

(Don Żuan, płynąc po morzu, rozbija się z okrętem; osada ginie, on jeden dopływa do jakiejś wyspy, i tam zmorzony głodem i wycieńczony pada bez zmysłów na brzegu. Przechodząca właśnie kobieta młoda postrzega rozbitka i zajmuje się jego ocaleniem).

113. Tuż nad nim przechylona klęczała na ziemi,
I zdawała się w jego ustach drobniutkimi
Usty szukać oddechu; rączką młodą, ciepłą
Nacierала, cucila skroń martwą i skrzepłą;
Skrapiała nieruchomą twarz, ożywe duchy
Starala się obudzić, wskrzesić pulsów ruchy,
Aż z piersi w pół umarłej ozwało się wrześnie
Westchnienie, na te czule starania niewieście.

¹⁾ Pierwsza pieśń wyszła w Tarnopolu r. 1863. Druga, od zwrotki 1 do 112 w Dzienniku literackim lwowskim, z r. 1865, w Nr. 22 — 27. Dalsze pozostają w rękopisie.

114. Potem napój podała, i na jego ciało
Wpółnagie płaszcz rzuciła; wywróconą głowę,
W dół zwieszającą, ramię jej podtrzymało,
A lica przezroczyście, gorące, różowe
Były wezgłowiem; w drżącej wykręcała dłoni
Kędziory przemoczone od deszczu i toni,
I śledziła z obawą bole i cierpienia
Budzące u rozbitka (i u niej) westchnienia.
115. I ostrożnie go wzniosłszy pod pieczar sklepienie
Z pomocą towarzyszki swojej — także młodej
Ale starszej i nie tak szlachetnej urody —
Roznieciła trzaskący ogień; a gdy cienie,
Co nigdy nie zaznały słonecznych promieni,
Ustępywać zaczęły przed blaskiem płomieni,
Wyszła z mroku dziewica (lub ktokolwiek była)
Ujmującej postaci, i hoża i miła.
116. Jej czoło strojnie złote blaszki otaczały
Migocąc się pomiędzy ciemnymi jej włosy
Z przodu wolnemi, z tyłu splecionemi w kosy;
A choć wzrost nieznajomej był bardzo wspaniały,
Do wysokich się liczył, te sploty sięgały
Do samych prawie kostek; w jej osobie całej
Nie było nic gminnego: kto rzucił wzrok na nią
Nie mógł wątpić, że ona władczynią i panią.
117. Jej włos, jak powiedziałem, był ciemny; lecz oko
Czarne jak śmierć; tej samej barwy rzęsa była,
Rzęsa cień rzucająca, jedwabna, pochyła,
Pod którą się spojrzenie z atrakcją głęboką
Ukrywa; bo gdy nagle wybłyśnie i pała,
Nigdy tak szybko z łuku nie wylata strzała:
To wąż uśpiony, nagle z kłębka rozwinięty,
Który swój jad wyrzuca i wypreża skręty.
118. Czoło jej było białe, lice jak płonąca
Pogodna zorza, zaraz po zachodzie słońca;

Wierzchnia wargę malutką; zakocha się wiecznie,
Kto taką kiedy ujrzał, bo ona bezpiecznie
Byłaby mogła służyć za model snycerzom,
(A raczej, bez ogródki, wierutnym fałszerzom;
Widziałem wiele kobiet wymowniejszej twarzy,
Niż niezdarny kamienny ideał rzeźbiarzy).

119. Wytlómaczę, zkąd przeciw artystom ta śmiała
Wycieczka, bo nagana ma swoje powody:
Znałem damę Irlandkę tak cudnej urody,
Że nikt jej odwzorować nie mógł, choć siedziała
Kilka razy do rzeźby; a jeżeli zdziała
Czas, że zmarszczki i u niej zastąpią wdzięk młody,
To zniknie piękność, nawet sercem nie przeczuta
A tem mniej odtworzona od pędzla lub dłuta.
120. Taką też była młoda gospodyni groty:
Jej strój się od hiszpańskich wyróżniał ubiorów,
Był mniej posępnej barwy lecz większej prostoty;
Bo wiemy że Hiszpanki jaskrawych kolorów
Unikają, gdy z domu wychodzą; a przecie
Gdy je obwiewa (stałą modą w wielkim świecie)
Baskina ¹⁾ i mantylka ²⁾, od stóp do głów czarne
Zdają się tajemnicze, a przytem figlarne.
121. Ale u naszej pani odmienne wejrzenie,
Barwniejsza była szata, kosztowniejsze stroje;
W koło twarzy igrały lekkie włosów zwoje,
A złoto w nich świeciło i drogie kamienie;
Pas iskrzył się jak ogień, zasłona z koronek,
Na paluszkach migotał nie jeden pierścionek:
To jednak zganić muszę chociaż nie świętoszek
Że jej nóżki w papuciach były — bez pończoszek.
122. Takież było i drugiej kobiety ubranie,
Lecz zwyklesze stroiki składały się na nie:

¹⁾ ²⁾ Ubiory Hiszpanek. (*Przypis tłóm.*).

Mniej cennemi klejnoty była ozdobiona,
We włosach było tylko srebro, na wyprawę
Zapewnie darowane; mniej cienka zasłona;
Miała nie tak swobodne ruchy i postawę,
Włosy obfite, ale bez długich warkoczy,
Również ciemne lecz żywsze i drobniejsze oczy.

123. A obie mu służyły, z jednakich pobudek,
Chętnie i z łagodnością żeńską, że tak rzekę;
Opatrzyły go w odzież, pokarm, sto wygodę,
I wzięły w najtroskliwszą i wierną opiekę:
Przyrządziły polewkę — potrawę zbyt mało
Licującą z poezją, lecz tak doskonałą
Że nie znam lepszej, odkąd bohater Iliady
Wezwał nowoprzybyłych gości do biesiady.
124. Ale drażnić ciekawość nareszcie przestanę,
By kto nie myślał, że to królewny przebrane;
Wszak tegoczesnym wieszczom nie zazdroszczę sławy
Z niespodzianek, zawikłań, i kuglarskiej wprawy,
Więc gardząc zbyt misternem przedmiotów ujęciem
Powień, kto były w rzeczy te wyspiarki hoże:
Pani i sługa; pierwsza jedynem dziecięciem
Starca, który w zwyczaju miał nawiedzać morze.
125. Obrał on był za młodu spokojne rzemiosło,
Rybołówstwa; i potem, kiedy lat przyrosło,
Był sobie rybołowcem ale z morskiej wody
Dwojakię biorąc łupy, puszczał się na inne
Także morskie przemysły już nie tak niewinne:
Po troszeczkę przemytnik, pirata z przygody,
Sprawą wielu zdobyczy i zysków sowitych
Stał się panem miliona piastrów — źle nabytych.
126. Starzec poświęcał się więc łówce — ale łówce
Ludzi, jak Piotr apostoł; w nie jednej wyprawie
Konfiskował kupieckiej zabłąkanej nawie,
Czego jeno zapragnął w towarach, w gotówce;

Od zbytecznych ładunków oswobadzał barki,
 I na targ niewolników zjeżdżał, i towary
 Nieszpetne na tureckie posyłał bazary,
 A wiemy że zyskowe są takie jarmarki....

127. Był Grekiem; na swej wyspie (pomniejszej, najdzikszej
 Pomiędzy Cykladami) dźwignął okazały
 Dwór, gdzie się jego wszystkie łupy zgromadzały;
 Tam klepał swoją biedę ale nie najprzykrzej;
 Bóg nie wie, ile skarbów złupił, krwi rozpryskał,
 Był to — za pozwoleniem państwa — łotrzyk stary,
 Lecz dom po berberyjsku, na duże rozmiary,
 Rzeźbami, malowidłami i złotem połyskał.
128. Miał córkę jedynaczkę, Haida ją zwano,
 A była najbogatszą w Cykladach dziedziczką,
 Lecz z tak piękną postawą, tak lubą twarzyczką,
 Że obok wdzięków gasło szczerozłote wiano:
 Nie miała lat dwudziestu, i jak młode drzewo
 Wyrastając z dziewczęcia, na prawo na lewo
 Z uśmiechem odprawiała zalotniki mnogie,
 Aby kiedyś miłszemu wskazać serca drogę.
129. Po wybrzeżu, pomiędzy opokami, właśnie
 Przechadzała się w chwili, kiedy słońce gaśnie,
 Gdy jeszcze nie martwego lecz prawie bez duszy
 Obaczyła topielca w głodowej katuszy;
 Że był nagi, wzdrygnęła się, lecz to minęło,
 Bo uczucie ludzkości rychło biorąc górę
 Doradzało jej spełnić miłosierdzia dzieło
 Nad cudzoziemcem — co miał tak bielutką skórę.
130. Ale wziąć go w dom ojca, na dwór jegomości,
 Wątpliwy to ratunek, i jedno by było
 Co powierzać los myszy kota troskliwości,
 Lub pacyenta w letargu przywalić mogiłą;
 Bo kochany staruszek miał zdrowy „*noûs*“ ³⁾ w głowie,
 I nie tak jak lojalne łotry Arabowie

³⁾ Nus, zdrowy rozsądek, roztropność. (P. t.).

Byłby czekał na swego gościa wyzdrowienie,
Ażeby potem sprzedać go po lepszej cenie.

131. Dla tego z towarzyszką ułożyły sobie
(Panna zawsze polega na swej pokojówce)
Zostawić go w jaskini, bezpiecznej kryjówce:
A gdy wreszcie otworzył czarne oczy, obie
Czuły się tak przejęte miłością bliźniego
I miłosierdziem, że im gościniec do nieba
Otwarł się jak rogatka — przepis to świętego
Pawła, iż takim mytem wkupić się tam trzeba.
132. Ich staraniem ognisko błysło, lecz płomieniem
Na prędcie roznieconym, jaki dać zdołały
Na brzegu walające się drzewa kawały,
Kilka desek złamanych, za lada ruszeniem
Na proch lecących, wiosła cienkie jak patyki,
I maszt jeden zmałały na kulę kaléki;
Lecz na szczęście, rozbicia niejednego szczątki
Starczyły nie na jeden ogień, lecz dziesiątki.
133. Żuan leżał na futrach, miał pościel z odzienia,
Bo swą szubę sobolą zrzuciła Haida,
By wygodniej mógł spocząć; a że mu się przyda
Wszelkie inne okrycie w razie przebudzenia,
Obie mu po spodnicze dały, młoda pani
I dworzanka, przyrzekły przytem jak najraniej
Odwiedzić go, i przynieść półmiseczek stawy
Na śniadanie — pieczywa, jaj, i ryb i kawy.
134. Odeszły, zostawiając samotnego we śnie:
Usnął twardo jak kamień, lub jak nieboszczyki,
Którzy (Bogu jednemu znane te tajniki)
Kładą się na spoczynek, przynajmniej docześnie;
Przebyte jego męki ani mu się śniły,
Nie zatruwał mu wczasu żaden sen nie miły,
Sen, co lat przeszłych marą tak nas nieraz mami,
Że oko się przebudza napełnione łzami.

135. Spał a nie marzył — ale ta, co mu tak mile
 Podłożyła wezgłowie w odludnej pieczarze,
 Wychodząc obejrzała się, i stojąc chwilę
 Obróciła się myśląc, że jej zostać każe.
 Rozbitek się nie budził: przecie się zdawało
 Pięknej Haidzie (serce miewa roztargnienia)
 Że jej imię wymówił — lecz popadła w małą
 Pomyłkę, bo on jeszcze nie znał jej imienia.
136. I zamyślona poszła do domu, swej Zoi
 Polecając największe o wszystkim milczeniu;
 Ochmistrzyni poczwiwa, domyślne stworzenie,
 Jeszcze lepiej wiedziała co czynić przystoi:
 Za wiek cały nam starczy rok dobrze przeżyty,
 A Zoe, jak umieją dowcipne kobiety,
 W paru latach nabyła te wiedzy rodzaje,
 Jakie natura swoim uczennicom daje.
137. Świtało; lecz w zamierzechłej grocie bez ustanku
 Leżał uspiiony Žuan, używał spokoju
 Bez żadnej przerwy; ani szmer bliskiego zdroju,
 Ani młode promyki jasnego poranku
 Nie mogły go ocucić; bo też do ostatka
 Był nieborak złamany; wytrzymał cierpienia,
 Jakich mało kto doznał; — podobne wymienia
Wędrownka na około świata ⁴⁾ mego dziadka.
138. Nie tak Haida; miała ciężkie sny, widziadła;
 Rzucała się, zrywała, znów do snu się kładła;
 Śniło się jej o burzach, rozbiciach, myślała
 Że w biegu pada depcąc piękne, martwe ciała;
 Skoro świt, sługę gniewną spędziła z pościeli
 I starych niewolników ojcowskich, co klęli,
 Ten po ormiańsku, tamten po turecku, grecku,
 Niepojmując co stało się pańskiemu dziecku.

⁴⁾ Dziad Byrona wydał dzieło, które mamy w polskim przekładzie: *Podróż koło kuli ziemskiej, odbyta przez kommodora ... w latach 1764, 1765, 1766. 2 tomy. Warszawa, 1801. (P. t).*

139. Lecz koniecznie wstać chciała i drugim kazała
Dając za powód słońce, co bez zaprzeczenia
Najprzyjemniej o wschodzie i zachodzie pała;
Uroczą bo to chwila, gdy się rozpromienia
Feb złoty, a mgła białe zaściela mu szaty
I drobny głosik w każdym budzi się ptaszęciu,
I noc ze świata znika, jak żałobne graty
Znoszone po małżonku lub — innem bydlęciu.
140. Wschód słońca, widowiskiem zaprawdę wspaniałem;
Aby uprzedzić jego zejście, zwyczaj miałem
Przez całą noc nie złożyć skroni na wezgłowie,
Co bardzo jest szkodliwem, mówią doktorowie;
A więc każdy co pragniesz być dbałym o zdrowie
I o kieszeń, kładź się wczas, zrywaj się o świcie,
A gdy osiemdziesiąty rok zamknie twe życie,
Że o czwartej wstawaleś, każ wyrzyc na płycie.
141. Haida twarz w twarz z ranną spotkała się zorzą,
Ona bardziej od zorzy była świeżą, hożą,
Choć żarami gorączki szybka krew zagrała,
Krew co z serca do jagód w rumieniec się zlała,
Jak potok z gór lecący wstrzymany zaporą
Skalistych ścian doliny zlewa się w jezioro,
Rozpościerając fale w okrąg roztoczone,
Lub jak czerwone morze — wcale nie czerwone.
142. I z wybrzeży wysokich w dół zeszała z pośpiechem,
I zbliżyła się lekko do skalnych podziemi:
Słoneczko pozdrowiło ją pierwszym uśmiechem,
Jutrzenka całowała usta zroszonymi
Biorąc ją za rodzoną siostrę; a i twoje
Oko w błąd by popadło patrząc na tych dwoje;
Ale u naszej panny to największym zyskiem,
Że, jak tamta, nie była powietrznem zjawiskiem.
143. A gdy z obawą ale szybko do jaskini
Weszła, Żuan jak dziecko w kolebce spał błogo;

Zatrzymała się, stała istną zdjętą trwogą,
Bo widok snu wrażenie dziwne na nas czyni;
Potem się przysunęła na palcach, w milczeniu
Jeszcze ciepłej okryła leżącego w cieniu,
I nad uspionym zgięta, niema jak mogiła,
Cichemi usty jego tchy leciuchne piła.

144. Jak anioł stróż nad łóżem prawego człowieka,
Który w Bogu umiera, chylała się lekka;
A tak cichy spoczynek miał rozbitek młody,
Jak głęboki był spokój prześlicznej pogody.
Tymczasem ochmistrzyni mając to na względzie,
Że młoda para koniec końcem śniadać będzie,
Kilka jaj gotowała i w porządku kładła
Na kamieniu wyjęty z kosza zapas jadła.
145. Wiedziała, że uczucie najgorętsze gaśnie
Na czczo, i że topielca muszą dręczyć głody;
Mniej żywa i namiętna poziewała właśnie,
Chłodząco działał na nią widok morskiej wody.
Chciała więc i do smaku i bez czasu straty
Śniadanie mu przyrządzić: nie było herbaty
Lecz kawa, ryba, wino, owoce, miód na nie
Składały się — a wszystko darmo, za kochanie.
146. Gdy jaja przyrządzone były, i nalana
Kawa, Zoe już chciała obudzić Žuana;
Ale Haida z palcem na ustach, na sługę
Mrugnęła, i drobnutką zatrzymała dłonią;
Zrozumiała to Zoe tak troskliwa o nią,
I gdy pierwsze śniadanie zepsuło się, drugie
Gotowała, bo pani nie dała jej skrócić
Snu, co zdawał się nie chcieć ich gościa porzucić.
147. I nie ruszał się, a na jego chudej twarzy
Kolory gorączkowe grały, jak się żarzy
Blask wieczoru na górach śniegiem ubielonych;
Jeszcze czoło nosiło ślady cierpień, żyły

Niedostrzeżenie, słabo i leniwo były;
Czarne włosy zroszone od wód i pian słonych,
Poburzone lub w gęste pozlepiane sploty,
Nabierały wilgoci od skalistej grotty.

148. Ona czuwała przy nim, a on w tem uspieniu
Spokojny był jak dziecko na matki ramieniu,
Nieruchomy jak wierzba gdy wietrzyk ustanie,
Milczący jako cisza fal na oceanie,
Luby jak ta różyczka co ubiera wianek,
Piękny jak młody łabędź jezior wychowanek —
Krótko mówiąc, prześliczny chłopiec był z Żuana,
Choć jego cera była nieco zblakowana.

149. Przebudził się, popatrzał, byłby spał jak wprzód,
Lecz piękna twarz zjawiona jego oczom, zmrużyć
Nie dała mu już powiek, choć męki i trudy
Potrzebowały jeszcze spoczynek przedłużyć.
Nigdy bowiem Żuanek na lica kobiece
Zimno nie spojrzął; nawet modląc się, źrenice
Odwracał od brzydaków świętych, raczej skłonny
Przypatrywać się wdzięcznym obrazkom Madonny.

150. I tak na łokciu wsparłszy się podnosił głowę,
Na młodej nieznajomej zatrzymał spojrzenie,
A na jej licu róże białe i pąsowe
Rozkwitały, gdy wreszcie przerwała milczenie;
Myśląc miała oczy, postawę nie śmiała,
Lecz oznajmiła słodko poważnemi słowy,
Czystem jońskiem narzeczem nowogreckiej mowy,
Że mu nie gadać lecz do sytu jeść przystało.

151. Żuan słów nie rozumiał, chociaż pojął słuchem,
Bo nie umiał po grecku, ale dobrem uchem
Rozpoznał świegot ptaszka w tym głosie srebrzystym
Tak jasnym, tak donośnym, tak subtelnie czystym,
Żeś nie słyszał słodsze, dźwięczniejszego tonu:
Na taki dźwięk wszechwładny odpowiadasz łezką
Sam nie wiedząc dla czego, a jest on niebieską
Muzyką, z kąd melodya zstępuje jak z tronu!

152. I rozglądał się Žuan do koła, jak człowiek
 Zbudzony grą dalekich organów, wąpiący
 Czy to jaw, czy to senność, — aż spędzi sen z powiek
 Stróż nocny, lub ze stukiem pod drzwiami służący,
 Lub inna rzeczywistość takiego rodzaju:
 Srodze też nienawidzę, i niemam zwyczaju
 Zrywać się wcześniej — wszak gdy nocą świat spowity,
 Najlepiej się wydają gwiazdy i kobiety.
153. Co bądź to było, senność, czy senne marzenie,
 Otrzeźwiły go nowe i nieznośne męki:
 Uczucie szalonego głodu; dym kuchenki
 Poczciwej Zoi działał skrycie bez wątpienia
 Na jego zmysły; przytem żywy blask płomienia,
 Przy którym ona spiesźnie, na klęczkach w kąciku
 Warzyła mięso, całkiem wyrwał go z uspienia;
 Uczuł wielki apetyt — zwłaszcza do bifsztyku.
154. Lecz na tych wyspach niema wołów, więc i rzadka
 Sztukamięs; za to owce, kozy i kozłęta
 Idą na stół mieszkańców, gdy zachodzą święta
 Na barbarzyńskim rożnie piecze się łopatka,
 I to nie wszędzie, bo wśród skał jałowej ziemi
 Częstokroć nie ma miejsca nawet biednej chatce;
 Inne są zamożniejsze wyspy, między temi
 Nasza, jedna z bogatszych w całej tej gromadce.
155. Rzadka tam wołowina, mówię, i to właśnie
 Stare o Minotaurze przypomina baśnie,
 (Dla naszych moralistów powód oburzenia,
 Że w nich zacna królowa w krowę się przemienia) .
 Baśnie kłamliwej maski, nieomyłnej treści
 Gdzie się (po odrzuceniu alegoryi) mieści
 Pomysł, że Pazyfae wspierała chów byków
 Aby męstwem wojennem natchnąć Kreteńczyków.
156. Wszak wszyscy o tem wiemy, że Anglicy chciwie
 Tuczą się wołowiną — nie mówię o piwie

Bo do płynów się liczy, a nienależące
Do mego założenia z osnowy wytrączę;
I to wiadomo, że są w wojnie zakochani —
Zabawie, co wypada czasem nie najtanięj;
Tak też było i w Krecie, i ztąd wnioski moje,
Że królowa wspierała bydlęta i boje.

157. Lecz wracam do mojego przedmiotu: mdlejący
Żuanek na ramieniu wsparł ciężącą głowę;
Spotkał go widok nowy i zachwycający,
Bo wszystko, co dotychczas jadł, było surowe:
Już teraz miał nad sobą wyroki łaskawsze,
A przytem sępa głodu czując w sobie zawsze,
Na jadło roznoszące zapach apetyczny
Wpadł jak kruk, jak pop, albo — komornik graniczny.
158. Jadł i był obsłużony; a ta panna gładka,
Co nim się zajmowała jak rodzona matka,
Uśmiechała się widząc tak pomyślne zmiany,
W nim, co za nieboszczyka był niedawno miany.
Lecz Zoe od Haidy starsza, nie z czytania
Lecz ze słyhu wiedziała, że się ściśle wzbrania
Zgłodniałym jeść do woli, że się drobi, dzieli
Każde danie, inaczej pęknać by musieli.
159. Więc zaczęła powody sypać jak z rękawa
I popierać je czynem, bo nagląca sprawa,
Dowodząc że rozbitek co przed świtem z łoża
Wyprowadził ję młodą panią na brzeg morza,
Winien dalszej biesiady poprzestać, inaczej
Śmierć na tem samem miejscu pewno go zahaczy;
Wyrwała mu z rąk talerz wołając: „niech pości,
Wszak koń by zachorował od tyła żywności.“
160. Teraz wypadło myśleć i o garderobie:
Miał ledwo przyzwoite spodeńki na sobie.
Przeto w ogień rzuciły te jego łachmany,
Ażeby był za Turka lub Greka przebrany,

Lecz bez owych dodatków zupełnego stroju:
Pistoletów, kindżału, papuci, zawoju;
Więc się ograniczyły do dwóch jeno darów
Niezbędnych — do koszuli i do szarawarów.

161. Poczem ładna gospoia rozmowę zaczęła,
Ale słów jej Żuanek nie rozumiał wcale,
Chociaż tak pilnie słuchał, że ztąd pochop wzięła
Do weselszej gawędki: a gdy tak w zapale
Nic jej nie przerywało, serdeczna i płoża
Prowadziła rzecz swoją pierzchliwemi słowy;
Aż gdy się zatrzymała, by odetchnąć trocha,
Poznała że nieświadom romaickiej mowy.

162. Więc teraz się do znaków i do ócz wymowy
Udała, do uśmieszków i do skinień głowy;
Czytała (tego tylko świadoma czytania)
W jego powabnych rysach, gdzie grało uczucie,
I w tym błysku spojrzenia co duszę odsłania
I długo się odzywa w jednym oka rzucie;
I tak, widziała w jego wzroku słów tysiące,
Lube rojenia do jej myśli się cisnące!

163. I wnet palcem i giestem, figury, znamiona
Kreśląc, i powtarzając za nią ich imiona,
Żuan odbył swą pierwszą lekcją językową.
Biorąc w pomoc żrenice więcej niżli słowo.
Jak głęboki astronom raz po raz spoziera
W strop gwiazdzisty, a książki prawie nie otwiera,
Tak i on przy Haidzie na jej ócz zaletę
Nie z liter brał do głowy swą Alfę i Betę.

164. Ta lub owa nauka z łatwością przychodzi,
Kiedy dana przez usta i oczy kobiécie,
Kiedy nauczycielka i uczeń są młodzi;
Takiej szkoły pamiątką cieszę się i szczyćę;
Jeśli dobrze się uczysz, uśmiech cię nagrodzi,
Jeśli źle, także uśmiech — a jeszcze go słodzi

Uścisk dłoni, niewinny pocałunek — cały
Skarb mojej wiedzy takie duchy na mnie zlały;

165. Nauczyły słów greckich, tureckich, hiszpańskich;
Po włosku nic nie umiem w braku pedagoga;
I w angielszczyznę moja głowa dość uboga,
Może ztąd że zbyt pilnie czytam anglikańskich
Kaznodziei, Barrowa ¹⁾, Susa ²⁾, Tillotsona ³⁾,
I także Blera ⁴⁾, pierwszą perłę z tego grona,
Moralności i prozy nudnych oratorów;
Poetów nienawidzę i nieznam ich tworów.
166. O damach nic nie powiem; błahe to temata
Przybyszowi z modnego angielskiego świata,
Gdzie się niegdyś i jego przesunęła postać
I serce mogło także swoją mieć namiętność —
Dziś wszystko to objęła głucha obojętność,
Niema tych głupców, których mógłbym setnie schłostać;
Już przyjaciele, wrogi, mężczyźni, kobiety
Zapadli w przeszłość, niby ciężki sen przebyty.
167. Wracajmy do Żuanka. Słyszał słowa nowe
I powtarzał je w obcą wdrażając się mowę;
Lecz teraz czucie dziwne, powszechne jak słońce
Napełniło pierś jego, w niej się nie dające
Wcale ukryć, tak samo jakby w łonie mniszki;
Kochał się, uczuł miłość do swej towarzyszki
(Jak i ty czułbyś pewnie): i ona kochała,
Jakto serce dziewicze i młodzieńcze pała.
168. I każdego dnia z rana, o wczesnej godzinie
(Może nawet za wcześnie na Żuana znoje)
Przychodziła do groty, lecz na to jedynie,
Aby widzieć w gniazdeczku śpiące ptaszę swoje.

¹⁾ Barrow, South, Tillotson, pisarze angielscy, duchowni.

Przyp. Tłóm.

²⁾ Blair, Anglik, pisał o wymowie i poezji; wspomniany w pi-
smach Felińskiego. (T. II., wyd. wrocł.) *P. T.*

Tam nie budząc go ze snu było jej zabawa
 Muskać mu lekką ręką główkę kędzierzawą,
 Łagodnym owiewając tchem usta i skronie,
 Jak na grzedy różane świeży wietrzyk wionie.

169. I z każdą ranną zorzą miał żywsze kolory
 I już konwalescentem był rozbitek chory;
 I działa się najlepiej, bo zdrowie to złoto
 W skarbnicy życia; ono miłości istotą;
 Wszak zdrowie i myśl wolna na uczuć płomienie,
 To siarka lub oliwa, i w takiejże cenie
 Zlewają na nas dary Bachus i Cerera,
 Bez których Afrodyta słabnie i zamiera.
170. Gdy Afrodyta rządzi sercem (nieserdeczna
 Miłość, choć także dobra, mniej jest doskonałą),
 Smaczny rosół podaje nam Cerera grzeczna —
 Bo kochanie zasiłku chce jak krew i ciało;
 Bachus raczy nas winem albo galaretą;
 Ostrygi, jaja, także zgodne z tą dyetą;
 Lecz, ciekawy badaczu, przecie się nie dowiesz,
 Kto jest tych łask szafarzem — Neptun, Pan, czy Jowisz.
171. Gdy Żuanek się budził, dobre go czekały
 Rzeczy: kąpiel, śniadanie, te prześliczne oczy,
 Rzucające nad wszystkie inne blask uroczy,
 I Zoi oczka, przy nich już mniej godne chwały;
 Lecz o tem jużesmy się pierwej dowiedzieli,
 A więc zamiast powtarzać jedno, będę skracał —
 Powiem tyle, że Żuan po rannej kąpeli
 W morzu, zawsze do kawy i Haidy wracał.
172. Oboje byli młodzi, ona tak niewinna,
 Że nagość nie raziła oczów; jej dziecinna
 Wyobraźnia widziała w nim istotę miłą,
 O jakiej serce we śnie od dwóch lat marzyło;
 Coś na to stworzonego by je ulubiono,
 By zyskać czyste szczęście i obdarzać takim:

Tylko uciechę spólną, tylko podzieloną
 Godzi się zwać uciechą — szczęście jest bliźniakiem.

173. Co tam za radość była patrzeć nań do sytu,
 Używać z nim swobody, jaka pełność bytu!
 Czuwać nad jego snami, obudzić do świtu,
 Uczuć dotknięcie ręki, uciecha nie mała;
 Ale żyć z nim do śmierci nadzieja zbyt śmiała;
 A na myśl o rozstaniu mimowolnie drżała:
 On był jej skarbem z morza wyrzuconym, bratnią
 Stroną serca, miłością pierwszą i ostatnią!
174. I tak, kilka tygodni ubiegło, i codzien
 Haida odwiedzając Żuana, przez krocie
 Zachodów dokazała, że młody przychodzić
 Krył się niepostrzeżony w swej nadmorskiej grocie.
 Wreszcie jej ojciec, chciwy łupieskiej wyprawy,
 Wsiadł na okręt kupieckie upolować nawy:
 Puścił się, nie jak ongi Jowisz po Ijonę,
 Lecz po trzy z Dubrownika statki wyprawione.
175. I *to* jej dodawało otuchy, a matki
 Nie miała; a że ojciec polepszenia doli
 Po morzach często szukał — więc na wzór mężatki
 Lub innej niepodległej pani swojej woli,
 Co więcej, nawet wolna od braci kontroli,
 Pędziła niezależne życie — przykład rzadki;
 Rozumiem tu chrześcijańskie kobiety — jak wiemy
 Nie bardzo warownemi zamknięte haremy.
176. Odwiedzała więc gościa, i z sobą mówili .
 (Bo mówić wypadało), i, słowo po słowie,
 Tak postąpił w nauce, romaickiej mowie,
 Że poradził przechadzkę, pierwszą od tej chwili,
 Gdy, jak złamany kwiatek przy morskiej topieli
 Legł, czując w sobie życie zwolna uchodzące —
 Pod wieczór więc na spacer wyszli i ujrzeli,
 Jak naprzeciw księżycy zachodziło słońce.

177. Dziki brzeg wyspy wielkie fale oblegały,
 Ciągnęły się na dole piaski, w górze skały,
 Wnijścia strzegły podwodne opoki i ławy;
 Gdzieniegdzie tylko małe przystanie czekały
 Na łodzie skołatane przez wichry i wały,
 I nigdy nie milczały tam szумы i wrzawy,
 Chyba w owe — zabójczej długości, dnie letnie,
 Gdy morze jak zwierciadło połyskuje świetnie.
178. Na wybrzeże ciśnięta lekka morska piana
 Wyrównywała ledwo perełkom szampana,
 Kiedy z brzegów kielicha kipiátkiem wybucha
 Ta bujna rosa serca! ten balsam dla ducha!
 Nie ma jak stare wino, i niech kaznodzieje
 Łają (tem bardziej, że to daremnie się dzieje),
 Dziś panuje kobieta, dziś wino się leje,
 Jutro woda sodowa zawładnie i skrucha.
179. Człowiek rozumny winien pić aż do upicia;
 Upojeniem jest tylko część najlepsza życia;
 Winogrona i sława, miłość i pieniądze,
 To są nasze marzenia, nadzieje i żądze;
 Bez tych soków zbawiennych, na martwej opoce
 Drzewo żywota traci liście i owoce,
 Więc powtarzam, upij się — a gdy z bolem głowy
 Nazajutrz się obudzisz, słuchaj rady zdrowej:
180. Zadzwoń na służącego, niech prędko przyniesie
 Flaszę reńskiego wina i sodowej wody —
 Trunek to godny nawet ciebie, o Xerxesie!
 Bo ani sorbet słodkie sprawiający chłody,
 Ani krynica w puszczy skwarnej i jałowej,
 Ani burgundzki nektar barwy purpurowej —
 Po podróży, po nudach, miłostkach lub boju
 Nic tak nie krzepi, jako haust tego napoju.
181. Wybrzeże owej wyspy — o wybrzeżu pono
 Dopiero mowa była, tak, o niem mówiono —

Było całkiem spokojne niby strop eteru,
 Piasków nie poruszały najłżejsze powiewy,
 Wszystko było cichością, oprócz głosu mewy
 I poskoków delfina i lekkiego szmeru
 Fali, co po kamykach nieznuzoną płaść,
 Zdawała się na brzegi niecierpliwić, dąsać.

182. Tam się więc przechadzali, ojciec od tygodnia
 Daleką, jak się rzekło, pożeglował drogą;
 Haida matki, braci, krewnego, nikogo
 Nie miała oprócz Zoi, co pilnie i do dnia
 Przychodziła ją budzić, i pełniąc powinność,
 W taki sposób służbową pojmowała czynność:
 Przynieść dla pani grzanej wody, warkocz uwić,
 A czasem się o stroje znoszone przymówić.

183. Była to chwila chłodu, kiedy się zanurza
 Ognista kula słońca za błękitne wzgórza,
 W półkole ustawione jakby otaczały
 Zamkniętą w ich granicach naturę, świat cały,
 Tworząc po jednej stronie łuk, warowną ścianę,
 Po drugiej mając morze zimne, ciche, szklane;
 Na różowym sklepieniu, samotnie, wysoko,
 Mrugała jedna gwiazda jakby czujne oko.

184. I tak w wesołej parze wzięwszy się za ręce,
 Przebiegali swobodnie wybrzeża piaszczyste,
 Pełne muszel i skorup deptali kamieńce ¹⁾,
 I w pieczary odwieczne, podziemia skaliste,
 Dzieła burz i odmętów, istne dzieła sztuki
 Wyrobione misternie w sale, cele, łuki,
 Weszli i ramię w ramię usiedli — przed okiem
 Mając zorzę wieczorną z jej całym urokiem.

185. Patrzyli w niebo, kędy po modrym przestworze
 Rozpływał się blask zorzy, rubinowe morze;

¹⁾ Kamieniec, wybrzeże kamieniami zasłane (patrz dzieła Pola,
 Wójcickiego itd.). P. T.

Patrzyli na dół w jasne tonie, z kąd błyszcząca
Wynurzyła się tarcza pełnego miesiąca;
Słuchali szeptu wiatru i plusków topieli,
I widząc swoich spojrzeń blaski jak w przezroczu
Jedne w drugich odbite — na skinienie oczu
Usta do ust zbliżyli, w pocałunek zleli;

186. W pocałunek przeciągły, młodości, urody
I kochania, łączący wszystkie swe promienie
W ognisku zapalonem od ognia w Edenie;
Tak potężne porywy zna tylko wiek młody,
Gdy duszę, serce, zmysły jeden poi trunek,
Puls to lawa, krew pożar, gromem pocałunek —
Wszak wartość pocałunku, podług mego zdania,
Powinna się oceniać miarą jego trwania,

187. Trwania czyli długości — długość pocałunku
Była Bóg nie wie jaka, nie było rachunku,
A gdyby oni nawet sekundy mierzyli,
Nie mogliby wrażeniom dodać ani chwili:
Milczeli, lecz zdawało się w tem cichem niebie,
Że ich dusze i usta wołały na siebie,
I raz zbliżone, chciwe pszczołki do zdobyczy
Lgnęły — ich serca były tym kwiatem słodczy.

188. Byli zdala od ludzi, lecz w odmienny sposób
Od samotnych, murami odgrodzonych osób:
Uciszony ocean, pełna gwiazd zatoka,
Szarzejąca na niebie wieczoru powłoka,
Głuche piaski, jaskinie tajemnicze, cała
Uśmiechniona przyroda bardziej ich zbliżała,
Jak gdyby już żyjących oprócz nich nie było,
I to życie nie miało skończyć się mogiłą.

189. Nie znali wcale trwogi o późnej już dobie,
Nie mieli tam natrętów, ani szpiegów, byli
Jedno drugiemu wszystkim: chociaż luźne słowa
Rzucali, zrozumiale płynęła rozmowa,

I nad ogniste żywych uczuć wysłownienie
Służyło im daleko wyraźniej — westchnienie,
Tłómacz pierwszej miłości, wyrocznia natury,
Jedyny spadek matki Ewy na jej córy.

190. Obca chytrym zaklęciom, oświadczeniom zradnym,
Haida nie mówiła o skrupule żadnym,
Nie były jej na myśli obietnice, śluby,
Ani przewidywała dla honoru zguby;
Nieświadoma zdrożności, niewinnością śmiała,
Do młodego kochanka jak ptaszę leciała;
Nie wiedząc co to kłamstwo, co sztuka łudzenia,
Nie wymówiła nawet stałości imienia.

191. Kochała i kochaną była — ubóstwiała
I była ubóstwianą; namiętnemi szaly
Opanowane dusze, gdyby nakształt ciała
Śmiertelne miały życie, byłyby skonały —
Ale się otrzeźwiły ich zmysły stopniowo,
By na nowo zbezwładnić i odżyć na nowo;
A Haidy serduszko do niedawna wolne
Uczuło, iż oddzielnie bić odtąd niezdolne.

192. Niestety! byli młodzi, piękni, kochający,
Samotni a nieradni, a była to chwila,
Gdy jako kwiat do słońca swe głębie rozchyła
Serce, pozostawione biedne bez obrońcy,
Gotowe spełnić czyny niebaczone, na wieki
Niezatarte, a w piekle ogniewemi rzeki
Srodze odwetowane, jak nieraz głoszone,
Za krzywdę lub przysługę bliźnim wyrządzoną.

193. O biada Żuanowi i Haidzie! byli
Tak wzajem zakochani, tak oboje mili!
Nikt po te czasy, chyba w raju prarodzice,
Nie był wieczystą klątwą bardziej zagrożony;
Haida miała skromne i wstydlive lice
I ducha pobożności; piekło i demony

Nabawiały ją strachem — ale cóż — w momencie
Przesilenia zawiodło stałe przedsięwzięcie.

194. Patrzą w siebie jak w tęczę, wzrok się rozpromienia
W blaskach księżycy; ona białością ramienia
Otoczyła mu głowę, on objął jej szyję
I w splotach spadających warkoczów dłoni kryje;
Ona ku jego piersiom skłania głowę, pije
Jego oddechy, łączy z niemi swe westchnienia;
I tak z czułych kochanków była para śliczna,
W posąg ugrupowana i grecko klasyczna.
195. A kiedy już te chwile pijane, płonące
Przeszły, i Žuan spoczął w jej objęciu, ona
Swych czujnych nie zmrużała oczu, i u łona
Trzymała jego czoło do snu się chylące;
Niekiedy tylko błysnie i rzuci oczyma,
Częściej na jego bladym obliczu je trzyma;
A wezbrane jej serce szczęściu przewodniczy,
Którego używała i jeszcze użyczy.
196. Dziecię, rade oglądać blask płonącej świecy,
Niemowlę ssące chciwie piersi swej rodzicy,
Dobry katolik, kiedy hostyą ksiądz podnosi,
Arab, gdy podróżnego pod swój namiot prosi,
Admirał, kiedy wroga schyla się bandera,
Przeliczający swoje kapitały sknera —
Czują zachwyt prawdziwy, lecz nieporównanie
Żywszy ci, którzy widzą spiące swe kochanie:
197. Bo tak sobie spokojnie, tak cicho spoczywa
Ta bezbronna, nieczuła, piękna, nieruchoma,
Ta bliźnia nam istota, całkiem nieświadoma
Ile przez nią czystego szczęścia na nas spływa.
Co wzajemnie udręcza, co goryczą poi,
To w niej już zakopane kryje cień głęboki:
Ze wszystkimi przywary, wszystkimi uroki
Oglądamy ją, jako śmierć bez grozy swojej.

198. Haida nie przestała czuwać nad Żuanem;
Sama ze swą miłością, z nocą, z oceanem,
Śród martwych skał i piasków sama czuciem tchnąca,
Gdzie żaden głos nie dojdzie, nawet echo kona
I błogiego spokoju nic już nie zamąca,
Urządzili gniazdeczko kochanek i ona;
A milionowe gwiazdy tłące najpogodniej
Szczęśliwszego stworzenia nie widziały od niej.
199. Miłość kobiety! to rzecz piękna, lecz niestety
Straszna! bo doświadczenie uczy, że kobiety
Stawia całą swą istność na tę jedną kartę;
A gdy przegrają, życie już nie wiele warte
Jest parodią przeszłości, ruiny widokiem.
Ich zemsta wtenczas nagle jak tygrysim skokiem
Dopada swej ofiary; a jak własne rany,
Tak też czują ból drugim przez siebie zadany.
200. I słusznie, bo mężczyźni są niesprawiedliwi
Dosyć często dla mężczyzn, dla kobiet zwyczajnie:
Zdrada, ten chleb powszedni, karmi je i żywi.
Zniewolone schronić się w swoich uczuć tajnie
Kochające serduszko tęskni i rozpacza,
Aż je wręście — przedadzą za mąż za bogacza;
A wtedy, wiarołomny małżonek, nieszczerzy
Kochanek, dzieci, stroje, — i koniec karyery:
201. Jedna się miłostkami bawi, druga pije,
Ta jest dewotką, tamta w wielkim świecie żyje,
Inna znika rzucając dom, i tylko zmienia
Troski ale z utratą dobrego imienia;
Zgoła na wszystkich drogach każdej niewygodnie,
Bo od zamku do chaty bez wyjątku słyszę,
Że to zguba ich doli; nie jedna się modnie
Emancypuje, potem jeszcze powieść pisze.
202. Haida, mimo wiedzy, kochanka natury,
Dzieckiem uczucia była, rodem ztąd, gdzie słońce

Nawet i pocałunki wschodnich krain córy
I wzrok gazeli, w żary obraca palące.
Jedyne jej uczucie było, i myśl cała
Że *on* do niej należał, *ona* go wybrała;
A tamto wszystko, co jej miło lub nie miło,
Trwogi, nadzieje, — niczem: *tu* jej serce biło.

203. Lecz ach! ileż kosztują te lube w pobudkach
Porywy serca, równie pożądane w skutkach!
Tak, że nasz rozum zawsze rad szczerozłotemi
Kierować się radami, a ze swej alchemii
Ogołacać uciechy — przytem głos sumienia,
Mają ogromnie twarde orzech do zgryzienia,
W podawaniu prawd cennych — dobroci tak rzadkiej,
Że rząd chyba i na nie nałoży podatki.

204. Stało się — dwoje czułych serc w jedną istotę
Skojarzyło się; gwiazdy, te ślubne pochodnie,
Oblubieńcom świeciły cicho i łagodnie,
Ocean mieli świadkiem, a łożnicą grootę:
Zeswatani uczuciem, zbratali się sami,
Samotność ich złączyła, byli małżonkami,
I mogli szczęśliwymi mienić się, bo wzajem,
Jak anioły, a ziemia dla nich była rajem.

205. Miłości! o ty, której Cezar wielbicielem,
Tytus panem, Antoni słuźalcem, Horacy
Wychowawcem, a Owid był nauczycielem,
Zaś wieszczką górna Safo, w której grobie tacy
Co chcą być neutralni mogą mieć schronienie,
(Leukadya¹⁾ zawsze patrzy na morskie bezdenie),
Miłości! tyś boginią złego, bez wątpienia,
Bo nie można dać tobie djablicy imienia.

206. Przez ciebie stan małżeński z powagi odarty,
Ty z czoła wielkich ludzi stroisz sobie żarty;

¹⁾ Skala, z której zrozpaczona Safo w morze się rzuciła.
P. T.

Cezar, Pompej, Mahomet, Belizar, na szali
 Historycznej uczonym wielki trud zadali,
 Większego plonu sławnych laurów nikt nie użnie,
 Ich żywoty i losy toczyły się różnie,
 A oni przecie w jednej skojarzeni chwale,
 Bohaterowie, mędrcy, zdobywcy — rogale!

207. Ty mnożysz filozofów; oto Epikura
 I Arystypa szkoła, zwolenników chmura!
 Cieleśna ich nauka przynęca i mami
 I na złe naprowadza łatwemi drogami;
 Gdyby jeno chroniła od czartów pazura,
 Czy nie byłaby dobrą radą (choć nie nowa):
 „Jedz, pij, kochaj, o resztę niech nie boli głowa;“
 Własne Sardanapala króla — mędrcza słowa.

208. Lecz Żuan! czy o Julii już nie myśli więcej?
 Uleciałaż tak rychło z pamięci chłopięcej?
 Pytanie — co o dziwne domysły potrąca!
 Ale nie trzeba wątpić, że to wpływ miesiąca
 W nas takie zmiany sprawia, a skoro zadrgnęło
 Uspione w piersi serce, tego to jest dzieło;
 Bo gdyby nie to, z kąd się bierze, że wdzięk lica
 Nas biednych śmiertelników tak bardzo zachwyca?

209. Jestem wrogiem płochości, — gardzę, nienawidzę,
 Brzydę się, i wyrzekam, i potępiam człeka,
 Co sprawy serca tylko przedsięwzię z lekka,
 I, niby żywe srebro, niestałym go widzę;
 Moja zasada, tylko jedną mieć kochankę,
 A przecie, przed kilkoma dniami, na reducie
 Ujrzałem gościa, jakąś cudną Medyolanę,
 Która wznieciła we mnie hultajskie uczucie.

210. Lecz tejże chwili ku mnie Filozofia kroczy,
 I „pilnuj się“ zawoła, grzech się płaci piekłem!“
 — „Wiem o tem, moja droga Filozofio,“ rzekłem,
 „Lecz jej ząbki, jej usta, i, o nieba! oczy!“

„Chcę tylko wiedzieć, czy jest panną, czy mężatką,
„Lub ni jedną ni drugą, moja pani matko!“
— „Wstrzymaj się“ wykrzyknęła znowu z miną grecką
Filozofia (przebrana za damę wenecką);

211. „Wstrzymaj się;“ powstrzymałem — lecz do mej osnowy;
Co ludzie niestałością mienia, to duchowy
Podziw i uwielbienie wybranej istoty
Wdzięcznie uposażonej z natury szczodroty
Młodością i urodą; a jak ubóstwiamy
Posąg, obraz, ujęty w framugę i ramy,
Tak i ten zachwyt serca, to tylko hołd niemy
Temu co niewcielone „*beau idéal*“ zwiemy.
212. Jest to uczucie piękna, ogniwo co sprzęga
Niewidzialne z widzialnem, dusznych władz potęga
Platoniczna, powszechna, jakby wszechmogąca,
Mająca źródło w gwiazdach i z niebios bijąca,
A bez której zbyt nudnem byłoby to życie;
Owo zgoła, ócz własnych to tylko użycie
I jeszcze zmysłów paru, nam na ostrzeżenie,
Że nasze ciało tworzą glina i płomienie.
213. Jednak przykre to czucie i pomimowolne,
Bo, gdyby twoje oczy zawsze były zdolne
Kochać tę samą piękność, wielbić to spojrzenie,
Jakiem weszła twej duszy twa promienna Ewa,
Miałbyś i serce zdrowe i całe kieszenie,
(Bo albo się posiada, albo ubolewa);
A jeśli tylko jedna zawsze się podoba,
Nie źle na tem wychodzą serce i wątroba.
214. Serce jest jak firmament, do nieba należy,
Lecz na wzór firmamentu, dzień i noc się zmienia,
Chmury go zalegają, piorun po nim bieży,
Otaczają ciemności i groza zniszczenia;
Ale po skwarach, wichrach i gromach, straszliwa
Burza kończy ulewą; i tak się dobywa

Krew serca w łzy zmieniona oczami łzawemi,
I taki nam zamglony padół na tej ziemi.

215. Wątroba, lazaretem jest żółci, lecz bywa
Nieczynną, rzadko swojej dopełnia roboty,
Tak głęboko w niej pierwsza namiętność spoczywa,
Że przy niej się gromadząc reszta w jedno spływa,
Właśnie jak na śmieciisku czarne gadów sploty:
Nienawiść, wściekłość, zazdrość, zemsta i zgryzoty;
I z tego już ogniska wszystkie bóle biega
Tak, jak trzęsienia ziemi z ognia „centralnego.“
216. A teraz, zatrzymując się nieco, dla przerwy
Tej lekarskiej dysekcji, widzę, że jak pierwiej
Zwrotek dwieście dwadzieścia ukułem bez mała;
Ilość, jaką pieśń każda będzie posiadała
W tym tu pieśni tuzinie, czy tuzinów parze;
Zaczem, składam już pióro, ale się odważę
Z pięknym ukłonem, oddać Haide, Żuana,
Pobłażaniu słuchacza, łaskawego pana.

KONIEC PIEŚNI DRUGIEJ.

WALKA

KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA Z MACIEJEM KORWINEM

O KORONĘ CZESKĄ ¹⁾.

ROZDZIAŁ IV.

Papież Paweł II, tknięty apopleksją, umarł nagle 27 lipca 1471, nie potwierdziwszy elekcyi Macieja. Następca jego Franciszek della Rovere, obrany 9 sierpnia pod imieniem Syxtusa IV, również się ociągał z tem zatwierdzeniem. Co większa, gdy Władysław wyprawił do niego poselstwo z doniesieniem o swoim wstąpieniu na tron i z oświadczeniem posłuszeństwa namiestnikowi Chrystusowemu, czyli z tak zwaną obedyencyą, papież łaskawie wysłuchał posła, a Władysława uczcił listem, zaadresowanym jak do króla ²⁾. Krótko mówiąc, politykował z synem, ażeby pozyskać ojca dla ważnej sprawy, która mu wówczas bardzo leżała na sercu. Szło o wyparcie Turków z Konstantynopola — zamiar, który Stolica apostolska

¹⁾ Patrz Przegląd Polski, listopad 1876 r.

²⁾ Palacky V. I. 61.

już tyle razy napróżno podejmowała, a do którego Syxtus IV jeszcze raz wrócił, sądząc, że będzie szczęśliwszym od swoich poprzedników, ponieważ świeże wypadki w Azji zdawały się sprzyjać wielkiemu przedsięwzięciu. Sułtan Mahomet spotkał się tam z niebezpiecznym wrogiem swojej potęgi w osobie Usun-Hassana, hana turkomańskiego, który stworzywszy sobie rozległe państwo przez podbicie Mezopotamii, Persyi i części Indyj, w ostatnich czasach wydarł Mahometowi Trebizondę i Synope i wezwał ludy chrześcijańskie do wspólnej przeciw niemu walki ¹⁾. Chciał więc Syxtus IV, korzystając z tego, utworzyć ligę antiturecką, w której, ma się rozumieć, najsilniej miała być reprezentowaną Europa środkowa, tj. Węgry, Niemcy, Czechy i Polska. Te kraje bowiem, z wyjątkiem Włoch, miały najwięcej interesu w popieraniu myśli papieżkiej. Ale ich udział w wojnie świętej zależał od szczęśliwego załatwienia sprawy czeskiej, bo i na sejmach niemieckich ciągle powtarzano, że dopóki nie ustaną rozruchy w Czechach, dopóty Rzesza nie zdobędzie się na nic pożytecznego w kwestyi tureckiej. Przedewszystkiem zatem trzeba było pojednać Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem. Syxtus IV wcześniej zaczął o tem myśleć i baczył, ażeby między nimi nic takiego nie zaszło, coby tę pożądaną zgodę mogło utrudnić.

Skoro się dowiedział o przygotowanej przez dwór polski wyprawie na Węgry, wysłał do Krakowa, ażeby jej zapobiedz, swojego łożniczego Tilmana Schlechta, kanonika kolońskiego. Tilman przybył za późno, mianowicie tego samego dnia, w którym królewicz Kazimierz stanął już pod Hatwanem. Na uzyskanem nazajutrz posłuchaniu przemówił do króla w taki sposób, jak gdyby papież był przekonany, że król tylko dla łatwiejszego wywalczenia pokoju przedsięwziął wojnę węgierską; przekładał jednak, że cel ten daleko snadniej da się osiągnąć przez układy, aniżeli orężem. Prawdopodobnie Kazimierz Jagiellończyk już wiedział, jak mało obiecującym był początek wyprawy, gdyż oświadczył Tilmanowi, że pokoju na słusznych warunkach ułożonego wcale nie odrzuci. A nie tylko to oświadczył, lecz wyprawił do Węgier Tilmana razem ze swoim posłem Janem Wątróbką, kanonikiem krakowskim, ażeby się

¹⁾ Długosz XIII. 481; Rajnald 510.

porozumieli z jego synem i panami węgierskimi ¹⁾). Jakie zresztą dał im instrukcye i jaki przebieg był tej legacyi, zgoła nie wiemy. Następnie papież porucił rozejmstwo między zwaśnionymi monarchami kardynałowi Markowi Barbo, patryarsze akwilejskiemu, którego zamianował swoim legatem w Niemczech, Węgrzech, Czechach i Polsce, podobnie jak uczonego Bessariona we Francyi, Roderyka Borgję w Hiszpanii, a Oliwera Karaffę we Włoszech celem zorganizowania w tych krajach krucyaty przeciw Turkom ²⁾). Pełnomocnictwo kardynała Marka było napisane 23 grudnia 1471; ale od tej daty do wyjazdu kardynała z Rzymu upłynęło parę miesięcy, które przygotowały stanowczą zmianę w usposobieniu papieża względem dworu polskiego. Dzięki natarczywym naleganiom Rovarelli papież wyraźnie przeszedł na stronę Macieja i bullą z 1 marca 1472 rozkazał wszystkim Czechom pod karą klątwy uznawać go jedynym prawowitym królem czeskim. Nie dosyć na tem: tegoż samego dnia wydał dwie inne bulle, z których pierwszą wyklinał wogóle przeciwników Macieja, a w szczególności Kazimierza Jagiellończyka, Władysława i trzech biskupów polskich, którzy tego ostatniego koronowali; drugą zaś wyjmował Krzyżaków wbrew pokojowi toruńskiemu z pod zwierzchnictwa króla polskiego i dawał im za protektora Macieja. Bulle te posłał kardynałowi Markowi z poleceniem, ażeby zrobił z nich użytek w razie gdyby Kazimierz nie chciał się pogodzić z Maciejem. Niebawem pożałował wprawdzie swojej surowości i już dziewiątego dnia po wydaniu tych bull, pisząc do Kazimierza Jagiellończyka, nazywał go najukochańszym swoim synem i w łagodny sposób namawiał do zgody z przeciwnikiem. Lecz obok tego zalecał kardynałowi, ażeby we wszystkiem zasięgał rady Rovarelli, a ten fanatyczny biskup, jak wiemy, wcale nie sprzyjał dworowi polskiemu ³⁾).

Po krótkim pobycie w Wenecyi Marek udał się naprzód wedle swojej instrukcyi do cesarza, ażeby go namówić do współudziału tak w wojnie krzyżowej, jako też w przywróceniu pokoju między Polską, Czechami i Węgrami. Następnie miał

¹⁾ Długosz XIII. 472—473.

²⁾ Rajnald 522.

³⁾ Theiner II. 428—434; Rajnald 532.

jechać do Kazimierza Jagiellończyka, a potem do Macieja, albo odwrotnie, gdyby Maciej chciał w tym względzie mieć pierwszeństwo przed Kazimierzem. Pojechał do Macieja. O czynnościach jego tak w Węgrzech, jak w Polsce nie posiadamy szczegółowych wiadomości. Że jednak bardzo gorliwie zabrał się do roboty, poświadczają wspomniane przezeń listy i poselstwa, któremi już z drogi zaczął popierać dzieło pokoju — dzieło niezmiernie trudne, bo ani Maciej, ani Kazimierz nie żywili szczerzego pragnienia zgody, chociaż obaj w dosyć kłopotliwym znajdowali się położeniu. Tamten choć wyszedł cało z niebezpieczeństwa, grożącego jego tronowi, zawsze jeszcze nie był pewnym wierności swoich poddanych, dopóki żyli główni przywódcy malkontentów; a przytem jego stronnicy w Czechach już więcej myśleli o dobru własnej ojczyzny, niż o dogodzeniu jego ambicyi. Tego znowu intronizacja jednego syna i niepomyślna wyprawa drugiego tak dalece ogołociły z pieniędzy, że czasem — rzecz w owych wiekach nie tak dziwna, jaką się dziś wydaje — brakowało mu codziennego pożywienia ¹⁾. Pomimo to obaj gotowi byli jeszcze raz zmierzyć się orężem. Maciej rozpisał na cały świat listy, w których przechwalając się ze swego zwycięztwa nad królewiczem Kazimierzem, obwiniął jego wojsko o różne bezecności, szczególnie że znieważało niby i rabowało kościoły, rzucało na ziemię i deptało nogami Przenajświętszy Sakrament i t. p. ²⁾ Na jednym znowu z sejmów pragskich ponowił dawniejsze swoje żądanie, aby spór o koronę czeską został oddany pod sąd papieża, albo też on uznany królem i opiekunem Władysława, a ten jego następcą — słowem to samo, co niegdyś biskup ołomuniecki proponował w Krakowie. W razie odmowy groził wojną, pomimo całe swoje, jak zapewniał, zamiłowanie pokoju. Stany czeskie odpowiedziały, że im również pożądanym jest pokój, zwłaszcza z królestwem węgierskiem, lecz siłę potrafią odeprzeć siłą; a jak go Maciej miłuje, świadczą o tem spustoszone miasta i wsie i ludność złupiona przez jego żołnierstwo. O prawach jego do korony czeskiej nic nie wiedzą; korona należy się słusznie Władysławowi i posiadanie jej nie

¹⁾ Długosz XIII, 478.

²⁾ Eschenloer II. 256.

może być podzielonem. Na sądownictwo papieżkie w rzeczach wiary Władysław nigdy się nie targnie, lecz o swoje królestwo, które jest niepodległem, nie potrzebuje z nikim się prawować. Dwóch królów nie może być w Czechach, jak dwóch słońc na niebie. Niepotrzeba też Władysławowi opiekuna, bo stany czeskie same rozstrzygają o pełnoletności swoich panów, a dobrej rady nie zabraknie młodemu królowi ¹⁾). Kazimierz Jagiellończyk ze swojej strony myślał tylko o najrychlejszej zapłacie wojsku za wyprawę węgierską, ażeby je znowu mieć na usługi, i przez szpary patrzył na gwałty i wydzierstwa, jakich to żołdactwo dopuszczało się za powrotem do kraju ²⁾). Wobec takiego usposobienia obu monarchów nie wiele można było liczyć na rokowania pokojowe, zawiazane w tym czasie w Budzie z inicjatywy panów polskich przez Stanisława Wątróbkę, kasztelana sandeckiego, z dostojnikami węgierskimi i ze Zdenkiem Sternbergiem, a popierane wpływem nieobecnego jeszcze kardynała Marka. Pięć tygodni przesiedział Wątróbka w Budzie i 31 marca zawarł następującą ugodę: Od dnia 1 maja będzie trwać rozejm przez cały rok między Węgrami i Polską, a w oktawę ś. Trójcy pełnomocnicy obu państw złożą zjazd w zwykłym miejscu na pograniczu dla ustanowienia pokoju. Komendant nitrzański Piotr Kot ustąpi z zamku albo natychmiast, jeżeli oświadczy, że posiada go z ręki arcybiskupa ostrzychomskiego, albo za kwitem, o który się postara Wątróbka, jeżeli Kot powie, że trzyma zamek z ramienia króla polskiego, lub jego syna Kazimierza. Przeciwnie Stropków pozostanie przez czas rozejmu w rękach Polaków, atoli pod warunkiem, że nie będą wznosić nowych warowni, ani też wybierać danin od okolicznych mieszkańców, przestając na dochodach stropkowskich. Takież sam rozejm ustanawia się we wszystkich krajach korony czeskiej, dla bliższego zaś określenia jego warunków stronnicy Macieja i Władysława odbędą w dzień ś. Trójcy zjazd w Niemieckim Brodzie w obecności dwóch pełnomocników, polskiego i węgierskiego, których zgodny wyrok będzie dla uczestników zjazdu obowiązującym prawem we wszystkich punktach, jakich ci nie potrafią sami za-

¹⁾ Palacky V. I. 62—63.

²⁾ Długosz XIII. 478—479.

łatwić ¹⁾. Maciej zatwierdził ugodę tego samego dnia, w którym została spisana, a dla uzyskania ratyfikacyi ze strony Kazimierza Jagiellończyka pojechał do Krakowa razem z Wątróbką poseł węgierski Nimfor. Ale Kazimierz zmienił treść umowy o tyle, że skrócił rozejm do 24 czerwca, a zamiast dwóch zjazdów osobnych proponował jeden zjazd w Ołomuńcu, na którym pełnomocnicy trzech królestw mieli jednocześnie załatwić sprawę czeską i utrwalić pokój między Polską a Węgrami ²⁾. Zresztą tak mało wierzył w skuteczność jakiegokolwiek bądź układów z Maciejem, że 23 kwietnia zawarł przeciw niemu na wypadek przewidywanej wojny zbrojne przy mierze z synem swoim Władysławem ³⁾.

Pomimo że dwór polski odrzucił poniekąd ugodę budzińską, Czesi, spragnieni pokoju, postanowili wykonać te jej punkta, które się do nich ścigały. Za szczególnem staraniem Zdenka Sternberga odbył się 31 maja zjazd w Niemieckim Brodzie, na którym obydwie stronnictwa, t. j. Władysławowe i Maciejowe, zobowiązały się przestrzegać umówionego rozejmu, a dla rozstrzygnięcia wzajemnych sporów ustanowiły we wszystkich powiatach czeskich i morawskich każde po jednym rozjemcy, na całe zaś królestwo zamianowały dwóch superarbitrów — Henryka Podiebradzkiego i Zdenka Sternberga. Jeńcy z obu stron mieli na czas rozejmu odzyskać wolność, szlachetnie urodzeni na słowo, inni za złożeniem rąkomi. Najwięcej kłopotu sprawiało uwolnienie Wiktoryna. Książę ten występował w Czechach przed elekcyą kutnohorską, jako agent Macieja; w lutym bieżącego roku znowu przybył do Pragi mniej więcej w tym samym charakterze, — zawarł bowiem, jak się później dowiedziano, umowę z Maciejem tej treści, że albo zapłaci za siebie 100,000 złotych okupu, których Maciej stanowczo żądał, albo ułatwi mu drogę do tronu czeskiego. Wiktoryn dowodził, że powinien być wykupiony kosztem kraju, bo w jego obronie stracił wolność, a stany znowu odwoływały się do Kazimierza Jagiellończyka i Władysława, którym ta sprawa włożoną była między pakta konwenta. Lecz ci dla ubó-

¹⁾ Dogiel I. 62—64.

²⁾ Długosz XIII 480; Dogiel I. 64.

³⁾ Sommersberg Mantissa diplomatum II. 86.

stwa skarbu nie mogli uczynić zadość ani tej obietnicy, ani innym zobowiązaniom pieniężnym, wskutek czego popularność Władysława pomimo całą jego dobroćliwość zaczęła szybko upadać. Otóż zjazd niemiecko-brodzki uchwalił, ażeby stronnictwo węgierskie ze Sternbergiem na czele wyjednało u Macieja swobodę Wiktorynowi przynajmniej do końca rozejmu, podobnie jak innym jeńcom; gdyby zaś Maciej na to nie przystał, wtedy Władysławowi miało przysługiwać prawo wypowiedzenia rozejmu i rozpoczęcia na nowo wojny w sześć tygodni po ś. Jakóbie. Co do zatargu polsko-węgierskiego, zjazd pragnął wedle możności zasłonić przed nim Czechy i postanowił prosić Kazimierza Jagiellończyka, aby nie przedsiębrał zaczepnych kroków przeciw Maciejowi, oświadczając, że ani Czesi, ani ich młody król nie będą mu w tem pomagać. Natomiast zjazd przyrzekł posiłkować Kazimierza, gdyby Maciej uczynił napad na Polskę ¹⁾. Ponieważ uchwały niemiecko-brodzkie stały się za zgodą stronników Macieja, trzeba przyznać, że zjazd okazał się bardzo względny dla dworu polskiego. To też Władysław zatwierdził 8 lipca wszystkie jego postanowienia. Ale Maciej nie był z nich kontent; nie podobało mu się, że zjazd zatrudniał się sprawą Wiktoryna, a w ustanowieniu arbitrów i superarbitrów npatrywał nadwężenie swojej władzy królewskiej ²⁾.

Tymczasem 4 lipca przyjechał z Budy do Krakowa kardynał Marek. Król z okazałym pocztem spotkał go jeszcze w Wieliczce i z wielkimi honorami wprowadził do stolicy, gdzie jednak synowie królewscy niekoniecznie stosownie go powitali go oracyami, w których rozwodzili się nad swojemi prawami do Czech i Węgier. Nazajutrz wyprawiono kardynałowi wspaniałą ucztę. Trzeciego dnia miał posłuchanie, na którem opisywał niebezpieczeństwa, grożące światu katolickiemu od Turków, po wielokroć zaklinał Kazimierza Jagiellończyka, ażeby nie orężem, lecz drogą układów załatwił swoje rachunki z Maciejem Korwinem, a następnie wziął się razem z innymi monarchami chrześcijańskimi do broni przeciw Turkom ³⁾.

¹⁾ Palacky V. I. 65—66; Archiv cesky IV. 456—460.

²⁾ Eschenloer II. 269, Palacky V. I. 77.

³⁾ Długosz XIII. 482.

Ale dwór polski niechętnie słuchał tych przełożeń. Eschenloer twierdzi, że posądzano kardynała, jakoby wziął od Macieja pieniądze i służył jego sprawie ¹⁾. Nie wiadomo, jak dalece legat papieżki zachowaniem się swoim usprawiedliwiał to podejrzenie; że jednak mógł takowe na siebie ściągnąć, to się tłumaczy jego instrukcją, wedle której musiał postępować. Papież polecił mu wyraźnie pilnować, ile się da, interesów Macieja, a mianowicie starać się, ażeby Maciej spokojnie posiadał całe królestwo czeskie, albo przynajmniej zatrzymał tytuł króla i te prowincye, które zostawały wówczas pod jego władzą. W pierwszym wypadku papież zezwalał na zatwierdzenie pokoju toruńskiego, o co Kazimierz Jagiellończyk bez ustanku kołatał w Rzymie; w drugim zgadzał się oczywiście na uznanie Władysława panem reszty kraju, — bo wyraźnie instrukcja o tem nie wspomina — ale kładł zastrzeżenie, że tak on jak jego ojciec, powinni ze wszystkich sił dążyć do nawrócenia husytów na katolicyzm, a nie brać w opiekę kompaktatów. Wprawdzie papież dał legatowi upoważnienie do użycia innych sposobów, gdyby te, które wymienił, nie zdołały przywrócić pokoju; ale ma się rozumieć, że legat musiał przede wszystkim stosować się do tego, co stało czarne na białem w instrukcyi ²⁾. Nie dziw zatem, że jego misya szła jak po grudzie. Życzeniem kardynała było, ażeby pełnomocnicy trzech królestw zjechali się na św. Michał w Nissie na Szląsku. Kazimierz Jagiellończyk zezwolił, ale gdy przyszło do bliższego oznaczenia warunków tego zjazdu, nasunęły się zaraz różne trudności. Ułożono jakiś nowy rozejm, który kardynał posłał Maciejowi do zatwierdzenia; lecz ten odrzucił go, a natomiast przysłał inny, którego znowu nie przyjął król polski, ponieważ wyczytał w nim podobno jakieś uszczypliwe o sobie wyrażenia. W istocie obaj królowie umyślnie mitrężyli sprawę. Kazimierz liczył, jak się zdaje, na cesarza Fryderyka, który zamiast godzić zwaśnionych, jak tego żądał papież, nie przestawał tajemnie poduszczać Kazimierza przeciw Maciejowi, zwłaszcza że

¹⁾ Eschenloer II. 270.

²⁾ Theiner II. 436—439. Dopelnienie tej instrukcyi, wyjęte z Tek Naruszewicza, kładziemy między naszymi Dodatkami.

miał do tego ostatniego nową urazę. Maciej, ucieszony świeżem wyrugowaniem Polaków z Nitry, oraz śmiercią naczelników ostatniego spisku, mianowicie Viteza, Pannoniusa i Rajnalda Rozgonyi, postanowił zemścić się nad zagranicznymi jego sprawcami, do których przed wszystkimi innymi słusznie zaliczał cesarza. Wszedł tedy znowu w porozumienie z malkontentami austriackimi, szczególnie z synem Baumkirchera, straconego z rozkazu cesarza, i rzucił na Austryą kupę owych wędrownych żołnierzy, jedynie z wojny żyjących i zawsze za pieniądze gotowych do boju, jakich podówczas wszędzie pełno było w Europie. Wyprawa, choć nie długa, dała się przecież Fryderykowi we znaki i zmusiła go do paktowania z Maciejem. Za pośrednictwem Rovarelli stanęła między nimi taka ugoda, że cesarz zobowiązał się na przyszłorocznym sejmie niemieckim, mającym się odbyć około 23 kwietnia w Augsburgu, uznać Macieja królem czeskim i elektorem Rzeszy, a ten przyrzekł uwolnić cesarza od nieprzyjaciół, których sam na niego sprowadził. Rozprawiwszy się tak szczęśliwie z jednym przeciwnikiem, przechwalał się, że wypędzi Władysława Jagiellończyka z Czech, a jego ojcu powyrywa z łysej głowy resztki włosów ¹⁾).

Po dwumiesięcznych przeszło bezskutecznych rokowaniach w Krakowie kardynał Marek udał się w miesiącu wrześniu do Korczyna, dokąd król był wyjechał w drugiej połowie sierpnia, i tam znowu przez kilka dni podawał rozmaite warunki pokoju, lub przynajmniej rozejmu. Gdy jednak nic nie wskórał, pojechał do Sącza, mniemając, że na pograniczu łatwiej zdoła się porozumieć ze stronami. Nareszcie zniecierpliwiony ich uporem, zaniechał dalszych perswazyj i z mocy swojego urzędu zatwierdził rozejm budziński, a dla układów pokojowych nakazał zjazd do Nissy na najbliższą uroczystość Gromnicznej, grożąc stronom klątwą w razie nieposłuszeństwa. Ale szyskany dlatego nie ustały. Maciej mówił o pokoju w taki sposób, jak gdyby raczej spodziewał się wojny, zastrzegał, aby na zjeździe nie poruszano sprawy Wiktoryna, i stawiał inne żądania, z których jednak nie można było wyrozumieć, czego właściwie pragnął. Kazimierz Jagiellończyk ze swojej strony uważał

¹⁾ Długosz XIII. 482—483, 487; Eschenloer II. 271.

się, że pełnomocnicy węgierscy, mający jechać do Nissy, ani liczbą, ani godnością nie byli równi polskim; nadto nie chciał przypuścić do obrad Wojciecha Kostki z Postupic, który służył niegdyś Jerzemu Podiebradzkemu, a potem przeszedł na stronę Macieja i dostał od niego tytuł hrabiego na Komarnie. W końcu atoli, gdy kardynał upewnił go, że król węgierski nie lada kogo, lecz osoby poważne wyprawi do Nissy, Kazimierz dał 29 grudnia pisemne zezwolenie na zjazd i wyznaczył od siebie dziewięciu pełnomocników; po tyluż miało przybyć ze strony Macieja i Władysława. Ale wszystkie te spory opóźniły zjazd, tak iż Maciej dał nań swoje zezwolenie dopiero 12 lutego, a otwarcie jego przeniesiono na 24 tegoż miesiąca ¹⁾. Daleko szczerzej sposobiły się strony do wojny. Kazimierz Jagiellończyk odbył w ciągu roku celem uzyskania podatków dwa sejmy w Piotkowie, jeden w marcu, drugi w listopadzie, lecz obydwą spełzły na niczem; pierwszy dla niezgody obradujących, może wskutek niepomyślnej wyprawy węgierskiej, drugi dlatego, że wielu gniewało się na króla za niesprawiedliwe, jak sądzili w zawiedzionej swojej ambicji, rozdanie przedniejszych urzędów. Lepiej powiodło się królowi na sejmikach partykularnych — korceńskim i kolskim w miesiącu kwietniu, oraz na drugim korceńskim w końcu września. Ale zasilki, które tam z wielką biedą wycisnął, nie wystarczały. Udał się więc z początkiem następującego roku na Litwę i w drugim tygodniu postu złożył sejm w Wilnie, który względniejszym się okazał od koronnych, bo uchwalił dla króla po sześć groszy szerokich pragskich od pługa ze wszystkich ziem wielkiego księstwa. Brak pieniędzy tem dotkliwiej dawał się czuć, że trzeba było wspierać Władysława, którego skarb jeszcze uboższym był od ubogiego skarbu ojcowskiego: z kopalń kutnohorskich wpływały wówczas nader szczupłe dochody, wszystkie zaś królewszczyny były oddawna pozastawiane. W tak opłakanem położeniu finansowem sprawa Wiktoryna stała się dla Władysława istnem nieszczęściem. W miesiącu lipcu Wiktoryn wystawił na siebie za poręczeniem swoich braci i znakomitszych panów czeskich i morawskich oblig, wedle

¹⁾ Długosz XIII. 483, 485, 488; Dogiel I. 61—62; 64—67; Katona XV. 598.

którego 100,000 złotych okupu za jego uwolnienie miały być złożone 11 listopada w ratuszu preszburskim. Część okupu, jak się zdaje, wziął na siebie Władysław, ciż sami bowiem panowie zobowiązali się w charakterze jego poręczycieli wypłacić 30,000 złotych synom Podiebradzkiego. Z opowiadania Długosza wynika, że Władysław miał dostać tę sumę od ojca, a ten znowu liczył na cesarza Fryderyka, który winien był jeszcze Kazimierzowi 32,000 złotych, stanowiące część posagu królowej Elżbiety. Ale skąpy cesarz należał do najtwardszych w świecie dłużników. Skoro tedy zbliżył się dzień 11 listopada, a pieniędzy nie było, umysły zaczęły się burzyć, biednego króla łajano i wypowiadano mu posłuszeństwo, wielu bowiem jego poręczycieli, chcąc dotrzymać słowa, musiało sprzedać swoje dobra. W dodatku rozeszła się wieść o zamierzonym napadzie Węgrów na Kutnohorę. Władysław udał się z prośbą o pomoc do ojca, sejmującego właśnie w Piotrkowie; lecz ten, sam opuszczony od swoich stanów, mógł posłać synowi tylko 10,000 złotych, a dla obrony Kutnohory wyprawił 500 ludzi pod dowództwem Jana Zieleńskiego. Wkrótce potem Wiktoryn odzyskał wolność, ale w taki sposób, że ściągnął przez to na Władysława nowe kłopoty, mianowicie odstąpił Maciejowi swoje dobra w Czechach i zobowiązał się służyć mu jako swojemu panu. Wskutek tego stanęły w Kolinie, oraz w innych pobliskich miejscach załogi Macieja, z kąd zaczęły niebawem szerzyć zniszczenie po samą Pragę. Wszczęła się także wojna na Szląsku między Waclawem, księciem rybnickim, a innymi książętami, która jakkolwiek dlatego wybuchła, że dziki Waclaw srodze dokuczał swoim sąsiadom, nie była jednak obcą zatargowi Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem, bo księcia Waclawa wziął w opiekę kanclerz polski Jakób z Dębna za wyraźnym rozkazem królewskim, a przeciwników jego Maciej popierał. W Węgrzech znowu załoga stropkowska rozpościerała niszczące swoje zagony aż po za Koszyce ¹⁾. W taki to sposób gotowano się do układów o pokój.

Kardynał Marek już od końca stycznia 1473 roku bawił w Nissie, czekając na zjazd, a czekał długo, bo żadna strona nie stawiała się w oznaczonym terminie. Dnia 13 marca przy-

¹⁾ Długosz XIII. 479, 483—485, 488—490; Dogiel I. 164.

jechali pełnomocnicy węgierscy: Gabryel arcybiskup koloczeński, znany już nam Gabryel Rongoni siedmiogrodzki i Wojciech wesprymski biskupi, Michał Orszag palatyn, Stefan Batory sędzia nadworny, Emeryk Palocz wielki koniuszy, Wojciech Kostka z Postupic, Władysław Gara protonotaryusz apostolski i Wolfgang Ehrenburg, doktor obojga praw. Orszak ich wynosił 1500 jeźdźców, którzy nieprzyzwoitem i gwałtownem swoim postępowaniem dawali mieszkańcom powód do licznych zażaleń. Kiedy więc po trzech tygodniach przybyli Polacy tylko w 600 koni, Węgrzy chętnie odprawili tyłuż swoich do domu. Polskich pełnomocników było sześciu: Jan Gruszczyński arcybiskup gnieźnieński, Jan krakowski i Jakób kujawski biskupi, Stanisław Ostroróg wojewoda kaliski, Jan Długosz i doktor Jakób z Szadka, kanonicy krakowscy. Trzej inni, Dersław z Rytwian krakowski, Łukasz Górka poznański, wojewodowie, i Jan z Rytwian marszałek koronny, zostali w domu bądź dla słabości, bądź z innego powodu. Ze strony Władysława obecnym był Bieniasz Weitmil i jacyś inni, z nazwisk nieznani. Opóźnienie się Polaków i Czechów miało stąd pochodzić, że późno otrzymali wezwanie. Z tem wszystkiem kardynał wielce się cieszył z dojścia zjazdu i zaraz przystąpił do obrad. Podany przezeń sposób pogodzenia królów był ten, ażeby Maciej zaślubił siostrę Władysława Jadwigę i dostał w posagu Morawy, Szląsk i Łużyce, które to kraje miały po jego śmierci za opłaceniem pewnej sumy wrócić do korony czeskiej. Ale ani Czesi, ani Polacy nie chcieli słyszeć o podziale państwa, chociażby tylko czasowym. Następnie spędzono parę dni na weryfikacyi pełnomocnictw, potem jeszcze kilka dni zeszło na sporach, której stronie miało przysługiwać pierwszeństwo w stawianiu wniosków itp. Gdy wskutek tego obrady zółwim wlokły się krokiem, kardynał przewidując, że rozejm budziński prędzejby ubiegł, aniżeli by przyszło do zawarcia pokoju, zaproponował przedłużenie rozejmu do Wniebowstąpienia Pańskiego, czyli do dnia 27 maja. Po krótkim oporze strony zezwoliły i natychmiast doniosły o tem swoim królom. Niebawem pełnomocnicy przekonali się, że spraw poruczonych sobie nie będą mogli ostatecznie załatwić z powodu ich wielkiej wagi, i zaczęli mówić o wysadzeniu innych pojednawców. Około 16 kwietnia już się wszyscy byli zgodzili na ośmnastu

arbitrów, po sześciu z każdego królestwa, lecz nie porozumieli się jeszcze względem osoby superarbitra. Polacy i Czesi podawali cesarza Fryderyka i wszystkich świeckich elektorów, szczególnie zaś Ernesta saskiego, falcgrafa Fryderyka i Albrechta brandeburskiego, twierdząc, że ponieważ idzie głównie o Czechy, pierwszy elektorat Rzeszy, przeto sąd należy do tych panów. Ale Węgrzy, nie ufając w bezstronność wymienionych osób, proponowali w ich miejsce papieża i kollegium kardynalskie, dodając wreszcie elektorów kolońskiego i trewirskiego oraz falcgrafa, na co znowu Polacy i Czesi nie chcieli przystać. Kardynał prosił zatem, aby wybrali innych rozjemców. Jakoż polscy i czescy pełnomocnicy wskazali na króla francuskiego, któremu ze swojej strony chcieli przydać Ernesta saskiego i Albrechta brandeburskiego, żądając od Węgrów, aby ci także wymienili dwóch elektorów wedle upodobania. Gdy jednak i ta propozycja upadła, Polacy i Czesi zażądali od kardynała zwrotu swoich pełnomocnictw i zabrali się do odjazdu.

Dzięki staraniom kardynała, który ze łzami przekładał stronom, że niezgoda między państwami chrześcijańskimi wychodzi tylko na korzyść Turków, rozpoczęły się obrady na nowo i potrwały do 25 kwietnia. Jednakże pełnomocnikom nie chodziło już o pojednanie królów, co w obecnej chwili uznali za niemożliwe, tylko o bliższe oznaczenie, jakim sposobem pokój między nimi mógłby być zawartym gdzieindziej i przez inne osoby. Zostały zatem powzięte następujące uchwały. Postanowiono złożyć 15 sierpnia nowy zjazd w Opawie, na który Kazimierz Jagiellończyk miał przysłać ośmiu pełnomocników i tyłuż Maciej jako król węgierski, a jako król czeski sześciu ze swojego stronnictwa w Czechach, i tyłuż znowu Władysław, królowie zaś powinni byli w tym czasie osobiście przybyć — Maciej do Ołomuńca, Kazimierz do Oświęcima, Władysław do Kladzka. O sporach między Węgrami i Polską mieli radzić tylko reprezentanci tych państw, o sprawie czeskiej zaś wszyscy pełnomocnicy razem. Gdyby w ciągu dni czterdziestu nie zdołali rozstrzygnąć wszystkich spornych kwestyj, wtedy takowe miały pójść pod sąd Karola Śmiałego, księcia Burgundyi, lub Albrechta, margrabiego brandeburskiego, wedle życzenia Macieja; gdyby zaś wybrany przezeń rozjemca umarł,

albo dla jakiegobądź przeszkody nie mógł dopełnić włożonego na siebie obowiązku, wówczas miał go zastąpić Ludwik XI, król francuzki. Dla ułatwienia swoim następcom trudnej roboty zjazd nisseński postanowił, ażeby między Polską a Węgrami niezwłocznie ustały wszelkie kroki nieprzyjacielskie. Wskutek tego warownia stropkowska miała być wydaną podczas Zielonych Świątek swojemu właścicielowi Mikołajowi Perenyi, a Maciej powinien był odpuścić temu panu jego winy i przyjąć go do swojej łaski. W sprawie czeskiej uradzono, ażeby wszystkie ziemie królestwa czeskiego odbyły 27 maja zjazd w Bieniaszowie celem ustanowienia prowizorycznego rządu, ani od Macieja, ani od Władysława niezależnego, a mającego trwać aż do ostatecznego przysądzenia korony jednemu lub drugiemu. Przy tem obaj królowie mieli uwolnić swoich poddanych od przysięgi wierności, a ci znowu zobowiązać się do posłuszeństwa wyrokowi zjazdu opawskiego lub wymienionych wyżej rozjemców, na czyjąkolwiekby korzyść miałyby takowy zapaść. Słowem, przyjęto w zasadzie bezkrólewie, co oczywiście daleko więcej uwłaczało Władysławowi, jako królowi prawnie obranemu i ukoronowanemu, niż Maciejowi, którego elekcyja była niewątpliwie dziełem jednego stronnictwa. Stało się to, jak mówiono, z winy Gruszczyńskiego i Weitmila, którzy przystali na powyższe uchwały pomimo oporu swoich kolegów. Kardynał Marek zatwierdził w imieniu Stolicy Apostolskiej wszystkie postanowienia zjazdu, do których dodał jeszcze warunek, aby przyszły król czeski starał się przywieść husytów do całkowitej jedności z kościołem rzymskim ¹⁾.

Według społecznego świadectwa Jakóba z Wolterry kardynał był mężem pobożnym i skromnym, ale niewykształconym ²⁾. Rezultat zjazdu nisseńskiego dowodzi, że obok tego był człowiekiem niemałych zdolności praktycznych. W myśl przeszlorocznej swojej instrukcyi z 1 maja miał się on starać o zapewnienie Maciejowi jeżeli nie całego królestwa czeskiego, to przynajmniej większej jego części. Lecz od pierwszego planu,

¹⁾ Długosz XIII. 488—491; Eschenloer II. 276—283; Archiv cesky IV. 460 — 464; Dogiel I. 67 — 68; Palacky V. I. 84—88.

²⁾ Rajnald 526

połączonego, jak widzieliśmy, z ratyfikacją pokoju toruńskiego, papież niezadługo odstąpił, może dlatego, aby nie potwierdzać owego pokoju, który nietylko Krzyżakom, ale i Stolicy Apostolskiej i całej Rzeszy niemieckiej był bardzo nie miłym. Stał więc ostatecznie przy podziale krajów czeskich między Maciejem a Władysławem, jak widać z drugiej instrukcyi, danej kardynałowi 9 września ¹⁾. Ale ten więcej uczynił, bo nie poruszając wcale kwestyi pokoju toruńskiego, tak poprowadził sprawę, że na przypadek rozbicia się obrad opawskich — co nawet niektórzy przewidywali — korona czeska musiała według wszelkiego prawdopodobieństwa dostać się Maciejowi, skoro jeden z rozjemców, między którymi Maciej miał prawo wybierać, a mianowicie Karol burgundzki, był wówczas jego przyjacielem.

Kazimierz Jagiellończyk z niezadowoleniem przyjął wiadomość o uchwałach nisseńskich, jeszcze mocniej oburzali się senatorowie. Zwołano w tej sprawie na 1 maja sejm do Piotrkowa, na który gdy przybyli z Nissy pełnomocnicy królewscy, powitano ich ostreimi wymówkami, nawet chciano podobno unieważnić ich czynności. Wkońcu skrupiło się wszystko na arcybiskupie, na którego tamci całą winę zwalili, tak iż arcybiskup aż do końca życia, którem zresztą niedługo się cieszył, gryzł się swoją niefortunną misją dyplomatyczną. Co zaś do jej wyniku, nie powzięto w Piotrkowie żadnej uchwały dla nieobecności panów ruskich i krakowskich, powaśnionych z królem od czasu ostatniego sejmu z powodu nominacyj. Szczególnie zagniewani byli Dobiesław Kmita lubelski, Jan Tarnowski wojnicki i Stanisław Wątróbka sandecki kasztelani. Zapowiedziano więc na Zielone Świątki nowy sejm do Radomia ²⁾. Ale nim ten się zgromadził, Czesi złożyli zjazd w Bieniaszowie, który był bardzo liczny; samych stronników Władysława liczono blisko parę tysięcy, ze stronnictwa Macieja byli obecni Zdenko Sternberg, Zajacowie, Henryk Neuhaus i inni; przybyli także posłowie wrocławscy, świdniccy, jaworscy, łuzyczcy, oraz pełnomocnicy biskupa Rudolfa i trzech książąt szląskich. Pomimo grasującą w mieście zarazę obydwie stronnictwa pilnie i w naj-

¹⁾ Theiner II. 440.

²⁾ Długosz XIII. 491—492; Eschenloer II. 284.

lepszey zgodzie zajmowały się sprawami kraju; dopiero nagła śmierć pewnego bogatego pana husyckiego położyła koniec obradom, tak iż nie zdołano przeprowadzić całej organizacji rządu prowizorycznego, ani utrwalić pokoju w całym królestwie. Uchwalono jednak rozejm do 28 września następnego roku i zamianowano najwyższymi rządcami Czech Hynka Podiebradzkiego i Wilhelma Riesenberga z partyi Władysława, oraz Zdenka Sternberga i Jana Zająca z partyi Macieja. Tym czterem powinny były ulegać stany krajowe, dopomagać radą i czynem i płacić pewną pensyą; oni zaś mieli ustanowić w każdym powiecie zależnych od siebie urzędników dla spraw bieżących i przestrzegania spokojności publicznej. Taki sam rząd polecono zaprowadzić w innych krajach koronnych. Ale tylko Morawianie zastosowali się do przepisów zjazdu bieniaszowskiego i podobnie jak Czesi zamianowali u siebie czterech rządców, po dwóch z każdego stronnictwa. Szlążakom i Łużyczanom chciał Maciej dać ze swego ramienia jednego namiestnika w osobie Fryderyka księcia lignickiego, nie do administracyi, tylko po prostu, ażeby uorganizować pod jego dowództwem siłę zbrojną przeciw stronnikom Władysława. Lecz zamiar ten nie powiódł się, bo chociaż duch niezgody między stronnictwami był jeszcze w tych krajach zbyt silny, to jednak do poświęceń na korzyść Macieja nie miano już tam wcale ochoty ¹⁾. Zamiar ten sprzeciwiał się zresztą postanowieniom nisseńskim, wedle których władza obu królów miała być faktycznie zawieszoną aż do rozsądzenia ich sporu o koronę. Wprawdzie Maciej uczynił zadość tym postanowieniom o tyle, że uwolnił swoich stronników od przysięgi wierności, lecz natomiast żądał od nich jakichś nowych zobowiązań jeszcze ściślejszych i całkiem ignorował uchwały zjazdu bieniaszowskiego. Ci jednak, a zwłaszcza Zdenko Sternberg, stanowczo oparli się temu żądaniu, z czego tak gwałtowne między nimi a Maciejem wywiązały się niesnaski, że cała ta partya o mało nie przeszła na stronę Władysława. Ten bowiem nie tylko rozwiązał swoich poddanych od przysięgi i zastosował się do po-

¹⁾ Eschenloer II. 284 — 292; Archiv cesky IV. 465 — 469. Hynek Podiebradzki, trzeci syn króla Jerzego, przeszedł później z niewiadomych powodów na stronę Macieja.

stanowień bieniaszowskich, lecz postępowaniem swoim okazywał, że jeszcze cięższe gotów byłby ponieść ofiary dla zapewnienia krajowi pokoju. Odżyła więc na nowo miłość narodu ku niemu, spotęgowana szczególnie wieścią, że jakiś ubogi szlachcic czeski Jerzy Łucki chciał mu zadać truciznę, za co miał dostać od Macieja 20,000 złotych ¹⁾.

Ponieważ Władysław i Maciej zatwierdzili układ nisseński, przeto i sejm radomski, na którym, mówiąc nawiasem, obrażeni panowie polscy pogodzili się z królem, postanowił ze swojej strony wykonać zawartą ugodę. Zwrócono tedy zamek stropkowski Perenyjemu i wyznaczono pełnomocników na zjazd opawski ²⁾. Inne atoli były czynności jawne, a inne znowu zabiegi zakulisowe. Nie wiadomo, czy podczas tego sejmu, czy jeszcze wcześniej wszyscy trzej królowie wyprawili swoje poselstwa do Karola Śmiałego, ażeby zaskarbić jego względy, gdyż jego, ma się rozumieć, wybrał Maciej ewentualnym sędzią swojej sprawy z Jagiellonami ³⁾. Ale na tym niewinnym, zresztą wobec dobrych stosunków Macieja z Karolem bardzo wątpliwym środkiem dwór polski nie poprzestał. Cesarz Fryderyk nie uznał Macieja królem czeskim, do czego był się zobowiązał przeszłorocznym traktatem; owszem, jak przedtem tak i potem ciągle podszczywał przeciw niemu Kazimierza Jagiellończyka, który ze swojej strony chętnie słuchał tych namów. Podczas sejmu w Radomiu, gdzie był także obecnym poseł Władysława, Alberyk Sokołowski, rzecz już się tak miała, że Kazimierz wysłał do cesarza niejakiego Adama, dziekana poznańskiego, dla zawarcia zaczepnego przymierza przeciw Maciejowi. Obiecywał wystawić trzy wojska: jedno własne, drugie Władysława, trzecie Stefana hospodara wołoskiego, a od cesarza wymagał czwartego, oraz żądał, aby uroczyście przyznał Władysławowi tytuł króla czeskiego i elektora Rzeszy i wypłacił mu zaległy posag jego matki, przypominając, jak wielkiego kłopotu nabawił go był w zeszłym roku swoją nierzetelnością. Celem projektowanego przymierza było ni mniej ni

¹⁾ Długosz XIII. 494, 497—498.

²⁾ Długosz XIII. 492.

³⁾ Długosz XIII. 491.

więcej, tylko wypędzenie Macieja z Węgier. Cesarz, który się lękał, aby w Opawie Jagiellonowie na prawdę nie pogodzili się z Maciejem, wdzięcznie wysłuchał tego poselstwa i najlepsze nadzieje uczynił Adamowi; lecz na stanowczą odpowiedź jeszcze się nie zdecydował, tylko zażądał, aby Kazimierz i Właysław przysłali dla zawarcia przymierza swoich posłów na sejm augsburski, mający się otworzyć 1 września, na którym przyrzekł także ogłosić Władysława królem za porozumieniem się z elektorami ¹⁾. Uradowany tą obietnicą, Kazimierz Jagiellończyk odważył się na krok, który powinien był rozproszyć obawy cesarza. Tuż przed otwarciem zjazdu opawskiego, za sprawą króla, jak Eschenloer twierdzi, a Długosz pozwala się domyślać, wtargnęło z Polski do Węgier cztery tysiące najemnego żołnierstwa pod dowództwem Jana Białego, byłego komendanta stropkowskiego. Dowódcy ci obwarowali w pobliżu Koszyc dwie góry, Modrę i Bukowiec, i zaczęli wybierać dokoła daniny, wymuszając je na mieszkańcach ogniem i mieczem. W dodatku Mikołaj Perenyi powtórnie wpuścił Polaków do Stropkowa ²⁾.

Gdy się zbliżył termin zjazdu opawskiego, Władysław pierwszy przyjechał do Kladzka w licznej otoczeniu swoich panów radnych; daleko później nadciągnął Kazimierz do Oświęcimea, otoczony nie orszakami, ale całym wojskiem, wynoszącym sześć tysięcy ludzi. Maciej nie przybył do wyznaczonego sobie Olomuńca, gdyż zatrudniony był w Węgrzech wojną z polskimi bandami. Na miejsce zjazdu najwcześniej zjechał kardynał Marek z dwoma pełnomocnikami węgierskimi, Wojciechem biskupem wesprymskim i Wojciechem Kostką. Następnie przybył biskup wrocławski Rudolf, oraz posłowie szlęscy i łużyccy, którzy jednak nie mieli brać udziału w obradach. Polscy pełnomocnicy, mianowicie Jan krakowski i Jakób kujawski biskupi, Łukasz Górka, Stanisław Ostrobróg, Dobiesław Kmita, Jan z Rytwian marszałek koronny, Zbigniew Oleśnicki podkanclerzy, Jan Długosz i sześciu doktorów ze strojnym hufcem jazdy, z wieloma krytymi wozami stanęli w Opawie

¹⁾ Długosz XIII. 492—493, 499.

²⁾ Długosz XIII 495; Eschenloer II. 294. Modra i Bukowiec znane są dziś pod nazwami Nagymihaly i Homonna, i tak je też nazywa Bonfini.

dopiero 1 września. Trzeciego dnia potem przyjechali Czesi z partyi Władysława: książę Henryk Podiebradski, Wilhelm Riesenberga, Hernan ze Zwierzecic, Mikołaj Świtaczek, Bieniasz Weitmil i Ścibor Towaczowski; później przybyło jeszcze kilku panów czeskich. Nareszcie 5 września lub nieco później ukazali się pełnomocnicy węgierscy: Gabryel arcybiskup koloczeński, Gabryel biskup siedmiogrodzki, Michał Orszag, Emeryk Palocz, hrabia Jan Pösingen i Ulryk Grafenek, do których przyłączył się także Wiktoryn. Oczekiwano nadto czeskich stronników Macieja, ale żaden się nie stawił; tylko listownie wytłómaczyli się ze swojej nieobecności, która ztąd miała pochodzić, iż Maciej żądał od nich złamania uchwał bieniaszowskich, pomimo że za jego wiedzą przyłożyli do nich swoje pieczęcie. Zdenko Sternberg zaś pisał do kardynała, iż nie przybył z obawy, aby go Wojciech Kostka nie otrął na tym zjeździe. Z drugiej strony Maciej również niepochwlebnie wyrażał się o swoich stronnikach, donosząc Ściborowi Towaczowskiemu i Długoszowi, że za nic w świecie nie powierzyłby swojej sprawy ludziom, od których już nieraz był oszukany. Chociaż Węgrzy nie zbyt długo kazali na siebie czekać, jednakże pełnomocnicy Kazimierza i Władysława czynili im zarzut tak z opóźnionego przybycia, jako też z niestawienia się Macieja w Ołomuńcu i z nieobecności jego czeskich zwolenników w Opatowie, a na prawdę cieszyli się z tego wszystkiego, uważając to za wykroczenie przeciw ugodzie nisseńskiej, za czem i królom ich, jak sądzili, wolno było od niej odstąpić, a zwłaszcza odrzucić rozjemstwo Burgundczyka lub Francuza. Węgrzy znowu przypominali Polakom, że daleko dłużej czekali na nich w Nissie, winę zaś opóźnienia swojego i nieobecności Macieja przypisywali napadowi ich ziomków na Węgry. Co do nieobecności panów czeskich, dowodzili, że nieprzybycie kilku pełnomocników nie powinno tamować czynności zjazdu, gdyż według uchwał nisseńskich, które ten wypadek przewidziały, obecni mają zastąpić nieobecnych. Przystąpiono wreszcie 13 września do obrad. Kardynał zagał je mową, w której nakłaniał strony do jedności i pokoju, lecz obok tego twierdził, że należy pomyśleć o wytępieniu herezyi w Czechach i Morawach, z niej to bowiem wypłynęła wszelka niezgoda i wojna. Odpowiedział mu na to Jan z Rytwian, opisując szerokimi słowy cnoty

i potęgę Kazimierza Jagiellończyka, jako też prawa Władysława do korony czeskiej, przez co chciał zapewne dowieść, że pokój da się przywrócić, jeżeli tych praw nikt naruszać nie będzie. Mowę tę mianą po polsku, Zbigniew Oleśnicki powtórzył kardynałowi po łacinie. A że wzmianka o herezy obrażała Czechów, przeto Jan z Rytwian oświadczył zgromadzeniu, że kardynał zgwałcił ich glejty, za którymi nie po to przybyli, aby się spierać o rzeczy religijne. Kardynał jednak obstawał przy swoim, utrzymując, że nauka husycka jest istotnie herezyą, przeciw której już tyle napisano książek, że jego konie wszystkie razem nie zdołałyby ich udźwignąć — a miał kardynał blisko dwieście koni. Pomimo tak wymowny argument Czesi i Polacy chcieli się natychmiast oddalić z Opawy. Przystali zresztą na dalsze rokowania pod warunkiem, ażeby kardynał do nich nie należał. Żądaniu ich stało się zadość, ale sprawa zjazdu nic na tem nie zyskała; więcej czasu schodziło na kłótniach, jak na porządnym obradach. Wkońcu pełnomocnicy wybrali z pośród siebie ściślejszy komitet z dwunastu osób; gdy jednak członkowie jego nie mogli w żaden sposób się porozumieć, ustanowiono komitet jeszcze ściślejszy z ośmiu osób złożony; gdy i to nie pomogło, poruczono wszystko tylko dwom pełnomocnikom — Henrykowi Podiebradziemu i Gabryelowi Rongoniemu. Wprawdzie nie wiele dobrej woli okazywali Polacy i Czesi, ale i Węgrzy stawiali w imieniu Macieja warunki, na które tamtym nie godziło się zezwolić. Eschenloer, obecny podówczas w Opawie, twierdzi, że Maciej gotów był rzec się swoich pretensyj do korony czeskiej, lecz żądał zwrotu kosztów wojennych, które rachował na trzy milijony złotych. Ma się rozumieć, że strona przeciwna, chociażby nawet chciała, nie mogłaby zapłacić tak olbrzymiego odczepnego. Były jeszcze inne kombinacye, po części już znane i dawno odrzucone tak przez Czechów, jak przez dwór polski. Proponowali Węgrzy, aby Maciej posiadał całe królestwo czeskie, za to miał spłacić długi publiczne, uczynić Władysława stałym rejentem kraju podczas swojej nieobecności, a na przypadek bezpotomnej śmierci swojej zapewnić mu następstwo tronu. Zgadzała się nareszcie na podział monarchii między obydwojma współzawodnikami i to w taki sposób, ażeby każdy z nich poprzestał na krajach, które w owej chwili posiadał,

albo też aby Maciej poślubił Jadwigę Jagiellonkę i dostał w posagu Morawy, Szląsk i Łużyce. Na żadną z tych propozycji nie przystali pełnomocnicy polscy i czescy. Zapytani od kardynała, jakie ze swojej strony chcieliby podać warunki pokoju, odpowiedzieli, że ich królowie ofiarują Maciejowi, jeżeli dobrowolnie ustąpi z Moraw, Szląska i Łużyc, znaczne posiłki na wojnę turecką. Ale to oczywiście nie wystarczało. Spełził tedy zjazd opawski na niczem, a chociaż według uchwał nisseńskich sprawa powinna się była wytoczyć następnie przed sąd Karola burgundzkiego, Polacy i Czesi oświadczyli jednak, że wskutek niestawienia się Macieja i jego stronników sąd rozjemczy nie może się odbyć. Po zamknięciu obrad Węgrzy spisali długą protestacyą, w której odpowiedzialność za chybione układy zwalili naturalnie na stronę przeciwną i domagali się od kardynała, aby przyznał im słuszność. Jednakże kardynał, jakkolwiek przychylny Węgrom, z żalem zaznaczył tylko fakt niedojścia ugody, ale żądanej aprobaty nie udzielił, gdyż obie strony były winne. Jedynym rezultatem dodatnim tego zjazdu było postanowienie, powzięte przez pełnomocników Macieja i Kazimierza Jagiellończyka, czyli raczej — nazywając rzecz po imieniu — pobożne życzenie, ażeby Polska i Węgry przestrzegały wzajemnie swoich traktatów pokojowych. Wreszcie na odjeźdźnym 28 września Węgrzy zezwolili stosownie do życzenia Czechów, lubo tylko ustnie, aby rozejm w Bieniaszowie uchwalony trwał do umówionej daty ¹⁾.

Nie ma wątpliwości, że wobec roszczeń Macieja zjazd opawski zawsze musiałby się niepomyślnie skończyć, nawet gdyby strony były mniej ostro przeciw sobie wystąpiły. Jednakże i to pewna, że do zwichnięcia jego nie mało się przyczyniły nadzieje, jakie dwór polski pokładał w przymierzu z cesarzem. Kazimierz Jagiellończyk i Władysław nie omieszkali wyprawić swoich posłów na zapowiadziany sejm augsburski, a chociaż i Maciej to samo uczynił, byli pewni, że nie zdoła im popsuć szyków. Ale posłowie ci — Paweł Jasieński i Stanisław z Kurozwaków polscy, Burjan Gutsztejn, Bieniasz Kolowrat z Lipsztyna i Jodok Einsiedel czescy — jadąc do

¹⁾ Długosz XIII. 493—497; Eschenloer II. 292—299; Palacky V. I. 95—98.

Augsburga, dowiedzieli się, że sejmu nie będzie, ponieważ cesarz właśnie w tym czasie wybrał się do Trewiru dla układów z Karolem Śmiałym. Udali się zatem do Kadolzburga w pobliżu Norymbergi, gdzie nader gościnnie podejmowani przez Albrechta margrabiego brandeburskiego, przesiedzieli dwadzieścia z górą tygodni, czekając na powrót cesarza ¹⁾. Gdy tym sposobem projektowane²⁾ przymierze jego z Jagiellonami uległo niespodziewanej zwłoce, panowie polscy zaczęli się obawiać, aby ze swawolnej wyprawy Jana Białego i kompanii nie wywiązała się prawdziwa wojna. Obawy te podzielali panowie węgierscy, skutkiem czego obie strony ułożyły się o zjazd w Kiesmarku. Ale Maciej, nie ufając układom, wołał orężem rozprawić się z najeźdcami. Zebrawszy garstkę najemników różnej narodowości, ruszył w początkach grudnia pod Modrę i łatwo ją zdobył, gdyż nielicznymi obsadzona była obrońcami. Zginął mu jednak podczas szturm Mikołaj Czupur, wojewoda siedmiogrodzki, który często mawiał, wdychając, że chętnieby poszedł nawet do piekła, byle widział klęskę Polaków. Cała załoga Modry dostała się w niewolę, tylko dowódca Suchodolski bądź umknął, bądź puszczony od Macieja, wrócił do Polski; ale gorzej na tem wyszedł, bo zginął tam z ręki swojego towarzysza Wilka, który zarzucał mu zdradę. Bukowiec, daleko warowniejszy od Modry, obficie zaopatrzony w żywność i broniony przez trzystu dzielnych żołnierzy, wpadł w ręce Macieja dzięki przedajności swojego dowódcy Borzego, który nie dość że za pieniądze wydał mu twierdzę, lecz nadto zobowiązał się wraz z niektórymi innymi nigdy przeciw niemu nie walczyć, nawet za własną ojczyznę i króla. Wszystkich przysiężników za powrotem ich do kraju Kazimierz Jagiellończyk wtrącił do więzienia, Wilka zaś, którego miano karać śmiercią za zabójstwo Suchodolskiego, ułaskawił. Ostatnia ta okoliczność może służyć za dowód, że wyprawa Polaków do Węgier była istotnie jego dziełem. Maciej nie wątpił o tem i nie darmo przeszkodził układom pokojowym, bo nie przestając na wypędzeniu nieprzyjaciół, zapragnął jeszcze odwetu. Jakoż w miesiącu styczniu 1474 r. dowódca węgierski Tomasz Tarcza wtargnął z sześciotysięcznem wojskiem w granice Polski,

¹⁾ Długosz XIII. 499—500.

których nikt nie pilnował, pomimo że już wiadano o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Węgrzy opanowali naprzód Żmigród, wdarłszy się w nocy po drabinach na mury, a mając w ręku miasto, zaczęli bombardować zamek, który niezadługo się poddał. Obwarowawszy potem jedno i drugie nowemi wałami i fosami, założyli sobie w Żmigrodzie niejako główną kwaterę, z której czynili napady na całą okolicę podgóorską. W krótkim czasie spalili Jasło, Brzostek, Kołaczyce, Frysztak, Duklę i blisko dwieście wsi; miasto Pilzno, ludne podówczas i bogate, z ziemią zrównali, a mieszkańców uprowadzili do Węgier. I to wszystko bezkarnie, prawie bez oporu ze strony krajowców. Tylko Krosno potrafiło się obronić. Wprawdzie król Kazimierz, wcześniej ostrzeżony o zamiarach Macieja, przygotował się do odparcia najazdu i to nawet na większą skalę, niż wymagała potrzeba, nie wiadomo jednak, dlaczego nie stawiał czoła nieprzyjacielowi, chociaż miał kilka tysięcy najemnego wojska. Trzymał je przy sobie beczynnje w Opatowcu, czekając na Tatarów litewskich, oraz na pospolite ruszenie, które, jak zwykle, zbierało się leniwie, a w pochodzie tak się zachowywało, iż nie wiadomo, czy obcy, czy swoi więcej złego narobili krajowi. Napastnicy opuścili Polskę dopiero w skutek pokoju, zawartego przez pełnomocników Kazimierza i Macieja w Szramowicach 21 lutego za pośrednictwem doktora Bartłomieja z Massy, którego wydelegował do tej sprawy kardynał Marek, bawiący wówczas na dworze cesarskim. Szkody, tak przez Węgrów w Polsce, jak przez Polaków poczynione w Węgrzech, zostały wynagrodzone, jeńcy z obu stron wypuszczeni, zdobycze zwrócone. Dla zabezpieczenia przyszłości postanowiono, aby mieszkańcy obydwóch państw nie ważyli się odtąd wzajemnie najeżdżać, lecz aby spory swoje załatwiali zwykłą drogą sądową, albo przez starostów nadgranicznych, a w ważnych wypadkach przez królów. Ci ostatni również mieli zachowywać najlepszą zgodę, wszelkie zaś nieporozumienia starać się uchylać przez poselstwa, lub zjazdy swoich dygnitarzy. Radzono także o sprawie czeskiej, jako o głównem źródle rozterek, i uchwalono trzyletni rozejm między Maciejem a Władysławem. Czy ze strony Władysława był kto obecnym przy zawarciu tego rozejmu, nie wiadomo; Długosz mówi, że w pomoc Polakom przyszedł był z posiłkami Ścibor Towaczowski, ale czy

miał także upoważnienie do układów pokojowych i czy brał w nich udział, o tem wcale nie wspomina ¹⁾.

Pokój 21 lutego wedle brzmienia traktatu miał być wiecznym. Lecz rozumie się samo przez się, że dopóki sprawa czeska nie była ostatecznie rozwiązana, dopóty nie mogło być mowy o prawdziwym pokoju. W tym samym czasie, kiedy pełnomocnicy polscy i węgierscy przykładali swoje pieczęcie do ugody szramowickiej, posłowie Kazimierza i Władysława układali się z cesarzem Fryderykiem na podstawie przeszłorocznych instrukcyj o zbrojną ligę przeciw Maciejowi, do której Fryderyk tem chętniej się skłaniał, że zjazd jego z Karolem Śmiałym w Trewirze nie wydał pożądaných owoców. Karol rad zezwalał na małżeństwo swojej jedynaczki Maryi z synem cesarskim Maksymiljanem, lecz żądał nadania sobie tytułu królewskiego, oraz godności cesarskiej po śmierci Fryderyka. Na pierwsze cesarz gotów był przystać, na drugie nie. Gdy obok tego Karol wymagał jeszcze, aby elektorat, Czechom przysługujący, przeniesionym został na przyszłe królestwo burgundzkie, i nie chciał zerwać ani z Maciejem, ani z innymi nieprzyjaciołmi cesarza w Niemczech, Fryderyk do żywego oburzony wyjechał z Trewiru. Nie dziw tedy, że za przybyciem jego do Rotenburga w połowie lutego, posłowie polscy i czescy, którzy się udali tam z Kadolzburga w towarzystwie margrabiego Albrechta, uprzejmego doznali przyjęcia. Ztamtąd cesarz zabrał ich z sobą do Norymbergi, gdzie rozpoczęły się rokowania, popierane przez Albrechta. Posłowie domagali się przede wszystkim, ażeby cesarz stósownie do swojej obietnicy uznał Władysława królem i elektorem; cesarzowi zaś chodziło głównie o zawarcie przymierza. Po niejakiich targach zostały wreszcie spisane 11 i 13 marca traktaty, któremi trzej monarchowie obiecali sobie wspólnemi siłami powetować krzywdy, jakie im Maciej wyrządził, a mianowicie że przez długi czas niszczył ich państwa ogniem i mieczem, buntował poddanych cesarza i pozwalał Turkom napadać na jego kraje. Najwięcej grzechów, jak się pokazuje, popełnił Maciej przeciw cesarzowi, a jednak najwcześniej miał być karanym przez Kazimierza i Władysława, bo gdy ci obowiązali się wyruszyć na

¹⁾ Długosz XIII. 503—508, 510; Dogiel I. 68—75.

wojnę około 24 czerwca, Fryderyk przyrzekł uczynić to samo około 25 lipca. Bojaźliwy i nieszczerzy charakter jego objawił się również w sprawie przyznania Władysławowi należnych tytułów. Cesarz ogłosił go wprawdzie królem czeskim i elektorem Rzeszy w obecności kardynała Marka i książąt niemieckich, zgromadzonych podówczas w Norymberdze, ale formalne dopełnienie tego aktu, czyli udzielenie tak zwanych regaljów odłożył na później ¹⁾. Pomimo całą bowiem nienawiść swoją ku Maciejowi nienawidził go mniej, aniżeli się obawiał, i dla tego w taki sposób łączył się ze swoimi sprzymierzeńcami, ażeby w danym wypadku mógł ich bez wielkiego kłopotu opuścić. Byli oprócz cesarza inni, co także namawiali Kazimierza Jagiellończyka do wojny. Jeszcze przed zawarciem pokoju szramowickiego, kiedy król wysiadywał w Opatowcu, przybyli do niego posłowie siedmiogrodzcy z prośbą, ażeby wziął w opiekę ich kraj, gdzie zanosilo się na nowe powstanie przeciw Maciejowi. Nawet daleki Usun-Hassan, który w tym czasie znowu zachęcał monarchów chrześcijańskich do wojny tureckiej, między innymi także Kazimierza, jednocześnie ofiarował mu przez posła swojego Zeno, szlachcica weneckiego, zbrojne przymierze przeciw królowi węgierskiemu, zapewne dla tego, że przed rokiem Maciej chciał podobno zawrzeć z Mahometem przymierze przeciw Usun-Hassanowi, byle sułtan zwrócił mu Serbję i Bošnję. Wschodnim zwyczajem Usun-Hassan obiecywał złote góry: przy jego pomocy Jagiellonowie mieli zapanować nie tylko w Węgrzech i Czechach, ale w całym cesarstwie bizantyńskim. To ostatnie miał osiąść jeden z synów Kazimierzowych razem z ręką starszej córki Usun-Hassana, panny bardzo pięknej, a do tego pochodzącej z rodu cesarzów trebizondzkich. Rozumie się, że król nie mógł na serjo brać ani przymierza z władcą Turkomanów, ani małżeństwa swojego syna z księżniczką Trebizondy ²⁾.

Jeżeli godzi się twierdzić, że Kazimierz Jagiellończyk ze złą wiarą zawierał ugodę w Szramowicach, to i Maciejowi ten sam zarzut można uczynić. Na Szląsku wszczęła się wojna

1) Długosz XIII 500—501; Dogiel I. 164—165; Katona XV. 682—685; Chmel Monumenta Habsburgica t. I. str. 495.

2) Długosz XIII 509—510.

między Henrykiem Podiebradzkim a wiecznie niespokojnym Wacławem, księciem rybnickim, którzy obaj należeli do stronnictwa Władysława; lecz Wacław, przyciśniony od Henryka, poddał się Maciejowi i prosił go o pomoc. Maciej przysłał parę tysięcy wojska pod dowództwem Bielika. Ale nim ten nadciągnął, Wacław inaczej się namyślił i schronił się do Oświęcima pod opiekę Jakóba z Dębna, a wskutek tego ludzie Bielika wpadli do ziemi oświęcimskiej. Innego znowu księcia szląskiego Maciej wprost namówił do napadu na Polskę. Był to Jan sagański, stokroć gwałtowniejszy od Wacława, morderca rodzonego brata swego Baltazara Sagańskiego, którego posiadłości opanowawszy, sprzedał je następnie książętom saskim. Ten dostał od Macieja pieniądze, od Wrocławian armaty, i zebrawszy cztery tysiące żołnierza, przeszedł w połowie marca Odrę pod Stynawą i zaczął oblegać Wschowę. Wprawdzie odparto go ztamtąd z niemałą szkodą, lecz wyrodny Piastowicz blisko przez dwa miesiące pustoszył ziemię wschowską i część Wielkopolski. Skończyła się ta łotrowska wyprawa dopiero wtedy, gdy książę pod Kopanicą tak się popalił w płomieniach gorejącego zamku, że ledwie żywy został odni siony do swojego obozu ¹⁾. Wkrótce potem Maciej osobiście udał się z wojskiem do Moraw na obronę swoich stronników, jak twierdzi Eschenloer, albowiem partya przeciwna dokuczała im wbrew rozejmowi rozbójniczymi wycieczkami ze swoich zamków. Być to mogło; w gruncie jednak zbrojne wystąpienie Macieja było następstwem wypadków norymberskich, — nie przestał on bowiem na obleganiu owych zamków, lecz usiłował także wydrzeć Władysławowi miasto Hradysz, a w tymże czasie wojsko jego straszliwie zniszczyło Austrią, zapuściło się nawet pod Augsburg, gdzie cesarz Fryderyk odprawiał sejm, i spaliło przedmieścia tego miasta. Bliższe wiadomości o wojnie morawskiej nie dochowały się, musiała wszakże ciężko dać się uczuć stronnikom Władysława, skoro na sejm polski, otwarty 15 czerwca w Piotrkowie, Władysław wyprawił aż dwa poselstwa jedno po drugim, żądając od ojca pomocy w ludziach i pieniądzech. Król Kazimierz posłał synowi 24000 złotych, odnowił przymierze z cesarzem i ogłosił w swoim państwie powszechną

¹⁾ Długosz XIII. 511—513; Eschenloer II. 301.

wyprawę przeciw Maciejowi, rozkazując dworzanom, rycerstwu koronnemu, bojarom litewskim i Tatarom zgromadzić się 15 sierpnia pod Mstowem ¹⁾.

Sprzymierzeńcy chcieli zadać walny cios Maciejowi; Kazimierz Jagiellończyk miał wkroczyć na Szlązk, Władysław do Moraw, cesarz Fryderyk do Węgier. Król polski zaraz po sejmie piotrkowskim zaczął się sposobić do wojny w Nowem mieście Korczynie i już 12 sierpnia przybył do Mstowa. Ale wojsko jego zbierało się bardzo powoli, gdyż każdy robił, co mu się podobało; przytem wielu ze szlachty krakowskiej, poduszczonych przez braci Jana, Stanisława i Mikołaja Tęczyńskich, Spytka z Melsztyna i Jana Rabsztyńskiego z Kraśnika, nie chciało iść na wyprawę zagraniczną bez donatywy, pomimo że sejm uchwalił pospolite ruszenie właśnie zamiast podatku na zaciąg najemnego żołnierza. Król z wielką biedą nakłonił opornych do posłuszeństwa; ale nim się to stało, nim wreszcie całe wojsko się zgromadziło, upłynęło sześć tygodni, które Kazimierz Jagiellończyk beczynnie przeobozował w okolicach Mstowa i Częstochowy. Władysław, jak świadczą dokumenta, bawił 1 września w Kutnohorze, 3 tego miesiąca przybył do obozu pod Semitieszem, następne dni przepędził pod Żelaznemi Górami, a od 13 września do 5 października obozował pod Ślawetinem. O przygotowaniach ze strony cesarza nie słyhać nie było, tylko posłowie jego siedzieli przy boku Kazimierza, ciągle obiecując wyprawę do Węgier. Jak wszystkie w ogóle przyrzeczenia Fryderyka, tak i ta obietnica nie została spełnioną; cesarz nie przedsięwziął wyprawy węgierskiej, ani żadnej zgoła pomocy nie udzielił swoim sprzymierzeńcom, ponieważ sposobił się do wojny z Karolem Śmiałym. Ale i bez niego mogliby byli Jagiellonowie dać radę Maciejowi, gdyby posiadali nieco tej energii i przezorności, jakimi celował ich przeciwnik, zwłaszcza w chwilach niebezpieczeństwa. O czynnościach jego w Morawach wiadomo, że zdobył tam kilka zamków; lecz odparty 21 lipca od Hradysza, cofnął się ku Trenczynowi, zkąd jednak niebawem powrócił i 4 sierpnia przybył do Ołomuńca. Następnie aż do końca miesiąca prowadził obłężniczą wojnę w Szlązku Górnym zawsze, jak chce

¹⁾ Długosz XIII. 514; Eschenloer II. 302.

Eschenloer, z gwałcicielami pokoju; 31 sierpnia stanął w Nis-sie, gdzie zabawiwszy blisko dwa tygodnie, zamierzał udać się do księstwa świdnickiego, lecz dowiedziawszy się, jak liczne siły zgromadził Kazimierz Jagiellończyk pod Częstochową, pojechał do Wrocławia, ażeby myśleć o własnej obronie. Położenie Macieja było w istocie krytyczne. Do walki z sześćdziesięciotysięczną armią polską i piętnasto, czy dwudziesto tysięcznem wojskiem Władysława miał ledwie sześć tysięcy najemników, a przytem brakowało mu wówczas pieniędzy na opłacenie nawet tak szczupłej garstki i dla tego zamykał oczy na wszelkie gwałty, jakich żołnierze jego dopuszczali się na bezbronnej ludności. Na krajowców zaś nie mógł liczyć. Czescy i morawscy panowie jego stronnictwa nie pochwalali nawet jego wypraw na Morawy i Szląsk i radzili wspólnie ze stronnikami Władysława o przywróceniu pokoju, tem mniej życzyli sobie wojny z Polską. Szlązacy i Łużyczanie, z którymi Maciej odbył we Wrocławiu naradę, przyrzekli mu wprawdzie zbrojną pomoc; ale on nie bardzo ufał ich męztwu i wierności, skoro za poradą biskupa jagierskiego zamiast podatku krwi wołał nałożyć na nich podatek pieniężny. Nie dziw zatem, że gdy do Wrocławia przybyli czterej panowie — Zdenko Sternberg i Waclaw Czarnohorski z partyi węgierskiej, Wilhelm Rosenberg i Piotr Kduliniec z partyi Władysława, i ofiarowali swoje pośrednictwo w sprawie pokoju, Maciej ze szczerą chęcią przyjął ich usługi i 23 września wyprawił ich do obozu częstochowskiego z ugodowemi propozycjami. Nazajutrz pojechał do Wrocławia Ernest książę saski, przysłany od swojego brata Albrechta. Wyżej nadmieniliśmy, że ci bracia kupili księstwo sagańskie od nieprawego posiadacza Jana; lecz że Sagan był lennem korony czeskiej, musieli przeto uzyskać infeudacyą od króla czeskiego, a ponieważ poróżnieni byli z Władysławem o niezapłacone koszta wyprawy, podjętej przez Albrechta do Czech w r. 1471, więc udali się do Macieja. Ernest otrzymał, co chciał, bo w swoim i brata imieniu uznał Macieja królem czeskim, jakkolwiek mocno powątpiewał o losie lennodawcy. W listach swoich, pisanych podczas dwutygodniowego pobytu we Wrocławiu między 24 września a 7 października, donosił Albrechtowi, że na Szląsku panuje powszechne niezadowolenie z powodu ciągłej wojny, ciężkich podatków i

ucisku ze strony najemnego żołdactwa, tak iż należy się obawiać, aby Maciej od wielu nie był opuszczony; że nadeszły niepomyślne wiadomości z Węgier, gdzie Turcy znowu kraj spustoszyli, a lud głośno szemrze, iż król zamiast własnem państwem się opiekować, marnuje grosz publiczny w obczyźnie; że wskutek tego umysł Macieja zdaje się być wielce przygnębnym, a jego chęć pojednania się z nieprzyjaciołmi nie ulega wątpliwości.

Tymczasem Kazimierz Jagiellończyk ruszył z pod Częstochowy ku Kłobucku i Dankowowi i 26 września przeszedł granicę. Zapewne więc już na Szląsku, nie w Częstochowie, jak Eschenloer podaje, zastali go owi czterej panowie czescy, przybywający w poselstwie od Macieja, który żądał odnowienia rozejmu szramowickiego i przyrzekał ustąpić ze wszystkich ziem czeskich, byle król polski dał mu w małżeństwo swoją córkę Jadwigę. Ale król zanadto ulegał, co do tych związków, wpływowi królowej Elżbiety; ta zaś niezmiernie dumna ze swego pochodzenia cesarskiego, nigdy nie chciała zostać świekrą jakiegoś tam Hunyada. Przytem posłowie cesarza Fryderyka gorliwie odwozili króla od układów pokojowych, łudząc go obiecaną wyprawą do Węgier. Kazimierz Jagiellończyk pełen nadziei, że posiedzie wkrótce Czechy i Węgry, odpowiedział posłom Macieja, że nie tylko rozejm, lecz nawet stały pokój gotów jest zawrzeć, ale w nieobecności swojego syna w żadne rokowania wchodzić nie może. Zazaądał więc przede wszystkim, aby Władysław połączył swoje siły z jego wojskiem. Maciej, nie pomału zmartwiony złym skutkiem swojego poselstwa, prosił o pośrednictwo księcia Ernesta. Jakoż Ernest przychylił się do jego życzenia i na odjeźdźnym z Wrocławia wyznaczył czterech swoich radców do układów między wojującymi stronami. Czyniąc te kroki pojednawcze, Maciej wyzykiwał jednocześnie wszelkie środki militarne, na jakie się mógł zdobyć w swoim położeniu. Wojsko jego było bardzo nieliczne, a chociaż się składało z ludzi odważnych i wdrożonych do boju, jak nikt — mówiąc nawiasem, byli to prawie wyłącznie cudzoziemcy: Polacy, Czesi, Serbowie — to jednak wobec przeważających sił nieprzyjacielskich o wojnie regularnej nie mogło być mowy. Maciej musiał oszczędzać swoich żołnierzy. Zostawiwszy tedy miejsca otwarte na pastwę nieprzyjacielowi,

poprzestał na bronieniu punktów obwarowanych, które poob-
sadzał małemi załogami, a kędy i lud wiejski na jego rozkaz
musiał się schronić ze swoim dobytkiem. Większą część woj-
ska ściągnął pod Wrocław, który obficie kazał zaopatrzyć we
wszystkie potrzeby, i tuż obok miasta założył obóz mocno
oszańcowany, obwiedziony rowami i palisadami, z kąd bez us-
tanku wysyłał lekkie oddziały dla szarpania nieprzyjaciół, od-
bijania im żywności, chwytania picowników i tym podobnych
czynności podjazdowych. Słowem szukał ratunku w małej woj-
nie i trafny ten plan przeprowadził konsekwentnie od początku
do końca, bo sam był wodzem naczelnym, i to dobrym wodzem,
któremu chętnie ulegali wszyscy poddowódcy. Inaczej działo
się u przeciwników. Co robiło wojsko czeskie przed połącze-
niem się z Polakami i kto w niem rej wodził, niewiadomo;
młody, niedoświadczony Władysław nie sprawował zapewne
naczelnego dowództwa, jak również Kazimierz Jagiellończyk
nie sprawował go u siebie. Wogóle podczas całej wyprawy
Czesi stali niejako na boku; społeczne źródła mówią o czyn-
nościach Polaków, ale o Czechach prawie milczą. Wojsku pol-
skiemu hetmanił Jan z Rytwian, marszałek koronny, nie zły
podobno do rady, ale z rzemiosłem wojennem mało obeznany,
marudziarz i do tego stopnia nieudolny, że nawet ściągnął na
siebie podejrzenie, jakoby przekupionym był od Macieja. Ro-
zumie się, że pod takim kierownictwem nie dało się nic uło-
żyć, coby jakiegokolwiek miało podobieństwo do planu wojny;
bo wodzowie podwładni, jak zwykle, różnili się w zdaniach,
a nie było nikogo, ktoby sprzeczne opinie umiał pogodzić na
korzyść sprawy. Zdawało się, że Polacy po to tylko weszli
do nieprzyjacielskiego kraju, aby go zniszczyć, gdyż od tego
zaczęli i na tem skończyli, nie pokusiwszy się prawie o zdo-
bycie żadnego warowniejszego miejsca. Z niedołęztwem w kie-
rowaniu ruchem wojennym szła w parze wielka nieogłędność,
która sprawiła, że żołnierz ruszył na wyprawę bez ciepłej
odzieży, bez dostatecznych zapasów żywności, o dowóz zaś tego
wszystkiego miano jak najgorsze staranie.

Po przejściu granicy Polacy opanowali dwa miasteczka —
Kuczborg i Byczynę, w których zostawili załogi; trzecie —
Rosenberg wraz z probostwem obrócili w perzynę. Gdy sta-
nęli nad Odrą, wszczęła się kłótnia między panami wielkopół-

skimi a krakowskimi: ci chcieli iść pod Wrocław, tamci dowodzili, że nie wypada odsłaniać własnych granic, gdyż nieprzyjaciół mógłby je uszkodzić. Jedni i drudzy mieli słuszość, a spór łatwo dawał się rozstrzygnąć, bo sześćdziesiąt tysięcy wojska wystarczało i na obronę granic i na oblężenie Wrocławia. Po kilkuniedniedwej sprzeczce stanęło wreszcie na tem, że cała armia przeszła Odrę w bród pod Krapłowicami i ruszyła ku Opolu. Książę opolski Mikołaj uciekł do Wrocławia z żoną i dziećmi. Chciano zdobyć Opole, ale gdy miasto wytrzymało pierwszy szturm, w którym Polakom pękały podobno armaty, zaniechano wkrótce zamiaru; natomiast spalono dokoła w sześciomilowym promieniu blisko 400 wsi. W dalszym pochodzie wojska polskiego ku Brzegowi i Olawie przybyli do Kazimierza Jagiellończyka radcy księcia Ernesta: Wilhelm hrabia Henneberg, Hugold Schleinitz, Dytrych Schönberg i kanclerz Jan Scheibe, którym król to samo, co niegdyś panom czeskim oznajmił, t. j. że bez Władysława w żadne układy wdawać się nie może. Długosz twierdzi jednak, że Sasi wyjednali jakieś zawieszenie broni, z którego Maciej chciał zdradliwie skorzystać, lecz podstęp swój drogo przypłacił. Nigdzie indziej nie ma wzmianki o tym rozejmie, który jeżeli był zawarty, to niezawodnie na bardzo krótko, i może już był ubiegł, kiedy Maciej wysłał dosyć znaczny oddział pod Szurgast, aby wstrzymać przeprawę Polaków przez rzekę Nisę. Tego nieprzyjaciół nie dokazał, przeciwnie sam poniósł klęskę, bo napadłszy nieostroźnie 12 października pod wsią Swanowicami picowników polskich, nastęrczył Polakom sposobność do stoczenia jedynej w tej wojnie większej bitwy, której ci zawsze pragnęli. Picownicy, nagle zaskoczeni o wschodzie słońca, pierzchnęli; ale wnet nadbiegli inni żołnierze polscy i tłum Tatarów; niebawem nadciągnął Paweł Jasieński z większą chorągwią, złożoną z dworzan królewskich i Litwinów, a w ślad za nimi miał nadejść król z całym wojskiem. Zawiązała się bitwa, w której nieprzyjaciół, o wiele słabszy liczebnie, nie dotrzymał placu i umknął do Wrocławia, zostawiwszy tysiąc zabitych i sześćdziesięciu jeńców, z których najznakomitszym był pan czeski Wilhelm Pernstein. Dla Macieja była to wielka strata, a bitwa swanowicka mogłaby być najgorsze dla niego wydać skutki, gdyby Jan z Rytwian, jak całe wojsko chciał, poprowadził je

był natychmiast pod Wrocław. Ale marszałek obawiał się jakichś zasadzek i nie korzystał ze zwycięstwa. Obozowano więc w okolicach Brzega, Olawy i Grodkowa, których oblegać nie próbowano, tylko w otwartym polu ucierano się codzień z załogami, przy każdej sposobności czyniącemi wycieczki, i bez miłosierdzia niszczo kraj. Dopiero gdy nadciągnęli Czesi i 18 października połączyli się z Polakami, postanowiono ruszyć razem pod Wrocław. Korzystając z przybycia Władysława, pełnomocnicy sascy chcieli ponowić swoje starania pokojowe i prosili Kazimierza Jagiellończyka o glegt. Król posłał go im 22 października z oświadczeniem, że rad powita ich znowu w swoim obozie i chętnie przychyli się do ugody, jeżeli uczciwe i zaszczytne, jak upewniali, w imieniu Macieja podadzą warunki. Z jakimi propozycjami wystąpił zatem król węgierski, czego znowu Jagiellonowie żądali, nie wiemy; ale gdy 1 listopada usłyszeli ostatnie słowo Macieja, zerwali układy, oznajmując Sasom, aby się niepotrzebnie nie fatygowali.

W trakcie tych rokowań sprzymierzone wojska zbliżyły się do Wrocławia; 28 października widziano je pod Swantnikiem, 31 pod wsią ś. Katarzyny o milę od miasta. Maciej, przebrany za chłopca, wyjechał na rączym koniu z Wrocławia, ażeby się przypatrzeć ich ogromnemu obozowi, którego prawe skrzydło dotykało Odry, lewe opierało się o rzekę Lohe. Sądzono powszechnie, że nieprzyjaciel zaraz przystąpi do oblężenia; rada miejska chciała już zburzyć niektóre zabudowania na przedmieściach, lecz Maciej nie pozwolił; mieszczanie zaś tak pewni byli nie tylko oblężenia, ale zdobycia miasta, że nawet nie chcieli bram pilnować. Rzeczywiście w obozie nieprzyjacielskim myślano o tem. Ludzie doświadczeni w sztuce wojennej radzili, po opasaniu miasta ze wszystkich stron, pozabawić oblężonych wody przez odprowadzenie Odry do jej dawnego naturalnego łożyska. By tego dokazać, należało tylko przebić groblę, która utrzymywała rzekę w nowym korycie, bliżej miasta wykopaniem, co łatwo można było w paru, lub trzech dniach uskutecznić. Ale tej rady nie usłuchano, mówi Długosz, dzięki intrygom jednego z panów radnych, którego także podejrzrywano, że wziął od Macieja pieniądze. Nazwiska zdrajcy Długosz nie podaje, nawet nie wspomina, czyim był radcą, Kazimierza, czy Władysława. Nie zdrada jednak, ale

złe skutki nieudolnego kierowania wyprawą wstrzymały sprzymierzeńców od oblężenia. Maciej, który od początku był czynnym, miał w tym czasie nie sześć, lecz przeszło dziesięć tysięcy wojska; przeciwnikom zaś jego, szczególnie Polakom, z każdym dniem ubywało ludzi nie tyle w utarczkach z nieprzyjacielem, co na nieporządnem picowaniu i również nieporządnym wycieczkach, przedsięwziętych dla pustoszenia kraju. Partyzanckie oddziały Macieja wszędzie na nich się zasadzały wspólnie z ludnością, rozdrażnioną ogromnymi szkodami, przez nich poczynionymi, i jednych zabijały, drugich brały w niewolę. Nachwytno tu, że wszystkie wieże i turmy we Wrocławiu, Brzegu, Olawie, Opolu, Świdnicy i Grodkowie były przepełnione jeńcami, którzy ginęli tam z głodu, zimna lub zaduchy; a wstyd powiedzieć, że ten marny koniec Polacy zawdzięczali głównie rodakom, co służyli w wojsku Macieja, ci bowiem przemawiając do nich ojczystym językiem i udając swoich, tem łatwiej nieostrożnych gubili. Długosz wymienia przedniejszych z tych zdrajców ku wiecznej ich hańbie, jako zaprzańców swojego króla i ojczyzny, bo chociaż każdemu wolno było przyjmować służbę u obcych, to jednak walczyć przeciwko swoim zawsze uchodziło za czyn sromotny. Z tą klęską połączył się wkrótce niedostatek, a z niedostatku powstały choroby. Bezmyślne zniszczenie kraju odjęło swoim sprawcom środki wyżywienia; nie mieli mięsa ani zboża, a jeżeli dostali z kąd jakie zapasy, nie było gdzie zemleć ani upiec, bo wszędzie porozwalali piece i popalili młyny. Kazimierz Jagiellończyk kazał sprowadzić z Polski kilka tysięcy wozów z żywnością wszelkiego rodzaju i ciepłym ubraniem; ale ponieważ towarzyszący im oddział wojska był nieliczny czy też niedbały, cały transport dostał się w ręce nieprzyjacielskie o parę mil od Opolą. Inny transport z Czech częścią zabrał, częścią zniszczył pod Niemczą niezmordowany, wszędzie obecny partyzant Franciszek Hag. Głód, brak zdrowego pokarmu, który zastępowano surową jarzyną, mrozy i wszelkie niewygody zrodziły w wojsku zaraźliwą biegunkę, do której przybyła niebawem prawdziwa zaraza, grasująca wówczas na Śląsku. Gdy tedy śmierć zaczęła dziesiątkować żołnierzy, nie myślano już wcale o zdobyciu Wrocławia, tylko ze wściekłością palono wszystko w okolicy. W dzień Zaduszny tyle naraz płonąło wsi od rana do po-

łudnia, że choć niebo było pogodne, nie widziano słońca po za dymem. W parę dni później Polacy nagle zwinęli obóz, ruszyli ku Lissie i rozłożyli się nad rzeką Bystrzycą pod wsią Żalkowem. I znowu ujrzano z wysokich wież wrocławskich blisko 300 łun w jednym czasie.

Błędy, popełnione przez wojsko polskie, odbiły się nawet na tych, co ich nie popełnili, gdyż w miarę nieporadności swoich przeciwników Maciej stawiał się coraz więcej przedsięwziętym. Ludzie jego nawiedzili zachodnie pogranicze Polski. Jeden oddział nieprzyjacielski, z łatwością poraziwszy wieśniaków, którzy zaszli mu drogę pod Bolesławcem, wtargnął do ziemi wieluńskiej i srodze ją popalił. Drugi pod dowództwem Stefana Zapolyi, z którym połączyli się książęta Fryderyk lignicki i Henryk głogowski, ruszył w Poznańskie, gdzie opanował miasto Międzyrzecz; zamek zaś dostał zdradą, przekupiwszy, jak utrzymywano, burgrabiego Sędziwoja Żydowskiego, któremu za to król skonfiskował później dobra dziedziczne. Usadowiwszy się w Międzyrzeczu, nieprzyjaciel obrócił w popiół przeszło 1000 wsi okolicznych, spalił nawet przedmieścia Poznania i obładował się wszelkiego rodzaju łupami; tylko na jedno lub dwumilowej przestrzeni w około zamku międzyrzecznego oszczędził zagrody wiejskie, aby mieć żywność i robotników. Szkody musiały być ogromne, ponieważ wedle świadectwa Eschenloera jedna wieś polska w tych stronach tyle wartała, co dziesięć szląskich. W Czechach także się pojawiły oddziały węgierskie i niszczyły okolice Kolina.

Głodem, zimnem i chorobami znękanе, wojska sprzymierzeńców głośno zaczęły się domagać pokoju. Wtedy znowu wystąpili w charakterze pośredników ci sami panowie czescy, którzy chcieli jednać królów przed rozpoczęciem wyprawy, i ma się rozumieć, lepszego niż wówczas doznali przyjęcia od Kazimierza Jagiellończyka. Działo się to około 6 listopada. Przebiegu rokowań, jakie zaraz potem się rozpoczęły, nie znamy wcale; wolno jednak domyślać się, że z wielkimi połączone były trudnościami. Maciej, który potrafił się obronić dziesięć razy silniejszemu nieprzyjacielowi, chociaż i w jego obozie zaraza nie małe poczyniła szczyrby, pragnął jak najkorzystniej wyzyskać swoje zwycięstwo. Jagiellonowie, jakkolwiek im spieszo było z zawarciem pokoju, gdyż obawiali się,

aby zima nie pogorszyła ich położenia, mniemali, że przy pomocy cesarza Fryderyka osiągną z czasem to, czego sami nie dopięli, i domagali się stanowczo, ażeby ten największy wróg Macieja i główny sprawca wojny był także objęty traktatem pokojowym. Po siedmiodniowych konferencyach radcy trzech królów uznali za konieczne, aby ci osobiście z sobą się porozumieli. Jakoż 15 listopada we wtorek Kazimierz i Maciej pierwszy raz spotkali się z sobą w otwartem polu pod wsią Mochbern — Maciej wystrojony, obsypany perłami i drogiemi kamieniami, Kazimierz skromnie, po mieszczańsku, w czarnej sukni, podszytej sobolami, i w sobolowym kołpaku. Towarzyszyło im czterech panów — Jan z Rytwian i Zbigniew Oleśnicki, Zdenko Sternberg i Gabryel Rongoni, oraz kilka tysięcy dworzan w błyszczącej zbroi. Królowie przywitali się, nie zsiadając z koni, gdyż było bardzo zimno, i po przyjacielsku się rozmówili — Maciej osobiście, Kazimierz przez Oleśnickiego. Ale król węgierski nie chciał się wdawać w żadne układy w nieobecności Władysława, który dlatego nie przybył, że Maciej nie uznawał jego tytułu. Ulegając konieczności, Kazimierz Jagiellończyk przyrzekł sprowadzić syna nazajutrz, a ze swojej strony żądał, aby wojsku polskiemu wolno było przez trzy dni zbierać w kraju żywność dla ludzi i koni, na co Maciej natychmiast zezwolił i wydał stosowne rozkazy, tylko zastrzegł, aby do miast nie wpuszczano Polaków. Gdy nazajutrz wszyscy trzech królowie przybyli na to samo miejsce rozmowy, Władysław, podając rękę Maciejowi, odwrócił od niego oczy. Wkrótce jednak zamiast przymusu zapanowała uprzejma swoboda. Ojciec i syn zaprowadzili Macieja do swoich namiotów, po czem ten zaprosił ich do swojego, który był z czerwonego aksamitu, miał sznury jedwabne i kosztowne ozdoby ze złota. Tu Maciej częstował swoich gości winem i cukrami i konferował z nimi aż do wieczora. Dalej ciąg i doprowadzenie układów do końca powierzyli monarchowie swoim pełnomocnikom, którzy też niezwłocznie udali się w tym celu do Wrocławia. Ze strony Macieja wyznaczeni zostali Rudolf biskup wrocławski, Gabryel Rongoni, Zdenko Sternberg i Wacław Czarnohorski, ze strony Kazimierza Jakób z Dębna, Stanisław Ostroróg, Mikołaj z Kutna wojewoda łęczycki i Andrzej Róża proboszcz łęczycki, ze strony Wła-

dysława Wilhelm Riesenberga, Bieniasz z Lipsztyna Kolowrat, Piotr Kduliniec i Samuel z Hradka. Pobyt we Wrocławiu nie bardzo miły był Polakom i Czechom i mieszczenie wyrządzali im różne przykrości, duchowieństwo zabraniało Czechom wstępu do kościołów. Pewnego dnia zdarzyło im się widzieć, jak wywleczono z więzienia trzystu jeńców polskich, na śmierć przeznaczonych, i pogrzebano w dole rzeźniczym. Nie wiadomo, jak długo trwały rokowania wrocławskie, ale 19 listopada musiały już być uchylone wszelkie trudności, w tym dniu bowiem wojsko polskie cofnęło się do Lubusza, a czeskie pomaszerowało mimo Landshuta prosto do domu. Na krótko przed tem w obozie sprzymierzeńców wybuchnął pożar, w którym spaliło się mnóstwo ludzi, koni i przeszło dwieście, czy nawet pięćset wozów z żywnością i rozmaitemi sprzętami. Po zawarciu pokoju Polacy przeszli pod Stynawą na prawy brzeg Odry, lecz i tu nie obeszło się bez nieszczęścia. W nocy w wigilią przeprawy przyszedli rybacy i przenieśli tyki, zatknięte w miejscu, gdzie był bród, na inne miejsce głębsze, wskutek tego wielu utonęło ku zadowoleniu rybaków, którzy przez cały rok wyławiali ciała topielców i obdzierali je ze zbroi i pieniędzy. Tak niepomyślnie skończyła się wyprawa szląska, jedna z największych, jakie kiedykolwiek przedsiębrali Polacy, a w której wedle malowniczego wyrażenia Eschenloera spiknęły się przeciw nim wszystkie cztery żywioły: powietrze, zatrute zarazą, ogień, woda, nareszcie ziemia tak ścięta mrozem, że nie mogli grzebać umarłych.

Traktat wrocławski, nie wiadomo kiedy zatwierdzony przez Jagiellonów, przez Macieja zaś 8 grudnia, ustanowił powszechne zawieszenie broni między Węgrami, Polską i Czechami od powyższej daty do 25 maja 1477. Wszyscy brańcy jakiegokolwiek bądź stanu, tak w ostatniej wojnie, jako też dawniej ujęci, mieli odzyskać wolność bez okupu; wszystkie posiadłości, w Polsce i na Szląsku zdobyte podczas wojny, postanowiono zwrócić prawym właścicielom; świeżo wzniesione warownie wszędzie musiały być zburzone w ciągu dwóch tygodni, zburzonych zaś nie pozwolono dźwigać z ruin przez cały czas rozejmu. Gwałcicielom pokoju zagrożono karami, a nawet gdyby go złamał jeden z królów, inni dwaj powinni byli zbrojnie przeciw temu trzeciemu wystąpić. Cesarz Fryderyk także zo-

stał objęty rozejmem pod warunkiem, że w ciągu trzynastu tygodni zapisze się na wszystkie punkta obecnego traktatu, oraz że ci z jego poddanych, którymi Maciej się opiekuje, również z tego rozejmu będą korzystać. Co do stronników Macieja i Władysława w krajach korony czeskiej, tym zabroniono podczas rozejmu zmieniać chorągiew, a królom — przyjmować zbiegów. Ale uczyniono na korzyść Władysława wyjątek dla piętnastu Szlązaków, względem których wolno mu było oświadczyć, że od partii węgierskiej się oderwali, jak znowu pozwolono Maciejowi pięciu poddanych, lub sprzymierzeńców Władysława i Kazimierza Jagiellończyka podać za swoich stronników. Inne punkta traktatu ściągały się do utrzymania pokoju w królestwie czeskim i były powtórzeniem uchwał bieniaszowskich z tą małą różnicą, że zamiast czterech najwyższych rządców w Czechach i tyłuż w Morawach ustanowiono w obu krajach po dwóch, jednego ze stronnictwa Macieja, drugiego z pomiędzy zwolenników Władysława. Zakres ich władzy pozostał ten sam, w jakim działali ich poprzednicy. Nadto mieli być sędziami w sprawie o zamki, które Maciej w lecie tego roku pozabierał stronnikom Władysława z powodu zgwałconego niby przez nich pokoju, oraz o wszelkie szkody, jakie wzajemnie sobie poczyniły obydwie stronnictwa podczas rozejmu bieniaszowskiego. W tym celu zapowiedziano stanom wszystkich ziem czeskich sejm do Pragi za trzy tygodnie od Bożego Narodzenia ¹⁾).

Tego, co było źródłem wojny, to jest sporu o koronę, traktat wrocławski nie rozstrzygnął, nawet niepodał na to żadnego sposobu. Czego należało się spodziewać po upływie rozejmu?

¹⁾ Długosz XII, 516—524; Eschenloer II 302—326; Palacký V. I. 107—125. Nie korzystaliśmy z historyków węgierskich, którzy w swoje opisy powplatali różne bajki, np. że Maciej pobudował pod murami Wrocławia jakieś teatru, gdzie tańczono i śpiewano dla dodania żołnierzom odwagi, że ci walczyli pod okiem swoich kochanek (Bonfini), albo znowu, że Maciej tylko przedniejszych jeńców nieprzyjacielskich kazał zatrzymywać, innych zaś puszcząć wolno, naznaczywszy w twarz kresą, ażeby za powrotem do domu mogli poświadczyc, że widzieli Węgrów (Turocz).

oczywiście nowej wojny, a w najlepszym razie przedłużenia tego dziwnego stanu rzeczy, w którym Czesi, mając dwóch królów, nie mieli właściwie żadnego. Ale taka perspektywa właśnie nie dogadzała Czechom, którzy pragnęli stałego pokoju i gotowi byli okupić go ciężkimi ofiarami. Jakoż i sejm pragski nie po to się tylko zgromadził, aby radzić o szkodach, lecz przede wszystkim, aby usunąć dwoistość władzy królewskiej w swojej ojczyźnie. Poprzedziła go narada stronników Maciojowych, odbyta w Strakonicach w tym samym czasie, kiedy się miał zebrać sejm, który przez to znacznie został opóźniony. O czem tam radzono i co uchwalono, nie wiemy. Krajowi kronikarze zamilczeli również o czynnościach sejmu pragskiego, tylko Długosz zapisał o tem krótką, ale bardzo ważną wiadomość w następujących słowach: „za zgodą obu królów Władysława i Macieja, stany obydwóch stronnictw ze wszystkich ziem korony czeskiej, złożyły sejm w Pradze dnia 12 lutego 1475. Odrzuciwszy na bok wzajemną nienawiść, długo się naradzały nad utrwaleniem porządku w ojczyźnie. W końcu postanowiły, aby król czeski Władysław zatrzymał całe Czechy, Łużyce i dwa księstwa na Szląsku świdnickie i jaworskie, król węgierski zaś Maciej resztę Szlązka i całe Morawy. Jeżeli Maciej umrze przed Władysławem bezdzietny, prowincye oderwane wrócą do Władysława darmo, a jeżeli zostawi dziecić, ci zwrócą je Władysławowi za odebraniem 200,000 złotych. W ten sam sposób postąpi się z częścią przypadłą Władysławowi, jeżeli Maciej przeżyje swojego współzawodnika, z wyjątkiem atoli, że biskup ołomuniecki i marszałek koronny czeski zawsze będą ulegać królowi czeskiemu.“ Zastrzeżenie to uczyniono z powodu, że biskupi ołomunieccy byli zarazem kapelanami królów czeskich, a urząd marszałkowski już od XIV wieku utrzymywał się dziedzicznie w rodzie Lipskich. panów morawskich, którzy jako tacy, stawali się w myśl powyższego układu poddanymi Macieja. Z postanowieniem sejmu pragskiego zgodził się sejm berneński, odpawiony w obecności Macieja 25 marca. Nie wiadomo, co myśleli o tem Jagiellonowie; Maciej zaś oznajmił, że ugody zaprojektowanej nie może przyjąć bez rady papieża i niektórych książąt, swoich sprzymierzeńców. A gdy obydwie stronnictwa usilnie go

o to prosiły, przekładając, że ani papież, ani żaden książę chrześcijański nie doradzi mu nic takiego, coby się sprzeciwiało uspokojeniu kraju, odłożył odpowiedź do nowego sejmu, który miał zwołać 25 lipca do Preszburga ¹⁾. O ile wiadomo, sejm ten nigdy się nie zgromadził.

¹⁾ Długosz XIII, 530. Palacky V. I. 127.

(Dokończenie nastąpi).

Julian Sutowicz.

Do „Reformy Stosunków Wiejskich.“

III.

O ANKIECIE EKONOMICZNEJ.

Kiedy po niedawnej pożyczce głodowej roku 1866 wypadło w r. 1873 po raz wtóry, a w r. 1876 po raz trzeci zaradzać w ten sam sposób niedostatkowi ludności wiejskiej w wielu okolicach kraju, kiedy równocześnie gospodarstwa włościańskie zaczęły przechodzić w obce ręce w liczbie coraz to większej a tak szybko rosnącej, że można było obliczyć, kiedy ta straszliwa progresya ogarnie całą mniejszą własność¹⁾, kiedy wreszcie mnożyły się niemal z każdym dniem inne oznaki niepomysłnego położenia materyalnego nie tylko mniejszych ale i większych właścicieli ziemskich, niepodobna było nie uznać, że ten stan rzeczy nie może być żadną miarą jedynie albo choćby tylko przeważnie skutkiem nieurodzaju, epidemii i tym podobnych przemijających okoliczności zewnętrznych, lecz że musi mieć głębsze przyczyny, którym koniecznie wypada zaradzić, jeżeli złe niema wziąć góry ostatecznie i sprowadzić katastrofę społeczną. Stała tedy na porządku dziennym sprawa

¹⁾ Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, rocznik Iszy, zeszyt 2gi str. 47.

„zubożenia kraju“ jak ją nazwano w sejmie, sprawa „reformy stosunków wiejskich“ jak ją nierównie trafniej nazwano niedawno w „Przeglądzie Polskim“ wskazując w tej nazwie główną siedzibę złego a zarazem i to uznając, że wpływ jego nie ogranicza się na stosunki materialne. Sprawa ta mieszkającym na wsi przypomina się ciągle we wszystkim, co w około siebie widzą i słyszą; tym, którzy oddaleni są od stosunków wiejskich, przywodzą ją na pamięć i owe długie litanie edyktów licytacyjnych w każdym numerze dziennika urzędowego, i niemniej smutne sprawozdania z rozpraw karnych i kronika wypadków potocznych na prowincyi i korespondencye z rozmaitych stron kraju, które nie szczędzą czarnych barw, opisując miejscowe stosunki pod względem administracyjnym, ekonomicznym i moralnym.

Czego pełne są pisma peryodyczne, co stanowi też częsty przedmiot rozmów poważniejszych i dyskusyi na zebraniach publicznych, a nawet teatr, w którym szukamy rozrywki i zapomnienia o dziennych kłopotach, w ostatnich czasach często brał za tło sprawę upadku materialnego w wyższych warstwach naszego społeczeństwa, obecnie zaś w „Emigracyi Chłopskiej,“ ciągle tak licznie odwiedzanej, stawia przed oczyma naszymi obraz stosunków wiejskich, tak uderzający prawdą życiową i tyle mający obywatelskiej zasługi w podniesieniu ujemnych stron naszego położenia, że krytyka estetyczna umilka i ustępuje miejsca rozbiorowi sprawy ze stanowiska społecznego. Wprawdzie w społeczeństwie naszym najważniejsze sprawy publiczne, po krótkiej chwili żywszego zainteresowania się niemi, trafiają na obojętność ogółu, pomimo iż nie brak okoliczności, któreby przypominały ich ważność. Po części i skutkiem tylu nieszczęść naszych, zresztą skutkiem sangwinicznego usposobienia, oswajamy się zbyt łatwo z najprzykrzejszymi stosunkami i patrzymy nieraz spokojnie na objawy upadku materialnego, które gdzieindziej wywołałyby powszechne przerażenie. Jednakże w sprawie, o której mowa, zajęcie ogółu dotąd nie zdaje się słabnąć, ciągle jej przypomnianie się nie robi jej powszednią i to samo świadczy, gdyby nawet innych wskazówek nie było, iż jest to „sprawa nad sprawami.“ Chodzi w niej o zagrożone podstawy bytu najliczniejszych warstw społeczeństwa naszego, a groźba ta zanádo jest bliską, postępy złego

zbyt szybkie i zbyt widoczne a zarazem, jak trafnie podniesiono w artykule „Przeglądu“ „O naszych stosunkach,“ zbyt ściśłym jest związek tej sprawy z całą dalszą egzystencją naszego społeczeństwa i z naszą przyszłością narodową, żeby mógł ustać interes dla niej, póki jeszcze tli iskierka żywotności w naszym społeczeństwie, żeby apatya i bezczynność w obec niej były możliwemi.

W samej rzeczy przyznać trzeba, że odkąd sprawa „zubożenia kraju“ wstąpiła na porządek dzienny, widać żywsze krzątanie się około poprawy naszych stosunków. Na pierwszym miejscu wypada tu położyć starania, aby położyć tamę lichwie, w której widziano bezpośrednią przyczynę upadku gospodarstw rolniczych większych i mniejszych i przechodzenia ich w obce ręce, jak niemniej przyczynę upadku ludności miejskiej a w szczególności rzemieślniczej. Rzucono się tedy we wszystkich niemal stronach kraju do zakładania towarzystw zaliczkowych, których liczba obecnie dochodzi do ośmdziesięciu, z kapitałem własnym przeszło 1,200,000 złr. a dokończonym blisko 2½ miliona złr. Towarzystwa te, mimo rozmaitych przeszkód rozwijają się wogóle nader pomyślnie i miejscami położyły już dość znaczne zasługi w powstrzymaniu procesu wywłaszczenia.

Równocześnie obrócono rozporządzalne fundusze gminne na utworzenie kas pożyczkowych, których liczba wynosi podług ostatniego obliczenia 1246 a kapitały dochodzą do 1,100.000 złr. Te zakłady jednak z powodu nieudolnego zarządu ze strony władz gminnych a braku należytego nadzoru i ciągłej opieki nie przyniosły nawet tych korzyści, jakie mimo mniej skutecznej w porównaniu z towarzystwami zaliczkowemi działalności mogłyby wykazać przy dobrej administracji ¹⁾.

Sejm przez wzgląd na kompetencją, musiał ograniczyć się w tej sprawie do ponawianego kilkakrotnie wezwania, aby rząd w drodze ustawodawczej starał się położyć tamę nadużyciom lichwiarskim. Uchwały te jednak w połączeniu z przemówie-

1) Kasy pożyczkowe mogą obracać jedynie własnym kapitałem gminy lub funduszów gminnych, podczas gdy towarzystwa zaliczkowe na podstawie solidarnej poręki członków zyskują kredyt u obcych kapitalistów i obracają w skutek tego kapitałem znacznie większym, który jest ich własnością.

niami naszej delegacyi i z datami statystycznymi, które wykazały straszne postępy wywłaszczenia ludności rolniczej w naszym kraju, osiągnęły przynajmniej ten skutek, że rząd wniósł w radzie państwa projekt do ustawy przeciw oszukańczym praktykom w interesach kredytowych. Nadto podniesienie tej sprawy wywołało podróż delegata ministeryalnego do Galicyi z zapowiedzią inicjatywy rządowej w utworzeniu sieci towarzystw zaliczkowych, zapowiedzią, która dotąd w niczem się nie ziściła, w sejmie zaś podniesiono wcześniej jeszcze myśl rozszerzenia sieci towarzystw zaliczkowych na wszystkie okolice kraju przy pomocy tanich pożyczek z funduszu krajowego i polecono Wydziałowi krajowemu przedłożyć odpowiednie wnioski. Z lichwą najczęściej w parze działające pijaństwo doczekało się również poskramiającej ustawy, dwukrotnie w sejmie uchwalonej, którą rząd ze względów kompetencyjnych przeniósł do Rady Państwa, a której równie jak ustawie przeciw lichwie wypada życzyć rychłego przejścia przez alembik konstytucyjny i sprężystych wykonawców.

W dalszym szeregu usiłowań około poprawy naszych stosunków należy zapisać pierwsze dopiero lecz szczęśliwe próby podniesienia przemysłu domowego ludności wiejskiej, powoli idącego w zapomnienie, za pomocą szkółek fachowych, o których pomnożenie ciągle prowadzą się rokowania. Dalej powstanie i rozwój dwóch muzeów przemysłowych, które staną się ogniskami usiłowań około podniesienia u nas rzemiosł i innych gałęzi przemysłu, bez których rolnictwo nie może należycie zakwitnąć. Zaliczamy tu wreszcie ważną i często ponawianą, choć nie dość energicznie i wytrwale prowadzoną agitacją w przedmiocie taryf kolejowych i składów zbożowych, która zmierza do poprawy nader niepomysłnych dla rolnictwa krajowego stosunków obdytu.

Odrębne w obec wszystkich tych usiłowań stanowisko zajmuje myśl reformy administracyjnej, objawiona dotąd w známym projekcie krakowskim i we wniosku posła Dunajewskiego, który przyjął go za podstawę; myśl, omawiana powszechnie przy ostatnich wyborach, lecz wobec bardzo wielkich różnic i jeszcze większej niejasności w zapatrywaniach, naszym zdaniem daleka jeszcze od urzeczywistnienia, gdyby nawet nie było przeszkód zewnętrznych. Nie wahamy się wszakże zaliczyć starania

o reformę administracyjną usiłowań mających na celu poprawę naszego materialnego położenia, gdyż wątpić nie można, że reforma wpłynęłaby stanowczo i na te stosunki, a ta okoliczność jest jednym powodem więcej do popierania tej reformy. Również nie pozostanie bez doniosłego wpływu na poprawę naszych stosunków reforma szkolna, przeprowadzona w drodze ustawodawczej i dziś w bardzo znacznej części już wykonana, która jest chlubnym dowodem ofiarności kraju dla oświaty, a w razie dalszego polepszenia i zapewnienia dotacyi nauczycieli wiejskich, oraz oczekiwanego dotąd napróżno pomnożenia organów nadzorczych, jeszcze skuteczniejszą się okaże.

Wyliczyliśmy tu wszystkie, jak nam się zdaje, usiłowania lat ostatnich zostające w bliższym lub dalszym związku z poprawą naszego położenia. Są one dla nas objawami prawdziwie pocieszającymi, które radziłybyśmy widzieć mnożące się coraz bardziej, i skrzętniej niż dotąd zapisywane przez prasę ku zachęcie dla innych. Nie zapoznając jednak istotnej doniosłości tych usiłowań, musimy przyznać z drugiej strony, że nie stoją one w należytych stosunku do złego, przeciw któremu są skierowane, ani pod względem rozmiarów, ani pod względem kierunków, które obejmują, a najmniej wreszcie pod względem rezultatów dotychczas osiągniętych. Towarzystwa zaliczkowe, przedstawiające kierunek, w którym najwięcej działano, obejmują dotąd przeważnie ludność miejską i większych właścicieli ziemskich, a dopiero w drobnej części i tylko w niektórych okolicach ogarnęły także w znaczniejszej trochę liczbie i ludność włościańską, która tak nagłąco potrzebuje ich pomocy. Towarzystwa te skupiają się też przeważnie dotąd w główniejszych miastach, podczas gdy w rozległych okolicach kraju nie znaleźli się dotąd ludzie dobrej woli, którzyby zajęli się ich założeniem ¹⁾. Projekt do ustawy przeciw pijaństwu, jakkolwiek zbawienny, znacznie traci na doniosłości przez to, że przy załatwieniu sprawy propinacyjnej nie udało się, choćby kosztem najwyższego wykupna, uchylić na zawsze interes większego właściciela w powiększeniu dochodów z arendy. Wszyst-

¹⁾ Z istniejących towarzystw mamy 9 we Lwowie, 3 w Krakowie, 4 w Przemyślu, po dwa w Samborze, Sanoku, Tarnowie i Tłumaczu.

kie inne usiłowania, które wymieniliśmy poprzednio, są także dopiero w stadyum projektów, z wyjątkiem sprawy wykształcenia przemysłowego, będącej w początku wykonania, i reformy szkolnej, po których obu jednak dopiero w dalszej przyszłości możemy się spodziewać donioślejszych owoców. Kierunki wymienione, objęte dotychczasowymi usiłowaniami, nie są też jedynymi, w których można i należy działać ku poprawie naszych stosunków: obok przyczyn niepomysłnego położenia, które zwalczać mają owe usiłowania, są niewątpliwie jeszcze inne przyczyny, bądź bliższe, bądź głębsze; oprócz środków dotąd użytych lub projektowanych znajdują się pewnie dalsze. Jeżeli wogóle w życiu społecznym stan rzeczy w danej chwili jest wynikiem współdziałania najrozmaitszych czynników, przyrodzonych, ekonomicznych, intelektualnych i moralnych, to i praca nad reformą społeczną nie powinna pomijać żadnego kierunku życia społecznego, równie jak żadnego ze skutecznych środków działania. Owszem należy równocześnie podjąć pracę we wszystkich kierunkach, ale zarazem połączyć te usiłowania tak, aby nawzajem się uzupełniały, wprowadzić między nimi harmonię i podporządkować je pod pewne myśli przewodnie. W tym celu zaś potrzebnym jest pogląd na całość zadań, jakie ma przed sobą zamierzona poprawa naszego położenia, pogląd zatem na przyczyny złego, na dotychczasowe jego postępy, na użyte środki zaradcze i osiągnięte dotąd rezultaty.

Konieczność systematycznego działania w przedmiocie poprawy naszych stosunków i poglądu, o którym mowa, nasuwać się musiała przedewszystkiem w chwilach, kiedy niepomysłne położenie zaostrzało się pod wpływem nieurodzajów i wśród powszechnych skarg na ciężki niedostatek pojawiły się wypadki głodu. To też na sesyi roku 1873/4 po uchwaleniu pożyczki głodowej sejm krajowy na wniosek posła Bartoszewskiego polecił Wydziałowi krajowemu, „ażeby zbadał przyczyny gwałtownie postępującego zubożenia ludności wiejskiej i małomiejskiej i przedłożył Sejmowi odpowiednie wnioski.“ W dwa lata później, gdy sprawa głodowa znowu pojawiła się w sejmie, zapadła na wniosek komisji głodowej uchwała sejmowa z 28 marca 1876, którą polecono Wydziałowi krajowemu, „aby dla zbadania przyczyn powszechnego zubożenia kraju i zwiększającego się upadku gospodarstw wiejskich, tu-

dzież obmyślenia środków dla podźwignienia kraju z tego smutnego stanu zwołał ankietę i wynik jej czynności przedłożył przyszlęmu Sejmowi.“

II.

Ułożyć zupełny program poprawy naszych stosunków, jak to Sejm polecił Wydziałowi krajowemu, i to program obejmujący szczegółowe propozycje co do środków zaradczych, jest zadaniem bardzo obszernem i wcale nie łatwym, jeśli pojmuje się je w ten sposób, jak nam się to zdaje koniecznem. Nie myślimy bynajmniej przeczyć, że znaczna część ujemnych stron naszego położenia jest tego rodzaju, iż człowiek światły, obdarzony poczuciem dobra publicznego a posiadający pewną znajomość stosunków, które go otaczają, przez dłuższy pobyt w kraju i częste zetknięcie się z rozmaitemi warstwami ludności krajowej, potrafi wymienić owe ujemne strony i najczęściej będzie mógł określić mniej lub więcej ogólnikowo okoliczności, które przyczyniły się do tego położenia, oraz podać również mniej lub więcej ogólnikowe wskazówki co do możliwych środków zaradczych w tym lub owym kierunku. Oczywiście jednak odpowiedź taka nie może posłużyć za podstawę do programu reformy społecznej. Będzie ona zawsze w dość wysokim stopniu zależną od podmiotowego zapatrywania odpowiadającego, od jego usposobienia, stanowiska społecznego i mimowoli nawet od jego interesu, a o ile cokolwiek bliżej wejdzie w szczegóły, nie uniknie nigdy niebezpieczeństwa, że odpowiadający dopuści się bezwiednie generalizacyi nieusprawiedliwionej, t. j. w zeznaniach swoich odnosić będzie do stosunków całego kraju albo znacznej jego części to, co mu jest wiadomem o stosunkach swego najbliższego otoczenia. Jeżelibyśmy zażądali odpowiedzi na pytania: jakie jest położenie kraju, jakie przyczyny tego położenia i jakie na to środki zaradcze, od liczniejszego grona osób posiadających te same warunki, co ów pojedynczy odpowiadający a przytem zamieszkałych w rozmaitych okolicach kraju i zajmujących różne stanowiska społeczne, rezultat byłby o tyle lepszym, że zostałyby uwzględnioną w odpowiedziach niejedna strona naszego położenia, pominięta w in-

dywidualnym poglądzie, a podmiotowe wpływy byłyby zneutralizowane w pewnej części. Droga ta mogłaby może posłużyć do pobieżnego, niejako wstępnego zorientowania się w stosunkach, jednakże nie podobna dojść na niej do poglądu na położenie kraju, choćby w przybliżeniu tak dokładnego, żeby można oprzeć na nim prace ustawodawcze lub działania administracyjne. Wniosek indukcyjny o stosunkach całego kraju na podstawie doświadczenia owych kilkunastu osób byłby zapewne mniej hazardownym, niż podobne wnioskowanie na podstawie indywidualnego zeznania, lecz zawsze byłby nieuzasadnioną generalizacją pewnej, stosunkowo małej liczby indywidualnych spostrzeżeń i doświadczeń, przeto zbyt niepewnym punktem wyjścia dla usiłowań około poprawy naszych stosunków. Chcąc w tej mierze pewną zyskać podstawę, trzeba iść się innej drogi i uwzględnić więcej naturę stosunków społecznych.

Stosunki społeczne całego kraju, choćby tylko w pewnym dziale życia społecznego uważane, przedstawiają, zwłaszcza w naszych czasach, taką różnorodność, takie zawikłanie najrozmaitszych objawów, które nawzajem oddziałują na siebie a są wynikiem rozlicznych wpływów obecnych i dawniejszych, zewnętrznych i wewnętrznych, przyrodzonych, moralnych, intelektualnych i ekonomicznych, że doświadczenie osobiste kilkunastu a choćby i kilkudziesięciu osób połączonych dla objawienia wspólnego zdania, żadną miarą nie może wystarczyć, aby zdać należycie i szczegółowo sprawę ze stanu rzeczy. Tem bardziej da się to powiedzieć o naszym kraju, który zajmuje tak znaczną przestrzeń, przedstawia mnogie różnice między częściami swojemi pod względem warunków przyrodzonych a poniekąd i innych, a który zostając w ciągłych stosunkach z Zachodem i połączony wspólnem ustawodawstwem z krajami nierównie więcej rozwiniętymi pod względem materialnym i umysłowym, przedstawia połączenie objawów wyższej i bardzo niskiej cywilizacji, jakie nie łatwo napotkać gdzieindziej. Wobec komplikacji stosunków społecznych tylko w ten sposób da się osiągnąć dokładny pogląd na te stosunki, jeżeli w miejsce dorywczych sądów o całości, opartych na osobistem doświadczeniu, postawimy systematyczne badanie. To się stanie, jeżeli pomnożymy ilość spostrzeżeń, z których ma się zło-

żyć ów pogląd, do tego stopnia, aby się ich objęła cały badany obszar, zaś każde spostrzeżenie ograniczało się do pojedynczego faktu lub przynajmniej do ile możliwości małej liczby faktów, a zatem mogło być jak najbardziej szczegółowem i dokładnem; jeżeli dalej zdamy sobie sprawę ile możliwości dokładną z ilości i jakości badanych faktów i uporządkujemy je podług podobieństwa i różnic dostrzeżonych między nimi, po czem dopiero bliższe rozpoznanie zebranych wiadomości dozwoli nam rozjaśnić związek przyczynowy między badanymi faktami, wykazać działające wpływy, ocenić ich siłę i oznaczyć rozmiary ich działalności, oraz skutki tejsze. Takie badanie postępujące podług planu z góry ułożonego jest jak wiadomo badaniem statystycznym, bez którego zatem nie potrafimy się obejść, jeżeli chcemy zyskać pewną podstawę do pracy około poprawy naszych stosunków. Tylko że w tym wypadku badanie statystyczne musi stosownie do niezwykłego celu, do którego ma służyć, przybrać odrębny charakter.

Wiadomości o stosunkach społecznych, które dla użytku bieżącej administracji zbierają władze rządowe lub samorządne w ten sposób, że wskazane sobie fakta rejestrują, bądź w miarę, jak takowe się zdarzają, bądź w peryodycznych odstępach czasu, a następnie porządkują i zestawiają, z natury rzeczy nie mogą zbyt daleko wchodzić w szczegóły, lecz muszą ograniczyć się na tem, co jest najpotrzebniejsze i najłatwiej da się skonstatować. Wymaga tej wstrzeźliwości już względ na koszt a co ważniejsze, niechęć przeciw ciąglemu wglądaniu władz i w ogóle trzecich osób w tajniki życia indywidualnego. Ten ostatni względ sprawia, iż przede wszystkim w stosunkach gospodarczych statystyka ogranicza się prawie do tych szczegółów, które dla bieżących potrzeb swego zakresu rejestrują władze skarbowe i administracyjne. Takie wiadomości jednak nie mogą bynajmniej wystarczyć do zdania sobie sprawy ze stosunków społecznych w razach niezwykłych. Jeżeli chodzi o ocenienie wpływu jakiejś ustawy lub pewnego urządzenia na stosunki społeczne, jeżeli przygotowuje się ważna reforma ustawodawcza, którą należałoby ile możliwości starannie zastosować do położenia społecznego i potrzeb społeczeństwa, jeżeli dostrzeżoną zostaje zmiana w stosunkach społecznych, której przyczyny są za mało znane lub zbyt liczne,

ażeby można od razu je wskazać, ocenić ich doniosłość pod każdym względem i przedsięwziąć stosowne do tego środki zaradcze, natenczas potrzeba wniknąć głębiej niż zwykle w szczegóły położenia społecznego i zebrać wiadomości o stosunkach, które nie są przedmiotem zwykłych badań statystycznych. Władze, które zajmują się zwykłymi badaniami statystycznymi; w większej liczbie wypadków nie potrafią dostarczyć takich wiadomości, gdyż przeważnie będzie tu chodziło o szczegóły, które są im wprost niedostępne albo przy których urzędowe stanowisko badającego nie pozwala się spodziewać należytego wyjaśnienia rzeczy. Tak będzie mianowicie zawsze przy badaniu szczegółów, odnoszących się do materialnego i moralnego położenia osób należących do pewnego zawodu lub zajęcia, albo całych warstw ludności. W takich razach nie pozostaje nic innego, jak odwołać się do ludności samej, której dobro wymaga zbadania stanu rzeczy w celu obmyślenia działań zastosowanych trafnie do potrzeby, i wezwać osoby, od których można spodziewać się należytego objaśnienia o stosunkach, o które chodzi, aby udzieliły odpowiedzi na pytania w tym celu postawione. Pytania te muszą być ile możności szczegółowe, t. j. odnosić się każdym razem tylko do jednego rodzaju faktów i trzymać się tak pod względem przedmiotu jak pod względem zakresu terytoryalnego, ile możności w granicy dostępnej własnym spostrzeżeniom odpowiadającego, a równocześnie ilość odpowiadających winna być ile możności wielką, tak, żeby ich odpowiedzi nie tylko obejmowały cały zakres badanych stosunków, lecz żeby nadto odnosząc się nieraz do tych samych miejscowości i tych samych zdarzeń, kontrolowały się nawzajem do pewnego stopnia. Takie nadzwyczajne badanie, zapuszczające sondę statystyczną w głębie stosunków społecznych, które uchylają się zwykle od poszukiwań, a oparte na udziale przeważnym ludności samej w liczbie ile możności znacznej, znane jest na Zachodzie pod nazwą ankiety statystycznej.¹⁾

Ojczyznę ankiet statystycznych jest Anglia. Jeżeli w kraju tym okażą się w jakimkolwiek kierunku życia społecznego lub

¹⁾ Por. Fallati: Ueber statistische Enquêtes in Tübing. Zeitschrift für die ges. Staatswissenschaft T. III, tudzież Cohn, Parlamentarische Untersuchungen in England.

w jakiejbądź gałęzi administracyi stosunki niepomyślne, którym potrzeba zaradzić, albo też w ogóle zmiany wymagające pewnej reformy w ustawodawstwie, natenczas parlament wybiera komisją śledczą z swego grona (select committee) albo też królowa mianuje kilku komisarzy (commissioners of inquiry), którzy mają prawo, celem zbadania wskazanych im stosunków, wzywać przed siebie wszelkie osoby mogące dać wyjaśnienie w tym przedmiocie, żądać odpowiedzi na postawione pytania, tudzież wymagać złożenia potrzebnych pism lub dokumentów. Przesłuchiwanie odbywa się zazwyczaj nie na pytania z góry ułożone, lecz na wzór indagacyi sądowej; nierzetelne odpowiedzi ściągają karę na zeznającego, lecz z drugiej strony nie wolno go pociągać do odpowiedzialności z powodu poczynionych zeznań. Komisarze mianowani przez królową mogą nadto przenosić się z miejsca na miejsce i nie są ograniczeni tak jak komisarze parlamentarni — do czasu sesyi parlamentowej. Każde pytanie i każda odpowiedź bywają zapisywane, a po ukończeniu dochodzenia rezultat ujęty w formę sprawozdania komisyi, ogłaszany zostaje drukiem albo w całości lub też w stosownym wyciągu. W ten sposób powstały owe niezrównane sprawozdania o stanie rolnictwa w Anglii i Irlandyi, o stosunkach rozmaitych gałęzi przemysłu, o zaopatrzeniu obo- gich, o zakładach dobroczynnych, o stosunkach robotniczych w rozmaitych rodzajach fabryk, o związkach robotniczych, o używaniu dzieci we fabrykach, o stosunkach i urządzeniach sanitarnych i wiele innych, z których każde daje tak jasny i szczegółowy obraz sprawy, o którą chodzi, że nie można się dziwić, iż ustawy wydane na podstawie takiej znajomości rzeczy mogły odpowiadać istotnej potrzebie społeczeństwa.

Za przykładem Anglii weszły ankiety statystyczne w używanie także w innych krajach Europy, a mianowicie przed innymi w Belgii i we Francyi, jednakże z odmiennem urządzeniem, którego tu nie potrzebujemy bliżej opisywać i bez prawa cytowania i żądania odpowiedzi pod karą, oraz innych atrybucyj, jakie ma w Anglii komisya ankietowa. Nadto na stałym lądzie zamiast protokolarnego przesłuchiwania używane są nieraz pytania z góry ułożone dla wszystkich zeznających, na które następuje odpowiedź ustna lub tylko pisemna przez wypełnienie przesłanego kwestyjonarza. W Niemczech, gdzie

instytucja ankiet znacznie później się rozwinęła, lecz dziś również z powodzeniem bywa używaną, mamy oprócz ankiet z inicjatywy rządowej wychodzących także ankiety zarządzane przez korporacje lub towarzystwa, jak np. ostatnia ankietą w sprawie położenia robotników wiejskich w cesarstwie niemieckiem, zarządzona przez kongres rolników niemieckich.¹⁾

W Austrii projekty ustawodawcze i ważne zarządzenia administracyjne niestety prawie zawsze obchodzą się bez ankiety w właściwym tego słowa znaczeniu, t. j. bez szczegółowego badania stosunków, do których odnosi się zamierzona reforma po za zakresem zwykłych badań statystycznych w drodze zeznań składanych przez największą liczbę osób z pośród samej ludności. Trafia się wprawdzie nieraz, a w ostatnich czasach coraz częściej, że korporacje towarzystwa lub umyślnie złożone komisje wzywane bywają do udzielenia swojej opinii o zamierzonych reformach albo przez ocenienie gotowego projektu ustawodawczego albo w formie odpowiedzi na postawione w tym celu pytania, trafia się też, że podobnym ciałom poruczane bywa wprost obmyślenie środków zaradczych w pewnym kierunku. Jednakże jakkolwiek zupełnie uznajemy pożytek podobnych zarządzeń, błędnie nazywanych ankietami, sądzymy, że nie mogą one żadną miarą zastąpić ankiety statystycznej tam, gdzie przedewszystkiem potrzeba gruntownie zbadać istotny stan rzeczy w sposób ile możności dokładny i przedmiotowy. Mniemamy, że w wielu wypadkach dopiero na podstawie ankiety statystycznej możliwem jest trafne obmyślenie środków zaradczych lub wydanie ugruntowanej opinii, gdyż wtedy dopiero obradujący nad tym przedmiotem będą mogli oprzeć swoje wnioski na położeniu rzeczy w całym kraju a nie na osobistych jedynie doświadczeniach i czysto podmiotowem wrażeniu. Niewątpliwie zaś jeżeli gdzie to w Austrii różnaitość stosunków w różnych częściach państwa wymaga koniecznie jak najdokładniejszego zbadania stanu rzeczy i za-

¹⁾ Rezultaty tej ankiety zawiera dzieło: *Die Lage der ländlichen Arbeiter im deutschen Reich. Bericht an die vom Congress deutscher Landwirthe niedergesetzte Commission von Dr Th. Freiherr von der Goltz, Professor in Königsberg. Berlin 1875.*

stosowania doń projektów ustawodawczych. Właściwe ankiety statystyczne w drodze przesłuchania protokolarnego przeprowadzała w Austrii, o ile sobie przypominamy, jedynie wiedeńska Izba handlowa po kilka razy i to wielkiem powodzeniem, a w najnowszym czasie także gmina wiedeńska.

W Galicyi postępowano dotąd podobnie jak w całej Austrii. Najważniejsza ustawa, jaką Sejm nasz uchwalił, ustawa gminna, wniesioną została do sejmu bez dołączenia poglądu choćby najkrótszego na urządzenia dotychczasowe, na wpływ prowizoryum zaprowadzonego w r. 1856, na ilość gmin i posiadłości dworskich, różnice między niemi pod względem ludności, obszaru, siły podatkowej i t. p. Bez tego materiału pomocniczego, który gdzieindziej uważanoby za niezbędną, a do tego zniewolony zastosować się do ramy ustawy zasadniczej z 5 marca 1862 uchwalił Sejm ustawę najradykałniejszą, to jest najmniej liczącą się z danemi stosunkami, gdyż ustawa ta podciągnęła pod jedno i te same urządzenia wszystkie gminy całego kraju (z wyjątkiem dwóch miast stołecznych) od Tarnowa, Stanisławowa i Brodów aż do tych kilku gmin wiejskich, które nie mają 10 domów, i wszystkim dała jednakowy zakres działania. Od tego czasu nastał zwyczaj, że dla gruntowniejszego rozbioru spraw ważniejszych, które miały być przedłożone Sejmowi, bądź wskutek polecenia sejmowego, bądź z własnej inicjatywy, Wydział krajowy zwoływał komisye, które miały objawić swoją opinią lub nawet ułożyć projekt ustawodawczy. Mielśmy tego rodzaju komisye w sprawie propinacyjnej, gminnej, drogowej a nawet narodowościowej, mieliśmy w podobnym celu zjazdy prezesów rad powiatowych. Wszystkie te zebrania mimo najlepszych chęci, mimo doboru członków i poświęcenia znacznego czasu przyniosły rezultaty stosunkowo nader małe, głównie z tego powodu, że obradujący nie mieli pod ręką dokładnego na faktyczne stosunki poglądu, któryby służył za podstawę obrad i stanowił wspólny punkt wyjścia w pracy im poruczonej, lecz musieli dopiero porozumiewać się co do faktycznych stosunków a takie porozumienie było nieraz wprost niepodobnem ¹⁾ W skutek tych doświadczeń Wydział

¹⁾ Zupełnie inaczej wypadła najnowsza narada komisyjna w sprawie zmiany ustawy drogowej. Mając sobie przedło-

krajowy otrzymawszy od Sejmu polecenie zbadania przyczyn niepomysłnego położenia kraju pod względem materyalnym i obmyślenia środków zaradczych, postanowił przedewszystkiem zbadać owe położenie przez zebranie szczegółowych o niem wiadomości, które dałyby podstawę do pewniejszych wniosków o przyczynach obecnego stanu rzeczy. Niepodobna badania tych przyczyn odłączyć od zdania sobie sprawy z samego stanu rzeczy, co naturalnie poprzedzać winno dochodzenie przyczyn, nie podobna pod względem faktycznego stanu rzeczy poprzestać na ogólnem wrażeniu, że położenie materyalne kraju jest niepomysłne, że absolutnie lub w porównaniu z innymi krajami upadamy pod względem ekonomicznym, lecz trzeba koniecznie zdać sobie sprawę z tego, jakie gałęzie gospodarstwa krajowego upadają u nas, jakie warstwy społeczne dotknięte są upadkiem, jakie okolice uczuwają go najbardziej, do jakiego stopnia doszedł upadek i jak szybkie robi postępy — słowem trzeba naprzód skonstatować sam fakt upadku materyalnego we wszystkich ważniejszych jego objawach, które jeśli są, niewątpliwie dadzą się uchwycić przy badaniu statystycznym. Takie gruntowne zbadanie faktycznego położenia wydawało się tem potrzebniejszym w tym wypadku, bo wprawdzie uchwały sejmowe powzięte pod wrażeniem pożyczek głodowych przesądają z góry, że zubożenie istnieje w kraju naszym, jednakże sądy w tym przedmiocie są wcale sprzeczne. Słyszeliśmy nieraz bardzo poważne głosy, które nie zaprzeczają bynajmniej niepomysłnych objawów w położeniu kraju, o jakich wspomnieliśmy na wstępie niniejszego artykułu, twierdzą wszakże, że mimo to ostatecznie nie upadamy, ale raczej choć bardzo powoli postępujemy pod względem materyalnym, a wobec owych ujemnych stron naszego położenia wskazują na znaczny wzrost w cenach ziemi po całym kraju, na podniesienie się cen robotnika, na staranniejszą zwłaszcza po większych gospodarstwach uprawę roli, zwiększające się użycie machin rolniczych,

żony bogaty materiał statystyczny, który dozwolił ocenić doniosłość praktyczną każdej propozycji, mogła komisya w trzech posiedzeniach przeprowadzić dyskusyą nad wszystkimi główniejszemi postanowieniami projektu i sformułować swoje zapatrywania.

zwiększoną w wielu kierunkach konsumpcją, która świadczy o lepszym bycie, z drugiej strony zaś nierównie większą oględność w wydatkach na wystawne życie, karty, zabawy i t. p. Rozstrzygnąć o tem, czy jest postęp czy też upadek w naszych stosunkach materialnych, i oznaczyć, w czym leży jedno a w czym drugie, możliwem jest jedynie na podstawie szczegółowego zbadania tych stosunków, które nadto będzie miało i tę ważną korzyść, że dostarczy nam bogatego zapasu faktów dla poparcia naszych twierdzeń o „odrębnych właściwościach“ naszego kraju, wobec usiłowań czynionych w Radzie Państwa, by zastosować do nas takie same urządzenia, jakie uznano za stosowne dla innych krajów monarchii. Zbadanie zaś obecnego położenia kraju, o jakim tu mowa, da się osiągnąć jak wykazano poprzednio, jedynie w drodze ankiety statystycznej, na którą też Wydział krajowy musiał się zdecydować, chcąc na leżycie wywiązać się z sejmowego polecenia.

Przy przeprowadzeniu ankiety statystycznej w kraju naszym wypada liczyć się z miejscowymi warunkami, bo od tego zawisło powodzenie pracy. Jeżeli w zachodniej Europie przeprowadzają ankiety wysłani po kraju komisarze, przed którymi osoby znające stosunki miejscowe stawają z własnej chęci lub na wezwanie i składając zeznania odpowiadają nietylko na ułożone z góry pytania, lecz także i na dalsze pytania, jakie komisarze zadadzą im dla zupełnego wyjaśnienia rzeczy, to u nas postępowanie takie nie dałoby się zastosować obecnie.

Z jednej strony wymagałoby to bardzo znacznych kosztów, z drugiej strony zaś niepodobna znaleźć u nas ludzi, którzyby mieli wprawę do funkcji komisarzy ankietowych i mogli się tem zająć. Trzeba było zatem poprzestać na rozsłaniu pytań odnoszących się do materialnego położenia kraju i zażądaniu pisemnej odpowiedzi na te pytania od osób, któreby zechciały zeznać o stosunkach swojego najbliższego otoczenia, zatem najbliższej okolicy o tem, co jest im wiadomem z codziennego doświadczenia, ze spostrzeżeń nastęrczających się każdemu, kto wykształconym umysłem patrzy na otaczające go stosunki. Ze względu na odmienne stosunki głównych warstw społecznych postanowiono ułożyć osobny szereg pytań zmierzających do wyświecenia stosunków większej własności, osobny odnoszący się do włościan a osobny wreszcie dla ludności

miejskiej, w obrębie której okazała się potrzeba dość znaczną liczbę pytań postawić, osobno dla ludności chrześcijańskiej a osobno dla żydowskiej.

Powodzenie badania w ten sposób zarządzonego zależy w pierwszym rzędzie od trafnego ułożenia pytań, co jest rzeczą wcale nie łatwą. Chcąc należycie wywiązać się z tego zadania, trzeba znać już do pewnego stopnia stosunki, o których się chce otrzymać szczegółowe wiadomości; trzeba wiedzieć, o jakie szczegóły i w jakim kierunku wypada się pytać, oraz, jak sformułować pytania, aby ile możności ułatwić danie wyczerpującej odpowiedzi, a zarazem zyskać możność skontrolowania jej pod względem dokładności i wiarygodności. Nie darmo nazwał ktoś praktyczną statystykę sztuką pytania, wskazując w tej nazwie, gdzie leży punkt ciężkości jej zadań. Drugim warunkiem powodzenia ankiety statystycznej, jest stosowny wybór osób, które mają odpowiadać na postawione pytania. Jeżeli badanie przeprowadzonym bywa w drodze zeznań protokolarnych, natenczas rzecz jest o tyle łatwiejszą, że trafna indagacya ze strony komisarzy ankietowych może uzyskać požądane wyjaśnienia nawet od ludzi na najniższym stopniu wykształcenia zostających; i tak np. przy angielskich ankietach odbierane bywają zeznania od prostych robotników, od kobiet a nawet od dzieci, a fakta przez nich podane są częstokroć wielkiej wagi. Nadto można tu powoływać do zeznań coraz to dalsze osoby, dopóki rzecz nie zostanie wyjaśnioną należycie i wszechstronnie. Żądając natomiast pisemnej odpowiedzi na ułożone poprzód pytania, zacieśniamy z góry koło odpowiadających, bo ograniczamy je do osób, które nietylko umieją czytać i pisać, lecz także mogą zrozumieć postawione pytania i sformułować swoje odpowiedzi na nie. Nadto pisemna odpowiedź wymaga więcej trudu i czasu oraz dobrych chęci dla ofiarowania jednego i drugiego niż ustne zeznanie, a powoływanie dalszych osób do składania zeznań, po za liczbą pierwotnie oznaczoną, połączone jest z trudnościami. Tem bardziej starać się tu trzeba o to, aby pytania rozesłane dostały się w najwłaściwsze ręce i żeby między odpowiadającymi znaleźli się ludzie z wszystkich stron kraju a zarazem z rozmaitych powołań i stanowisk społecznych, którzyby mogli udzielić dokładnych wyjaśnień także o części ludności nie mogącej skła-

dać pisemnych zeznań. Trzecim wreszcie warunkiem powodzenia ankiety statystycznej jest, aby liczba zeznających była tak znaczną, żeby zeznania trzymające się w granicy indywidualnego doświadczenia, obejmowały kraj cały a spotykając się nieraz pod względem przedmiotu służyły sobie wzajemnie za kontrolę. Wtedy bowiem dopiero uzyskamy pogląd szczegółowy i wiarygodny na całość stosunków, które chcemy zbadać.

Wszystkim tym wymaganiom starał się Wydział krajowy uczynić ile możności zadość przy zarządzeniu ankiety statystycznej w przedmiocie materalnego położenia kraju. Ułożenie pytań poruczono osobnej komisji, następnie udzielono je do zaopiniowania osobom kompetentnym, między innemi uproszono prezydenta miasta Krakowa, aby w tem mieście złożył w tym celu naradę. Otrzymawszy żadaną opinią, poddano pytania ponownemu rozbiorowi uwzględniając ile możności poczynione uwagi, które zawierały niejedną cenną wskazówkę. Starano się przytem tak sformułować pytania, aby odpowiedź nie wymagała umyślnych badań lub operacyj rachunkowych od odpowiadającego, co pociągnęło za sobą konieczność unikania pytań żądających podania ścisłej cyfry a zatem koncesyj pod względem dokładności, jakie statystyka woli nieraz z góry uczynić, niż popisywać się cyframi podejrzaney wiary. Wybór osób mających składać odpowiedzi poruczono wydziałom powiatowym, które najlepiej mogą znać miejscowe stosunki, dano im jednakże stosowne wskazówki pod tym względem, zalecając mianowicie przyzwanie do udziału osób, mających ciągłe stosunki z ludem a przede wszystkim duchowieństwa. Nie poprzestając na tem, rozesłał Wydział krajowy znaczną liczbę zeszytów z pytaniami do korespondentów stałych galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, do komitetu krakowskiego Towarzystwa rolniczego celem rozesłania członkom, do izb handlowych dla rozdania korespondentom tychże po kraju, wreszcie do znacznej liczby osób, od których spodziewał się uzyskać pouczającą odpowiedź. Zarazem proszono tych adresatów, którzy otrzymali więcej niż jeden zeszyt z pytaniami, aby drugie i dalsze egzemplarze udzielili kompetentnym osobom w sąsiedztwie z prośbą w imieniu Wydziału krajowego o udzielenie odpowiedzi. W ten sposób rozrzucono po kraju blisko tysiąc zeszytów z pytaniami odnoszącemi się do większej

własności i tyleż mniej więcej z pytaniami o stosunki włościan, tudzież z pytaniami o stosunki ludności miejskiej, razem blisko trzy tysiące egzemplarzy, z których każdy ma dodane krótkie objaśnienie celu pracy, tudzież wskazówki co do ułożenia odpowiedzi. Rozsyłkę pytań do wydziałów powiatowych uskutecznilo około 10 grudnia, resztę wysłano w połowie tegoż miesiąca z wyjątkiem małej liczby pytań, które później rozesłano. Dotąd, to jest do połowy stycznia, nadeszła już dość znaczna liczba odpowiedzi, bo do paręset; dalsze nadchodzą codziennie, tak iż zapewne w połowie przyszłego miesiąca będzie można przystąpić do uporządkowania i opracowania tego obszernego materiału, który, o ile dziś sądzić wolno, będzie nader ciekawy.

Miasta Lwów i Kraków oraz jedyne fabryczne miasto w naszym kraju, Biała, ze względu na odrębne stosunki swoje nie mogły być objęte niniejszem badaniem, które w pytaniach odnoszących się do ludności miejskiej uwzględniało przeważnie małomiejskie stosunki. Ponieważ jednak w obrazie ogólnym położenia kraju miasta te powinny w każdym razie zająć odpowiednie miejsce, przeto zamierzono jest osobne badanie stosunków ekonomicznych w tych miastach, o ile to będzie potrzebnem dla uzupełnienia poglądu uzyskanego z ankiety. Kto wie, czy wyjątkowo w tych trzech miastach, których stosunki zbyt wielką przedstawiają rozmaitość, żeby można zbadać je głębiej w drodze pytań z góry ułożonych, nie udałoby się przeprowadzić z powodzeniem ankietę w drodze zeznań protokolarnych przed komisją z miejscowych żywiołów złożoną? Wybornym wzorem w tej mierze mogłyby być ankiety wiedeńskie, o których wspomnieliśmy poprzednio.

Opracowanie zebranego materiału, który w najgorszym razie, gdyby znaczna część rozesłanych pytań nie wróciła z odpowiedziami, obejmie z górą dwa tysiące zeszytów (każdy po sześćdziesiąt pytań mniej więcej), będzie zapewne pracą nadzwyczajnie mozolną. Szczególnie krytyka nadesłanych odpowiedzi przez porównanie z innemi, z datami w innej drodze zebranemi a niekiedy nawet za pomocą umyślnej korespondencji będzie najtrudniejszą częścią zadania. Jednakże nigdy bez trudu nie dokonywa się rzeczy istotnie pożytecznych; przykłady ankiet zagranicznych, w szczególności zaś angielskich świad-

czą, że nawet bez porównania obfitszy materyał da się przecie zestawić należycie i ułożyć w pogląd, który choć szczegółowy, jednak pod względem jasności nie pozostawia nic do życzenia.

Mamy przekonanie, że praca ta dorzuci choć drobną cegiełkę do gmachu pomyślności krajowej, doda siły i wytrwałości do pokonania przeszkód, pod niektórymi względami u nas większych niż gdzieindziej. Wszakże nie od opracowania, które jest kwestyą czasu, pilności, znajomości techniki statystycznej i pomocy materyjalnej, zależy głównie ostateczny rezultat; głównym warunkiem powodzenia całej pracy pozostanie jakość materyału uzyskanego w odpowiedziach, w którym to względzie Wydział krajowy zrobił, co było w jego mocy, a reszty oczekuje od państwowego udziału wykształceńszych warstw ludności krajowej, w czem chcemy wierzyć, iż z pewnością się nie zawiedzie.

Pogląd na położenie kraju, który będzie ostatecznym wynikiem opracowania materyałów ankietowych, powinien zarazem wskazać przyczyny tego stanu rzeczy bądź wprost, bądź pośrednio w ten sposób, że przyczyny te dadzą się łatwo i na pewnej podstawie wywnioskować z owego poglądu. W ten sposób spełnioną zostanie połowa tylko, prawda że mozolniejsza, zadania przez Sejm postawionego. Drugą część zadania stanowią obmyślenie środków zaradczych, do których rozesłane pytania tylko wyjątkowo się odnosiły, gdyż jest to przedmiot do obrady w szczuplejszem gronie ludzi specjalnie uzdolnionych, lecz nie nadający się do pytań stawianych ogółowi, że tak powiemy do powszechnego głosowania. O tej drugiej części zadania, poruczonego Wydziałowi krajowemu, chcemy dorzucić parę uwag w następnym artykule.

Tadeusz Piłat.

IV.

O LICHWIE.

Głos sejmu naszego i głosy deputowanych naszych w Radzie państwa, w sprawie lichwy, skłoniły wreszcie rząd do projektu ustawy przeciw nadużyciu w interesach kredytowych w kraju naszym. Relacye sądów naszych, a może i sprawozdania prof. Marcheta przekonały rząd, że nadużycia te są tak wielkie, iż uorganizowanie kredytu samo na niewiele przydaćby się mogło, że zatem chcąc wydobyć kraj z toni nadużyć lichwiarskich, wypada zejść na grunt tych nadużyć i karać to nieczne usposobienie kredytujących, które tykając granic oszustwa dlatego tylko karanem nie bywa, że między nieprawością cywilną, a oszustwem istnieje luka w ustawodawstwie, i to taka, że wszystkie niegodziwości pozostają bezkarnemi, jeżeli tylko nie przekroczyły granic oszustwa. Projekt rządowy wprowadza tedy nowy rodzaj przestępstwa dotychczas niekaranego, by ową lukę wypełnić, i podciąga pod karę nie tylko interesa pożyczkowe, lecz wszystkie interesa kredytowe w ogólności, jeżeli interesa te noszą na sobie cechę nierzetelnego postępowania.

Sejm nasz domagał się tylko ograniczenia stopy procentowej w tym kierunku, by sądy nie nieprzysądzały i niedozwalały ubezpieczać więcej nad 12% rocznie, domagał się tedy reformy ustawodawstwa cywilnego. Wniosek pierwotny komisji Izby deputowanych w Radzie państwa, która nad wnioskiem posła Rydzowskiego obradowała, domagał się także reformy tylko ustawodawstwa cywilnego w stosunkach kredytowych, ale Izba deputowanych rozszerzyła ten wniosek komisji przez przyjęcie poprawki Dra Rydzowskiego, który żądał także reformy w ustawodawstwie karnem.

Jeżeli się więc zważy, jaki był zamiar sejmu naszego i jaki był zamiar pierwotnego wniosku komisji w Izbie deputowanych, to jest, jeżeli się zważy, że i sejm nasz i komisya ta! żądały przedewszystkiem reformy; ustawodaw-

stwa cywilnego, a tylko dodatkowo uchwaliła Izba deputowanych reformę także ustawodawstwa karnego w interesach kredytowych, to już na pierwszy rzut oka uderza ta okoliczność, że rząd w projekcie swoim uchwycił tylko tę ostatnią kwestyą, a pominął pierwszą, to jest, że spełnia tylko wolę Izby deputowanych dodatkowo co do ustawodawstwa karnego objawioną, a pomija w zupełności żądania sejmu, jako też wniosek komisji Izby deputowanych, które się domagały reformy ustawodawstwa cywilnego. Zadziwia to tem więcej, że motywa projektu odwołują się wyraźnie do uchwał sejmu, a zadziwia jeszcze więcej, że profesor Dr. Glaser w szeregu artykułów przeciw lichwie, a za zniesieniem ograniczeń stopy procentowej w *Gerichts-Zeitung* w r. 1867 ogłaszanych oświadczył się za rozszerzeniem postanowień § 1336 k. c. w tym kierunku, by sędziemu wolno było moderować w drodze cywilnej nadmierne korzyści kredytującego, podobnie jak przy karach konwencyonalnych.

Deputowanych naszych będzie tedy zadaniem obstawać przy uchwałach sejmu i przy wniosku komisji Izby deputowanych, i domagać się także reformy ustawodawstwa cywilnego przy interesach kredytowych. Projekt rządowy, pominiawszy powyższą jednostronność, ma mieć jeszcze wady i to zasadnicze. Czytając go nabiera się przekonania, że go wniesiono jakoby w tym jedynie celu, by z jednej strony usankcyonować wszelkie nieprawości cywilne przy pożyczkach, a z drugiej strony pociągać do odpowiedzialności karnej tych tylko lichwiarzy, którzy niewyćwiczeni jeszcze w swem rzemiośle, postąpili sobie nie tak przezornie jakby to uczynił lichwiarz wytrawny, bo według tego projektu żaden lichwiarz wytrawny karanym nie będzie. Co więcej, lichwiarz wytrawny znajdzie w tym projekcie niejako instrukcyą, jak ma postępować, by ująć odpowiedzialności karnej.

Zarzut to ciężki, wymaga więc usprawiedliwienia, by się niezdawało, że się kierujemy niechęcią do wszystkiego, co od rządu pochodzi.

Według § 1. tego projektu karany będzie lichwiarz wtenczas, jeżeli się zbiegną wszystkie 4 warunki następujące:

1. Kredytujący ma mieć zamiar ciągnięcia z kredytu, którego udziela, zysku przesadnego (*übertriebener Gewinn*).

2. Wiadomą mu być ma słabość rozumu, niedoświadczenie lub wzruszenie umysłowe strony drugiej; przypadłości zaś te mają być
3. tego rodzaju, iżby niedozwalały dopatrzyć się tej drugiej stronie zgubności warunków interesu kredytowego; wreszcie
4. warunki te zgubne muszą być nałożone przez tego, kto kredytu udziela.

Wtenczas dopiero, gdy się zbiegną wszystkie te warunki, kredytujący staje się winnym przestępstwa i karany będzie aresztem lub grzywnami, a interes staje się nieważnym o tyle, iż w takim razie sędzia karny przysądzi kredytującemu tylko tyle, co słuszość wymaga; a gdyby tej miary niezdolał sobie wyrobić w ciągu procesu karnego, odkaże strony z wzajemnemi roszczeniami na drogę procesu cywilnego. Jeżeli więc braknie choćby jednego z powyższych czterech warunków, interes jest ważnym... i wiąże sędziego karnego i cywilnego.

Zdaniem naszym, warunek czwarty niweczy całą doniosłość ustawy i wskazuje drogę, jakiej lichwiarze trzymać się mają, by ująć kary, a ważne zawierać interesa.

Choćby bowiem zamiar przesadnego zysku, słabość rozumu, niedoświadczenność lub rozpaczliwe położenie biorącego pożyczkę leżały jak na dłoni, to kredytujący wyjdzie cało, jeżeli tylko miał na tyle przebiegłości, że warunków zgubnych nie nałożył sam, lecz je tylko *przyjął* na propozycyą biorącego pożyczkę. Lichwiarz wytrawny potrzebuje tylko nie przystawać na zgubne warunki, które mu strona przeciwna proponuje, tak długo, dopóki ta ostatnia nie dociągnie dalej w propozycjach swoich do tej miary, by wreszcie lichwiarz na nie przystał. A jeżeli tylko przystanie, to interes jest ważny, bo lichwiarz warunków tych nie nakładał, lecz je tylko przyjął.

Wobec tego zarzut powyższy jest zupełnie usprawiedliwiony. Zadaniem deputowanych naszych jest tedy rozszerzyć ten paragraf w tym kierunku, by przyjęcie tychże warunków zgubnych stało się karygodnem.

Nieokreślonem jest także pojęcie przesadnego zysku; temu jednak brakowi zaradzić może sprowadzenie wysokości procentu do pewnego maximum, jak tego sejm nasz wymagał.

Andrzej Rydzowski.

LISTY Z ZIEM POLSKICH.

Poznań dnia 6 Stycznia 1877 r.

Śledzić krok za krokiem walkę o byt, którą ludność polska pod rządem pruskim z grożącym jej zniszczeniem germanizmem od lat wielu toczy, stawiając przywiązanie do języka swego i Kościoła i odrębność organizacyi swej społecznej naprzeciw zniemczeniu, a zespolone w jedno ognisko prace swe ekonomiczne i naukowe naprzeciw sile asymilacyjnej niemieckiej oświaty, oceniać wreszcie doniosłość i użyteczność tych środków oporu zagrożonej zgubą narodowości, będzie zadaniem moich przeglądów w piśmie Waszem.

Życie polskie w Poznańskim a Prusach Zachodnich w dziejach rozwoju swego i w obrazie, jaki nam dziś przedstawia, niemało od siebie się różni. Wielkopolska, od czasu jak przeszła pod panowanie pruskie, z wolna a nieubłaganie ulega stopniowemu zniemczeniu, choć rząd tam aż do zeszłego roku jeszcze przez pewne uczucie przyzwoitości nieco swobód językowych był nam pozostawił. Inaczej w sąsiednich Prusach Zachodnich. Tam po upływie pierwszych 70 lat zaboru proces germanizacyjny zdawał się już być zwycięzko i stanowczo przeprowadzony, dzięki zwłaszcza przebiegłości prezesa departamentu Kwidzyńskiego pana *Schoena*, który zadłużoną po wojnach Napoleońskich szlachtę polską wyjął z pod łagodzących praw *moratorium*, każąc jej od jednego razu, i to pod groźbą sprzedaży majątków spłacić zalegające z lat wojennych raty

Towarzystwa kredytowego. Wtedy to większa połowa majątków polskich dostała się za bezcen w ręce niemieckie. A że już i za czasów polskich dużo było niemieckich posiadłości w kraju, a po miastach żywioł niemiecki oddawna już przeważał, i w szkołach wreszcie od chwili zaboru wyłącznie prawie po niemiecku uczono, więc niebawem przyszło do tego, że nawet w niewywłaszczonych jeszcze rodzinach polskich przestano mówić po polsku, a włościanin, skoro tylko tyle się dorobił mienia, że mógł zamienić siermięgę na surdut, już inaczej jak po niemiecku odzywać się nie lubił. Zachodnie Prusy straciły zupełnie charakter polski, a stosunki tamtejsze nosiły wtedy na sobie cechę dzisiejszych górno-szląskich. W tem nadeszły pamiętne lata 1846 i 1848. W całych Niemczech rozbudziło się poczucie narodowości, a rodacy nasi w Prusach Zachodnich odczuli je silniej od innych. Jakoż nagle, jakby za uderzeniem różdżki czarnoksiężnika, po długiem otrętwieniu się ocknęli, zerwali się na równe nogi i powiedzieli sobie: „*jesteśmy Polacy*.“ Tak nagłe przejście rzadkością jest w dziejach narodów. Odtąd żywioł polski w Prusach Zachodnich rokrocznie się wzmacnia; ci sami ludzie, którzy przed rokiem 1848 z braćmi i rodzicami swymi najchętniej po niemiecku rozmawiali, dziś w łonie rodziny i na zgromadzeniach publicznych w ojczystym języku się odzywają. W miastach oddawna niemieckich nagle o polskiem mieszczaństwie, o polskich przedsiębiorstwach słychać. Weźmy np. *Toruń*. Tam dzisiaj kilku Polaków zasiada w radzie miejskiej, drukuje się gazeta polska, najpierwszy w mieście bank, najlepszy hotel, najprzedniejszy skład bławatny, najznaczniejszy sklep win i towarów kolonialnych w ręku jest polskiem. Kilka tygodni temu i w Gdańsku nawet, choć słabo tylko, ale tem niespodzianie zatętniło życie polskie; zawiązało się tam stowarzyszenie przemysłowców polskich zwane *Ogniwo*, do którego w pierwszych dniach jego istnienia już 120 członków wstąpiło.

Po *wsiach* nie wielu wprawdzie, bo zaledwie 110 naliczysz się znaczniejszych obywateli Polaków — a i tych majątki stosunkowo mierne, choć mniej nieco zadłużone od wielkopolskich; ale przy tej garstce obywateli stoi wiernie 600,000 ludu polskiego, wśród którego gorliwe duchowieństwo wiarę praojców utrzymuje, a tak zwani „*gburzy*“, t. j. właściciele

mniejsi, kilkadziesiąt tylko morgów ziemi posiadający, świeżo roznieconą iskierkę polskości szerzą.

Odmienne dzieje obu polskich dzielnic pod rządem pruskim oddziaływały widocznie na charakter ich ludności. Gdyby się godziło w karykaturze przedstawiać pojedyncze szczepy jednego narodu, to u Wielkopolanina dużyobymy znaleźli cech *z Niemcezałego Polaka*, a u Zachodniego Prusaka więcej jeszcze cech *spolszczałego Niemca*. Pod każdym zresztą względem typ obu tych sąsiednich szczepów odmienny, nie mniej odmienny, jak Koroniarza a Litwina. Zachodniego Prusaka cechuje nieco więcej zmysłu oszczędności i praktyczności, żywsze może poczucie uczciwości politycznej, wytrwałość w pracy i zapał neofity we wszystkim, co polskości dotyczy. Wielkopolanin znowu odznacza się większą ofiarnością, jest gościnniejszym i serdeczniejszym; a choć w społeczeństwie poznańskim nie wysledzisz tylu objawów owej mrówczej pracy społecznej, którą w Prusach Zachodnich „*cichą*“ nazwano, ale za to spotkasz się w nim jeszcze z niemałemi zasobami prawdziwego talentu, nauki i staropolskiego dowcipu. W szermierce parlamentarnej Wielkopolanie wyrobili sobie przodujące stanowisko; najświetniejszych naszych mówców, mężów jak Tytusa hr. Działyńskiego, Adama Żółtowskiego, Augusta hr. Cieszkowskiego, Władysława Niegolewskiego, wydała Wielkopolska. Księstwo Poznańskie ma swoją literaturę, księgarnie, nakładców, dziennikarstwo polityczne. Prusy Zachodnie jedną tylko mają gazetkę polityczną, ledwo mogącą się utrzymać, żadnej znaczniejszej nie mają księgarni; ale natomiast *piśmiennictwo ludowe* tam dobre i żywotne. Lud zachodnio-pruski rwie się do czytania książek polskich — w roku zeszłym za przeszło 3000 talarów rozprzedano samych tylko książeczek ludowych *warszawskich* wydawnictw, których cena 6—15 groszy polskich nie przenosiła. Jedną z najwięcej rażących różnic pomiędzy Prusami a Księstwem jest to, że kiedy w Poznańskim dwa wielkie stronnictwa liberałów i klerykałów zajadłe ze sobą walczą, i tylko w chwilach największego niebezpieczeństwa, np. przy wyborach do sejmu, przeciw wspólnemu wrogowi się łączą, to w Prusach Zachodnich garstka inteligencji polskiej najściślej zachowuje zgodę; całe obywatelstwo Prus Zachodnich zda się jeden tylko wielki klan tworzyć. Natomiast razi w Pru-

sach niepamięć, w jaką puszczono większą część dawnych naszych zwyczajów narodowych; odrębności stroju ludowego już się tam prawie zupełnie zatarły, a język włościan skażony nader licznymi germanizmami. Zarówno w Księstwie jak w Prusach *praca polska* głównie w *stowarzyszeniach* i *spółkach* żywotność swą objawia. Nakreślenie głównych zarysów *organizacji tej pracy* potrzebnem mi się wydaje, ażeby czytelnicy *Przeglądu* mogli się dokładnie obeznąć z widownią, na której wiekowy bój polonizmu z germanizmem się toczy.

Główniejsze *stowarzyszenia polskie* w *Prusach Zachodnich* są następujące:

1^o *Towarzystwo moralnych interesów*, którego celem szerzenie oświaty między ludem, i które bierze nadto inicjatywę we wszystkich sprawach dotycząc *dobrobytu moralnego* ludności polskiej w prowincyi.

2^o *Towarzystwo naukowej pomocy*. Jest to najdawniejsze towarzystwo polskie w Prusach Zachodnich. Wydaje ono rocznie kilka tysięcy talarów na zapomogi i stypendya dla uczącej się po uniwersytetach i gimnazyach młodzieży męskiej.

3^o Prócz tego jest jeszcze i *Towarzystwo naukowej pomocy dla dziewcząt*; zadaniem onegoż kształcenie ubogich dziewcząt na praczki, szwaczki, ochroniarki, nauczycielki. Towarzystwo to [niedawno temu założone jest jeszcze bardzo słabem.

4^o *Towarzystwo naukowe w Toruniu* w r. 1876 dzięki gorliwym zabiegom i ofiarom pana Zygmunta Działowskiego z Mgowa założone. Do towarzystwa tego przyłączono *muzeum*, które ma już dziś wcale pokaźny zbiór wykopalisk przedhistorycznych, okazów geologicznych i pamiątek historycznych. Towarzystwo naukowe zapowiada niemałą żywotność, bo w wydziałach, na które jest podzielonem, wszędzie gorliwej pracy zaczątki widać. Najgorliwiej pracują duchowni i lekarze. Przygotowywa się karta geologiczna i archeologiczna Zachodnich Prus, zbierają się skrzętnie materiały do statystyki polskiej ludności Prus, co jako podstawa do prac naszych parlamentarnych wielkiej jest wartości; a wreszcie by obudzić i rozszerzyć zamiłowanie do nauki, członkowie towarzystwa miewać będą w zimie odczyty popularne we wszystkich znaczniejszych miejscowościach prowincyi. Pojęcie tak praktyczne celów

towarzystwa, stronienie od wszystkiego, coby mu mogło nadać *pozory* zbyt uczonej w stosunku do sił instytucji, cechuje ogólnie działalność stowarzyszeń w tej dzielnicy dawnej Polski.

W celu podniesienia *gospodarstwa narodowego* założono 5^o we wszystkich powiatach Prus Zachodnich *Towarzystwa rolnicze*, których członkami są wyłącznie prawie mniejsi właściciele ziemscy, czyli *gburzy*, a których zadaniem jest ulepszenie gospodarstw mniejszych. Zwykle przewodniczy tym towarzystwom który ze znaczniejszych obywateli z najbliższej okolicy. Siłą spajającą je, jest tak zwany Zarząd centralny z pomiędzy ich delegatów obrany. Działalność tych towarzystw mimo ich prędkiego rozszerzenia się w kraju jest dotąd niezadawalającą. Przyczyną tego jedyną *brak zdolnych kierowników*.

6^o Dla ułatwienia kredytu obywatelom wiejskim zawiązała się w Toruniu spółka komandytowa na akcje pod firmą: Donimirski, Kalkstein, Łyskowski i Sp. Bank ten już od lat kilkunastu istnieje i ogłębnością w prowadzeniu interesów wyrobił sobie w kraju silne stanowisko.

Żywotną kwestyą dla polskości Prus Zachodnich jest utrzymanie przy dobrobycie *gburów*, jako zbliżonych więcej pod względem towarzyskim do włościan, a chętnych zwykle i zdatnych do szerzenia między prostym ludem rudimentów oświaty i do rozbudzania drzemiącego w nim oddawna poczucia narodowości. Chodzi przedewszystkiem o to, by tych mniejszych właścicieli wyrwać z rąk lichwiarzów, i zapewnić im łatwy i tani kredyt. W tym celu i w Poznańskim i w Prusach Zachodnich pozakładano po wsiach i miastach *spółki pożyczkowe* na zasadach spółek zarobkowych *Schultze-Delitzscha* oparte. Powodzenie tych spółek wnet ich liczbę do 78 podniosło; z pomiędzy nich 25 przypada na Prusy Zachodnie, reszta na Księstwo i Górny Śląsk. Niedawno temu odbył się w Poznaniu sejmik delegatów wszystkich tych spółek, na którym uznano potrzebę łączenia z niemi nadal *kas oszczędności*. W Chełmnie, Brodnicy i Toruniu są także i towarzystwa przemysłowe. Zarządza niemi Rada przemysłowa w Toruniu.

7^o Szereg znaczniejszych stowarzyszeń zachodnio-pruskich zamyka spółka *Gazety Toruńskiej*, jedynego codziennego pisma polskiego w prowincyi.

Raz do roku w lutym Dyrekcyja Towarzystwa moralnych interesów zwoływa do Torunia *sejmik gospodarczy*. Przez 3 dni trwania tego sejmiku zebrani licznie obywatele z całej prowincyi w godzinach przedpołudniowych słuchają odczytów z dziedziny rolnictwa i gospodarstwa krajowego. Po każdym odczycie wszczynają się żywe dyskusye nad poruszonymi w nim sprawami, mogącemi zająć obywatela-rolnika. Polityka jak najściślej jest wykluczona. W godzinach poobiednich zaś wszystkie wyżej wyliczone towarzystwa i spółki polskie w Prusach Zachodnich mają swoje walne zebrania. Dzień obrad kończy się zwykle jakim balikiem lub teatrem amatorskim dla rozrywki żon i córek sejmikujących. Myśl to zaprawdę piękna a w wykonaniu okazująca się praktyczną, zgromadzić raz na rok całe obywatelstwo prowincyi, by zdało przed sobą rachunek z wykonanych w ciągu roku prac społecznych, i by obradując wspólnie nabrało zwolna poczucia obowiązkowej łączności w pracy na polu oświaty ludu, rolnictwa i gospodarstwa krajowego. Myśl tych sejmików gospodarczych podniósł i przeprowadził powszechnie szanowany obywatel, pan Teodor Donimirski z Buchwałdu.

Przejdźmy teraz do Księstwa Poznańskiego i zapoznajmy się i tam także pokrótce z głównymi objawami i organizacją pracy polskiej. W Księstwie żywioł polski z roli jedynie siłę swą czerpie i na tem polu dotąd przewagę nad niemieckim zachował, uległszy już oddawna w handlu i przemyśle naci-skowi Niemców. Polacy posiadają jeszcze w Księstwie, licząc w to włości chłopskie i kościelne, przeszło $\frac{2}{3}$ ziemi i to w częściach najżyźniejszych kraju, gdyż niemieckie posiadłości przeważają właśnie w najmniej urodzajnych powiatach zachodnich. Prawda, że obecnie wskutek kilkoletnich nieurodzajów i bankructwa *Tellusa* $\frac{1}{3}$ część blisko większej własności polskiej mocno jest zagrożoną, a hurtowne sprzedaży majątków polskich tylko brak pokupu ze strony niemieckiej, ogólnym w kraju zastojem ekonomicznym wywołany, wstrzymuje — ależ zawsze jeszcze tyle roli pozostało i pozostanie w ręku polskim, że od jej utrzymania w posiadaniu naszych rodaków zapobieżenie ostatecznej germanizacyi Wielkopolski zależeć będzie. Uznano to powszechnie w Księstwie; to też oddano się tam gorliwie i nie bez powodzenia ciężkiej pracy podniesienia gospodarstw

rolnych. Indywidualne Poznańczyków w tym kierunku zabiegi popiera *Towarzystwo centralne rolnicze poznańskie*, do którego wszyscy więksi obywatele należą, *towarzystwa rolnicze* w niektórych *powiatach*, a przedewszystkiem liczne *kółka rolnicze włościańskie*, dziś przeszło 4000 członków liczące, w znaczniejszych parafiach Księstwa staraniem ich gorliwego patrona p. Maksymiliana Jackowskiego pozakładane. Wpływ tych kółek rolniczych na podniesienie gospodarstw mniejszych w kraju jest niezawodnie dobry, a wziętość ich między ludem powszechna.

Hr. August Cieszkowski chciał także i pod względem *naukowym* rolnictwo w Księstwie podnieść i szlachetną ofiarą osobistego mienia założył był, jak wiadomo, *akademię rolniczą imienia Haliny* w Żabikowie pod Poznaniem. Ale ciągle prześladowanie rządu, a więcej jeszcze niestety niechęć Wielkopolan kształcenia swych synów w tym zakładzie, dla szczupłości funduszów w siły uczące i środki pomocnicze do wykładów mniej dobrze uposażonym od podobnychże niemieckich, zgotowała tej instytucji w roku zeszłym przedwczesny koniec. Dziś szkoła Żabikowska zamkniętą aż do czasu, kiedy będzie można zebrać dostateczny fundusz na przemienienie jej na szkołę rolniczą średnią, mającą wykształcać niższych urzędników gospodarskich. Tymczasem pozostała tylko w Żabikowie pod dozorem p. Dra Sempołowskiego *stacya kontroli nasion*.

W ostatnich latach ludność polska Księstwa wzięła się gorliwiej nieco do handlu i przemysłu i podjęła acz nieśmiało walkę z konkurencją niemiecką. Liczba polskich sklepów po miastach zdwoiła się; liczne *towarzystwa przemysłowe*, 55 *spółtek zarobkowych* (pożyczkowych i spożywczych) rzemieślnikom i przemysłowcom polskim przychodzi w pomoc. *Bank kredytowy: Kwilecki, Potocki i Sp.* w Poznaniu obywatelstwu wiejskiemu pożądaną daje kredyt, ułatwia sprzedaż ziemiopłodów, zawiadywa *Kasą oszczędności* i znaczną *sprytownią*. Sprytownia ta i znana powszechnie fabryka machin rolniczych Cegielskiego w Poznaniu, są jedyne prawie większe przedsiębiorstwa fabryczne polskie w Księstwie z wyjątkiem gorzelni i młynów. A jednak na Kujawach poznańskich zależeliśmy przez wrodzoną nam niezaradność, brak sprężystości i wytrwałości w pracy piękne pole do przedsiębiorstw fabrycznych. Obfity

z niego plon zbierają dzisiaj wyłącznie Niemcy i żydzi, założywszy na ziemi przez Polaków posiadanej wydajne bardzo kopalnie soli i cukrownię w okolicy Inowrocławia. — Wymieniając instytucje finansowe polskie w Księstwie, nie wspomnieliśmy o *Weście*, towarzystwie zabezpieczeń od życia, ani o *Banku włościańskim* w Poznaniu, założonym staraniem i pomocą Jana hr. Działyńskiego z Kórnika. O *Weście* dziś jeszcze dla zbyt krótkiego jej istnienia sądzić nie można; Bank włościański stanie się niebawem nieużytecznym dla prowincyi, bo rząd pruski zezwolił codopiero na założenie *Towarzystwa kredytowego dla włościan*, na podobnych jak dla większej własności zasadach opartego.

Więcej nieco dodatnich rezultatów, aniżeli w handlu i przemyśle, osiągnięto w Księstwie w sprawie podniesienia nauki i oświaty narodowej. *Dziennikarstwo* się wzmogło — mamy w Poznaniu aż dwa codzienne pisma polityczne.

Niezmordowany wydawca *J. K. Żupański* w Poznaniu przygotował w tej chwili cały szereg nowych dzieł do druku, a mianowicie:

- 1) *Lelewela* korespondencyą z rodzeństwem od roku 1808, obejmującą w pięciu tomach pełno ciekawych szczegółów dotyczących się założenia uniwersytetu wileńskiego i liceum krzemienieckiego.
- 2) *Fryd. hr. Skarbka*, znanego autora historii Księstwa Warszawskiego, *Dzieje Polski kongresowej* od r. 1815 do 1866, dzieło wysokiej zdaje się wartości.
- 3) *Rzyszczewskiego* Inwentarz dyplomataryuszów polskich.
- 4) *Ludwika hr. Dębickiego* Życiorysy znakomitszych naszych mężów.
- 5) *J. I. Kraszewskiego* Studium historyczno-literackie nad Zygmuntem Krasińskim i Adamem Sołtanem, na ich korespondencji osnute.
- 6) *Trentowskiego* trzeci a ostatni tom *Panteonu wiedzy ludzkiej*.

Księstwo poszczycić się może, że ma jeszcze w osobie *Jana hr. Działyńskiego* z Kórnika mecenasa literatury polskiej, który pod względem szlachectwa duszy, ofiarności i zasług rzeczywistych kto wie czy ma równego sobie w całej Polsce. Jego liczne wydawnictwa z dziedziny nauk ścisłych i przy-

rodzonych znane są powszechnie nawet po za granicami Polski; teraz skarby rękopiśmienne biblioteki swej kórnickiej po taniej nader cenie hojną ręką rozrzuca po świecie uczonym polskim w przedrukach *homograficznych*, wykonanych po mistrzowsku przez A. Pilińskiego. Istnem cackiem dla bibliofila jest świeżo wydany przedruk rękopisu z r. 1449 o prawie polskiem przez Świętosława z Wojcieszyna.

Ale *posągowej* że tak powiem wartości dla kraju całego będzie wydawnictwo *Kodeksu wielkopolskiego*, które hr. Działyński niebawem znacznym bardzo kosztem rozpocznie.

Wspomniawszy o szlachetnych usiłowaniach i zabiegach pojedynczych indywiduów, przejdźmy teraz do *stowarzyszeń*, których zadaniem szerzenie oświaty w Księstwie. Przoduje wszystkim *Towarzystwo naukowe poznańskie*. Przez zapis śp. hr. Seweryna Mielżyńskiego ma ono zapewniony byt materialny. Jest bliskim ukończenia ładny gmach muzealny do pomieszczenia bogatych zbiorów towarzystwa, pomiędzy którymi okazy archeologiczne i zbiór portretów historycznych z czasów St. Augusta powszechnie są cenione. Towarzystwo wydaje *Roczniki*, w których drukują się najlepsze odczyty członków miane na sesjach wydziałowych. Pod zdolnem i zacnem kierownictwem Stanisława Koźmiana towarzystwo naukowe zaczyna teraz dawać dowody większej niż poprzednio żywotności.

Towarzystwo oświaty poznańskie, którego celem szerzenie oświaty pomiędzy *ludem*, nie sprostało dotąd swemu zadaniu, mimo powszechną sympatyą, z jaką jego założenie powitano. Pole oświaty *ludowej* w Poznańskim leży dotąd nieco odłogiem, i niezawodnie więcej a skuteczniej pracują w tym kierunku zachodni Prusacy. A jednak wywyższenie ludu naszego ponad jego dzisiejszy poziom jest dla narodowości naszej kwestyą życia lub śmierci, zwłaszcza odkąd przez wyrugowanie języka ojczystego ze szkół lud wiejski w niezrozumiałym dla siebie języku najniezbędniejsze nauki pobiera!

Jednem z ważniejszych zadań członków Towarzystwa oświaty powinnyby być wstrzymywanie ludu polskiego od *lekomyślniej emigracyi*. Emigracya ta z dzielnic polskich pod rządem pruskim do Ameryki, Australii, Berlina i Westfalii w ostatnich latach zastraszających nabrała rozmiarów, zwłaszcza w Prusach Zachodnich, gdzie z jednego tylko powiatu

Sztumskiego czterdzieści tysięcy mieszkańców liczącego, w ostatnim pięcioleciu trzy tysiące wywędrowało. Jeden z obywateli wielopolskich, p. Władysław Łącki z Posadowa, dla odstraszenia swych włościan od wychodźstwa, postarał się o to, że towarzystwo amatorów (z klas wyższych społeczeństwa) na Nowy Rok przed nimi odegrało Anczyca „Emigracyą chłopską.“ Czy ten oryginalny proceder pożądaný skutek wywrze, przyszłość okaże. Jak najlepszej intencji trudno w nim nie uznać. W ogóle nie uznać nie godzi się wielkiego wpływu, jaki przedstawienia sceniczne mogą mieć na oświecenie nawet i niższych warstw społeczeństwa naszego, byleby tylko dobór sztuk był odpowiedni. Mamy już od roku przeszło *teatr polski* w Poznaniu ze składek wcale ładnie zbudowany; dzięki staraniom z wszech miar na szacunek i uznanie zasługującej dyrekcyi publiczność coraz bardziej do sceny narodowej łgnie, a teatr mógł się dotąd bez żadnej z jakiegokolwiek subwencji utrzymać.

Zestawiliśmy pokrótce głównejsze objawy pracy polskiej w Wielkopolsce i Prusach Zachodnich. Z porównania ze sobą działalności naszej w dwóch tych prowincyach nasuwają się mimowoli dwie uwagi. *Po pierwsze:* Brak skupienia w jedno ognisko czyli scentralizowania pracy polskiej w Księstwie Poznańskim daje się jego mieszkańcom tem dotkliwiej wznaki, ile że niestety walka rządu z Kościołem rozszczępiła społeczeństwo poznańskie na dwa nieprzyjazne obozy: liberałów i klerykałów. W tej walce stronnictw dziennikarstwo przez podszczuwające artykuły zgubny bierze udział. Dwa nastroczają się środki zaradcze: Urządzenie w Księstwie dorocznych sejmików gospodarskich na wzór toruńskiego, który wyżej opisałem, i połączenie z niemi walnych zebrań wszystkich głównejszych stowarzyszeń polskich w prowincyi — toby zadokumentowało łączność naszą w pracy, którejby skuteczność tem samem się podwoiła — zlanie dwóch dzienników politycznych poznańskich *Dziennika* i *Kuryera Poznańskiego* w jedno pismo, do którego by się wybrało redakcyą z osób w obu stronnictwach zarówno poważanych złożoną. Osoby takie łatwoby się znalazły, a burza stronnictw nie wre jeszcze dosyć długo, ani dość silnie w Księstwie, by jej nie można zażegnać jakim kompromisem dziennikarskim.

Po drugie: I w Prusach i w Księstwie nie dosyć jeszcze pracujemy około podniesienia oświaty ludowej. Główną przyczyną tego jest łatwa zresztą do pojęcia niechęć warstw wyższych i oświeconszych zetknięcia się bliżej z ludem, od którego jest odmienny stopień wykształcenia, obyczaj towarzyski, różność wreszcie zdań i zapatrywań mimowoli odciągają.

Przewyciężmy koniecznie tę niechęć i weźmy się gorliwie do dzieła! W ubogim i ciemnym ludzie naszym ostatnia nasza nadzieja, bo nieubłagany w swej konsekwencyi system germanizacyjny rządu sprowadzić łatwo może z czasem ostateczne wywłaszczenie obywateli naszych z ich dziedzicznych włości i obalenie wszystkich naszych większych przedsięwzięć finansowo-przemysłowych. Nie dawniej przecie jak w roku ubiegłym rząd pruski zakazał bankom swoim dyskontować weksle banku polskiego toruńskiego, jako instytucyi zbyt widocznie polskiej!

Na tych kilku uwagach kończymy nasz dzisiejszy pogląd na stosunki społeczne i ekonomiczne obu dzielnic dawnej Polski pod rządem pruskim. Oprowadziliśmy na początek czytelników *Przeglądu* po wszystkich zakątkach areny, na której zajadła walka polskości z niemczyzną się toczy, walka, która dzisiaj z pola bitew na pole pokojowej ale o wiele skuteczniejszej pracy społecznej zeszła; i wskazaliśmy również główne tej walki żywioły i czynniki. Pojedyncze i zbiorowe jej *objawy* w życiu *politycznem i społecznem* skreślać, o ile kronika faktów codzienna nasuwać mi ich nieprzestanie, będzie zadaniem przyszłych korespondencyj.

Dodamy tylko jeszcze *pro informatione* czytelników *Przeglądu*, (zachowując sobie szczegóły na później), że sytuacja nasza polityczna pod rządem pruskim na początku r. 1877 nader jest smutną. Wyrugowany już poprzednio ze szkoły język polski w Księstwie jako *urzędowy* przestał zupełnie istnieć. Usiłowano nawet miejscami zabronić mowy ojczystej na zebraniach ludowych prawem stowarzyszeń dozwolonych. Wszelako energiczne protestacye naszych poskutkowały jeszcze, ale czy stanowczo, to powiedzieć trudno. Rzesza niemiecka uchwaliła nową ordynacyą sądową. Polski język z sądów usunięto; nawet mimo najgorliwszych zabiegów naszych posłów w Berlinie przeprowadzić nie zdołaliśmy, by w sprawach z Po-

lakami nie umiejącymi po niemiecku poboczny protokół w języku polskim spisywano. Wyczekiwanej przez nas skwapliwie, jako nowego źródła zarobku dla naszych, *wolnej adwokatury* większość sejmowa radząc o reorganizacyi sądownictwa nie uchwaliła.

Walka rządu z Kościołem nie ustaje; w połowie zeszłego roku jako konieczny wynik ustaw majowych uchwalono prawo o zarządzie osieroconych majątków dyecezalnych przez rząd, a majątków parafialnych przez gminy. Znowu kilka kościołów zamknięto i kilka parafij osierocono. Ale prześladowanie kościelne nie zwiększyło o wiele liczby odstępców od wiary pra-ojców, ani też prześladowania polityczne nie ostudziło naszej gorliwości w dochodzeniu praw naszych.

Spokojni i zrezygnowani milczeniem naszym ponurem ciężym na sumieniu naszych prześladowców. Dobrze naszą sytuacją scharakteryzował na sejmie rzeszy niemieckiej Władysław Niegolewski słowami Tacyta:

Dum tacent clamant.

Przegląd Literacki.

Pamiętniki J. U. Niemcewicza. Dziennik pobytu zagranicą. T. I. 1831—1832. (Poznań, nakł. Żupańskiego 1876).

Mało kto tyle pisał i drukował co Niemcewicz. We wszystkich też niemal pismach jego widać zawsze pospiech, czuć, że najczęściej potrzeba chwili piórem jego kierowała. A prócz rzeczy drukowanych zostało jeszcze wiele innych w rękopisach, przeważnie pomysły, lub zaledwie początki różnych prac literackich. Wśród tych wszystkich znanych i nieznanych pism dział dość poważny zajmują pamiętniki. Pisał bowiem Niemcewicz dziennik swego życia, swej podróży po świecie, w którym notował wszystko, co mu się przytrafiło, co robił, czem się zajmował i wypadki ważniejsze świata doszłe do jego wiadomości każdego dnia. Ten codzienny skład jego myśli i wrażeń w części zaginął, tak, że sędziwy autor w ostatnich już latach swego tułaczego życia, ulegając osobliwie namowom Mickiewicza i Witwickiego, wziął się do spisania tych samych pamiętników na nowo, z pamięci. Znane p. t. *Pamiętniki czasów moich*, jakkolwiek odznaczają się żywością w opowiadaniu, nie mogą zastąpić opisu codziennych faktów i wrażeń notowanych w miarę jak nadchodzili. To też wyszukanie i ogłoszenie choćby fragmentów pamiętników dawnych było pożądanem, a drukowany w *Przeglądzie Lwowskim: Dziennik drugiej podróży do Ameryki* i wydane przez Żupańskiego *Pamiętniki od 1809 do 1820 r.*, miłym są dla nas nabytkiem.

Ale prócz tych wszystkich dopiero co wymienionych pamiętników, wiedzieliśmy, że w rękopisie Tow. Hist. Liter. znajduje się dziennik z ostatnich lat dziesięciu życia Niemcewicza,

opisujący jego pobyt w Anglii i we Francyi. Korzystał już z tych zapisków X. Adam Czartoryski do skreślenia biografii swego długoletniego przyjaciela, przynoszącej nie mniejszy zaszczyt tak samemu autorowi, jak i temu, którego opisuje żywot. Z upragnieniem więc oczekiwaliśmy ogłoszenia tej ostatniej literackiej pracy piewcy z Ursynowa, choćby tylko dla tego, że jak pięknie jego czcigodny biograf powiedział: „każda zgubiona karta takiego serca i pióra byłaby dla nas wielką i dotkliwą szkodą.“ Dzisiaj mamy tom I z tego zbioru przed sobą, a mieści on dziennik pobytu Niemcewicz w Anglii w latach 1831 i 1832.

Ze smutkiem odczytują się te karty kreślone już zgrzybiałą ręką sędziwego autora, bo my dziś już dobrze wiemy z bolesnego doświadczenia, powtarzającego się do najświeższych czasów, że owę kołatanie do obcych rządów i parlamentów o sprawiadliwość dla naszej sprawy dotąd do niczego nigdy nie doprowadziło. Lecz za to bez rozczulenia patrzeć nie można na niezmordowane zabiegi siedmdziesięcioletniego starca, który ani chwili nie waha się opuścić kraj swój ukochany, gdzie po długiej tułaczce zamyślał już spocząć na zawsze, i dąży do dalekiej ziemi, aby tam wedle sił, a prawie czasem i nad siły, słowem czy piórem pracować dla ojczyzny.

Niemcewicz wysłany podczas powstania listopadowego przez rząd narodowy do Anglii pełnił tam przez rok przeszło obowiązki pełnomocnika Polski. Nie przyznano mu nawet urzędowego charakteru. Jedynie więc tylko w charakterze prywatnego człowieka, mając do walczenia z niezliczonemi trudnościami, zdołał jednak tyle uczynić, że najkompetentniejszy może sędzia tej naszej porozbiorowej dyplomacyi wyraźnie powiada: „Sprawiedliwość wymaga, abyśmy tu znów powtórzyli, iż w naszym przekonaniu, żaden i zręczniejszy i biegłyjszy dyplomata niż Niemcewicz, od rządu angielskiego nic więcejby nie wymógł, i że niczyje czynniejsze usiłowania nie potrafiłyby dla Polski wówczas w publiczności angielskiej więcej sympatyi wzbudzić.“ Te wszystkie usiłowania mamy w pamiętniku opisane, a dozwalają one nam najlepiej wglądać w piękną duszę i szlachetne serce autora, w którym pomimo wieku i steranego zdrowia nie wygasł zapał i miłość gorąca ojczyzny.

Siedmdziesięcioletni starzec przebiega coperędzej Polskę, Niemcy, Holandya, i tylko nęka go zawsze myśl o kraju, niepewność o jego losie. „Gdy umysł niespokojny o los ojczyzny, wszystko widzę posępnie“ zapisuje niejako na czele swych wrażeń. Ze smutkiem patrzy na wsie i łąny, które ucierpiały od wojny; z niecierpliwością, ale i z obawą chwytą wieści dolatujące z Polski, a gdy mu jakiś tłusty Niemiec opowiada o wielkiem zwycięztwie odniesionem nad Moskalami, z radości rzuca mu się na szyję. Przejeżdżając przez Holandya z przy-

jemnością przypatruje się walce zwycięskiej o wolność, a z piersi wydobywa mu się westchnienie: „Boże! czyliż dasz i nam równe chwile!”

Nareszcie przybywa do Londynu w chwili, gdy nasze powstanie jeszcze trwało, nadzieje wysoko były rozbudzone, a zainteresowanie gabinetów do wolności Belgii dodawało i nam otuchy. Myślał więc Niemcewicz, że kiedy gabinety tak skwapliwie zajęły się Belgami, że aż dla nich kongres zwołano, toć przynajmniej to samo dla Polski uczyniłyby wypadało. I nie tracąc czasu zaczął zaraz w tym celu konferencye z ministrami, lordem Palmerstonem i lordem Grayem. Ciekawa, aczkolwiek smutna strona pamiątek, to właśnie owe niemal dosłownie podawane rozmowy z ministrami, jakoteż i z ambasadorem francuzkim księciem Talleyrandem. Dopóki powstanie trwa, Niemcewicz żąda interwencji w sprawie Polski, ministrowie oświadczają się tylko poręczycielami kongresu wiedeńskiego; gdy powstanie upadło, niechcą nawet i o tem słyszeć, aby niedozwolić naruszenia warunków tegoż kongresu odnośnie do Polski, a tę jedną tylko radę umieją podać stroskanemu posłowi polskiemu: najlepiej zrobicie, kiedy się pogodzicie z cesarzem Mikołajem. Biedny ten poseł! w miarę nadchodzenia złych wiadomości z Warszawy, ministrowie od niego stronią, nawet przyjmować go niechcą, a nadto te wiadomości takie smutne, okazujące, że waśń między braci się wdarła. Z boleścią też pisze: „O Boże, czy to na wieki skazałeś naród polski na zgubienie? czemuż dopuszczasz, by powstawał, czynił wszystkie ofiary, zaścielał pola trupami, odnosił zwycięstwa, wzbudzał we wszystkich ludach podziwienie dla siebie i potem własną winą ginął mizernie!” Ale nie można było ustawać w pracy. Chociaż więc trudności się pomnożyły, Niemcewicz tem usilniej i wytrwalej pracował, aby coś przynajmniej dla Polski wyjednać. Najprzód też po długich staraniach „wykołatał“ konsula angielskiego dla Warszawy, a korzystając ze swych dawnych znajomości i zawierając nowe, wszystkich ze sprawami polskimi obznajamiał, i sam nieraz do gazet angielskich pisywał artykuły o Polsce i gospodarstwie moskiewskim, mając często do waleczenia z rozsiewanemi wiadomościami tendencyjnie fałszywemi. Nie tu miejsce nad tem się rozpisywać — powiemy tylko, że również Niemcewicza zasługą zawiązało się Towarzystwo Literackie Przyjaciół Polski, które potem tyle usług naszym oddało emigrantom. Gdy zaś chodziło o to, aby wnieść w parlamencie interpelacyą za Polską, Niemcewicz zawsze przy tem najczynniejszy. Niezważając nawet na swój wiek i zdrowie odprawia pielgrzymkę po całym kraju, aby tylko rozbudzić zajęcie się naszą sprawą. Nieraz musi walczyć z brakiem funduszy, aby więc taniej podróżować, skołatany już starzec] wsiada na wierzch omnibusu i

często i kilkanaście mil tak przejeżdża. A zawsze do wszystkiego miłość ojczyzny jest mu pobudką i we wszystkim osłoda. Gdy z kraju weselsze dochodzą wieści, zaraz i on swobodniejszy, a nawet odżywa w nim ta tak charakteryzująca go wszechstronna czynność. Uczęszcza na wykłady uniwersyteckie, zajmuje się historią naturalną, tłumaczy ody Horacyusza, zbiera po bibliotekach materyały do dalszego ciągu swych Pamiętników o dawnej Polsce. Lecz nieraz przy tem smutne dręczą go myśli. „Życzeniem mojem jest nie stracić dnia, by czego nie widzieć, lub czego się nie nauczyć, lubo w tem wszystkim smutna myśl towarzyszy! na co ci się to przyda, dla kogo żądasz nabywać wiadomości? Jeżeli dla siebie, jak długo tego używać będziesz, jeżeli dla kraju, wolnoż ci będzie co z tego coś widział udzielić? Zamiarem wszechwładcy kraju tego nie jest, żeby był oświeconym, kwitnącym, ale ciemnym, nędznym, nieszczęśliwym. Już tam nawet nie chcą ni imienia, ni mowy polskiej.“

Niestety, więcej wiadomości złych niż dobrych przychodziło z Polski i zakrwawiało szlachetne serce naszego pamiętnikarza, którym owładała nieraz tęsknota za swym rodzinnym kątkiem. Nie opuszczał on ani jednej niedzieli lub święta, aby nie wysłuchać nabożeństwa, a to przynosiło mu ulgę w jego tęsknocie. „Nie wiem, czemu chwile nabożeństwa naszego więcej nad inne przenoszą myśl moję do biednej ojczyzny mojej. Ten sam obrządek, te same we mszy i suplikacyach śpiewania przypomniały mi nabożeństwo w parafialnym kościele moim służewskim, gdzie nie tak bogate jak tu zgromadzenie, ale gromada wieśniaków z okolic po tygodniowej pracy, w prostej lecz chędogiej odzieży swojej wzywała litości Boga, tąż nutą, która dziś tak pięknie nuconą tu była; poleciała myśl, co mówię, poleciało serce moje przez morze, przez lądy w ojczyście dziedziny, do wiejskiej świątyni do mego Ursynowa.“ Piękne to i prawdziwe uczucia, z którymi w przykrej sprzeczności jest zdanie, wypowiedziane na końcu już prawie pamiętnika (str. 451), jakoby nabożeństwo protestanckie było bardziej w duchu pobożności jak msza i procesye nasze.

O spółczesnej Anglii i ludziach tamtejszych, których Niemcewicz znał i z którymi obcował, a znał on wielu ludzi znakomych, niema wiele szczegółów w pamiętniku. Jego obchodzą zawsze jedynie prawie wypadki krajowe; chociaż od kraju daleki odczuwał je wszystkie gorąco, i to zapewne stanowi największy urok tych pamiętników.

O Talleyrandzie pisze raz te prawdziwe słowa: „Dziwna rzecz w 78 roku zachować taki dowcip i wesołość; zagłusza sumienie, które się często nie miło odzywać musi i z taką reputacją moralną, ale pierwszego podobno nie ma, a o drugie nie dba. *Après nous le déluge*, jakoż całą politykę zawsze

do najukochańszego *ja* kieruje.“ Pięknie też mówi o przybyciu księcia Adama do Londynu po upadku powstania. „Przybył wieczorem ks. A. C. bez służącego, z małym tylko tłumoczkim, obdarty z całego majątku, z orderów nawet. Co za igrzysko fortuny! Gdy wspomnę, kiedyś był adjutantem przy szanownym ojcu jego przed 50 laty, gdyśmy lustrowali wojsko litewskie, jeździliśmy taborem liczącym do 300 koni dworskich i przyjaciół, 14 wielbłądów, co namioty niosły za nami; dziś syn tuła się w nędzy. Ale go otacza sława, więcej czuje on niedolę kraju niż swoją.“ Za to ująć się musimy za Lindem, którego Niemcewicz niesłusznie nazywa (str. 505) „duszą zawsze podłą“ i najgłówniejszym nieprzyjacielem oświaty.“

O kraju, który cały prawie wzdłuż i wszerz przejechał, w jakiejś weselszej chwili ułożył wierszyk napisany, jak mówi, na kolanie podczas podróży na koźle obok woźnicy.

Jakimkolwiek po Anglii puścisz się zawodem,
Każda wioska jest miastem, kraj cały ogrodem.
Wszędy plennego zboża liczne sterczą brogi,
Wszędy ładowne wozy zapełniają drogi.
Pasać się po wesołych błoniach liczne trzody,
Po roli lemiesz ręka prowadzi swobody.
Te nawy co je wały oceanu wznoszą,
Ze wszystkich części świata bogactwa przynoszą,
I na lud co go wolność i przemysł zasila,
Obfitość Bóg swych darów aż do dna wychyla.

Wogóle tom ten pamiętników Niemcewicza mało nam przyniósł nowego historycznego materiału. Wiadomości podane w nim są po większej części prywatnej natury. Miło nam jednak zawsze spotkać się z imionami tych wszystkich, którzy w tym czasie w Anglii okazali się nam przychylnymi; żałować tylko wypada, że nam autor nieraz dobitniejszymi kolorami nie odmalował tych postaci, a za to nie oszczędził opisu wielu zajęć drobnych i mało znacznych.

Zresztą naturalnym to skutkiem być musiało tego, że Niemcewicz bez myśli o całości spisywał dnia każdego dość niedbale to, co go spotkało. Ale czy nie było może obowiązkiem wydawcy pamiętnika w wielu miejscach go skrócić, aby przynajmniej uniknąć powtarzania się czasem jednych i tych samych wydarzeń? W sądach swych Niemcewicz nie zawsze był wytrawnym, to też i w tej swej ostatniej literackiej pracy, pomimo poważnego wieku daje się czasem unieść swej wrodzonej wrażliwości. Z tem wszystkiem jednak wielkim urokiem pamiętnika, jak to już powiedzieliśmy, jest prawdziwa i gorąca miłość ojczyzny. Dla ojczyzny sędziwy autor cały swój żywot poświęcił, ona zawsze i wszędzie jest dla niego na pierw-

szym planie, a i w tym pamiętniku słyhać tu na każdej niemal stronie ten wiersz z Dumań w Ursynowie pełen gorącej miłości:

Boże! jeśli me rany, więzy i wygnanie
Zasługują w Twych oczach na pólitowanie;
Daj, bym w wiecznym przybytku za nagrodę całą,
Cieszył się Polski szczęściem, potęgą i chwałą.

Należy się więc zawsze wdzięczność zasłużonemu wydawcy za ogłoszenie tych pamiętników tak obszernych, ale ponieważ to dopiero pierwszy tom się ukazał, a mamy obiecać jeszcze cztery, za tym większy obowiązek uważamy wykazanie błędów, które się wkraśli do wydawnictwa. Wiemy, że sam rękopis jest pisany dość niedbale i niewyraźnie, ale trzeba było właśnie dla tego postarać się o korektora obeznanego z przedmiotem, któryby mógł i samego autora poprawić. Przez łaskawość jednego z najzasłużeńszych pisarzy naszych, nad którego nikt pewno u nas nie zna lepiej Anglii, otrzymaliśmy cały spis błędnie wydrukowanych osobliwie nazwisk osób i miejscowości.

Oprócz bowiem błędów w polskim języku, jak n.p. (str. 6) Domicki zam. Tomicki (str. 10), Dylżę zam. Tylżę (116), Jaworski zam. Gurowski (163), Zajączkowska — Zajączkowa (206) Piętkiewicz — Pietkiewicz (507) Kągieniecki — Kozanecki (508) Klatkowski — Kwiatkowski (529) Sawaczyński — Sawaszkiewicz (559) Müller Zabałkański — Miller Zakomelski (565) Reitrenstein — Reitzenheim i t. d. jest mnóstwo w angielskim. Podajemy je w przypisku ¹⁾.

¹⁾ 1. Błędy historyczne.

Stron. 68. — Jerzego Xgo — Jerzego IVgo.

369. Dwóch synów Henryka VIgo — Edwarda IVgo.

516. Za Karola II — za Jakóba Igo.

438. Karol III — Eduard IIIci.

2. Błędy językowe.

36. Ja, Ja — Yes, Yes.

367. Costume House — Custom House.

402. Nicholas will make a compleat full of himl.

Winno być: Nicholas will make a complete fool of himself.

424. Kingl Henry wod.

King Henry's road.

543. Coak — Cook.

509. Cras Examination — Cross Examination.

399. The bloods Tower — The blood Tower.

- Traitors Gate — Traitors' Gate.
 480. Gay The Beggurs — The Beggar's opera poety Gay.
 490. Mountanairs — Mountaineers.
 90. Equal Rights — Equal Rights.
 201. Detrusor tyranow — Destructor.
 287. Realrood — Railroad.
 304. Jolio — Tally ho!
 413. Holy — Holly.
 543. Magret — Magnet.
 560. Hastings — Hustings.

3. Błędne nazwy miejsc.

38. Na nowem mieście Waterloo — moście Waterloo.
 41. Kingston Garden — Kensington Garden.
 74. Eps on Forest — Epsom Forest.
 76. Konsington — Kensington.
 401. Pulbney — Putney.
 198. Hule — Hull.
 264. Brighsham'town — Birmingham.
 284. Savorn — Severn.
 286. Chettham — Cheltenham.
 314. Sabloniers Hotel — Hotel Sablonière.
 432. Sontemptor — Southampton.
 443. Chethellham — Cheltenham.
 476. Loverbrosvenor — Lower Grosvenor.
 528. Haver — Lower.
 542. Rapper Street — Rupert Street.
 576. Swill Cottage — Swiss Cottage.
 102. Bouchy Park — Bushy Park.
 102. Twinknume — Twickenham.

4. Błędne nazwiska osób.

23. Landesdown — Lansdowne *a*).
 24. Castelreigh — Castlereagh *a*).
 45. Ewens brat Janusza — Evans brat Tomasza. (NB. Evans, o którym tu mowa, miał imię Andrzej — brat jego starszy Tomasz był na czele fabryki wyrobów żelaznych w Warszawie.)
 45. Księcia de Suffolk — księcia Sussex *ab*).
 49. Duca New Castel — Newcastle.
 50. Montagne Goze — Gore *ab*).
 50. Dorblay — D'Arblay *a*).
 50. Burnete — Burney *a*).
 50. (Camilly) — Cecylii.
 56. Van der Meyer — Van de Weyer *a*).
 73. Cambel — Campbell *ab*).
 73. Johson — Johnson.

91. Bokhouse — Backhouse.
97. Cochrane lord Dondevell — Dondonald *a*).
98. Ihill — Sheil *ab*).
101. Sir Henry Sloaw — Sloane.
109. Lord Hocksburry — Heytesbury.
117. Berensford — Beresford.
121. Hackluyn — Hackluyt.
129. Van Burin — Van Buren *a*).
131. Chettfield — Chatfield.
132. Maleorn — Malcolm.
134. Mount Edchcomp — Mount Edgecombe *ab*).
136. Irumaun — Trumann.
152. Reves — Reeve *ab*).
153. Pani Linea — Lieven.
157. Gratham — Grattan *a*).
157. Ponsoby — Ponsonby *a*).
161. Lord Haicz — Lord Howick *a*).
161. Roger — Rogers *ab*).
167. Ancelot — Ancillon *a*).
178. Cruishank — Cruickshank.
176. Duhall — Dulau.
178. Behring — Baring *a*).
179. Panny Berny — Berry *ab*).
181. Lord Minster — Munster.
188. Mangin — Mauguin *ab*).
196. Lord Magent — Nugent *a*).
198. Lord Pollimore — Panmure *ab*).
200. Macartrey — Macartney *a*).
203. Baril Hall — Basil Hall *a*).
204. Neonand Sidney Smith — Reverend Sidney Smith *a*)
204. Swist — Swift *a*).
205. Lyod — Loyd.
208. Switla — Swifta.
211. Skinnar — Skinner.
217. Lord Segan, syn lorda Howersby *ab*). — Lord Sandon *ab*), syn lorda Harrowby *ab*).
233. Lord Syndhurst — Lyndhurst *a*).
235. Spring, Rice — Spring Rice *a*).
238. Sir G. Warmden — Warrender *ab*).
249. Sir Charles Wetheret — Wetherell.
266. Dunkar — Duncan.
272. Horowby — Harrowby.
291. Boleton — Boulton.
292. Levis, Porhes, Altwood — Lewis *ab*), Parkes, Attwood *ab*).
297. Serfield, Edmond — Scholefield *ab*) Edmonds *ab*).
302. Augela *ab*) Izabella — Angela *ab*) Rosabel *ab*).

- 307. Jaglor — Taylor.
- 335. Crooker --- Croker.
- 338. Gone — Gore.
- 339. Varende — Warrender *ab*).
- 340. Lord Howil — Lord Howick.
- 341. Juglis — Jnglis *ab*).
- 344. Herrier — Herries.
- 347. W. Bulwer — E. Bulwer *a*).
- 357. Leshington — Lushington *ab*).
- 362. Ashburgham — Ashburnham.
- 367. Angershin — Angerstein *ab*).
- 373. Duckes Street — Duke Street.
- 375. D'Arbelais — D'Arblay.
- 397. Pohlen — Pollen.
- 399. Pierrepond — Pierrepont.
- 401. Harrowby — Heylesbury.
- 402. Puzy — Pusey.
- 402. Tournay — Turner.
- 420. Gilebury — Ailsbury.
- 421. Artley — Ashley.
- 456. Gullowaea — Galloway.
- 488. Lorry — Laurie.
- 492. Custn — Coutts *a*).
- 516. Delon — Dillon.
- 526. Courts — Coutts.
- 526. Henke — Hankey.
- 545. Graffor — Graffton.
- 553. Gardens — Jordan *a*).
- 564. Mathiens — Mathews *a*).
- 554. Forley — Torbay.
- 555. Eyore — Eyre.
- 564. Falbot — Talbot.

Przynajmniej 3 razy więcej jest nazwisk, z których niczego się domyslać nie można, albo tak małoznacznych osób, iż poprawiać nie warto.

Kładę literę *a* przy osobach historycznych, zaś *ab* przy dawnych przyjaciółach sprawy polskiej.

Jak korekta jest zła, to dowodzi jeszcze str. 95—60,000 f. szt. 12000 Złp., a to znaczy 2,400,000 Złp.

371. 13 szylingów czyni 26 Złp. a nie 14. Winno zatem być 7 szyl.

Korektor te same nazwiska pisze rozmaicie po trzykroć na tej samej stronie. Ileż to razy najdziwniej tu wymieniony ambasador angielski w Petersburgu Lord Heylesbury. Gospodarz Niemcewicz raz zowie się Taglor, drugi raz Jaglor i t. d.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 stycznia.

Z powodu choroby p. Szukiewicza, który tak umiejętnie kieruje obecnie kroniką polityczną „Przeglądu“, zastąpić go musi chwilowo nieznane czytelnikom pióro.¹⁾

Kończy się pierwszy miesiąc Nowego Roku, niby prolog dramatu, który w dwunastu odsłonach ma się na scenie świata odbywać. Prolog nie łąda. Ile to intryg zawikłanych, ile sytuacji groźnych, jaki siew obfity krwi, zaburzeń, słabości utajonych i sił ukrytych, wielkich przyczyn a małych skutków, szlachetnych pozorów a nędznej rzeczywistości! Nawet z wysoka a szczególnie z daleka patrząc i śmiesznych stron by nie brakło, tylko niestety trudno jakoś to bezstronne stanowisko wynaleść. My w całej tej sprawie nieznaczne, jak przynajmniej dotychczas, zajmujemy miejsce, ale dla nas samych niemniej jednak ważne. Można było się spodziewać, że po wszystkich klęskach jakie od stu lat na nas spadły, po gorzkich naukach, po niezliczonych poniżeniach, przecież całe to doświadczenie w las nie poszło, żeśmy się czegoś nauczyli a dużo, dużo odczytali, że potrafimy wyrzec się starych błędów, ustrzedz się zgubnych złudzeń, unikać kolei, w których tylekrotnieśmy ugrzęźli. Tak, zdaje się, że możnaby się tego spodziewać. I rzeczywiście, znaczna większość kraju naszego, w szerokim słowa znaczeniu, daje tego dowody. Mimo niekorzystnych politycznych i gospodarskich stosunków, wzięto się szczerze do pracy, do prawdziwej pracy. Podług zdolności i możliwości, piórem, głową, przemysłem, gospodarstwem, starano się podnieść dobrobyt, rozszerzyć naukę, zwiększyć wogóle warunki, których każdy naród potrzebuje, żeby mógł sobie rościć prawo do bytu, do istnienia. Nie zawsze i nie wszędzie się udało, dużo było zawodów, często mylny obrano kierunek, ale to jednak zasługi

¹⁾ Z przyjemnością donosimy, że p. Szukiewicz już wyzdrowiał. (R.)

nie zmniejsza, a prędzej czy później, więcej czy mniej, skutek jest konieczny, byle się nie zniechęcono i nie zaniechano, byle na roztropnem patryotycznym stanowisku wytrwano. Tem przykrzejszym musi być wszelki choćby drobny objaw przypominający nam, że są tacy między nami, którzy jeszcze tych prawd nie uznają, którzy zawsze gotowi nas kompromitować, a w końcu przy danej sposobności i zgubić. Obchodzono we Lwowie rocznicę powstania z 1863, a *Gazeta Narodowa* z powodu artykułu odnoszącego się do tego faktu uległa konfiskacie! Dzieją się na świecie rzeczy tak nadzwyczajne, tak nieprawdopodobne, tak potwornie dziwaczne, że ich zdrowym rozumem pojąć nie można, a te chorobliwe zachcianki niezaprzeczenie do nich należą. Wobec tych zjawisk przypominających fantastyczne powiastki Hoffmanna, niknie niestety zarzut, że *Teka Stańczyka* była dziełem spóźnionem. Jako, więc rzeczywiście są ludzie, którzy dzień ten nieszczesny jako wielką datę narodową, historyczną święcą, którzy się mienia prawdziwymi Polakami, patriotami, którzy przeciwników z błotem mieszają, którzy ich, a zatem prawie cały kraj, obrzucają obelgami, zwią zdrajcami, sprzedanymi, a rok 1863 stawiają jako wzór do naśladowania, jako ideał, jako hasło! Jeżeli miłość własna narodowa do pewnego stopnia jest konieczną rzeczą, jeżeli należy się czcić i wynosić chwile z przeszłości, które się do sławy i wielkości ojczyzny przyczyniły, to świętym z drugiej strony obowiązkiem każdego jest naprzód i przedewszystkiem prawdę głosić a nie stawiać przed oczyma nadrastających pokoleń błędów i fałszy jak cnót i zasług dla tego tylko, żeśmy je popełnili. Dla tego o świeżych elukubracyach lwowskich zamilczeć nie możemy, dla tego przeciw nim występujemy, a wolimy zawcześnie jak za późno. Złudzeń nie mamy, wiemy, że więcej obelg, oczernień i wyrzutów napotkamy niż prawdziwego uznania, ale takie względy nigdy nas nie wstrzymywały a tem mniej wstrzymać nas dziś mogą; my czynimy, co nam sumienie czynić każe, a gdzie jest pewniejszy przewodnik nad sumienie? Zapewne wygodniej daleko pochlebiać źle zrozumianemu patryotyzmowi, bawić się w mocodawców narodu, rozdzielać między siebie fikcyjne urzędy i misye, żałować nie dawno niestety minionych czasów, tajemniczych pieczętek, nadzwyczajnych komisaryatów, generalstw bez wojska i ministerstw pokątnych. Łatwiej zarabiać sobie tanim, bo cudzym kosztem sławę męczeńską, a niekiedy i inne może korzyści. Ale za świeża jeszcze przed oczyma pamięć 1863 roku, aby piękne te marzenia ziścić się mogły. Któż zapomniał krwawego tego szaleństwa, niewidzialnych i nieznanych a zatem nieodpowiedzialnych sprawców, konfiskat, deportacyi, ciężkiego nieporozumienia między ludem wiejskim a właścicielami, które ztąd wynikły, nie mówiąc już wcale o zniweczeniu w Królestwie

Polskiem reform administracyjnych, szkolnych, sądowych, językowych, z tak wielkimi trudnościami osiągniętych, a tak znacznych, że dzisiaj nieprawdopodobnemi prawie się zdają. A czy w zamian choć sławy nam przybyło, czy złota księga dziejów polskich wzbogaciła się choć o jedną kartkę? I tego nawet nie. Żadnej bitwy znaczniejszej, żadnego zwycięstwa świetnego. Oddziały tworzyły się i nikły prawie bez śladu. Parę wsi spalonych, kilka, kilkanaście lub kilkaset trupów po lasach, niekiedy wisielec na gałęzi, lub biedak zakłuty w zaułku, a dużo łez, dużo krzywdy ludzkiej, dużo biedy, otóż i cały rezultat. Niezbywało wprawdzie i na poświęceniu. Wielu przyczyniło się majątkiem, niejeden młodzieniec życiem przypłacił miłość ojczyzny tak gorącą, że szedł, chociaż nie wiedział gdzie, że słuchał, chociaż nie wiedział kogo, dla tego tylko, że mu powiedziano, że to ojczysta sprawa, że tu o Polskę chodzi, że trzeba pokazać, że jeszcze żyje, że ktoś pomoże, że ktoś wesprze, że ktoś zbawi, że jakoś to będzie, bo być musi. Cześć tym i sława, a pokój w grobie, bo chcieli dobrze, bo kochali gorąco; bo się dla ojczyzny poświęcili, największem poświęceniem, bo poświęceniem bezwarunkowem, ślepem, bezwzględnem; ale za to niech cała ta krew, i to poświęcenie, i ta nędza spadnie na głowy tych, którzy je wywołali, którzy lekkim sercem, jeśli nie gorzej, wzięli na siebie odpowiedzialność przed Bogiem, bo byli za przebiegli, żeby ją wziąć przed ludźmi. I dzisiaj chcielibyśmy te dzieje wskrzesić, dzisiaj pokazują je młodzieży jako cel, do którego powinna dążyć, jako szanowną tradycją! Nie wiemy, kto są ci ludzie, nie znamy ich; wierni taktyce, jakiej się przed czterdziestu laty trzymali, są zawsze anonimami i anonimowe palą kadzidła przed złowrogim bożkiem 1863 r. Jakże ich mamy sądzić dokładnie? Alternatywa choć nie obfita może być trudną: jest to albo nieograniczone osłepienie albo zbrodnia, niech oni sami wybierają. Gdyby nieszczęsne to powstanie było dało światu i nam samym poczucie siły, jaką w sobie mamy lub miećbyśmy mogli, gdyby było dowiodło, że choć nie wolni, zachowaliśmy tradycje prawdziwej wolności, że przedstawiamy całość od góry do dołu naszego społeczeństwa, że myśl głęboka, poważna i uczciwa nami powoduje, że umiemy słuchać i wspierać ludzi, którzy znaczeniem, rozumem, charakterem, czynami, mogą rościć sobie prawa do przedstawiania i kierowania nami, w takim razie chociaż niewłaściwe, i nie na czasie, byłoby ono miało jakąś dobrą stronę. Ale tak nie jest. Pokazaliśmy jasno, że powodowały nami nie polityczne względy ale chorobliwe uniesienia, nie ludzie stanu ale maskowani nieznajomi; że ów ruch nie był wspólnym wszystkim, lecz że mu lud wiejski, wszędzie, a szczególnie u nas podstawa społeczeństwa, nie tylko nie sprzyjał, lecz wręcz był przeciwnym, że zamiast jedności

było jak największe rozstrzelanie. Utraciliśmy przez to nawet znaczenie moralne, któreśmy do tej chwili niezaprzeczenie mieli. Przez związki z rozmaitemi skrajnemi żywiołami w Europie, daliśmy pozor do oskarżenia nas, że my nie tak czysto narodową sprawę mamy na celu, jak raczej wywrót socyalny, jak podziemne knowanie przeciw rządowi, nie dla tego, że obce lecz dla tego, że rządy; odwróciliśmy od nas sympatye uczciwych ludzi, daliśmy panującym nad nami mocarstwom pozor do twierdzenia, że uciskając nas, bronią tylko porządku społecznego, że gniotąc, gniotą tylko rewolucyą, że oni przedstawiają sprawiedliwość, gdy my przedstawiamy tylko wywrót i gwałt. Sta- nęliśmy tak nisko, że o nas już i wzmianki nikt nie czynił w świecie, że nam odbierano język, że niszczone nas finansowo, że nawet nie wszędzie wolno nam było wierzyć i modlić się podług sumienia i przekonania, a nikomu ani na myśl nie przyszło powiedzieć, że to może zanadto, że to może niesłusznie; wszyscy myśleli: pewnie tak działać trzeba, kiedy z Polakami nie ma innej rady. Popełniliśmy jeden z największych grzechów politycznych, jakie naród popełnić może, pokazaliśmy naszą słabość i osłabiliśmy się istotnie, a w polityce ustępstw nie robi się ani słabym, ani małym, ani nic nie znaczącym. lecz tym, którzy mogą pomódz, a szczególnie zaszkodzić, którzy mogą nie tylko prosić ale wymagać, jednym słowem tym, których się lęka.

Zawikłania wschodnie, których konferencye stambulskie rozwiązać nie zdołały, które mniej jasne, mniej może natychmiastowo groźne, zawsze jednak wiszą złowrogo nad spokojem Europy, z naszej strony wymagają zdrowej rozważki i zimnego sądu. Dotykają się one nas zbliżka, bo są przeważnie sprawą słowiańską, czyli rosyjską i austriacką. Ślepo iść dalej nie powinniśmy, spuszczać się na byle kogo nie możemy. Położenie nasze jest trudne. Z jednej strony chodzi tu o Słowian domagających się wolności, walczących przeciw państwu które ich przez pięć z górą wieków trzymało w srożej niewoli, pozbawiło praw, wydarło aż rodzinną ziemię, jeśli nie wyrzekli się religii przodków i nie przyjęli wiary zwycięzców. Z drugiej strony szukali oni wyłącznie podpory w Rosyi, zidentyfikowali się z nią, przyjęli jej pismo, jej wyobrażenia, jej tylko wpływowi ulegli. Co więc czynić? Potępiać ich nie możemy, położenie ich tak zbliżone do naszego, ich nędze tak do naszych podobne. Jakiem prawem odmówilibyśmy innym prawa do tego, czego my sami dla nas żądamy, jakiem prawem my Polacy występowalibyśmy przeciw Słowianom pracującym nad strząśnieniem obcego jarzma i odzyskaniem niepodległości, jakbyśmy nawet zdołali odmówić współczucia narodowi, który mimo pięciowiekowego zniszczenia zachował niezatartą pamięć tego czem był i dziś walczy, by zmartwychwstać. Lecz nie ma-

my także prawa dopomagać mu czynnie, o ile to w naszej leży mocy, bo ich zwycięztwo znaczy tyle co zwiększenie potęgi rosyjskiej, a nie nam się dziś do tego przyczyniać. Wobec systematycznego tępienia wszystkich zabytków polskości, gdy nam zabierają ostatnie resztki dawnej autonomii, gdy zmieniają sądownictwo dotąd istniejące na gorsze dlatego tylko, że nie to samo, co w całym cesarstwie, gdy nas pozbawiają mowy, gdy gwałtem, podstępem, wszystkimi środkami wydzierają nam aż wiarę, bo choć powszechna, zawsze polską była, my nie mamy prawa wzmacniać tego, który nas prześladowe, silniejszą czynić dłoń, która nas tak nielitościwie dławi. My możemy tylko patrzeć i czekać. Bierne zachowanie się tem jest dla nas łatwiejsze, że jest ono dotychczas i polityką Austrii. Mimo przewagi nieprzyjaznych nam żywiołów, Austria jest jednak największą, jedyną nawet naszą przyjaciółką. Jedyne w jej obrębie oddychamy swobodnie, mamy byt narodowy, szeroką autonomią, rządzymy się sami, jesteśmy równouprawnioną częścią wolnego państwa. Nasze interesa ściśle są jej z interesami związane, jej się trzymać musimy, jej dopomagać i bronić. We wschodnich sprawach idźmy więc za jej przykładem, nie mieszajmy się do tego, do czego się ona nie miesza. Nie wypierajmy się dla tego polskości, działajmy tak, bo nam tak działać wypada, bo nie powinniśmy wzmnażać Austrii trudności, których ona i tak ma już bez liku tak wewnętrznych jak i zewnętrznych, ale owszem starać się, by jak najsilniejszą była, by głos jej znaczył wiele w danym razie, by jedyne plecy, na których się opieramy, były jak najszerze i jak najpewniejsze. A ostatecznie pokażmy, że nie odpłacamy złem za dobre, że umiemy być wdzięczni, że niekoniecznie nadużywamy dobrodziejstw, że nie zawsze obracamy udzielone nam swobody przeciw tym, którzy je nam udzielili; słowem dajmy najdobitniejszy dowód, że jesteśmy ludźmi rozsądnymi a nie rozkapryszonemi dziećmi, narodem godnym wolności, a nie szczerem podupadłym i zepsutym, którego tylko mieczem i batem prowadzić można.

Wobec takiego położenia, wszystko co do odmiennego postępowania prowadzi, musi być szkodliwe. Jakże więc mówić mamy o wystąpieniu hr. Władysława Platera jako przedstawiciela Polski wobec rządów i ludów na mocy udzielonego mandatu? Któż mu ten mandat udzielił? Jaki sejm, jaka rada, jakie zebranie się wreszcie ludzi mogących w imieniu kraju działać, upoważniło go do przybrania tak wybitnego stanowiska? Prawdopodobnie to samo kółko, które niedawno wygotowało memoriał o Polsce, w celu przesłania go pełnomocnikowi obradującemu w Konstantynopolu. Memoriału nie posłano, i chwała Bogu, że się tak stało, ale całkiem głupstwa nie zrobić, to już było niemożliwem; zamianowano więc p. Platera

ambasadorem nie przy jednym dworze, toby było za mało, ale przy wszystkich dworach i narodach świata. Dopóki p. Plater zajmował się jedynie niewinnemi emigracyjno-patryotycznymi mówkami z powodu Nowego Roku lub jakiej daty historycznej i t. d., nikomu przez to nie szkodził i można było nie zważać na nie; dopóki trudnił się urządzaniem Muzeum w Rapperswyl, to można było żałować, że Polska w tak smutnem świetle pokazuje się Europie, ale wielkiego złego nie zrządził, chyba to, że niejeden Polak zwiedzając równocześnie z cudzoziemcami ten zbiór kilkuset obdartych książek, lichych obrazków i rycin, sierści konia Kościuszkowego i tym podobnych drogocennych zabytków, żałować musiał, że tyle szumnych reklam doprowadziło dotąd do tak skromnych rezultatów. Ale dziś, gdy p. Plater, w najlepszej chęci, o tem nie wątpimy, czynne a kompromitujące sprawę chciałby zająć stanowisko i wskrzęsić nieszczęsną politykę na własną rękę, z wszystkimi jej zgubnemi lub śmiesznymi skutkami, milczeć o nim nie możemy, ale owszem głośno wypowiedzieć, że jest on po prostu fikcją, bo ów mandat nic nie znaczy, i że kraj wypiera się go i protestuje przeciw wszystkiemu, co bezprawnie w jego nibyto imieniu uczyni lub będzie się starał uczynić. Niech broń Boże nikt nie myśli, że nam o osobistość p. Platera idzie. Nie posuniemy się jak niektórzy aż do nazwania go Falstafem emigracyjnym, bo tego rodzaju polemika nie jest w naszych zwyczajach, ale powiemy poprostu, że lada kamyk na szynie może największy pociąg wywrócić, i że obowiązkiem jest każdego takie kamyki zmiatać. Zresztą mniejsza o tego, który mandat przyjął, bo ten przyjmując go, tem samem siebie osądził, ale cóż mówić o tych, którzy w naszym tragicznem położeniu zdobyć się mogli na przeplatanie dramatyczności tak płaską komiką. Nie, doprawdy mniemaliśmy, że mianowanie ambasadorów, wysłanników i tutti quanti należy już dzisiaj u nas li tylko do wspomnień smutnej przeszłości.

Lecz dajmy już pokój tym tragikomicznym fantazyom i przejdźmy do spraw rzeczywiście ważnych i poważnych. Różne są zdania co do pory i stósowności zebrania się sejmu galicyjskiego. Podług nas niema po co zbyt się spieszyć. Sejm nowo wybrany różni się tem od poprzedzających, że składa się przeważnie od nich z pierwiastków wykształconych, i że też więcej od niego wymagać można. Trzeba mu więc zostawić czas potrzebny, aby się mógł obznajmić ze sprawami, które mu będą przedłożone i o których będzie rozstrzygał. Kadencya, któraby spełzła na niczem, dałaby pochop do twierdzenia z pewnym pozorem słuszności, że jeśli przedtem nic nie zrobiono składając winę na zbyt liczny a nieprzyjazny żywioł ruski i niedojrzały żywioł włościański, to dziś, gdy te przeszkody w znacznym stopniu znikły, niepłodność ta dowodzi, że

sejm w ogóle na nic się zdać nie może. Najstosowniejby było odroczyć zwołanie sejmu aż do przyszłej jesieni, a wtedy sesya powinaby trwać najmniej dwa lub trzy miesiące i z całą znajomością rzeczy wziąć się do dzieła. Tak postępując należy się spodziewać skutecznych a dla kraju prawdziwie pożytecznych skutków, a sejm z 1877 roku powinien pozostać pamiętnym. Gdyby jednak, jak głoszą obecnie a o czem zupełnie nie jesteśmy przekonani, sejm miał się zebrać 3 marca na trzy tygodnie, sesya ta o tyle mogłaby mieć użyteczność, iż uprzętnęłaby się z długą formalnością sprawdzania wyborów, oraz budżetem, zostawiając sesyi jesiennej zupełną swobodę przystąpienia do reformy stosunków wiejskich. A jednak pomimo tej korzyści wiosennej sesyi obstajemy przy naszym zdaniu, iż w dzisiejszych okolicznościach lepiej, żeby sejm później się zebrał.

Konferencye Stambulskie zostały zerwane nic nie zdziaławszy. Gdyby podług przykładów przeszłości sądzić można, byłby to niechybnie krok naprzód ku wojnie, jeśli nie natychmiastowa wojna. Ale dawne reguły do teraźniejszości zastosowywać się nie dają. Dyplomacya na inne weszła drogi, czyli raczej może bezdroża. Zbierają się pełnomocnicy na kongres pokojowy — wszyscy mówią: to niezawodna wojna. Obradują bezskutecznie, rozjeżdżają się nareszcie demonstracyjnie: ej, to może pokój. Przebiegłość czy bezwładność, każdemu wolno sądzić podług własnego upodobania, a jak rzeczywiście rzeczy stoją, tego nikt pewnie nie wie, chyba ci, którzy prowadzą sprawy kilku głównych państw europejskich, i to jeszcze pytanie. Austria, która przeszłego roku wysunęła się była naprzód, uczuła niebezpieczeństwo swego położenia, zlekła się, by przez potężnych sąsiadów nie była użyta tylko za narzędzie, i przypomniawszy sobie wyprawę Szlezwicko-Holsztyńską, cofnęła się na mniej wybitne ale też bezpieczniejsze stanowisko. Trzeba hr. Andrassemu oddać sprawiedliwość, że przynajmniej jak dotąd zręcznie kieruje polityką zagraniczną Austrii. Ostatecznego sądu wydać nie możemy, bo zamiarów jego naturalnie nie znamy, i musimy to przyszłości zostawić.

Za czasów Cesarza Mikołaja, tak absolutne jak teraz odzrucenie przez Turcyą propozycyj rosyjskich byłoby wywołało natychmiastowe *ultimatum*. Dziś inaczej się dzieje. Mimo wspierania Serbii, mimo agitacji dziennikarskiej, mimo groźnej mowy moskiewskiej, mimo wojska zgromadzonego na południowych granicach cesarstwa, a zatem mimo największych przygotowań materialnych i moralnych, odmowa Turcyi nie wywołała dotychczas zbrojnej odpowiedzi, a dłoń podniesiona ciosu nie zadała. Owszem zwrot radykalny czuć się daje. Prasa krajowa twierdzi, że Rosya działa solidarnie z mocarstwami, że wymożenie na Turcyi żądanych reform jest sprawą ogólną, że Rosya

nie ma zatem obowiązku sama siłą ich się domagać, tem bardziej, żeby jej nie dozwolono jakie bądź, w razie zwycięstwa, bezpośrednio dla siebie wyciągnąć korzyści. Jedni myślą, że jest to poczucie bezsilności, drudzy, że obawa przed Niemcami. My się do ostatniego skłaniamy zdania. Wierzmy, iż się Rosya przekonała, że reforma wojskowa nie jest jeszcze całkowicie i skutecznie przeprowadzoną, że wiele jeszcze brakuje, że kilku a może kilkunastu lat potrzeba, aby siła na papierze była równą siłą w rzeczywistości, ale ztąd do bezsilności jeszcze daleko. Niedowierzanie zaś Niemcom jest bardzo naturalne. Zwiększenia dalszego potęgi rosyjskiej, życzyć sobie Niemcy nie mogą. Mimo bliskiego pokrewieństwa obu Cesarzów, zanadto mamy dowodów, o ile tego rodzaju względy wstrzymują Hohenzollernów, gdy o ich korzyść idzie, abyśmy przypuszczali, że zdołają one zrównoważyć ambycją i chęć wszechwładzy księcia Bismarcka. Tajemnicze więc i niewybitne stanowisko, jakie Niemcy w dzisiejszych wschodnich sprawach zajęły, uprawniają mniemanie, że życzą sobie, aby Rosya wplątała się w wojnę z Turcją, użyła ku temu wszystkich sił, a ich zostawiła niezakłóconymi panami położenia, któreby one z pewnością wyzyskały czy pośrednio na Europie, czy nawet bezpośrednio na Rosyi. Jeśli taka jest przyczyna dzisiejszej polityki rosyjskiej, to uważamy ją za bardzo słuszną, i chyba dziwić się musimy, że Rosya prędzej tego nie zrozumiała. Byłaby sobie oszczędziła dużo pieniędzy, niepotrzebnego wzruszenia w kraju, a jej dyplomacya byłaby zachowywała bez ujmy to, co jej jeszcze zostało z dawnej i zasłużonej sławy. Ale ostatecznie, *mieux vaut tard que jamais*.

W Niemczech odbyły się wybory do parlamentu i niekoniecznie przyjemnie dla rządu wypadły. Nie, żeby większość nie była w ręku national-liberałów i postępówców, czyli ostatecznie w ręku rządu, ale dla tego, że kilkunastu socjalnych demokratów do Izby się wdarło. Od czasu poprzedzających wyborów jest to postęp ogromny. Tych kilkunastu posłów w parlamencie nic nie robi, ale dowodzą oni, jak mimo Alzacyi i Metz, wielkiej sławy i pięciu miliardów, polityka ks. Bismarcka doprowadziła kraj do ubóstwa, do rozdrażnienia umysłów, do niepokoju. Socjaliści nie występowali tym razem sporadycznie, w tym lub owym przemysłowym tylko okręgu, ale we wszystkich znaczniejszych miastach, szczególnie Prus i Saksonii, działali otwarcie, zgodnie, dowiedli silnej organizacji, gdzie niegdzie zwyciężyli, w wielu miejscach przyszło do ściślejszych wyborów, jak w Wrocławiu, między ich kandydatem a Laskerem, najwybitniejszą osobistością liberalnej większości parlamentarnej. W takim położeniu polemika, którą dzienniki niemieckie prowadzą przeciw Francyi, o jakieś niby zbrojenia się nadzwyczajne, o zbyt przyspieszoną reorganizacyą wojsko-

wą, przypominają z bliska podobne wystąpienie prasy niemieckiej w 1875 roku, które dało pochop do słusznych obaw wojennych, a spełzło na niczem, jak mówią, w skutek osobistego wmieszania się cesarza Aleksandra. Polityka niemiecka względem Francji jest istnem naśladowaniem bajki La Fontaina: Wilk i jagnię. Francya, tak jak owo jagnię, zachowuje się potulnie i ostrożnie, głosi, że nikomu nie chce przeszkadzać, ani mu wody mącić, ale stara się jednak, aby mu rożki urosły i to jak najostrzejsze. Na nieszczęście system parlamentarny na sposób francuskiego, nie jest tego rodzaju, żeby systematyczne reformy ułatwiał. Intrygi stronnictw, ciągła chwiejność ministerstw i bezustanne zmiany w ich obsadzeniu, byłyby całkiem uniemożliwiły pracę reorganizacji wojskowej, gdyby marszałek Mac-Mahon tak we wszystkim innem konstytucyjny, niektórzy mówią słaby, nie był stworzył ministrowi wojny do pewnego stopnia odrębnego stanowiska, wziął go w swoją specjalną opiekę, i zasłaniając go własną osobą, doprowadził Francję do stanu, w jakim się dziś znajduje. Nie jest ona jeszcze, czem być powinna, ale jednak wojskowo silniejsza, niż przed ostatnią wojną; lekceważyć jej nie można, zuchwale zaczepiać, mogłoby być nieostrożnie, i to jest główna zasługa marszałka Mac-Mahona.

Edward Raczyński.

TEATR.

Dnia 20 stycznia przedstawiono po raz pierwszy, a następnie kilkakrotnie powtórzono pierwszą z pozostałych komedyj ś. p. *Alexandra Fredry*: „**Wielki człowiek do małych interesów.**” Skoro ukończone zostanie przedstawienie całej pierwszej seryi podamy o nich obszerniejszy artykuł. Dziś zapisujemy tylko, że przedstawienie to było prawdziwą uroczystością dla publiczności.

Redakcyja.

Kronika bibliograficzna.

Siemiński Lucyan. Święci poeci. Pieśni mistycznej miłości. Zebrał i tłómaczył . . . Lwów 1877. Nakładem księgarni Wł. Bełzy. Str. 112.

Zbiorek ten jest najwdzięczniejszą książeczką, jaka ukazała się w ostatnich czasach i obudził powszechne zajęcie nie tylko u publiczności, ale i u najkwaśniejszych krytyków. Autorami tłómaczonych tu poezyj są: Ś. Franciszek z Asyżu, Ś. Bonawentura, Błog. Jakób z Todi, Ś. Teresa, Ś. Jan od Krzyża i Anioł Szlżzak. Zdaje się, że naszych czytelników do czytania tych z wielką prostotą i mistrzostwem dokonanych przekładów zachęcać nie potrzebujemy, tem bardziej, że niektóre znają z „Przeglądu.“ Wydanie ładne.

Müldner Henryk. Szkice z podróży po Słowacy, z dodaniem krótkiego przewodnika. (Dochód na cele Towarzystwa Tatrzańskiego). Kraków 1877. W drukarni „Czasu“. 8vo. str. 108.

P. Müldner posiada przymioty uważnego turysty i spostrzeżenia swoje opowiada zajmująco.

Tarnowski Stanisław. Komedye Alexandra hr. Fredry. Trzy odczyty publiczne w sali ratuszowej w Warszawie. Warszawa 1876. Wydanie biblioteki Warszawskiej.

Kaplińska Zofia. Pisma. Wydanie pośmiertne. Warszawa 1876. Lewental.

Niemirowski A. Wykład notaryatu dziejowy i porównawczy. Część szczególna. Warszawa 1876.

Sowiński Leonard. Rys dziejów Literatury polskiej podług notat Alexandra Zdanowicza, oraz innych źródeł opracował i do ostatnich czasów doprowadził... Tom III. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego 1876 str. 791.

Miło wziąć do ręki książkę polską drukowaną w r. 1876 w Wilnie i u Zawadzkiego. Niestety zajrzawszy do środka doznaje się niemiłego rozczarowania. Jest to nie rzadki ale wielki okaz wielkiej fabrykacyi książek cudzym kosztem. Z trudnością najpilniejszemu poszukiwaczowi znaleśchy przyszło własne zdanie „Autora“. Wypisuje gdzie może. O jednym pisa-

rzu drukuje 150 stronic, dla tego, że miał pod ręką monografią, o drugim, ważniejszym, zaledwo wspomina, bo nikt o nim nie pisał. Wyzyskuje nie tylko zmarłych Autorów, ale i współczesnych; np. Hugona Zatheya „Uwagi nad Panem Tadeuszem“ przedrukował całe dosłownie. Że u nas takie rzeczy dzieją się bezkarnie, dziwić się nie można, skoro je chwala. I tak p. A. Jabłonowski w grudniowym zeszycie „Ateneum“ nie szczędzi p. Sowińskiemu pochwał, które należą się komu innemu. Ciekawiśmy jak je przyjmie p. Sowiński — i obszerną krytykę „zbiorowego“ dzieła noszącego jego nazwisko zachowujemy na później.

Kulickowski Adam. Zarys dziejów Literatury polskiej na podstawie badań najnowszych pracowników dla użytku szkolnego i podręcznego nakreślił. . . Wydanie wtóre, poprawione i uzupełnione. I połowa. Lwów. Nakładem Karola Wilda 1876.

O pożytecznej tej książce pisaliśmy już w „Przeglądzie“ dwukrotnie po okazaniu się pierwszego wydania. Cokolwiek jeszcze zarzucićby można, nie podobna nie przyznać, że jak na teraz, jest to najlepsza Historia Literatury dla „domu i szkoły.“ Polecamy ją szczerze czytelnikom naszym.

Kochanowski Jan. Odprawa posłów greckich. Staraniem i nakładem Profesora Dra Hugona Zatheya. Kraków 1877 w drukarni „Czasu“. Str. 16.

Jest to wydanie krytyczne tekstu nieśmiertelnego utworu, przeznaczone dla szkolnej młodzieży. Zwracamy uwagę na jeden tylko wyraz w przedmowie. W wielu edycjach czytaliśmy: „*Quidquid id est*, a baczę, że błażeństwo“. Tymczasem w najdawniejszych wydaniach, które wydawca przeglądał, jest błażeństwo, a to wielka różnica. Kochanowski chciał powiedzieć, że to rzecz drobna, błaha, a nie błazeńska. O sprostowaniu w tej edycji innych zakorzenionych błędów, nie wspominamy, bo zobaczy je każdy.

A. Malczewskiego Nieznany wierszyk podał „Ateneum“ w grudniowym zeszycie. Zachowany jest w zbiorze Autografów pana W. G. w Żytomierzu.

O jak przykro do swoich wracać bez nadziei!
Toczy się hucznie powóz w znajomej kolei,
Mija znane przedmioty, ojczyste zagony,
Ale widok ich dla mnie kirem osłoniiony. —
Ach czemuż tak jak dawniej o szczęściu nie marzę?
Gdzież te co się tak lubo uśmiechały twarze?
Gdzież te serca, co czuły każde mego bicie?
Znikły — przez chwilę tylko ozdobiły życie. —
Jak promień co z obłoków na samotne góry
Błyśnie, i znów go skryją wiatrem gnane chmury —

Teraz cicho — żadne mnie nie witają głosy —
Tylko wiatr jęczy, smutnie uginając kłosa.

Biblioteka Mrówki. Lwów, księgarnia Polska. 1877. Tanie to i bardzo pożyteczne wydawnictwo, oddające wielkie usługi młodzieży szkolnej i uboższym rodzinom, ogłosiło świeżo następujące dzieła (po cenie 10 ct. do 35 ct.): 1) Słowacki, Kordyan. 2) Zieliński, Kirgiz. 3) J. U. Niemcewicz, Śpiewy historyczne. 4 i 5) Goszczyński, Sobótka i Straszny Strzelec. 6 i 7) Kochanowskiego Szachy i Mickiewicza Warcaby. 8) Foe, Robinson. Życzymy temu wydawnictwu, żeby zyskało uznanie i mogło być prowadzone na jak największą skalę i z jak największą starannością. Przedewszystkiem wszelkie miernoty powinny być bezwarunkowo wykluczone.

Zarewicz Ludwik, członek komisji histor. przy Akademii Umiej. Andrzej z Piasków Bobola. Przyczynek do dziejów panowania Zygmunta III. Przedruk z „Przeglądu Lwowskiego.“ Lwów 1876. str. 101. Recenzją tej pracy podamy później.

Poezye przez Nieznanego. Jasło. Nakładem i drukiem Stoegeera. 1876. wielka 8va str. 137. W Jasle muszą mieć dużo pieniędzy, jeśli drukują „Poezye“ jakiegoś zapewne niewielkiego „Nieznanego“ na bardzo dobrym papierze. Dziwimy się prawie, że w żadnym piśmie nie spotkaliśmy pochwały tej książki i autora, któremu widocznie tryumfy Rozbickiego i Skorodradzkiego spać nie dawały. Ponieważ w Krakowie czasy ciężkie, przeto darują nam czytelnicy, że tylko jeden wiersz i to, ażeby nie tracić czasu na szukanie najlepszego, zaraz pierwszy powtórzymy dla rozweselenia ich i zbudowania: Zaręczamy, że są jeszcze lepsze.

Jéj widok.

O gdy spoglądnę w twoje modre oczy,
W których się dusza słońcem rozpromienia,
Gdy myśl się z myślą, dusza z duszą zoczy
I zleją serca i stopią natchnienia;

Gdy twój postaci widzę wdzięk uroczy,
I z ust koralu napijam płomienia,
Piersi twój ogień dotykam proroczy
I twego bytu dotykam się cienia:

Jako ocean w swe formy ścieśniony
Wre dysząc z łona perłową zaletą:
Wulkan mój wstaje — świat chwytam ramiony

I świetną czynów ozdobiony metą
Pieśń ci tę niosę!... Jam uszczęśliwiony!...
Luba, przy tobiem człowiekiem — poetą!...

Gdyby to był przeczytał p. Dolski (w „Wielkim człowieku do małych interesów“), byłby zaśpiewał: „Czemuś oczka zapłakała.“

Liske Xawer Dr. Der angebliche Niedergang der Universitaet Lemberg. Offenes Sendschreiben an das Reichsrathsmitglied Herrn Dr. E. Suess. Lemberg. 1877. Co spowodowało napisanie tej broszury i jaki był jej skutek, wiedzą czytelnicy z pism codziennych. P. Liske odezwał się w obronie prawdy spokoju, z siłą i umiarkowaniem i dlatego sprawił wrażenie.

Głos z Warszawy. Uwagi w sprawie wschodniej z uwzględnieniem interesów polskich, poświęcone rozprawie patriotów polskich w Galicyi i w Poznańskim. Lwów 1876. str. 16. Broszura znana z pism codziennych, które o niej obszerną zdawały sprawę.

Dębicki Ludwik hr. Widmo zdrady. Lwów. Nakład „Przeglądu lwowskiego.“ 1876. str. 23.

Golian Zygmunt ks. Ostatni bohaterowie Judei. Nakładem X. E. Podolskiego. Lwów. 1876.

Żychliński Teodor. Tadeusz Kościuszko. Poznań. M. Leitgeber. 1876. Wydanie ładne, ale przeciw książce podniosła krytyka srogie zarzuty.

Brandowski Alfred Dr. Filozofia Lucjusza Anneusza Seneki. Napisał Dr. Bronisław Kruczkiewicz. (Odbitka z sprawozdań akademickich). Kraków 1876.

Kautny P. Franciscus e S. J. „Summa institutionis ad eloquentiam in libros tres disposita. Alosti. 1876, str. 467. Pragniemy podać dokładny rozbiór tej pracy uczonego autora.

Rolnik. Czasopismo dla gospodarzy wiejskich. Organ urzędowy c. k. Towarzystwa gospodarczego galicyjskiego pod redakcją D. Abrahamowicza.

Redakcyja narzeka na obojętność gospodarzy Galicyi zachodniej. Obojętności tej zgoła zrozumieć nie możemy, bo pismo jest starannie redagowane i zasługuje na szczerzy współudział.

TRZECIA ŻONA ZYGmunTA AUGUSTA.

PRELEKCYA PUBLICZNA

Józefa Szujskiego

na korzyść Tow. bratniej pomocy uczniów Uniwer. Jagiell.

Mam się podzielić dzisiaj z zawsze łaskawem na nasze Tow. bratniej pomocy Zgromadzeniem, pracą, wchodzącą w skład V gotującego się właśnie tomu Jagiellonek ś. p. hr. Przeddzieckiego.

Dwóch monografij tej pracy odumarł śp. hr. Przeddziecki: Monografii o Annie Jagiellonce i o Katarzynie Austriackiej. Wziąłem na siebie napisanie w całości pierwszej, dopełnienie drugiej.

Odczytam w całości tekst po śp. hr. A. Przeddzieckim; w zbyt obszernym własnym tekście pomnę to, coby zbyt znacznie przedłużyć mogło dzisiejsze posiedzenie, dążąc do najdramatyczniejszej epoki życia Katarzyny, gdy mąż jej Zygmunt August rozpoczął starania o rozwód a ewentualnie separację.

„Gdy Zygmunt August żałośnie odprowadziwszy zwłoki ukochanej żony Barbary do Wilna, sprawił jej tam pogrzeb wspaniały, dla rozerwania się pojechał na łowy do Wigier.

Ztamtańd pisał do króla rzymskiego Ferdynanda (1 Sierpnia 1551 r.) polecając się przyjaźni dawnego teścia, którego zawsze jeszcze ojcem nazywał, i wstawiając się u niego za siostrą Izabellą i za siostrzeńcem swoim Janem Zapolyą, królewiczem węgierskim, sierotą po ojcu, który całą nadzieję swoją w wuju pokładał.

Król Ferdynand w odpowiedzi swojej doniósł o zawarciu pokoju z królową Izabellą i jej synem, któremu obiecał nadto rękę najmłodszej córki swojej Joanny, przyjawszy go już teraz za syna ¹⁾. Wdzięcznie przyjął tę wiadomość Zygmunt August, a wkrótce przybyli do niego znani nam posłowie baron Herberstein i Jan Lang dla traktowania o sprawach węgierskich i tureckich. Królowa Izabella, którą Henryk II król francuski opiekował się przez posła swego na dworze Sułtana, zawarłszy pokój z królem Ferdynandem, doniosła o tem Sułtanowi, i prosiła go, aby Księstwo Siedmiogrodzkie pozostawić raczył przy Królu Rzymskim, który rękę córki swojej jej synowi przyobiecał.

Posłowie króla Ferdynanda musieli mieć polecenie śledzenia zamiarów Zygmunta Augusta, co do zawierania trzeciego małżeństwa, jakie nakazywał mu brak potomstwa, a więc i następcy po sobie na tron królewski polski i wielko-książęcy litewski; mieli oni skłonić jego myśli ku córce swojego króla, Katarzynie wdowie po Księciu Mantuańskim, z którym tylko pięć niedziel żyła. Trzymano to jednak w wielkiej tajemnicy; Mikołaj Radziwiłł (Czarny), Wda. Wileński wysłany został do Króla Rzymskiego w sprawach moskiewskich, z powodu wieści, że W. Książę Moskiewski stara się u Cesarza o tytuł królewski, obiecując połączyć się z Kościołem Rzymskim, dla przyciągnięcia Rusinów pod swoje panowanie. Król acz niechętny nowym ślubom gotów był małżeństwem z Katarzyną rozbić intrygę moskiewsko-austriacką w Rzymie.

O wyjeździe Radziwiłła krążyły w Polsce rozmaite pogłoski, o których Lang do króla Ferdynanda pisał z Krakowa 10 marca 1553 r:

¹⁾ Traktat 18 lipca 1552 zapewniał za odstąpienie Siedmiogrodu Izabelli zwrot posagu 100,000 duk., synowi jedno z księstw szląskich aż do 15,000 duk. rocznego dochodu.

„Przed czternastą dniami wyjechał z Krakowa z poleceniem od króla Mikołaj Radziwiłł, Litwin, książę na Ołyce, pod pozorem, że ma naprzód widzieć się z naszym królem, tam gdzie będzie mógł go spotkać, a następnie udać się do Bawaryi dla proszenia o rękę siostry książęcia bawarskiego dla swego króla. Lecz ci, którzy mniemają mieć lepszy węch, utrzymują, że Radziwiłł pod pozorem choroby udaje się do ciepłych wód aponiańskich w okolicę Padwy, a gdy raz usunie się do Włoch, zdąży do Ferrary, i zaślubi tam dla pana swojego księżniczkę, córkę siostry króla francuskiego.“

W Kwietniu przybył do Wiednia drugi poseł polski Jan Przerembski, biskup chełmiński, podkomorzy koronny, i ułożone zostało małżeństwo Zygmunta Augusta z dwudziestoletnią Katarzyną, księżną mantuańską wdową.

Ponieważ Katarzyna była rodzoną siostrą Elżbiety, pierwszej małżonki króla polskiego, potrzebna była dyspensa papieska. Prosił o nią król Ferdynand 4 maja, a papież Juliusz III wysłał ją pod datą 20 maja w Rzymie.

W czerwcu (dnia 23) podpisana została intercyza ślubna. Narzeczona przyniosła 100,000 złotych reńskich posagu (licząc po 60 krzyżaków (*cruciferorum*) dobrej i zwyczajnej monety za jeden złoty). Król polski tytułem podarku ślubnego, wyznaczał przyszłej żonie 2,000 złotych polskich rocznego dochodu, opartego na żupach solnych w Bochni i Wieliczce.

Wesele królewskie odbyło się w dzień 30 lipca, w obecności umyślnie zesłanego Arcyksięcia Ferdynanda. Przyjazd królowej do Krakowa uprzedził Jan Lang, który ciągle przejeżdżał się z Polski do Wiednia, a teraz jako stały rezydent przy dworze królewskim (jak niegdyś Jan Marsupin przy królowej Elżbiecie), miał królowi Ferdynandowi o powodzeniu córki donosić.

W liście z Krakowa pod dniem 5 sierpnia wyrażał najświetniejsze nadzieje co do pomyślności nowo zawartego małżeństwa.

„Kiedy przed lat dziesięcią W. Kr. M. przysłał mnie tu do królowej Jej M. Elżbiety, nie miałem żadnej instrukcyi na piśmie, ale W. Kr. M. raczyłeś polecić mi sekretnie, abym naprzód, wysledził przyczyny zniechęcenia, jakie król względem królowej Elżbiety okazywał i starał się temuż z pomocą i staraniem dobrych ludzi wedle możności zapobiedz; com też

pilnie uczynił. Powtóre, miałem królowej Elżbiecie być użytecznym pismem i radą, do czego zaledwie przypuszczonym być mogłem, tak dalece zawiść i złość wszystkie drogi zamknęły. Ale z królową Katarzyną rzecz całkiem inna; dzięki Bogu idzie jak najlepiej. A więc będę tylko sprawami W. Kr. M., jeżeli jakie wypadną, zajęty. Mówią na dworze tutejszym, że król z królową pojedzie do Litwy; ja zaś za królową nie będę mógł jechać, pilno mi do domu, przygotować się do wydania za mąż córki mojej, także Katarzyny, jakem W. Kr. M. w Wiedniu oświadczył“.

O tej podróży do Litwy pisał Lang jeszcze nazajutrz:

„Mojem zdaniem, N. królowa Katarzyna nie ma nic do życzenia, tak ze strony króla, jak też i od Polaków. Ten kocha ją czule, ci mają dla niej poważanie i cześć osobliwą. Jedno tylko zachodzi, co i królowę i wszystkich frasuje, to jest, że król myśli we wrześniu jechać na Litwę. W Wilnie, stolicy tego państwa, okropna grasuje morowa zaraza, lecz Król Jego M. postanowił ukryć się, nie wiadomo mi w jakiej stronie tego kraju, w której więcej jest zwierza, niż ludzi, zapewne dla łowów. Nader niewygodny będzie tam pobyt dla królowej Jej M., dla niedogodności mieszkań i gospod, jakoteż z powodu ostrości klimatu i srogości obmierzłego zimna, którego nie każdy znosić może. A więc królowa nie rozpatrzwszy się jeszcze dobrze w Polsce będzie musiała Litwę poznać. Nie wiem także, czy ta podróż dobrze posłuży do rozmnożenia rodu, do czego gwałtowne ruchy i wstrząśnienia zwykle przeszkodą bywają. Królowa usiłowała prośbami króla od tej podróży odwrócić, ale nic to nie pomogło i musi już milczeć, wedle rady wiernych przyjaciół. Podróż tę wymyślił ten, który królem całkiem o władnął, księżę Radziwiłł. Wielką zawiść mają do niego Stany Królestwa Polskiego za to, że jemu poruczonem było traktowanie z W. Kr. M. o małżeństwie królowej; a oni nie przypuszczeni są do spraw publicznych na dworze królewskim. Ale on przed tą zawiścią nie ustąpi i nie waha się powiększyć ją jeszcze, doradzając tę podróż litewską¹⁾. Na Litwie bowiem króla i królowę będzie miał w swo-

¹⁾ Tu kończy się tekst ś. p. Aleksandra Przezdzieckiego, a zaczyna dopełnienie wydawcy. W uzupełnieniu służy mu

jej mocy, ma tam liczne i obfite w dochody starostwa, jest zarazem wojewodą wileńskim, kanclerzem i marszałkiem księstwa; potęgi też jego wielu się boi i podejrywa ją; gdyby też króla polskiego śmierć spotkała, obawiają się, aby nie uchwycił najwyższej władzy“.

„List ten, pisze Jan Lang w dziesięć dni później (16 sierpnia), w treści udzieliłem królowej. Mniema ona albowiem, że jej i z uszanowania dla króla i z przyczyny przewagi księcia Radziwiłła u tegoż króla, nie wypada w niczem narazić się jednemu lub drugiemu. Poleciała mi więc, abym pisał do WKMości i przestrzegł na przypadek, gdyby WKMość pisała coś do króla o podróży litewskiej i sprawach z nią w związku będących, iżby w liście takim najostrożniej wyminiętym był wszelki ślad, mogący naprowadzić na przypuszczenie, że wiadomość o tej podróży od królowej albo kogokolwiek z naszych pochodzi. Najlepiej byłoby przemilczeć tę podróż zupełnie, bo król jest mocno podejrzliwy, a królowa nawet marnem skiniemieniem obrazić go niechce.“

Ale nie trzeba było czekać podróży na Litwę, aby się zjawily pierwsze ślady niebezpieczeństwa, którem królowej Katarzynie groziła moralna nad królem Radziwiłła wszechwładza. Dnia 24 sierpnia donosi Langus, że chory na febrę w Krakowie leżąc otrzymuje wiadomości od ludzi wiarogodnych, jako Radziwiłł, najpodejrzliwszy z ludzi, posądza już królowę Katarzynę o zmianę tego przychylnego usposobienia, jakie mu dotąd okazywała. Król był z królową na łowach w niepołomickim zamku. Bona i Izabella miały tam wedle Radziwiłła poufalej obcować z królową. „Te to amazonki (słowa księcia, zwykle tak zowiącego Bonę i Izabellę) oszczerstwami wywołały tę oziębłość, i oto winnica, którą posadziła moja ręka, w gorycz się dla mnie obróciła. Lecz kiedy tak, potrzeba nam być ostrożnym i uprzedzić złe“. To powiedział Radziwiłł, pisze Langus dalej, przed kilkoma zaufanymi, przyniesiono mi jednak te słowa, chociaż chowam się w kącie. I oto już zaczął przeprowadzać swoje środki ostrożności, bo król rozporządził, aby

notatki nieboszczyka, i własne zapiski i odpisy z Archiwum wiedeńskiego.

fraucymer królowej jadał z nią w jednym pokoju, chociaż przy innym stole, widocznie z namowy Radziwiłła, aby Katarzyna królowa zrównaną została z jego Barbarą. Jemu też przypisać należy, że król kilka drobnych prośb królowej odrzucił, że przed kilkoma dniami, gdy królowa miała wspólnie z królem jeść obiad i król sam się zapowiedział, nagle za wpływem tego doradcy zmienił postanowienie.“

Tę uległość Radziwiłłowi, którą przypisać należy częścią dawnym związkom, częścią niepospolitemu rozumowi i nastrowi tego człowieka, przypisuje Langus, obyczajem swego wieku, czarom. „Formułami czarodziejskimi i djabelskimi wpływami (*incantationibus et praestigiis diabolicis*) pisze dalej, opowiadał on króla zupełnie, tak, że co radzi, odradza, co wskazuje i co potępi, to król czyni, za tem idzie, tego unika, nie zważając na radę czyjąkolwiek bądź w rzeczach dotyczących się czy religii, czy spraw państwa, czy innych spraw wielkiej wagi. Codzień to widoczniejsza, ludzie też wszelkiego rodzaju narzekają na to, ubolewają nad losem królowej Katarzyny, aby nie poniosła szkody od takiego czarodzieja. Z ciężkiem też sercem widział Langus zbliżającą się podróż litewską, tem bardziej, że się od towarzyszenia królowej w liście do Ferdynanda wyraźnie wyprosić musiał, ze względów słabości zdrowia i podeszłego wieku. „Podróż w liczmem króla otoczeniu na Litwę, gdzie miasta i wsie są tak rzadkie, tam szczególnie, gdzie król jedzie, a gdzie łowów tylko szukać można, jest rzeczą dokuczliwą i niezmiernie trudliwą. Domy najlepsze wybierają dla króla i królowej, w lichszych mieszkają najmożniejsi (*purpurati principum*), reszta mieści się po lasach, pod namiotami. Nie są też Polacy do tyła grzeczni, aby obcemu ustąpić miejsca. Trzeba mieć ze sobą wóz jeden i drugi, kucharza i kucharnię, trzeba mieć żywność dla ludzi i paszę dla koni. Trzeba sobie mieczem często kwaterę wywalczać, trzeba znosić niepogodę i brnąć po błocie i bagnach. Dworzanie też śmielsi proszą króla, aby im pozwolił jechać naprzód, lub jechać za sobą, co i ja uczynić bym musiał, w którym to zaś razie na nicby się nie przydała moja podróż, bo nie miałbym nawet sposobności widzenia się z królową“.

Radzi jednak, aby przeznaczyć kogoś koniecznie „z naszych“, a mianowicie Fryderyka Rederera z Rappersdorfu. Roz-

pisuje się, czego królowa Katarzyna przestrzegać, czego unikać powinna, nie w inszej zapewne myśli, jak aby rady przezeń dawane, stwierdziła ojcowska powaga. „Pierwsza, pisze, aby miłość króla zachować i powiększyć się starała, o co przy urodzie, wdzięku i zręczności trudno nie będzie. Druga, aby okazywała wdzięczną jednako twarz pokłóconym ze sobą możliwym i pozyskiwała tak miłość u wszystkich. Radziłem dosyć w tej mierze i wiem, że ma zdolność do tego. Trzecia, aby dobrze urządziła swój fraucymer. Musi tu liczyć się z wolą króla i obyczajem kraju, ale może i sama zrobić wiele, przyuczywszy się u boku swej matki (Anny), której prawie nie opuszczała, taktu w postępowaniu. Czwarta, aby się chroniła Litwinek i nieetykała się niczego, co jej jeść albo pić podadzą. Tyczy się to także niektórych mężczyzn (oczywiście ze służby). W końcu niech królowa krzyżem i pobożnością chrześcijańską broni się od czarownic i czarów.

Charakterystyczny zaiste wiek, tem mocniej wierzący w czary, im mocniej zachwiał się w wierze. Gdyby przychylny dworowi austriackiemu Langus był mniej zabobonnym, wystarczałoby mu do wytłómaczenia niebezpiecznego położenia królowej samo stanowisko, które jej przeznaczał ojciec. Katarzyna niebyła kobietą, któraby poprzestała na roli potulnej we wszystkim małżonki, chciała ona nieść z sobą wpływ, wpływ odpowiedni interesom polityki austriackiej. Chciała być w dobrych stosunkach z królową Boną i Izabellą, bo w rękach tych dwóch kobiet przebiegłych z natury, spoczywała sprawa siedmiogrodzka, traktatem w roku 1552 niby załatwiona formalnie, ale zawsze jeszcze o tyle nie pewna, że obawiać się było można podniesienia jej przez obie ambitne kobiety, wsparcia zaś usiłowań tychże kobiet przez nieprzyjazne Austrii potęgi, Turcyę i Francyę. Wszakże w końcu grudnia 1552, gdy już Izabella po zawarciu układu z Ferdynandem zamieszkała w Polsce, pisał Henryk II z Compiègne, że polecił posłowi swemu udającemu się do Konstantynopola p. Delavigne, aby sułtana upraszał gorąco o przywrócenie jej i synowi Janowi Zygmuntowi utraconego królestwa. Wszakże jednym z zadań misji Arcyksięcia Ferdynanda na ślub Katarzyny było, aby wyjednać u króla przecięcie stosunków Izabelli z Węgry, którzy z Piotrem Petrowiczem na czele, układają się o przy-

wrócenie młodego Zapolyi, a u samejże Izabelli oddanie niebezpiecznego syna na dwór wiedeński. Ukołysano Arcyksięcia obietnicami, wypierając się wszelkiego udziału w intrygach Petrowicza; Izabella wymówiła się zrzecznie od wydania syna. Ale obawa trwała a dwór królowej Katarzyny stawał się ważnem politycznie stanowiskiem. Nie znosił tego despotyczny Radziwiłł, nie znosił podejrzliwy król, nigdy szczerze nie sprzyjający Austrii. Chcieli oba królowę ile możności odosobnić i wszelkich, ile się z przyzwoitością dało, pozbawić relacyj. Nie pojechał na Litwę nawet Gabryel Tarło, ochmistrz królowej, zależny od wiedeńskiego dworu. Gdy Ferdynand listem 7 października 1553, w myśl doniesień Langa, upraszał Zygmunta Augusta, aby jako nadzorczynię sypialni do boku królowej przyjął Cecylię Trautmannsdorff, dobrze zasłużoną, jego żonie (Annie, siostrze Ludwika Jagiellończyka), odpowiedział król 10 grudnia z Knyszyna wprawdzie przyzwalająco, ale nie bez uwagi, że nie bywało u królowych polskich takiego urzędu, że Polek pierwszych rodów przy królowej nie brak, a jako królowa polska do Polaków i języka przyzwyczaić się powinna.

Zbyt różowo patrzył też ile się zdaje Langus na miłość do królowej. Małżeństwo było czysto politycznem, wywołanem chęcią przecięcia intryg austriacko-moskiewskich przeciwko Polsce. Król miał od początku niechęć do niego religijnej natury, uważał je za wzbronione mimo dyspensy papieżkiej, było mu zaś tem przykrzejszem, że brał siostrę Elżbiety, której pamięć, dla własnej winy miłą dlań być nie mogła. Nie wielka to zresztą miłość, co ziębnie po kilku tygodniach pożycia.

W takim otoczeniu rozumna Katarzyna umiała dostrzedz trafnie, że jedyną dla niej rolą jest, pozorna przynajmniej, zupełna bierność. Król pisze do Ferdynanda w sprawie Elżbiety Maryi Brandeburskiej, którą Henryk książę Brunszwicki z dóbr i posagu wyzuł. Katarzyna wtórzy jego prośbie. Ferdynand śle z początkiem r. 1554 do bawiącego w Knyszynie króla Macieja Logusa, starostę świdnickiego i Pawła, biskupa zagrzebskiego, w sprawach Izabelli, mianowicie, aby ją z pomocą króla skłonić do wyparcia się uroczystego wszelkiego udziału w matactwach turecko-węgierskich. Katarzyna w liście dnia 12 stycznia, nadzorowanym lub dobrowolnie poddanym

pod nadzór, zaręcza o gotowości męża do usług teściowi, tłómaczy, że dla rady senatu knyszyńskiej (sprawa Dymitra Sanguszki) tak prędko widzieć się nie może z matką i siostrą, że wysłał do nich posła, że jadąc do Lublina spotka się z niemi.

Ale była jedna sprawa, w której Katarzyna obojętną być nie mogła. Była to właśnie sprawa Izabelli i jej syna J. Z. Zapolii. Mimo zawartego traktatu Izabella nieprzestała być to z tureckiej to z francuskiej strony nagabywaną, aby wróciła na tron siedmiogrodzki, a król polski bądź co bądź, bardzo dwuznaczne zajmował wobec tej sprawy stanowisko. Dla polityki austriackiej stworzył się w Polsce prawdziwy *circulus vitiosus*. Cesarz Ferdynand niechciał wypłacić sum Izabelli, aby ich nie użyła na powrót do Węgier: Izabella nie chciała zaprzestać intrygi tureckiej, dlatego, że jej sum nie wypłacono. W samej rzeczy i Bona i król sprzyjali powrotowi Izabelli a odjazd pierwszej do Włoch, stał się hasłem dla drugiej, aby jechać do Węgier.

Otóż wśród tej sprawy, jak się z relacji posłów austriackich mianowicie Heydenreicha i Sauermanna pokazuje, Katarzyna odgrywała rolę pilnej stróżki austriackiej polityki w Polsce, a rola ta zabiła ją wobec Zygmunta Augusta. Król Zygmunt August był podejrzliwym do wysokiego stopnia; i wychowanie matki, doświadczenia, jakie z nią przeszedł, wyrobiły w nim tę wadę. Mieć przy boku za towarzyszkę życia kobietę, która interesowała się innemi sprawami, sprawami ościennego państwa, z którą konferowali posłowie austriaccy, było dla natury króla nieznośnem, tem bardziej, że niebrakło zapewne takich, którzy w nim podniecali jeszcze niebezpieczny ten kierunek umysłu.

Ale była jeszcze i druga, walniejsza przyczyna. W roku 1554 zanosilo się, że królowa obdarzy króla potomkiem i po kilku miesiącach nadzieja ta chybiła. Z boleścią, z uczuciem upokorzenia i jakby ciężącego na sobie niebłogosławieństwa Bożego donosi królowa dnia 3 października Bonie z Wilna, że Bóg odwrócił od niej swoją łaskę. Tajemnicza ta a bolesna dla króla i Polski deziluzja tłómaczoną była w najdziwniejszy sposób. Utrzymywano, że królowa z świadomością marną króla karmiła nadzieją. Bez najsilniejszego węzła, ja-

kie małżeństwo daje, wśród podejrzliwości z jednej, zgryzoty i boleści drugiej strony, utrzymuje się wszakże *decorum* stosunków małżeńskich czas długi. Polityczne stosunki Austrii z Polską stanowią jakby miarę ich: im one chłodniejsze, tem ozięblejsze i tamte. Cierpienia królowej pozostają długi czas nieznanemi, tak je starannie chowa. Gdy też Izabella i Jan Zygmunt Zapolya za widoczną konniwencyą Zygmunta Augusta powrócili do Węgier, gdy dom austriacki, dotknięty tem do żywego, okazał jawną niechęć w sprawie barskiej, tyle od niego zależnej, a nieprzyjaźń prawie w sprawach pruskich i inflanckich: atmosfera otaczająca królową tak się stała duszną, zaniedbanie jakiego doznawała od króla tak bolesnem, że pierwszy raz napadła ją choroba niebezpieczna, która odtąd nawiedzając ją od czasu do czasu podkopywało jej zdrowie, a jak później wyznawał Zygmunt August, zraziła go od zamieszkania z żoną.

Pod nieobecność króla, w Krakowie, donosi królowa dnia 21 października 1558 ojcu, że 15 t. m. miała gwałtowny napad gorączki, że jest mocno osłabioną ale we wszystkim poddaje się woli Bożej. W cztery dni potem zażądała listownie, aby ojciec wyprawił co prędzej do niej jednego z konsyliarzy swoich. Śle Ferdynand Mateusza Logusa i Ottona Neydegga, z poleceniami co do testamentu na przypadek śmierci królowej (29 paźdz.). Dnia 2 listopada byli posłowie na miejscu przeznaczenia, a Otto z Neydegga donosi, że królowej d. 28 po piętnastu atakach choroby nikt już życia nie sądził, że myślano już o pieczętowaniu rzeczy, że wszakże obecnie jest tylko niezmiernie osłabioną i ręki nawet podać mu nie mogła. Króla oczekują w przyszłą sobotę, ale po czterech dniach będzie musiał jechać na sejm do Piotrkowa. Dnia 11 listopada donosi Zygmunt August o polepszeniu zdrowia królowej z Krakowa, d. 17 ona sama, d. 22 listopada pisze wracający już Otto Neydegga z Opola, że król podpisem i pieczęcią potwierdził testament Katarzyny, że ofiarował się na jednego z egzekutorów, że 12 listopada, gdy już królowa miała się lepiej, pojechał na sejm do Piotrkowa.

Skutki choroby w Krakowie musiały znacznie zachwiać zdrowiem królowej, bo z początkiem r. 1559 korespondencya jej z ojcem tyczy się ustawnie lekarzy. W styczniu jedzie do

niej Julian Marossega, którego królowa każe zwrócić z drogi, zapłaciwszy mu 100 dukatów „*Zehrgeldu*“ bo „przestaje na własnym lekarzu, Rupercie Finku“ „Najukochańszy małżonek“ radzi jej, pisze królowa z Krakowa d. 4 kwietnia, aby wezwać *Angela de Paduanis*, ale ona „nie chce go, aby zbytńich kosztów nie robić“. Przyszedłszy do jakich takich sił królowa spieszy w sierpniu do męża, do Łosic, do Wilna, ale już w kwiecień następnego roku pojawia się choroba gwałtowna, podobna do tej, którą przechodziła w Krakowie, trwa przez maj i czerwiec a Rupert Fink, opisując ją w częstych do Ferdynanda listach, zwie ją febrą tercyanną.

Od 1559 r. datuje się też coraz większe rozchodzenie się dróg króla i królowej. Zważył on już w zupełności w możliwość uzyskania potomstwa; bezpośrednio po pierwszej chorobie królowej, na sejmie piotrkowskim, wniósł sam kwestyę ewentualnego następstwa po swojej śmierci. „Na ostatnim sejmie, pisze Langus 10 marca 1559, król przedstawił senatorom, że niema nadziei otrzymania potomka, że należy, aby w tak ważnej sprawie najbliższy sejm powziął uchwałę, a *następca tronu wyznaczonym został*. Tymczasem niezbierało się na ten sejm najbliższy: Król w latach 1560 i 1561 stale zamieszkał na Litwie, w całości oddany sprawie inflanckiej i groźnemu od Moskwy niebezpieczeństwu. Rozłączenie z królową nie było jeszcze zupełne; w lecie 1561 bawi ona w Wilnie, jak świadczą relacye posła austriackiego Sauermanna, w Wilnie też znajdujemy ją w ciągu roku 1562, z kąd pisze dwa listy do kardynała Hozyusza, dziękując mu za wiadomości o sesyach trydenckiego koncylium. Polityczne stosunki wpływały i teraz niekorzystnie na związek małżeński: król gniewał się na ruch rozniecony w Małopolsce za sprawą t. z. Despoty Heraklidesa, pretendenta na gospodarstwo mołdawskie i uważał całą sprawę za robotę austriacką, czem była rzeczywiście. W sprawie rozejmu Ferdynanda z Janem Zygmuntem Zapolyą, król stawał wyraźnie po stronie siostrzeńca a poseł austriacki notował z przykrością, że wysłańcy węgierskiego króla obranego nie zachowują względem Katarzyny obowiązków grzeczności. M. Kromer, rezydent polski w Wiedniu, tytułował Jana Zygmunta stale „*electus rex Hungariae*“, o co dwór austriacki czynił reklamacye. Do charakterystyki stosunków austriacko-polskich

należy nareszcie i to, że posłowie austriaccy (wówczas Sauer-
mann) coraz obszerniej donosili o sprawach ewentualnego w Pol-
sce następstwa tronu, łowili wieści przychylne austriackim
kandydatom i skrzętnie przesyłali je dworowi swemu. Nie bez
związku z tą kombinacją przyszłości, stoi zapewne polecenie
dane Sauermannowi przez cesarza Ferdynanda (3 marca 1561),
aby przeszkadzał małżeństwu królowny Katarzyny z carem
Iwanem.

Stanowczą rozłękę króla i królowej przyniósł dopiero
rok 1563. Podczas sejmu piotrkowskiego zamieszkała królowa
w Radomiu, jako w miejscu pobliskiem, bacznie, jak zwykle,
śledząc bieg politycznych wypadków. Wysłany na sejm piotr-
kowski Sauermann, ma wedle instrukcyi odbyć z nią naradę,
czyliby stałej ambasady austriackiej przy dworze polskim urzą-
dzić niemożna, a wypraszając się, aby go długo w Polsce nie
zatrzymano lub owym stałym nieuczynionem posłem, uspokaja
Ferdynanda w liście dnia 24 stycznia, że bez posła takiego
obejść się może, *bo królowa, która w Radomiu zamieszka,
potrafi go zupełnie zastąpić*. Na sejmie piotrkowskim miał
poseł austriacki, jak zwykle, siedmiogrodzkie interesa. Doszło
roczne zawieszenie broni a Zygmunt August dnia 26 kwietnia
w pożegnalnej audyencji danej Sauermannowi okazał się dlań
bardzo przychylnym. Podsunął on posłowi delikatnie myśl, aby
ożenieniem młodego Zapolyi z jedną z córek cesarskich, utrwa-
lić pokój między stronami. Z niezwykłą otwartością przedsta-
wiał posłowi stan rzeczy w Inflantach, nieuchronną wojnę z Mo-
skwą, niebezpieczeństwo tej potęgi dla chrześcijaństwa, jeżeli
sobie zdobędzie brzegi morskie; chciwy napad Szwecyi na pół-
nocne Inflanty, zdracze knowania Krzysztofa, księcia Meklen-
burskiego a koadjutora ryskiego. Cesarz Ferdynand powinienby
przyjść Polsce w pomoc powagą swoją, winienby wyjednać po-
siłki Cesarstwa w wojnie inflanckiej; o którą prosić będzie
imieniem króla poseł na sejm rzeszy, biskup chełmski. Pra-
gnął król widocznie nawiązać swoje przyjacielskie z Austryą
stosunki. Słał też do siostrzeńca, aby o rękę córki cesarskiej
rozpoczął starania. Przychylił się do tego Jan Zygmunt, bo
oto, do niedawna jeszcze tak niegrzeczny dla królowej Kata-
rzyny, zawiadomił ją osobnym listem o swoich staraniach i
prosił o poparcie. Katarzyna zapytuje o zdanie bawiącego w Wil-

nie męża: ten listem z 13 września wita radośnie wiadomość, którą sam wywołał. Ale już w końcu miesiąca otrzymuje król chłodny list cesarza z d. 7 września, z odmową posiłków i upomnieniem się za księciem Krzysztofem Meklenburskim, którego uwięzić kazał. I nieskończyło się na tym jednym dowodzie niechęci domu austriackiego: Jan Zygmunt Zapolya otrzymał wskazówkę, że jego starania będą daremnymi a król polski, który podsuwał młodemu Zapolyi myśl ożenienia się w Wiedniu, miał jedną przyczynę więcej, aby się odwrócić od dworu austriackiego i — od żony.

Z końca też r. 1563 datują wiadomości Sauermanna o opuszczeniu królowej Katarzyny. Relacyi mieszczącej te wiadomości nieposiadamy; w licznych tego posła listach od lat kilku nigdy nie było najmniejszej wzmianki o złem króla z królową pożyciu. Dopiero w grudniu jest ta rzecz przedmiotem familijnej narady między arcyksiążętami, a z listu arcyksięcia Ferdynanda z Pragi (22 grud.) do króla Węgier i Czech Maksymiliana dowiadujemy się, że Sauermann i królowa sama o znacznem odwróceniu się umysłu królewskiego od dawnych uczuć małżeńskich donieśli. „Podziwiać dosyć niemogę, pisze arcyksiążę, wytrwałego i umiarkowanego umysłu królowej, która *trapiona już od lat kilku* srogiemi troskami, jakie i na najspokojniejszy umysł wpłynąć były powinny, nietylko niezapomniała nigdy o tem, co jej wskazywało godności poczucie, ale tak zawsze postępowała, iż niewiedomo prawie, czy wielkość duszy, czy wytworny raczej rozum był dla niej przewodnikiem“. Arcyksiążę radzi rozpocząć od polubownych kroków, niełai sobie jednak, że „rodzaj życia króla polskiego żądzom oddanego (*cupiditatibus obnoxium*) wielkie może stawić przeszkody.“

Jakoż podjął król Maksymilian sprawę we wskazany przez arcyksięcia Ferdynanda sposób. Podjął ją sam, zapewne, aby oszczędzić zgryzoty sześćdziesięciodwuletniemu cesarzowi, który też niebawem (25 lipca 1564 r.) kresu trudliwego żywota dobiegł. Z Budziszyna, gdzie bawił w styczniu, wysłał do Polski Zygmunta Kurtzbacha i Logusa, bo doświadczony Langus dla starości jechać już niemógł. Mieli oni zaprosić Zygmunta Augusta, aby z żoną, w umówionem na granicy szląskiej miejscu, zjechał się z Maksymilianem „celem wspólnej braterskiej rozmowy i uciechy“. „Niemożemy także, mówi instrukcyja prze-

milczeć, co wiemy z pewnego źródła, iż W. K. Mość od pewnego czasu stałeś się obcym dla naszej siostry i od dawna już po małżeńsku z nią nieżyjesz. Tłómaczymy sobie tę rzecz nieinaczej, jak, że siostra nasza ku temu wielką przyczynę (*grosse Verursachung*) podać musiała. Żądamy zatem, aby W. K. Mość niewzdrygała się zawiadomić naszych posłów o tej przyczynie, po czem my wszelkiego starania dołożymy, aby usuniętą być mogła.

Posłowie w tak delikatnej materji przyjeżdżający, zostali króla na sejmie piotrkowskim. Wojna z Moskwą, sprawa Infant, unia z Litwą, usiłowania, aby zwołać synod narodowy, wszystko to cisnęło się na posiedzenia pamiętnego sejmu: z posłami austriackimi przybywała jeszcze domowa, delikatnej natury sprawa.

Ze zwyczajną sobie zręcznością zepchnął ją król coprędeż; 24 stycznia przybyli posłowie, 12 lutego otrzymali już na prywatnej audyencyi odpawę, o której nuncyusz papieżki kardynał Commendoni, zwykle wybornie poinformowany, tylko niedokładnie się dowiedział.

Wspomniawszy o treści poselstwa Maksymilianowego, brzmiała odpowiedź jak następuje: Miłość i przychyłność ku Jej Królewskiej Mości, była u króla JMci zawsze taka, jaka bywać zwykła w szczęśliwem stadle, między chrześcijańskimi książętami, ani Król Jegomość kiedykolwiek dawał przyczynę obrazy Jej Królewskiej Mości. Że Ich Moście Królewskie dawno nie mieszkaly ze sobą, wina w tem okoliczności, jak każdemu zrozumieć łatwo. Takie albowiem były stosunki lat ostatnich, taki stan spraw Jego Król. Mości, że częścią różnemi wojnami, jak obecnie moskiewską i szwedzką, częścią nawałem najwალniejszych spraw był przyciśnięty, jak się to i dzisiaj wśród obecnego sejmu dzieje. Takiemi to burzami szamotany (*procellis agitata*) JKMość, mimo najsilniejszej nawet chęci, żadną miarą niemiał wolnego dla obcowania z Jej Król. Mością czasu (*Serenissimae conjugii vacare, nullo prorsus modo potuerit*). Pomimo tego starał się Król JMć skrzętnie, aby pod ten czas Jej Król. Mości na niczem niezbywało, czego nietylko pótzeba ale i świetność dworu jej wymaga. Co się zaś tyczy obraz i zobojetnienia (*offensas et alienationes*), o których J. K. Mość wspomina, to chociaż nie jest rzeczą po-

trzeba, aby mówić o tem, co się w małżeństwach dzieje, przecież gdy widocznie J. K. Moś bardzo o tem dowiedzieć się pragnie, postanowił Król JMć w najbliższym czasie przez posła swego, o wszystkim tego rodzaju (*de toto hoc genere*) donieść JKMości i nic mu, jako bratu i najukochańszemu krewnemu niezataić. Niech zatem JKrólewska Moś spokojnie znieść raczy krótką zwłokę czasu.“

W myśl tej zapowiedzi wysłał król Stanisława Wolskiego kasztelana rawskiego i Stanisława Czarnkowskiego, referendarza koronnego do króla Maksymiliana, którzy dnia 30 maja otrzymali od tego ostatniego odprawę w Wiedniu, w kwietniu zatem lub początkach maja na dwór jego udać się musieli. Instrukcyę dla nich (w Archiwum Wiedeńskim próżno przez nas poszukiwaną) układało kilku senatorów: pisał ją arcybiskup Uchański po polsku, M. Wolski biskup kujawski tłómaczył na łacinę. Mieli oni przedstawić Maksymilianowi, że król ma do Katarzyny nieprzewyciężony wstręt, bo uważa związek z siostrą po siostrze za kazirodczy! Pytając Maksymiliana o radę, nasunąć mieli tem samem myśl *rozvodu*, jako jedyny środek w obec nieprzewyciężonego wstrętu.

Król, jak się przyznawał nuncyuszowi Komendoniemu w roku następnym, wtedy dopiero, po raz pierwszy chwycił się myśli o rozwodzie, chwycił się jej zaś gorąco, skoro mu podsunęta była przez głowy Kościoła w Polsce. Rozwód wiązał się dla tych głów Kościoła z najważniejszymi sprawami. Uchański pragnął narodowego soboru; oddawna z Rzymem w niezbyt dobrych stosunkach, z ruchem różnowierczej szlachty wielostronnie związany, na popularność chorujący, w teologii niezbyt biegły, przytem próżny i ambitny, uśmiechał on się do zwierzchniczej w Kościele narodowym polskim roli, pochlebiał sobie, że różnowierstwo z katolicyzmem da się pogodzić jakąś na synodzie ułożoną: *confessio fidei*, nieodłączającą się od powszechnego Kościoła a przecież zadosyć czyniącą niektórym nowatorów żądaniom, z którymi już 1555 Stanisław Maciejowski, kasztelan radomski, do Rzymu jeździł. Duchowieństwo wyższe, niezgodne z sobą, przerażone zamachami stanu rycerskiego na wyposażenie Kościoła z jednej, ustawami Soboru trydenckiego świeżo zakończzonego z drugiej strony, mniemało, iż drogą komplanacyi, drogą rewizyi ustaw soboru na

synodzie narodowym, przepłyńnię Scyllę i Charybdę zamachów różnowierstwa i reformy przez Kościół przeprowadzonej. Król, głęboki znawca ludzi, widział tę grzeszną duchowieństwa słabość, ale sprawa rozwodu była dlań wędką, na którą dał się złowić. Przeraził się też Komendoni tak dalece rozwodem, że 3 czerwca pisał, aby go odwołano z Polski. „Należałoby zostawić czas do otwarcia wstępnych, głównych układów z domem austriackim, aby cała nienawiść nie spadła na stolicę apostolską w tych burzliwych czasach, jak to niedawno miało miejsce w Anglii“.

Nieodwołano wszakże Komendoniego i z gorliwością godną księcia Kościoła pozostał on na trudnem stanowisku. Przeshkodzić soborowi Uchańskiego i rozwodowi króla z Katarzyną, było odtąd jego głównem zadaniem, zadaniem tem trudniejszym, że jedno popierało drugie, że rozwód był kanonicznie niemożliwym i przez Rzym danym być niemógł, jeżeli się szanowało dogmat nierozzerwalności ślubów małżeńskich. Komendoni widział, że każda słabość, każde uleganie, każde czynienie nadziei byłoby tu zabójczem, że ratując świętość Sakramentu, ratowało się wiarę w Polsce.

Druga połowa roku przeszła Komendoniemu na przejażdżkach po kraju, aby stan jego zbadać, aby podupadłych na duchu biskupów ukrzepić, aby Uchańskiego zamiary paraliżować. Udało mu się skłonić króla w Parczowie do przyjęcia bezwarunkowego nadesłanych uchwał trydenckich, udało przeszkodzić już, już dochodzącemu prawie synodowi, w którym i świeccy udział wziąć mieli. Burza odroczoną została do przyszłego sejmku piotrkowskiego 1565, na który krzątali się różnowiercy, przed którym puszczał Modrzewski w świat rozprawy: Sylvae, Rej Apokalipsę, przedstawiającą Rzym jako Babilonię a Orzechowski swoją doktrynę o egzekucyi korony polskiej. Wśród tego gwaru i zabiegów cierpiało srodze jedno dumne a ciche kobiece serce, serce Katarzyny. Zasłyszala ona o rozwodzie, słowie, które straszniejszem było wówczas, niż obecnie niewieściemu sercu, bo mieściło w sobie prócz obrazy uczuć serca, jeszcze uczucie pewnej hańby i sromoty. Słyszala o zabiegach w Rzymie, które nie wiemy, aby już wówczas czyniono, słyszala nawet, że Komendoni za rozwodem przemawiał. Udała się w czerwcu do najbliższego sercu kapłana,

Hozyusza, pytając, czy mu król o zamiarze mówił, na co Hozyusz odpowiedział, że nie, że on wszakże sam przypominał arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, co na niego w tej sprawie wkłada obowiązek pasterski. Gdy nuncyusz wracał z Rusi, udał się wskutek wyraźnego królowej żądania do jej rezydencji w Radomiu, gdzie wzruszająca czekała go scena. Królowa zrazu przedstawiła mu stan sprawy z godnością i spokojem, a tyle okazała oględności i poszanowania dla króla, że, jak Komendoni pisze: niewiedziałem, czy więcej politowania, czy podziwienia we mnie wzbudziła. Ale gdy przyszło do wieści o rozwodzie, o mniemanem kardynała nań przyzwoleniu, serce kobiecie roztajało z form sztywnych królowej, płacz i łkanie przerwały jej mowę. Komendoni odpowiedział z godnością, że nieżna frymarków politycznych kosztem wiary i powagi Stolicy Apostolskiej, a słowa uroczyste, postać wzniosła nuncyusza zdołały ją uspokoić. Przy wieczerzy toczyła się już polityczna rozmowa, w której Katarzyna przedstawiała chłodne stosunki obu dworów, sprawę pruską i inflancką i domyślała się nie bez trafności, że król, jej mąż, nowem popieraniem synowca nieomieszka trzymać brata jej w szachu, aby łatwiej rozwód do skutku przyprowadzić.

Tymczasem na dworze brata gotowano już instrukcje dla nowego poselstwa do Polski, poselstwa ważniejszego od wszystkich poprzednich, jakie za Zygmunta Augusta wysłano, poselstwa, w którym sprawa familijna Katarzyny miała stanąć obok sprawy dynastycznej domu Habsburskiego.

Od lat kilku donosili posłowie austriaccy o obradach, podejmowanych w Polsce nad kwestyą, kto po Zygmuncie Augustie w Polsce panować będzie. Od lat kilku liczni prałaci i panowie polscy potracali o tę kwestyę w stosunkach swoich z dworem wiedeńskim, a to zarówno katoliccy, jak biskup Filip Padniewski, widzący w Austrii jedyną podporę przeciw wewnętrznej burzy, reformacją wznieconej; jak różnowierczy (Marcin Zborowski) upatrujący w Maksymilianie skłonnego do reformy toleranta. Kamera szląska, w dobrych z ościennymi Wielkopolanami zostająca stosunkach, donosiła o przychylnym dla ewentualnego następcy austriackiego usposobieniu, a taki tajemniczy i śliski człowiek jak Mik. Radziwiłł Czarny, to wstawiając się za Laeliuszem Socynem, to przesyłając swoją biblię

Brzeską, widzi w Maksymilianie człowieka, który przywróci światu spokój religijny i do wielkich zrodzony jest przeznaczeń.

Jeżeli te wszystkie zachęty pchały Maksymiliana na drogę polityki polskiej, której nie opuścił nigdy, bo umarł w końcu jako wybrany król polski, to skłaniały go tamże i obawy, aby tron polski nie dostał się Moskwie, któremu z protestanckich książąt niemieckich, lub siostrzanowi Zygmunta Augusta, Janowi Zygmunutowi Zapolyi, który jako *electus Rex Hungariae*, nieprzystawał być niebezpiecznym sąsiadem.

Niemniejszym więc był zakres działania nowego poselstwa wyprawionego w lutym 1565 r. z Wiednia, jak, aby sprawy następstwa po Zigmuncie Augustie na dworze królewskim, w sejmie i narodzie pilnować i partyę austryacką stworzyć. Obok tej sprawy stała sprawa królowej, a przyznać należy na chwałę Maksymiliana, że jej niepoświęcał w niczem sprawy politycznej. Posłowie mieli króla skłonić do pożycia z królową, gdyby się to nieudało, żądać jej pozwolenia na wyjazd do Austrii i osobistego kongresu króla polskiego z cesarzem Maksymilianem.

Obok Wilhelma Kurtzbacha na Trachenbergu i Miliczu, prezydenta kamery szląskiej, przeznaczonym był na posła Andrzej Dudycz, biskup pięciokościelski, człowiek wielkiego talentu, wykształcenia i zręczności.

Syn kroackiego szlachcica i Wenecyanki (Sbardellati), wykształcony w Wrocławiu i we Włoszech, protegowany kardynała Reginalda Poole, uczeń Pawła Manucjusza i Kaniniusza, dwudziestoosmioletni otrzymuje biskupstwo knińskie, bierze udział w poselstwie biskupów węgierskich na sobór trydencki (1562), gdzie jedna sobie dwuznaczną reputację bardzo liberalnego księcia Kościoła. Odwołany otrzymuje biskupstwo czanadzkie, a następnie pięciokościelskie. Gładki, pięknej postaci i rysów twarzy, wymowny, łączy on w sobie wdzięk humanisty z aspiracjami reformatorów, odpowiada też wybornie wymaganiom Maksymiliana, który dla pozyskania umysłów w Polsce wszystkie w nim znajdował warunki. Ale też człowiek ten przebiegły i zręczny, z nadwątloną jak ujrzymy moralnością, o ile był zdolny do prowadzenia intryg, partyę austryacką za życia jeszcze króla zorganizować mają-

cych, o tyle był dalekim od szlachetnego odłączenia familijnej sprawy od dynastycznej; owszem, pojmując misję swoją jako organiczną całość łączył jedno z drugim, sprawą królowej narobił wielkiego w Polsce hałasu, użył jej jako środka przysparzania Austrii stronników, a przez to samo doprowadził króla do ostatniego stopnia niecierpliwości, która się odbiła na cierpiącej już i tak kobiecie, królowej Katarzynie.

Pod nieobecność posłów cesarskich, rozpoczął się dnia 18go stycznia sejm piotrkowski r. 1565, na którym tyle stanowczych spraw rozstrzygnąć się miało, na którym różnowiercy tyle zakładali nadziei, którego i królowa Katarzyna z drżeniem oczekiwała. Przypuszczono naprzód atak do króla o sobór narodowy i tutaj stanowcze oświadczenie jego, że sędzią w sprawach wiary być niechce, rozstrzygnęło spór na niekorzyść różnowierców. Dzięki usiłowaniom Komendoniego, którego obecność w Piotrkowie srogie burze ze strony różnowierców wzniecała, stronnictwo katolickie, przeważnie z świeckich złożone, zaczęło się wiązać i organizować. Atoli zaledwie wysadzono różnowierców z siodła co do soboru, Ostroróg, poseł wielkopolski, wniósł przed senatem sprawę delikatną, stosunku króla do królowej. Zwróciwszy uwagę na praktyki postronne, którym bezpotomność króla powód daje, biblijnym stylem, właściwym politycznym wystąpieniom różnowierców, przypominał przykłady grzechów królewskich, które się mściły na powierzonym ich pieczy ludzie i żądał, aby senat upominał króla o zamieszkanie z królową.

Komendoni przeraził się mocno, że poruszenie tej sprawy stało się z namowy samego króla; jakoż król, gdy w myśl poselskiej Izby, senat poruszył przed nim sprawę małżeńską, okazał swoją wdzięczność, a d. 30 stycznia przedstawił mu powody, dla czego z królową żyć niemoże. Powodem tym miało być przeświadczenie wewnętrzne, że dyspensą udzieloną na połączenie w małżeństwo siostry po siostrze, sprzeciwiała się prawu Boskiemu, że zatem była nieważną, że to zatem stosunek kazirodczy. Smutno powiedzieć, że episkopat polski nie był do syć zgodnym, aby odeprzeć te teologiczne skrupuły króla, że nawet część jego, a mianowicie prymas, sama je podniecała.

Na dwóch długich audyencyach, d. 30 stycznia i 4 marca miał Komendoni sposobność, jeszcze przed przybyciem posłów

cesarskich, spojrzeć królowi twarz w twarz, zbadać głębię jego duszy i stanąć przed nim w majestacie wymownego i natchnionego rzecznika Kościoła, łączącego głęboką wiedzę teologiczną z dokładną znajomością serca ludzkiego. Człowiek wytwornego wykształcenia i delikatnego uczucia dla wszystkiego, co wielkie, ale syn swego wieku, wieku dyskusyi teologicznej, pokrywającej kielkującą niewiarę, czuł Zygmunt August, że spotkanie z Komendonim, to spotkanie z konsekwentnym systemem wiary kościelnej, który jeżeli kiedy, to w czasach, gdy ta wiara zagrożona, nieżna transakcyi i narzeka, jak wielokrotnie w listach Komendoni, gdy nuncjusze budują swoje nadzieje na względach dworów. Wśród otaczającej go też chwiejności, małości, uganiania za popularnością, Zygmunt August zawsze w końcu ulega nie czemu innemu, jak imponującemu jego duszy systemowi prawd katolickich, może nie tyle z przeświadczenia i z wiary, ile z tego wstydu szlachetnego umysłu, unikającego upadku, wstydu, który się odbija w jednym jego późniejszym historycznym słowie, gdy go posądzano o zawarcie związku małżeńskiego, nieodpowiadającego jego stanowisku: *Non si fara, che non convenga!*

Temu to stosunkowi wzajemnemu między nuncyuszem i królem przypisać, że król za każdym razem jest skołatany wewnętrzną burzą człowiekiem chrześcianinem, Komendoni sędzią i ledwie że nie wyrokodawcą. Król podnosi nieśmiało swoje skrupuły teologiczne, potem bezpłodność i ciężką niemoc królowej, w drugiej rozmowie narzeka na jej postępowanie i układ zewnętrzny, skarży się, że mu z nią żyć niepodobna, bo żaden pociąg krwi i przywiązania pomiędzy nimi nieistnieje. Kommendoni dowodzi mu prawności związku i dyspensy, rozwija, że na nierozzerwalność związku nie wpływają żadne okoliczności, zaklina, aby nie słuchał tych, którzy usiłują pismo święte uczynić sługą swojej chciwości. Jako polityk, postraszywszy zawikłaniem z Austryą, tem groźniejszym, że sprawa egzekucyi i różnowierstwo zamąca kraj, a sąsiedzi wszyscy wyraźnie mu nieprzyjają, główny wszakże nacisk kładzie na przykład Henryka VIII, który nie mogąc przewieść rozvodu z Katarzyną Anagańską, wpadł w odszczepieństwo, a Anglię w wojnę religijną pogrążył. Wtedy król w drugiej rozmowie spowiada się, że rozwód nie był jego myślą, że po-

szła ona od kilku senatorów, układających instrukcję posłom do Wiednia — w końcu zaś, na przypadek, gdyby rozwód okazał się niepodobnym, oświadcza tylko, że z królową żyć nie będzie, nie może!

Tak stanęły rzeczy, gdy przybył Dudycz i Kurzbach. Król obyczajem swoim zaczął z nimi temporyzować, a nawet odroczył danie odpowiedzi do czasu, w którym sam poselstwo do Wiednia wyprawi. Przeszkodzili temu posłowie cesarscy, i otrzymali d. 16 marca odpowiedź, której niestety nieposiadamy, ale która, jak się domyślać należy, musiała mieścić oświadczenie króla, że z królową mieszkać nie może, że z cesarzem Maksymilianem osobistego pragnie zjazdu.

W myśl instrukcyi powinni byli posłowie zażądać wyjazdu królowej, niemniej uporządkowania jej dochodów. Zawahali się jednak, a wpłynęła na to sama królowa. Wyjechać pragnęła ona gorąco, ale z głośnem oświadczeniem posłów, że nie ona przyczyną, a gdy się obawiała, że finansowa strona kwestyi, wyznaczenie jej dochodów na utrzymanie zagranicą, może wywołać trudności, może męża skłonić do odmowy, chciała mieć ją odłączoną od żądania wyjazdu. Dudyc też ze swojej strony, nieomieszkiał przedstawić, że wyjazd królowej, noszący na sobie groźną barwę polityczną, niekorzystnie musiałby wpłynąć na starania w kierunku ewentualnej sukcesyi.

Wszakże Maksymilian polecił posłom, aby wykonali drugą część instrukcyi, zmodyfikowaną o tyle, iż królowa wyjeżdża w celu zobaczenia się z siostrą i bratem i uczestniczenia w obchodzie żałobnym po Ferdynandzie pierwszym. Uczynił to Dudycz pierwiej, nim się dowiedział Komendoni, z którym nie szedł dosyć ręka w rękę, jakby sprawa wymagała. Komendoni ujrzał całe niebezpieczeństwo odjazdu i postanowił mu przeszkodzić. Czy królowa wróci, czy nie, zawsze sprawa jej gorzej stanie pod jej nieobecność. Na audyencji 19 maja przekonał się nuncyusz, że król rad propozycyi, że zgadza się na wyjazd jak najchętniej. Skłonił go też zaledwie, że odpowiedź zawiesił do orzeczenia rady senatu, która nieomieszkiała przenieść się żądaniem cesarza. Wyjazd królowej! to zerwanie stosunków z Austryą, to droga do wojny, a wojny tej nikt sobie nie życzył. Król sam, udający się tuż po sejmie na wyprawę moskiewską, nie mógł chcieć niepewnych stosunków od przeci-

wnej, zachodniej ściany. Po kilkudniowej walce, w której człowiek walczył z królem, król zwyciężył; zgodnie z wolą senatu król d. 7 czerwca wymówił się z posłania królowej na teraz, a w motywach umieścił i to, że wobec rozniesionej wieści o rozwodzie, taki odjazd złe wywołałby wrażenie. W końcu listu pozostawiono furtkę dla miłych królowi widoków przyszłości, oświadczono, że w razie, gdy cesarz koniecznie zażąda obecności królowej na obchodzie pogrzebowym, król zadosyć uczyni jego żądaniu. Uradowany Komendoni natrącił wyjeżdżającemu na Litwę królowi, czy niebędzie w Radomiu, skoro Radom po drodze, ale nie -- tak daleko rzecz niezaszła; król tłumaczył się, że droga błotna i wołał nadłożyć mil kilkanaście, aby ominąć rezydencję królowej. Natomiast pospieszył Komendoni do Radomia, aby o wszystkim zdać sprawę królowej, aby ją skłonić do cierpliwości, aby jej wdroić przekonanie, że wyjazdem ułatwiłaby rozwód, który w jej pojęciach był hańbą i nieszczęściem.

Ale królowa, chociaż tak rozumna, niezdolała teraz przezwyciężyć samej siebie. Czy ją parła tęsknota ujrzenia jeszcze przed śmiercią rodziny, czy dokuczało otoczenie: niepozbyła ona myśli wyjazdu, a może chciała ją mieć popartą, podniesioną znowu, skoro wiedziała, że król na nią przystawał, że temu przystawianiu dawał wyraz w ostatnim ustępie odpowiedzi. Już Dudycz był w drodze z powrotem, gdy zatrzymał go list cesarski w Krakowie otrzymany, z poleceniem, aby żądał od króla pozwolenia na ów wyjazd, celem oddania ostatniej posługi ojcu. List ten wywołała prośba królowej, instancje brata Ferdynanda, a mówiono nawet, że na dworze cesarskim myślano o zużytkowaniu politycznych zdolności Katarzyny, przeznaczając jej rządy namiestnicze w Czechach. Komendoni w Heilsbergu bawiący, przedstawia listownie w Wiedniu grożące niebezpieczeństwo, stara się, aby obchód pogrzebowy w tak krótkim naznaczyć terminie, iżby królowa nań zdążyć nie mogła, pisze do senatorów, aby odradzali jak dawniej przyzwolenie królowi. Daremnie, chwile jego poselstwa policzone: król na przedstawienie Dudycza, zezwala na wyjazd, Komendoni przekonany o najgorszych skutkach — wyjeżdża sam, powołany przez Stolicę Apostolską.

Przecież niewyjeżdża królowa z Radomia! Niewyjeżdża, chociaż król, co może najnieprzyjemniejszym do podania rysem, dokłada starań, aby zebrała się co prędzej. Umarł w ciągu roku ochmistrz królowej Tarło; król przeznacza znanego nam już Gabryela Grabowieckiego, gorącego stronnika Jana Zygmunta Zapolyi, nienawidzącego Austrii i Austryaków. To nie ochmistrz wszakże, to policyjny agent królewski, który gdzie może dokuczy, który podziera wszystko i o wszystkim swemu panu donosi. Mamy jego listy, gdzie prawi o nieustannem knowaniu intryg na radomskim dworze, o zabiegach Dudycza i królowej. Przytem niebrak szczegółów, że królowa niemiała zaspokojonych wszystkich potrzeb, jakie odpowiadały jej wysokiemu stanowi. Dla czegoż więc, powtarzam, królowa nie odjeżdża, skoro żadna z dawnych przyczyn usunięta nie została a nowe przybyły?

Oto poseł austriacki Dudycz, może w skutek nieznanych nam bliżej upomnień Komendoniego, może w skutek własnego pomysłu, co prawdopodobniejsze, postanowił rozwinąć wielką polityczną w Polsce intrygę, aby królowej niepuścić, aby ją zatrzymać wolą publiczną, wolą narodu, doprowadzić rzecz przed sąd sejmowy, słowem, rzuciwszy królowi rękawicę, albo skłonić go do pożycia z żoną, albo przynajmniej dać mu uczuć siłę austriackiego stronnictwa. Łatwo pojąć, że ten plan mógł pozyskać kobietę, która od lat wielu cierpiała upokorzenie, kobietę nawskroś polityczną! I w istocie, w chwili, gdy król na Litwie, cuda dzieją się w Polsce na rzecz królowej, a Grabowiecki zaiste niekłamał, gdy donosił królowi o knowaniach radomskiego dworu i domagał się, aby królowej dać polskiego sekretarza, inaczej nieęczy za to, co się dzieć będzie.

Osobą nielada, którą się Dudyczowi dla planów swoich pozyskać udało, był nie kto inny, jak sam prymas Uchański. Trudno dociec, jak do tego Uchański przyszedł, wolno wszakże postawić przypuszczenie, że chcąc rozvodu dla soboru i kościoła narodowego, odrzucanych przez króla, pragnął utrzymać w Polsce królowę, pragnął, aby cały naród przemówił słowo za przyjęciem jej w małżeńskie pożycie, aby król naciśkowi oprzeć się niemogąc, zażądał od niego i soboru i rozvodu z żoną. Wszakżeż już niebyło w Polsce Komendoniego! W se-

paracy widział on palliatyw, uspokajający króla, więc separacyi niechęciał. Na wieść o gotującym się odejździe królowej, zbiera on szlachtę w Gnieźnie, nie bez współdziałania głowy różnowierców Ostroroga, przeprowadza uchwałę, aby do królowej posłać deputacyę, aby ją wstrzymać. Deputacya jedzie, przemawia patetycznie, wstrzymuje królowę!

Można sobie wyobrazić, jakim gniewem zawrzał Zygmunt August, niezmiernie drażliwy na każdy ruch na własną rękę, w kraju powstały, szczególnież jeśli w nim obce przeczuwał wpływy. W instrukcyach na sejmiki piętnuje on krok prymasa, jako podanie w ohydę swojej osoby i senatu, żąda, aby się oświadczone przeciw niemu. Do Radomia śle rozporządzenie, aby królowa wyjechała natychmiast i w Wieluniu, na granicy oczekiwała polecenia co do dalszej podróży, gotując się do niej. Prymasowi wreszcie pisze król 24 grudnia list ostry i groźny, wypominając mu grubą niekonsekwencyę, aby ten, który rozwód radził, wyjazdowi królowej się sprzeciwiał.

Poszła sprawa na sejmiki, a i tam niezaspiał jej Dudycz. Szlachta, łatwo poruszać się dająca rzuconemi zręcznie hasłami, różnowiercza i katolicka poszła za prymasem przeciw królowi. Na sejmiku w Sądowej Wiszni aryngował ją Stanisław Orzechowski, przyjaciel Dudycza, a jak on, tak całe ruchliwe społeczeństwo, poczęło nazywać mało dotąd znaną i w Niemieckim kole swoich dworzan chętnie się zamykającą Katarzynę, panią świętą, niesprawiedliwie prześladowaną. Popularności u nas rosła szybko, jak grzyby po deszczu, nawet takie, które nic za sobą nie mają; niedziwota, że i Katarzyna, mająca za sobą tak wiele, miała swoją chwilę popularności.

Wrzał więc kraj cały niespodziewanie sprawą królowej, sprawą austryacką, a szczęśliwy Dudycz nieomieszkiał donosić do Wiednia o gotującym się dziele. Maksymilian nie mógł być ślepym na jego polityczne korzyści. Mnogie listy z Wiednia dziękczynią arcybiskupowi i senatorom, motorom sprawy, i Stanisław Ostroróg otrzymuje podziękowanie. Cesarz listem z 5 lutego donosi Zygmuntowi Augustowi, że wie o przyczynach zwłoki w podróży królowej, że *godzi się*, aby dopiero wtedy wyjechała, gdy powróci z sejmu Rzeszy, ze Spiry. Miała więc pozostać w Polsce podczas sejmu lubelskiego na maj 1566 zapowiedzianego, miała pozostać, gdy tam jej sprawę poruszają,

gdy poseł austriacki z królem polskim do walki wystąpi! Dudycz, który wpadł po instrukcyę do bawiącego w Lincu cesarza, otrzymuje ją 7 kwietnia zupełnie wedle swej myśli. Ma jechać na sejm lubelski co prędzej, ma poruszyć sprawę do gruntu, poczynwszy od myśli rozwodu, ma wszelką możebność jego wykluczyć z góry, jako haniebną dla domu austriackiego, ma żądać od króla, aby królowę przywołał i z nią żył, ma toż samo wytoczyć przed stanami, ma w razie, jeżeli się król niezgodzi, żądać wyjazdu królowej z zastrzeżeniem powrotu a zarazem kongresu obu monarchów. Uszczęśliwiony, pewny swego, pospieszył Dudycz na sejm lubelski, dotąd w dziejopisarstwie naszym nieznany, którego epizody, królowej się ty-czące, tutaj przedstawimy.

Nieprzeczuwał zręczny Dudycz, z jakim graczem politycznym będzie miał do czynienia. Widzieć sejm w rydwanie obcej polityki, to było więcej, jak znieść mógł Zygmunt August; z całym też zasobem swojej zręczności i przewagi, z nerwowem wysileniem, rozbudzonem antypatyą do królowej, gniewem do Austrii, ambicyą ratowania swojej władzy wziął się do walki i — pobił zupełnie Dudycza.

Środki w tej kampanii politycznej użyte, niewszystkie były dobre, włoskiej szkoły było w niej aż zanadto. Systematyczne dokuczanie królowej w Wieluniu wzmagało się; „czynią wszystko, pisze Dudycz, aby nas z kraju wyrzucić.“ Grabowiecki otrzymuje rozkaz, aby starał się przejmować listy królowej. Rozdrażnienie i nieufność na tym nieszczęśliwym dworze tak wielka, że podejrzewają Grabowieckiego o chęć otrucia królowej w wiszniach, a i Dudycz donosi w liście do cesarza, że w zupie znalazł truciznę! Jak się z tem mniemanem otruciem miało, poucza list Dudycza z następnego już dnia, donoszący cesarzowi, że się pomylił i list Finka lekarza królowej, wykluczający otrucie.

Obok presyi na królowę, niebrakło presyi na senatorów. Arcybiskup lamentował już w styczniu, że się posunął za daleko, błagał Dudycza, aby go cesarz nieopuszczał i na pastwę gniewu królewskiego nie wydawał. Dudycz wcześniej dosyć narzeka, że Polacy niestali, że król może wszystko. Jakoż wynalazł król zaraz na początku sejmu rzecz paraliżującą ową wielką na królową wyprawę. Cesarz czynił zaciąg w Polsce

przeciw Turkom, przeciw popularnemu Janowi Zapolyi. Za podmuchnięciem króla, jęto krzyczeć na zaciągi, straszyć złamaniem pokoju z Turcyą, wojną, podszczuwać na gospodarkę austriacką. Gdy posłowie zwykłym obyczajem jęli narzekać na senat, że nie ma wpływu na króla, a senat wytoczył sprawę królowej i wyraził życzenie, aby król z nią zamieszkał, król przeciął sprawę łagodnem, ale stanowczem słowem, zamykającem wszelkie dalsze dyskusye (17 lipca) prosząc, aby niewspominano o tem, co żadną miarą stać się nie może.

Było to toż samo słowo, które spotkało i Dudycza na audyencyi: *Piuttosto la morte*, śmierć raczej! a o którym tegoż samego dnia doniósł biskup królowej. Pozostawała audyencya publiczna, wytoczenie sprawy przed senat i rycerstwo. Tego nie chciał król i nie przyszło do tego. Z każdym dniem pod spojrzeniem pańskim, groźnem dla jednych, łaskawem i pełnem obietnic dla drugich, topniała liczba zelantów królowej. Król od r. 1562 był demagogiem szlachty, miał w ręku sprawę egzekucyi i Unii. Ale jakby przez ironię, król zapragnął, aby sam Dudycz niechciał tego, z czem przyjechał. Miał na to magiczne słowo: zaczął z Dudyczem półgębkiem mówić o sukcesyi tronu po swoim zejściu bezpotomnem. Młody biskup dyplomata złowił się na tę wędkę: król oświadczał się przychylnie o sukcesyi cesarza lub którego z arcyksiążąt, trzeba króla niedrażnić, trzeba pilnować tej sprawy, trzeba trzymać nieustannego posła w Polsce! Tak pisze i radzi cesarzowi Dudycz, tem pociesza go za odniesioną porażkę. Cesarz tymczasem dnia 17 lipca śle rozkaz, aby skoro król z królową żyć nie chce, żądać wyjazdu... Żąda go Dudycz i napotyka nieszczere trudności, rokowania o pensye przedłużające się, wreszcie niepewną zjazd z cesarzem obietnicę. Przystać na wyjazd pod prowizorycznymi warunkami, radzi Dudycz, pozostawić punkt zaczepienia dalszym układom, niestraszyć króla, że na kongresie o królowej będzie mowa! Tak upił się biskup dyplomata szeptaną obietnicą królewską, tak w błogich marzeniach o koronie polskiej dla Austrii stracił czucie, że został pobitym, okrutnie pobitym przez Zygmunta Augusta.

Czuł to kto inny, czuła nieszczęśliwa, szarpana najboleśniej uczuciami królowa, królowa, która zdecydowała się pójść z narodem na męża, a obecnie ujrzała się opuszczoną,

nawet przez austriackiego posła. W memoryale pisanym po ostatniej rezolucyi królewskiej, widać całą jej duszę. „Skoro się już sprawa tak potoczyła, oto treść memoryału, niech poseł oświadczy przed królem i senatorami, którzy jeszcze przy królu będą, że królowa odjedzie, ale nie ona jest odjazdu przyczyną. Odjedzie, aby wrócić, jeżeli Bóg zmieni serce królewskie, a powrót taki poczyta sobie za największe szczęście.“ Co do utrzymania każe królowa rzecz przeciąć, poprzestać na 20,000 rocznej pensyi, uwzględniając skarbowe kłopoty króla i potrzebę państwa, jako dobra żona i królowa. A chociaż już teraz o rozwodzie mowy nie ma, to skoro o nim mówiono, poseł ma oświadczyć, że nigdy i przenigdy na rozwód niepozwoli. „Chociaż JKMość niechce ją mieć żoną, ona dopóki żyje, wedle obowiązku sumienia za małżonka uważać go musi.“ Niewiemy, czy Dudycz zastósował się do woli królowej, nie wiemy, czy wygłosił te szlachetne jej postanowienia. Wiemy tylko, że król w liście i co do języka i co do polityki prawdziwie włoskim, do Maksymiliana pisanym, powoływał się na świadectwo Dudycza, jak wbrew woli stanów, tylko z miłości do austriackiego domu, przeprowadził wyjazd królowej! Wiemy też, jak ustał system policyjny na dworze wieluńskim a Grabowiecki poszedł w odstawkę. Po kilku miesiącach rokowań o pieniądze, teraz już nie niebezpiecznych, wyruszyła nareszcie królowa z komitywą odpowiednią jej stanowi dnia 8 października z Polski, którą tylu łzami oblała, a żegnając jej granice nie spodziewała się zapewne, że już ich nigdy nie powita. Dzień przed wyjazdem 7 października, napisała list do jedyne go może w Polsce człowieka, który ją rozumiał i szanował, jak należało — do kardynała Hozyusza!

Tu kończy się najdramatyczniejsza epoka królowej Katarzyny, do której najobficiej płynie archiwalny materyał. — O ostatnich latach jej życia wiemy niewiele, wiemy tylko o kolejach sprawy jej w Polsce. Kongres cesarza z Zygmuntem Augustem rozchwiał się w roku 1566, rozchwiał w 1567, a to, na co liczyła Katarzyna, że na kongresie poruszonem będzie, sprawa jej powrotu do Polski, stawało się niezawodnie przyczyną rozchwiania. Andrzej Dudycz, z początkiem roku 1567 wysłany do Polski, zakończył tym razem swoją urzędową mi-

syą wcale niespodziewanym sposobem. Dnia 17 marca donosił jeszcze z Warszawy, że król zapytany nie kładzie wprawdzie przeszkód powrotowi królowej, ale ułatwiać go przez wyznaczenie miejsca, gdzie ma rezydować, i utrzymania, nie myśli. Dnia 28 kwietnia pisze list z długimi wywodami przeciw bezżeństwu księży i donosi, że pojął w święty stan małżeński Reginę Straszowną, pannę z fraucymeru królowej, która jeszcze w lipcu zeszłego roku ten dwór opuściła. Skandal zatem gruby przerwał misyą austriackiego posła, skandal, który go pozbawił sam z siebie tego urzędu, a który tolerancki nawet Maksymilian skarcił listem, niedość może ostrym. Dudyż pozostał ajentem austriackim w Polsce, dobre szczególnie między różnowercami, do których oczywiście przeszedł, oddającym usługi, ale moralny jego i społeczny upadek kazał ostrożnie czerpać tylko z jego informacji. Na razie przerwała się tymczasem nie polityczna, którą wysnuł, którą przy zręczności i doświadczeniu mógł skutecznie snuć dalej. Królowa, widząc rzecz w odwłokę puszczoną, zamieszkała w Lincu, dwór polski ją opuszczał, sumy przeznaczone szły oporem. Posłowie polscy, Krasiński i Podoski, milczeli upornie w jej sprawie, natomiast ostatni odgrzewał myśl kongresu i skłonił Maksymiliana do wyprawienia poważnego poselstwa, Wilhelma Gerstmana, biskupa ołomunieckiego, na pamiętny sejm lubelski 1569, głównie w tym celu, aby zjazd monarchów w Wrocławiu do skutku doprowadzić. Lecz zjazd odwlekał się znowu od terminu do terminu, raz z przyczyny króla, drugi raz z przyczyny cesarza. Przystawał już cesarz, aby sprawę królowej na nim pominąć, gdy Zygmunt August zażądał nagle, aby ją podjąć, czego przeląkł się cesarz, pewny, że podjęta przez króla, tylko około rozwodu obracać się może. W istocie, w miarę jak porządkował sprawy królestwa, jak czuł ubywające siły, jak coraz częściej myślał o bezpotomnem zejściu i jego skutkach, Zygmunt August nie mógł się obronić pokusie rozwodu, co więcej, widokom nowych ślubów małżeńskich, któreby mu dały potomka. Rozwód i czwarte małżeństwo staje się u niego manią, manią podżeganą astrologicznymi i magicznymi sztukami, podżeganą wspomnieniem historycznym, że protoplasta jego Jagiełło, już stary, z czwartej żony dopiero doczekał się liczного potomstwa. Widzimy często ludzi roją-

cych liczne i miłe przedsięwzięcia na kilka miesięcy, tygodni, dni, przed zamknięciem powiek na zawsze, dla czegoż się dziwić hallucynacyom króla w ostatnich trzech latach życia? Wszakże był w nich nietylko egoizm żyć pragnącego, ale i strach tego, który bał się odumrzeć kraju w stanie niepewnym, nie uporządkowanym, zachwianym do gruntu, podbudowanym na nowych podstawach, którym brakło sklepienia... Jakoż rok 1570 i 1571 wlecze się wśród potwornej walki śmierci z błyskotnemi zachceniami żywota. Zygmunt August wpływa na sejm 1570, aby mu dał pobudkę do podniesienia rozwodu, wśród orgij miłostek dorywczych snują się wieści o rokowaniach z dworem austriackim, to z kuryą apostolską, mających rozwód na celu. Kurya przecina je listem dnia 21 kwietnia, zamykającym mu z góry wszelką nadzieję; ale wieści nie ustają, gotuje się poselstwo do Rzymu. Austryę ma zyskać zapewniona w Polsce sukcesya: ona nie wierzy temu, o czem król marzy, o możliwości potomstwa. Rzym ma pozyskać przystąpienie króla do ligi przeciw Turkom. Nunceusz Portico ma sprzyjać kombinacy, prowadzi on rokowania z Wiedniem po za plecami posła austriackiego przy boku króla, opata Cyrusa. Wśród tych intryg, Katarzyna po dwakroć pisze do męża a Cyrus wręczający list opowiada, że król list srogą przyjął twarzą, nie odczytał i zbył lakonicznem: Odpisze się!

Wobec źródeł szczupłych niepodobna powiedzieć, jak stały sprawy, gdy Komendoni dla owej ligi tureckiej, dla innych interesów Rzymu, wysłanym został do Polski w zimie z początkiem r. 1572. Spiesząc się bardzo, mimo mrozy, zboczył do Lincu, do królowej, i tam, wedle świadectwa Grazianiego w łzach ją zastając, przekonał się, że nawet brata cesarza posądzała o odstąpienie swej sprawy dla politycznych widoków.

Przyjazd Komendoniego przeraził Portyka, Cyrusa i króla Zygmunta Augusta. Ten ostatni miał się spotkać z dawnym sędzią swego sumienia po tyłu zboczeniach z drogi, którą uznał niegdyś za dobrą. Groźbą prawie przyjął wiadomość o przeznaczeniu Komendoniego. Ale cześć wewnętrzna jaką miał dla księżęcia Kościoła, przemogła; schorzały, na kiju oparty, wyszedł na spotkanie kardynała.

Perswazye Komendoniego w najbliższych dniach były już zbytęcnymi. Król przeczył zamiarowi wysłania poselstwa do

Rzymu, przeczył zamiarowi ożenienia się i odpowiedział Komendoniemu owo historyczne: *Non si fara, che non convenga*. Wśród konferencyi w tej sprawie nadeszła wieść, że dnia 28 lutego umarła w Lincu królowa Katarzyna... król mógł się żenić. Ale dni króla były już policzone, dnia 7 lipca tegoż roku umarł ostatni z Jagiellonów....

Wróćmy jeszcze do łoża śmierci Katarzyny austriackiej. Przy tem łożu znalazł się zapewne bolesny list Portyka, donoszący o chmurnem przyjęciu ostatniego pisma królowej — o owem chłodnem: Odpowie się na to! Nie wiemy, czy była odpowiedź... Królowa d. 10 lutego dyktowała swoją ostatnią wolę. Po pobożnym wstępie następują dobroczynne legata dla miasta Lincu, które dało jej ostatni przytułek. „Najukochańszego małżonka i pana mego proszę, jak prosiłam ustnie, upadłszy przed nim na kolana — aby jeżeli co uczyniłam kiedy mimo jego woli, dla miłości Bożej darował mi to i odpuścił, jako ja mu wszystko przebaczam i odpuszczam.“ Tu następuje zapis wszystkich klejnotów, sreber, naszyjników, które kiedykolwiek od niego otrzymała, oprócz pierścieni dwóch, załączynowego i ślubnego, które dla jego sióstr Anny i Katarzyny przeznacza. Z własnych klejnotów zapisuje mu piękną agrafę z brylantowemi literami S. A., koroną i wisiozem pereł... Pewna gorycz bez granic w tem pozbyciu się wszystkiego, co z Zygmuntem Augustem miało związek.

Pod koniec testamentu raz jeszcze wraca do męża i zaklina brata cesarza, aby na miłość boską nie pomniał tego, czego doświadczyła od niego, ale był dla niego i dla jego potomstwa zawsze przychylnym krewnym i sąsiadem... „Niech na wieki zatrze się w niepamięci wszystko, co mnie spotkało.“

Następują zapisy dalsze, między niemi dwa, dla kucharzy Polaków jej dworu. Kończy życzeniem, aby pochowaną była w Pradze u stóp Matki, Anny Jagiellonki... Egzekwie wedle obyczaju Kościoła, przyzwoite, stanowi jej odpowiadające — ale bez zbytku.

Mimowoli przypominają się tu słowa innej, równie niešťęśliwej królowej, Katarzyny Aragońskiej żony Henryka VIII, które w umierającej usta kładzie Szekspir.

Poleć mnie królowi,
W całej pokorze, powiedz mu, że znika,
Jego tak długich przyczyna kłopotów,
Że mu konając jeszcze błogosławie...

Gdy wyzionę ducha,
Ciało honory oddaj przynależne,
Pogrzeb mnie potem nabalsamowauą
I jak królowę — choć odkrólowaną....

Tylko, że Katarzyna, cicha i dostojnie spokojna na pozór, miała więcej namiętności i więcej goryczy, że wystąpiła z biernej pozy i działała... że pod chrześcijańskim jej przebaczeniem, jeszcze było serce dumne i rozgoryczałe, uderzające młotem niecierpliwym w żelazne ściany sumienia i obowiązku chrześcijańskiego przy śmierci! Tylko że przebaczenie i śmierć Katarzyny, jeśli się przydały duszy Zygmunta Augusta, w życiu nieprzydały mu się już na nic, a po śmierci jej żadna Anna Bolena nie dała narodowi następcy, z zdolnościami i potęgą Elżbiety angielskiej. I w burzach bezkrólewów, śmiercią wstrzymany, nie dosięgnął Maksymilian korony polskiej przeciw współzawodnikowi Batoremu i nieziściły się plany i usiłowania snute przez lat dwadzieścia, plany, których spełnienie byłyby zupełnie inny los naszym dziejom nadało. I rzecz dziwna, nawet po śmierci fatalność jakaś prześladowała ciało dostojnej pani, która w grze polityki austriackiej tak znacznym była czynnikiem. Życzyła sobie, aby być pochowaną w Pradze; brat rokował z Zygmuntem Augustem, aby ją odwieść do Polski, do Krakowa. Zygmunt August nie chciał. Ciało królowej pozostało do r. 1576 na zamku w Linc; złożono je potem prowizorycznie w opactwie św. Floryana tamże, pogrzeb odbył się dopiero 1614 za staraniem i w obecności cesarza Macieja.

WALKA

KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA Z MACIEJEM KORWINEM

O KORONĘ CZESKĄ.

(Dokończenie).

ROZDZIAŁ V.

Donosząc dworom zagranicznym o rezultacie wojny szląskiej, Maciej porównywał Jagiellonów z górą, która zrodziła mysz, i twierdził, że tylko chrześcijańską litością zdjęty, nie zniósł do szczętu ich wojsk, nawiedzonych głodem, zarazą i ogniem ¹⁾. Nie litość jednak, obca Maciejowi, ale niebezpieczeństwo tureckie, wymagające jego obecności w Węgrzech, sprawiło iż nie korzystał tak, jakby chciał, z niepowodzenia swoich nieprzyjaciół. Podczas wojny szląskiej Turcy tyle szkód wyrządzili Węgrom, a narzekania na króla tak się wzmogły, że stany bez jego wiedzy złożyły sejm dla obmyślenia jakiegokolwiek obrony kraju ²⁾. Wkrótce potem sułtan Mahomet przygotował olbrzymią wyprawę dla zawojowania Wołoszczyzny, a gdyby się to udało, miał natychmiast osobiście wyruszyć na podbicie Polski i Węgier. Dumny zamiar nie powiódł się, gdyż

¹⁾ Długosz XIII, 529.

²⁾ Katona XV. 738—744.

hospodar Stefan zadał Turkom 17 stycznia 1475 tak straszną klęskę nad rzeką Berladem w pobliżu bagien rakowieckich, że ze stu tysięcy barbarzyńców ledwie mała garstka ocalała. To uchroniło Polskę od niebezpieczeństwa, lecz Węgrom znowu się dostało: 6 lutego Turcy zniszczyli jedno z ich najpiękniejszych miast — Wielki Waradyn, gdzie tylko zamek z trudnością się obronił, i uprowadzili mnóstwo ludu w niewolę ¹⁾. Musiał więc Maciej usunąć do czasu sprawę czeską na drugi plan, a wszystkie siły swojego państwa zwrócić przeciw Turkom. Węgrzy, zagrzani pragnieniem zemsty, nie żalowali ani ludzi, ani pieniędzy. Ale wielkie przygotowania opóźniły wyprawę, tak iż Maciej dopiero w październiku wybrał się z Budy na czele przeszło stotysięcznego wojska, które poprowadził ku granicom Serbii. Świat chrześcijański spodziewał się najświetniejszych tryumfów, — niestety! wszystko skończyło się tylko na zdobyciu Szabacza, twierdzy tureckiej nad Sawą, i na postawieniu kilku wież oblężniczych pod Smederewem. Niesłychanie sroga zima nie pozwoliła Węgrom zapuścić się w głąb Turecczyny. Zostawiwszy silną załogę w Szabaczu i obwarowawszy go tak, iżby co najmniej przez cały rok, jak sądzono, mógł się opierać nieprzyjacielowi, Maciej wrócił do domu, aby się sposobić do swojego wesela z Beatryksą, córką Ferdynanda króla neapolitańskiego, o którą zaczął się starać od czasu, jak się przekonał, że na małżeństwo z Jadwigą Jagiellonką nie było co liczyć. Królowna polska zaręczoną została zaraz po wojnie szląskiej Jerzemu księciu bawarskiemu. Niedojście związku z Jadwigą bolało Macieja, gdyż stracił przez to możność załatwienia sprawy czeskiej bez rozlewu krwi. Chcąc jednak pokazać światu, że zyskał na zamianie, żeniąc się z bogatą i wysoko wykształconą Beatryksą, czynił jak najwspanialsze przygotowania na jej przyjęcie i zapraszał w gościnę papieża, senat wenecki, książąt włoskich i niemieckich, wolne miasta Rzeszy i panów swoich i czeskich. Nie pominął nawet cesarza i obu panujących Jagiellonów, lecz ci nie przyjęli zaproszenia. Długo mówiono i wiele pisano o świetnych uroczystościach, które towarzyszyły naprzód koronacyi Beatryksy w Białogrodzie węgierskim, a potem jej weselu z Maciejem w Budzie

¹⁾ Długosz XIII. 525—527, 540.

w miesiącu grudniu 1476. Blisko cztery tygodnie trwały uciechy wszelkiego rodzaju, choć zaprawione goryczą z łaski Turków, którzy od kilku miesięcy znowu byli panami Szabacza i owych fortyfikacyj pod Smederewem i po dawnemu grozili Węgom ¹⁾).

Pomimo że Maciej zajęty był sprawami domowemi, stanowisko jego w Czechach bynajmniej się nie zachwiało. Wojna szlaska, z której, jak Eschenloer świadczy, ledwie połowa woj-ska polskiego wróciła do domu, odjęła Polakom ochotę mieszania się w sprawę czeską. Kazimierz zaś musiał uwzględniać tę okoliczność, nie dla tego iżby w swoim postępowaniu zbyt-ecznie się krępował wołą narodu — wedle ówczesnych pojęć polityka zagraniczna uchodziła prawie za rzecz prywatną monarchy i wolno mu było na tem polu robić, co chciał, byle nie kosztem publicznym — ale właśnie dla tego, że nie umiając radzić sobie ze skarbem tak jak np. Ludwik XI, jak Maciej Korwin, zawsze zależał od worka narodu i dla przeprowadzenia każdego swojego zamiaru musiał zwoływać sejmy i sejmiki. Odrywały go zresztą od sprawy czeskiej inne rzeczy, bliżej obchodzące Polskę, mianowicie postępy oręża tureckiego i wypadki w biskupstwie warmińskim. Polacy dosyć obojętnie przypatrywali się wzrostowi potęgi barbarzyńskiej w Europie i byli głusi na wszelkie nawoływania Stolicy apostolskiej do krucyaty, z czego jednak trudno im czynić zarzut, skoro inne narody chrześcijańskie, nie dotknięte bezpośrednio niebezpieczeństwem, a nawet dotknięte, jak np. Niemcy, również biernie się zachowywały. Ale w chwili, o której mowa, nawała turecka zbliżyła się do granic Polski. Odparł ją chwilowo hospodar Stefan; ledwie jednak zawiadomił króla o swoim zwycięstwie, wnet zaczął mu donosić o nowem zbrojeniu się Turków i błagał o posiłki, a zarazem o schronienie dla siebie w Kamieńcu w razie niepowodzenia. Król, nie chcąc wdawać się w wojnę z przemożnym nieprzyjacielem, mniemał, że potrafi odwrócić burzę środkami dyplomatycznymi i wysłał w poselstwie do sułtana Marcina Wrocimowskiego, podstolego krakowskiego. Nim atoli poseł udał się w drogę, Turcy zdobyli

¹⁾ Długosz XIII, 539, 544, 548—549; Eschenloer II, 337—349; Chmel II. 78.

w miesiącu czerwcu 1475 Kafę na półwyspie tauryckim, poczem złączywszy się z Tatarami, ruszyli pod Białogród wołoski. Wobec przeważających sił nieprzyjacielskich Stefan nie odważył się wydać bitwy i przez cały czas pobytu barbarzyńców na Wołoszczyźnie krył się ze swoim ludem po lasach i górach. Zdaje się, że zbrojne przygotowania Macieja skłoniły Turków do opuszczenia w tym roku Wołoszczyzny; lecz w następnym po wypędzeniu Węgrów z Serbii sułtan znowu się wybrał przeciw Stefanowi, którego koniecznie uwziął się zrzucić z gospodarstwa, aby osadzić tam swojego hołdownika. Poselstwo Wrocimowskiego nie zapobiegło wyprawie, częścią z winy samego Stefana, który tak dalece nie wierzył w skuteczność jakichkolwiek rokowań, że blisko przez rok nie puszczał posła do sułtana, pragnąc tym sposobem zmusić Polaków do walki z Turkami. Wrocimowski stanął przed sułtanem, gdy ten już był w pochodzie, i rozumie się, odjechał z kwitkiem. Powiedziano mu, że przybył za późno, że wreszcie sułtan wstrzyma się od wojny, jeżeli Stefan będzie płacić haracz. Ale gospodar na to nie przystał. Pobili go Turcy 26 lipca równie srodze, jak on ich w zeszłym roku nad Berladem, i w najokrutniejszy sposób spustoszywszy całą Wołoszczyznę, przystąpili do oblężenia Suczawy i Chocima. Wtargnęli też na Podole, gdzie spalili kilka miasteczek i wsi. Na wiadomość o klęsce Stefana, Kazimierz Jagiellończyk, przejęty obawą o los Podola i Rusi Czerwonej, złożył w miesiącu sierpniu sejm w Piotrkowie, gdzie uchwalonem zostało pospolite ruszenie tych ziem. Król dał wojsku za wodza Pawła Jasieńskiego i kazał iść pod Kamieniec, obiecując wkrótce osobiście nadciągnąć ze znaczniejszymi siłami. Jakoż w istocie przybył w październiku do Bełza. Ale obecność jego już nie była potrzebną: Turcy skoro usłyszeli o marszu króla, a przy tem dowiedzieli się o rozbiciu swojej floty, wiozącej świeże wojsko i maszyny oblężnicze dla zdobycia miast wołoskich, wrócili do Konstantynopola. Nie sam wszakże sułtan silił się opanować Wołoszczyznę. Czyhał także na nią Maciej, korzystając z tego, że król polski nie dał Wołochom żądanych posiłków, i nakłaniał hospodara do przyjęcia zwierzchnictwa węgierskiego. Stefan nie dał się wprowadzić do tego namówić, lecz zawarł z Macie-

jem przymierze, które w Polsce tak podejrzanem się wydało, że król żądał od Stefana ponowienia hołdu ¹⁾).

Sprawa warmińska, sama w sobie niewielkiej wagi, nabrała znaczenia dopiero przez zatargi Kazimierza z Maciejem. W roku 1467 po śmierci biskupa warmińskiego Pawła Logendorfa kapituła obrała Mikołaja Tungena, rodem Niemca; król zaś, który pragnął, o ile możność pozwalała, obsadzać urzędy i godności pruskie Polakami, odrzucił ten wybór i prosił papieża Pawła o przeniesienie do Warmii Wincentego Kiełbasy, biskupa chełmińskiego. Papież jednak nie zezwolił na to, król ze swojej strony wziął na kiel, i sprawa przeciągnęła się aż do pontyfikatu Syxtusa IV, który chcąc zjednać Kazimierza dla zamierzonej przez siebie krucjaty przeciw Turkom, zamianował biskupem warmińskim nie Kiełbasę wprawdzie, lecz także Polaka — Andrzeja Oporowskiego, archidyakona gnieźnieńskiego, a Tungenowi przeznaczył biskupstwo kamienieckie. Lecz gdy niebawem usposobienie Syxtusa IV względem dworu polskiego tak dalece zmieniło się na gorsze, że papież gotów był nawet wznieść wojnę między królem a Krzyżakami, Tungen widząc to, postanowił przemocą wdrzeć się na biskupstwo. Liczył przy tem na pomoc Macieja, na przychyłność Warmijczyków i ówczesnego mistrza Zakonu Henryka Richtenberga, oraz na niechęć, jaką mieszkańcy Prus królewskich okazywali Kazimierzowi z powodu że poruczał Polakom urzędy w ich kraju. Zaciągawszy tedy pięciuset najemników i tłumy życzliwego sobie chłopstwa, opanował w 1472 Braunsberg, Heilsberg, Guttstadt, Frauenburg i Seeburg prawie bez oporu. Król zażądał od mistrza, jako od hołdownika swojego, aby wypędził Tungena, i wyprawił do Prus w charakterze komisarzy Jakóba biskupa kujawskiego i Mikołaja z Kutna, wojewodę łęczyckiego. Ale mistrz ani rozkazowi królewskiemu nie uczynił zadość, ani na zjazd, na który wzywali go komisarze, nie pojechał, udając obrażonego zarzutem, jakoby sprzyjał Tungenowi. Wreszcie za pośrednictwem jego stanął w Warmii rozejm pod warunkiem, że spór o biskupstwo pójdzie pod sąd papieża. Król jednak stanowczo nie życzył sobie widzieć na stolicy warmińskiej Tungena i zjechał przed Bożem Narodzeniem do To-

¹⁾ Długosz XIII, 531—535, 544—549.

runia, dokąd zwoławszy stany pruskie, groził, że użyje siły przeciw intruzowi. Ale ani groźby, ani prośby nie pomogły: Prusacy wystąpili ze skargami na odpychanie krajowców od urzędów, Warmijczycy nie chcieli opuścić Tungena, mistrz znowu umył od wszystkiego ręce. Również bezskutecznie wypadła missya biskupa Kielbasy, podjęta w roku 1473. Król rozgniewany powziął zamiar zawieszenia stosunków handlowych między Warmią a Prusami krzyżackimi i miastami Gdańskiem, Toruniem i Elblągiem. Lecz mistrz i te miasta nie przystali na środek, który im także byłby zaszkodził. Na wiosnę 1474 Tungen znowu rozpoczął kroki wojenne i zawładnął całym biskupstwem. Król znowu tedy przybył do Torunia, ale dla zarazy, grasującej w okolicach miasta, oraz dla nadchodzącego sejmku piotrkowskiego nie długo bawił i niczego nie dokazał, — tylko mistrzowi, na którego nie przestał nalegać, aby powstał zbrojnie przeciw Tungenowi, określił czas namysłu w tej sprawie do dnia ś. Michała. Nie zadługo jednak przyszła wojna szląska, z której mistrz korzystając, wykręcił się od odpowiedzi. Po ukończeniu zaś wojny, na mocy traktatu wrocławskiego, który pozwolił Maciejowi wyjąć na czas rozejmu pięć osób z pod władzy Jagiellonów, Tungen dostał się pod wyraźną opiekę króla węgierskiego. Kazimierz Jagiellończyk nie bardzo na to uważał i w chwili gdy Maciej zatrudniony był oblężeniem Szabacza, t. j. w lutym 1476, wybrał się do Prus z dwoma tysiącami zaciężnego wojska, ażeby wyrzucić Tungenę z Warmii. Od zamiaru tego nie odwiodły go bynajmniej upomnienia Macieja, który tak jemu samemu, jak panom polskim zapowiadał, że nie pozwoli krzywdzić swojego stronnika ¹⁾. Ale do orężnej rozprawy nie przyszło jeszcze podówczas, albowiem rzeczy taki obrót wzięły, że z małemi, jakie król przyprowadził, siłami trudno było rozpoczynać wojnę.

Maciej nie poprzestał w obronie Tungenę na samych reklamacyach, lecz rozkazał jednemu ze swoich zaufanych radców, Jerzemu Szejnowi, przez którego z nim się znosił, postarać się o zbrojny napad na Polskę od strony Szląska, w razie gdyby Kazimierz zaniepokoił biskupa. W tymże czasie przybył

¹⁾ Długosz XIII, 410, 474, 481—482, 486, 513—514, 541; Voigt Geschichte Preussens t. IX str. 45—52, 78—80, 86.

do Węgier legat papieżki Baltazar Piscia z bullami, wymierzonymi przeciw każdemu, ktoby gwałcił rozejm wrocławski, właściwie zaś przeciw Jagiellonom. Te bulle bowiem zostały wyekspedytowane na prośbę Macieja, a oprócz nich miał legat jeszcze inne na korzyść Krzyżaków, podobne do owych, w jakie uzbrojony był niegdyś kardynał Marek Barbo ¹⁾. Okoliczności te nie tylko dodały ducha Tungenowi, ale i mistrza krzyżackiego Henryka Richtenberga zachęciły do naśladowania wojowniczego biskupa, budząc w nim nadzieję przywrócenia Zakonowi przy pomocy Macieja świeżej jeszcze niepodległości. Kazimierz Jagiellończyk dowiedział się o zdradzieckich zamiarach. Aby go uspić, mistrz wyprawił do Torunia, gdzie król stał właśnie z wojskiem, marszałka Zakonu, który w układnej mowie usiłował oczyścić swojego pana z fałszywych niby podejrzeń i ofiarował się stanąć do pojedynku z oszczercami. Zdaje się, że król nie dał wiary marszałkowi, bo gdy przyjechał wkrótce do Malborka, odwiedził go Richtenberg, aby osobiście się wytłómaczyć. Jakoż zaklinał się na wszystko, że się mu ani śniło o zdradzie, a w dowód niezachwianej swojej wierności obiecywał nawet przyłożyć się do wypędzenia Tungena, zasięgnąwszy poprzednio rady swojej kapituły. Nie mógł wszakże tego zataić, że przyjmował posłów węgierskich i że ci namawiali go do oderwania się od Polski, co on jednak niby najwyraźniej odrzucił. Że wszystkie te zakłęcia i obietnice były wierutnem kłamstwem, przekonał się król z opowiadania swojej siostry Elżbiety, księżny słupskiej, bawiącej podówczas w Malborku, która dokładnie wiedziała o konszachtach mistrza z Maciejem. Zresztą wypadki stwierdziły to, co mówiła. Kiedy bowiem król złożył w Elblągu sejm w sprawie Tungena, mistrz nie tylko na sejm nie przybył, lecz oznajmivszy wysłańcom królewskim, że pomocy przeciw biskupowi nie udzieli, zawiązał z nim i z kapitułą warmińską przymierze obronne we Frauenburgu. Nareszcie całkiem zrzucił maskę, oddając siebie i Zakon w opiekę Macieja, z którym zawarł przeciw królowi polskiemu formalny traktat odporno-zaczepty,

¹⁾ Voigt IX, 86—87.

podpisany w Budzie 13 lutego 1477, lecz niewiadomo dla czego datowany 12 marca. Toż samo uczynił Tungen ¹⁾).

Przytoczone dopiero powody możeby nie usprawiedliwiały zaniedbania sprawy czeskiej przez Kazimierza Jagiellończyka, gdyby Władysław nie był w tym czasie również bezczynnym. Nie celował on bynajmniej przedsiębiorczością, co w początkach jego panowania przypisywano zbyt młodemu wiekowi; im dalej jednak zachodził w lata, przekonywano się coraz mocniej, że nie był stworzony na samodzielnego monarchę i ze wszystkich pięknych przymiotów, jakie w nim podnosił pan Lubelczyk, zalecając go do tronu, posiadał tylko dwa — dobroć i zdolność wygłoszenia w potrzebie gładkiej mówki. Jedynym krokiem, jaki uczynił, aby wyjść z fałszywego położenia, w którym postawiły jego władzę królewską uchwały bieniaszowskie i wrocławskie, było poselstwo do cesarza Fryderyka w roku 1475 z prośbą o udzielenie regaliów. Z tą samą prośbą udawał się do cesarza Maciej, a chcąc przeciągnąć go na swoją stronę, obiecywał wesprzeć go ludźmi i pieniędzmi przeciw Karolowi Śmiałemu, z którym cesarz prowadził wówczas wojnę nad Renem. Ale Fryderyk, nie ufając Maciejowi, odrzucił tę propozycję; dał zaś przychylną odpowiedź posłom Władysława, przyrzekając uczynić zadość jego żądaniu po wojnie, i w tym celu zapraszał obu Jagiellonów na zjazd ze sobą do Lipska, lub Berlina, a gdyby tak daleko nie chcieli się fatygować, do Frejsztatu, odległego o mil ośmnaście od Pragi. Nie wiadomo, dla czego zjazd ten nie przyszedł do skutku; może Fryderyk wymagał od swoich sprzymierzeńców podobnej usługi, z jaką mu się narzucał król węgierski, a której oni nie mogli się podjąć, potrzebując wytchnienia po nieszczęśliwej wyprawie na Szląsk. Drugi raz cesarz wzywał Władysława dla odebrania regaliów czeskich w listopadzie tego roku do Lands-huta, gdzie z okazji wesela księcia Jerzego z Jadwigą Jagiellonką zgromadziło się wielu członków Rzeszy. Ale Władysław, chociaż usilnie proszony od książąt bawarskich i zachęcany przez ojca, który posłał mu nawet pieniądze na drogę, nie pojechał — po prostu z lenistwa, jak przedstawia rzecz Dłu-

¹⁾ Długosz XIII 542—543, 547; Voigt IX. 91—93; 98; Do-giel I. 75—76.

gosz. Więc też kpili z niego nieprzyjaciele, a przyjaciele gorzyli się, że i o własną sprawę nie dbał i zaślubin siostry nie uczcił swoją obecnością. Sensat cesarz powiedział o nim, że siedział przy stole biesiadnym, a nic do ust nie wziął ¹⁾. Nie zaszkodzi jednak przypomnieć, że Czesi, którzy dla miłości pokoju gotowi byli przyłożyć rękę nawet do podziału swojego kraju, starannie unikali zatargów z Maciejem, pomimo że zamiary jego nie wróżyły im nic dobrego, skoro odrzucił projekt ugody, podany przez sejm pragski, i na Szlázku tak gospodarował, jak gdyby chciał tę prowincję na zawsze wcielić do Węgier ²⁾. Mógł zatem Władysław z porady swoich panów, aby nie ściągnąć na siebie zemsty Macieja, zaniechać podróży do Landshuta.

Niedługo wszakże trwał upragniony pokój. Między panami austriackimi z jednej a czeskimi i morawskimi z drugiej strony oddawna zachodziły właśnie sąsiedzkie, które ówczesnym zwyczajem rozstrzygano przy pomocy oręża. Do tych kłótni mieszał się cesarz Fryderyk. We wrześniu 1476 Zdenko Sternberg i Bogusław Schwamberg, obaj stronnicy Macieja, wpadli do Austrii i zawarli zbrojne przymierze z przeciwnikami cesarza, Ulrykiem Grafenekiem i Lichtenszteinami. Skoro się o tem Maciej dowiedział, zalecił obu panom, aby wytrwali w rozpoczętej wojnie i przysłali doń swoich agentów dla odebrania dalszych instrukcyj ³⁾. Trzeba bowiem wiedzieć, że między nim a cesarzem już nieco wcześniej wywiązały się były rozterki, i to dosyć groźne, gdyż podczas sejmu piotrkowskiego cesarz prosił Kazimierza Jagiellończyka o pomoc. Król polski odpowiedział przez Andrzeja Oporowskiego, że wobec napaści tureckiej, wiszącej nad Polską, nic dla swego sprzymierzeńca uczynić nie może. Ale dopomógł cesarzowi Władysław tem chętniej, że Maciej nie wiadomo za co oskarżał go o złamanie rozejmu. Cztery tysiące Czechów pod dowództwem Burjana Gutsztejna wtargnęło do Austrii i przy ich pomocy cesarz wziął górę nad przeciwnikami ⁴⁾. Z tem wszystkiem nie ży-

¹⁾ Długosz XIII, 534, 536 — 537.

²⁾ Eschenloar II, 328 — 332.

³⁾ Palacky V. I. 141 — 143.

⁴⁾ Długosz XIII. 550.

czył sobie bezpośredniej walki z ich protektorem i prosił Zdenka Sternberga, z którym już się był pogodził, aby przyjął na siebie rolę pośrednika. Ten pojechał do Węgier i przywiózł od Macieja projekt ogólnej pacyfikacyi, mającej objąć wszystkie cztery dwory. Maciej proponował mianowicie dla załatwienia tak swoich zatargów z cesarzem i Kazimierzem Jagiellończykiem, jako też sporu z Władysławem o koronę, aby pełnomocnicy czterech monarchów w liczbie dwunastu, t. j. sześciu węgierskich i sześciu ze strony przeciwnej, złożyli 24 lutego roku przyszłego zjazd w Haimburgu pod przewodnictwem legata papieżkiego, który w razie niezgody pełnomocników miałby, jako superarbitr, moc ostatecznego wyrokowania o wszystkich kwestiach spornych ¹⁾). Łatwo zgadnąć, że zjazd pod temi warunkami nie mógłby się podobać ani cesarzowi, ani Jagiellonom, gdyż wyraźna życzliwość stolicy apostolskiej dla Macieja nie pozwalała wątpić, za kim głosowałby legat. Ale do zjazdu nie przyszło. Śmierć Sternberga, która po krótkiej chorobie sprzątnęła go ze świata 4 grudnia, przerwała układy, a jednocześnie zaszedł wypadek, który nie pomału rozjątrzył Władysława Jagiellończyka. Książę Henryk Podiebradzki wyswatał mu był w Berlinie młodziutką wdowę po Henryku głogowskim, Barbarę, córkę margrabiego Albrechta. Władysław, polectany nadzieją osiągnięcia wraz z jej ręką księstwa głogowskiego, które Albrecht już był obsadził swoim wojskiem, przystał na to małżeństwo, zawarł 12 września kontrakt ślubny, a w miesiącu grudniu rozpiął do sąsiadów zaproszenia na wesele, mające się odbyć 7 lutego następnego roku w Pradze ²⁾). Lecz tu właśnie popsuł mu szyki Maciej. Znany już nam barbarzyńiec Jan Sagański wpadł przy pomocy węgierskiej do księstwa głogowskiego, do którego rościł był całkiem niesłuszne pretensye, wypędził załogi brandenburskie i prawie cały kraj opanował. Jagiellonowie zaprotestowali przeciw temu gwałtowi, dowodząc, że przezeń został naruszony pokój wrocławski, na co znowu stronnicy Macieja odpowiadali, że Jan Sagański owaładnął tylko spuścizną, która się mu należała po śmierci krewnego tytułem spadkobier-

¹⁾ Chmel II. 93—96.

²⁾ Palacky V. I. 145—146.

stwa, potwierdzonym przez Macieja, jako prawego króla czeskiego ¹⁾. Nie dziw zatem, że gdy Maciej najwyraźniej szukał okazji do wojny, przeciwnicy jego starali się go uprzedzić. Jakoż cesarz Fryderyk i Władysław Jagiellończyk ponowili przymierze norymberskie w ten sposób, iż Władysław zobowiązał się w najkrótszym czasie wyprawić do Austrii trzy do czterech tysięcy wojska, a w śródości przybyć tam osobiście z dziesięcioma tysiącami. Drugie tyle powinien był cesarz wystawić tak dla ukarania rokoszan austriackich, jako też ich opiekuna Macieja. W nagrodę za swoje trudy Władysław miał otrzymać regalia przy pierwszym spotkaniu się z cesarzem ²⁾.

Ażeby się wywiązać z obietnicy, której wykonanie o wiele przechodziło prywatne zasoby Władysława, trzeba było uzyskać przyzwolenie sejmu czeskiego. Nie obeszło się to bez trudności, ponieważ Czesi nie chcieli wojny, i obydwu stronnictwa dokładały przez jakiś czas gorliwych starań o utrzymanie pokoju między monarchami. Jednakże przełożenia Władysława, oraz Piotra Kdułínca i Bieniasza Weitmila, który przywiódł do skutku traktat z cesarzem, przekonały sejm, dosyć nielicznie zgromadzony w Pradze w połowie marca 1477, o konieczności wojny. Przyjaciele królewscy dowodzili, że udzielenie Władysławowi regaliów może pociągnąć ku niemu kraje koronne, uznające władzę Macieja, t. j. Morawy, Szląsk i Łużyce, a tem samem położyć koniec rozerwaniu państwa. I Władysław twierdził, że przedsięwzięcie wojnę dla dobra korony. Najważniejszego wszakże argumentu dostarczył sejmowi sam Maciej, który w początkach wielkiego postu, pomimo silne mrozy, wysłał był do Szląska wojsko pod dowództwem Jana Żerotyńskiego dla opanowania niektórych zamków, należących do stronników Władysława. Wojna tedy została uchwaloną ³⁾. Sprzymierzeńcy chcieli nadto wciągnąć do niej króla polskiego i wyprawili do niego w tym celu posłów na Litwę, cesarz — Rafała Leszczyńskiego, Władysław — Jana Rupowskiego. Poselstwo to nierównie lepiej trafiło do przekonania króla, aniżeli przeszłoroczne prośby cesarza o pomoc, połączone, jak się

¹⁾ Eschenloer II. 350.

²⁾ Chmel I. 499—504.

³⁾ Palacky V. I. 147—151.

zdaje, z projektem nowej wyprawy do Węgier w zamiarze zde-tronizowania Macieja. Przynajmniej Jan Beckensloer, niegdyś biskup jagierski, po śmierci Viteza arcybiskup ostrzychomski, poważniony wówczas z Maciejem i jako wygnaniec bawiący na dworze cesarskim, donosił królowi przez Oporowskiego, że Wę-grzy wcaleby mu się nie sprzeciwiali, gdyby przedsięwziął taką wyprawę. Wolno się domyślać, że i Leszczyński wspominał o tym planie królowi. Ale Kazimierz Jagiellończyk, jak wów-czas nie zwrócił nań uwagi, tak znowu teraz nie potrze-bował podobnej zachęty, skłonny był do wojny przez sam wzgląd na syna. Ponieważ jednak brak pieniędzy nie po-zwalał mu, jak zwykle, nic począć bez porozumienia się ze stanami, zwołał więc sejm do Piotrkowa na 13 kwietnia — i tu spotkał się z opozycją, której nie potrafił przełamać, po-mimo, że miał za sobą wszystkich panów radnych. Swoi nie chcieli iść na wyprawę, a pieniędzy na zaciąg najemnego żoł-nierza sejm nie dał. Tym sposobem zamiast czterotysięcznego wojska, którego król żądał od stanów, mógł posłać synowi tylko 3000 złotych, a przed Leszczyńskim i Rupowskim musiał się tłumaczyć, że Turcy, Krzyżacy i swoi zdrajcy przyczyniają mu tyle kłopotu w domu, że niema czasu myśleć o sprawach zagranicznych ¹⁾. Wymówki te nie były zresztą bezzasadne. Sejm piotrkowski w rzeczy samej radził o Turkach i wydał uchwałę, dotyczącą obrony krajowej ²⁾. Krzyżacy, chociaż po-zbawieni naczelnika Zakonu — mistrz Richtenberg umarł w ty-dzień po zawarciu przymierza z Maciejem — ciągle się zno-sili ze swoim nowym protektorem. A te stosunki ułatwiał im Piotr Komorowski, tenutaryusz trzech zamków, położonych nad granicą węgierską, Berwalda, Żywca i Szaflar, które król, pamiętny jego zasług podczas wyprawy królewicza Kazimierza do Węgier, puścił mu był w dzierżawę, gdy Komorowski, wy-zuty przez Macieja ze wszystkich swoich zdobyczy węgierskich, musiał wrócić do Polski. Otoż teraz Maciej przekabacił go na swoją stronę, obiecując zwrot zamków, posiadanych niegdyś

¹⁾ Długosz XIII 550, 553, 555.

²⁾ *Ordinatio bellicae expeditionis in Thurcos facta in convent. gener. Piotrcov. die s. Vitalis 1477 w Tekach Naruszewi-cza t. XXI.*

przez niego w Węgrzech, a za to żądał wydania sobie Szafar, Żywca i Berwalda. Porozumiewał się wreszcie z książętami mazowieckimi Kazimierzem, Bolesławem i Januszem, którzy nie mogli darować królowi, że uprzedził ich w zagarnięciu ziemi sochaczewskiej po śmierci księcia Władysława. Krzyżacy również wciągali ich do układów na szkodę króla i Polski, a z drugiej strony starali się pomnażać liczbę malkontentów w Prusach zachodnich. Mniemano też z początku, że i wyprawa Żerotyńskiego była wymierzona przeciw Polsce. Z czasem wszystkie te niebezpieczeństwa znacznie się zmniejszyły. Turcy nie wpadli w granice królestwa. Komorowskiemu, gdy nie chciał dobrowolnie ustąpić z dzierżawionych przez siebie zamków, odebrał je zbrojną ręką Jakób z Dębna. Dla utrzymania rygoru w Prusach król wysłał do Malbarga Piotra Dunina, kasztelana Sieradzkiego, i Jana Białego z tysiącem wojska; zresztą Prusacy bynajmniej nie chcieli pomagać Zakonowi w jego buntowniczych zamiarach i oświadczyli na sejmie malborskim, odbytym 30 czerwca, że jeżeli przyjdzie do wojny, dochowają wierności królowi. Dłużej wahali się książęta mazowieccy, ale koniec końcem nic szkodliwego Polsce nie przedsięwzięli. Tylko Krzyżacy i biskup Tungen trwali po dawnemu w swoich konszachtach z królem węgierskim ¹⁾.

Ponieważ wojna, uchwalona przez sejm pragski, miała głównie dogadzać interesowi publicznemu, przeto nie wszystkie siły zbrojne poświęcono na usługi cesarza. Przygotowano trzy wyprawy: jedną pod dowództwem samego Władysława do Austrii w pomoc cesarzowi, dwie inne pod kierunkiem Jana Towaczowskiego i Henryka Śmirzyckiego dla odzyskania Szląska i Łużyc. Morawy pominięto, stany tego kraju prosiły bowiem Macieja, aby im pozwolił zawrzeć z Czechami, Polską i Austrią pokój aż do stanowczego rozstrzygnięcia sporu o koronę, a za tę łaskę ofiarowały mu bardzo znaczny podatek, na co Maciej przystał ²⁾. Najwcześniej, bo już w miesiącu marcu, wyruszyli Czesi do Austrii, dokąd Władysław, nie mogąc natychmiast udać się osobiście, wyprawił tymczasowo sześciotyśięczny oddział pod Burjanem Gutsztejnem. Pod koniec kwie-

¹⁾ Długosz XIII 555 — 558.

²⁾ Archiv cesky. V. 371

tnia ukazał się Towaczowski w księstwach świdnickiem i jaworskiem, gdzie ludność wiejska i szlachta powitały go, jako wybawcę od ucisku węgierskiego, o którym aby dać wyobrażenie, powiedzmy, że żołnierze Żerotyńskiego porywali dzieci, a gdy nie dostali za nie okupu, mordowali je w oczach rodziców. Tylko mieszczenie, prawie wyłącznie Niemcy lub zniemczeni i dla tego nienawidzący Czechów, sposobili się do oporu. Ale gdy swawolne załogi węgierskie, odebrawszy żołąd zaległy, nie chciały dalej służyć, mieszczenie zmiękło i pospołu ze szlachtą zawarli z Towaczowskim rozejm do dnia 24 sierpnia. Zasluguje na uwagę jeden z warunków tego rozejmu, t. j. że sędzią sporów, jakieby w tym czasie zająć mogły między stronami, uznanym został Władysław. Następnie Towaczowski wypowiedział wojnę Wrocławianom i innym Szlązakom, czem ich tak przeraził, że nie czekając długo, wyprawili do Macieja poselstwo z prośbą, by pozwolił im zawrzeć z przeciwnikami podobny traktat, jaki uzyskali Morawianie. Tyle dokazał Towaczowski z czterotysięcznem wojskiem w ciągu niespełna trzech tygodni i niewątpliwie przywiódłby cały Szląsk do posłuszeństwa Władysławowi, gdyby był dłużej w tym kraju pozostał. Ale Władysław odwołał go ztamąd w połowie maja i kazał iść z sobą na wyprawę austriacką. Nieco oporniej, chociaż z jednakim skutkiem, szły rzeczy Śmirzyckiemu w Górnych Łużycach. I tam podobnie jak na Szląsku, panowie i lud wiejski pragnęli układów ze stronnictwem Władysława, a mieszczenie stawiali opór. Skończyło się na tem, że Łużyczanie, idąc za przykładem Szlązaków, także same, co oni, zanieśli prośby do Macieja. W Czechach nic ważnego nie zaszło. Zwolennicy obu królów chcieli temu krajowi zapewnić neutralność i za wiedzą swoich panów ustanowili co najmniej czterotygodniowe przedłużenie pokoju wrocławskiego. Wbrew tej ugodzie Maciej wysłał część swojego wojska do Czech dla opanowania Kolina, co jednak Węgrom nie udało się; pobici 18 maja pod Kutnohorą, jak prędko byli przyszli, tak również prędko musieli się cofnąć ¹⁾).

¹⁾ Długosz XIII 554—555, 558—559; Eschenloer II 351—356; Archiv cesky V. 373.

O ile powiodło się Władysławowi w granicach własnego państwa, o tyle nie dopisało mu szczęście w Austrii. Cesarz bez skutku walczył z rokoszanami, a pomoc Burjana Gutsztejna nie spowodowała zapewne żadnej zmiany w jego położeniu, gdyż niecierpliwie wyglądał przybycia Władysława z liczniejszymi siłami. Pierwszych dni czerwca nadciągnął wreszcie król z ośmiotysięcznem wojskiem do Wiednia. Cesarz przyjął go z wielką radością i w uroczystym pochodzie wprowadził do stolicy, gdzie Władysław miał sposobność popisania się swoją wymową, odpowiadając tak pięknie na łacińską oracyą rektora uniwersytetu, że wszystkich wprawił w zadziwienie. We wtorek 10 czerwca odbył się w kościele ś. Szczepana akt nadania Władysławowi regaliów. Zatem przez dni kilkanaście bawiono się i ucztowano; cesarz obdarzał swojego gościa kosztownymi upominkami, ten go nawzajem, a miasto Praga zostało wówczas uszczęśliwione herbem cesarskim. Zabrano się wreszcie do czynności wojennych. Na żądanie cesarza część wojska czeskiego ruszyła do Węgier pod Oedenburg, Władysław zaś wziął się do zdobycia Ebersdorfu niedaleko Wiednia. Ale oblężenie tego zamku, o który wojsko cesarskie daremnie się kusiło jeszcze przed nadejściem Burjana Gutsztejna, poszło nader niepomyślnie. Czesi ponieśli wielkie straty w ludziach, przy tem wojsku zabrakło żywności i łożdu, bo obaj monarchowie nie mieli z czego płacić: Władysław roztrwonił pieniądze w Wiedniu, a cesarz wydał wszystko, co miał, i jeszcze pożyczył ogromną sumę od arcybiskupa Beckensloera na podróż swego syna Maksymiljana do Gandawy i na kosztą jego wesela z Maryą burgundzką, której ojciec poległ 5 stycznia tego roku w wojnie z księciem Lotaryngji. Czesi niepłatni zaczęli uciekać do domu, albo co gorsza, do nieprzyjaciela, tak iż przy Władysławie zostało ledwie 3000 wojska. Gdy nakoniec 18 lipca przyszła wiadomość, że Węgrzy w znacznej liczbie ciągną na odsiecz zamku, król zwinął obóz i wrócił do Wiednia. Następstwem tego kroku była kłótnia z cesarzem, który żądał od Władysława, aby dalej prowadził wojnę, a ten znowu, aby cesarz regularnie opłacał wojsko. Po wzajemnych wyrzutach, czasem nie bardzo przyzwoitych, monarchowie rozstali się ze sobą 21 lipca. Gdy wojsko czeskie w odwrocie przebywało most na Dunaju, napadli je Austriacy nie bez wiedzy

cesarza i obdarli ze wszystkiego, co się im podobało mienie swoją własnością, niby po złodziejsku zagrabioną przez Czechów. Za to Czesi nazwali żydami wszystkich Wiedeńczyków w ogóle, a cesarza Fryderyka w szczególności. Ostatniego dnia lipca Władysław był już w Pradze ¹⁾.

Akt 10 czerwca nie uszedł cesarzowi bezkarnie. W listach do papieża, króla polskiego i różnych książąt Maciej bez ogródki oświadczył, że pomści się swojej krzywdy, chociażby miał nawet życie narazić. Już 12 tego miesiąca wypowiedział cesarzowi wojnę, ale nie rozpoczął jej zaraz, chcąc jak najlepiej się przygotować. Aby mu nic nie przeszkadzało, pozwolił Szlązakom i Łużyczanom zawrzeć traktaty pokojowe, o które go byli prosili; przeciwnie w Czechach kazał Bogusławowi Schwambergowi zerwać rozejm, ażeby przez to wywabić posiłki czeskie z Austrii, — zaczęł ruszyć na wyprawę w chwili, kiedy Władysław wynosił się z Wiednia. Cesarz przestraszony zaproponował układy, Maciej niby się zgodził, — i w istocie strony dwukrotnie zawiązywały negocyacje, lecz w obu razach warunki węgierskie były tak twarde, że Fryderyk, jak się sam wyraził, wolałby był raczej z djabłem się układać, aniżeli z pełnomocnikami Macieja. Dosyć powiedzieć, że zażądano od niego niesłychanej sumy 754,000 dukatów, tytułem wynagrodzenia za wszystkie grzechy, jakie popełnił przeciw Maciejowi od roku 1468, i pod tym jedynie warunkiem ofiarowano pokój. Król węgierski, sprzymierzony z panami austriackimi, którzy bardzo znacznem rozporządzali wojskiem, znając przy tem niedolność cesarza, tak dalece nie wątpił o swoim zwycięstwie, że zabrał ze sobą na wojnę matkę i żonę i niby w jakim pochodzie tryumfalnym przewoził je w złożonych karetach z obozu do obozu. Aby dogodzić, jak mówi Długosz, fantazyi Beatryksy, która nigdy jeszcze nie widziała oblężenia, kazał przypuścić szturm do Haimburga. Miasto obroniło się pomimo trzykrotny gwałtowny atak; obronił się również Wiedeń, choć ściśle ze wszech stron opasany; obroniły się wreszcie niektóre inne punkta. Ale daleko więcej miast i zamków poddało się Maciejowi dobrowolnie, bo ludność częścią oburzona była niedołęztwem cesarza, częścią obawiała się w razie oporu okru-

¹⁾ Palacky V. I. 157 — 161.

cieństw nieprzyjaciela, o którym naoczny świadek, i to jeszcze Węgier, mówi, że mu lepiej smakowało mięso ludzkie, aniżeli najprzedniejsza wołowina ¹⁾. Tymczasem Szlązacy i Łużycanie korzystając z pozwolenia Macieja, złożyli 10 sierpnia w Brunowie za pośrednictwem Henryka Podiebradzkiego zjazd z pełnomocnikami Władysława dla zawarcia trwałego pokoju. Pełnomocnicy królewscy domagali się jednak większej rzeczy i odczytali listy swojego pana, oraz cesarza Fryderyka, wzywające krajowców zarówno w imieniu korony czeskiej, jak świętego państwa rzymskiego, do posłuszeństwa Władysławowi, jako jedynie prawemu królowi czeskiemu. Członkowie zjazdu odrzekli, że nie mają na to upoważnienia od swoich ziomków, gdyż przybyli tylko dla układów pokojowych, a do upomnień cesarskich nie mogą przywiązywać wagi, bo co dziś Fryderyk czyni dla Władysława, to samo może niebawem uczynić dla Macieja. Gdyby nie kłopotliwe położenie cesarza w Austrii, pełnomocnicy czescy prawdopodobnie byłiby postawili na swoim, lecz w danych okolicznościach musieli poprzestać na pisemnej obietnicy zgromadzenia brunowskiego, że król dostanie odpowiedź na swoje żądanie, najpóźniej 23 kwietnia przyszłego roku. Zatem i pokój aż do tego dnia został zabezpieczony ²⁾. Mówiąc o zmienności cesarza, zjazd brunowski trafnie przewidział wypadki. Pomimo dzielny opór, tu i owdzie stawiany przez wojska austriackie, przewaga Macieja stawała się coraz widoczniejszą. Zamierzał on, jak się zdaje, podbić Austryę, bo wszędzie kazał mieszkańcom składać sobie przysięgę wierności. Cesarz, nie mogąc zwalczyć nieprzyjaciela własnymi siłami, uciekł się powtórnie do Władysława Jagiellończyka, oraz do króla polskiego. Nie mamy żadnych bliższych wiadomości o ówczesnych rokowaniach jego z obydwoma dworami królewskimi, lecz to pewna, że jego nieszczęśliwe położenie żywo obchodziło Jagiellonów, zwłaszcza, że Maciejowi tak dobrze chodziło o poniżenie cesarza, jak Władysława, a postępowanie stolicy apostolskiej, wiernej aliantki króla węgierskiego, nie pozwalało wcale wątpić, iż gotowa była popierać najwygóro-

¹⁾ Długosz XIII. 560—561; Chmel II. 110—115; Palacky V. I. 161.

²⁾ Eschenloer II. 360—363.

wańsze jego żądania. Legat papieski Baltazar Piscia, który jeszcze w miesiącu maju straszył króla polskiego kłutwą, w razie, gdyby się poważył wydać wojnę Maciejowi, po udzieleniu Władysławowi regaliów pogroził tą samą karą Czechom, jeżeli nie uznają swym panem Macieja. I papież niezadługo wystosował do nich dwie bulle w tym samym duchu, a cesarzowi oświadczył, że akt, dokonany przez niego w Wiedniu, jest nieważnym i że stolica apostolska tylko Macieja uznaje prawowitym królem czeskim. Pisma papieskie, którym Maciej nie omieszkiał jak najszybciej użyć rozgłosu w Czechach i krajach sąsiednich, w wysokim stopniu rozjątrzyły Jagiellońców, cesarza i wszystkich stronników Władysława. Kazimierz Jagiellończyk, gdy nie mógł posiłkami zbrojnymi, chciał przynajmniej pieniędzmi wesprzeć cesarza, i ofiarował mu przez Andrzeja Różę, proboszcza łęczyckiego, 10,000 złotych; z drugiej strony Władysław znowu powoływał Czechów pod broń dla udzielenia cesarzowi pomocy, i nie chciał przystać na jakąś ugodę, którą zapośredniczył był Schwamberg pod warunkiem, aby cesarz do niej nie należał. Ale to już na nic się nie zdało. Fryderyk, znękany klęskami, wdał się z Maciejem w układy — mówiąc nawiasem, nie przyjął z tego powodu od Kazimierza zasiłku pieniężnego — i po długich rokowaniach, które szczególnie utrudniał stosunek jego do malkontentów austriackich, zawarł 1 grudnia pokój, naturalnie taki, jaki podobało się podyktować zwycięzcy. Mianowicie zrzekł się tytułu króla węgierskiego, za miasta i zamki, pobrane w Austrii przez Macieja, obowiązując się zapłacić 180,000 złotych, wszedł z nim w przymierze przeciw wszystkim nieprzyjaciołom, z wyjątkiem papieża i króla neapolitańskiego, nareszcie uznał go królem czeskim i elektorem Rzeszy. Ostatni ten warunek był podobno najważniejszym, bo już następnego dnia cesarz oznajmił wszystkim poddanym korony czeskiej, że nie Władysława Jagiellończyka, lecz Macieja Korwina powinni odtąd słuchać ¹⁾.

¹⁾ Długosz XIII. 561—562; Eschenloer II. 367—372; Archiv cesky VI. 155—156; Katona XVI, 126—133; Voigt IX. 99.

Układ z cesarzem, bulle papieżkie, pogrożki legata, do których Maciej dodawał inne od siebie, nareszcie sposób wojowania w Czechach, na tem polegający, aby już to przemocą, już podstępem zdobyć jak najwięcej punktów obronnych, a przez to w końcu cały kraj opanować — wszystko to jak niewymowniej świadczy, że Maciej dążył do strącenia Władysława z tronu. Lecz ku wielkiemu jego zmartwieniu pokazało się wkrótce, że zamiar ten był niewykonalny, gdyż rozmiął się z życzeniami jego własnej partyi. Już od czasu elekcji kutnohorskiej wielu katolików przestało myśleć o wprowadzeniu na tron Macieja, kilkoletnie rządy zaś Władysława uspiły w nich do reszty skrupuły religijne, bo chociaż Władysław tolerował husytów, którym głównie zawdzięczał koronę, wychowany jednak przez tak żarliwego katolika, jakim był Długosz, zawsze dawał niewątpliwe dowody przywiązania swego do Kościoła rzymskiego i nie tylko w prywatnem, ale i w publicznem życiu często kosztem odszczepieńców popierał swoich spółwyznawców. Wprawdzie nie wystarczało to stolicy apostolskiej, która ciągle domagała się całkowitego wypłnienia herezyi, nie wystarczało również mieszczaństwu Szląska, Łużyc i niektórych miast czeskich i morawskich, wskutek czego te kraje i miasta trzymały z Maciejem, jako z uprzywilejowanym niby obrońcą katolicyzmu. Ale materyalnie i moralnie znękanе zbyt długą wojną, nie mogły i nie chciały się poświęcać dla dogodzenia jego ambicyi. A już wcale nie grzeszyli ofiarnością naczelnicy jego stronnictwa — możni panowie, którym bynajmniej nie trafiał do smaku despotyczny charakter Macieja. Nie wypada ich posądzać, jak czyni nasz Makjavel, Kallimach w jednym ze swoich listów do podkanclerzego Zbigniewa Oleśnickiego, że pragnęli przedłużenia w kraju zamieszek, podczas których dorobili się byli decydującego wpływu na sprawy publiczne ¹⁾. Przeciwnie chcieli w pokoju korzystać z uzyskanych zdobyczy, a ponieważ pewni byli, że nie utracą ich pod rządami słabego Władysława, przeto gorąco sobie życzyli, by monarchowie już na prawdę się pojednali.

Nie wiele mamy wiadomości o przebiegu ówczesnej wojny w Czechach; to jednak pewna, że nie całkiem szła po myśli

¹⁾ Acta Tomiciana t. I. appendix str. 10—14.

Macieja, bo panowie nie zawsze wykonywali jego rozkazy. Szczególnie stawał mu na zawadzie Bogusław Schwamberg, pomimo, że po śmierci Zdenka Sternberga, Maciej zamianował go swoim namiestnikiem w Czechach. Pierwszych dni stycznia 1478 Maciej pisał do niego, jak następuje: „Co do zjazdu ze stronnictwem nieprzyjacielskiem, wiedz, żeśmy w tej sprawie powzięli stałe postanowienie i dla tego przyzwolenia naszego dać nie możemy, i ty swojego nie dawaj. Co do uwagi twojej, żeśmy nie powinni byli przyspieszać wojny w Czechach, wiedz, że nic lekkomyślnie nie poczynamy.“ Ale namiestnik tak mało się stosował do woli swojego króla, iż ten odważył się w końcu na krok, wobec popularności Schwamberga wielce ryzykowny — mianowicie kazał go podstępnie przyaresztować i wytrzymawszy czas jakiś w Szpilbergu, odesłać do Węgier. Uwięzienie Schwamberga rozjątrzyło umysły, tak iż niemal wszyscy członkowie byłego związku panów chcieli, jak powiadano, otwarcie przejść na stronę Władysława ¹⁾. Przybył też Maciejowi jeszcze inny kłopot. Wesele z Beatryksą i wojna z cesarzem wyczerpały jego szkatułę, a wojsko, jak na złość, tak groźnie zaczęło się upominać o zaległą zapłatę, że zachodziła obawa jawnego buntu ²⁾. Z tego stanu rzeczy skorzystał Ścibor Towaczowski, aby przywieść do skutku stanowczy układ między Maciejem a Władysławem. Rola pośrednika dobrze licowała ze stanowiskiem Ścibora, który od trzech lat sprawował namiestnictwo w Morawach z ramienia obu królów. Za jego tedy staraniem otworzył się w Bernie 15 marca zjazd, na który w imieniu Władysława przybyli książę Henryk Podiebradzki, Jan brat Ścibora Towaczowskiego, Jan Schellenberg, Bieniasz Weitmil, Jan Rupowski i Piotr Kduliniec, w imieniu Macieja zaś Jan Filipiec, biskup waradyński, Stefan Zapolya, namiestnik Śląska i Łużyc, biskupi Rudolf wrocławski i Protazy ołomuniecki, książę Henryk Podiebradzki i Wacław Czarnohorski. Pełnomocnicy ci nadspodziewanie prędko uwinęli się z robotą, bo już 24 marca podpisali traktat pokojowy, którego warunki zbliżone były do tych, jakie przed trzema laty podawał sejm pragski, lecz o wiele gorsze dla Czechów. Przyznano Włady-

¹⁾ Palacky V. I. 171—173.

²⁾ Acta Tomiciani I. appendix 10—14.

sławowi tytuł dziedzicznego króla czeskiego, Maciejowi zaś i jego następcom zapisano 400,000 dukatów na Morawach, Szląsku i Łużycach, które to kraje miały pozostać przy koronie węgierskiej, aż do spłacenia sumy zastawnej. Co do biskupa ołomuńskiego i marszałka koronnego czeskiego, uczyniono zuane już nam zastrzeżenie. Pozwolono Maciejowi pisać się królem czeskim, ale Władysław nie był obowiązany dawać mu tego tytułu, przeciwnie Maciej nie powinien był odmawiać go Władysławowi. Celem ściślejszego zaprzyjaźnienia się, obaj królowie mieli się zjechać z sobą 24 czerwca w Morawach, między Ołomuńcem a Nowem miastem i wspólnie coś uradzić dla przywrócenia narodowi czeskiemu łaski papieża, obsadzenia arcybiskupstwa pragskiego i zdjęcia klątwy kościelnej z żywych i umarłych. Władysław przystał bez zwłoki na wszystkie punkta ugody, którą pełnomocnicy węgierscy obwieścili w Pradze 6 kwietnia. Cieszono się też powszechnie ze zawarcia stałego pokoju: we Wrocławiu, Świdnicy i innych miastach szląskich obchodzono wesołą nowinę uroczystościami kościelnymi, paleniem ogniów sztucznych, żywieniem ubogich i tym podobnemi oznakami radości, a we wszystkich krajach koronnych zaczęto zbierać składki na sumę zastawną, aby co prędzej wyostać się z pod rządów Macieja ¹⁾. Tymczasem zaszły wypadki, które w królu węgierskim na nowo zapaliły żądzę wojny. Wódz jego Jan Plankner zadał Burjanowi Gutsztejnowi w pobliżu Chocieszowa nader dotkliwą klęskę: czterystu Czechów padło trupem, ośmuset dostało się do niewoli, między tymi ostatnimi czterech panów i szesnastu ze stanu rycerskiego. Stało się to w dniu zawarcia traktatu berneńskiego, tak iż Maciej jednocześnie otrzymał w Budzie wiadomość o pokoju i o zwycięstwie Planknera. W dodatku pełnomocników węgierskich spotkała wielka nieprzyjemność w Pradze: podczas pewnej procesyi orszak ich nie oddał czci sakramentowi, niesionemu przez husyckiego kapłana; rozjuszyło to lud, który rzucił się na Węgrów, a podszczuwany przez swoje duchowieństwo, byłby ich wszystkich pozabijał, gdyby Hynek Podiebradzki z częścią mieszczaństwa nie był przybiegł ku ich obronie. Włady-

¹⁾ Długosz XIII. 566—567; Eschenloer II. 373—382; Archiv cesky IV. 481—487; Palacky V. I. 174—177.

sław ukarał więzieniem księży husyckich, winnych rozruchu, a pełnomocników węgierskich przejednał podarunkami. Lecz Maciej wziął do serca tę awanturę, która w połączeniu z bitwą chocieszowską sprawiła, iż postanowił odrzucić traktat berneński, do czego namawiał go także biskup Gabryel Rongoni, oburzony zaprojektowanym w traktacie kompromisem religijnym. Napróżno biskup wrocławski przedsięwziął na prośby swoich dycieczyan podróż do Budy, ażeby odwieść Macieja od wojny. Król szorstko odpowiedział, iż wie, że Wrocławianom nie podobają się jego rządy, ale on swoich praw, drogo nabytych, nie odstąpi, zwłaszcza bez pozwolenia papieża. Na nowo zatem rozpoczęła się wojna, która jednak nie długo trwała. Już w początkach czerwca stanął między stronami rozejm do ś. Jakóba, przedłużony następnie do dnia ś. Michała ¹⁾. Przez cały ten czas nie ustawały rokowania pokojowe, i Bieniasz Weitmil dwa razy jeździł w poselstwie od Władysława do Macieja. Przed drugą podróżą swoją do Budy w miesiącu sierpniu donosił Bogusławowi Schwambergowi, że Maciej przystał w zasadzie na ugodę berneńską, lecz żąda, aby go uznawano podobnie jak Władysława królem czeskim, oraz nie wykupywano za jego życia ziem, mających pójść w zastaw. Mógłby był Władysław oprzeć się temu żądaniu, korzystając z kłopotów swojego rywala, który właśnie w tym czasie znowu miał do czynienia z Turkami, a ponieważ nie przestał opiekować się Janem sagańskim, owym przywłaszczycielem księstwa głogowskiego, przeto uwikłał się jeszcze w wojnę z Albrechtem, margrabią brandenburskim ²⁾. Ale Władysław nie umiał chodzić około swoich interesów. Odnowiono więc w Budzie 30 września traktat berneński ze zmianami, jakich żądał król węgierski, i z dodatkiem, że gdyby Czesi po bezpotomnej śmierci Władysława obrali swym panem Macieja, albo którego z jego następców, a coby wybór przyjęli, wówczas po dokonanej koronacji kraje, oderwane od monarchii czeskiej, miały wrócić do niej bez żadnego wynagrodzenia. Zjazd królów zapowiedziano na najbliższe święto Oczyszczenia Matki Boskiej. Lecz kiedy pełnomocnicy ich przybyli 25 listopada

¹⁾ Długosz XIII 568—569; Eschenloer II 383—384.

²⁾ Palacky V. I. 195.

do Ołomuńca dla uroczystego ogłoszenia pokoju, uznali ów termin za krótki i przedłużyli go do 18 marca, a przewidując, że i w tym dniu mógłby zjazd nie przyjść do skutku, odroczyli takowy najpóźniej do dnia 2 maja ¹⁾.

Powodem tego odkładania były zatargi Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem. Chociaż w ostatnich latach dwór polski nie brał czynnego udziału w sprawie czeskiej, to jednak i w Czechach i w Węgrzech bardzo dobrze wiedziano, że bez jego wiedzy i przyzwolenia nie da się utrwalić pokój między temi państwami. Dla tego właśnie przy zawieraniu ugody w Bernie, a potem w Budzie obie strony paktujące wyraziły życzenie, ażeby na zjazd Macieja z Władysławem przybył także Kazimierz, albo przynajmniej przysłał swoich pełnomocników dla uchylenia rozterek między Węgry a Polską. Lecz aby to życzenie mogło się spełnić, trzeba było, ażeby Maciej dał bodaj zlekka do zrozumienia, iż zaniecha swoich stosunków z Krzyżakami i biskupem Tungenem. Nierychło jednak do tego przyszło. Nowy mistrz Zakonu Marcin Truchsess, obrany 4 sierpnia 1477, postanowił dokonać dzieła, które śmierć na samym wstępie przerwała jego poprzednikowi Richtenbergowi. On to wspólnie z Janem biskupem sambijskim przywiódł do skutku przymierze między Zakonem a Maciejem, następnie zaś posłował do papieża ze skargami na króla polskiego, które, jak wnet zobaczymy, nie chybiły celu. Ufny w pomoc króla węgierskiego i Stolicy Apostolskiej, zaraz po swoim obiorze zaczął namawiać Gdańszczan do buntu, nawet znosił się z Litwinami, żądając od nich, aby w razie wojny przynajmniej nie posiłkowali króla. Do wojny atoli nie przyszło w tym roku z powodu, że Maciej, zatrudniony jednocześnie walką w Austrii i w Czechach, nie mógł posłać wojska do Prus. Ale skoro zwycięzko rozprawił się z cesarzem, mistrz na dobre uwierzył w rychłe wyzwolenie Zakonu z pod zwierzchnictwa korony polskiej i nie przyjechał w styczniu 1478 na sejm piotrkowski, na który Kazimierz Jagiellończyk wzywał go dla złożenia hołdu, nawet nie raczył wytłómaczyć się ze swojej nieobecności. Natomiast bardzo dobitnie przemówił we Wrocławiu legat Piscia, który 15 tego miesiąca wykłął obu Ja-

¹⁾ Eschenloer II. 388—400, Archiv cesky IV. 488—495.

giellonów — Władysława, jako niby heretyka, Kazimierza, jako opiekuna heretyków, a we cztery dni później uwolnił Zakon krzyżacki od posłuszeństwa królowi polskiemu. Tungen znowu otrzymał jakieś pomyślne wiadomości od Macieja i kazał wszędzie śpiewać *Te Deum*. W Polsce uważano postępek legata po prostu za wybryk szaleństwa, a król chcąc pokazać, jak mało przywiązuje wagi do klątwy, wyprawił do Rzymu posła, któremu polecił, aby prosząc o ukaranie legata, zażądał oraz od papieża przestrzegania uchwał bazylejskich, dotyczących nominacyj kościelnych i rozdawnictwa beneficjów. Na Truchsessa nie przestał nalegać o wykonanie hołdu, ale rozumie się, bezskutecznie, bo mistrz zasłaniał się wolą papieża. Rozpoczęły się więc w Polsce i w Prusach Zakonnych przygotowania wojenne, z którymi jednak Kazimierz Jagiellończyk daleko mniej się spieszył, aniżeli mistrz, a co szczególniejsza, groził niemi raczej Tungenowi, jak Truchsessowi, oczywiście mniemając, że byle pokonał krnąbrnego biskupa, łatwo z drugim trafi do końca. Nawet gdy mistrz podstępnie opanował Brodnicę i Chełmno, król zamiast wojować z nim wyprawił do Węgier Stanisława Wątróbkę z poleceniem, aby odciągnął Macieja od mieszania się w sprawy pruskie. Było to już po zerwaniu traktatu berneńskiego, w chwili kiedy między Pragą a Budą toczyły się nowe rokowania pokojowe. Maciej dał dwuznaczną odpowiedź, że pomyśli o stósownym sposobie pojednania króla polskiego z Zakonem. Tymczasem mistrz powziął zamiar zdobycia Sztumu i Malbarga i rozłożył się obozem pod Osterodą w oczekiwaniu posiłków węgierskich, na które tem pewniej rachował, że ówczesna wojna Macieja z margrabią brandenburskim zakrawała poniekąd na wojnę z Kazimierzem Jagiellończykiem, margrabia bowiem był ściśle zaprzyjaźniony z królem polskim i wkrótce z nim się spowinowacił przez ożenienie swojego syna Fryderyka z królewną Zofią. W istocie Jan sagański, sprawca tej wojny, i przysłany mu w pomoc od Macieja Jan Zielony mieli rozkaz wtargnięcia do Prus. Ale pomieśzał im szyki margrabia Albrecht, który jeszcze przed nadejściem Zielonego zadał Janowi sagańskiemu ciężką klęskę pod Krosnem. Wskutek tego mistrz zwinął swój obóz pod Osterodą, niebawem jednak znowu się wziął do broni wspólnie z Tungenem. Król nie mógł dłużej ociągać się z poskro-

mieniem buntowników i w miesiącu wrześniu wyprowadził przeciwko nim Jana Białego i Jana Żelezińskiego. Ale zawsze czyniąc różnicę między winowajcami, kazał oszczędzać mistrza, a wszystkie usiłowania zwrócić przeciw Tungenowi. Jakoż Polacy tylko przeszli przez posiadłości zakonne około Nejedburga, teatrem wojny zaś stała się Warmja, gdzie dowódcy królewscy mieli do czynienia prawie wyłącznie z Tungenem, bo wojsko mistrza, po większej części zrekrutowane z chłopów, prędko poszło w rozsypkę. Nie powiodło się też biskupowi. Polacy zdobyli Frauenburg, Kwidzyn i niektóre inne miasta, inne znowu poddały się dobrowolnie. Prawdopodobnie zatarg pruski byłby się niezadługo skończył upokorzeniem przeciwników królewskich, gdyby nie groźby Macieja, albo raczej ławowierność polska, która groźnemi pozorami dała się zastraszyć. Kazimierz Jagiellończyk skłonniejszy do pokoju, niż do wojny, chcąc spróbować owego stósownego sposobu, który Maciej wynaleźć miał na rozruchy pruskie, wysłał do Węgier Długosza i Stanisława Marszałkowicza. Rzeczywiście znalazł się sposób, ale bardzo nie miły posłom, którzy jednak przystali nań, dowiedziawszy się, że Maciej uzbroidł cztery wojska przeciw Polsce pod dowództwem Wiktoryna Podiebradzkiego, Jana Bielika, Jana Żerotyńskiego i Tomasza Tarczy, piąte zaś pod Janem Zielonym, wojujące wówczas z Brandenburczykami, miało wkroczyć do Prus. Ażeby więc odwrócić najazd węgierski, posłowie zawarli z Maciejem 21 listopada ugodę w Wyszogrodzie, wedle której miał nastać w Prusach rozejm aż do 2 lutego roku przyszłego. Król polski powinien był wyprowadzić swoje wojsko z Warmii z wyjątkiem załog, wystarczających do strzeżenia zamków, które orężem zostały zdobyte, — te bowiem, które dobrowolnie poddały się Polakom, miały być zwrócone Tungenowi, — a dla ostatecznego załatwienia sprawy pruskiej miał król polski przyjechać 2 lutego na zapowiadany już zjazd swojego syna z królem węgierskim ¹⁾).

Gniewał się Kazimierz Jagiellończyk na swoich posłów i tylko częściowo uczynił zadość warunkom wyszogrodzkim, to jest nie napastował Truchsess, ale Tungenowi ani jednego zam-

¹⁾ Długosz XIII 557, 564, 569—574; Esehenloer II. 386; Voigt IX, 102—113.

ku nie oddał i umyślnie zwlekał obwieszczenie rozejmu w Warmii. Pomimo to Maciej nie wykonał swoich pogroźek i owe cztery wojska, których tak bardzo się przelekli posłowie polscy, schowały się gdzieś tak, iż nie było o nich słyhać, a Jan Zielony miał dosyć kłopotu z margrabią brandenburskim. Dopóki Maciejowi zdawało się, że potrafi zdetronizować Władysława Jagiellończyka, dopóty zatarg pruski był mu na rękę, bo kępował czynność dworu polskiego w Czechach; ale w chwili zawarcia traktatu wrześniowego w Budzie, nad który niepodobieństwem było coś więcej uzyskać, zatarg ten chyba o tyle mu dogadzał, o ile w ogólności szkodził interesom Polski, a szczęśliwym jakimś dla Zakonu trafem mógłby ją narazić na utratę Prus. Jednakże na to wcale się nie zanościło; Zakon był za słaby, iżby zdołał kiedykolwiek własnymi siłami odzyskać utracone kraje; musiałyby mu przyjść w pomoc jakaś bardzo potężna koalicja. Ponieważ zaś rachuby Macieja tak daleko nie sięgały, przeto dalsze podsycanie zamieszek pruskich nie było dlań korzystnem, owszem, ze względu na nieodbiją konieczność utrwalenia zgody z synem Kazimierza Jagiellończyka stawało się nawet szkodliwem. Zdaje się, że i król polski z tego punktu zaczął oceniać stosunki Macieja z Truchsessem i Tungenem, bo nie zważał wcale na jego protestacye o złamanie ugody wyszogrodzkiej. Widząc, że Kazimierz nie wybiera się na zjazd lutowy, a wojna w Warmii nie ustaje, Maciej wyprawił do niego w styczniu 1479 r. Jarosława Czarnohorskiego z upomnieniem, aby dał pokój Tungenowi, i z prośbą, aby przyjechał na zjazd w miesiącu maju. Kazimierz odpowiedział, że przyjedzie, jeżeli to uzna za potrzebne; od wojny jednak nie wstrzymał się, a skoro upłynął termin owego nie przestrzeganego wcale rozejmu wyszogrodzkiego, posłał przeciw Tungenowi świeże wojsko, które w krótkim czasie opanowało całą Warmię z wyjątkiem Heilsberga. Dopiero przycisnąwszy w ten sposób biskupa, i kiedy Maciej ze swojej strony zaczął występować raczej jako pośrednik, niż jako obrońca buntowników, Kazimierz Jagiellończyk uwzględnił jego nalegania. Dnia 2 kwietnia posłowie polscy: Rafał z Jarosławia marszałek koronny, Paweł Jasiński i Andrzej Róża, zawarli z Maciejem w Budzie umowę tej treści, że pełnomocnicy obu monarchów odbędą na Zielone Świątki zjazd w Sieradzu, na który mistrz

krzyżacki i biskup Tungen osobiście przybyć powinni; mistrz wykona hołd, przepisany traktatem toruńskim, a król odpuści mu winę; Tungen dostanie biskupstwa chełmińskie i pomezzańskie, świeżo opróżnione po śmierci Wincentego Kiełbasy, albo też jeżeli zapragnie utrzymać się na stolicy warmińskiej, zapłaci królowi kosztu wojny. Umowa ta przeraziła buntowników. Widząc się opuszczonymi od Macieja, nie mając również pomocy od swoich, gdyż nietylko obywatele ziem zakonnych, ale i Warmijczycy wyraźnie oświadczyli, że wojować z Polakami nie będą, — uradzili, że trzeba poddać się konieczności i w oznaczonym terminie przyjechali do Sieradza. Przez parę tygodni czekali na pełnomocników węgierskich, lecz kiedy ci nie stawili się prawdopodobnie dlatego, że Maciej zajęty był częścią sprawami tureckimi, częścią przygotowaniami do zjazdu z Władysławem, udali się w połowie czerwca do Piotrkowa, gdzie zastali Kazimierza Jagiellończyka w licznie otoczeniu senatorów. Długo się ciągnęły układy, aż wreszcie Tungen, przekonany, że na Macieja nie było co liczyć, przeprosił króla i został przypuszczony do biskupstwa warmińskiego. Ale mistrz nie ukorzył się jeszcze, powziąwszy jakąś otuchę z nieobecności pełnomocników węgierskich, oraz ztąd, że Maciej prosił Kazimierza o dalszą zwłokę w załatwieniu sprawy pruskiej. Kazimierz przystał i wyznaczył nowy zjazd w Sieradzu na 24 sierpnia. Lecz i ten zjazd nie przyszedł do skutku z powodu opóźnienia się posłów węgierskich Stefana Zapolyi i Wacława Czarnohorskiego, którzy przybyli dopiero 2go października do Korczyna. Wszakże mistrz nic na tem nie zyskał. Węgrzy powiedzieli mu kategorycznie, że nie powinien żadnej pomocy spodziewać się od Macieja, a tak choć przysięgał, że raczej skórę z siebie pozwoli zedrzeć, aniżeli wykona hołd, musiał go nareszcie wykonać. Wkrótce potem akt przymierza Zakonu z królem węgierskim został wydany w ręce Rudolfa biskupa wrocławskiego i zniszczony w obecności notaryusza polskiego ¹⁾.

Ponieważ sprawa pruska była powodem, że zjazd Macieja z Władysławem Jagiellończykiem nie doszedł ani w lu-

¹⁾ Długosz XIII, 574—575, 577—581, 583—586; Dogiel I. 77—79; Voigt IX. 114—121.

tym, ani nawet w maju, postanowiono odłączyć ją od sprawy czeskiej, poczem ów zjazd odbył się w Ołomuńcu i potrwał od 9go do 30go lipca. Był on bardzo świetny i liczny; Maciej przybył z ogromnym dworem w towarzystwie żony i brata jej Franciszka; orszak Władysława składał się blisko z paru tysięcy osób; przyjechali nadto dwaj książęta bawarscy Otto i Krzysztof, Albrecht książę saski, wielu książąt szląskich i mnóstwo panów duchownych i świeckich z Węgier, Czech i Niemiec, tak iż znaczna liczba ich musiała się rozkwatować za miastem. Maciej, jako gospodarz, nie szczędził starań, aby goście jak najpochlebniejsze powzieli wyobrażenie o jego uprzejmości; nie było też końca kosztownym biesiadam, turniejom, tańcom, koncertom włoskim i wszelkim widowiskom; zakochany w Macieju Eschenloer powiada, że nikt jeszcze nie widział nic wspanialszego nad zjazd ołomuniecki, a choć wszyscy na jak największą sadzili się okazałość, Maciej wszystkich prześcignął, bo takich bogactw, jakie on wówczas wystawił na widok, nie miał ani Xerxes, ani Aleksander Wielki, ani żaden zgoła monarcha ziemski. Samo urządzenie gospody dla Władysława oceniano na 20.000 złotych, a przy pożegnaniu Maciej darował mu całe to kosztowne umeblowanie, nie licząc mnóstwa innych upominków. Obrady zjazdu zabrały mniej czasu aniżeli zabawy. Królowie potwierdzili przeszłoroczny traktat budziński, a dla załatwienia sprawy religijnej w Czechach i Morawach postanowili wyprawić do papieża osobne poselstwo; tymczasem legat Piscia uchylił na ich żądanie, ale ma się rozumieć, tylko prowizorycznie i z rozmaitemi zastrzeżeniami, wszystkie exkomuniki i cenzury kościelne, rzucone na te kraje jeszcze przez papieża Pawła II. Wreszcie odnowione zostały dawniejsze związki przyjaźni między królestwami czeskiem i węgierskiem ¹⁾.

Skończył się zatem przeszło dziesięcioletni spór o koronę czeską, który tyle krwi i pieniędzy kosztował trzy sąsiednie narody, a warto się spytać, komu wyszedł na dobre? Odpowiedź na to w jednym słowie da się zamknąć: nikomu! Czesi okupili pokój ciężkiem poniżeniem swojej godności na-

¹⁾ Długosz XIII. 583; Eschenloer II. 400 — 402; Katona XVI. 200 — 214.

rodowej i ogromną stratą materyalną, gdyż prawie dwie trzecie części monarchii przeszły pod obce panowanie. Maciej, chociaż nabył trzy prowincye, których dochodami aż do końca życia mógł zasilać swój skarb, nie dopiął jednak właściwego celu długoletniej wojny — nie uzyskał korony. A czy ów dożyłotni nabytek i tytuł króla czeskiego mogły uchodzić za zrównoważenie strat, jakie Węgrzy ponieśli od Turków, którym Maciej, że tak powiemy, samochcąc otworzył wrota do swojego państwa, goniąc za cudzem? Najgorzej wszakże na tej oplakanej wojnie wyszła Stolica Apostolska, która wywołała ją z religijnych pobudek. Husytyzm, zamknięty w obrębie kompaktatów bazylejskich, nie groził Kościołowi katolickiemu niebezpieczeństwem, gdyż, jak powiedzieliśmy już, musiałyby z czasem umrzeć na brak żywotności, w najpomyślniejszych zaś dla siebie okolicznościach mogłyby istnieć chyba, jak istniała później w krajach ruskich unia, tj. jako modyfikacya czysto obrzędowa. Ale skoro Stolica Apostolska wyrzuciła go ze społeczności katolickiej przez uchylene kompaktatów, husytyzm wrócił na tory, jakimi zwykło chodzić różnowierstwo przesładowane — na nowo zabrnął w radykalizm, wydając z siebie sektę Braci Czeskich, która w wieku XVI ułatwiła wstęp do Czech nowatorstwu niemieckiemu. Zdawałoby się, że Polska sama, jeżeli odliczymy dwie niefortunne wyprawy, węgierską i szląską, nie przypłaciła żadną klęską dynastycznych widowisk swojego króla, że zresztą wyprawy te sownie nagrodził blask, jakim zajaśniał dom Jagielloński, gdy po śmierci Macieja Władysław zaczął panować nietylko w Czechach, przywróconych do swojej całości, lecz i w krajach korony węgierskiej, tak iż nie było podówczas w Europie dynastji, któraby rozleglejszemi władała państwami. Ale blask ten był bez pożytku tak dla Jagiellonów, jak dla Polski. Władysław, *Rex bene*, jak sztydząc, nazywali go Węgrzy, za mało miał rozumu i energii, ażeby poprzeć skutecznie zamiary swoich braci Jana Olbrachta i Zygmunta starego, którzy usiłowali niejako zespolić interesa trzech państw i nadać im pewien jednolity kierunek w sprawach polityki zagranicznej. Co gorsza, panowanie tego króla w Czechach i Węgrzech nawet zaszkodziło Polsce, dzięki bowiem jego niedołęstwu, możnowładztwo rodów szlacheckich urosło w tych krajach w ogromną siłę, a chociaż

i w Polsce nie brakło gruntu pod ten zgubny zasiew, to jednak obcy przykład znacznie dopomógł spiesznieszemu jego wzrostowi. Byłoby rzeczą wielce ciekawą i dla poznania naszej przeszłości nader korzystną, bliżej zbadać pod tym względem stosunki Polski z Węgrami i Czechami.

DODATKI.

I.

Oratio dominorum Polonorum ad dominos Bohemos facta per legationem domini Dobeslai Lubelczyk de Kurozwęk pro electione serenissimi principis Wladislai primogeniti Kazimiri regis Poloniae in regem Bohemiae in Cuthna civitate perorata.

Si quantum jure, tantumdem autoritate apud vos, proceres, hodierno die valeremus, nihil profecto vereremur, quin ante solis occasum Wladislaum, nostri regis filium et Ladislai, vestri nepotem, Bohemiae regem declaratum haberetis. Neque si eandem constantiam, iudicium et aequitatem, quam in ceteris rebus retinere soletis, nunc, ubi plurimum opus est, servaveritis, non prorsus ambigimus, quin et vos publicae salutis et nos voti compotes dudum efficiamur. Veteres amicitias, necessitudines et officia a majoribus mutuo instituta, item consimiles mores, linguae similitudinem ac gentis utriusque cognitionem, quis fortasse memorabit, ut orationis ambitum imbellicem causam et per se parum subsistentem obfirmare videatur? Contra nobis ipsi brevitatem indiximus, partim ne eodem quo ceteri fastidio afficeremus, partim quia justitiae et integritati vestrae non diffidimus. Regna, proceres, etsi quandoque armis comparantur et jure belli raro retinentur, divina tamen voluntate et haereditario vel quovis alio jure, ut plurimum quum successorum nullus erit, dispensari solent. In po-

testate Dei sunt omnium jura regnorum. Si Dei nutum quaerimus, consulta oracula, captata auspicia, quaesita astra, edita signa et multa alia publicaue vota Wladislaum Bohemiae regem esse jubent. Si jus aequum et fas inter mortales servandum est, quis negarit Bohemiae regnum, quod per tot avos proavosque Ladislai fuerat immatura morte surrepti, ad nepotem pertinere? Quis nepoti, decedente sine sobole avunculo, quis sorori, abeunte fratre, haereditatem legitimam abstulerit? Quis posteritati jus majorum abnegarit? Si lege hic vivitur, si religio retinetur, si jus divinum et humanum in humanis adhuc pectoribus versatur, nemo quidem reperiri potest adeo rationis expers, qui Wladislaum jure eligendum esse non censuerit. Quum Sigismundi et Alberti regis temporibus novitatis gratia Bohemia fluctuabat, num a Poloniae rege non solum auxilia, sed regem quoque petiistis? Si iniquo id tempore factum est, quid aequo tempore, jubente lege, imperante jure, cohaerente religione facietis? Nimirum nemo sapiens, nisi qui praeceps vesania feratur, et avunculi nepotem haereditate privaverit? Nihil unquam et in rebus quam maxime arduis invito nomine ac infesto divino humanoque jure faciendum. In his primum divina voluntas, deinde justum et fas considerandum. Proinde justitia duce ac prudentia comite vestris nunc rebus, procures, quaeso, consulite. Si quis humilitatem generis objecerit, quid est quod non, priusquam objiciatur suapte natura confutetur? Recensete paternum genus et faustos Wladislaos et Casimiros considerate. Si maternum, connumerate longo ordine reges ac divos augustos. Pientissima Wladislai parens e paterno genere Romanorum imperatores inter majorum stemmata numerabit. Qui majorem hac nobilitatem quaesierit, in obscuritatem incidat oportet. Verum enimvero parum prosapia et haereditarium jus omne valeret, si rex aut improbus, aut parum idoneus in medium adduceretur. Regum filii, qui publice semper educantur, haudquaquam in obscuro latere debent et per quam maxime qui super aetatem agunt. Non erubescimus, Boëmi, nostra laudare; quin cuique licet, quum de fortuna et dignitate agitur, propria sine rubore commendare. Omnis namque taciturnitas improbatur et laus propria toleratur, quum silentium detrimento fuerit et pudor hominem honore debito defraudarit. Quis igitur Wladislaum re-

gno dignum non censuerit? Quis ad imperandum tantum natum non esse judicavit? Quis haereditario regno fraudandum existimavit? Num prohibet hoc genus? Tot regum nepotem, tot imperatorum pronepotem et nunc tanti regis filium. Num fausta et generosa indoles? Num adolescentia tot artibus et sanctissimis disciplinis exulta? A teneris annis domi militiaeque praeesse didicit. Prima intempestive rudimenta imbibit. Timorem Dei, religionem, pietatem, misericordiam a sanctissima parente una cum lacte suxit. Materno primum gremio elapsus, non duce paedagogo, sed instinctu suo literarios ludos irrepsit, ab ineunte pueritia Cracoviae sophistas, philosophos, poëtas adivit, frequentavit dialecticorum scholas et philosophando disputandoque corpus simul et animum adauxit. Quidquid hinc temporis superest, rebus divinis ac bellicis artibus impenditur. Vitae sanctimonia et divina oratione sacerdotem quemque Deo deditissimum exsuperat. Ingenita tantum virginitate praepollet, ut praepotentissimae hujus virtutis numine supra aetatem et vivere et sapere videatur. Tempus otii et recreationis studia Martis usurpant. A magistris disciplinae militariæ aditur, qui in hippodromo decurrere, ex equo pedibusne certare, punctim caesimque ferire, aciem instruere, exercitum ductare, aut quavis arte hostem vincere doceant. Corpus magnitudinem et ingentes vires pollicetur, item venustatem, formam animumque virilem ostendit. In adolescente senem, in tenera praecocem aetate sapientiam recognoscitis. Plures in eo Wladislaos, plures Casimiros, plures denique Carolos et Sigismundos intueri licet. Nulla in adolescente dicitur, nulla petulantia deprehenditur. Non solum verbis ac rebus, sed obtutu quoque ac incessu, omni denique gestu morum gravitatem, sapientiam pietatemque patetur. Non praecipiti consilio, non repentina ira, nulla libidine ac improba voluptate corripitur. Nulli hunc vitio dixeris obnoxium, ingenium mite, constans et benignum, ceterum sapientiae, honoris et gloriae cupidum. Corpus laboris et inediae tolerantissimum. Regiam majestatem praefert aspectus et quandam sibi tacite reverentiam exposcit. Utinam, procures, is hic nunc adesset! Sic testor Deum hominumque fidem, plus ille tacendo, quam nos e Ciceronis ore dicendo, in causa sua loqui videretur. Ipsam si videritis vestris suffragiis electum, nimirum potius a Deo

demissum quam iudicio vestro designatum existimabitis. Non humanum regem, sed celestem ad publicam salutem et aeternum otium vobis internuntium datum esse reputabitis. Tenebram adhuc aetatem ac regno immaturam quis fortasse causabitur? Sed quis hoc in adolescente requiret, divina quadam et intempestiva sapientia praedito? Quis in eo, qui prius senex quam adolescens esse coeperit? In tutela Dei reges sunt et filii regum, qui ad regendum nati indulgentissimam sibi naturam et peculiarem Dei gratiam et culturam assequuntur. Non deerit consultissimus aequi senatus vester, qui quotidie circumstabit. Melius est quemque habere regem e senatus consulto, quam e proprio iudicio cuncta gerentem, qui nimis sibi arrogat et aliena consilia plane contemnit, saepe decipitur. Nullus sub isto metus, nulla suspicio, quae imperante tyranno semper intercedit. Nullum externi belli periculum et reformidatio. Potentissimus pater prope adest et a latere dominatur. Non per sectas et opiniones vobis bellum saevum indicetur. Non pontifex adversus irritabitur. Non in belli societatem advocabitur imperator. Quin etsi haec omnia fierent, non proximus deerit adsertor, non sociorum aberit multitudo numerosa, sociorum dixi, imo cognatorum, quibus unum genus et eadem est natio, ut cognatio linguae proficitur. Insuper christiani sumus omnes et in evangelica lege utrique ambulamus. Inter opiniones et sectas parvum fere discrimen, et illud de quo agitur, utinam facilius argumentis, quam armis corrigi et emendari possit! Dummodo Christi dogma servemus ad amissum, an si certius ex patrum consilio quis fecerit, parvi, mihi credite, refert. Quas ob res, Bohemi proceres, vos Casimiri regis nomine nunc hortamur, monemus et oramus, ut divini humanique juris memores esse velitis. Regnum haereditario jure filio debitum beneficio vestro tribuatis. Bellum a latere vobis illatum non tam pontificio jussu, quam ne debita suae proli oppida in alienam ditionem transferrentur, susceptum fuisse credatis. Rationibus vestris commode ac recte consulatis. Hac electione hostium quoque numerum imminuatis. Quod si feceritis, utrorumque saluti dignitatur optime consulatur.

II.

Circa petitiones Reverendissimi domini Cardinalis S. Marci in Germania videntur agenda quae subsequuntur.

Et primo quo ad confirmationem pacis Pruthenicae, conficiantur duae bullae sub diversis datis, quarum altera contineat, quod possit confirmare dictam pacem Pruthenicam quo ad temporalia tantum, alia vero sit libera et verbis generalibus concepta ac sine clausula praedicta quo ad temporalia tantum.

Quo autem modo utendum sit dictis bullis, ex infrascriptis apparet. Primo omni conatu studebit legatus, quod nulla fiat mentio de confirmatione dictae pacis Pruthenicae in tractatu pacis inter reges Hungariae et Poloniae consequendae; debet enim asserere, quando de ipsa confirmatione aliquid diceretur, aut peteretur, materiam confirmationis illius pacis Pruthenicae impertinentem et in nullo concernere negotia regnorum Hungariae et Bohemiae et propterea facultatem pro ipsa confirmanda omissum fuisse.

Considerabit praeterea legatus, quod non expedit Sedi Apostolicae et juri Romanae Ecclesiae hanc fieri confirmationem, quum vigore illius pacis multa spiritualia, in ea contenta, subjiciantur Domino Regi Poloniae, et temporalia, quae eidem per illam remanent, pertineant ad proprietatem Romanae Ecclesiae.

Considerabit etiam, quid principes multi ex natione Germanica scripserunt circa hanc confirmationem tempore sanctae memoriae Pauli et quam molestam habeant eandem confirmationem, quid etiam per eosdem principes expositum et dictum fuit Reverendissimo Domino Cardinali Senensi ¹⁾ in conventu Ratisponensi; alia autem plura poterit ipse legatus attendere et cogitare pro ejus prudentia, tum qui de his rebus est plene informatus ex gestis temporis praeteriti, tum etiam quia praesens intelligit, quae magis expediant.

¹⁾ Franciszek Piccolomini.

Si autem facta omni diligentia, ut sine confirmatione dictae pacis Pruthenicae pax inter dictos reges tractetur, et id consequi non possit legatus, sed omnino sit necessarium devenire ad confirmationem supradictam, utatur imprimis bulla cum limitatione quoad temporalia tantum et juxta illius vim et tenorem confirmet, videlicet quantum ad temporalia in ea contenta tantum, et hanc confirmationem faciat instante ac requirente Domino Rege Hungariae.

Et si ad extinguendum tantum bellum inter duos potentes reges non sufficiat dicta confirmatio quoad temporalia tantum, sed omnino sit necessarium alia facultate uti, tunc utatur et simpliciter confirmet, in eventum tamen quo regnum Bohemiae pacifice cadatur eidem Domino Regi Hungariae, aut saltem inter eundem et Dominum Regem Poloniae fiat pax quo ad utrumque regnum, videlicet Hungariae et Bohemiae. Omnia tamen haec licet ita scripta sint, remittuntur nihilominus prudentiae dicti Domini legati practicanda, prout melius expedire videbit; sed in omnem eventum curet, quantum fieri possit, ut haereses tollantur ex regno Bohemiae.

Quo ad secundum articulum de bonis temporalibus, fiat bulla facultatis prout de bonis petitur et..., legatus autem adhibeat ante omnia possibilem diligentiam, ut bona occupata restituantur ecclesiis, a quibus fuerunt subtracta, ut ex illis reparentur et divinus cultus in eis fiat. Quod si fieri non possit, sed bona illa sint necessario dimittenda possessoribus, aut aliis tradenda, dimittantur aut dentur cum hoc onere, videlicet quod hi, apud quos bona remanebunt, teneantur aedificare easdem ecclesias; et si non possint induci, ut omnes reaedificentur, et si non ad integram restorationem, ad minus quantum plus fieri poterit. Laborabit etiam legatus, ut ex dictis bonis occupatis tot consignent eisdem ecclesiis, quod clerici in eis servientes possint commode sustentari. Curet praeterea quantum fieri possit, ut concessio bonorum, si fiat, sit ad tempus et non perpetua et cum aliquo convenienti censu solvendo eisdem ecclesiis, quarum fuerunt dicta bona ¹⁾.

¹⁾ Mowa o dobrach duchownych w królestwie czeskiem, będących w posiadaniu husytów.

Quo ad tertium articulum de confirmatione electionis factae de Rege Hungariae, expediatur bulla in bona forma et mittatur ad legatum. Illa tamen non utatur pendente tractatu concordiae; nisi videat eandem confirmationem utilem et necessariam, ad pacem melius et celerius consequendam. Eodem vero tractatu jam obmisso et pacis nulla remanente spe, tunc possit uti illa facultate et dictam electionem confirmare, prout melius expedire suae prudentiae videbitur.

(Z Tek Naruszewicza t. XX, Nr. 215).

Julian Sutowicz.

Z LITERACKIEJ SPUŚCIZNY ALEKSANDRA FREDRY.

Ogłaszając dwa nieznane wiersze ś. p. Aleksandra Fredry, dziękujemy najserdeczniej synowi, którego uprzejmości zawdzięczamy możność sprawienia czytelnikom tak miłej niespodzianki.

Zarazem mamy polecenie oświadczyć, że poematy te drukują się w „Przeglądzie“ jako *manuskrypt* i że tem samem wszelki przedruk stanowczo jest zabroniony.

Redakcja.

MÓJ PACIERZ.

Rok po roku zbiegły lata,
Już mi zostaje nie wiele;
Znowu klęczę w tym kościele
Gdzie grób Ojca, Matki, Brata.
Wkoło pociągam oczyma,
Nigdzie w niczem zmiany niéma,
Taż sama barwa kościoła,
Też same czarne obrazy;
Te kolanami dokoła
W koryto wytarte głązy;
Też same ławki dębowe
Gdzie siostry z Matką siedziały,

Gdziem z drugimi skłaniał głowę
Nim usta pacierz umiały:
Wszystko, wszystko jest jak było,
Ażem się spytał sam siebie,
Czy w istocie żyję, żyłem —
W niczem nie znać czasu tknięcia,
Ja się tylko, ja zmieniłem
Stary kaleka z dziecięcia.

Ale ledwie czoło schylę,
I duszą spojrzę na chwilę,
Już przedemną długa wstęga
Z różnych nitek mego życia
Do całuna od powicia
Gdzieś w daleką przeszłość sięga.
O jakże tęsknota błoga
Za jej pociąga widokiem!
Ciebie naprzód Matko droga
Łzawem dziecka widzę okiem,
Widzę Ciebie jakby we śnie,
Bo nad twą trumną zawczasie
Zapłakaliśmy sieroty;
Tylko zdala woń twej cnoty,
Jak po rosie oddech kwiata
Nieznanego w tej krainie,
Płynie z nami, i zapłynie
Aż gdzie do lepszego świata.

Ale ciebie ukochany
Dobry, dobry Ojczy, ciebie
Jak na jasnem widzę niebie,
W tobie dla mnie niema zmiany:
Widzę twoją białą głowę,
Czoło wzniosłe i myślące,
Słyszę mądrą lubą mowę,
W pogodnem spojrzeniu czytam,
Twoją rękę prawie chwytam
By przycisnąć usta drżące,
Jak to tyle, tyle razy!..
Ach w twej to, duszo bez skazy

W twej przewodniej niby łunie
Śmiało mogłem stawiać nogę;
Tak i z grobu opiekunie
Torowałeś dla mnie drogę.
O mój Ojczy, myśl twych dzieci
Jak modlitwa do cię leci,
Jak codzienna serc ofiara,
A ich szczęściem droga wiara,
Że skrytym czucia łańcuchem
Połączeni z twoim duchem.
Pokój z tobą, pokój błogi
O Ty dobry, prawy, drogi!
 Bliżej bliżej na mej wstędze
 Czas jeszcze barwy nie traci,
 Bo tam widzę moich braci
 Uległych cierpień potęgę.
 O Wy, moi przyjaciele!
 Wierni broni towarzysze!
 Z Wami siebiem stracił wiele,
 Przez Was siebie już nie słyszę.
 A Wy Siostry dusze święte,
 Zawczasie śmiercią ujęte,
 Ukochane żony, matki,
 W śladach waszych lube kwiatki,
 Czemuż niestety wplecione
 W cierni bolesną koronę,
 Ja przed Wami myślą stoję,
 Was opływa serce moje —
 A na długim, długim szlaku
 Kropek, kropek, jakby maku,
 I gwiazdeczek coś tam trochę,
 To godziny mego życia
 Niegdyś lotne, śliskie, płochę,
 Dziś jak kleszcze nie do zbycia.
 Każda własny kłębek toczy
 Jakby mrówka jajko swoje,
 Z kłębków snują się przed oczy
 Myśli, czucia, prace, znoje,
 Szczęście, radość — smutek, żal —

Tu marzenia pstre powoje,
 Tam nadziei rozkwit młody;
 Jeszcze mokra łza tęsknoty,
 Jeszcze świeży uśmiech zgody;
 Jeszcze wonne serc pieszczoty,
 Błędne czyny, czyny prawe,
 Uczty grzmiące, boje krwawe,
 Troski, klęski, niepokoje,
 A wszystkiego roje! roje!
 Tylko chwile, chwile święte,
 Niegdyś czystem sercem wzięte,
 Te w gwiazdeczki się stopiły,
 Świecić będą do mogiły. —
 Wszystko oddzielnie i razem
 Smutnym lecz drogim obrazem,
 Bo we wszystkim o mój Boże!
 Twą opiekę widzę Panie!
 Pchniętego w ciemne bezdroże,
 Wiedzionego nad otchłanie,
 Tyś w dobroci Twojej sądził,
 Tyś oświecił, Tyś wybawił,
 Nigdy w trosce nie zostawił
 I nie karał, choćem błądził.

Wielki Boże! mocny, święty!
 Wdzięcznością moją pojęty,
 Nie odtrącaj serca mego,
 Co w swoim prostym sposobie
 Wznosi modlitwę ku Tobie!
 Nie odtrącaj serca mego,
 Jeśli błądzi, oświeć w wierze,
 Bo w niem czytasz, że tak szczerze
 Chce iść zawsze twoją drogą,
 Ile siły starczyć mogą.

Jak do Ojca głos mój woła,
 Miej o Panie w Twej obronie
 Tę coś zesłał za anioła,
 Co mi towarzyszy wiernie
 Przez tej ziemi ostre ciernie,

Co obok swego cierpienia
Co dzień składa przy twym tronie
Ciche chwile poświęcenia.
Miej o Panie w Twojej obronie,
Niech je strzeże łaska święta
Ukochane te istoty,
Dar najdroższy Twojej szczodroty
Moje dzieci i wnuczeta,
Co jak bluszczem mnie objęły
Moję duszę w siebie wzięły,
Co świeżym kwiatem miłości
Skrzepłe czasu wieńczą blizny,
Ojciec nasz pełen litości!
Nie odsuwaj Twojej ręki
Od biednej naszej Ojczyzny!
Odpuść winy, zakończ męki,
Wybaw, wybaw nas z niewoli!
Ale w doli, czy niedoli
Póki życia, zawsze, wszędzie,
Serce moje wołać będzie:
O mój Boże! Ojciec, Panie!
Niech się Twoja wola stanie.

DO JĘDRZEJA.

Jędrzeju! Sługo wierny, przyjacielu rzadki!
Ty co zemną dzieliliś wojenne wypadki,
Ty co w całej zdobyczy — moskiewskich płomieni
Wziąłeś szczotkę, trzy pończoch i kilka grzebieni ¹⁾
A potem w szybkim kłusie przed brodatym wrogiem
Dostałeś dzidą w rękę, przez plecy batogiem,
I za twoje usługi mantylką okryty
W twarde mrozy Kaukazu odwiedziłeś szczyty —
— Jędrzeju! znam twe cnoty, umiem wierność cenić,
Nic mnie w życiu dla ciebie nie zdoła odmienić:
Będziem z sobą, aż póki w ostatecznej dobie
Ty mnie grudki nie rzucisz albo też ja tobie:
Ale powiedz człowieku jakaż to uraza
Każe ci drażnić Feba i ćwiczycę pegaza?
Co dziewice Parnasu mogły ci przewinić
Że gwałtem ich czciciela chcesz niemym uczynić?
Zaledwie boski promyk w przelocie uchwyć,
Myśl moję, nim zapalę, świat wyższy oświecę,
Zaledwo pędząc w górne gwieździste przestworze
Ziemię sobie zasłonię, a niebo otworzę —
Wchodzisz: stajesz przedemną zawsze w jednej mierze
I nudną prozą pytasz co chcę na wieczerzę;

¹⁾ Historyczne.

Jak gdybym ja przy złotym Pityjskim trójnogu
Mógł z tobą o leniwym rozprawiać pierogu?
Precz istoto bez rymu! Poeta o głodzie
Najrzewniejszy w sielance, najszczytniejszy w odzie.
Wyszedłeś. Ale wkrótce już stoisz na nowo.
Zaczynasz swoją wiecznie niezmienną przemowę:
„Żeby się pan nie gniewał,“ i tem samem gniewasz.
Lecz cóż za interesa i tak często miewasz?
Tasiemeczkę przyszyłeś, wprawiłeś skałeczkę,
Jakiś drucik kupiłeś, sklepiłeś fajeczkę —
I zawsze odpierane naprawiając szyki
Wstępujesz z miską w rękę — „Panie, to rydzyki!
— „Co? miska? w dytyrambie na średniówce miska!
„I dla czego rydzyki, kiedy to rydzyska?
„Jędrzeju! ach Jędrzeju! chcesz mnie zabić widzę,
„Ja lubię druty, skałki, tasiemki i rydze,
„Ale miej Boga w sercu, daj chwilkę pokoju!“
Jestem więc sam. Lecz lutnia potrzebuje stroju:
Muszę przerwanej myśli wiązać lotny wątek,
Muszę chcąc dalej śpiewać, powtórzyć początek:
I już przez nowe światło, nowe uniesienie
Czuję przytomność Feba, wdzięcznych Muz zbliżenie —
Wtem, przebóg, jakiś szelest! ach klamką ktoś kręci —
To ty! wchodzisz radośnie, pełen dobrych chęci
I ćwiartką cielęciny jak głową Meduzy
Gromisz mi Apollina i rozganasz Muzy!
Wtenczas pędzę cię, ścigam, gdzieś aż na podwórze,
Drzwi zamykam, klucz chowam, lecz co to pomoże!
Ty stajesz gdzieś u szpary, ty wlaższy na stołek
Z nowinką do okienka pukasz jak dzięciołek,
Aż póki tracąc węgę i cierpliwość razem
Prozaicznym cię jakim nie zelzę wyrazem.
Wszystko to jednak fraszki, wszystko to nic jeszcze —
Masz ty ciągi dotkliwsze na zapaly wieszczę.
Słuchaj! kiedy czatując w gorzkim krwawym pocie
Złapię kogo nareszcie jakby na przelocie
I wciągnę jak barana by słuchał mych wierszy,
Zaledwie poszyt w rękę, kończę arkuszy pierwszy

I raz gromiącym basem to znów czułym jękiem
Głośno, cicho, trzęsąco, z coraz nowym wdziękiem
(Aż mi gra w piersiach) trzymam, obrabiam słuchacza
Patrzac w oko jak w tęczę, czy już łzę wytacza,
Wtedy to, zdrajco! Tobie nie braknie powodu
Do ciągłego tu owdzie wchodu i wychodu:
To musisz kurz obetrzeć, to fajkę oprawić,
To ztamtąd wziąć butelkę, a szklankę postawić,
I żebym w migach skonał, ślepy na rzecz wszelką,
Musisz kończyć swą czynność z szklanką i butelką.
Powiedzże mi człowieku, powiedz mi raz przecie
Czemu, kochając pana, dokuczasz poecie?
Co? — głośniej! O mą sławę musisz być troskliwy?
—Tak? No, to rób już jak chcesz Jędrzeju pocziwy.

PSYCHOLOGIA SAMOBÓJSTWA.

Uderzające to zjawisko, że podczas gdy każde zwierzę instynktowo dąży do zachowania życia, od śmierci ucieka, broni się przed nią w sposób często prawdziwie bohater-ski — to sam człowiek tylko dopuszcza się tego okrucieństwa nad samym sobą i bardzo często z całym rozmysłem i roz-wagą, owszem z starannem, zapobiegliwem i dobrze obra-chowanem usunięciem wszelkich możliwych przeszkód odbiera sobie to, czego sobie nie dał, czego dać nie mógł, a co jest największem z doczesnych darów, odbiera sobie życie. Jest to w każdym razie symptom chorobliwy ale i zagadkowy zarazem, a badając jego przyczyn, pierwszy, który sam z siebie w oczy bije i który koniecznie uczynić potrzeba, wniosek jest ten, że człowiek nie jest tylko zwierzęciem, jak to głosi i wmawia w siebie i w drugih szkoła pozytywnych filozofów, ale że obok pierwiastku fizycznego wspólnego mu z światem zwierzęcym, tkwić w nim musi jakiś inny pierwiastek odmiennego zupeł-nie rodzaju, który właśnie w pewnych danych i okoliczno-ściach każe mu odstąpić od zachowawczego instynktu i prze-ciąć nić życia.

Każda prawda jest prostą i jest blisko nas, potrzeba tylko umieć ją szukać. I w tem właśnie trudność. W naszym wieku, który bezwątpienia w pewnych gałęziach wiedzy ludz-kiej znacznie postąpił, nawykliśmy szukać prawdy gdzieś da-leko, manowcami długich poszukiwań, badań, rozumowań i roz-praw i nawet trudno nam pojąć, że jednym krótkim zdaniem

można zamknąć wielką, doniosłą prawdę w całej jej objętości i z wszelkimi scjentyficznymi wymaganiami t. j. ze wskazaniem jej przyczyn, bo *scientia est cognitio rei per causas*. W kwestyi samobójstwa tą drogą „nowszej nauki“, jak uczony świat dzisiejszy z lubością ją nazywa, nie przychodzi się do żadnej prawdy; symptom ten chorobliwy trapiący coraz częściej już i naszą, do niedawna jeszcze zdrową społeczność polską, pozostanie niewyjaśnionym, zagadkowym. Owszem „nowsza nauka“ obalając a przynajmniej usiłując obalić, co w tej kwestyi było dodatniego i pewnego, a nie natomiast nie stawiając jak tylko same przeczenia i wątpliwości, zdaje się przyjmować na siebie apologią samobójstwa i rozgrzeszać samobójców. Że się tem źle przysługuje społeczeństwu, o tem nie ma co i wspominać, ale pozostaje zawsze do rozwiązania pytanie, jak się ten proces samobójczy w duszy człowieka odbywa, czyli innemi słowy: jaka jest psychologia samobójstwa?

Kilka miesięcy temu jeden ze znanych, na polu piśmienictwa dobrze zasłużonych autorów, ogłosił niewielką książkę „O samobójstwie.“ Była to praca bez pretensyi do uczoności, tem mniej do wyczerpującego obrobienia całego przedmiotu, ale zawsze poważny, sumienny nazwalibyśmy szkic historyczno-filozoficzny, wykazujący, że „przyczyną rzeczywistą samobójstw jest brak wiary, religijności i odpowiednie jemu skażenie oby-czajów.“

Strona psychologiczna samobójstwa nie była tam w osobnym rozdziale omówioną, ale myślący czytelnik mógł ją śledzić i zrozumieć w ciągu całego dziełka. „Nowsza nauka“, odzywająca się w pewnem krakowskiem piśmie, powiada na to: „Byłoby bardzo pożądaną rzeczą, gdyby nauka w jakimbądź kierunku mogła do tak jasnych i prostych dojść rezultatów“. . . „Najgorętszy nawet zwolennik katolicyzmu nie zechce twierdzić, aby to wyznanie samo przez się chroniło umysł i wolę człowieka od kroków będących skutkiem upadku moralnego albo chorobliwych usposobień“ ¹⁾.

Jak zacytowane tu ustępy, tak cała rzecz obejmująca ośm stronic bitego druku nosi na sobie piętno negacyi i fi-

¹⁾ Przegląd krytyczny rok II, numer X. Artykuł: Maurycey hr. Dzieduszycki. Samobójstwo. Str. 361—369.

lozoficznego wrzekomo powątpiewania. Przychodzi ochota zapytać, czy to mają być rezultaty owej tyle sławionej „nowszej nauki“, zwłaszcza że ten, który te ośm stronic krytyki napisał, jest, jak mnie upewniano, osobistością wielkiej naukowej powagi i stoi na czele jednej z głównych instytucyj naukowych. Przyznam, że przykre na mnie wrażenie zrobiła ta chłodna, oziębiająca jak lód, wrzekomo uczona a w gruncie niemądra krytyka. I nie chodzi tu o krakowskie ono czasopismo, ale o to, że niestety ludzie bądźco bądź wzniesieni ponad poziom, zdają się nic nie mieć pilniejszego, jak osłabić, wyrzucić i zniszczyć to, co pocziwie i jakkolwiek może nie wyczerpująco, ale zawsze dowodnie i rozumnie powiedzianem było na leczenie tej arcyzgubnej manii samobójstwa, która biedną już i tak podkopaną społeczność naszą trapi i prawie dobija. To nad wszelki wyraz bolesne.

I cóż tu robić? Toczyć polemikę? Gdzie rana tak wielka i rozogniona, tam spokojna polemika nie łatwa, a namiętnością choćby i szlachetną, mało się na polu dyskusyi zyskuje. Wiem też, że dla wielu polemiczne rozprawy mają coś wstępnego w sobie. Najodpowiedniejsza rzecz zostawić tych „nowo uczonych“ krytyków na boku, a naprzeciw ich negacyi i uczonego powątpiewania postawić ściśle, dodatnie, jasne rozumowanie i dodatnie wnioski. Psychologia samobójstwa sama z siebie budzi ciekawość, a dla młodego pokolenia, najbardziej może na pokusy samobójcze narażonego, nie jedną wielce pocuczającą a mało znaną przedstawia prawdę.

I.

Samobójstwo, niemniej jak proces, jaki się odbywa w duszy samobójcy, a który sam czyn wyprzedza i jest jego bezpośrednią przyczyną, moralnej jest natury. Człowieka też pełniącego akt samobójczy nie należy brać w oderwaniu, o ile jest tylko istotą obdarzoną rozumem i wolą, ale tak jak jest, żyjącego w społeczeństwie, zajmującego w niem pewne stanowisko, ulegającego wpływom i oddychającego atmosferą swego otoczenia, wystawionego na twarde nieraz próby, ciężkie przejścia i przykre zawody. Wszystko to razem wzięte sta-

nowi moralną osobę człowieka i przez studyującego psychologią samobójstwa w rachubę wzięte być powinno. Dotąd jest zupełna zgoda starej z „nowsza nauką“, ale też tylko dotąd; co dalej, to nowsza nauka osłabia wszystko, przeczy, wątpi o wszystkim i kwestyą psychologii samobójstwa zostawia nierozstrzygniętą. Otóż tym razem pewniejszą jest stara, niezawodna chrześcijańska nauka o samobójstwie. Kwestya to moralna, a nie—masz moralności bez religii, tak jak nie—ma społeczeństwa bez religii, i każdy człowiek, chociaż się może do ateuszostwa otwarcie i z pewną ostentacją przyznaje, w gruncie jednak zawsze w coś wierzyć musi i wierzy. I w tem właśnie tkwi różnica zdań chrześcijańskich filozofów od tegoczesnych uczonych. Ci ostatni przyjmują jako pewnik że: *inne są rezultaty wiary katolickiej, inne nauki i wiedzy, czyli że wiara z wiedzą nie da się pogodzić*. A rozumując w tym kierunku dalej, wnoszą, że: *zasady katolickie z praktykami religijnymi* połączone nie zawsze uchronią od samobójstwa. — Otóż obydwie te zdania z gruntu są nieprawdziwe.

Co do stosunku wiary do wiedzy, to niewątpliwą, aprioryczną jest prawdą, że zgodne są, owszem zgodne *muszą* być z sobą. Czemże bowiem jest wiara? Jest prawdą absolutną, bo objawioną od Boga z niezaprzeczalnym charakterem prawdziwości. Czemże zaś jest wiedza? jest zdobyczą rozumu, którego znów stwórcą jest Bóg. Gdyby więc prawda objawiona w sprzeczności była z prawdą, do której dojść może rozum — to sprzeczność ta spadałaby na Boga jako źródło dwóch prawd sprzecznych — absolutnej objawionej i względnej rozumowej, co przecie być nie może. — Chyba że chcemy Boga wyrugować z nauki i wiedzy, jak go usunięto z polityki, dyplomacyi, ekonomii, ale w takim razie nie—ma mowy o żadnej moralności lub niemoralności, o cnocie lub występku samobójstwa, gdyż podstawą wszelkiej moralności t. j. dla czego ta lub owa czynność z natury swojej jest złą i wzbronioną, a tamta z natury swojej jest dobrą i dozwoloną lub nawet zaleconą, są doskonałości Boże, natura boża. Skoroby więc w badaniach rozumu człowiekowi wolno było nie oglądać się na Boga t. j. na objawioną przezeń prawdę absolutną, to dla czego w zachceniach woli ma się oglądać na jakieś prawo boże albo na prawo ludzkie, które ostatecznie na prawie natury a więc na

bożem prawie się gruntuje? Przyjąwszy tedy egzystencją Boga jako pewnik, egzystencją objawionej prawdy absolutnej jako drugi pewnik, koniecznie trzeba przyjąć jako postulata necessaria i to, że wiedza nie może stać w sprzeczności z wiarą, że ta ostatnia będąc prawdą absolutną, wyższą i pewniejszą jest niż wiedza, która jest prawdą względną a z źródła pochodzi ograniczonego i omylnego, bo z ludzkiego rozumu, że więc w dociekaniu prawdy rozumowi przyświeca światło wiary, jak pochodnia górnika jego pracy w wydobywaniu kruszcu, a rezultaty nauki nie mogą być sprzeczne lub różne od rezultatów, do których prowadzi absolutna prawda katolickiej wiary. To też wszystkie systemy filozoficzne, które są w sprzeczności z tą prawdą absolutną, okazały się mylnymi same w sobie i do zgubnych doprowadziły następstw; nikt w nie dzisiaj nie wierzy, nikt nie broni na seryo, poszły w zapomnienie, a na ich ruinie zapanował gruby materyalizm; zniknął duch ludzki, pozostał człowiek-zwierzę. Przyznaję, że wiara w niektórych (bardzo niewielu) dogmatach swoich jest *ponad* rozum, chociaż nigdy *przeciw* niemu, i w tem właśnie poddaniu rozumu, który zresztą i w fizycznym świecie ma jeszcze wiele niedoścignionych tajemnic dla siebie, w tem mówię poddaniu rozumu ludzkiego pod wyższy rozum boży, objawiający nam absolutną prawdę, tkwi cała wartość siła i zasługa wiary; twierdząc śmiało, na własnych studiach oparty, że w innych dogmatach i płynących z dogmatu zasadach moralności, rozum nie tylko nie sprzeciwia się wierze, ale owszem potężne na jej poparcie podaje argumenta — ale też znów każdy logicznie myślący przyznać mi musi, że skoro wiara jest prawdą najwyższą, bo absolutną, to każda inna prawda względna podporządkowaną jej być powinna i w każdym dociekaniu rozumowem a tem bardziej w kwestiach wybitnie moralnej cechy, jaką jest niniejsza, badawczy umysł ludzki wysunąć się nie może po za granice prawdą absolutną nakreślone, owszem obrać ją sobie musi jako punkt wyjścia do dalszych badań, wniosków i sądów. Każde inne postępowanie jest nielogiczne a więc nierozumne, i nie ujemną ale owszem bardzo dodatnią stroną chrześcijańskich filozofów jest, że omawiając jakąkolwiek kwestyą moralno-naukową, stawiają siebie od razu na gruncie absolutnej prawdy czyli wiary. Nie zstępują oni przez to ze stanowiska ściśle naukowego, ani

ujmę przynoszą godności rozumu ludzkiego, bo tak i do przekonania o potrzebie absolutnej prawdy, jak i do wyrozumowanego poznania tejże prawdy przychodzi się za pomocą rozumu; gra on tu główną rolę, rozwija się, kształci, potęguje i przychodzi do takich pewników i prawdziwych „zdobyczy wiedzy“, do jakich na filozoficzno-moralnem polu „nowszej nauki“ nigdy dojść nie jest w stanie.

Aby wykazać mylność drugiego zdania, które jest tylko konsekwencją pierwszego, jakoby zasady katolickie wraz z praktykami katolickimi nie zawsze były zdolne powstrzymać od samobójstwa, dosyć wyjaśnić *statum quaestionis*.

O cóż tu chodzi? O to, że człowiek, który ma zasady i przekonania katolickie i stósownie do tych zasad i przekonań w publicznem i prywatnem życiu postępuje, praktyki katolickie, mianowicie modlitwę, spowiedź św. i św. sakramenta spełnia należycie i wytrwale — że taki człowiek *nigdy* — kładę nacisk na to słowo „nigdy“ — nie dojdzie do tego stopnia rozpasania namiętności, rozpaczy czy rozpusty, aby pod ich wpływem zadał sobie śmierć samobójczą. *Nodus rei*, węzeł, w którym tkwi cała siła argumentu, zamknięty w dwóch słowach: *praktykować katolicką wiarę*. Co one znaczą? Wiara katolicka ma dwie strony: stronę *zasad* dogmatyczno-moralnych i stronę *czynu* t. j. zastosowanie tychże zasad do codziennego życia, do działań rozumu i woli, a nadto do pewnych praktyk chrześcijańskiej pobożności, jakimi są sakramenta św., modlitwa, słuchanie mszy św., posty. Wszystko to troje razem wzięte: *zasady, życie* wolne od skazy i grzechu i *praktyki* religijne, stanowi katolika. Kto ma jedno tylko z nich, albo dwoje tylko, nie jest katolikiem w ścisłem znaczeniu tego słowa. Zdaje mi się, że tłómaczę rzecz jasno, a co ważniejsza, *prawdziwie*. Dosyć wziąć pierwszy lepszy katechizm dla dzieci — każdy tam znajdzie szereg prawd, które tej podwójnej stronie katolickiej wiary odpowiadają, tłómaczą ją i wyjaśniają. Niech się wielbiciele „nowszej nauki“ nie obrażają, ale radzę im bardzo odbyć takie studjum katolickiego katechizmu; naukowe ich wykształcenie i rozgłos nauki nic na tem nie straci, owszem zyska bardzo wiele.

I w tem właśnie niezrozumieniu kwestyi tkwi źródło uprzedzeń do katolickiej wiary i do tych, którzy się do niej

otwarcie przyznają. Być bardzo łatwo może, że katolik wierzący i praktykujący, wskutek cierpień moralnych nad własną lub ojczyzny dołą, albo wskutek chorób fizycznych popadnie w stan melancholii lub obłąkania i pod wpływem tych „chorobliwych usposobień“ śmierć sobie zadaje. Ale w takim razie przyczyna samobójstwa nie jest moralną, lecz tylko fizyczną, i sam czyn samobójczy nie jest zbrodnią moralną, ale jak moralisci nazywają tylko materyalną (*peccatum materiale*), która żadnej poczytalności (*imputabilitas*) nie dopuszcza. W takim więc prawdziwie „nieszczęśliwym przypadku“ wiara nie ma nic do czynienia, i tylko nieloicznie wnieść można, że wiara katolicka nie chroni od samobójstw pod wpływem „chorobliwych usposobień“ dokonanych.

Inaczej rzecz się przedstawia, jeżeli chcemy zbadać, jakie to są przyczyny w wielu wypadkach melancholii lub pomieszenia zmysłów? Otóż to jest niezawodną rzeczą, że zmysłowe występki, orgie, rozpusty zbyt wczesnie rozpoczęte, potęgujące się w miarę jak zły nałóg starzeje, niszcząc cały organizm fizyczny, usposabiają dziwnie do czarnej melancholii i umysłowych cierpień. Każdy szpital waryatów dostarczy na to dosyć wymownych dat statystycznych. Równie niezaprzeczoną jest rzeczą, że rozpacz pochodząca albo z braku środków do życia, albo z fałszywie pojętego punktu honoru, albo z zawiedzionej lub niedoszłej miłości, albo z sytuacji okropnej, w którą wtrąciła utrata majątku, lekkomyślność i awanturnicze lub szalbierskie życie, że powtarzam rozpacz, przyprawia o utratę zmysłów, staje się przyczyną tak zwanych „chorobliwych usposobień.“ Na jedno i na drugie, na rozpacz, na brzydkie nałogi i wyuzdaną rozwiązłość głównem, jedynem przeciwlekarstwem jest katolicka wiara z swemi zasadami moralnemi i z swemi praktykami religijnemi, i nikt nie zdoła przytoczyć ani jednego przykładu człowieka, wskutek brzydkich nałogów lub rozpacz pchniętego do samobójstwa, a przytem *wierzącego po katolicku i praktykującego swą wiarę*. Rzecz to jasna jak na dłoni. Zasady katolickie, co i „nowsza nauka“ przyznaje, potępiają samobójstwo, owszem jako potężne antidotum od niego powstrzymują. Wiara w istność Boga i życie pozagrobowe, w nagrodę i karę wieczną z jednej strony, a z drugiej przeświadczenie o władztwie bożem na ziemi i boskiej opatrzo-

ści, która nawet o ptaszętach powietrznych ma pieczę i staranie — te już tylko fundamentalne pojęcia katolickiej wiary wykluczają nawet samę myśl, tem mniej czyn zabójczy. Praktyki zaś tejsze wiary, mianowicie modlitwa i dobrze odprawiona spowiedź, uspokajając trapiący nieszczęściem, niepowodzeniem lub wyrzutami sumienia umysł, kładąc walną tamę występkom i nałogom, sprowadzają człowieka na drogę rezygnacyi, pogodzenia się z wolą bożą i spokojnego, trzeźwego pojmowania siebie, obowiązków, celu i przeznaczenia swego.

Praktyki religijne wtenczas tylko są „wątpliwej“ skuteczności, gdy je kto spełnia obłudnie, dla zwyczaju lub oka ludzkiego, albo gdy tej szczerzej zresztą praktyce nie towarzyszy jasne pojęcie i zrozumienie zasad katolickich, gdyż, jak powiedzieliśmy: wiara katolicka to nie zasady same i nie praktyki same, ale to zasady *połączone* z praktykami pobożnego i obyczajowo nieposzlakowanego życia¹⁾.

Zasługuje tu na uwagę jeszcze jedna okoliczność: taktyka, jaką się posługują wszyscy niemal „uczeni“ tegocześni w zwalczaniu albo osłabianiu „rezultatów“, do których prowadzi absolutna prawda katolickiej wiary. Ilekroć razy spotkają się z takim „rezultatem“ sobie niemiłym, wnet przeciw niemu wyprowadzają w pole jakiegoś nieznanego Boga „nowszej nauki“ i temi imponującemi zresztą wyrażeniami: „zdobycze rozumu, nowsze badania, nowa nauka“ odtrącają sumarycznie wszystko co katolickie, nie mówiąc i nie tłumacząc wcale, jaka to ta *nowsza* nauka, gdzie jej szukać, jak znaleźć i które są jej *nowe* rezultaty. Przyznaję, że taka taktyka wprowadzająca tego *deum ignotum* w rozprawy naukowe jest bardzo zręczną, bo odrazu zabija przeciwnika, dając mu dosyć wyraźnie do zrozumienia, że jest nieukiem; przyznaję, że jest dosyć wygodną, bo dozwala przeczyć wszystkiemu, a uwalnia od dania przedmiotowych tego przeczenia powodów — ale pytam czy

¹⁾ Wydarzają się wypadki, że samobójca najprzypadniej się modli i spowiada, a zaraz potem strzela się, topi lub wiesza. Pochodzi to z braku jasnego zrozumienia zasad katolickich, co u ludzi zwłaszcza prostszych jest rzeczą łatwo zrozumiałą. Praktyki religijne okazały się w takim razie bezskuteczne, bo im nie towarzyszyło jasne pojęcie zasad.

jest ona rozumną? czy wreszcie uczciwą? Proszę mi wierzyć, katolicy pisarze wcale nie są obcymi „nowszej nauce“, ani nie żywią przeciw niej antypatii lub uprzedzeń; ale znając i uznając zdobycze czy „rezultaty“ nowszej nauki, nie są znowu ślepymi jej zwolennikami, właśnie dla tego że się uczą, że czytają i że *myślą* samodzielnie.

„Nic nowego pod słońcem“, a każda *prawda* jest *wieczną*, z tej już więc racyi nie wypada tak często i tak zuchwale występować z *nową* nauką, *nowemi* rezultatami. Rzeczywiście też nie tylko wszystkie zasadnicze prawdy matematyczne są stare, odwieczne, ale i zasadnicze prawdy moralne są takimi; żadne naukowe badanie nie może ich osłabić, ale owszem zatwierdza je, gruntuje, i żadnej *nowej* prawdy moralnej nie wynaleźli tegocześni uczeni. Tak zwane „nowsze“ badania mogą tylko podać *nowy sposób zastosowania* tych starych odwiecznych prawd i zasad, z zastosowania tego wyprowadzić *nowe* wnioski, które jednak nie mogą być sprzeczne z onemi starymi prawdami zasadniczymi. To jest tak prawdą, że nawet zboczenia rozumowe i symptomy obłądów filozoficznych powtarzają się sporadycznie, i jeżeli gdzie to tutaj sprawdza się: *nihil novi sub sole*. Panteizm n. p. Spinozy i Hegla, który przez pół niemal wieku uchodził za „rezultat nowszej nauki“, jest w gruncie rzeczą starą, liczy blisko 2400 lat, bo jak niżej wykazę, był dogmatem starych stoików. Sceptycyzm Hume'go, także w swym czasie za rezultat nowej nauki uważany, znalazł na 300 lat przed Chrystusem sporo zwolenników w uczonym świecie pogańskim, liczy więc także 2200 lat.

Dzisiejsza szkoła tak zwanych pozytywnych filozofów, która przez wielu zwłaszcza młodych, nie tylko jako świeża zdobycz ale jako ekstrakt wiedzy ludzkiej z lubością wskazywaną bywa, liczy także 2300 lat swej egzystencji; praojcem tej szkoły był Epikur, jak to zaraz niżej wykazę. Jedyne na polu przyrodniczych umiejętności mowa być może o *nowych* zdobyczach, nowych rezultatach nauki (i to nie nauki w ścisłym znaczeniu, która jest *cognitio rei per causas*, ale nauki opartej na hipotezach przeważnie —), te bowiem opierając się na doświadczeniu w miarę ułatwienia lub udoskonalenia środków, narzędzi i instrumentów, rozwijać i doskonalić się stopniowo i do nowych rezultatów doprowadzić mogą i prowadzą.

Ale i tych rezultatów nie można brać w odosobnieniu od nauk ściśle filozoficznych, moralnych, bo one są częstką tylko ogólnej wiedzy ludzkiej, która należy do *całego* człowieka jako istoty moralnej, i dla tego nawet te rzeczywiście nowe rezultaty nauki nie mogą być sprzeczne z rezultatami, do których zasadnicze prawdy moralne prowadzą. Szumne więc owe słowa o rezultatach *nowszej nauki* sprowadzają się do czegoś bardzo małego, i wojować niemi nie bardzo bezpieczna ani honorowa.

II.

Zaznaczywszy w ten sposób stanowisko, z jakiego samobójstwo w swej genezie i dalszym rozwoju badać należy, dotknijmy choć zlekka jego przyczyn. Zdawałoby się, że one są łatwe do odgadnienia. Wszak nawet dzienniki, które się w poważną filozofią zwykle nie bawią, ogłaszając pojedyncze wypadki samobójstwa starają się zaraz wskazać i jego powody jako to: przesyt życia, obawa kary lub hańby, rozpacz z utraczonej fortuny, zwątpienie i pewna prostracya ducha wskutek nękań domowych lub źle obranych albo narzuconych obowiązków, zawiedziona miłość, niemożność zaspokojenia wezbranych uczuć i namiętności itp. Na dnie tych i wszystkich innych możliwych motywów samobójstwa ukrywa się zawsze lekceważenie a często formalny, nieprzewyciężony wstręt do życia. Każdemu samobójcy zdaje się, że w tych a tych warunkach dłużej pozostać mu nie podobna; czuje się najnieszczęśliwszym z nieszczęśliwych i wyrabia a przynajmniej usiłuje wyrobić sobie przekonanie, że odbierając sobie życie, przejdzie w nicość, a w każdym razie czuć się będzie mniej nieszczęśliwym. Rzecz jasna, że jest to ocenienie rzeczy bardzo względne. Wszak niedawno, bodaj czy nie w samym Krakowie, odebrał sobie życie kilkunastoletni chłopak z terminu, dlatego, że stracił kilkanaście groszy i obawiał się chłosty swego majstra, a przecie i utrata kilkunastu groszy i w ślad za nią idąca chłosta, to rzeczy nie tak bardzo rzadkie w terminatorskim świecie i ci mali winowajcy umieją sobie radzić. Ktoś strzela się dla niedużego egzaminu, a przecie tylu innych jego kolegów mimo

złych egzaminów żyje i kształci się dalej. Wszystko więc tu zależy od *aprehensyi* czyli od sposobu, w jaki kto pojmuje życie i cierpienie. Otóż *ażeby pojąć i zrozumieć życie i ażeby umieć cierpieć* z spokojem i hartem duszy, potrzeba koniecznie być *człowiekiem wierzącym, religijnym*. Sam rozum tu nie wystarczy, bo rozum sam sobie zostawiony nie jest w stanie odpowiedzieć na najważniejsze zagadnienia: po co, na co ja tu jestem na tej ziemi? dla czego cierpię i to tak strasznie, tak długo i na tylu punktach naraz? po za grobem czy jest życie? jeżeli jest, jakie ono będzie? A szczęście, o którym ludzie tyle mówią, za którym tak namiętnie gonią, czem ono jest? Czy w ogóle może być mowa o szczęściu na tym świecie, gdzie wszystko tak niestałe, chwiejne, przypadkom podległe, a godzina śmierci niepewna koniec wszystkiemu czyni? Żywotne te a ściśle filozoficzne kwestye trapiły jak nocna mara senna uczony świat pogański, który biedził się sam z sobą, bo nie umiał na nie odpowiedzieć, to też najgłębszy ze starych myślicieli Sokrates odpowiada uczniowi swemu Alcybiadesowi pytającemu o ich rozwiązanie: „Bóg sam przyjdzie i nauczy nas,” a słowa te pożyczył od Izajasza proroka¹⁾.

Brak wiary i towarzysząca mu nieznajomość pierwszych prawd chrześcijańskich, obok zupełnego zaniedbania religijnych obowiązków, wytwarza w ogromnej większości ludzi pewien *idiotyzm moralny i moralną bezsilność* tak wobec własnych

¹⁾ Platonis *Dyalogi*. — Alcibiades secundus seu de Preca-tione. Na wątpliwości i obawy jakiemi trapiiony był Alcybiades, aby snąć sam siebie nie oszukał, składając bóstwu niemiłe ofiary, i zamiast rzetelnego dobra pragnąc złego, nie miał Sokrates innego rozwiązania jak to: „Czekać należy dopokąd nie nauczy nas kto jak się zachować mamy tak względem Boga jako i względem ludzi.”

Na to Alcybiades: „Kiedy to będzie o Sokratesie i któż będzie tym mistrzem? Z największą bowiem chęcią pragnę poznać człowieka tego, ktokolwiek on jest.”

Sokrates: *Οὗτός ἐστιν, ᾧ μέλει περὶ σοῦ*. „Ten jest, który ma pieczę o tobie.” A kilka wierszy niżej: *Ἀλλὰ μὴν ἄ-κεῖνος θαυμαστήν ὁσὴν περὶ σε προθυμίαν ἔχει*. „Ale bo w cu-downy sposób ma on (Bóg) staranie o tobie.” Porównaj Izajasza rozdz. 35. w. 4. Ipse Deus veniet et salvabit vos. Bóg sam przyjdzie i zbawi was.

namiętności, jak wobec trudności, które biją z góry. Wkrada się więc niesmak, przesyć wszystkiego, czego się użyło i nadużyło, następuje zniechęcenie do życia, które z dniem każdym staje się ciężarem coraz bardziej nieznośnym, a w miarę tego wzrasta pragnienie oswobodzenia się co prędzej z cierpienia, które jak kula galernika wlecze się za biednym człowiekiem, dokądkolwiek się obróci. W nagłych familijnych albo publicznych nieszczęściach, w przedłużonem cierpieniu fizycznym i moralnem, z którego nie ma punktu wyjścia, niemniej jak w gwałtownych wstrząśnieniach rozigranej namiętności proces ten przesyty i zniechęcenia do życia odbywa się ruchem pospiesznym: żal, rozpacz, dziwny jakiś niepokój, trapią i mącą umysł, najsprzeczniesze myśli jak rój brudnych owadów cisną się do głowy i serca; rozpięty na torturze nie cierpi tak srodze, jak miotany tyłu uczuciami naraz człowiek, i w tym nawale zwątpień i pod nadmiarem cierpienia pyta sam siebie, czyż śmierć nie lepsza niż takie życie? niech się raz skończy wszystko. Jest to, jak filozofowie nazwali, *actus primo proximus*, krok tylko jeden, a stanie się *actus perfectus*, czyn samobójczy dokonany.

Do tego ostatniego fatalnego kroku popycha atmosfera otoczenia, potęga tego, co nazywamy „duchem czasu.“ Duch to niewiary i niskiego materyalizmu; pod tchnieniem jego człowiek przestrasza się w zwierzę, rozumne wprowadzie, ale zawsze zwierzę, dla którego nic nie ma poza tą ziemią i poza tem życiem, tylko nicość. Praca rąk ludzkich i praca umysłu ludzkiego, przemysł i handel, nauka i wiedza, sama nawet królowa umiejętności, filozofia, wszystko nacechowane tem piętnem ateuszostwa; wyrugować Boga i wszystko co do Boga prowadzi ze społeczeństwa, rodziny, publicznego i prywatnego życia, z warsztatu zarówno jak z przybytku nauk — oto dążność naszego wieku, to duch czasu naszej epoki. Cóż dziwnego, że w takich warunkach życie ludzkie staje się tylko o tyle drogie, cenne, smaczne i pożądane, o ile bawi, zajmuje i w wygodach i z komfortem spędzone być może? Skoro tego wszystkiego zabraknie, albo skoro się to sprzykrzy, a sprzykrzy się niezawodnie, życie staje się niewypowiedzianem cierpieniem. I tem to tłómaczy się owa pobłażliwość opinii publicznej dla samobójców; społeczeństwo całe myśli i czuje jak samobójca,

a to koleżeństwo uczuć i przekonań czyli raczej braku przekonań wyradza pobłażliwość sądu. Jest ona jednak fatalną dla tych, w których się odbywa proces samobójczy, bo ich pozbawia jedynej, jaka im jeszcze pozostaje, dźwigni, to jest względu ludzkiego, a walne to, acz rzadko szlachetne, *motivum* dla osób pozbawionych wiary i stałych zasad moralnych: względ na to, co powiedzą ludzie. I znowu jako jedyne skuteczne antidotum przeciw tej ziębiącej serce i materyalizującej umysł ludzki potędze ducha czasu jest *wiara katolicka*, ze swojemi pewnemi, niezachwianemi wzniosłemi zasadami i swemi praktykami, które umarzając i tępiąc namiętności uduchowniają niższego człowieka, a pierwiastek jego wyższy duchowy rozwijają, uszlachetniają i wprost do Boga i do tego, co Bożego i po Bożemu jest, prowadzą.

Potęga ducha czasu wpływa jeszcze inną bardzo szeroką drogą, drogą wychowania na *przygotowanie* do tego procesu samobójczego odbywającego się w najgłębszych tajnikach ludzkiego serca. Jak gęsta mgła listopadowa wilgocią swoją przejmie organizm ludzki, tak ten niski, poziomy, zmysłowy duch czasu przesiąka na wskrós organizm ducha ludzkiego i to zaraz od pierwszych początków jego rozwoju, od chwili, w której poczyną być świadomym siebie. W klasach uboższych zarabkujących o wychowaniu nie można mówić na seryo: ojciec wiecznie po za domem, często nałogom oddany, matka obarczona dziećmi, nekana biedą, trapią kaprysami, a często brutalstwem męża, nie wykształcona sama, nie jest w stanie dać tej matczynej, troskliwej, której żadna inna ręka nie zastąpi, edukacyi dziecięciu. Rosną więc te biedne dzieci jak dziczki w lesie, rade, jeżeli głód i pierwsze potrzeby życia zaspokoić mogą, a w dodatku narażone są na demoralizujące wpływy tak zwanych „mieszkań kątem¹⁾.“ Lud wiejski mianowicie wschodniej Galicyi, żyje w takiej ignorancyi i nawet

¹⁾ W grudniu r. z. zdarzył się we Lwowie wypadek, o którym i gazety donosiły, zezadzenia 19 osób, które mieszkały w dwóch pokojach suterenowych a sypiały na 8 tylko łóżkach — między niemi dorośli płci obojej ludzie, narzeczone pary i dzieci od 13 lat do 1 roku życia. Taki sposób mieszkania nazywa się „kątem“, a niepotrzeba wspominać, że jest najzgubniejszy dla wychowania i moralności.

pod względem fizycznego życia na tak niskim zostaje stopniu kultury, że rozprawiać tu o wychowaniu byłoby ironią, a wydarrające się wśród niego, rzadkie zresztą wypadki samobójstwa, rzeczywiście pochodzą jedynie z głupoty albo nałogu pijaństwa. Majetniejsza i zamożna klasa tak zwanej inteligencji i półinteligencji pojmuje wychowanie ze strony tylko efektownej i materyalnie korzystnej; dać dziecku sposób do życia, zapewnić mu karierę w wielkim świecie, aby szumiało i błyszczało, a z tego szychowego wblasku aby też coś spadło i na rodziców, oto całe zadanie wychowania. Jest ono miękkie, zniewieściałe, na budzące się i rozwijające w dziecięciu złe namiętności zbyt pobłażliwe, a co w nim wyższego, Bożego, szlachetne instynkta serca i siły rozumu zostawiające odłogiem. *Tak się wychowuje ogromna większość dzieci klas majetniejszych w rodzicielskim domu.* A w szkole? Niepodobna mi zapuszczać się tu w ocenę systemu szkolnego zaprowadzonego w Prusiech, naśladowanego w Austrii, ale biorąc edukacją szkolną tak jak ona jest de facto, trudno znaleźć coś tak mało loicznego, nie-konsekwentnego, jak wychowanie szkolne, które nadziewając rozum kawałkami wiedzy ludzkiej, nieuczy go *myśleć samodzielnie*, a kształcenie serca, tyle ważne w każdym zawodzie życia ludzkiego, zostawia na opatrność Boską. Wychodzi też ze szkół młodzież z dobrą dozą zarozumiałości o sobie, a w gruncie bez stałych zasad, bez głębokich przekonań, z nieujarzmionemi i nieokiełzanemi namiętnościami, i co najsmutniejsza, bez religii, albo z jakąś religią własnego wyrobu, gutaperkową i elastyczną, wchodzącą w kompromis z każdym błędem, byle śmiało wypowiedzianym i popularnym, i z każdą zbrodnią, byle tylko nie spotkać się za nią z kodeksem karnym. Charaktery to miękkie jak wosk, chwiejne jak trzcina, a niekonsekwentne do najwyższego stopnia; powiedzieć o nich można z Owidiuszem: „et tantum constans in levitate sua.“ Mówię tu o ogóle, boć są przecie i wyjątki, ale i ta wyjątkowość jest zasługą wpływów pozaszkolnych. Dodajmy do tego publicystykę niemoralną i niemądrą, tak trafnie scharakteryzowaną w rozprawie pana St. Tarnowskiego: „królowa opinia,“ owe szeregi tomów lżejszej a jedynej prawie teraz lektury, powieści i romansów, w których sztylet, truczina i rewolwer ważną grają rolę, a samobójstwo albo do godności bohaterstwa wyniesione, albo przy-

najmniej jako nieubłagana, nie odproszona konieczność zbiegu okoliczności i jakiegoś fatum pogańskiego usprawiedliwione, a pojmimy dlaczego dzisiaj spotykamy tak spory zastęp ludzi płytkich, poziomych, nie mających swego zdania i sądu, z sumieniem gutaperkowem, albo i bez sumienia, z jakimś mętne pojęciem o uczciwości i honorze. Cóż dziwnego że nie mając dość hartu i moralnej siły w sobie a widząc wszystko co koło siebie równie mdłe, bezsilne i bezzasadne, nie pojmują zgoła życia, skoro ono stanie się ciężarem nieznośnym i nieznajdują nic lepszego jak zrzucić go z siebie samobójstwem?

Duch ten czasu zatruł swoją niewiarą i fanatyzmem anti-religijnym także „nowszą naukę,” która poczytuje sobie za pewien punkt honoru, nie być w zgodzie z katolicką wiarą. W kwestyi, o której mowa, nowsza nauka usiłuje dowieść, że pismo św., które jest podstawą wszystkich wyznań chrześcijańskich, „stawia wprawdzie Boga, jako władcę życia i śmierci, nigdzie jednak nie potępia wprost samobójstwa,” owszem zdaje się je nawet pochwalać w kilku wypadkach.

Nie mam zamiaru pisać komentarza pisma świętego, ale ponieważ nawet z ust ludzi religijnych i dobrze myślących usłyszeć można powątpiewania o zbrodniczości samobójstwa, coś o tem powiedzieć trzeba.

Podstawą wszelkiego prawodawstwa i krótkim ale nadzwyczaj treściwym i obejmującym wszystko, Boga, państwo, rodzinę i pojedyncze indywidua, kodeksem moralnym jest dekalog czyli dziesięcioro przykazania Bożego. Nie jest on niczem innym, jak tylko sformułowaniem prawa natury, wryty jakby rylcem Bożym na sercu ludzkim, i tylko narody obyczajowo bardzo upadłe i zgoła znikczemniałe, zatrzeć je w sumieniu publicznem potrafią. Otóż jedno z tych przykazań Bożych, piąte z porządku powiada: *non homicidium facies*, nie będziesz zabijał. Patrzymy, jak daleko ono sięga, kto i co jest jego przedmiotem? Według zasad loiki, *propositiones negativae sunt universales*, tj. obejmują cały przedmiot bez żadnej granicy lub określenia. *Nie będziesz zabijał* jest taką *propositio negativa*, a przedmiotem jej człowiek wogóle, bez żadnego ograniczenia, a więc i ja, który przecie jestem człowiekiem. Nie powiedziano: nie będziesz zabijał *blźniego swego*, ale powiedziano bez żadnego zastrzeżenia: nie będziesz zabijał — nikogo, a więc i siebie,

bo i ty jesteś kimś, a więc objęty w ogólnem prawie. To jest, powtarzam, argument fundamentalny — i nie nie potrafi osłabić go. Gdybyśmy nawet wbrew wszelkiej loice przyjąć chcieli, że to prawo *nie będziesz zabijał* tyczy się tylko życia drugich, nie zaś swego własnego, to nie pozwala nam tej hipotezy przyjąć inne przykazanie, kardynalne prawa Chrystusowego: *Będziesz miłował Pana Boga nadewszystko a bliźniego twego jak siebie samego*. Miłość tedy siebie samego jest miarą miłości naszej względem bliźnich, a więc winieniem siebie miłować przynajmniej *tyle ile bliźniego*, jeżeli więc na podstawie piątego przykazania nie wolno mi zabić bliźniego, to tembardziej siebie samego.

Tak rozumie i tłómaczy to piąte przykazanie *nie będziesz zabijał*, najgłębszy myśliciel chrześcijański i ojciec Kościoła Ś. Augustyn, którego powagę i nowsza nauka wysoko ceni. W dziele „de Civitate Dei“ (lib. I. cap. XX.) dowodzi on: „*niema na świecie żadnej powagi, któraby chrześcijanom z jakiegokolwiek przyczyny dawała prawo do samobójstwa*,“ a dowodzi tego z piątego przykazania. Oto słowa jego: „I nie napróżno w świętych kanonicznych księgach nie można znaleźć ani boskiego rozkazu, ani pozwolenia, ażeby albo dla osiągnięcia nieśmiertelności, albo dla uniknięcia jakiegolwiek złego, godziło nam się zabijać samych siebie. Owszem, wzbronione nam to jest prawem, które mówi: *Non occides* nie będziesz zabijał, mianowicie, gdy prawo to nie dodaje: „bliźniego twego“, podczas gdy fałszywego świadectwa zakazując, wyraźnie kładzie „fałszywego świadectwa nie będziesz mówił *przeciw bliżniemu twemu*“. A jednak gdyby kto przeciw sobie fałszywie świadczył, to przecie staje się winnym tego grzechu, albowiem on sam służy za regułę, według której powinien miłować bliźniego, gdyż stoi napisano: „będziesz miłował bliźniego twego jako siebie samego“... O ileż więc bardziej rozumieć należy, że *nie wolno człowiekowi zabić samego siebie*, skoro w onem prawie: *nie będziesz zabijał*, bez żadnego dodatku i zastrzeżenia, nikt, a więc i ten, któremu to prawo dane, nie jest wyjętym ¹⁾.“ Wyjaśnia i do-

¹⁾ Quanto magis intelligendum est non licere homini se ipsum occidere, cum in eo, quod scriptum est: *Non occides* ni-

wodzi dalej, że to prawo nie tyczy się zwierząt, ale samego tylko człowieka: „Przyjąć więc należy, że o człowieku tylko rozumieć mamy, co powiedziano: *nie będziesz zabijał*; ani drugiego, a więc ani samego siebie. Albowiem ten, kto *siebie* zabija, nie co innego, tylko człowieka zabija¹⁾.“

Wszystkie inne teksty przytaczane z pisma św., jako dowód przeciw samobójstwu, są tylko komentarzem Vgo przykazania. Uderza tylko loika „nowszej nauki,“ która przyznając, „że pismo św. stawia Boga jako władcę życia i śmierci“ wnosi, że „ono jednak nigdzie nie potępia *wprost samobójstwa*“. Powtarzamy, dziwna to doprawdy loika. Cóż bowiem czyni samobójca? Oto władzę życia i śmierci przywłaszcza sobie, bo dowolnie niem rozporządza; skoro więc pismo św. na wielu miejscach „stawia Boga jako władcę życia i śmierci,“ to najprostsza loiką wnieść muszę, że potępia samobójstwo. Jakoby pismo św. zdawało się aprobować, pochwalać nawet niektóre wypadki samobójstwa, temu wręcz przeczymy. Ztąd bowiem, że w księgach żydowskich jest w 7 miejscach mowa o wypadkach dokonanego samobójstwa a w żadnym z nich niema śladów oburzenia na mniemaną „niecność czynu,“ nie można wnieść loicznie: a więc księgi te pochwalają, albo przynajmniej nie potępiają samobójstwa. Albowiem księgi „królewskie i machabejskie,“ w których te wypadki opowiedziane, są ściśle historyczne, przytaczają więc fakta jak się stały, nie zapuszczając się w moralną ich ocenę — i nie w historycznych to, ale w prawodawczych jak Exodus, Deuteronomium, szukać należy wyroku pisma św. o samobójstwie. Ten wyrok jest jasny: *nie będziesz zabijał*; (Exod. XX. 13. Deuter. V. 17), sięga daleko, obejmuje wszystko to, co jest człowiekiem, a więc i samego siebie.

„Nowsza nauka“ powołuje się jeszcze na dwa przykłady, w których pismo św. pochwalać się zdaje samobójstwo, na Samsona i Razyasza. Należy zaglądnąć pilniej do ś. Augu-

hilo deinde addito, nullus nec ipse utique, cui praecipitur, intellegatur exceptus. De Civ. Dei. I. 20.

¹⁾ Restat ut de homine intelligamus quod dictum est: *Non occides*; nec alterum ergo nec te. Neque enim qui se occidit, aliud quam hominem occidit.“ De civ. Dei. I. I. c. 20.

styna i do komentatorów pisma św. n. p. do jezuitę Menochiusza. Otóż o Samsonie powiada ś. Augustyn, że on, podobnie jak te święte dziewice, o których czytamy, że nie mogąc inaczej ująć zniewagi, życie sobie odebrały, zabił sam siebie, z wyraźnego natchnienia i rozkazu Bożego ¹⁾. O Razyaszu zaś, którego księgi machabejskie (lib. II. c. 14) wychwalają, że wolał szlachetnie umrzeć, niż pójść w niewolę, i przeciw własnej braci złe knować, to jezuita Menochiusz zgodnie z ś. Tomaszem i z innymi komentatorami, mianowicie z jezuitą Seraryuszem, który w swoich „commentarii in libros sacros“ str. 738—744, na sześciu foliowych stronicach tę kwestyą rozberra, zgodnie powtarzam z nimi śmierć Razyaszową wyraźnemu natchnieniu Bożemu, czyli inspiracyi Ducha św. przypisuje ²⁾, sam zresztą wypadek nacechowany jest jakąś niezwykłą nadnaturalną tragicznością ³⁾, a służyć miał w myśl Bożą za przestrożę i upom-

¹⁾ Quid si enim hoc fecerunt, (sanctae feminae) non humanitus deceptae, sed divinitus iussae, nec errantes sed obedientes, *sicut de Samsonie aliud nobis fas non est credere*. De civ. Dei. l. I. c. 26.

²⁾ Przy słowach „Nobilitate mori“ dodaje Menochiusz: Generosae ut in graeco. *Impulsum fuisse a Spiritu So. ad mortem sibi ultro inferendam, ex eo colligi videtur, quod sacer textus factum non solum narrare sed etiam commendare videtur*. Comment. totius Scrip. I. 595.

³⁾ Demetriusz Seleukus wyprawił wodza swego Nikanora na pojmanie Judy Machabeusza. Gdy mu się to nie udało, pragnął w ręce swe dostać najprzedniejszego po Judzie, Razyasza, „miłośnika miasta, ojca żydów, gotowego wydać duszę i ciało za wytrwanie w zakonie Pańskim.“ Był to więc gorliwy żyd i wielki patriota. Skoro Nikanorowi żołnierze wpadli do domu jego, on „przebił się mieczem“, ale gdy rana nie była śmiertelną, „wzbieżawszy śmieie na mur, mężnie się z góry rzucił na ludzie. Którzy gdy prędko dali plac spadnieniu jego, padł na szyję. A gdy jeszcze dychał, *zapaliwszy się sercem*, powstał: a chociaż krew z niego wielkim strumieniem ciekła, i acz był ciężko zraniony, przeszedł wskok przez lud. I stanawszy na niejakej skale przykryj, gdy go już krew uchodziła, uchwyciwszy obiema rękoma wnętrzności swe, rzucił je na lud, wzywając tego, który jest Panem żywota i ducha, aby mu je zaś przy-

nienie ludowi żydowskiemu, jako przy zakonie Bożym trwać i z pogaństwem bratać się nie powinien.

Daremna praca, jużto w piśmie św. „nowsza nauka“ i jej zwolennicy, nie znajdują żadnego usprawiedliwienia, albo uniewinnienia dla samobójstwa, owszem, spotkają się tam z jasnym, niedwuznacznym, kilkakrotnie powtórzonym prawem, które wprost zabrania samobójstwa, i z szeregiem tekstów, które władztwo nad życiem i śmiercią oddając samemu tylko Bogu, tem samem potępiają samobójstwo. Ale wróćmy się jeszcze do św. Augustyna, w którego dziełach „nowsza nauka“ chce koniecznie dopatrzeć się „pewnej wyrozumiałości przejętej chrześcijańską miłością“ a nawet „uniewinniania“ (sic) samobójstwa. Otwórzmy rzeczone dzieło „De civitate Dei,“ a otworzymy tem skwapliwiej, że znajdziemy w niem lakoniczną, ale też i dziwnie loiczną i jasną odprawę na dosyć rozpowszechnione w społeczeństwie naszym z gruntu mylne teorye samobójcze. W księdze 17 wyraźnie powiada ten św. Doktor, że niegodzi się zabijać siebie z obawy kary albo hańby, „albowiem jeżeli nie godzi się samowolnie zabijać człowieka, chociażby winnego, i żadne prawo na taką dowolność zabijania nie pozwala, to zaiste, kto samego siebie zabija, mężobójcą jest, a staje się tem winniejszy zabijając siebie, im niewinniejszym był w sprawie, dla której zabić się uważał za potrzebne.“ Cóż jaśniejszego nad te słowa: *tanta fit nocentior, cum se occiderit, quanto innocentior in ea causa fuit, qua se occidendum putavit.*“ I dalej argumentując z przykładu samobójcy Judasza mówi: „si Judae factum merito detestamur... quanto magis a sua nece se abstinere debet, qui tali suplicio quod in se puniat non habet,“ jeżeli potępiamy słusznie postępek Judasza — o ileż bardziej powstrzymać się od samobójstwa powinien ten, kto niema nic takiego, za coby taką karę na sobie samym wymierzał. Jestże to *uniewinnianie* samobójstwa, dokonanego wskutek nadmiaru nieszczęść lub hańby? Pójdźmy dalej. W rozdz. 18 i 19 św. Augustyn rozwija kwestyę, którąbyśmy chętnie pominęli, gdyby „nowsza nauka“ nie wносиła z niej, że ten Ojciec Kościoła uniewinnia samobójstwo. Sprowadzić ją można do pytania:

wrócił, a tym sposobem umarł. (II. Mach. rozdział 14. w. 37 — 46).

ażali godzi się ratować dziewictwo i honor niewieści samobójstwem? Już w rozdz. XVI dowodzi ś. Doktor, że gwałt cierpieć, nie znaczy, nań przyzwalać, i dla tego dziewice owe i matrony chrześcijańskie, które podczas prześladowania zostały znieważone, nie utraciły bynajmniej *cnoty* czystości, acz rzecz sama z siebie jest pełną dla nich wstydu i sromoty. W XVIII rozdz. rozwija to zdanie obszerniej i tak rzecz kończy: „Dla tego niema nic takiego, coby na swej osobie karała samowolną śmiercią niewiasta, bez swego przyzwolenia gwałtem znieważona i obcym zesromocona grzechem; tem mniej, nim się to jeszcze stało, z obawy, aby nie popełnić zabójstwa pewnego, skoro jeszcze zbrodnia chociaż obca, jest niepewną.“ Czy to uniewinnianie? W rozdz. XIX rozwodzi się św. Doktor nad samobójstwem Lukrecyi, powiada że poganie „wielkimi wynoszą ją pochwałami,“ chociaż sędziowie piekiel potępić ją muszą, bo nawet według religijnych pojęć pogańskich wieszczów, samobójcy jako potępieńcy nad brzegiem Styksu się błakają. Wykazując tę sprzeczność, figurą retoryczną zapytuje prawodawców i sędziów rzymskich, dla czego nie potępią Lukrecyi? „Gdyby do was, mówi, doniesiono taką zbrodnię i wybyście się przekonali, że nie tylko bez sądu, ale całkiem czystą i niewinną zamordowano niewiastę — czybyście nie wymierzili należytej kary na sprawcę tego czynu? Hoc fecit illa Lucretia; to uczyniła Lukrecya, owa tyle sławiona Lukrecya, która niewinną, czystą i gwałtem znieważoną Lukrecyą zamordowała.“ Jeżeli była winna, „to i w takim razie nie godziło się jej zabijać siebie, skoro mogła u onych fałszywych bogów pożyteczną czynić pokutę.“ Non hoc fecerunt feminae christianae. Nie tak postąpiły chrześcijańskie niewiasty, które doznawszy podobnej (jak Lukrecya) zniewagi, żyją przecie i nie mściły na sobie występku cudzego, ażeby do cudzych zbrodni nie dodały swojej, gdy dla tego, że prześladowca na nich dopuścił się sprośności, one przez wstyd na sobie samych zabójstwa dokonały.“ Gdzież więc ta pobłażliwość dla dziewczic i matron znieważonych, zniewagę samobójstwem okupujących? Jeden tylko wyjątek zgodnie z całym światem katolickim czyni ś. Augustyn, ale wtenczas samobójstwo traci swoją cechę dowolności i występku i staje się rzeczą świętą, bo nakazaną od Boga. Tak jak niegdyś Abraham z rozkazu Bożego gotów był syna

Izaaka zabić na ofiarę i nie było w tem zbrodni zabójstwa, ale zdaniem wszystkich Ojców Kościoła najwyżej spotęgowana cnota posłuszeństwa Bogu, tak niekiedy wewnętrznem natchnieniem Bóg rozkazywał św. dziewicom, aby nie mogąc inaczej dziewictwa swego ratować, życie sobie odebrały. W historyi Kościoła napotykamy kilka tego przykładów.

Ś. Augustyn nie wdaje się w krytyczny rozbiór tej kwestyi; przyjmuje ją jako fakt i dodaje: *Quid si enim hoc fecerunt, non humanitus deceptae sed divinitus jussae, nec errantes sed obedientes*, uczyniły to, nie uwiedzione po ludzku, ale z rozkazu Bożego, i nie zbłądziły w tem, lecz po prostu były posłusznemi,“ (rozdz. XXVI) i na całej stronie rozwodzi się nad wewnętrzną możliwością takiego natchnienia, i nad moralnością postępku, pod taką inspiracją Bożą dokonanego. Chrześcijańskim jednak dziewicom wogóle nie zaleca tego przykładu do naśladowania, owszem w osobnym rozdziale XXVIII, posługując się argumentami z rozumu i ascezy czerpanymi dowodzi tezy, którą w pierwszych dwu wierszach rozdziału umieścił: *non itaque vobis o fideles Christi sit taedio vita vestra, si ludibrio fuit hostibus castitas vestra*. Niech wam, o wierne Chrystusowe dusze, nie będzie ciężarem życie, dla tego, że czystość wasza stała się igraszką prześladowców waszych.“

Najpowszechniejsze, obywatelstwem prawie udarowane jest zdanie, jakoby samobójstwo było czynem odwagi i bohaterstwa. Posłuchajmy, co o tem wielki doktor powiada. W rozdz. XXII dowodzi on, „że samobójstwo nie może być nigdy znamieniem wielkiej duszy,“ że owszem jest dowodem tchórzostwa. *Magis enim infirma mens deprehenditur*, tem słabszego to umysłu oznaką jest, gdy kto znieść nie może albo twardej niewoli, albo niemądrej opinii pospółstwa (*stultam vulgi opinionem*), i nierównie większym nazwać należy umysł, który potrafi znosić pełen nieszczęść żywot, aniżeli uciekać od niego, i wobec świadectwa czystego sumienia, wzgardzić umie opinią ludzką, choćby najbardziej rozpowszechnioną, a najczęściej gęstą mgłą błędu zaciemnioną. Jako komentarz stawia śmierć Katona: „O tym jego postępku co mam innego orzec, jak to, co przyjaciele jego, uczeni także ludzie, i którzy mu czynu tego roztropnie odradzali, powiedzieli, *imbecillioris quam fortioris animi facinus esse*, że był to umysłu słabego, a nie hartownej du-

szy postępek, i dowiedzioną nim była nie uczciwość starająca się przeszkodzić hańbie, ale słabość (duszy) niezdolna przecierpieć przeciwności, sed infirmitas adversa non sustinens. Że sam Kato tak swój czyn osądził, to, dodaje święty Augustyn, najlepszym dowodem jest, że synowi swojemu nie doradzał samobójstwa, ale owszem jakoby testamentem przekazał i polecił mu, aby poddał się cesarowi i zaufał jego łaskawości.

Jeszcze jeden wypadek wspomina św. Augustyn, który w czasach naszych odmienne nieco ma zastosowanie. W rozdz. XXV dowodzi, że „nie godzi się unikać grzechu nowym grzechem.“ Miał tu na myśli grzech w teologicznym znaczeniu, o ile jest obrazą Boga. Dni naszych nie masz tak skrupulatnych i trwożliwych sumień, któreby z obawy popadnięcia w grzech jaki ciężki, narażone były na pokusy samobójstwa — ale za to bywały niestety częste wypadki, że spiskowi i więźniowie polityczni, z obawy, aby w śledztwie nie zdradzić braci, nie popaść więc w grzech polityczny, odbierali sobie życie, a opinia szanując ich poświęcenie, rozgrzeszała od winy, albo nawet uwielbiała, jako męczenników dobrej sprawy. W chwilach wielkich cierpień, albo gorących uniesień społeczeństwa, pobłażliwość ta opinii łatwo da się wytłómaczyć, ale wobec zimnego rozumu w żaden sposób ostać się nie może. „Jeżeli bowiem, słowa są św. Augustyna, ohydny czynem i potępienia godną zbrodnią jest (detestabile facinus et damnable scelus) samego siebie, człowieka, zabijać, któż będzie tak niemądry i powie: już teraz grzeszmy, abyśmy snąc potem nie grzeszyli, teraz już dopuścimy się zabójstwa, abyśmy potem nie popadli w cudzołóstwo,“ (albo zdradę braci).

Zasługuje na uwagę sumaryczna konkluzja tego Ojca Kościoła: „Jeżeli byłaby jaka słuszna przyczyna samobójstwa, to z pewnością ta (obawa grzechu, który jest obrazą Boga i jedynym rzeczywistym złem na świecie). Już zaś gdy i ta nie jest słuszną, to niema zgoła żadnej przyczyny samobójstwa — quia vero nec ista est, ergo nulla est — a więc według św. Augustyna nic, nigdy, w żadnych okolicznościach i danych nie usprawiedliwia samobójstwa.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tym Doktorem i Ojcem Kościoła, bo potęgą swego geniuszu imponuje i „nowszej nau-

ce“ i zmusza ją do uznania prawdy słów jego, byle tylko sumienną być chciała. Ale któż dzisiaj rozczytuje się w podobnych dziełach jak: de civitate Dei? To też zdania przeciwne, apoteozujące albo rozgrzeszające samobójców, krążą w społeczeństwie bezkarnie, zyskują adeptów, i mącąc do reszty już i tak niepewne, chwiejne pojęcia ludzi, w których odbywa się proces samobójczy, przyspieszają go i do wybuchu prowadzą.

(Dokończenie nastąpi).

Stanisław Załęski.

Do „Reformy Stosunków Wiejskich.“

V.

O BUDOWLACH PUBLICZNYCH.

Czy sejm, mający się zebrać w tym roku, odpowie wszystkim nadziejom w nim pokładanym, czy też Kassandra i tym razem słusność mieć będzie, przewidując nową bezowocność obrad sejmowych, a z nią nowe straszne upokorzenia dla nas, przesądzać nie śmiemy a obawiać się nie chcemy; słuszną jednak a sprawiedliwą wydaje nam się rzeczą wołać zawczasu w pismach publicznych o reformę, o reformę ustawy gminnej, a z nią połączoną poprawę stosunków wiejskich, o reformę stosunków administracyjnych czyli o zapełnienie braków i niedostatków, coraz wybitniej wychodzących na wierzch, w miarę jak kraj po siedemnastu latach wolności i współudziału w rządzie coraz jaśniej pojmuje, czego od dobrze zrozumianej i zorganizowanej administracji ma prawo się spodziewać.

Galicja przez lat 100 pozbawiona powietrza, naraz ujrzała się jak w pompie pneumatycznej, do której zaczęto tłokiem wcisnąć wszelkie rodzaje wolności; nie dziw, że ta różnica ciśnienia kilku atmosfer sprawiła zjawisko, które jak w świecie fizycznym zawrotem głowy, tak w świecie zjawisk moralnych pewną chaotycznością wyobrażeń się objawiło i dla-

tego wystawił się nasz kraj na zarzut od swoich i obcych, że żądaliśmy nieraz rzeczy nierozsądnych lub niepodobnych, gdy mogliśmy otrzymać w tym samym czasie z łatwością rzeczy nam najpotrzebniejsze. Możemy też i wytrzeźwiali, w każdym razie przy wyborach do sejmu słyszeć się dały zapatrywania na sprawy nasze, proste, trzeźwe i możliwe, a co ważniejsza, zapatrywania te zyskiwały dla osób zkądinąd nie sympatycznych jednomyślność głosów wyborczych, co dowodzi, że w powietrzu u nas jest pewien zwrot do rzeczy potrzebnych, praktycznych i że ogół czeka i spodziewa się sformułowania w tym względzie żądań i nadziei tkwiących na dnie u wszystkich, a potrzebujących ujęcia w jasny dobitnie określony program.

Otóż cechą charakterystyczną Galicyi do ostatnich czasów, cechą, która ją bardziej odróżnia od reszty cywilizowanego świata, niż „warme Würstel“ pana Franzosa, jest nieład i nieporządek, który podobno zanadto jest uderzającym, by się nad nim potrzeba rozwodzić. Począwszy od obdartych fiaków i tragarzy na dworcach kolei żelaznych, aż do walących się mostków i drzewek wiecznie wyłamanych przy naszych drogach, widać wszędzie orgie nieładu, a składać tego na polskie gospodarstwo nie można, bo przed 17 laty było tak samo i w innych prowincjach monarchii nie jest o wiele lepiej. Nie! Z czystem sumieniem możemy sobie przyznać, że ani w Księstwie warszawskiem, ani w Królestwie polskiem aż do 1863 roku tak nie było; że zatem wina na kim innym ciąży, nie na nas. Wina ciąży na tych, którzy przez lat 90 wszelkie żywioły rozkładu i nieładu podsycali i wspierali, a potem jak nieład przez nich zaszczipiony im samym ponad głowy wyrastać zaczął, odstąpili go autonomii galicyjskiej do „daleszego urzędowania i kompetentnego traktowania.“

Wyjść z tego nieładu trzeba raz koniecznie, ażeby rozkładowi tamę położyć — luźne i rozłożone pierwiastki zapomocą energicznego odczynnika połączyć i skryształizować w jedną organiczną i żywotną całość, oto zdaniem naszym pierwsze zadanie wszystkich, co krajowi naszemu dobrze życzą. Za dobrym rządem, za dobrą i surową administracją idzie i dobra, zdrowa gmina, i dobra i surowa policja, i dobry, słuszny,

skuteczny, cywilizujący rozkład robót publicznych, o którym to ostatnim obecnie mówić zamierzamy.

Nie pierwszy raz zwracamy się do tego ulubionego dla nas przedmiotu w *Przeglądzie Folskim*, a 7 lat ostatnich nie zmieniły o wiele naszych zapatrywań. Przekonanie nasze było i pozostało, że dobrze obmyślany i energicznie przeprowadzony plan robót publicznych w Galicyi może się więcej przyczynić do ucywilizowania i podniesienia naszego kraju, niż niejeden program z dziedziny wysokiej polityki, niż niejedna pożyczka głodowa lub bezprocentowa zapomoga. Każdego, co by o tem powątpiewał, zapraszamy, by w latach nienrodzaju, jakie się coraz częściej u nas trafiają, przejechał przez okolicę, gdzie się droga krajowa buduje — tam nędzy nie widać, tej złej i moralności wrogiej poradniczki; tam widać ludność zadowoloną, która nie myśli wynosić się na Ukrainę lub emigrować do Ameryki; tam przez wiosnę zarobek dostateczny pozwala doczekać do żniw, bo „pieniądze we wsi się zostają;“ tam nie ma narzekania na „rządy pańskie,“ gdy pan inspektor drogi krajowej gotówką robotę wypłaca; tam się wyradza przekonanie, że podatek zapłacony a wracający do wsi pod postacią zapłaty za roboty wykonane nie jest krzywdą o pomstę do nieba wołającą, że jest owszem dobrem ziarnem, które dobry plon wyduje.

Gdybyśmy chcieli z Galicyi na szersze wyjść pole, znaleźlibyśmy może, że środek ten robót publicznych jako czynnik cywilizacyjny dość dawno był znany, że kanalizacja Nilu zrobiła z Egiptu spichrz świata, że cesarstwo rzymskie w podbitych prowincjach legionami w czasach pokoju budowało drogi i stawiało mosty; że Francya, póki się konsolidowała w jeden wielki jednolity naród, w ślad za swymi sztandarami i kodeksem wprowadzała inżynierów i umiała tak amalgamować zaanektowane prowincye, że te bardziej francuskiemi się stawały, niż sam rdzeń z Paryżem na czele; że wreszcie Prusy winny w części swoją pomyślność sieci dróg bitych i dróg żelaznych, kanałom i skanalizowanym rzekom i że doszły do tych rezultatów bez miliardów jeszcze w kraju z natury ubogim, przez trzydziestoletnią wojnę podupadłym i wyludnionym, dzięki jedynie dobremu pojęciu interesów ekonomicznych i sprężystej a uczciwej dawnej swej administracyi.

Z nowoczesnych państw jedna Austria nie zrozumiała, że jednym z najdzielniejszych sposobów cywilizowania, przyciągania i asymilowania ludności a zarazem podniesienia jej dobrobytu, są roboty publiczne. Ogarnąwszy jedną z najpiękniejszych dzielnic Rzeczypospolitej, stworzyła w niej administrację, która wybierała rekruta i podatki, waśniła stany i coś więcej jeszcze, wykonywała policję nad myślami i nad kategorią przestępstw i zbrodni politycznymi zwanymi, ale interesa ekonomiczne i materialne Galicyi pozostawiła własnemu przemysłowi ludności, starając się tylko, by tenże nigdy nie zakwitł i nie dojrzał; nie też dziwnego, że jak to tyle razy powtarzano, urzędy w Galicyi z nazwy i czynności były politycznymi, ale administracyjnymi nie były i nie są. Co więcej, jedna Austria ze wszystkich państw nowoczesnych nie miała i nie ma dotychczas ani ministerstwa robót publicznych, ani nawet dyrekcyi robót publicznych, przydzielonej jako osobna dykasterya do ministerstwa spraw wewnętrznych, ale każdy z głównych działów budowy publicznych przydzielono do innego ministerstwa: drogi żelazne z osobną dyrekcją do ministerstwa handlu, budowie lądowe i wodne do ministerstwa spraw wewnętrznych i to jeszcze w osobnych oddziałach dla poszczególnych krajów koronnych. — Co się z takiego podziału pracy zrobiło, łatwo zrozumieć: służba techniczna pozbawiona jednolitego kierunku, nigdy w Austrii, tem mniej w Galicyi zorganizowaną nie została; na referentów dla spraw wodnych brano dawnych komisarzy drogowych, na inżynierów po starostwach mianowano najczęściej techników bez wykształcenia, zaledwie jaką taką praktykę posiadających; płace mniej niż mierne, szanse wyższego awansu żadne, wpoili w służbę techniczną rządową przekonanie, że pracować dobrze nie warto, studyów robić nie potrzeba, bo nikt na to u góry nie zwraca uwagi, najlepiej zostać na niższym stopniu i.... „użyć świata, póki służą lata.“

To też roboty publiczne w Austrii, gdyby danem było komu wysledzić, wiele kosztują rzeczywiście, okazałyby się najdroższymi w całym świecie pomimo szczupłości kredytów na nie udzielanych, a to dlatego, że za pieniądze jakkolwiek nie wielkie nic lub prawie nic się nie robi; co się na brzegu rzeki zrobi jednego roku, to drugiego roku woda weźmie, co

most postawią, to go woda podmuli i wywróci, a cóż dopiero powiedzieć o niektórych drogach cesarskich, których profil może służyć za wzór, jak droga nie ma wyglądać, a gdzie w biały dzień cięższym pojazdem jechać niepodobna.

Gdybyśmy mogli liczyć na to, że te kartki będą czytane przez niektórych urzędników z nami zaprzyjaźnionych, przypomnielibyśmy im, jak sami do nas się udawali z błagalną prośbą, by artykułem lub korespondencją w jednym z dzienników krajowych wyjednać na tej nic mniej jak urzędowej drodze, pozwolenie z namiestnictwa do sprawienia pługa do odgartywania śniegu na drodze cesarskiej, po której z powodu zasp śniegowych do miasta powiatowego nawet z podatkiem dostać się nie było można.

Cóż nakoniec powiedzieć o tej nieporadności czy wyraźnej złej woli w Wiedniu, z powodu której ś. p. namiestnik nie uzyskał nigdy dla Galicyi liczniejszej służby technicznej nad 100 techników, kiedy ich etat najskromniej na 145 był preliminowany; co powiedzieć o tych kredytach na budowę wodne w Galicyi skąpą ręką udzielanych, które chyba na to izba wotuje, by nieznających wyższej matematyki nauczyć, jaka jest rzeczywista wartość nieskończenie małych ilości; cóż nakoniec o tych lasach, niszczonych pod bokiem siedziby naszych władz administracyjnych mimo wszelkich patentów, przepisów i ustaw, a przekonywujących, że ustawy u nas pisze i uchwała się chyba „pour l'amour de l'art,“ czego nowym dowodem ustawa o policyi polowej, od 1go października 1876 r. obowiązująca, o której wprowadzenie w życie w dobrze znanych nam powiatach toczy się akademiczna korespondencya między c. k. Starostwem a świetnym Wydziałem Rady powiatowej, ale do której rzeczywistego przeprowadzenia kroku jednego na seryo w owych powiatach nie zrobiono.

Możnaby mnożyć w nieskończoność cytacye, przykłady i opowiadania jedne śmieszne, drugie smutne, trzecie doprawdy gorszące, a wszystkie schodzące się w jednym pewniku: mianowicie, że w Austrii nie zrozumiano nigdy interesów ekonomicznych państwa i krajów koronnych, i że zapomniano o tej elementarnej prawdzie, że rozwój i pomyślność gospodarstwa jednostki kraju czy państwa, polega na wkładach i melioracyach procentujących się i na dobrej organizacji administra-

cyjnej, bez których to warunków wyradza się w każdym gospodarstwie naprzód zastój, potem rozstrój, wreszcie upadek. Pilno nam jednakowo przejść pobieżnie historią tego, co w Galicyi po usamowolnieniu naszego kraju, t. j. od r. 1866 pod względem budowy publicznych zdziałano, co opuszczono i coby nadal naszym zdaniem czynić należało.

I.

Gdy reprezentacja krajowa znalazła się, lat temu jedenaście, wobec zadania reorganizacji kraju i uchylenia nieustającego od r. 1848 prowizoryum, drogi przedstawiły się jako pierwsze i najpilniejsze dla ustawodawcy zadanie, a kraj cały jak teraz tak i wówczas oczekiwał od sejmu uchylenia plagi złych dróg, z pod której część większa jego produkcyi wydźwignąć się nie może. Stan rzek dotkliwy tylko dla jednej części kraju, a i w tej części nie wszystkim jednakowo dolegający, nie wzbudzał tyle zajęcia co stan dróg, który wszędzie i dla wszystkich był już nie do zniesienia.

Urzędy powiatowe ówczesne, tak zwane becyrki, mniej niż kiedykolwiek troszczyły się wówczas o wykonanie obowiązujących ustaw, mianowicie ustawy z dnia 13 marca 1855 roku o konkurencyi do dróg krajowych, i ustawy z dnia 5 grudnia 1857 r. o gościńcach obwodowych; drogami gminnymi i poprzednio bowiem mało się kto zajmował, chyba wyjątkowy jaki naczelnik, rozumiejący już wówczas, że patriotyzm od poprawienia dróg we własnym powiecie zaczynać się powinien.

To też sejm party głosem powszechnym, że coś zrobić należy, uchwalił może nieco pospiesznie ustawę z dnia 18 sierpnia 1866 r., nad którą od owego czasu tyle krwi i tyle atramentu ludzie sobie napsuli. Na mocy tej ustawy mamy trzy kategorie dróg, odpowiadające podziałowi administracyjnemu naszego kraju, t. j. drogi krajowe, powiatowe i gminne, a zarazem określoną została kompetencya władz krajowych reprezentacyi w przedmiocie nadzorowania, czuwania i przestrzegania budowy i utrzymania dróg ustawą objętych.

Wydział krajowy wziął się też niezwłocznie do pracy i najłatwiejsze też miał zadanie; rozrządzając znacznemi bo krajowemi funduszami, pewien, że sejm nie odmówi kredytów żądanych na drogi powszechnie za niezbędne uważane, mógł Wydział krajowy rozwinąć odrazu widoczną czynność i trzeba przyznać, że poła nie zależał. Odebrał od c. k. władz drogi krajowe w dość nędznym stanie, z profilem poprzecznym wadliwym, ze spadkami niemożliwemi zwłaszcza w okolicach górzystych, z mostami i przepustami w mniej niż średnim stanie, a na domiar złego, drogi krajowe w wielu miejscach pozaczynane, nie dokończone, z robotami ziemnymi od lat kilku niezabezpieczonemi, przedstawiały obraz nieładu i niedołęztwa administracyjnego. Pod wpływem rozwiniętej przez Wydział krajowy energii, po latach dwóch czy czterech widać było znaczny postęp; Wydział krajowy stworzył służbę drogową rzeczywiście z niczego, a nie znajdując dostatecznych żywiołów w Galicyi, czy też nie zadawalniając się nimi, przyjął wiele młodych ludzi z emigracyi z 1863 r., którzy świeżo nauki we Francyi, Belgii i Szwajcaryi byli pokończyli. Nowy jakiś nie znany dotąd duch wstąpił w to nowe ciało; ludzie ci przynieśli ze sobą brak rutyny biórokratycznej, ale za to pewien zasób wiedzy i energii, na której c. k. inżynierom zawsze brakowało. Wykończono przerwane budowy, zarządzono nowe, przerobiono stare i wadliwie wykonane; zamiast stosów papieru i bibuły przynosili młodzi inżynierowie ze sobą instrumenta niwelacyjne i miernicze, które Wydział krajowy zakupił; instrukcyje krótko, zwięźle, jasno, na francuzki sposób zredagowane, wreszcie o dziwo! ukazały się walce żelazne do walcowania świeżo nasypanego pokładu żwirowego, rzecz pierwszej nie znana na drogach galicyjskich, gdzie zawsze szuter kołami wozowemi lub ludzkiemi kośćmi się ucierał. Przedsiębiorców miał początkowo Wydział krajowych i lichych i podobno nie bardzo ucziwych, ale i pod tym względem po kilku latach znać było postęp; robota we własnym zarządzie pod kontrolą inspektorów drogowych, z grona obywateli okolicznych przez Wydział krajowy mianowanych, wzięła górę w zasadzie nad oddawaniem roboty przedsiębiorcom; i dziś po latach dziesięciu drogi krajowe z małemi wyjątkami przedstawiają obraz rzeczy udatęj, porządnie prowadzonej, za którą przed nikim

wstydzić się nie potrzebujemy. Przez lat dziesięć w służbie drogowej i w biurach Wydziału krajowego nie słyhać było ani o defraudacjach ani o dyscyplinarnych śledztwach, a ustępki, jakie były i być mogą, są to rzeczy nie odłączne od spraw ludzkich wogóle, galicyjskich w szczególności, a które niczyjemu honorowi ani uczciwości nie ubliżają.

Zdaje nam się, że jeżeli dalsza budowa dróg krajowych na tych samych podstawach co dotąd, bez zbytniego pośpiechu ani opieszałości będzie prowadzoną, doczekamy się porządnej sieci dróg krajowych, która bez obarczenia kraju nadto wielkimi ciężarami z czasem słusznym wymaganiom produkcji i handlu zupełnie zadość uczynić potrafi; zdaje nam się również, że Wydział krajowy tyle dał dowodów wytrawności i zdolności w zarządzaniu drogami krajowymi, że c. k. rząd śmiało mógłby mu oddać w administracyą drogi t. z. cesarskie, które znacznemi funduszami zasilane, mogłyby być podpórą dla budżetu dróg krajowych przez stosowny rozdział kredytów między jedne a drugie. Gorąco też popieralibyśmy podobny wniosek, gdyby wyszedł od Wydziału krajowego, boć tenże ostatecznie najlepiej osądzić potrafi, czy posiada dostateczny aparat administracyjny, by zarząd dróg państwowych połączyć z drogami krajowymi, i czyli fundusze, któreby rząd w takim razie odstąpił, zrównoważyłyby ciężary, jakieby przypadły na rzecz budżetu krajowego.

Lecz jeżeli działalność władz autonomicznych w przedmiocie dróg krajowych w dość korzystnem od lat dziesięciu przedstawia się świetle, to los stworzony ustawą z r. 1866 drogom powiatowym mniej był do pozazdroszczenia. Powiaty bowiem odbierając od c. k. władz dawne drogi obwodowe, które na mocy ustawy drogami powiatowymi zostać miały, znalazły się wobec zadania, któremu ani środki finansowe powiatów, ani siły umysłowe przeważnej ilości rad powiatowych sprostać nie zdołały. Pokazało się, że świeżo po r. 1866 utworzone powiaty były geograficznie za małe, materyalnie zanadto ubogie, by sobie z drogami ich pieczy poruczonemi poradzić; do rad powiatowych weszli w większości ludzie nowi, którzy z administracyą nigdy lub mało kiedy się byli zetknęli, w większości bardzo poważnej zasiedli włościanie, którzy z nieufnością przystępowali do prac podejmowanych; wreszcie krótki

okres trzechletni, po którym cała reprezentacja powiatowa odnawiać się miała, stawiał przeszkodę ciągłości i jednolitości administracyjnej, bez której drogi porządnie budowane i utrzymywane być nie mogą. Ustawa sama nakoniec zbywała ogólnikiem „pokrycia kosztów“ dróg powiatowych stanowiąc w § 11, że „koszta budowy i utrzymania dróg powiatowych ciężą na funduszach właściwego powiatu.“ Nie powiedziano jednak, gdzie tych funduszy szukać należy, i jak takowe obmyślać, bo znosząc dawny system konkurencyjny dla dróg obwodowych obowiązujący, odejmowano prestacyą w naturze drogom powiatowym, a zostawiając Radom powiatowym wolność uchwalania lub odmawiania dodatków do podatków na drogi powiatowe, zostawiano los tychże na łasce przypadkowej większości, która wielokrotnie i w wielu powiatach zwłaszcza z początku wręcz odmówiła wszelkich kredytów na najpotrzebniejsze wydatki. Z tycho przyczyn powiaty wpadły w chaos drogowy, z którego bez radykalnej zmiany w ustawodawstwie i w zastosowaniu tegoż wyjść nie potrafiały; tu droga zaczęta, lecz nie wykończona w granicach własnego powiatu, tam droga powiatowa dociągnięta do granicy sąsiedniego powiatu urywa się nagle, bo powiat X nie chce dalej drogi prowadzić, którą powiat Y za potrzebną uznał, owdzie roboty ziemne bez mostów i kamiennego pokładu, gdzie indziej paradne mosty ciosowe bez drogi, wszędzie zaś myta, bo o te najłatwiej, i słupki milowe lub kilometryczne, by każdy dokładnie wiedział, na jakiej mili uwiązł.

Gdybyż bo przynajmniej tym nieszczęśliwym drogom powiatowym dostała się była choć część owych sześciu dni, które na mocy § 12 drogom gminnym przypadały, a które doprawdy tyle „hałasu o nic“ narobiły. Te sześć dni „od numeru domowego w gminach wiejskich“ stały się szkopułem, o który omal cała nawa młodej naszej autonomii się nie rozbiła. Chłopi wszędzie w całej Galicyi ze stanowczością i solidarnością godną lepszego losu oparli się tej prestacyi w naturze, która w sobie ostatecznie nic zdrożnego nie zawierała, prócz tej zaiste ważnej okoliczności, że obszary dworskie od niej były uwolnione. Zaprzeczyć się nie da, że ów osławiony § 12 stanowi pewnego rodzaju niesprawiedliwość, wymagając jednakowej prestacyi od różnych stopni zamożności u włościan

a uwalniając od niej obszary dworskie, i że równie wadliwy jest § 14 ograniczający „prestacyą w naturze do terytorium „gminy wraz z obszarem dworskim jedną stanowiących miejscowość,“ gdyż dostarcza ilość dni najczęściej niedostateczną do utrzymania drogi bardzo uczęszczanej, lub zbyt wąską, gdy prestacya ma być użytą do drogi, po której nikt nie jeździ. Pomimo tych niedostatków jednak, prestacya w naturze określona temi paragrafami, dla tego, że nie pozostawiała w mglistej niepewności „kosztów budowy i utrzymania dróg gminnych“ jak się to stało z drogami powiatowemi, i dla zdrowej zasady, z której wyszedł ustawodawca, nakładając prestacyą w naturze na warstwę ludności, która czas swój wiecznie marnuje a czuje wieczny brak gotówki, dla tych powodów powtarzamy, owa prestacya tak okrzyczana stała się z czasem prawdziwym dobrodziejstwem dla niektórych zbyt rzadkich niestety powiatów lub okolic, gdzie energia prezesa, wydziału lub inspektora drogowego potrafiła przekonać chłopów o potrzebie naprawy dróg gminnych i opatrzenia takowych pokładem żwirówym.

Bo też Bogiem a prawdą prestacya wymagająca od numeru domowego sześciu dni roboczych w gminach wiejskich w ciągu roku, i podobnie sześciu dni od ludności miasteczek według ilości rodzin nie ma w sobie nic dla ludności przeciążającego, w kraju, gdzie chłop marnuje najmniej 52 dni do roku na jarmarku, nie rachując odpustów, chrzcin, wesel i innych przyjemności. Prosimy tylko porównać ustawę naszą z ustawą francuską z 28 lipca 1824 r., na wzór której projekt nowej ustawy wypracowany przez Wydział krajowy ma być ułożony, a przekonamy się, że ustawa sejmu galicyjskiego z r. 1866 bynajmniej chłopu naszego w egipskiego fellaha zamienić nie myślała.

Art. 3 ustawy francuskiej z r. 1824 wkłada obowiązek odrabiania do dróg wycinalnych „na każdego mieszkańca gminy, „czy tenże jest właścicielem, zarządcą, dzierżawcą lub kolonistą, tytułem prestacyi po dwa dni robocze za siebie i za każdego ze swych synów z nim mieszkających; jak również za „każdego ze swych sług męskich, byle jedni i drudzy byli „zdolni do pracy i mieli po dwadzieścia lat wieku skończonych.

„Odrabiania najwyżej po dwa dni od każdego zwierzęcia „pociągowego i jucznego, od każdego konia wierzchowego i „cugowego, również od każdego wozu będącego w jego posiadaniu“.....

Art. 4 tejże ustawy opiewa: „W razie, gdyby powyższe „środki nie były wystarczające, można wymagać od każdego „opodatkowanego aż do 0,05 fr. dodatku do 1 fr. podatku bez- „pośredniego przez niego opłacanego“.

Zauważyć musimy, że maximum prestacyi ograniczone ustawą z r. 1824 do dni dwóch, zostało podniesione ustawą z 21. maja 1836 r. do dni trzech, a wreszcie naznaczone na dni cztery ustawą z 11. lipca 1868 r.

W sprzeczności z § 14. naszej ustawy odbywa się prestacya we Francyi: „we własnej gminie lub gminie sąsiedniej, „jednakowo w odległości takiej, by robotnik po ukończonej „pracy dziennej mógł zawsze powrócić do domu na noc.“ Zasadnicza zaś prawdziwie różnica między naszą ustawą a ustawą francuską przebijają się, gdy weźmiemy na uwagę § 15. naszej ustawy i porównamy go z art. 4. ustawy francuskiej z 21 maja 1836.

§ 15. brzmi: „Przy wykonaniu prestacyi ciągłej i pie- „szej winna *ile możliwości* wskazana być robota, jaka w jednym „dniu ma być uskutecznią.

Art. 4. ust. franc. z 21. maja 1836 opiewa: „Prestacya „*będzie ocenioną w pieniądzach* stósownie do wartości dnia „roboczego naznaczonej corocznie w gminie przez radę gene- „ralną departamentową odnośnie do wniosków rad okręgowych“
i dalej w ustępie trzecim:

„Prestacya nie uiszczona gotówką, może być zamienioną „na robotę wydziałową, na podstawie obrachunku robót wy- „konanego przez radę gminną.“

Na pierwszy rzut oka więc widzimy, że ustawa francuska o wiele więcej obciąża ludność francuską, niż nasza galicyjską; pomimo to jednak nie natrafiła na zacięty opór u swoich jak nasza; przyniosła ona Francyi w przeciągu lat 50, według raportu ministra spraw wewnętrznych z 31 grudnia 1872 przestrzeń 548503 kilom. dróg bitych. Szukać przyczyn niechęci, jaką nasza ustawa u naszego ludu wzbudziła, długo zaiste nie potrzeba; jedną z nich niezaprzeczenie było uwolnienie

dworów od prestacyi, prócz tej jednej zaś były i inne, mianowicie wrodzone próżniactwo naszego chłopca, który woli iść na jarmark lub siedzieć w karczmie, niż pracować około rzeczy pożytecznej, która jemu w jego ciasnych egoistycznych pojęciach „pańskim wymysłem“ się być wydaje. Wreszcie administracyjne stosunki w Galicyi przez lat 90 były tego rodzaju, że przyzwyczaiły chłopca te tylko polecenia władz uważać za obowiązujące, które jego złym instynktom pochlebiały, wszelkie zaś inne przepisy i ustawy wzbudzają w nim tylko niechęć lub apatya.

Wracając do porównania rezultatów ustawy francuskiej z naszemi, trzeba przyznać, że we Francyi postarano się inaczej, niż u nas, o zapewnienie ścisłego wykonania ogólnych postanowień ustawy drogowej; to też prestacye w naturze do dróg wicynalnych we Francyi przedstawiają wartość 53 milionów franków, a zawdzięcza to Francya swej czujnej i sprężystej administracyi, która się nie zadowolniła ogłoszeniem ustawy, ale wydała szereg objaśnień i rozporządzeń, tak co do zakresu działania wszystkich organów państwowych i gminnych, jako też co do prowadzenia rachunkowości, sporządzania tabel prestacyjnych, utworzenia służby technicznej dla dróg wicynalnych itd. itd. Powołujemy się na znaną nam: „Instrukcyą „ogólną o służbie dróg wicynalnych, obowiązującą od 1go stycznia 1871 na mocy rozporządzenia ministeryalnego z 6 grudnia 1870“ i na regulamin departamentowy pod tytułem „Regulamin ogólny dla dróg wicynalnych prefektury....“

W tych instrukcyach i regulaminach przewidziała administracya wszelkie poszczególne wypadki: „klasyfikacyi, otwierania nowych dróg, sprostowania i ulepszenia dawnych, rozdziału dróg wicynalnych na drogi głównokomunikacyjne i lokalne.“ Przepisy są tak dokładne, że oznaczają każdego roku czas, w którym pewne czynności mają być wykonane. Nie możemy się oprzeć pokusie zacytowania kilku ustępów, by uwiarygodnić różnicę pieczołowitości administracyi francuskiej a naszej.

I tak regulamin powyżej wymieniony w tytule III rozdziale I tak opiewa:

„Art. 62. Aby ułatwić Radzie departamentowej oznaczenie prestacyi gmin do dróg głównokomunikacyjnych, przygo-

„tuje drogomistrz w ciągu miesiąca marca ogólny przegląd „potrzeb każdej drogi na rok następny. Oznaczy on ilość pre- „stacyj w naturze i dodatków do podatków w pieniądzach, „jaką gminy będą musiały dostarczyć.“

„Art. 63. Od 1 do 15 kwietnia każdego roku drogomistrz „okręgowy sporządzi przegląd oznaczający: położenie dróg wi- „cynalnych, gminnych i głównokomunikacyjnych; wydatki po- „trzebne na utrzymanie i dokończenie tychże dróg; środki „w robocie i w pieniądzech potrzebne do pokrycia tychże wy- „datków.“

„Etat ten sprawdzony przez drogomistrza departamen- „towego, będzie przesłany naczelnikowi gminy, w celu przed- „łożenia takowego Radzie gminnej na sesyi majowej pod za- „grożeniem przewidzianem w art. 5 ust. z 21 maja 1836 r.“

„Art. 64. Podczas sesyi majowej Rada gminna ma uchwa- „lić wydatki proponowane na rok następny dla dróg główno- „komunikacyjnych, jakoteż i te, które przeznaczy dla zwykłych „dróg gminnych..... zarazem Rada gminna zostanie wezwana „o przyjęcie taryfy zamieniającej prestacyą na robotę wydzia- „łową.“

„Uchwała Rady gminnej zostanie przedłożoną prefektu- „rze w 15 dniach po zamknięciu sesyi. Drogomistrz departa- „mentowy będzie zawezwany do oświadczenia swego zdania co „do powyższej uchwały, która to uchwała stanie się prawo- „mocną, skoro ją zatwierdzi Rada departamentowa co do dróg „głównokomunikacyjnych, a prefekt co do zwykłych dróg gmin- „nych. Poborca podatkowy zostanie zawiadomiony o zatwier- „dzeniu uchwały dotyczącem dni prestacyjnych i centymów „dodatkowych.“

Musielibyśmy rozszerzyć po za ramy zwykłego artykułu naszą pracę niniejszą, gdybyśmy chcieli cytować ważniejsze tylko ustępy regulaminu, z których wiele dałoby się żywcem zastosować u nas, gdyby rząd chciał u nas rządzić, w niczem zresztą samorządowi uszczerbku nie czyniąc; niech nam wolno będzie jednak przytoczyć kilka ustępów z tytułu II regula- minu, oznaczającego sposób wykonania prestacyi.

„Art. 20. Każdego roku rozporządzenie prefekta oznaczy „czas, do którego roboty prestacyjne mają być ukończone przy

„drogach wicynalnych głównokomunikacyjnych.... prestacye „muszą być wykonane w roku, na który zostały uchwalone.“

„Art. 21. Obowiązani do prestacyi winni się znajdować „przy robocie od wschodu do zachodu słońca w każdej porze „roku; sama jednak robota winna nie trwać dłużej nad 12 „godzin. Czas przeznaczony na pożywienie i spoczynek nie powinien trwać dłużej nad 2 godz. dziennie.

„Art. 27. Obowiązany do prestacyi winien ze sobą przy- „nieść do roboty narzędzia wskazane mu na doreczonem we- „zwaniu.

„Art. 30. Dzień prestacyi tylko wtedy będzie uważany „jako odrobiony, jeżeli dozorca uzna, że dzień był dobrze „użyty. W przeciwnym razie porachuje się obowiązanemu do „prestacyi tylko ułamek dnia, podczas którego pracował.

„Dozorca oznaczy na wezwaniu *in dorso* ilość i jakość „dni lub ułamków dni, które obowiązany do prestacyi odrobił. „Poświadczy on to samo na wykazie, który jemu do użytku „oddany został. Spory, jakieby z tego tytułu wynikły, roz- „strzyga naczelnik gminy i drogomistrz okręgowy, a w razie, „gdyby ci dwaj się nie zgodzili, rozstrzyga je prefekt po przed- „stawieniu sprawy przez drogomistrza departamentowego z za- „strzeżeniem prawa rekursu do władzy wyższej.

Winniśmy jeszcze zwrócić uwagę na stanowisko i zakres działania organów technicznych, tak zwanych „agents voyers,“ których nazwaliśmy drogomistrzami dla odróżnienia ich od inżynierów dróg i mostów, pełniących służbę przy drogach narodowych i departamentowych (*routes nationales et départementales*). Ci ostatni tworzą korpus osobny, w którym mianowania od ministra robót publicznych wychodzą. W celu stworzenia dla dróg wicynalnych służby tańszej i bardziej, że się tak wyrazimy, miejscowej, nadaje ustawa z dnia 21 maja 1836 prefektowi prawo mianowania drogomistrzów, którzy według podziału administracyjnego francuskiego dzielą się na drogomistrzów okręgowych (*d'arrondissement*) i gminnych (*de canton*), mających na czele drogomistrza departamentowego (*agent voyer en chef*). Rada departamentowa oznacza: płacę drogomistrzów, warunki przyjęcia, i sposób mianowania tychże; wolno jej do tej służby użyć organów rządowych dróg i mostów za osobnem wynagrodzeniem, lub wybrać ludzi po za

tym korpusem; dróżnicy (*cantonniers*) zostający pod rozkazami drogomistrzów są mianowani przez prefekta dla dróg wicynalnych głównie komunikacyjnych za zezwoleniem gmin lub bez ich zezwolenia. Prefekt mający kierownictwo dróg wicynalnych stosownie do uchwał rady departamentowej, musi czuwać nad wykonaniem tychże uchwał i ztąd służy mu powyższe prawo. Wyznacza on płace dróżników i ma prawo odwołania takowych. (*Traité pratique de la voirie vicinale etc.* par Eugène Guillaume. Paris 1877).

Jeżeliśmy się tak rozszerzyli nad organizacją służby dróg wicynalnych we Francyi, nad sposobem uchwalania kredytów, nad środkami obmyślanemi dla sumiennego wykonania pre-stacyi, to dlatego żeśmy uznali za potrzebne wykazać jakim sposobem osiągnięto owę imponującą wartość 53 milionów franków, jaką prestacye gminne rocznie we Francyi wynoszą; dodać winniśmy, że dodatkowe 5 centimów przedstawiają w sumie również ładną cyfrę bo 20 milionów rocznie, a gdy te olbrzymie środki okazały się jeszcze nie wystarczające do wykończenia sieci dróg wicynalnych, państwo na mocy ustawy z 11 lipca 1868 r. art. 1, 4, 6 i 9 i ustawy z 25 lipca 1873 przyszło w pomoc gminom 1) za pomocą subwencji 100 milionowej spłacalnej w 15 latach; 2) za pomocą subwencji 15 milionowej w podobnym czasie amortyzowanej; 3) za pomocą trzeciej subwencji mającej wynosić aż 200 milionów franków spłacalnych w 30 rocznych ratach, przeznaczonych dla wsparcia gmin i departamentów, któreby swoją sieć dróg wicynalnych uzupełnić chciały.

Znamy my dobrze różnicę położenia i nie łudzimy się nadzieją, by dla dróg gminnych i powiatowych w biernej Galicyi państwo subwencji udzielało; ale możnaby się zapytać bez obrażenia c. k. władz, czy i jakich środków administracya rządowa u nas użyła by zapewnić wykonanie ustawy drogowej z roku 1866; czy wydano z ministerstwa instrukcye do władz krajowych i w jakim brzmieniu; czy ułożono jakie wykazy prestacyjne, czy obliczono, wiele prestacye rocznie wynosiły, czyli czuвано nad sumiennem wykonaniem tychże, i czy wyrachowano, wiele dni i ułamków dni się zmarnowało? A przecież „przeprowadzenie ustawy jest poleczone ministrowi

spraw wewnętrznych," a § 30 wyraźnie orzeka, jakie prawa i obowiązki mają odnośne władze.

A przecież warto było spróbować choć przez rok jeden, coby się było za owe sześć dni prestacyi zyskało, gdyby nawet na terytoryum „własnej gminy“ owe sześć dni były odrobione; warto było naprawdę choćby dlatego, by z czystym sumieniem przystąpić do zmiany ustawy drogowej, skoro dotychczasowa taką krzyczącą niesprawiedliwość zawierać miała; wartoby nakoniec i dwory i księży i fabryki jakkolwiek nie liczne obciążać prestacyą, gdyby się już teraz wiedziało, jaką wartość roczną owe sześć dni przedstawiają, i jaką siłę dwory do owej wartości dodać mogą; ale podobno nowy sejm będzie powołany do uchwalenia nowej ustawy z równą niewiedomością domniemanego jej rezultatu, z jaką sejm w r. 1866 swoją uchwalał, a bez żadnej pewności, czy znów komuś nowa ustawa się nie spodoba, i czy 10 lat w bezczynności nie minie. Zbogaci się niewątpliwie dziennik ustaw krajowych jedną ustawą więcej, ale mamy najmocniejsze przekonanie oparte na gorzkim doświadczeniu, że zmiana dekoracyi się nie uda, póki nie będzie stworzony aparat do przeprowadzenia takowej; jako taki zaś uważamy: zlanie władz autonomicznych z rządowemi w myśl wniosku p. Dunajewskiego, i zorganizowanie służby technicznej po powiatach.

II.

Powiedzieliśmy wyżej, dla czego zdaniem naszym rady powiatowe nie są w stanie z nader małemi wyjątkami zarządzać drogami powiatowemi; dodać tu winniśmy, że uważamy i gminę zbiorową i okrąg gminny lub gminę okręgową, za równie niezdolną do zarządzania drogami gminnemi, jeżeli ze stosowną pomocą nie przyjdzie administracya rządowa wraz z należycie zorganizowaną służbą techniczną. W budowie bowiem a nawet i w utrzymaniu dróg potrzebny jest pewien system i pewna jednostajność, której nie są zdolne ciała co trzy lata się odnawiające.

Chcąc mieć drogi porządne, trzeba naprzód ująć całą sieć dróg w jednolity systematyczny plan, a przytem panować musi jednostajność co do trasy profilu, spadków, pokładu kamiennego, mostków i przepustów, wreszcie i policyi drogowej.

Czas byłby nakoniec i w sprawach drogowych dojść do przekonania, że partyzantka może tu i owdzie świetne uwidocznić pomysły, a nawet odnosić zwycięstwa nad wrodzonym próżniactwem i nieładem, ale porządną i trwałą siecią dróg nas nie obdarzy; że do stanowczego rezultatu potrzeba wypróbowanego „instrumentu,” a warunkiem tegoż są porządne i wykształcone kadry, jakich dostarczyć może tylko korpus inżynierów wyborowy, od góry do dołu należycie zorganizowany.

Dlatego nacisk najmocniejszy kładziemy na to, że pierwszym warunkiem dobrych dróg jest dobrze zorganizowana służba drogowa po powiatach, której organizacją powinien się zająć koniecznie przyszły sejm. Zostawić bowiem dobrej woli powiatów, czy chcą mieć służbę drogową, czyli jej mieć nie chcą, pozostawić mianowanie powiatowych inżynierów na łasce powiatowych protekcji, jest to wszędzie skazać z góry służbę drogową na bezwładność, ustawę drogową na brak wykonania, a drogi na stan błot bezdennych i grudy, po których kości nasze już za długo tłuczemy.

Uchwalenie ustawy o służbie drogowej i polecenie przeprowadzenia takowej Wydziałowi krajowemu z wezwaniem, by do r. 1878 tę służbę na wzór służby dróg krajowych zorganizował, jest to zdaniem naszym pierwszy krok na drodze reformy naszych stosunków administracyjnych w sprawach technicznych, bez której wszelkie ustawy nawet najlepiej i najsprawniej obmyślane będą tylko ziarnem padającym między ciernie, które chwasty wrodzonego niedołęztwa zagłuszają. A kosztów takiej organizacji służby technicznej niech się nikt zbyt nie lęka: zwracamy uwagę naprzód, że prawie wszystkie powiaty mają inżynierów powiatowych z płacą od 800 do 1000 złr. w. a., na drogach powiatowych są prawie wszędzie dróżnicy, kosztów więc w gotówce mało co przybędzie; ale pomyślmy, wielu to z nas właścicieli i wielu z naszych oficyalistów odrywanych jest co chwila od swych zajęć dla pełnienia dyletanckiej służby przy drogach, z poświęceniem własnych interesów, ze zniszczeniem koni i uprzęży, a pokaże się, gdyby taka dyletancka praca obliczoną być mogła, że za drogie pieniądze mamy lichą służbę drogową acz bezpłatną, i że korpus inżynierów podlegający jednolitemu kierunkowi u góry, a

kontrolowany przez reprezentacje powiatowe taniej może, a niezawodnie lepiej służbę drogową pełnić potrafi.

Co jednak prawdziwie radykalną zmianę w sprawach technicznych i w wielu innych przynieśćby mogło, to uchwalenie drugiej części wniosku p. Dunajewskiego w przedmiocie organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi.

Jużto niech mówią co chcą bezwzględni zwolennicy dualizmu administracyjnego, u nas od lat 9ciu istniejącego, my powtarzamy i powtarzać nie przestaniemy, że o ile gorąco pragniemy samorządu u steru naszego kraju, t. j. we Lwowie, o tyle uważamy znany nam dotąd samorząd w powiecie, dla którego wydzielono pewne atrybucye władz politycznych, za graniczący z bezrządem. Przy ogólnem zubożeniu kraju, przy słabem wykształceniu klas średnich i mniej niż średniej takowych moralności, po podkopaniu w oczach ludu wszelkich powag, w które dawniej wierzył, przy jego nieporadności i próżniactwie wrodzonym, tylko opieka ciągła i nieustająca władz, tylko energiczne ich działanie może zatwierdzić powagę ustaw i zapewnić ich wykonanie.

Wszakże we wniosku p. Dunajewskiego i dla reprezentacyj powiatowych lub obwodowych, wreszcie i gminnych pozostaje szerokie do działania pole. Prawo stawiania wniosków, uchwalania kredytów, przeglądania i zatwierdzania rachunków, czy to nie dość? czyż nie dość wiedzieć, że dodatki powiatowe zostaną się w powiecie i tylko na cele powiatowe użyte zostały według przedłożonych rachunków? czyż niedostateczny ten wpływ, który się mieć będzie przez prawę inicjatywy we wszystkich pracach, od których dobrobyt i cywilizacyjny postęp powiatu ma zależeć? dlaczego się upierać przy dzierżeniu części administracyi, kiedy starosta, Polak jak my, patriota jak my, mający egzekutywę w ręku prędzej i energiczniej sprawę każdą załatwi, będąc na miejscu, niż my, co o mil kilka do miasta powiatowego po autonomicznych drogach jeździć mamy. A jeżeli to prawda w innych atrybucyach wydziałów powiatowych, cóż dopiero mówić o części technicznej, gdzie potrzeba i ścisłych nauk i ścisłości w wykonaniu, i tej ciągłości, którą daje stałość posad i dłuższe wprawa w służbie. Nie! współudział w silnym rządzie, zamiast słabego i kulawego samorządu, nie jest zaiste abdykacją, jak się to podoba

twierdzić niektórym; a co do obaw przed możliwą zawsze zmianą systemu, to trudniej jest o wiele usunąć ludzi pracujących wspólnie z rządem i dla niego, niż zdmuchnąć instytucję stojącą obok rządu, po za nim, a nie mającą nic z nim wspólnego prócz połowy nazwiska. Starosta, mający w rękach kierunek administracji w myśl wniosku p. Dunajewskiego, „któremu do wykonania jego poleceń jak niemniej uchwał „wydziału i rady obwodowej są dodani urzędnicy etatowi, mianowicie: urzędnicy techniczni do budowy publicznych, lądowych i wodnych;“ starosta taki prezydujący wydziałowi, który to wydział znów, w myśl zarysu organizacji władz administracyjnych dla Galicyi, „projektuje wszelkie roboty publiczne w obwodzie, bada plany, zatwierdza kosztorysy....“ a przytem „nakłada z urzędu dodatki do podatków bezpośrednich lub prestacje w naturze;“ wydział, mówimy, „za wykonanie prawomocnych uchwał którego, starosta jest odpowiedzialnym;“ starosta i wydział taki, powtarzamy, wydaje nam się ideałem aparatu administracyjnego dla budowy publicznych w Galicyi, o które nam głównie w tej skromnej naszej pracy chodzi. Z taką władzą i z taką reprezentacją powiatową, możnaby się naprawdę spodziewać, że ten wielki czynnik cywilizacyjny, jakim są w każdym kraju budowle publiczne mogłyby dojść do nieznanego przedtem rozwoju w kraju naszym. mogłyby zwolna po latach kilkudziesięciu postawić Galicyę na takim stopniu pod względem komunikacyj lądowych i wodnych, bez którego pomimo ankiet i ciągłego majstrowania około dobra powszechnego, produkcya Galicyi i spieniężenie takowej zawsze o lat sto w tyle po za ogólnym ruchem cywilizacyi pozostanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jan Stadnicki.

Przegląd Literacki.

Allgemeine Geschichte der Literatur des Mittelalters im Abendlande von Adolf Ebert.

Bd. I.: Geschichte der christlich-lateinischen Literatur von ihren Anfängen bis zum Zeitalter Karls des Grossen. Leipzig 1874. Vogel. XII. 624 in 8vo.

1. Miłośnikom łacińskiej literatury i mowy przychodziło często ubolewać nad faktem, obrażającym zarówno poczucie sprawiedliwości jak interes prawdy. Gdy bowiem pogańscy pisarze złotej, srebrnej a nawet i miedzianej łaciny od czterech wieków rosłą wciąż w łaskach u filologów i krytyków, chrześcijańscy ich towarzysze pióra od *Minucjusza Feliksa* aż do *Grzegorza W.* z widoczną byli traktowani nieznajomością a za nią idącym lekceważeniem. A niejednemu z czytelników trudno przyjdzie uwierzyć, że dotąd nie mieliśmy dobrej historii literackiej, któraby według wymagań dzisiejszej nauki, oceniła ich rozwój, wpływ i znaczenie piśmiennicze, ich zalety i niedostatki. Patrologie zazwyczaj pobieżnie zajmują się tym przedmiotem, a pisane dla teologów, pomijają zupełnie pisarzy bez dogmatycznego znaczenia, acz nieraz bardzo ciekawych. Filolodzy znowu w podręcznikach literatury klasycznej umieszczają w dodatku, mówiąc o nich nie wiele a i to jeszcze niechętnie.

2. Najobszerniej w tym wieku, choć niestety powierzchownie i bez dokładnej znajomości, zajął się pisarzami chrześcijańskimi *Bähr* w swej historii literatury łacińskiej, która dzisiaj bardzo już się podstarzała; *Villemain* i *Ozanam* go-

rażąco i genialnie, ale jednej tylko dotknęli epoki; *Teuffel* nareszcie uczenie i dość obszernie, ale z protestanckimi przesadami. Takie zaniedbanie pochodzi w części z braku dobrych monografij i w rzeczy samej dopiero w nowszych czasach *Zoekler*, *Thierry*, *Luebeck* zajęli się S. Hieronimem, *Brockhaus* Prudencyuszem, *Bindemann* i *Poujoulat* S. Augustynem. Za to ogromny zastęp mniej sławnych lub bezimiennych autorów nie doczekał się jeszcze gramatyczno-estetycznego rozbioru.

3. Zasłużył przeto na wielką wdzięczność p. *Ebert*, że nie zrażony mnóstwem trudności podjął się pracy olbrzymiej, bo napisania dziejów piśmiennictwa średniowiecznego na Zachodzie. A że piśmiennictwo to jest jakoby wspianiałym organizmem, który z jednego wyrosłszy korzenia, przez czas długi wspólnym, łacińskim posługuje się językiem, później zaś w osobne rozchodzi się literatury narodowe, przeto słusznie autor w pierwszym tomie, niby w ozdobnym a przestwornym portyku, wystawił nam dzieje chrześcijańskich literatów Rzymu, od Minucjusza Feliksa aż do Karola W. Nie będąc katolikiem a znając tradycją naszą tylko z drugiej ręki, dobrze zrobił poniekąd, że pominął wszystkie dzieła teologiczne, pod pretekstem, że nie należą do właściwej literatury.

4. Atoli uniknąwszy niejednego błędu dzięki tej dosyć wygodnej metodzie, musiał często autor zgrzeszyć zbytkiem ostrożności i nawet tam zostawić teologią na uboczu, gdzie wypadało ją wysunąć na pierwsze miejsce. W pierwszych wiekach, z wyjątkiem może Sidoniusza i kilku retorów, schlebających możnym tego świata, chrześcijanie nie pisali dla rozrywki, zysku lub popisu, przeciwnie oddawali wszystkie chwile i siły swoje na usługi Kościoła, na obronę prawdy, a pióro tylko wtedy brali do ręki, gdy wielka jaka potrzeba toczącej się walki do tego ich zmuszała. Walka ta, uniewinniająca i stylu zaniedbanie i pisanie ulotność, pozostaje niezrozumiałą bez znajomości dogmatów, o które się toczyła. Nie znając ich lub nie chcąc o nich mówić, autor nie jedną omyłkę popełnił, nie jeden grzech przeciw proporcjom całości. Podrzednym n. p. autorom poświęcił obszerne rozbiory, *Commodionowi* ośm stron, *Drakoncyuszowi* dziesięć, a *Leona W.* zbył na jednostronicy, *Cezaryusza* na połowie, *Marcyma Turyńskiego* i *Piotra Chrysologa* nawet nie wymienił, chociaż wielkie mają znaczenie w dziejach chrześcijańskiej wymowy.

5. Nie był także powinien autor pominąć literatury pokańskiej, która już to chrześcijan pobudzając do pisania, już to przekazując styl swój i formę, wiele rzeczy w nich tłómaczy. Prawda, że *Marcyan Capella* został uwzględniony, ale choć czytany był po szkołach średniowiecznych, nie może mierzyć się z *Wirgilim*, który ciągły i stały wpływ wywierał na pisarzy chrześcijańskich. Możliwe na tem polu ciekawe zrobić

studya i ważne odkrycie, porównyując n. p. styl retorów pogańskich, od Pliniusza Młodszego i Frontona do Symmachusa z retoryką chrześcijańską, w pismach Sidoniusza, Ennodiusza, Aratora, Fortunata, i wykazać, w jakim stopniu pierwsi byli mistrzami drugich.

Podobny stosunek mistrza do naśladowcy, nauczyciela do uczniów wiąże Rzymian także z literaturą grecką, której w żaden sposób nie godziło się pominąć. Jeżeli klasyczni pisarze Cyceeron, Łukrecy, Wirgili, Horacy wielką część myśli i piękności swoich brali z greckich wzorów, większą jeszcze jest zależność chrześcijańskich pisarzy od współczesnych im Greków. S. Ambroży, Rufin, Hieronim, nawet Augustyn S. skarby nieprzebrane greckiego myślenia przekuwają na rzymską monetę.

To samo dało się powiedzieć o wpływie literatury wschodniej, a przedewszystkiem pisma Św. na język, sposób pisania i liturgią Zachodu. Od pierwszej chwili przybycia ewangelii do Włoch i Afryki, tłómaczono je na język łaciński, a codzień czytając je lub śpiewając w domu i w Kościele, Rzymianie zrobili z niego swoją książkę główną i ukochaną, która pozostawała w ręku wszystkich. Musiał być wpływ jej ogromny, nie tylko na umysłowość, lecz i na mowę rzymską, gdyż wprowadzała do niej nie tylko wyrazy i zwroty cudzoziemskie, ale nawet układ zdań i styl zupełnie nowy. Ileż to nasuwało się spostrzeżeń autorowi? ile uwag filologicznych, z których niestety nie skorzystał z wielką szkodą skreślonych w niej wizerunków literackich. A zaniedbanie tem więcej zasługuje na nagane, że sam przywodzi (str. 196) słowa S. Hieronima, według których cała literatura chrześcijańska jest właściwie tylko komentarzem do pisma św. Jakże mówić o komentarzach, nie wspominawszy o tekście?

6. Podzielił autor cały przeciąg czasu na trzy epoki, z których pierwsza sięga do Konstantyna W.; druga do śmierci Augustyna S.; trzecia do czcigodnego Bedy. O tym podziale dałoby się niejedno powiedzieć. A nasamprzód trzecią epokę rozdzielił na dwa okresy, obrawszy za słup graniczny r. 530. Ale rok ten niema żadnego ni politycznego, ni literackiego znaczenia. Bo inwazyja bizantyńska, która zakończyła się zagładą Ostrogotów i wcieleniem Rzymu do exarchatu Rawenny, zaczęła się dopiero w pięć lat później, a jakkolwiek nieszczęśliwa ta dwudziestoletnia wojna przez spustoszenie włoskiego półwyspu a degradacją ostateczną Rzymu na miasto prowincjonalne zadała cios stanowczy literaturze łacińskiej, to nikt przecież od początku wojny nie datuje nowej epoki, lecz raczej od końca, kiedy wszystkie jej skutki na jaw wyszły. Należało literaturę rzymsko-chrześcijańską zakończyć na *Boecyuszu*, którego powszechnie nazywają ostatnim Rzymianinem,

a zamiast od Karola W. rozpocząć średnie wieki od 5go t. j. od pontyfikatu *Grzegorza W.*, który jest twórcą, głową i mistrzem łaciny średniowiecznej.

Większej jeszcze dopuścił się samowoli autor przy rozgraniczeniu drugiej epoki od trzeciej. Trudno zrozumieć, czemu śmierć S. Augustyna tak stanowczo wpłynęła na losy rzymskiego piśmiennictwa. Że wkrótce potem ustało ono w Afryce, to nie jego śmierci, lecz inwazji Wandalów przypisać należy, ale fakt ten niema ogólnego znaczenia, skoro w innych prowincjach zwłaszcza we Włoszech, literatura rzymska nieprzerwanym kwitła ciągiem aż do Teodoryka. Wskutek tak niefortunnego rozgraniczenia znalazł się Augustyn Sw. w drugiej epoce, a Leon W. w trzeciej, w czym autor nie tylko przeciw chronologii, lecz i przeciw własnym wykroczył zasadom. Bo jeżeli główną cechą drugiej epoki jest styl wygładzony, na pogańskich wyrobiony wzorach, to niewątpliwie Leon W. przewyższający pod tym względem Augustyna, należy do epoki drugiej.

Któż wreszcie pochwali, że *Cassian* w drugiej a *Wincenty* z *Lerinu* w trzeciej umieszczony epoce, skoro żyli razem w tej samej południowej Francji i w tymże niemal piśmiennictwie roku, pierwszy *de incarnatione* a drugi swoje *commonitorium*. A *Prosper* Akwitańczyk, wierny uczeń Augustyna, od niego oderwany, także do trzeciej przerzucony został epoki, chociaż *Cassian*, przeciw któremu walczył, pozostał w drugiej.

7. Co więcej, podobna dowolność panuje w rozkładzie każdej epoki. *Rufin* n. p. od swego przyjaciela Hieronima, z którym później mocno się poczuł, rozdzielony nietylko Augustynem S., lecz nawet szeregiem poetów imiennych i bezimiennych. Biedni ci poeci! zupełnie bez porządku błakają się na chybi trafi. W pierwszej epoce *Commodian* i autor *de Phoenice*; w drugiej *Juvencus*, *Wiktoryn*, *Damazy* i kilku mniejszych razem; później znowu osobno hymny S. Ambrożego i rozprawa o hymnach, od nich przedzieleni kilku prozaikami znowu *Prudencjusz* i *Paulinus*. Podobny nieład i rozrzucenie panują także w trzeciej epoce. Zkąd wynika, że czytelnik nie nabiera jasnego wyobrażenia o rozwoju i gatunkach poezji chrześcijańskiej. Czyż nie było lepiej zestawić całą razem, zamiast rozdzielić na peryody, na co nie zezwalają ani szczupły materyał, ani tożsamość formy. Trzeba było rozwinąć obraz wszystkich jej gatunków, wykazać ich zależność od dawniejszej pogańskiej, od współczesnej grecko-chrześcijańskiej, od wulgaty, żywotów Świętych i liturgii.

8. Któżby spodziewał się, że dwa rodzaje literatury, i to najbardziej chrześcijańskie, autor pominie zupełnie. Podczas gdy w stylu krasomówczym, dziejopisarzkim, filozoficznym i poetycznym chrześcijanie naśladowują najczęściej wzory pogańskie,

utworzyli sobie, gwoili nowym społecznym i psychologicznym potrzebom, oryginalny rodzaj literatury *w listach*. Prawda, że zawsze i wszędzie pisywano listy, gdziekolwiek umiano kreślić czy litery czy hieroglify, ale pierwsi chrześcijanie znają listy dydaktyczne, dla nauki lub pociechy, czy to pojedynczych parafij czy całych dyecezyj. Większa część ksiąg nowego testamentu z listów się składa, wiele innych pomników piśmiennictwa chrześcijańskiego z pierwszego wieku ma formę listów, a forma ta ciągle doskonałona, dochodzi w Cypryanie Św., Hieronimie, Ambrozym, Leonie W. i kilku innych najwyższego rozwoju. O tem wszystkim nic prawie lub mało co autor mówi. Listom Ś. Cypryana, pełnym wdzięku i ciepła, zaledwo kilka słów poświęcił. Należało rodzaj ten osobno wyłożyć i ocenić, a osobno także wymowę, która, jak wspomniałem wyżej, mało została uwzględnioną, choć do najoryginalniejszych i najżywotniejszych twórców należy.

9. Że nie obeszło się bez błędów historycznych i dogmatycznych, nie zadziwi w autorze, mało obeznanym z naszą religią. Zdaje się jemu, że za czasów Konstantyna W. chrześcijaństwo przyswoiło sobie wiele pogańskich nietylko zwyczajów, lecz nawet nauk, od których uwolniło się dopiero przez reformacyą (str. 108), że cesarz Julian nie prześladował chrześcijan *bezpośrednio* dla wrodzonej mu łagodności (str. 104); że pedantyzm chrześcijański nie zdołał ujarzmić jego bogatej natury (str. 103) i t. p. Nie będę zbijał tych twierdzeń, bo czytelnik znający dzieje Kościoła odrazu fałsz ich odkryje, mają dla książki samej bardzo podrzędne znaczenie, a nawet autor tu i owdzie jest, lub zdaje się być przeciwnego zdania. Wynagrodził je licznemi zaletami: stylem, choć nie zawsze lekkim, to zawsze pociągającym, wielką znajomością utworów, które rozbiera, wielkim dla nich szacunkiem, często nawet zamiłowaniem. Zrobił niejedno trafne krytyczne spostrzeżenie, n. p. nad *Commodianem*, *Juvenusem*, *Hieronimem*, *Fortunatem*, ale niepodobna mi przechodzić szczegółów. Jeżeli autor według założenia poprowadzi dalej swoje dzieło, odda niewątpliwie wielką usługę teologom i filologom, którzy w nim znajdą dobrego przewodnika, gdy zechcą zapoznać się z beletrystką kościelną pierwszych wieków.

Rzym, w grudniu 1876.

Dr. P.

X. Ign. Polkowski, *Oblężenie Pskowa w r. 1581 (Album Muzeum narodowego w Rapperswylu. R. 1876. Pod redakcją J. I. Kraszewskiego. Lwów, nakładem Muzeum narod. w Rapperswylu. 1876.)*

X. P. przyjaciel ś. p. Erazma Rykaczewskiego otrzymał w spuściźnie po nim zbiór materyałów odnoszących się do panowania króla Stefana Batorego. Zmarły poświęcił tej pracy znaczną część swego żywota, a zostawiając ją nieukończoną, zobowiązał przyjaciela do dalszych poszukiwań we wskazanym już kierunku. X. P. wypełniając wolę zmarłego, nieszczerzył też zabiegów i pracy, a uzupełniając skrzętnie zbiory przyjaciela, doprowadził w ciągu lat kilku do tego, że dziś posiada materyały obejmujące całą historią panowania Stefana Batorego i zamierza je drukiem ogłosić. Zanim jednak nadejdzie chwila sposobna do wydania pracowicie rozpoczętego dzieła, umieszcza X. P. w „Album Rapperswylskim“ małą częśćkę bogatych swoich zbiorów, obejmującą jedną z najświetniejszych chwil historii Stefana: oblężenie Pskowa, i traktaty w Kiwerowej horce. Nie jestto pierwsze wydanie tych źródeł. Już w r. 1867 bowiem ogłosił Kojałowicz z polecenia petersburskiej akademii nauk: *Dziennik posledniaho pochoda Stefana Batorija na Rossiu i diplomati-czeskaja perepiska toho wremeni, odnosiaszczajasia gławnym obrazom k'zakluczeniu Zapolskoho mira (1581—1582)*. Sankt Peterburg, ponieważ jednak dzieło to do rzadkich należy, uważał przeto X. P. za stosowne wydrukować raz jeszcze ów „Dziennik ks. Jana Piotrowskiego sekretarza J. K. M. Stefana Batorego“ i uzupełnić wiadomości w nim zawarte listami współczesnymi, które w streszczeniu przy końcu dziennika podaje. Wdzięczni winniśmy być X. P. za publikacją dającą poznać szerszym kołom czytającej publiczności pamiętnik tak ciekawy i oryginalny, jak owe zapiski X. Piotrowskiego. Wieje z nich wiatr prawdziwie obozowy i czuć, że autor pisze wśród huku dział i gwaru szemrającego na hetmana żołnierstwa. To też nie szukać w pracy X. Piotrowskiego ogłady stylu, lub doborowych wyrażań. Spisuje on to, co widzi i jak widzi, a że życie obozowe nadało jego osobistości cechę więcej rubaszną i żołnierską, więc też i to, co z pod pióra jego wychodzi, odznacza się prostotą i brakiem literackiej ogłady. Właśnie dla tego jednak jest autor i sposób jego pisania zupełnie oryginalnym. Dnia 22 sierpnia na przykład przybywa wojsko polskie pod warowny Psków, który na ks. Piotrowskim niemałe sprawił wrażenie; posłuchajmy w jaki sposób dzieli się niem z marszałkiem w. kor. Andrzejem Opalińskim, dla którego ten dziennik swój spisywał: „Patrzmy już na Psków. O Jezu! to coś wielkiego, by drugi Paryż. Skorośmy z koni zsiadli, nie po-

stawiono jeszcze namiotów, kiedy pan wojewoda Braclawski, co z Węgry tuż pod miastem leżał, dał znać, że na niego Moskwa mocno napiera i prosił o posiłek. Król porwał się ode mszy, wszczął się niemały tumult. Okazało się, że to był stratagem pana wojewody, który chcąc wywabić Moskwę z miasta, zostawił w chróście Węgrów, sam się pod miasto podemknął, lecz że Węgrowie zawczasie ukazali się z chróstu, stratagem się nie udał.“ -- Takich ustępów charakterystycznych, ożywionych obrazami z życia obozowego jest więcej, a przypominają one czytającemu mimowoli, pamiętniki późniejsze Paska, chociaż nie dorównują im dowcipem, a może sukienka duchowna kazała autorowi miarkować się nieco i trzymać więcej na wodzy wrodzony humor szlachecki. Jakkolwiekbyż jest dziennik X. Piotrowskiego cennym przyczynkiem do pamiętnego w dziejach Polski oblężenia Pskowa i dostarcza mnóstwo charakterystycznych rysów, rzucających jaskrawe światło na ludzi i stosunki. X. Piotrowski nie jest jednak obojętnym widzem. Bierze on udział żywy we wszystkich ważniejszych wypadkach i jest odgłosem opinii publicznej w obozie, a zdanie swoje wypowiada jasno i bez ogródki. O Possewinim i jego poselstwie ma jak najgorsze wyobrażenie. „Djabli nam nadali tego jezuitę,“ mówi z goryczą. „Mówią drudzy, że nic potem było słać go do Moskwy. Strzegł tego Zygmunt I zawždy, aby poseł papieski do Moskwy nie jeździł. A na innem miejscu, kiedy brak pieniędzy dokuczał żołnierzom i królowi, woła żałośnie: „O Jezu, toć to biedna polska wojna! Wojować nam się chce a pustki w skarbie, dopiero kiedy na koń, nuż wtedy zwoływać sejm, nakładać i wybierać podatki.“ — Ciekawy pamiętnik urywa się z dniem 31 grudnia a wydawca chcąc wynagrodzić czytelnikowi tę stratę, dołącza zbiór dokumentów z r. 1581, odnoszących się do oblężenia dalszego Pskowa i układów z posłami moskiewskimi w Zapolu. Ponieważ X. Polkowski zamierza z czasem ogłosić drukiem materyały do panowania Stefana Batorego, nie od rzeczy będzie przeto powiedzieć słów kilka o niniejszem wydawnictwie, aby zwrócić uwagę szan. wydawcy na niektóre usterki, którychby naszym zdaniem na przyszłość unikać wypadało. Co do pamiętnika samego to wymagalibyśmy dokładniejszej o nim wiadomości na wstępie, tudzież wyjaśnienia stosunku, w jakim wydanie w Album Rapperswylskiem zawarte do publikacyi Kojalowicza zostaje. Nie widzimy również powodu, dla którego X. Polkowski dziennik Piotrowskiego nie w całości, ale tylko w skróceniu wydaje? Objaśnienia umieszczone w uwagach, nie wszędzie są dostateczne i trafne. Tak np. na stronie 86 tłómaczy wydawca słowo „zamierzać“ (czas) przez zmierzić sobie, sprzykrzyć sobie co, podczas gdy znaczy ono tyle, co oznaczyć termin. W tej myśli mówi także król „przypominając, żeby za-

dnego czasu nie zamierzać“ (str. 86). Wogóle wypadałoby w objaśnieniach pewną zachować miarę* i pomijać mniej ważne, a już językowych wcale nie poruszać, bo jeżeli takie słowa jak „picownicy“ i „zamierzać“, wymagają osobnej uwagi, to nie wiemy dla czego szan. wydawca pominął inne, jak np. „Moskwa na przepych z miasta na obóz strzela“ (str. 91).

Daleko korzystniej i stósowniej byłoby archaizmy tego rodzaju zebrać i umieścić w kształcie słowniczka przy końcu dzieła. Inaczej nieco ma się rzecz z listami umieszczonymi przy końcu powyższej publikacyi. Zupełnie słusznie postąpił sobie szan. wydawca, podając korespondencyą ową w streszczeniu i przytaczając tylko celniejsze ustępy z listów; trudno bowiem drukować w całości wszystko, co z owych czasów nam pozostało. Zbiory materyałów wzrosłyby w takim razie do olbrzymich rozmiarów i zamiast ułatwić, utrudniłyby zadanie historyka. Jeżeli jednak drukujemy listy tak, jak to wydawca uczynił, natenczas wypada koniecznie ustępy dosłownie podane z oryginału lub wierzytelnej kopii uwydatnić odmiennym drukiem, albo też co najmniej ująć je w cudzysłów, czego X. Polkowski nie uczynił. Podobnie ma się sprawa i z oznaczeniem dat. Wydawca podaje na początku rok 1581 i umieszcza pod nim cały szereg listów. Nic nie mielibyśmy przeciw temu, gdyby w każdej korespondencyi wyrażony był dzień, w którym była pisaną. Otóż tak nie jest i to poczytujemy za drugi błąd kardynalny, jakiego na przyszłość szan. wydawca unikać powinien. Podobnie byłoby rzeczą pożądaną, gdyby X. Polkowski w zamierzonej publikacyi ważniejsze listy niedrukowane dotąd umieszczał *in extenso*, opuszczając jedynie powtarzające się w takich razach formułki. Listy te w połączeniu z „repertorium“ tego rodzaju, jak w dodatku do „Oblężenia Pskowa“, utworzyłyby dopiero całość pożądaną zarówno dla dziejopisarza z powołania jak i dla każdego, który chce głębiej wglądać w tajniki owych czasów.

August Sokołowski.

(Falkowski, *Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce. Poznań 1877, nakł. Żupańskiego*).

Koniec ubiegłego stulecia i początek teraźniejszego, to czasy tak stosunkowo od nas jeszcze nieodległe, a przecież daremnie szukalibyśmy już chyba w naszym dzisiejszem społeczeństwie postaci podobnych do tych ludzi, którzy w tamtej żyli epoce. Dziś wszystko zdaje się dążyć ku zatarciu indywidualności, a tem samem znikła już ta dawna obfitość i ró-

znorodność typów. Znane nam one po większej części tylko z opowiadań starszych ludzi, a wielką zaprawdę byłoby szkoda, żeby miały pójść do grobu wraz z tymi, którzy je jeszcze pamiętają. Niemcewicz radził kiedyś zebrać anegdoty o Marcinie Badenim, pod nazwą: *Badenianów*; p. Lucyan Siemieński twierdzi w swoich *Portretach literackich*, żeby można też utworzyć *Kossakowszian* o Katarzynie z Potockich Kossakowskiej, kasztelanowej Kamieńskiej. Obok zaś tej staropolskiej matrony świecą takie niewiasty, jak Lubomirska, kasztelanowa krakowska, Lanckorońska, kasztelanowa połoniecka, Dembińska, starościna Wolbromska, że tu nie wspomnę o innych, wszystkie godne pamięci potomnych. To też z ciekawością wzięliśmy w rękę opowiadania p. Falkowskiego o tej jeszcze nie bardzo dawnej przeszłości. Pierwsze z tych opowiadań dotyczy wspomnianej co dopiero przez nas pani Krakowskiej i siostrzenicy jej Franciszki Krasińskiej. Sam przedmiot nasuwa nam porównanie ze znaną powieścią Hoffmanowej, a porównanie wcale nie wychodzi na niekorzyść powieściopisarki, która z niezrównanym wdziękiem i niemal z historyczną ścisłością odtworzyła tak postać Franciszki, jakoteż oddała ten charakter pełen godności i powagi księżnej kasztelanowej. Zresztą przedmiot taki naszym zdaniem, da się może jedynie zużytkować dla powieści historycznej, nie zaś dla ścisłej historii. Ztąd szkic p. Falkowskiego przyniósł nam kilka nowych małych szczegółów, ale nie przyczynił się w niczem do rzucenia nowego światła na postać ostatniej królewiczowej polskiej.

Co zaś do samej księżnej kasztelanowej Lubomirskiej, to zaraz na pierwszej kartce niesłusznie daje jej autor za męża Adama Tarłę, wojewodę lubelskiego. Mężem jej był Jan Tarło, a Adam Tarło był ożeniony z wdową po hetmanie Chomętowskim, osobą już nie młodą, ale majątną. Ztąd też historia znanego pojedynku Adama Tarły z Poniatowskim jest tu wcale niepotrzebną, a w dodatku opowiedzianą niedokładnie. Były bowiem aż dwa pojedynki: pierwszy nazajutrz po scenie na balu, na pistolety, zakończony tem, że gdy Tarło konia przeciwnika kulą ugodził, tak, iż wraz z jeźdźcem runął na ziemię, przestraszony Poniatowski wołać zaczął: „Kocham pana wojewodę.“ Pojedynek zaś drugi wywołany paszkwilami odbył się o wiele później 16 marca, przy wielkiem zbiegowisku ludzi, tak mniej więcej jak go p. Falkowski opisuje.

Przytoczone w dalszym ciągu opowiadania obszernie wyjątki z listów pani kasztelanowej, pozwalają nam najlepiej przypatrzyć się jej zbliska, poznać przymioty jej rozumu i serca, jaśniejące przedewszystkiem w całym blasku w rodzinnem kole. Chociaż sama nigdy dzieci nie miała, jakie nieraz zdrowe o wychowaniu daje rady: „Trzeba być ostrym dla młodych ludzi, ale trzeba przy tem dobrze poznać ich charakter

i kierować niemi stósownie do ich naturalnego usposobienia.“ „Jeżeli go zechcesz pilnować zbyt surowo, trzymać go ciągle przy książce, na osobności, może się wiele nauczyć, ale będzie odludkiem, nieużytecznym dla drugich; jeżeli przeciwnie popuścisz mu zbyt wolno cugle, może się stać bardzo miłym w towarzystwie, ale bez obyczajów, co by było jeszcze gorzej. Należy koniecznie umysł młodego człowieka zająć, ażeby się wdrożył do zastanowienia się, tylko trzeba znaleźć na to miarę...“ Moglibyśmy więcej podobnych ustępów zacytować, a chodzi tu zwykle o Jana Krasińskiego, ojca Wincentego, a dziada Zygmunta.

Drugie z kolei opowiadanie p. t. Warszawa za pruskich czasów, najobszerniejsze, jest może i najlepszem. Były to czasy jakiejś umysłowej prostracyi, która nieraz po wielkich następuje nieszczęściach, a szal zabaw opanował umysły. Ztąd też listy młodzianki wiele wówczas w świecie bywającej księżniczki Maryi Radziwiłłówny, późniejszej generałowej Wincentowej Krasińskiej, posłużyły autorowi do opisanja tych wszystkich balów, kuligów, teatrów amatorskich, które tak były w modzie, jednym słowem tej stolicy bawiącej się nieraz bez opamiętania. Pomimo to nie można powiedzieć, aby obraz ówczesnej Warszawy był wykończonym lub wyczerpującym. Bohaterką właściwą opowiadania jest księżniczka Marya, a opis warszawskiego towarzystwa tłem tylko dla niej. To też o towarzystwie tem nie wiele się dowiadujemy, czegobyśmy już zkądinąd nieznali, osobliwie z pamiętników Kajetana Koźmiana, a autor, chociaż ma nam Warszawę opisywać, opuszcza ją, by pogonić za księżniczką do Białaczewa, lub nawet Paryża.

Zresztą nie sprzecajamy się o to z autorem, gdyż listy księżniczki Maryi, których dość spora liczba znajduje się w książce p. Falkowskiego, stanowią niewątpliwie jej najciekawszą stronę i są niepoślednim źródłem do poznania owej epoki. Sama zaś ich autorka ma dla nas niezwykle urok tak dla swych przymiotów serca i umysłu, jak i dlatego, że była matką Zygmunta Krasińskiego!

Wychowana pod okiem ojczyma marszałka Małachowskiego, mogła się nauczyć miłować ojczyznę, a jeszcze młode dziewczę z uniesieniem pisze do przyjaciółki: „Ach! gdybyśmy mogli jeszcze ujrzeć Kościuszkę! Zdaje mi się, że choć nie jest zwycięzcą, nie przewodzi wojskom naszym, nie trzyma w ręku losów Polski, to jednak zbliżylibyśmy się do niego, jak do bóstwa.“ Chociaż więc później świat i zabawy może na chwilę przygłuszyły te gorętsze i podniosłejsze porywy duszy, to jednak tak w sercu księżniczki jak i wielu jej towarzyszek i towarzyszków tlała iskra miłości ojczyzny, a trzeba

było tylko jakiegoś wstrząśnienia, żeby ją na nowo w płomień rozniecić.

Ztąd to w ostatniem opowiadaniu p. Falkowskiego: Napoleon i Polacy w r. 1806 i 1807, zupełnie w odmiennych rysach przedstawia się nam ta sama Warszawa. Księżniczka Marya była już wtedy żoną Wincentego Krasińskiego, który też już niebawem miał się zacząć dosługiwać swych generalskich szlifów. P. Falkowski opisuje nam tu z jednej strony zapal Polaków i gotowość do wszelkich ofiar, z drugiej strony dwulicową politykę Napoleona. Wiele nowego w tym opisie niema, ale słusznie zwrócił autor uwagę na mniej może dotąd u nas znaną korespondencyą pierwszego cesarza i przytoczył w końcu w oryginale francuskim instrukcyą ciekawą, daną kapitanowi Falkowskiemu przez ks. Talleyranda. Z tego krótkiego przeglądu książki p. Falkowskiego widać, że zawiera ona cenne przyczynki do poznania epoki, którą opisuje. Może autor, pomimo że nieraz zbyt mocno aż goni za efektami poetycznymi, a przedewszystkiem romantycznymi, nie umiał dość artystycznie ugrupować obrazu z wiadomości zaczerpniętych ze źródeł samych przez się ciekawych; ale zawsze jego opowiadania będą miłym do przeczytania wspomnieniem nie dawnej jeszcze przeszłości, przywiodą nam na pamięć wiele z tych postaci, które od młodu nauczyliśmy się otaczać czcią pewną, o których powtarzaliśmy nieraz z poetą:

Czemu mistrzu masz siwiznę
Stokroć młodszą mej młodości?
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej kości.

L.

Przegląd polityczny.

Kraków 28 lutego.

Według wiadomości nadeszłych z Wiednia, termin zwołania Sejmów krajowych nie został jeszcze postanowionym. Zależy on od sprawy ugodowej z Węgrami i od losu, jakiego dozna ustawa podatkowa w wiedeńskiej Radzie państwa. Wrazie, gdyby ugoda węgierska natrafiła na jakie opozycje w Izbie, rząd zamierzał zwołać Sejmy w marcu, aby, przerywając obrady Rady państwa, zyskać na czasie; gdyby jednak przeważała choć najlżejsza nadzieja powodzenia, Sejmy zwołane zostaną w jesieni i to jak zwykle na kilka tygodni; Izba bowiem będzie zajęta wnioskami rządowymi, tyczącymi się odnowienia ugody węgierskiej z r. 1867. Wobec ostatniego *stadium* rokowań ugodowych i stanowiska p. Tiszy, tak solidarnie związanego z gabinetem przedlitawskim, druga ewentualność staje się prawdopodobniejszą i dlatego spodziewać się możemy otwarcia Sejmu galicyjskiego dopiero w jesieni. Aby Sejm nasz mógł skutecznie pracować, potrzeba przedewszystkiem dwóch głównych warunków, ułatwienia pracy ze strony władz rządowych i sumiennego przygotowania się posłów. Pierwsza z przeszkód zostanie prawdopodobnie wkrótce usuniętą, donoszą bowiem ze Lwowa, że Namiestnik poczynił stosowne kroki u rządu w celu wyjednaia dłuższego terminu dla sesyi Sejmu galicyjskiego. Spodziewać się więc należy, że wstawienie się tak wpływowej osobistości, jaką jaką jest hr. Potocki, potrafi złamać opór nawet tych sfer rządowych w Wiedniu, u których opozycja przeciw wszelkim dla Galicji ustępstwom stała się systematem. Minister Ziajałkowski ma tu obszerne pole dla okazania swej działalności, która powinna być tem skuteczniejszą, że Sejm nasz postawiony wobec tylu a tak trudnych zadań wewnętrznych, potrzebuje dłuższego czasu obrad. Wypływa to z samej natury położenia naszego kraju, przez co traci charakter ustępstwa, a staje się koniecznością. Wobec

więc świetnego rezultatu ostatnich wyborów włościańskich, horoskop przyszłego Sejmu wyjaśnia się zupełnie i odtąd cała odpowiedzialność za pracę lub nieczynność naszej reprezentacji krajowej spadnie wyłącznie tylko na jej członków, którzy postawieni w tak pomyślnych warunkach, powinni umiejętnie i spokojnie z nich korzystać. Kilka miesięcy czasu, oddzielających nas od terminu otwarcia Sejmu, wystarczy do dokładnego przygotowania pracy, a materiału nie zabraknie; przedstawia go bowiem w całej rozciągłości wniosek posła Dunajewskiego, związana z nim sprawa reformy ogólnej i projekt ustawy drogowej, stanowiącej ogniwo tej reformy, wypracowany przez Wydział krajowy i udzielony już poufnie niektórym posłom. Ustawa ta nabiera tem większego w chwili obecnej znaczenia, że od jej załatwienia zależeć będzie pomyślność dalszych obrad sejmowych w sprawie reformy stosunków wiejskich. Tu bowiem będziemy mieli sposobność przekonać się, czy różnica zdań w tym przedmiocie, która dotąd tak była rażąca i tyle zabierała czasu na bezowocnych dyskusjach, ustąpiła, czy znikły dawne przesady, którebyśmy nazwali kastowemi; będziemy mogli dokładnie zbadać grunt, na jaki natrafi sprawa reformy, najżywotniejsza obecnie ze wszystkich spraw naszych.

Głównym brakiem dotychczasowej ustawy drogowej była niejednostajność podstawy wymiaru prestacyi i brak podstawy, rozkładającej w jednakowy sposób ciężar drogowy na gminę i obszar dworski. Brak ten był głównym powodem domagania się reformy i stanowił skopuł, o który rozbijały się wszystkie dotychczasowe projekty. Wydział krajowy uchwalając swój projekt, miał głównie na uwadze ten zarzut, starając się równocześnie o poprawienie komunikacji samej przez stworzenie pewnego zasobu na drogi, a z drugiej strony przez nadanie władzom autonomicznym odpowiedniej organizacji dla należytego zużycia tego zasobu. Co do rozkładu prestacyj drogowych, projekt Wydziału bierze za podstawę ustawę drogową francuską z r. 1857, przyjętą przez Belgią, Węgry i dawne Królestwo polskie, i żąda na rzecz dróg gminnych od wszystkich mieszkańców, a względnie od pojedynczych rodzin prestacyi osobistej, od jednostek zaś prestacyj rzeczowych według płaconego podatku, bez różnicy, czy jednostki te mieszkają w gminie, czy w obszarze dworskim. Odnosnie do dróg powiatowych projekt Wydziału proponuje tylko zmiany w dotychczasowej ustawie, co do punktu żądającego, aby reprezentacja powiatowa nakładała obowiązkowo każdego roku na drogi 5 do 10%. Z zmiany tej wynikałoby, że dopokąd nie można funduszami temi przystąpić do budowy dróg powiatowych, będzie można przygotować drogi gminne do stanu lepszego i dopiero wtenczas, kiedy się zbiorą większe fundusze i drogi się po-

lepszą, będzie można je przyjąć na utrzymanie powiatu. Dopóki więc nie budowanoby dróg powiatowych, fundusz powiatowy szedłby na subwencyonowanie i utrzymanie dróg gminnych. Co do dróg krajowych, projekt Wydziału krajowego nie proponuje żadnych zmian. Wkońcu projekt ten wnosi ustanowienie okręgów drogowych w celu zużywania prestacyi do dróg gminnych. Każda Rada powiatowa ma podzielić swój powiat na okręgi drogowe, odpowiednie do topograficznych stosunków miejscowych. Okręgiem takim zarządza komitet, składający się z jednego członka wybranego przez gminę, jednego wybranego przez każdy obszar dworski i z jednego delegata, mianowanego przez Radę powiatową. Komitet ten zarządza drogami gminnymi i rozkłada dodatki do podatków. Wydział krajowy czuwa głównie nad rozwojem sieci dróg powiatowych. Wydział powiatowy nad rozwojem sieci dróg gminnych. Wydział krajowy wydaje nie tylko instrukcje administracyjne i rachunkowe dla Wydziałów powiatowych i Komitetów, ale także i instrukcje techniczne i tam, gdzie robota źle postępuje, ma prawo wziąć ją w swe ręce. Podobna władza służy Wydziałowi powiatowemu nad Komitetem.

Oto główne punkta projektu wypracowanego przez Wydział. Nie wdając się w szczegółowy jego rozbiór, pozostawiamy to bowiem powagom fachowym, zwrócić musimy uwagę na jeden zarzut podniesiony w chwili ogłoszenia tego projektu, a pochodzący od stronnictwa, które wprawdzie lubi czasem przybierać nazwę konserwatystów, ale w gruncie rzeczy kieruje się zasadami, które ktoś słusznie nazwał „konserwatyzmem dziurawych mostów.“ Jeden z członków tego stronnictwa podniósł jako główny zarzut przeciw projektowi Wydziału, że utworzenie okręgów drogowych i komitetów zarządzających temi okręgami pomnoży liczbę biurokracyi, tak szkodliwej dla kraju, bezpożytecznie narazi go na większe wydatki i utrudni administracyą drogową. Zarzut ten, mający pozory słuszności, w tym wypadku nie ma żadnej podstawy. Biurokracya stała się u nas od czasów reakcyi bachowskiej straszylem przeciw wszystkiemu i wszystkim. Biurokracyą straszą zwolenników wniosku Dunajewskiego, zarzut biurokratyzmu spotyka tych, którzy pragną reformy stosunków wiejskich, chcą nadać władzom autonomicznym więcej znaczenia i siły egzekucyjnej, biurokratą wreszcie jest każdy, pragnący zapobieżenia złemu przez energiczną i wykształconą administracyą. Każdą drobnostkę podnosi się do znaczenia biurokratyzmu, tak np. członków Komitetu drogowego robi się urzędnikami dlatego, że będą mieli obowiązek dozoru dróg gminnych. W takim razie urzędnikiem czy biurokratą będzie każdy, który zajmując stanowisko w społeczeństwie, spełnia

obowiązek włożony na niego przez rząd, przez kraj lub przez społeczeństwo same.

Nie przeczymy, że projekt Wydziału może posiadać usterki i niedokładności, które dadzą się łatwo sprostować podczas obrad szczegółowych w Sejmie, ale nie zapominamy również trudności, na jakie natrafi on ze strony właśnie tych konserwatorów dziurawych mśców, których zadaniem jest opozycja przeciw wszelkim zmianom.

Projekt ten rozbiierało już we Lwowie grono posłów, którzy zebrali się w weszłym miesiącu w celu porozumienia się co do prac przyszłego Sejmu. Podobne zebranie odbyło się także w mieście naszym u jednego z posłów krakowskich, gdzie zastanawiano się znowu nad szczegółami wniosku Dunajewskiego i sprawą reformy stosunków wiejskich. Stronnictwo reformy, jak słusznie nazwano tych, którzy opierając się na znanym „Zarysie“, pragną radykalnego lekarstwa przeciw najniebezpieczniejszej chorobie naszego kraju, stronnictwo to wcześniej się zaczyna przygotowywać do prac przyszłego Sejmu, pragnie bowiem stanąć do walki, którą przewiduje, pełne gruntownej znajomości rzeczy, opartej na doświadczeniu i nauce. *Przegląd Polski* niejednokrotnie już wypowiedział swe zdanie w sprawie reformy; on pierwszy nawet, — a nie uważamy tego za zasługę lecz za obowiązek tylko — poruszył ją na drodze publicystycznej, stanowisko więc *Przeglądu* wobec sprawy reformy nie potrzebuje określenia. Reforma ta stała się teraz przedmiotem codziennej niemal polemiki między *Czasem* a dziennikami lwowskimi. Od samego początku wniosek posła Dunajewskiego nie przypadł do smaku *Gazecie Narodowej*, która widząc w nim zamach przeciwko autonomii naszego kraju, uważa sprawę reformy za ustępstwo wobec rządu i płaszczenie się centralizmowi. Nie powinno to bynajmniej zadziwiać nikogo; tam gdzie nie idzie o myśl, ale o osobę, od której myśl ta wyszła, zarzut podobny jest zwykłym. „Zarys“ a więc i wniosek posła Dunajewskiego wypracowało w Krakowie grono ludzi, kierujących się zasadami tak dla *Gazety* wstrętami, że na wszystko, co od nich wyszło, raz na zawsze wyrzekła *anathema sit!* Równocześnie z *Gaz. Nar.* rozpoczęła podjazdową przeciw temu wnioskowi wojnę *N. fr. Presse*, według której „p. Dunajewski zamierza oddać rządy Galicyi szlachcie polskiej.“ Widocznie *les beaux esprits se rencontrent*, chociaż towarzystwo z organem wiedeńskim nie powinno być pojętnem dla „stróżów ducha narodowego.“ Prócz *Gazety* wniosek posła Dunajewskiego ma zaciętego przeciwnika w stronnictwie programu samborskiego, które obawiając się wszelkiego ściślejszego związku z Austryą, pragnie nadać przyszłemu Sejmowi cechę opozycyjną nie pomnając na to, że Czechy stanowią wzór dla tego stronnictwa, w odmiennych zupełnie znaj-

dują się od Galicyi warunkach, i że opozycja *quand même* i droga abstencyi mogłaby nas zaprowadzić do smutnych bardzo rezultatów. Stronnictwo to odróżnia się tem od *Gaz. Nar.*, że ma cel wytknięty i celu tego świadome, wie czego żąda i czego pragnie. Idzie więc tu o zasady, po za któremi nikną osobistości, przez co więc i dyskusya staje się możliwą, jest bowiem rękojmia, że utrzymaną zostanie w właściwych granicach.

Według nas, kraj nasz nie ma główniejszego zadania, nie ma pracy ważniejszej i pożyteczniejszej, nad owę sprawę reformy, dążącą do utrwalenia bytu najbiedniejszej części naszego narodu, bo ludności wiejskiej. I spodziewamy się, że Sejm nasz nie da się złudzić, nawet nadzieją pomyślnych na chwilę rezultatów na drodze walki konstytucyjnej, że zrywając na zawsze z tradycją rezolucyi, postara się przede wszystkim o porządek wewnętrzny, o ład i spokój w rodzinnem niejako kole i dopiero wtenczas obejrzy się co się dzieje po za chatą. Ale chociaż zaszczytną jest dla nas zasługa, że pierwsza myśl wniosku wyszła z naszego koła, to z drugiej strony nie zamierzamy z niego zrobić stronniczej niejako własności, lecz otwieramy szerokie pole dla wszystkich, którzy podzielając zasady tego wniosku, pragną wspólnie z jego inicjatorami pracować około naprawy stosunków wiejskich. Słusznie powiedziano, że wniosek ten nie jest własnością stronnictwa krakowskiego lub nawet Galicyi całej, ale ma znaczenie ogólnie polskie, bo dotyka kwestyi cały naród obchodzącej, bo ma dać świadectwo wobec całego narodu, że tam, gdzie okoliczności były po temu, potrafilśmy zetrzeć plamę przeszłości, potrafilśmy urwać łańcuch hydrze, grożącej w najkrytyczniejszych dla nas chwilach groźnym napadem. Powtarzamy więc za organem, który takie około obrony tej sprawy położył zasługi, że dla nas niema innego stronnictwa, jak zwolenników lub przeciwników reformy, wszelkie inne względy i różnice nikną; kto z niemi się zgadza, ten z nami, kto przeciw nim, jest naszym przeciwnikiem. Mówimy tu tylko o głównej zasadzie, co do szczegółów mogą zachodzić różnice i odcienienia tych różnic; pragniemy tylko, aby wniosek posła Dunajewskiego posłużył za punkt wyjścia, za początek do dyskusyi rozsądnej i umiarkowanej, w której przy bliższem rozpatrzeniu nie jedno dałoby się zmienić lub usunąć.

Dnia 22 stycznia odbyło się ostatnie posiedzenie konferencyi, zamykające ową komedię, odegraną przez pełnomocników mocarstw, której głównym aktorem była Turcyja, a publicznością cała Europa. A jak pierwszy akt tego utworu rozpoczął się od efektownej sceny ogłoszenia konstytucyi wśród grzmotu dział tureckich, tak ostatni zakończył się równie świe-

tnym efektem — bo demonstracyjnym odjazdem ambasadorów z Konstantynopola. W kilka dni później, kiedy margr. Salisbury konferował w Atenach z p. Komandurosem o „sprawach bieżących“ — jak donosiły dzienniki półurzędowe — reszta pełnomocników zebrała się w Wiedniu, aby tam powtórzyć jeśli nie cały epilog dramatu, to przynajmniej kilka z niego ustępów. Jako zapowiedź i przygotowanie drogi jen. Ignatiewowi *Prawit. Wiestnik* ogłosił notę ks. Gorczakowa, stanowiącą niejako recenzją dramatu odegranego nad Bosforem. Recenzja ta wypadła bardzo pokojowo: nota z 31 stycznia zajęła bowiem stanowisko wyczekujące, indagacyjne. Ks. kanclerz zapytuje tylko inne mocarstwa, co zamierzają uczynić po rozejściu się konferencyi, i jaką politykę obiorą na przyszłość wobec Turcyi? Z początku obawiano się, że będzie to drugie wydanie mowy wygłoszonej w Moskwie, z charakterem tem bardziej stanowczym, że w chwili spełnienia czynu, który w Rosyi przedkonferencyjnej, pełnej zapалу dla sprawy słowiańskiej, służyłby za wskazówkę, że ostatnia godzina wybiła, że czas już uderzyć w „czynów stal.“ Ale ks. Gorczakow postanowił odgrywać rolę swego kolegi nad Spreą, zapragnął być sfinxem, który wie wszystko, a sam nic nie chce powiedzieć. Jednak sfinksowstwo nadnewskie nie miało powodzenia; na notę z 31 stycznia dotąd żadne mocarstwo nie odpowiedziało, żadne nawet nie dało nadziei, że kiedyś w przyszłości odpowie; wszystkie, nawet Francya, pragną wprzód poznać co zrobi Rosya, jaką drogę na przyszłość obierze? I nota ks. Gorczakowa nie pociągnęła za sobą przez cały miesiąc innych rezultatów, prócz kilkodniowej polemiki dziennikarskiej, zapożyczającej stosi bibuły. Podobny los spotkał notę Sawfeta baszy, którą uważano za odpowiedź na notę kanclerza rosyjskiego.

Jakby dla poparcia tej noty ks. Gorczakowa i zbadania, jakiego doznała przyjęcia w Wiedniu, przybył tam jen. Ignatiew, wracający z Konstantynopola na Wiedeń, Kraków i Lwów do Petersburga. Nie podzielamy twierdzenia, że przybył on do stolicy Habsburgów w specjalnej misyi dyplomatycznej, ale obecność jego w Wiedniu, kiedy w sprawach wewnętrznych groziła kryzys obu gabinetów i zmiana systemu, która mogła także oddziaływać na stanowisko hr. Andrassego, kiedy u dworu ścierały się dwa prądy: „z Rosyą lub przeciw Rosyi,“ obecność jego nie mogła być przypadkową, nie mogła być spowodowaną choćby dyplomatyczną nawet ciekawością. W Wiedniu ambasador rosyjski nie doznał bardzo serdecznego przyjęcia, ale, jak się ktoś dobrze wyraził, upadek Midata baszy w chwili jego przybycia był dlań najlepszym pasportem. Jen. Ignatiew przywiózł z sobą najwymowniejszy argument, że Turcyja dalej istnieć nie może, że jest anomalią w składzie mocarstw europejskich i nie zasługuje na miano państwa. W pier-

wszej chwili przypuszczano, że jen. Ignatiew wcześniej się postarał o argument tak przekonywający, że upadek Midata był w części dziełem intryg rosyjskich, które znalazły przystęp do sułtana, w osobie jego szwagra Mahmuda Damata baszy, człowieka żadnego dostojęństw i majątku. Ale później pokazało się tak ze słów Midata, jak z doniesień korespondentów pół-urzędowych dzienników, że nagła ta zmiana była owocem intryg pałacowych, tak powszednich i naturalnych na Wschodzie. Że w nich była ręka moskiewska to pewna, ale nigdy sama nawet Rosya nie mogłaby przypuszczać, że zamiar jej tak się doskonale uda i to w chwili dla niej najdogodniejszej. Nie nazwiemy exwezyra „szlachetną postacią“, o której „zranienie“ tak chodziło jednemu z dzienników lwowskich, ale w każdym razie był to dyplomata wytrawny i przebiegły, umiejący zręcznie skorzystać z każdej słabości przeciwnika i uderzyć z całą siłą tam, gdzie czuł się pewnym zwycięstwa. Karjera jego dyplomatyczna została zamknięta wygnaniem na długo, ale nie na zawsze, bo w Turcyi wszystko możebne i nie dziwiłoby nas wcale, gdyby Midat powrócił do Konstantynopola, jako zwycięzca i wynalazca konstytucyi, która bez niego nie potrafi prawdopodobnie istnieć. Ale w tej całej „szlachetnej“ postaci było wiele aktorstwa, obłudy i kłamstwa, a brak zasad, choćby nawet koranu i mahometanizmu czyniły go wstrętnym. To też i jego dzieło, konstytucya turecka, jedna z tych anomalij, których wytłómaczenie jest czasem niemożliwe, odznacza się to samą wadą, brakiem podstawy i dla tego nie można podzielać ani zapалу do niej, ani przepowiadać jej dłuższego trwania. Porta chciała w oczach Europy zasłonić upadek w. wezyra powodem spiskowania, rewolucyi. Ale według doniesień najwiarogodniejszych korespondentów, o żadnym spisku przeciw Sułtanowi nie było nawet mowy; za podstawę oskarżenia Midata służyły bezimienne raporta policyjne, donoszące, że z rozmowy jakiegoś nieznajomego w kawiarni wnosić można, jakoby w. wezyr zapragnął wawrzynów napoleońskich i przez dyktatorstwo chciał dojść do korony padyszacha. Dzienniki angielskie, zwłaszcza *Pall Mall Gazette*, donosiły, że głównym powodem wygnania Midata była różnica zdań między nim a Sułtanem co do wprowadzenia elementu cudzoziemskiego, zwłaszcza zaś Anglików do administracyi tureckiej. Ten zarzut zdaje się prawdopodobniejszym, chociaż wobec ostatnich wiadomości, pochodzących ze źródła tureckiego o stanie zdrowia Sułtana, trudno przypuszczać, żeby go zajmowały podobne szczegóły administracyjne.

Nowy wezyr był poprzednio ambasadorem w Berlinie i na podstawie tego faktu ci, którzy widzą *initium omnium rerum* w ks. Bismarku, podejrzewali kanclerza niemieckiego o autorstwo tego przewrotu. Edhem basza nie odznacza się

bynajmniej zdolnościami męża stanu. Wychowany po europejsku, znalazł przystęp do pałacu sułtańskiego, jako nauczyciel języka francuskiego i stopniowo doszedł od romansów Dumas-a do ministerstwa i teki ambasadorskiej w Berlinie. Nie jest on przeciwnikiem Midata i nie brał w żadnym razie udziału w intrydze przeciw niemu uknutej; owszem Staroturcy zaliczają go do liberałów i gorliwych zwolenników konstytucyi. To też *hat* sułtański, nadający mu godność w. wezyra, zapowiada, że nowa zmiana odnosi się tylko do osoby Midata, i że dzieło konstytucyjne nadal prowadzonem będzie. Na poparcie tego oświadczenia równocześnie z Edhemem mianowano Kadri basza prezesem Rady stanu, Armeńczyka Ohannesa Czadicza ministrem handlu, Djevdeta baszę ministrem sprawiedliwości, Armeńczyka Ohannesa Salisa musteszarem ministra oświaty, i Ahmeta Vefika effendiego prezesem Izby deputowanych. Dwóch więc chrześcian zostało wysokimi urzędnikami, co się w Turcyi dotąd nie praktykowało, a co ma być, według niektórych, stwierdzeniem paragrafu konstytucyi o równości wszystkich wyznań wobec prawa. Co dalej nastąpi? Czy nowy wezyr potrafi się długo utrzymać na swem stanowisku i czy te same wpływy, które obaliły Midata, nie zwrócą się także przeciw niemu. Powszechnem jest zdanie, że urząd Edhema jest przejściowym, że nowa reakcja jest konieczną, ale czy wypadnie na korzyść Midata, lub czy wraz z autorem konstytucyi nie będzie zmuszonym do ustąpienia ten, który jej nadał firmę i proklamował? Komunikat ambasady tureckiej w Wiedniu, zaprzeczając pogłoskom o chorobie Abdul Hamida, oświadcza, że wypadek ustąpienia jego z tronu „pozostałby bez nieszczęsnych następstw dla państwa ottomańskiego,“ gdyż brat Sułtana Reszad-effendi jest „człowiekiem młodym, bystrego umysłu i bardzo silnie zbudowanym.“ Doniesienie to przypomina bardzo podobne komunikaty półurzędowych dzienników tureckich za czasów choroby Murada, donoszące, że Abdul Hamid jest zdrowym na ciele i umyśle, mówi po francusku i ma dwa wozowo zagospodarowane folwarki w okolicach Konstantynopola. Stoimy więc znowu wobec blizkiej zmiany tronu w Stambule; ale wątpliwem jest jeszcze, czy Mehemat Reszed, pomimo „silnej budowy“, dostąpi godności padyszacha, gdyż według bardzo pewnych wiadomości, stronnictwo Jusuffa Izzedina, syna zmarłego sułtana Abdul Azisa, ciągle wzrasta i obejmuje głównie całą partya staroturecką. Ta ciągła zmiana sułtanów przypomina owe sztuczne manekiny sklepowe, które okazałością wabią i przyciągają wszystkich, ale po zużyciu i zepsuciu maszyneryi bywają w kął rzucane. — Edhem basza nie zerwał z tradycyą Midhata; rokowania pokojowe z Serbią i Czarnogórą nie zostały przerwane; rząd serbski wysłał swych pełnomocników do Konstantynopola, gdzie myśl pokoju jest bar-

dzo pożądaną i dla tego zapewne w tych dniach telegram przyniesie nam wiadomość o zawarciu pokoju, lub co najmniej, przedłużeniu zawieszenia broni na kilka tygodni. Główną przeszkodą zawarcia pokoju był warunek stawiany przez Portę: rezydencya komisarza tureckiego w Belgradzie. Rząd serbski zgadzał się na agenta dyplomatycznego, ale nie mógł żadną miarą przystać na komisarza, który miałby prawo wmięszania się do wewnętrznych spraw Serbii. Porta nie ukazała się uporczywą na tym punkcie, i dla tego rokowania rozpoczęte w Wiedniu przeniosły się później do Konstantynopola. Co do Czarnogóry, to ks. Mikołaj okazał skłonność do zawarcia pokoju, na podstawie *status quo ante*, ale pod warunkiem sprostowania granic. Warunek ten Porta przyjęła. Jednak czy w razie nawet zawarcia pokoju między Serbią i Czarnogorą a Portą, będzie on trwałym na wypadek wojny rosyjsko-tureckiej? Mowa ks. Milana do ochotników rosyjskich, wracających do Rosyi, jak ją podały dzienniki, jest pełną takiego uniżonego służalstwa dla Cara, „opiekuna sprawy słowiańskiej“, i wasalskiego posłuszeństwa, iż prawdopodobnem jest przypuszczenie, że na rozkaz Petersburga ks. Milan potrafi złamać pokój. Ks. Mikołaj, któremu dostała się pochwała a nie tak ostra nagana w Mowie cara Aleksandra w Moskwie, odznaczył się większą godnością i poszanowaniem własnej osoby. Jest on przyjęciem i sprzymierzeńcem Cara, ale nigdy „generał-gubernatora“, jak dowcipnie nazwano męża pułkownikówny Keczko.

Dnia 7 lutego królowa Wiktorya otwarła parlament mówą tronową, w której ustęp odnoszący się do sprawy wschodniej stwierdzał, że zamiarem królowej było utrzymanie pokoju europejskiego i zaprowadzenie lepszej administracyi w prowincyach powstańczych, ale bez naruszenia niepodległości i całości Turcyi. Wprawdzie propozycye przedłożone przez Anglią i jej sprzymierzeńców nie zostały przyjęte, jednak wynik konferencyi okazał, iż istnieje powszechna zgoda między mocarstwami Europy, co w każdym razie wywrze materialny wpływ na stosunki i administracyą turecką. Zapewniano, że w mowie tej znajdował się także ustęp o konstytucyi tureckiej, wykreślono go jednak na wiadomość o upadku Midhata. Mowa więc nie stwierdza nie innego, prócz owej zgodności mocarstw, ale zgodność ta dotychczas nie przyniosła żadnych rezultatów, jest ona negatywną, przeczy wobec Porty, ale nie posuwa akcji naprzód, nie rozwiązuje jej wcale. Za to rozprawy adresowe w Izbach angielskich i dwa tomy *Księgi błękitnej* zawierające korespondencye dyplomatyczne w sprawie wschodniej, stanowiły przez cały miesiąc główny prawie przedmiot powszechnego zajęcia. Pierwszy tom *Blue book* zawiera depesze w sprawie zawieszenia broni, rzezi bułgarskich i konferencyi, drugi odnosi się prawie wyłącznie do obrad przedkonferencyjnych i konferencyi samej i koń-

czy się depeszą lorda Salisbury z dnia 22 stycznia, w której pełnomocnik angielski donosi lordowi Derby w lakonicznych słowach, że konferencya spełzła wskutek oporu Porty na niczem, i że według otrzymanych poprzednio instrukcyj, opuszcza Konstantynopol, wraz z sir Henry Elliotem. Najciekawszymi z tych depesz są listy lorda Salisbury o rozmowach z monarchami i mężami stanu, w czasie objazdżki przedkonferencyjnej; korespondencya lorda Derby z Sir Elliotem o zachowaniu się ambasadora na konferencyach i jego stosunku do lorda Salisbury; w końcu sprawozdania lorda Loftusa o usposobieniu umysłów w Rosyi i rozmowach z ks. Gorczakowem, z których okazuje się zgrzybiałość kanclerza rosyjskiego, i raporta konsula Whita w Belgradzie o zapomogach rosyjskich w Serbii. Pomiędzy depeszami lorda Salisbury o rozmowach z monarchami i mężami stanu, *Księga błękitna* nie zawiera depeszy, o rozmowie z ks. Bismarkiem, chociaż podała sprawozdanie pełnomocnika Jej Kr. Mości z posłuchania u cesarza Wilhelma. Na interpelacyą w tym przedmiocie, postawioną w Izbie, minister Hardy odpowiedział, że depesza ta miała charakter „poufny,“ i dla tego nie podano jej do powszechnej wiadomości. Zdaje się jednak, że wyjątek ten był koncesyą dla ks. Bismarka, który nie chce porzucić swej sfinxowej roli, a wobec stanowiska, jakie w ostatnich czasach półurzędowe dzienniki niemieckie zajęły względem Francyi, i z innych niemniej ważnych wskazówek wnosić można, że na posłuchaniu lorda Salisbury nie sama tylko kwestya wschodnia była przedmiotem rozmowy, że musiała być tam także wzmianka i o Francyi, i dlatego właśnie ks. kanclerz postanowił tak zagadkowe zachować milczenie.

Dnia 22 lutego zagaił cesarz Wilhelm parlament niemiecki mową tronową. Obok ustępu, dotyczącego sprawy wschodniej, jest w niej mowa o wewnętrznym stanie przemysłu niemieckiego i stosunków ekonomicznych, których upadek staje się coraz większym od czasu miliardów francuskich. Cesarz Wilhelm widzi to złe i nie może o niem zamilczeć, ale według mowy tronowej, odpowiedzialność nie spada na rząd cesarstwa, bo pojedyncze rządy każdego państwa powinny postarać się o zapobieżenie złemu. Co do kwestyi wschodniej, to niemiecka mowa tronowa aczkolwiek ma charakter pokojowy, i *durch Gottes Fügung* cesarz Wilhelm obiecuje ludom swym pokój, to przecież każe przewidywać wojnę Rosyi z Turcyą, a zatem wszystkie jej następstwa. Zapewnia bowiem, że pokój między mocarstwami nie będzie zakłóconym, choćby nawet Rosya widziała się zmuszoną do wypowiedzenia wojny Turcyi. O związku trójcesarskim, o integralności Turcyi, nie ma nawet wzmianki. Dzienniki angielskie powitały ją bardzo przychylnie jako zapowiedź pokojową, a wiedeńskie widzą w niej pośrednią odpowiedź

na notę ks. Gorczakowa i zbliżenie się do polityki gabinetu St. James. Dla udowodnienia swych pesymistycznych obaw, wskazują na ustęp przewidujący wojnę między Rosyą i Turcyą i wyrażający pośrednie twierdzenie, że pokój z Księstwami nie musi być zawartym.

W Austrii miesiąc ubiegły był widownią dwóch groźnych wstrząśnień: zewnętrznego i wewnętrznego. Polityka neutralności, którą hr. Andrassy kierował się od samego początku zawikłań na wschodzie, napotkała na przeszkody raz ze strony stronnictwa oddawna w decydujących sferach wiedeńskich istniejącego, powtóry od wstrząśnienia, jakiego doznał gabinet przedlitawski, wskutek niepomysłnego obrotu sprawy bankowej i dymisji ministerstwa węgierskiego. Jeden z członków rodziny cesarskiej, powaga w sprawach wojskowych, najbardziej wpływowa osobistość wobec Petersburga, ugrupował wokoło siebie stronnictwo, które w pytaniu: z Rosyą lub przeciw Rosyi, oświadczyło się stanowczo za pierwszą ewentualnością. Konserwatyzm austriacki posiada, wobec wielu zalet, których zaprzeczać wcale nie zamierzamy, jedną dziedziczną wadę, iluzję co do Rosyi. Jak daleko iluzya ta zaszła, dowodzi artykuł *Vaterlandu*, zkądinąd Polakom przyjaznego, oskarżający Polskę, że była głównym powodem prześladowania katolicyzmu przez Rosyą.

Zdaniem naszym, jedyną dotąd polityką odpowiadającą interesom Austrii, jest polityka neutralności. Jak jest korzystną, dowodzi już ta okoliczność, że Rosya dokłada wszelkich możebnych starań do zepchnięcia jej z tej drogi. Hr. Andrassy, i to stanowi wielką jego zasługę, poznał jej doniosłość i pomimo tylu przeszkód na zewnątrz, a zabiegów owego stronnictwa wewnątrz monarchii, nie zachwiał się ani na chwilę, i kiedy nadeszła stanowcza godzina, gotów był raczej ustąpić, niż wyrzec się swych zasad. A dla nas czy może istnieć inna polityka, jak ta, którą dziś przedstawia hr. Andrassy, a która jedna nie naraża interesów naszych na szwank i pozwala, aby burza spokojnie przeszła po nad naszymi głowami, nie przeszkadzając nam w cichej i domowej pracy i nie wiążąc nas na przyszłość. Nie, zanadto nas kosztowały wszystkie próby i experimenta, krwi, mienia a często nawet czci i honoru, żebyśmy się mieli nadal na nie narażać. Kraj nasz nie może być sprzymierzeńcem Turcyi przeciw Słowianom, jak również nie jest przyjacielem zaborów rosyjskich bez gwarancyi autonomicznego bytu dla Słowian. Tam gdzie wymagało tego uczucie ludzkości, okazaliśmy naszą sympatyą i współczucie; prawy Polak życzył Serbom i Hercogowińcom wolności i powodzenia, ale równocześnie widział niebezpieczeństwo ich względem Rosyi bezwarunkowego służalstwa, choć poczęści usprawiedliwiał je niedolą i upokorzeniem; prawy Polak wzdrygał się na myśl rzezi

bułgarskich, bo mu przypomniały rzeź Pragi i tysiące innych, aż do ostatnich wypadków na Podlasiu.

Reszta dla nas powinna być obojętną, bo od Europy ratunku i litości spodziewać się nie możemy, a tembardziej żebrać o nie nie powinniśmy. Nie przeczę, że może nadejść chwila dla nas pomyślna, w której siła faktów postawi naszą narodowość w pomyślniejszych warunkach, ale zadaniem naszym teraz powinno być, postarać się o to, aby chwila ta zastała nas przygotowanych i gotowych do pracy już nie dla obcych, ale dla nas samych. Innej polityki nie rozumiemy, bo inna jest anomalią i śmiesznością, kompromitującą wobec zagranicy, która od czasu uspokojenia się emigracji zaczęła nabierać lepszego o nas wyobrażenia. Jest u nas jedna choroba, tem groźniejsza, że dotąd najcięższe nawet doświadczenia nie zdołały jej wyleczyć, choroba, która znalazła główne ognisko w osobie właśnie „posła narodowego;“ co kilka lat przychodzi paroksyzm nieunikniony i zawsze czy pod tą lub pod ową formą, śmiesznością swoją kompromituje nas i naszą opinią. Obecnie paroksyzm ten, dzięki Bogu, dotknął szczupłą tylko garstkę dziennikarzy lwowskich i to z wyjątkiem *Kroniki*, która miała odwagę oświadczyć się stanowczo przeciw ambasadorowi Raperswylskiemu.

Rokowania bankowe między rządami obu części monarchii, rozpoczęte w pierwszych dniach lutego, nie przyniosły zrazu żadnych rezultatów. Kilkakrotne podróże ministrów węgierskich do Wiednia były bezowocnymi. Ministrowie zgodzili się wkońcu na wszystkie punkta, pozostała tylko różnica co do wysokości dotacyi filij węgierskich, rozdziału kompetencji obu dyrekcji w Wiedniu i w Peszcie, zwłaszcza zaś o skład Rady nadzorczej. Ministrowie węgierscy żądali, aby zakładowy kapitał rozdzielony był między banki austriacki i węgierski, w stosunku 68 do 32, jednak następnie zgodzili się na uposażenie banku węgierskiego 50 milionami. Następnie zgodzono się także co do drugiego punktu spornego o zakresie działania dyrekcji obu banków i atrybucyi naczelnego komitetu centralnego. Ministrowie węgierscy żądali dualizmu bankowego przez udzielenie większych atrybucyj dyrekcji każdego banku i nadania większej niezależności bankowi peszteńskiemu; wkońcu zgodzili się jednak na utrzymanie jedności w zarządzie Zakładu bankowego przez większe uposażenie komitetu centralnego, aniżeli pojedynczych dyrekcji. Dalej zgodzono się na to, że gubernatora banku mianować będzie cesarz, a z dwóch wicegubernatorów, jednego mianuje rząd austriacki a drugiego węgierski; wkońcu rozbiły się głównie rokowania o skład komitetu centralnego. P. Tisza zgadzał się, aby zgromadzenie akcyonaryuszów wybierało 12 członków tego komitetu, ale pod warunkiem, że połowa ich będzie

wybraną z grona akcyonaryuszów węgierskich, a druga po-
łowa z austriackich. Temu sprzeciwiał się rząd austriacki
i zarząd banku, twierdząc, że w interesie banku należy zo-
stawić akcyonaryuszom wolność wyboru. Wreszcie, kiedy pan
Tisza stał upornie przy swoim zdaniu, podano projekt pośred-
ni: akcyonaryusze będą wybierać czterech członków komitetu
centralnego z pomiędzy obywateli austriackich na przedsta-
wienie rządu przedlitawskiego, czterech z pomiędzy obywateli
węgierskich, na przedstawienie rządu węgierskiego, a czterech
dowolnie. Oba rządy przyjęły propozycją tę *ad referendum*,
a dnia 5 lutego p. Tisza oświadczył na ostatniej naradzie
poufnej u ks. Auersperga, że rząd węgierski zgadza się na
ten projekt; widzi w nim bowiem uznanie pod względem for-
malnym równorzędności obu połów monarchii. Ale rząd au-
striacki i reprezentanci banku odpowiedzieli, że projekt jest
niemożliwym do przyjęcia, wskutek czego p. Tisza zrobił
z tego punktu *ultimatum*, a po powtórnym odrzuceniu tegoż
opuścił wraz z innymi ministrami Wiedeń, ponawiając u Naj.
Pana prośbę o dymisję. Dymisję tę przyjął cesarz dnia 8
b. m. pod warunkiem, że p. Tisza przedstawi według zwy-
czaju węgierskiego swego następcę. Przez kilka dni dzien-
niki wiedeńskie były przepełnione rozmaitemi kombinacyami
co do następstwa p. Tiszy. W pierwszej chwili mówiono, że
minister dworu cesarskiego bar. Wenkheim podejmie się skła-
du gabinetu; później okazywały się nazwiska bar. Sennyeya,
Majlatha, Sechena, i t. d. Kandydatura bar. Pawła Sennyeya,
znanego konserwatysty, była przez pewien czas bardzo praw-
dopodobną. Zdaje się, że p. Tisza używał jej jako manewr
wobec gabinetu przedlitawskiego, dla którego gabinet kon-
serwatywny w Peszcie musiałby posłużyć za wskazówkę, że
i dla nich nadeszła w końcu chwila usunięcia się. Ks. Auers-
perg, przywidując tę ewentualność, oświadczył, że gotów jest
do usunięcia się, gdyby to miało posłużyć do załatwienia
sprawy ugodowej i nie ponawia swej dymisji dlatego, że
prosił o nią przed dwoma miesiącami. Przez kilka dni by-
liśmy więc zagrożeni przesileniem gabinetowem w obu czę-
ściach monarchii. Sprawa bankowa służyła tu tylko za za-
słonę, pod którą kryły się ważniejsze przyczyny i nie pomy-
limy się twierdząc, że w przesileniu tem kwestya polityki
zewnętrznej ważną bardzo odgrywała rolę.

Zmiana osób musiałaby za sobą pociągnąć zmianę systemu
tak w Przedlitawii jak i w Węgrzech, bo z gabinetem bar.
Senyeya w Peszcie nie mógłby się w Wiedniu pogodzić za-
den inny gabinet, jak także i konserwatywny. Kiedy bar Se-
nyeya spotkała z ust cesarza propozycją złożenia gabinetu,
wtenczas zapytany o program odrzekł „że wola NPana jest
moim programem,” i dlatego obawiano się w kołach wie-

deńskich, żeby i tam monarcha nie wybrał za kierownika rządu człowieka, dla któregoby wola NPana była jedynym programem. Hr. Hohenwart, od czasu swego gabinetu ugodowego stał się postrachem dla centralistów, a chociaż jego znakomite zdolności parlamentarne, takt w postępowaniu i umiejętność rządzenia potrafiły mu zjednać wielu przyjaciół nawet między przeciwnikami politycznymi, to jednak po za nim obawiano się upadku hr. Andrassego i jego polityki neutralności. Hr. Andrassy pozyskał w ostatnich czasach swoją godnością w postępowaniu wielu zwolenników, bo słusznie ktoś o nim powiedział, że obecnie stał się najlojalniejszym Austriakiem. Ale p. Tisza potrafił w Wiedniu pokazać straszniejszy jeszcze upiór od hr. Hohenwarta; osoba domu cesarskiego Rosyi przyjaźna, stała się w ostatnich dniach panem położenia, i dlatego minister węgierski wskazywał, że po szczeblu gabinetu hohenwartowskiego, możnaby wkrótce dojść do rządów, dla których wola NPana byłaby *alfą* i *omegą*, do kancelerstwa którego z generałów. Ale widocznie nie nadszedł jeszcze czas ani dla bar. Senyeya ani dla hr. Hohenwarta, wpływy zewnętrzne oddziaływały zapewne na stanowisko hr. Andrassego, i dlatego gabinet przedlitawski pozostał u steru, a p. Tisza rozpoczął na nowo rokowania z rządem austriackim w sprawie bankowej, tym razem z skutkiem pomyślnym. Ks. Auersperg i bar. Lasser postanowili okupić warunki swego istnienia drogą bardzo cenną, bo nieodpowiednią dla każdego rządu, a tem więcej dla rządu austriackiego, udawaniem się do stronnictw z zapytaniem czy zgoda się na proponowany skład komitetu centralnego. Podobne postępowanie daje świadectwo o dziwnem poniekąd pojmowaniu konstytucjonalizmu, a nie jest ono sporadycznym, bo już niejednokrotnie członkowie obecnego gabinetu wędrowali po rozmaitych klubach wiernokonstytucyjnych, stając na indagacyą swoich przyjaciół politycznych. Tym razem ks. Auersperg uznał, że nie jedno tylko stronnictwo wiernokonstytucyjne jest zdolnem do wydawania wyroku w sprawach monarchii, i udał się z podobnem zapytaniem do stronnictwa prawa i delegacyi galicyjskiej. Delegacya nasza, i to przynosi jej zaszczyt, odpowiedziała na to pytanie, tak jak jej nakazywała godność kraju i obowiązek poselski, oświadczając na wniosek posła Chrzanowskiego, że chociaż posiada swe w tej sprawie zdanie, nie uważa jednak drogi przez rząd obranej za odpowiednią, i dopiero w Radzie Państwa przedstawi swe zapatrywania. Dała więc rządowi do zrozumienia, że polityka klubowa nie jest właściwą i zgodną z dotychczasowymi tradycjami parlamentarnymi.

Do obrania tej drogi skłoniło gabinet przedlitawski stanowisko p. Tiszy, który zażądał rękojmi, że wnioski ugodowe przyjęte zostaną przez Radę państwa. Na konferencyi klubu

lewicy postawił dep. Herbst wniosek, aby odpowiedzieć na pytanie rządu, że stronnictwo wiernokonstytucyjne, zastrzegając sobie zupełną wolność co do wszystkich innych punktów ugody, zgadza się z organizacją Rady centralnej banku, według projektu przedłożonego w pytaniu rządu. Klub postępowy zaś wystąpił bardzo energicznie przeciw rządowi; niektórzy deputowani podnieśli tak ostre zarzuty przeciw obecnemu gabinetowi, iż sądziłoby należało, że wszelka nić między postępowcami i rządem raz na zawsze zerwaną została. Głównie klub ten sprzeciwiał się żądaniom Węgrów, aby gubernatorów mianował cesarz, nie zaś pojedyncze rządy obu części monarchii. Węgrzy pragnąc nominacyi przez N.Pana przewidywali, że nominacya ta wypadnie na ich korzyść. Klub postępowy odpowiedział więc na pytanie rządowe przecząco. Tak więc zwycięstwo rządu nie było zupełnem. Wprawdzie w stronnictwie rząd miał zapewnioną większość, ale z tonu dyskusyi w klubie postępowym wnosić można, że frakcyja ta gotowa w pełnej Izbie połączyć się z opozycją i w takim razie wnioski ugodowe musiałyby upaść. Jak daleko rozdrażnienie postępowców poszło, dowodem, że na sobotniem zgromadzeniu stronnictwa wiernokonstytucyjnego p. Herbst musiał zmodyfikować swój wniosek oświadczeniem, że sprawę nominacyi wicegubernatorów uważa za otwartą. Po tej dopiero zmianie, wniosek jego przyjęto 123 głosami przeciw 62. Jaką odpowiedź da stronnictwo prawa dotąd niewiadomo, *Vaterland* nie wie dotąd, czy wogóle otrzymało ono od rządu za pytanie. Jednak z mowy hr. Hohenwarta, wygłoszonej w Izbie deputowanych, podczas rozpraw nad interpelacją w sprawie wschodniej wnosić można, że znakomity ten mąż stanu nie kieruje się polityką opozycyi *quand même* i kiedy wymagać tego będzie położenie monarchii, udzieli obecnemu gabinetowi poparcia w sprawie ugodowej lub przy jakiej innej sposobności.

Depesza z 26 b. m. doniosła, że p. Tisza otrzymał polecenie ponownego złożenia gabinetu, ministerstwo bowiem austriackie przyjęło na siebie odpowiedzialność za wnioski ugodowe i zobowiązało się do ich obrony w Radzie Państwa. Tak więc p. Tisza po tylu sztucznych elukubracjach, objął znowu ster rządu węgierskiego i dawna solidarność z gabinetem przedlitawskim powróciła.

Wobec sprawy ugodowej nikną wszelkie drobniejsze sprawy parlamentarne w Austrii. Kilkodniowe obrady Izby wyższej zwróciły powszechniejszą uwagę, dla losu, jaki spotkał ustawę o małżeństwach cywilnych. Dzięki znakomitej obronie biskupów i hr. Leona Thuna, który ze zwykłą sobie energią ostro na rząd uderzył, wniosek ten upadł. Widocznie więc *Kulturkampf* nie ma powodzenia w Austrii, chociaż

zapewne postępowcy nie omieszkają ponowić go w Izbie deputowanych.

Z czysto wewnętrznych spraw austriackich, niemających bezpośredniego związku z polityką zagraniczną, zanotować nam wypada wybory do Rady Państwa w Czechach. Wypadły one, jak to łatwo można było przewidzieć, z zupełnem zwycięstwem dla stronnictwa staroczeskiego, które wszędzie przeprowadziło swoich kandydatów, z wyjątkiem okręgu roudnickiego gdzie p. Sladkowski utrzymał się przy swoim mandacie. Stanowisko Młodoczechów wobec ostatnich wyborów, było o tyle pojednawczem, że nie stawiali oni kandydatów w okręgach staroczeskich, i nie ogłaszali odezw wyzywających przeciwników. Jeden tylko p. Sladkowski nie mogąc rozstać się na zawsze z agitacyjną polemiką, ogłosił w *inseratach Nar. Listów* pismo do wyborców, wyjaśniające powody, jakie go skłoniły do zmiany religii i przejścia na prawosławie. Nie rozbieramy argumentów, przytaczanych przez meniera staroczeskiego, uważamy je bowiem za zboczenia umysłu porośliwego, który raz na zawsze stał z siebie wszelką poważniejszą cechę polityczną. Wogóle tylko zapisać musimy, że od jakiegoś czasu nastąpiło pewne zbliżenie między obu stronnictwami czeskiemi; ostra i natarczywa polemika przycichła, co należy uważać za zapowiedź ściślejszego porozumienia. Ale czy porozumienie to wpłynie także na abstencyjną politykę Czechów i ich dotychczasowe stanowisko wobec najżywniejszych kwestyj austriackich? Jeśli który z przytaczanych przeciw abstencji argumentów może mieć znaczenie, to bezwątpienia to najwidoczniejsze u Czechów osłabienie patriotyzmu austriackiego. Nie mamy tu na myśli owych objawów niewczesnego zapалу dla Czernajewa, które uważamy za wybryk chwilowy, nie pociągający za sobą poważniejszych następstw, ale stanowisko bezstronnego widza, niebiorącego udziału ani w kwestyi ugodowej, ani w rozprawach Izby nad sprawą wschodnią, ani nawet w owem wstrząśnieniu obu rządami monarchii, nie przystoi w każdym razie tym, których znaczenie w Austrii tak historyczne jak i materialne powinno być decydującem. Zdawałoby się, że od lat dziesięciu, od czasów zawarcia ugody, nie było dla Czechów stosowniejszej do wystąpienia chwili, od téj, w której cały organizm monarchii może uleść wstrząśnieniu lub nawet znaczącym zmianom. Kto pilnie śledził przebieg rozwoju politycznego w Czechach w ostatnich latach, ten mógł się przekonać, że wskutek odosobnienia się od reszty krajów monarchii, wyrodziła się w nich choroba, którąbyśmy nazwali chętką demonstracyjną. Od r. 1867 w każdym kroku Czechów, przeważała ta cecha demonstracyjna, od podróży do Moskwy, która według zdania ich samych, miała być tylko demonstracją przeciw

hr. Beustowi, aż do niefortunnych owacyj dla Czernajewa, mniemanej demonstracyi na korzyść Serbów. Uznajemy wytrwałość opozycyi czeskiej na raz obranej drodze, spowodowaną najszuszniejszemi zasadami; nie zapoznajemy korzyści wewnętrznych z drogi tej osiągniętych, ale zaprzeczyć się nie da, że dotąd, przez lat 16 przeszło, nie przyniosła ona żadnych rezultatów materyalnych. Bo jakiż stan przedstawiają nam Czesi? Między sobą rozdzieleni, na zewnątrz nie mają nigdzie sprzymierzeńców; nie są nimi bowiem ani hr. Hohenwarth, ani Tyrolczycy, ani Polacy, ani nawet własni ich bracia Morawianie. Wszystko dzieje się bez nich, a jak ugoda z roku 1867 została bez Czechów zawartą, tak w roku 1877 bez nich odnowioną zostanie. Demonstracyi przeciw dualizmowi nie zdołały dualizmu tego obalić, i kiedy ważą się losy monarchii, nikt ich nie pyta o zdanie, bo ze zdania tego sami abdykowali. Czy tak będzie dalej? Czy i pod tym względem spodziewać się należy zmian koniecznych? bliskie rozstrzygną to czasy, a jeśli Czesi wytrwają dalej na swem stanowisku biernem, natenczas przyjdzie przestać podziwiać wytrwałość, a zacząć ubolewać nad uporem.

Antoni Zaleski.

NOWE KSIĄŻKI.

W b. m. nadesłano nam trzy bardzo zajmujące publikacye, mianowicie:

— **Listy o Galicyi** do „Gazety Polskiej“ 1875—1876. Kraków. Nakład i druk Wł. L. Anczyca i Spółki. 1877. 8vo. str. 268.

— **Blumenstok Heinrich.** Die Ukraine und ihre Dichter. Bohdan Zaleski. Separatabdruck aus dem 6. Jahrgange der Dioskuren. Wien. Druck der k. k. Hof- und Staatsdruckerei. 1877. 4o. str. 22.

— **Rozprawy i Sprawozdania** Wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. Tom IV. W Krakowie, w drukarni Uniwersytetu Jagiell. 1876. 8o. str. 362 i CXVII. Tom ten zawiera:

1) *Węclewski* Zygmunt: Wiadomość o życiu i pismach G. E. Grodka. 2) *Tarnowski* St.: Andrzej Maxymilian Fredro. 3) *Mecherzyński* K.: O pobycie Konrada Celtesa w Polsce i jego wpływie na rozbudzenie humanizmu. 4) *Wisłocki* Wł.: Legenda o ś. Aleksym. 5) *Karłowicz*.: Program Słownika polskiego. 6) Sprawozdania.
